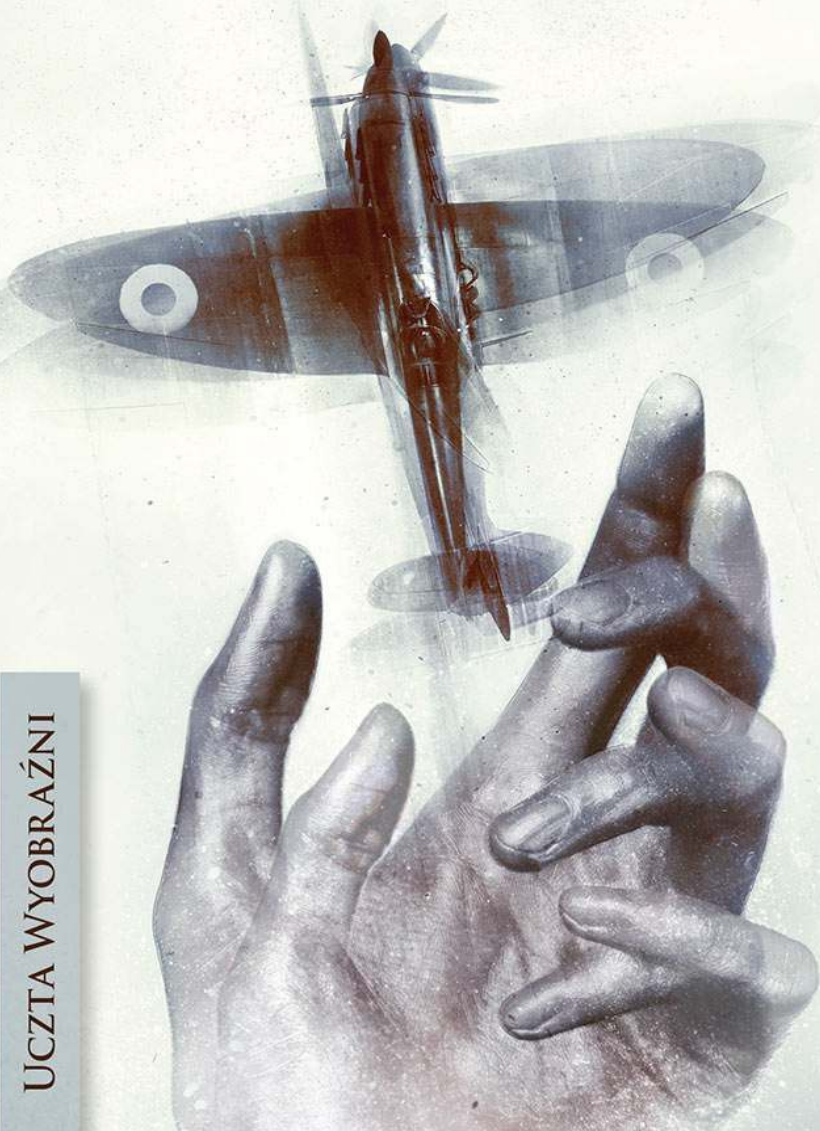


CHRISTOPHER PRIEST

CZŁOWIEK  
Z SĄSIEDZTWA

UCZTA WYOBRAŹNI



**CHRISTOPHER PRIEST**

**CZŁOWIEK Z  
SĄSIEDZTWA**

**Przełożył Wojciech M. Próchniewicz**

**Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2017**

Tytuł oryginału:  
The Adjacent

Copyright © 2013 by Christopher Priest  
Copyright in the Polish translation  
© 2017 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:  
Joanna Figlewska

Korekta:  
Elwira Wyszzyńska

Projekt graficzny serii oraz opracowanie graficzne okładki:  
Piotr Chyliński

Ilustracja na okładce:  
Irek Konior

Projekt typograficzny, skład i łamanie:  
Tomek Laisar Fruń

skan i opracowanie elektroniczne  
lesiojot

ISBN 978- 83- 7480- 738- 8

Wydanie I

Wydawca:  
Wydawnictwo MAG  
ul. Krypska 21 m. 63, 04- 082 Warszawa  
tel./fax 228 134 743 691962519

*Dla Niny.*

# **CZEŚĆ I**

**IRWB**

## Fotograf

Tibor Tarent jechał już bardzo długo i z bardzo daleka, przrzućany przez urzędników pomiędzy granicami i strefami, traktowany z szacunkiem, choć zmuszany do szybkiego przemieszczania się z miejsca na miejsce. I to najróżniejszymi środkami lokomocji – śmigłowcem, pociągiem o zasłoniętych oknach, jakąś szybką łodzią, samolotem, na koniec mebsherem – transporterem opancerzonym. W końcu trafił na kolejny statek, tym razem prom pasażerski, gdzie czekała przygotowana kajuta. W niej zasnął i niespokojnie przespał większość podróży. Jechała z nim jedna funkcjonariuszka, przez cały czas dyskretnie nieprzystępna. Płynęli na północ kanału La Manche, pod ciemnym szarym niebem. W oddali cały czas było widać łąd – gdy wyszedł na górny pokład, mocno wiało i zaciągało marznącym deszczem. Szybko zszedł z powrotem na dół.

Mniej więcej pół godziny później statek powoli się zatrzymał. Przez bulaj poczekalni zobaczył, że przybijają nie do portu, jak sobie wyobraził, ale do wystającego w morze długiego, wąskiego betonowego pirsu. Gdy zastanawiał się, o co chodzi, przysła pilnująca go funkcjonariuszka i kazała zabrać rzeczy. Zapytał ją, gdzie są.

– Jesteśmy na Southampton Water. Sprowadzimy pana na brzeg w mieście Hamble, żeby uniknąć tłoku i opóźnień w głównym porcie. Stamtąd zabierze pana samochód.

Sprowadziła go na miejsce zbiórki, na dolnym pokładzie, pomiędzy pomieszczeniami załogi. Na pokład weszło dwóch

nowych funkcjonariuszy, którzy zaprowadzili go na łód po ruchomym trapie, a potem przez sieczony wiatrem pirs. Kobieta została na statku. Nikt nie zajrzał mu do paszportu. Poczł się jak więził, choć tamci zachowywali się wobec niego uprzejmie. Ledwo zdążył rozejrzeć się po okolicy – zatoka była szeroka, choć po obu stronach gęsto zabudowana, głównie przemysłowymi budynkami. Statek, którym przyptynał, już odbijał. Wsiadał na niego w nocy – zdziwił się teraz, że był o wiele mniejszy, niż sobie wyobrażał.

Już po chwili przejeżdżali autem przez Southampton. Tarent zaczął przeczuwać, dokąd go wiozą, choć po ostatnich trzech dniach szalonej podróży nauczył się nie zadawać pytań ludziom, którym go powierzono. Jechali między polami, na koniec docierając do większego miasta. Okazało się, że to Reading. Ulokowano go w dużym hotelu w samym centrum. Był obezwładniająco luksusowy i otoczony, jak się zdawało, nieskończoną ilością kordonów bezpieczeństwa. Spędził w nim tylko jedną noc, bezsenną i nerwową, czując się jak więził albo przynajmniej tymczasowo aresztowany. Kiedy tylko poprosił, w pokoju pojawiało się jedzenie i bezalkoholowe napoje. Właściwie ich nie tknął. W klimatyzowanym pokoju trudno mu było oddychać, jeszcze trudniej uspokoić myśli, nie mówiąc już o zaśnięciu. Próbował oglądać telewizję, lecz hotelowa kablówka nie miała żadnych kanałów informacyjnych, a nic innego go nie zainteresowało. Zdrzemnął się na łóżku, zeszytniały ze zmęczenia od bolesnych wspomnień, rozpamiętując śmierć żony, Melanie, cały czas słysząc dźwięk z telewizora.

Z rana spróbował zjeść śniadanie, wciąż jednak niemal zupełnie nie miał apetytu. Agenci podeszli do niego jeszcze przy stoliku w restauracji i kazali się jak najszybciej zbierać. Tych dwóch dotąd nie widział. Młodzi, w jasnoszarych garniturach. Pewnie tak samo jak wszyscy poprzedni nic o nim nie wiedzieli i nie mieli pojęcia, jakie wiążą się z nim plany. Zwracali się do niego per „pan”, traktowali z szacunkiem, Tarent widział jednak, że po prostu wykonują przydzielone im zadanie.

Przed wyjściem z hotelu jeden z nich poprosił Tarenta o dokumenty. Wyciągnął zatem paszport dyplomatyczny, który dostał przed wyjazdem do Turcji. Agenta usatysfakcjonowało jedno spojrzenie na charakterystyczną okładkę.

Pojechali do Bracknell - i wreszcie miał pewność, dokąd go wiozą. W domu na peryferiach miasteczka czekali na niego rodzice Melanie. Gdy rządowy samochód odjechał, teściowie wyściskali go już na schodkach. Teściowa, Annie, od razu rozplakała się na jego widok. Teść, Gordon, zachował opanowanie, choć z początku w ogóle się nie odezwał. Wprowadzili go do środka. Znał dom z poprzednich wizyt, teraz jednak wydał mu się zimny i nieprzystępny. Na dworze szary dzień zapowiadał ulewny deszcz.

Po uprzejmościach i rutynowych pytaniach, czy nie potrzebuje skorzystać z łazienki, czy chce coś do picia i tak dalej, usiedli we troje w podłużnym salonie. Kolekcja akwarelowych landszaftów, ciężkie meble, nic się nie zmieniło od ostatniej wizyty, kiedy był tu z Melanie. Torbę podróżną zostawił w przedpokoju, ale sprzęt fotograficzny zabrał do salonu, leżał teraz na podłodze pod jego nogami.

I wtedy Gordon się odezwał:

- Tibor, wybaczone, ale musimy zapytać. Byłaś z Melanie, kiedy zginęła?

- Tak. Cały czas byliśmy razem.

- Widziałeś, co się stało?

- Nie. Akurat nie. Byłem cały czas w głównym budynku szpitala, a ona sama wyszła na zewnątrz.

- Sama wyszła?

- Pewnie na chwilę. Nie wiadomo po co, ale dwóch ludzi z ochrony już szło jej szukać.

- Czyli była bez ochrony?

Annie usiłowała powstrzymać płacz, odwróciła się, pochyliła głowę.

- Melanie znała wszystkie zagrożenia, zresztą wiecie, jaka ona była. Nigdy niepotrzebnie się nie narażała. Ciągle nas zresztą



ostrzegali, że po wyjściu ze szpitala nikt nie jest stuprocentowo bezpieczny. Kiedy wychodziła, włożyła kamizelkę z kevlaru.

- A po co sama wyszła? Masz jakiś pomysł?

- Nie mam pojęcia. Byłem zdruzgotany, kiedy się dowiedziałem, co się z nią stało.

To były pierwsze pytania i na tym się na razie skończyło. Annie i Gordon powiedzieli, że zrobią herbatę czy kawę i zostawili go na trochę samego. Tarent siedział w grubo wyściełanym fotelu, czując ciężar opierającej się o nogę torby z aparatami. Miał oczywiście zamiar ich odwiedzić, ale nie tak od razu, pierwszego dnia po powrocie do Anglii. Jeszcze nie pogodził się z jej stratą, z nagłym końcem wszystkich planów, jeszcze przepelniało go poczucie winy.

Po niekończącej się podróży, po noclegach w przygodnych miejscach, znajomy dom napawał go stabilnością i otuchą. Świadomie rozluźnił wszystkie mięśnie, uświadamiając sobie, że były spięte od wielu dni. W tym domu wszystko wyglądało dokładnie tak jak kiedyś - ale to był ich dom, nie jego. Dotąd bywał tutaj tylko gościem.

Obudził się zniecka, czując w powietrzu zapach obiadu. Na stole przed nim stał kubek z herbatą, dawno wystygły. Zerknął na zegarek - przespał co najmniej dwie godziny. Z kuchni dobiegały jakieś odgłosy, poszedł więc tam, żeby pokazać im, że wstał.

Po obiedzie poszedł z Gordonem na długi spacer. Unikali jednak tematu śmierci Melanie. Ich dom stał po stronie Binfield, blisko dawnego pola golfowego. Mimo że było późne lato, obaj musieli włożyć grube kurtki, a wychodząc z domu, pochylili głowy dla osłony przed zimnym porywistym wiatrem. Po niecałej godzinie jednak wypogodziło się - zdjęli kurtki i męczyli się pod palącym słońcem.

Tarent nie odzywał się, myśląc o upałach, które musiał znosić w szpitalu w Anatolii. Nieprzyjemne było to słońce, ale i tak lepsze niż zimny wiatr.

Doszli aż do miejsca, które Gordon określił jako pozorowany

cel, jeden z dziesiątków zbudowanych wokół Londynu podczas II wojny światowej - udawały płonące miasto, żeby wabić bombowce Luftwaffe. Bracknell było wówczas wsią leżącą o trzy mile stąd, więc cel stał na kompletnym odludziu. Niewiele tam było do oglądania - ruiny schronu z zamurowanym wejściem, zarośnięte chaszczami, trochę ledwie widocznych rurek wystających spod ziemi. Gordon powiedział, że interesował się po amatorsku takimi miejscami i opisał mu, do czego służyły. Zdarzało mu się czasami jeździć i szukać innych podobnych - w roku 1940 pobudowano je wokół dużych ośrodków przemysłowych, ale prawie wszystkie od tamtych czasów zniknęły. To tutaj zaliczało się do gorzej zachowanych, na północy ocalało parę w lepszym stanie.

Zawracając do domu, Gordon pokazał mu, gdzie jest szpital, w którym pracował jako chirurg- specjalista. Melanie także przez jakiś czas tam pracowała, zanim jeszcze się poznali. Gordon uraczył go długą opowieścią o operacji, którą przeprowadził parę lat wcześniej. Od samego początku nic się nie udawało i choć zespół robił wszystko, co w jego mocy, był to jeden z tych przypadków, gdy pacjent mimo wszelkich starań po prostu umiera. Pacjentka leżała na stole przez ponad osiem godzin, była młodą i atrakcyjną kobietą, tancerką z baletu na gościnnych występach w okolicy, z pozoru zdrową. Przyszła na drobny zabieg chirurgiczny. Ryzyko komplikacji czy infekcji było niewielkie, żadnego zagrożenia śmiercią. Tego dnia Melanie miała praktykę szkoleniową jako pielęgniarka operacyjna, choć zwykle pracowała na oddziale i była z nim przez cały dzień.

- Kocham ją tak, że aż brak mi słów - powiedział Gordon.

W milczeniu zaczęli schodzić z Tarentem ze wzgórza. Gdy wracali do domu, znów zerwał się zimny wiatr. Opowieść Gordona o tamtej operacji okazała się jedyną tego dnia wzmianką o Melanie.

Nazajutrz Tarent obudził się w pokoju gościnnym, wypoczęty po kilku godzinach głębokiego snu, ale zaniepokojony, że nie wie, ile czasu ma spędzić u państwa Roscoe. Od ewakuacji ze

szpitala w Turcji kontrolę nad jego życiem przejęły władze. Eskortujący go ludzie nigdy nie powiedzieli, skąd są, ale zgodę na wyjazd za granicę wydało Tarentowi BPZ, Biuro Pomocy Zagranicznej, zakładał więc, że ci bezbarwni młodzi mężczyźni i kobiety przerzucający go z kąta w kąt są właśnie z Biura. Oni go tu przywieźli, oni go pewnie stąd zabiorą. Ale kiedy? Dzisiaj? Jutro?

Gordona już nie było w domu, pojechał na wezwanie do szpitala. Tarent wziął prysznic, zszedł na dół, zobaczył Annie, więc zapytał ją, czy to BPZ ich powiadomiło, że go do nich przywiezie – potwierdziła, dodając, że nic nie powiedzieli, kiedy planują go zabrać.

Po śniadaniu zapytał, czując się w obowiązku:

- Chcesz jeszcze porozmawiać o Melanie?

Annie, nie odwracając się do niego, odpowiedziała:

- Sama, nie. Może lepiej wieczorem, gdy Gordon wróci?

Ona również pracowała w branży medycznej – była położną w szpitalu klinicznym, gdzie studiował Gordon.

Resztę poranka spędził w pokoju gościnnym, biorąc się za gigantyczne zadanie przesortowania tysięcy zrobionych na wyjeździe zdjęć. Na razie ograniczył się do kasowania ewidentnie nieudanych i nieostrych. Na szczęście w domu państwa Roscoe był dobry zasięg sieci i bez problemu dostał się do sieciowego laboratorium. Wszystkie trzy aparaty podpiął do ładowania, bo praca przez sieć błyskawicznie zużywała baterie.

Po południu znów trochę się przeszedł, a kiedy wrócił do domu, Gordon już był z powrotem. Usiedli we trójkę przy surowym sosnowym stole w kuchni, w miejscu do rodzinnych posiłków i prostych rozmów. Ta nie miała być prosta.

Gordon powiedział:

- Tylko nie pomijaj żadnych szczegółów. My jesteśmy przyzwyczajeni do szczegółów. Musimy wiedzieć, jak zginęła Melanie.

Tarent zaczął opowieść od niewinnego kłamstwa – że byli z Melanie szczęśliwi. Od razu zrobiło mu się przykro, ale pomyślał,

że to nie wpływa na to, czego chcą się dowiedzieć. Opisał szpital we wschodniej Anatolii, w pobliżu miasteczka, ale mający w zasięgu także cztery czy pięć wsi w górach. Jeden z kilku polowych szpitali, które założyli w Turcji. Z pozostałymi raczej nie mieli kontaktu, chyba że przez przyjeżdżającego mebshera z zaopatrzeniem lub personelem albo helikopter przywożący lekarstwa czy żywność.

Pokazał im niektóre ze zdjęć, jakie wybrał, przeglądając z rana ogromną ich masę. Przeważnie wybierał te, na których była Melanie, choć z powodów, które wołał przed nimi zataić, nie było ich aż tak wiele, jak się być może spodziewali. Za to były tysiące innych, bez Melanie, często powtarzających się, przedstawiających najgorsze ofiary sytuacji w regionie, przeważnie dzieci i kobiety. Dziesiątki pacjentów bez kończyn, ofiar min. Fotografował wychudzone jak szkielety ciała, dzieci z chorymi oczyma, wygłodzone kobiety, trupy mężczyzn. Roscoeowie byli medykami, nie miał więc oporów przed pokazywaniem im wszystkiego, co widział. Najczęściej oglądał rany postrzałowe, obrażenia od wybuchów, odwodnienie, biegunkę, cholera, dur. Zdarzały się i inne okropności, uznane za nieuleczalne, nowe odmiany wirusów, nowe bakterie. Częstokroć pacjent umierał z głodu, zanim rozprawiła się z nim gorsza choroba.

Fotografował też wodę – stojąca woda, choćby odrobina, była czymś niespotykanym. Znajdował wilgoć pod drzewami, parszywe kałuże, paskudne bagna zaśmiecone porzuconymi pojazdami, rdzewiejącymi beczkami po ropie i trupami zwierząt. Jedyna rzeka w okolicy zamieniła się w wyschłe koryto z zaschniętego i popękanego błota, którym czasami płynęła pośrodku strużka brunatnej wody. Wokół niej przez wiele kilometrów sucha ziemia, wiatr i ludzkie zwłoki.

Annie zachwyciła się jednym ze zdjęć – była na nim Melanie, pracująca w klinice, otoczona zdesperowanymi ludźmi czekającymi na swoją kolej. Minę miała spokojną, neutralną, skupioną na pracy. Chłopczyk, którego opatrywała, leżał

bezwładnie, a ona odwijiała mu z głowy długi bandaż. Tarent przypomniał sobie tamtą sytuację – dzień, w którym w porównaniu z rutynowymi okropnościami pracy w szpitalu niewiele złego się działo. Został z Melanie w budynku, bo dostali ostrzeżenie od jednej ze zbrojnych grup. Ludzie z karabinami kręcili się po balkonie, po dziedzińcu, na przemian to grozili personelowi bronią, to błagali o wodę do picia. Co jakiś czas któryś z młodszych i nerwowych puszczał serię w powietrze. Wieczorem pickup przywiózł jakiegoś przywódcę tych bojówkarzy, w powietrze poszły kolejne serie, tym razem dłuższe, na powitanie. To przeppełniło czarę: miał już dość ryzykowania życia dla kolejnych zdjęć, dość tego miejsca, dość nieustannych strzałów i eksplodujących dookoła min.

Annie trzymała w rękach cyfrową ramkę, Gordon patrzył z boku na przeskakujące zdjęcia, a on nie odzywał się ani słowem.

Wieczorem tamtego dnia, kiedy zrobił to zdjęcie, wybuchła między nimi kolejna kłótnia. Okazała się ostatnią. Całe ich wspólne życie zakończyło się w złości. Przypomniał sobie ówczesną frustrację, niekoniecznie z powodu Melanie, ale skupioną na niej, bo akurat była pod ręką. Chciał stamtąd wyjechać, przedostać się jakoś do Anglii. Nie był już w stanie znieść morderczego skwaru, scen rozpacz, zadufanych i nieprzewidywalnych facetów z karabinami, umierających dzieci, gróźb, nieporozumień i przypadkowych bijatyk, posiniaczonych kobiet o połamanych kościach, całkowitego braku wsparcia tureckich władz, o ile jeszcze jakieś istniały. Wszyscy mówili, że centralnej władzy już nie ma, ale organizacje pomocy, które sponsorowały ich pracę tutaj, powinny się orientować, co się dzieje. Nie byłby w stanie wrócić do kraju na własną rękę – musiał czekać na ewakuację kolejnej grupy wolontariuszy, a i nawet wówczas zabraliby go, tylko jeśli Melanie także zdecydowałaby się wrócić. Myślał, że ona nigdy się na to nie zdecyduje. Wszystko zależało od tego, czy z północy kraju przysła im kolejną grupę wolontariuszy. Nic na to nie wskazywało.

Tamtego wieczoru Tarent był przekonany, że będzie tkwił w

szpitalu do końca. W pewnym sensie miał rację, bo to był ich ostatni wieczór razem. Po śmierci Melanie morale wśród pozostałych lekarzy i pracowników pomocy humanitarnej podupadło tak, że zaczęli zamykać szpital, pozostawiając miejscowych na pastwę upału, suszy i bojówkarzy.

Ciała Melanie nigdy nie znaleziono. Pokłócili się i wyszła wściekła na dwór, mówiąc, że chce być sama. Nie odezwał się, nie zatrzymał jej. W kłótniach zawsze ranili się nawzajem, bo pod powierzchowną różnicą zdań wciąż istniała silna więź, miłość i długoterminowe przywiązanie. Tarent chciał uciekać ze szpitala polowego przede wszystkim dlatego, że pragnął zaleczyć ich związek po tej humanitarnej eskapadzie. Wtedy jednak Melanie, doskonale wiedząc, że bezradnie się jej przygląda, naciągnęła na pielęgniarzki kitel kevlarową kamizelkę, zgarnęła karabin, wzięła manierkę z wodą i radio – wszystko zgodnie z regulaminem, choć wychodziła z bezpiecznego szpitala o najgorszej porze dnia. Gdy usłyszeli wybuch, odruchowo się policzyli – i od razu wiedzieli, że jej nie ma. Samego ataku nikt nie widział, jeden z salowych powiedział za to, że na moment przed wybuchem spojrział w tamtym kierunku i zauważył świetlny punkt, gdzieś w powietrzu, powyżej drzew, coś tak jaskrawego, że raziło w oczy. Cała ochrona i część personelu medycznego pojechała opancerzonymi pojazdami zbadać to miejsce. Tarent jechał w pierwszym z nich. Miał silne przeczucie, że to musiała być Melanie, że to koniec wszystkiego. Jednak znaleźli jedynie ogromny trójkąt poczerńiałej ziemi, żadnego ciała – więc z początku nie byli pewni, czy zginęła. Eksplozja pozostawiła tylko ten osobliwie regularny ślad, idealnie regularny równoboczny trójkąt, absurdalny jak na krater. Żadnych innych zniszczeń, żadnej krwi, żadnych ludzkich szczątków.

Pod koniec następnego dnia Tarent i pozostali byli już pewni, że ona nie żyje. Nawet gdyby jakimś cudem przeżyła wybuch, tak silny, że zmiotł wszystko wokół z powierzchni ziemi, musiałaby być ciężko ranna. Bez pomocy medycznej, bez wody, bez ochrony przed upałem nie przetrwałaby. Niemożliwe.

## 2

Ludzie z BPZ przyjechali po niego następnego dnia rano – zadzwonili trzydzieści minut wcześniej, żeby go uprzedzić, że ma być gotowy, i dotarli dokładnie o umówionej porze. Tarent zobaczył podjeżdżające pod dom auto z okna na piętrze, kiedy starannie pakował swój sprzęt fotograficzny.

Pożegnanie z Gordonem i Annie odbyło się w nieco zbyt dużym pośpiechu. Gordon uściśnął mu dłoń, potem jednak wyprostował się i objął go. Annie ścisnęła go mocno i się popłakała.

– Tak mi źle po stracie Melanie – dodał na koniec, znów nie mając pojęcia, czy ma mówić to, co trzeba, czy prawdę. Wybrał prawdę. – Wciąż bardzo się kochaliśmy. Po tylu latach.

– Wiem, Tibor, wiem, wierzę ci – powiedziała łagodnie Annie. – Melanie też zawsze tak mówiła.

Tarent wszedł do samochodu. Tym razem jego opiekunami byli mężczyzna i kobieta, on miał na sobie szary, oficjalny garnitur, ona – burkę. Kierowała jeszcze jedna kobieta, oddzielona od reszty auta szybą. Aktówka leżąca na półeczce za siedzeniem pasażera miała logo BPZ i była to jedyna sugestia co do tożsamości tych ludzi.

Podczas jazdy nikt z agentów nie odezwał się do niego choćby jednym nieoficjalnym słowem, a kobieta w ogóle się nie odzywała. Przez większość czasu siedziała twarzą do niego, obserwując go dyskretnie spod woalki. Zaraz po odjeździe spod domu państwa Roscoe młody facet przekazał mu, jakie ma polecenia.

Powiedział, że zabierają go do Londynu, gdzie jest mieszkanie, w którym będzie mógł przenocować. Dał mu klucz, wyjaśniając, że odda go dzień później, gdy będą go zabierać. Następnie mają

go zawieźć do biura odpraw w Lincolnshire, gdzie złoży szczegółowy raport ze swojego pobytu w Turcji. Co oznacza, że między innymi przekaże oryginalne pliki wszystkich zdjęć, które zrobił. Tarent zjeżył się, bo miał umowę freelancerską z tą agencją informacyjną co zawsze, lecz obcesowo przypomniano mu umowę, która pozwoliła mu wyjechać z żoną na misję. Będzie mógł zachować prawa autorskie do zdjęć, ale wskażą mu te, których nie wolno będzie publikować. I nie podlega to żadnej dyskusji.

Potem agent zorientował się, że Tarent nie ma smartfona, więc dał mu nowy. W schowku z tyłu transportera było jeszcze kilka identycznych aparatów. Zapoznał się z podstawowymi funkcjami telefonu i wpatrzył w przydymione okno limuzyny, niewyraźny, zamazany widok na Dolinę Tamizy. Gdy nie było go w kraju, w Anglii zdarzały się burze – Gordon i Annie opowiedzieli mu o jednej, wyjątkowo gwałtownej, sprzed tygodnia, która powaliła tysiące drzew na południu i wschodzie. Nazywało się to „burza strefy umiarkowanej”, nowe zjawisko meteorologiczne, spowodowane przez układ niskiego ciśnienia. Wizyta u rodziców Melanie wydawała mu się teraz odosobnioną migawką z własnego życia – właściwie dwiema migawkami. Pierwsza, z dawnej przeszłości, z pierwszych lat małżeństwa, konwencjonalnych wizyt u teściów, spędzania czasu z dawnymi przyjaciółmi Melanie i koleżankami ze studiów pielęgniarskich. To oczywiście dawno przepadło. I potem – to krótkotrwałe niedawne wspomnienie: nocleg w domu państwa Roscoe, opowiadanie o ostatnich dniach w szpitalu, o śmierci Melanie i raptownym powrocie do IRWB. Między tymi dwoma punktami w czasie tak wiele się wydarzyło. Gordon i Annie znali tylko ułamek jego życia, a o reszcie prawie nie mieli pojęcia.

Jechali bardzo powoli, parę razy musieli czasochłannie objeżdżać bokiem zamknięte odcinki dróg. Zatrzymali się dwa razy. Raz agent zarządził przerwę na toaletę na stacji benzynowej. Wszędzie były uzbrojone policyjne patrole. Tarent chciał kupić sobie coś do jedzenia i picia, bo od skromnego



śniadania w domu nie jadł nic, powiedziano mu jednak, że nie ma czasu. Nie miał żadnych własnych pieniędzy. Milcząca kobieta dała mu parę monet – poszedł do kiosku i zdążył kupić butelkę wody i coś zapakowanego w folię z orzechami w środku. Drugi postój, długi, nastąpił przed anonimowym budynkiem, przypominającym biurowiec, ale pozbawionym jakichkolwiek szyldów. Kobieta w burce wysiadła, zastąpił ją mężczyzna, starszy od reszty, z wyglądu i zachowania wyższy rangą. Obaj usiedli tyłem do Tarenta, jeden zaczął pracować na laptopie, drugi powoli czytał wielki plik papierów.

Po mniej więcej trzech godzinach, gdy Tarent był już pewien, że zbliżają się do Londynu, starszy facet zaczął gdzieś dzwonić. Mówił po arabsku. Tarent nie znał ani nie rozumiał tego języka, choć kilka razy wychwycił swoje nazwisko. Dotarło do niego, że młodszy go obserwuje, pewnie się zastanawia, czy Tarent rozumie, o czym mówią.

Jechali przez coraz gęściej zabudowany obszar, zbliżali się do stolicy. Młodszy z agentów nachylił się do okienka kierowcy, coś jej po cichu powiedział i zaraz szyby ściemniły się jeszcze bardziej, prawie całkowicie uniemożliwiając zobaczenie czegokolwiek na zewnątrz. Zapaliły się też dwie lampki sufitowe, dopełniając izolacji.

- Czemu pan to zrobił? - zapytał.

- Nie ma pan wystarczająco wysokich uprawnień.

- Jakich uprawnień? To jakaś tajemnica, co się tam dzieje?

- Żadna tajemnica. Pana status uprawnia pana do swobodnego poruszania się w ramach obowiązków dyplomatycznych, a bezpieczeństwo narodowe to sprawa wewnętrzna.

- Ale ja jestem obywatelem brytyjskim.

- Oczywiście.

Auto jechało teraz o wiele wolniej. Nawierzchnia była nierówna, parę razy gwałtownie podskoczyli. Tarent widział w nieprzejrzystej szybie własne odbicie, kiwające się w rytm ruchów pojazdu.

- Gdzie teraz jesteśmy? - zapytał. - Może mi pan powiedzieć? I

dokąd jedziemy?

- Oczywiście, proszę pana. - Starszy z dwóch agentów zerknął na ekranik małego elektronicznego urządzenia. - Jesteśmy w zachodnim Londynie, dopiero co przejechaliśmy przez Acton. Chcemy pana zawieźć do mieszkania na Canonbury, koło Islington, ale musimy pojechać trochę objazdem. Potem już będzie prosto. Nie mamy dużo czasu, uprzedzono nas, że pod koniec dnia do południowo-wschodniej Anglii dotrze kolejna burza.

W tym momencie zadzwonił jego telefon. Natarczywy, wysoki pisk. Odebrał, mruknął na znak, że rozumie, potem znów powiedział coś po arabsku. Z aparatem przy uchu kiwnął drugiemu mężczyźnie, który z kolei postukał w szybę oddzielającą kierowcę. Światło w kabinie zgasło, przyciemnione szyby rozjaśniły się. Obaj wpatrzyli się w swoje okna.

Tarent spojrział w szybę po swojej stronie. Przez parę sekund widział krajobraz na zewnątrz, szerniałą, kompletnie pustą równinę, rozciągającą się jak okiem sięgnąć. Nie było tam nic - wszystko zrównane z ziemią, zniszczone, zanihilowane. Gdyby nie to, że dobrze było widać niebo i niskie słońce, mógłby pomyśleć, że szyba nadal jest zaciemniona.

Już coś takiego widział, tylko w o wiele mniejszej skali. Dokładnie tak wyglądało miejsce, gdzie zginęła Melanie.

Tarent odwrócił się do pozostałych ludzi, szukając wyjaśnienia, oni jednak polecili z powrotem zaciemnić okna. Mignęło mu jeszcze niebo po ich stronie auta - intensywnie, złowrogo fioletowe. Po tamtej stronie wszystko było w cieniu, po jego stronie obraz zniszczenia był skąpany w jasnym blasku słońca.

Szyba ściemniała z powrotem, odcinając mu widok.

### 3

Gdy samochód zatrzymał się przed blokiem mieszkalnym na Canonbury Road, z nisko wiszących chmur lał ulewny deszcz. Wielka limuzyna kołysała się od uderzeń wiatru. Dwaj mężczyźni odprowadzili go do wejścia, ale do budynku nie weszli. Tarent zatrzymał się, odwrócił i patrzył, jak biegną w pośpiechu do samochodu, przecinając rozfalowane strugi wody.

Blok był stary, za to mieszkanie zostało niedawno wyremontowane. Zapalił światło i odkrył czyste, przyjemne lokum, ze wszystkimi nowoczesnymi wygodami. Położył torby na podłodze, ciesząc się, że wreszcie przez parę godzin będzie sam. Opadł w fotel i wziął pilota od telewizora.

Światowa Organizacja Meteorologiczna nadała burzy kryptonim BSU Edward Elgar – dowiedział się tego, włączwszy telewizor. Choć pierwsze pasma niskich chmur dotarły już do Londynu i Anglii południowo-wschodniej, burza miała uderzyć z pełną siłą dopiero wczesnym rankiem. W szczycie miała osiągnąć III lub IV poziom. Bez końca powtarzano ostrzeżenia, aby znaleźć sobie odpowiednie schronienie i nie wychodzić na dwór. Zapowiadano wiatr o sile huraganu, prawie pewne były powodzie i zniszczenia budynków. Aby jeszcze to podkreślić, stacja puściła nagrania z poprzedniej burzy, BSU Danielle Darieux, która osiągnęła poziom IV.

Zaczęła się w Irlandii, przeszła nad Walię, a później przez Lincolnshire nad Morze Północne. W końcu rozproszyła się nad chłodniejszymi i płytszymi wodami Norwegii. Śnieżyce odcięły od świata norweską miejscowość Orsknes. Był wtedy początek września.

Zajrzał do kuchni: lodówka działała, ale w środku nie było właściwie nic – butelka skwaśniałego mleka, pudełko margaryny

do smarowania, trzy jajka i niedojedzona tabliczka czekolady. Był głodny. Podeszedł do okna w salonie, wychodzącego na Canonbury Road, i stwierdził, że przestało padać. Postanowił wyjść i poszukać czynnej restauracji albo chociaż sklepu spożywczego, gdzie będzie coś, co pozwoli mu przeżyć wieczór. Ale gdy tylko znalazł się na ulicy, stwierdził, że prawie wszystko jest zamknięte. Większość budynków – ciemna albo z zasuniętymi roletami. Jedyne restauracja, jaką znalazł, była zamknięta, dwie ulice dalej wciąż działał mały spożywczak, ale trzech ludzi już w pośpiechu zabijało okna deskami. Wziął sobie gotowy posiłek do podgrzania, sprzedawca ostrzegł go jednak, że pewnie będą przerwy w dostawie prądu. Myśląc, że zostanie w mieszkaniu tylko na jedną noc, kupił więc dwie bułki z nadzieją, jakąś wędlinę z kurczaka i kilka pomarańczy. W ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie ma gotówki – na szczęście dało się zapłacić kartą.

Gdy wychodził ze sklepu, padł prąd.

Wrócił do mieszkania. Było ciemno, nie działała ani lodówka, ani kuchenka. Prądu nie było przez większość jego pobytu w mieszkaniu, a spędził tam nie jedną noc, ale ponad dwa dni. Nawet gdyby chciał, nie było jak stamtąd wyjść. Burza, zgodnie z prognozą, uderzyła z pełną siłą podczas pierwszej nocy, około wpół do trzeciej. Stary budynek był solidny i nawałnica, ulewa i lecący gruz prawie go nie uszkodziły, Tarent za to był głodny i zmarznięty. Z jednej z kuchennych szafek wygrzebał dwie puszki z jedzeniem (mieszana sałatka owocowa oraz chili con carne, marki własnej jednego z supermarketów) i dawkował je sobie, aby wystarczyło na jak najdłużej. Bez prądu był pozbawiony radia i telewizji, nie działała też cyfrowa sieć, z której korzystał przed wyjazdem do Anatolii. Drugiego dnia wyczerpała się bateria w nowym smartfonie i nie miał czym jej naładować.

Wypuszczenie się na zewnątrz nie wchodziło w grę. Wiele godzin przesiedział przy oknie, patrząc na Canonbury Road, z lękiem obserwując wiejące ulicą gwałtowne szkwały, niosące wodę i śmieci, blokujące drogę betonowe zapory i rozpryskujące

się kaskadami wody na ścianach starych budynków. Mały biurowiec dokładnie naprzeciwko niego uległ zniszczeniu już pierwszej nocy. Wichry rozniosły cały gruz i całą zawartość wnętrza. Ulicą bez ustanku leciały, wirując, arkusze blachy, kable, kawałki karoserii samochodowych, znaki drogowe, gałęzie, dodając łomot do kakofonicznego wycia huraganu. Obraz zniszczeń budził lęk, ale naprawdę przerażający był ryk wiatru. Zdawało się, że nigdy nie ustaje, nigdy się nie zmienia, chyba że, choć to było raczej niemożliwe, na gorsze. Tarent chyba nigdy nie czuł się tak samotny i bezbronny, jak przez te dwa dni i noce. Wyobrażał sobie, że nie jest w gorszej sytuacji niż inni ludzie – to stanowiło pewną pociechę. Mimo wszystko żywił nic mu nie zrobił, był suchy i bezpieczny – podejrzewał, że nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Budynek pozostawał cały, burza nie powybiła w nim okien, przynajmniej nie w jego mieszkaniu, znajdował się też na tyle wysoko, by nie obawiać się podtopienia.

Drugiej nocy udało mu się na parę godzin zasnąć, a gdy się obudził o świcie, stwierdził, że jakimś cudem powrócił prąd. Telefon się ładował – zostawił podłączony, na wypadek, gdyby faktycznie naprawiono światło. Wyjął z lodówki wszystkie niedojedzone produkty i wyrzucił je do śmieci. Potem zadzwonił pod podany mu numer i podał odpowiednie hasło.

Powiedziano mu, że przez północny Londyn akurat przejeżdża mebsher. Zaraz ustalono, że zboczy na Islington, by go zabrać. Znali jego pozycję. Pozostało mu tylko czekać na kodową wiadomość na telefonie, oznaczającą, że na ulicy czeka transporter opancerzony.

Podłączył ładowarkę z powrotem do gniazdka. Wiadomość przyszła po niecałych trzech godzinach. Zszedł na dół, mebsher już czekał. Woda cofała się, choć i tak sięgała dobrze powyżej osi ogromnych kół. Tarent wszedł w nią i podszedł do rozkładanych schodków. Z ociekającymi wodą butami i spodniami wgramolił się na górę i zajął miejsce.

Mebsher był pierwotnie zaprojektowany dla wojska, do transportu żołnierzy i sprzętu przez wrogie terytorium, w pojeździe, który jest w stanie wytrzymać większość form ataku, w tym ostrzał z granatnika i ajdiki. W miarę jak sytuacja na świecie pogarszała się, zaczęły z nich korzystać także organizacje pomocy humanitarnej i agendy rządowe. Powstały więc warianty cywilne.

Tarent stykał się już z mebsherami, bo w takich miejscach jak nękana suszą Wschodnia Anatolia, gdzie na każdym wzgórzu czaiły się rebelianckie bojówki, taki pojazd był wręcz niezbędny. Wnętrze miało surowe, wszystkie metalowe powierzchnie pomalowane na szaro albo wcale. Widoczność na zewnątrz – ograniczona, przez parę tylko wąskich szczelin wypełnionych grubym hartowanym szkłem. Zawsze odrobinę różniły się ustawieniem i liczbą siedzeń, a wyposażenie wnętrza zawsze mieściło się na skali od szczątkowego do zepsutego i niedziałającego.

Zajął miejsce właśnie przy takim maleńkim okienku. Gramoląc się, przeprosił trójkę już siedzących w środku ludzi, przeciskając się przez wąskie drzwiczki z torbą podrózną i drugą, ze sprzętem. Z nogawek lała mu się woda, zbierająca się w kałużę. Pozostali pasażerowie ledwo co go zauważyli. Gdy tylko usiadł, mebsher ruszył. Wiercił się jeszcze przez chwilę, upychając torbę na półce za sobą, futerały z aparatami pod nogami i próbując znaleźć sobie coś miękkiego do podparcia – nic takiego nie było, wyciągnął więc z torby ręcznik i zwinął go, tworząc podglówek. Oparł głowę o metalową ścianę, zamknął oczy i próbował się rozluźnić. Transporter cały czas podrygiwał i szarpał, choć nie nazbyt gwałtownie – mebsherzy były

przystosowane do trudnego terenu. Niewygodą się nie przejął, chciał po prostu dotrzeć wreszcie tam, gdzie powinien być, a po drodze o niczym nie myśleć i nic nie robić. Przemoczone buty i spodnie stopniowo zaczęły wysychać.

W kabinie było jak zwykle głośno. Wielki turbinowy silnik teoretycznie powinien być wygłuszony, jednak zawsze było słychać jego wysokie wycie. Włączony był interkom, łączący przedział pasażerski z niewidoczną dla pasażerów kabiną kierowców. Słychać było ich rozmowę. Mówili z akcentem z Glasgow. Od czasu do czasu odzywało się radio, skrzecząc i szumiąc.

Tarent pozwolił sobie na jakąś godzinę drzemki, choć porządnie spać się tu nie dało. Długo odpytywał w sen, cały czas będąc świadomy otoczenia. Otworzywszy oczy, przyjrzał się pozostałym pasażerom, właściwie pierwszy raz. Dwóch mężczyzn i kobieta.

Jeden z mężczyzn siedział sam w pierwszym rzędzie, z wpiętym do gniazdka laptopem i papierami porozkładanymi na pozostałych siedzeniach. Miał krótkie siwe włosy, pod ubraniem wydawał się mocno umięśniony. Do szczęki miał jakiś przymocowany mikrofon i coś do niego mamrotał, czytając dane z ekranu komputera, trzymanego pod kątem, żeby nikt go nie podejrzwał. Korzystał ze specjalnego języka, ułatwiającego rozpoznawanie mowy przez oprogramowanie – nie był to angielski ani żaden europejski język, lecz coś jakby maszynowy slang, przypominający języki programowania. Drugi facet i kobieta chyba jechali razem – siedzieli obok siebie w rzędzie przed nim. Co jakiś czas odzywali się po cichu do siebie. W pewnym momencie, gdy Tarent ich obserwował, mężczyzna odsunął się od kobiety, naciągnął na oczy czarną maskę i wcisnął do uszu słuchawki. Głowa mu opadła, rozluźnił się na siedzeniu, podrygując w rytm wstrząsów mebshera.

Tarent patrzył teraz na kobietę. Jeszcze nie widział jej twarzy, na wpół osłoniętej przez chustę czy szal – ustępstwo czynione przez wiele zachodnich kobiet na rzecz muzułmańskiego

obyczaju, choć oficjalnie nie był to hidżab. Ani razu na niego nie spojrzała, żadnym gestem nie zdradziła, że w ogóle wie o jego obecności, ale uświadomił sobie, że jest wyczulona na jego obecność tak samo jak on na nią. Włosy, sięgające do ramion, częściowo wystające spod chusty, skojarzyły mu się z Melanie.

Jak było do przewidzenia, zaczął znów myśleć o Melanie, przypominać sobie, co go w niej urzekło na samym początku. Włosy, proste, cienkie, niezbyt długie, pięknie obramowujące twarz. Spodobał mu się po prostu jej wygląd i tamtego popołudnia w Bracknell, po skończeniu zdjęć, wdał się z nią w rozmowę. Właśnie wtedy odkryli coś, dzięki czemu zadzierzgnęła się pierwsza, powierzchowna więź – oboje byli na wprost cudzoziemcami.

Tibor Tarent – ojciec Amerykanin, matka Węgierka, urodzony i wychowany w Anglii, czujący się Brytyjczykiem, ale ciągle z tym zdradziecko europejskim imieniem, a dzięki ojcu mówiący z nieusuwalnym akcentem z amerykańskiego Wschodniego Wybrzeża. Rodowód Melanie wiązał ją z jeszcze odleglejszymi kulturami. Jej dziadek przyjechał do Wielkiej Brytanii z Polski, zaraz po II wojnie światowej, ożenił się z Brytyjką i zmienił nazwisko z Roszko na Roscoe. Jego syn Gordon wychował się w kompletnej niewiedzy o swoim pochodzeniu, odkrył je dopiero w rodzinnych papierach po śmierci ojca. Melanie jeszcze słabiej sobie je uświadamiała, uważała za coś zabawnego i nieistotnego, właściwie póki się nie poznali, zupełnie się nad nim nie zastanawiała. On zaś od razu odkrył, że niektórzy jej koledzy i koleżanki mówią do niej zdrobnieniem „Malina” lub „Mailey”. Melanie wyjaśniła, że „Malina” to polskie imię i co ono oznacza, przy czym, w zgodzie z angielskim znaczeniem słowa, wydała ustami odgłos pierdzenia. Pobrali się już po paru miesiącach od poznania.

Tarent był mniej pogodzony ze swoim pochodzeniem. Czuł się przez nie kimś innym, outsiderem. Miał taką świadomość przez całe dzieciństwo, pogorszyło się to jeszcze, gdy ojciec zginął w Afganistanie, w okolicznościach, których nawet Departament



Stanu, gdzie pracował, nigdy nie wyjaśnił. Tibor był wówczas mały, miał zaledwie sześć lat. Bomba - pułapka, ukryta pod nawierzchnią drogi, która zniszczyła jego opancerzonego jeepa, była na swój sposób zrozumiała, przez podobieństwo do masy identycznych zamachów. Ale dlaczego ojciec narażał głowę na tamtejszych wzgórzach, tego nigdy nie ustalono, a przynajmniej jego rodzina nigdy się o tym nie dowiedziała. Działy tam siły inne niż dyplomacja i to one kazały mu znaleźć się na górskiej drodze, w niewłaściwym miejscu i czasie.

Matka Tibora, Lucia, również pracująca w dyplomacji, potem już nie ruszyła się z Wielkiej Brytanii. Była attaché kulturalnym w Ambasadzie Węgier w Londynie, więc nigdy nie narażała się tak jak mąż, mimo to parę lat później także zmarła. Na raka piersi, akurat kiedy Tibor kończył studia.

To poczucie obcości prawie zanikło, gdy razem z Melanie zaczęli wieść mniej czy bardziej konwencjonalne życie małżeńskie. Dzieci się nie pojawiły. Ona pracowała w szpitalu w Londynie, a jego, fotografa- freelancera, często nie było w domu, przez tydzień albo dłużej. Po dziesięciu latach w Londynie Melanie stwierdziła, że ma już dosyć szpitalnej rutyny. Zapisła się do Lekarzy Bez Granic, uwielbiała tę pracę, choć też musiała przez nią wyjeżdżać, czasami na wiele tygodni. Małżeństwo zaczęło się sypać. Wspólny wyjazd do Wschodniej Anatolii, nie z Lekarzami, lecz z nową organizacją pomocową założoną przez brytyjskie władze, był ostatnią, desperacką i obustronną próbą scementowania związku na nowo.

Tarent zajął w hartowaną szybkę po swojej stronie. Kiedy spał, mebsher przejechał sporą odległość, widać było pola, żywopłot obok drogi i trawiasty teren za nim. Pole widzenia miał jednak ograniczone: równie dobrze mógł to być miejski park. Widać było dwa drzewa. Jedno stało mocno pochylone, splątane gałęziami z drugim. Żadne nie miało zbyt wielu liści.

Tarent przycisnął oczy do szybki i spróbował rozejrzeć się jak najdokładniej. Im dłużej patrzył, tym więcej dostrzegał szkód po burzy. W miejscu, gdzie burza przeszła nad nieosłoniętym

polem, widać było gołą ziemię i podłoże, co ponuro przypomniawszy mu spalony i jałowy krajobraz Anatolii. Mebsher momentami mijał domy czy większe budowle. Większość z nich także uciekała. Mijali ekipy ratownicze mocujące się z pniami i konarami przewróconych drzew albo z kawałkami muru, które wbiły się w jezdnię. Mebsher zwalniał wtedy i podskakiwał na przeszkodach. W wielu miejscach było widać podtopienia, już wysychające, za to błoto było po prostu wszędzie. Smród ścieków przebił się nawet przez filtry klimatyzatora mebshera.

Sięgnął do jednego z ochronnych futerałów, które miał na podłodze pod stopami, i zręcznie wyciągnął canona. Spróbował wycelować go przez zniekształcające szkło, zogniskować się na czymś. Aparat leżał mu w dłoni tak naturalnie, jak dopasowana do niej cienka rękawiczka. Zrobił parę zdjęć, ale już pstrykając wirtualną migawką, wiedział, że nic z nich nie będzie. Za silne drgania w kabinie, zbyt wiele szkod w grubym szkłe.

Opuszczając aparat, zobaczył, że siedząca na fotelu przed nim kobieta odwróciła głowę, żeby zobaczyć, co robi. Pierwszy raz miał okazję dostrzec jej twarz. Nic a nic nie przypominała Melanie.

- Straszne szkody po tej burzy - powiedział bez sensu.

- Ma pan pozwolenie na ten aparat?

- To moja praca.

- Pytałam, czy ma pan pozwolenie na noszenie aparatu. -  
Minę miała baczna, nadgorliwą wręcz.

- Oczywiście. - Odwrócił aparat tylną stroną do niej. Tam był wygrawerowany numer licencji LIN. Zachodził w głowę, po czym poznała, że robi zdjęcia - aparat był bezgłośny, a ona siedziała tyłem. - Jestem zawodowym fotografem. Mam przy sobie trzy aparaty i trzy licencje.

- Powiedziano nam, że jest pan członkiem korpusu dyplomatycznego, akredytowanym przy BPZ.

- Podróżuję na paszporcie dyplomatycznym. Właśnie wróciłem z zagranicy.

Pokrótce wyjaśnił jej, co zrobiło BPZ, aby mógł pojechać z

Melanie. Personelowi niemedycznemu nie wolno było wyjeżdżać za granicę, nawet za małżonkiem. Im jednak potrzebne były umiejętności i doświadczenie Melanie, więc kiedy dała do zrozumienia, że jeśli nie może zabrać Tarenta, wybierze inne miejsce, ustąpili. Rozwiązaniem był tymczasowy paszport, ku cichemu zadowoleniu Tarenta otwierający prawie wszystkie drzwi, które potrzebował otwierać. Również jego szybki powrót do IRWB nie byłby możliwy, gdyby nie paszport i status, jaki mu zapewniał.

- Jeśli nie jest pan dyplomatą, powinien pan go oddać - powiedziała kobieta.

- Dalej podróżuję w sprawach państwowych.

- Do tego nie potrzeba paszportu. Mogę go zaraz elektronicznie unieważnić.

- Proszę tego nie robić. Może będę potrzebował znowu wyjechać. Moja żona zginęła, ale ciała nigdy nie odnaleziono. Może się zdarzyć, że będę musiał ją zidentyfikować.

- To ta kobieta, która zginęła w Turcji? Siostra Tarent?

- Tak. Skąd pani wie?

- Słyszeliśmy. Była funkcjonariuszką państwową. - I znów odwróciła się od niego.

Zmroziło go to jej wścibstwo, zdenerwowało wtrącanie w jego sprawy, choć wreszcie był w stanie się jej przyjrzeć. Miała mocne rysy twarzy, i całkiem atrakcyjne - wydatna broda, szerokie czoło, ciemne oczy. Nie podobał mu się mars na twarzy, brak poczucia humoru, za to poczucie władzy nad nim. Pomyślał, że może jest z policji, ale prawo nakazywało każdemu policjantowi przedstawiać się jako policjant każdej osobie prywatnej. A może jego obecność w rządowym mebsherze oznacza, że chwilowo nie zalicza się do osób prywatnych? A może ona nie jest z policji.

Trzymał najmniejszy z aparatów w ręce, otulając go palcami. Powolna jazda trwała dalej. Parę minut później któryś z kierowców puścił do przedziału pasażerskiego wiadomości BBC, które jednak w ogóle nie wspomniały o burzy i jej skutkach.

Większość czasu poświęcały spotkaniu głów państw emirackich, które ma się odbyć niedługo w Toronto. Tarent stracił zainteresowanie i dalej starał się dostrzec cokolwiek przez małe okienko. Wreszcie, skończywszy z polityką, wiadomości zajęły się burzą.

Brzmiało to bardzo źle. Kilka południowych hrabstw ucierpiało od powodzi i podtopień, większość wody jednak już zeszła. Szczególnie dotyczyło to miejscowości położonych nad Kanałem. Najgorsza sytuacja była w hrabstwie Essex. Rzeki przelały się przez wały, odcinając od świata miasteczka i wsie, niszcząc linie energetyczne i zalewając podstacje. Wiele turbin wiatrowych zniszczonych lub wyłączonych z użytku. Także elektrownie pływowe w archipelagu Essex nie działały albo pracowały ze zmniejszoną mocą. Tarent przypomniał sobie kraj, z którego dopiero co wyjechał, niemal całkowicie pozbawiony słodkiej wody, wyobraził sobie ulice miast IRWB zamienione w kanały, z tą ciszą, jaka zawsze następuje po powodzi, powolnym bulgotem ustępującej wody, wszechobecnym smrodem błota, ścieków, zgnilizny.

A teraz, ponad tym wszystkim, czyste, bezchmurne, jasnyniebieskie niebo. Ostatnie spiralne niedobitki układu burzowego przetoczyły się nad Morze Północne i huragan zrodzony na ciepłych wodach wokół Azorów zniknął. Oficjalnie IRWB nie była narażona na żadne huragany, znajdowała się za daleko na północ i na wschód, dlatego nazywało się je Burzami Strefy Umiarkowanej. Wiadomości powiedziały, że Edward Figar przeszedł łagodniej, niż się obawiano, ale mimo to wyrządził poważne szkody.

Kolejna burza, BSU Federico Fellini, już szła przez Zatokę Biskajską, zbierając siły do ataku, lecz jeszcze nie było wiadomo, z jaką mocą uderzy na Wielką Brytanię ani którądy dokładnie przejdzie. Radio pstryknęło i ucichło, dając jeszcze po uszach głośnym szumem.

Tarent, coraz bardziej znudzony, zaczął się rozglądać po kabinie. Większość podróży do Turcji spędził w takich właśnie

pojazdach - zabrano ich z Paryża, do Włoch jechali mebsherem, tam przesiedli się na pociąg do Triestu i znów powolnym mebsherem przez Bałkany. Zamknięcie w transporterze zawsze męczyło tak samo. Człowiek czuł się bezpiecznie pod grubym pancierzem, choć był bardziej narażony - sam widok jadącego powoli opancerzonego transportera stanowił nieodpartą pokusę dla wielu rebeliantów. Gdy jechali przez Serbię, dwóch młodziaków strzeliło w nich z granatników. Jeden spudłował, drugi trafił w pancerną burtę. Huk było ogłuszający, jeszcze teraz dzwoniło mu po nim w uszach, natomiast mebsher nie doznał żadnych poważniejszych uszkodzeń, a jedynymi obrażeniami wśród pasażerów, którymi byli on, Melanie i jeszcze dwóch lekarzy, okazały się skaleczenia i siniaki. Nic wielkiego. Potem już wszystkim odechciało się narzekać na ciasnotę, duchotę, hałas, monotonne jedzenie. Jechali w nerwowym milczeniu, obawiając się kolejnego ataku.

Dobrze, że chociaż w Wielkiej Brytanii gangi, nadal kontrolujące część peryferyjnych terenów, były uzbrojone przeważnie tylko w broń automatyczną, nie w granatniki. I temperatura w środku podczas tutejszego lata była do wytrzymania. W gorętszym klimacie było inaczej - metalowy pancierz tak grzał się od słońca, że wszelkie próby chłodzenia wnętrza nie dawały sobie z tym rady. W drugim ekstremum było równie kiepsko - jeszcze trzy tygodnie i ogrzewanie starych transporterów ledwie będzie sobie radzić z pierwszymi mocniejszymi mrozami. Wrzesień w południowej Anglii będzie problemem, ten łącznik pomiędzy letnimi i zimowymi zawieruchami, granica dwóch różnych zagrożeń klimatycznych.

Dojechali w końcu do Bedford, odgradzonego kordonem miasta, gdzie mieściła się delegatura rządu, ZOR, na wypadek ogólnokrajowego kryzysu. Tarent z zaciekawieniem patrzył przez zniekształcające widok okienko, zastanawiając się, jak zmieniło się to miasto po takim awansie, lecz wszystko wyglądało tak samo jak parę lat temu. Oddalili się już znacznie od terenów dotkniętych przez burzę i na budynkach nie było widać żadnych

uszkodzeń.

Tarent i reszta pasażerów przenocowali w hostelu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w budowlu, która w większości znajdowała się pod ziemią. Była blisko dworca kolejowego, który, jak się zdaje, wciąż działał. Zresztą prawie nie zobaczyli miasta, przeszli tylko z mebshera do budynku przez chłodne wieczorne powietrze.

Z ulgą stwierdził, że dostał pokój jednoosobowy - nie miał ochoty mieszkać z kimś obcym. Paszport dyplomatyczny znów okazał się bezcenny. Trochę go zaniepokoiło, kiedy kobieta powiedziała, że może go zdalnie unieważnić, ale na razie bez problemu przechodził przez wszystkie czytniki i skanery.

Pokój w hostelu okazał się taką większą celą - był parę pięter w dół, a zatem głęboko pod ziemią. Mimo to wentylacja działała jak należy, a w środku było czysto i schludnie. W korytarzu śmierdziało zepsutym jedzeniem, farbą, rdzą i wilgocią. Udało mu się namierzyć stołówkę - była na tym samym piętrze. Zjadł solidny posiłek, poprawił owocami na deser i wrócił do pokoju z kartonem zimnego świeżego mleka. Poszedł wcześniej do łóżka, ale spał źle. Przez całą noc słychać było hałasy - trzaskające drzwi, niosące się korytarzem głosy. Przez cały czas buczał wentylator, a nad ranem ktoś powoli przejechał odkurzaczem przez cały korytarz. Pobudka była o siódmej.

Pierwszy zajął miejsce w mebsherze. Reszta, wsiadając, prawie na niego nie spojrzała; kiwnęli mu tylko zdawkowo głowami. Ostatnia wsiadła kobieta. Gdy gramoliła się do środka przez wąskie grubościennie drzwiczki, zahaczyła o coś torbą, którą miała na ramieniu. Szamocąc się z nią, zerknęła mu na moment w oczy, ale uwolniwszy bagaż, natychmiast bez słowa odwróciła wzrok.

- Dzień dobry - powiedział Tarent, gdy siadała przed nim, lecz nie odpowiedziała.

Rozpięła torbę, jakby chcąc sprawdzić, czy nic z niej nie zgubiła.

Zaraz ruszyli w dalszą drogę. Gdy mebsher powoli wyjeżdżał z centrum miasteczka, przez interkom odezwał się jeden z kierowców. Formułki powitalne - pokój niech będzie z wami, Allah jest wszechmogący, witamy na pokładzie, proszę zapiąć pasy, w lodówce jest jedzenie, ale na pokładzie zabroniony jest alkohol, w sytuacjach awaryjnych bezwzględnie wykonywać wszystkie polecenia załogi. Inszallah. Za niecałą godzinę będzie postój na zatankowanie. Dodał, że w trakcie podróży, na prośbę pasażerów, można zorganizować przerwy na modlitwę, które są nie tylko dozwolone, ale wręcz zalecane. Prośbę należy zgłosić z minimum godzinnym wyprzedzeniem, by była możliwość dojechania mebsherem do najbliższego meczetu albo na odpowiednio bezpieczne miejsce postoju.

Tarent dzień przedtem poznał obu członków załogi. Młodzi ludzie wyglądali na wyszkolonych i energicznych podoficerów. Byli ze szkockiego królewskiego batalionu piechoty, Czarnej Straży - uprzejmi, bystrzy i chętnie dopasowujący się do potrzeb pasażerów podczas długiej i uciążliwej podróży.

Z miasteczka pojechali na północ, prosto w płaskie równiny Cambridgeshire. Tarent starał się rozglądać, na ile pozwalało wąskie okienko. Po dwóch godzinach wjechali do bazy, aby podładować baterie i nabrać biopaliwa. Siedząca przed nim kobieta wstała i zeszła do maleńkiej kuchenki pod kabiną pasażerską. Przyniosła dwa styropianowe kubki z kawą, dla siebie i mężczyzny, z którym jechała. Nie spojrzała w stronę Tarenta.

On zaś, wyczuwając porę lunchu, podobnie jak inni pasażerowie raczej niechętny do gramolenia się po stromej drabince w trakcie jazdy, zszedł zawczasu do maleńkiej kuchenki i wziął sobie z lodówki parę kanapek i (lakowaną) próżniowo sałatkę.

Wrócił na miejsce i znów wpatrzył się w wąski pasek pancernego szkła. Z miejsca przy ładowarce widział co najmniej kilkanaście przewróconych drzew – wyglądało, że wcześniej stały szpalerem wzdłuż drogi. Pewnie padły podczas burzy, o której wspominali rodzice Melanie. Bryły korzeniowe sterczały w niebo, ogromne, postrzępione kręgi splątanych korzeni i gleby. I plac, i część drogi nadal zaścielały liście, drobniejsze krzewy, gałęzie i inne śmieci. Zainteresował się, widząc tyle ton drewna i biomasy za ledwie na tak krótkim odcinku drogi, mając tak ograniczony punkt widzenia. Zastanawiał się, co zrobić z tym cennym surowcem, gdy wreszcie go stąd uprzątną.

Przetwarzaniem drewna i innych surowców roślinnych zainteresował się (łoczas poprzedniej wyprawy fotograficznej, dwa tygodnie przed feralnym wyjazdem z Melanie do Turcji. Była to środkowa Hiszpania, gdzie robił zdjęcia do artykułu o PCVE, *Proyecto Carbón Vegetal Españolas*. Władze Hiszpanii zorganizowały potężną sieć ujemnowęglowych generatorów energii opartych na zamianie biomasy w węgiel drzewny. Ów węgiel, produkt podziemnego spalania, pozostawał w glebie, nie wydostawał się do atmosfery. A dodatkowo, w długiej perspektywie, miał przywrócić żyzność setkom tysięcy hektarów kraju, które spustynniały od początku XXI wieku.



W czasach coraz gorszej katastrofy ekologicznej PCVE natchnął go odrobiną optymizmu, myślą, że gdzieś chociaż się coś robi. Gdy patrzył na powalone drzewa, budziła się w nim nadzieja, że Brytyjczycy nie są aż tak krótkowzroczni, by palić wiatrołomy z tej czy którejkolwiek z ostatnich burz ani by pozwolić, żeby gdzieśgniły. Hiszpańskie przedsięwzięcie wciąż było jedyną tak dużą instalacją do węgla drzewnego w Europie Zachodniej, choć podobne ogromne kompleksy generatorów z rekuperacją węgla powstawały w Chinach, na Ukrainie, w Rosji, Indiach, Brazylii i Australii.

Wiedział jednak, że w wielu częściach świata klimat jest tak ekstremalny i tak niewiele wie się o odzyskiwaniu węgla z odpadów, że wciąż są w użyciu dawne marnotrawne metody.

Usadowił się na cienkiej tapicerce fotela najwygodniej jak mógł, by przetrzymać nieuniknione długie godziny jazdy. Nuda była wrogiem, bo tworzyła w mózgu mentalną pustkę, w którą momentalnie wpelzały myśli, przez którymi normalnie był w stanie się bronić. Od śmierci Melanie minęło zaledwie parę dni. A razem byli przez ponad dwanaście lat i mimo że tyle się między nimi popsulo, wciąż nie miał pojęcia, jak sobie bez niej poradzi.

Wyjazd z nią do Turcji – to był oczywisty błąd. Od pierwszej chwili w szpitalu dotarło do niego, że jest tam w najlepszym razie zbędny, a w najgorszym – przeszkadza. Skupił się na zdjęciach, wychodził fotografować, kiedy tylko się dało, szpital jednak, co nieuniknione, skupiał na sobie uwagę, a poza tym, po paru tygodniach coraz mniej bezpiecznie było wypuszczać się na zewnątrz. Szybko okazało się, że jest praktycznie w nim uwięziony, czy to w jego wnętrzu, czy wręcz w pomieszczeniach dla personelu medycznego. A Melanie nie cierpiała, gdy się tam kręcił – jego obecność stała się dla niej nieustającym, ciągłym powodem do irytacji, z wielką szkodą dla ich związku.

Anatolia była ich pierwszą wspólną zagraniczną podróżą – z początku nawet ich to zbliżyło. Przez wiele dni jechali przez wyschnięte pola, po jałowych stokach, między wyschniętymi

jeziorami i rzekami. Wszędzie widzieli dowody zniszczonego klimatu: nagle i gwałtowne nawałnice powodujące błyskawiczne powodzie i osunięcia ziemi, oślepiający i duszący skwar, wypalone uprawy, czarne, spalone lasy. I wszystko to widzieli, przejeżdżając przez południową Francję, Prowansję, wybrzeże Morza Śródziemnego, gdy mebsher powoli wiozł ich do północnych Włoch. Po ponad miesiącu takiej jazdy grupa Tarenta połączyła się z drugą ekipą medyczną BPZ w Trieście. Pozwolili sobie zrobić trzy dni przerwy na odpoczynek. Potem konwój powolnych transporterów ruszył dalej, przez niebezpieczne góry Bałkanów. Dotarcie do szpitala we Wschodniej Anatolii, który już działał, zajęło kolejne cztery tygodnie. Ludzie, których zluźowali, odjechali tym samym transportem. Dzięki dostawom, które przywozili im, nieregularnie, śmigłowcami, kosztowni prywatni kurierzy, personelowi udało się prowadzić szpital przez pięć miesięcy, o dwa dłużej niż pierwotnie planowano, choć pod koniec dla wszystkich było jasne, że dalej się tak nie da.

Po zatankowaniu mebsher ruszył w dalszą drogę, choć jechał teraz zauważalnie wolniej. Kolejny przystanek zrobili dopiero po dwóch godzinach. Tarent po raz kolejny zgramolił się do kambuza po schodkach z tyłu i wziął sobie trochę jedzenia oraz kubek kawy. Żaden z pasażerów nie zareagował, gdy zapytał, czy ktoś chce coś do picia, więc po prostu usiadł z powrotem na miejscu.

Powoli zaczęli działać mu na nerwy. Ignorowali go przez cały czas, choć trzeba było przyznać, że i do siebie prawie się nie odzywali. Trudno było też ustalić, czy jadą razem, mimo że najwyraźniej pochodzili z tej samej instytucji państwowej albo przynajmniej mieli w swoich instytucjach dość podobną rangę. Facet, który siedział sam w pierwszym rzędzie, albo ślepił w ekran laptopa, albo przysypiał. Czasami jeszcze rozmawiał przez telefon – co było oznaką jego wysokiego statusu, bo w mebsherze generalnie nie wolno było korzystać z żadnych urządzeń elektronicznych, by nie zakłócały jego

skomplikowanych systemów obronnych. W każdym razie gruby pancerz normalnie nie przepuszczał żadnego sygnału, gość jednak podpinał telefon do jakiegoś kabla, pewnie od anteny zewnętrznej dającej dostęp do sieci. Z rana w Bedford, kiedy wsiadali, Tarentowi mignął chip identyfikacyjny CIA i usłyszał w jego głosie ślad akcentu z Nowej Anglii. Mężczyzna był wysoki, miał gęste, choć ścięte przy samej skórze siwe włosy i najbardziej wyzutą z poczucia humoru twarz, jaką I arent kiedykolwiek widział. Jego zaabsorbowanie własnymi sprawami było jak czarna dziura neutralizująca wszelkie próby kontaktu.

Pozostała dwójka pasażerów wciąż na oko podróżowała razem, choć dziś siedzieli nieco dalej od siebie. Wyglądało, że to nie jest jakaś osobista relacja. Facet był starszy niż kobieta. Przez większość dnia Tarent oglądał tylko ich potylice – jego ciemne, prawie czarne włosy rzedyły mu na czubku głowy, jej, kasztanowych, prawie nie było widać spod chusty. Nad kołnierzem, za lewym uchem, chusta się trochę przesunęła. Gdy mebsher podskakiwał na wyboistej drodze, ich głowy kołysały się w jednym rytmie. Chwilami unosiła rękę i przesuwała palcami po kosmykach włosów za uchem.

Tarent zrobił im ukradkiem parę zdjęć. Na jednym uchwycił profil kobiety w typowym dla niej geście – głowa pochylona do przodu, oczy zamknięte, palec unosi odrobinę chustę, żeby dotknąć włosów z tyłu głowy.

Cały czas przywodziła mu na myśl Melanie – wolałby, żeby tak nie było. Może było to poczucie winy, poczucie zmarnowanych lat, poczucie, że nie udało mu się nic na to poradzić. Melanie miała teraz trzydzieści osiem lat, czy raczej – miała trzydzieści osiem lat tydzień temu. Wciąż powracały denerwujące wspomnienia. Momentami miał wrażenie, że słyszy jej głos, próbujący przekrzyczeć wycie silnika mebshera. Na skórze wciąż miał jej zapach, a przynajmniej tak mu się wydawało.

Wieczorem poprzedniego dnia, zanim zginęła, kochali się, jak zdarzało się im po kłótni. Seks był niesatysfakcjonujący dla obu stron. Prycza była za wąska, a ściany schroniska zdradziecko

cienkie. Było gorąco. Wilgoć i upał, bez końca, niezmiennie. Wysilili się jednak, oboje chcieli pokazać sobie nawzajem, że jeszcze są razem, choć dobrze wiedzieli, że to już nieprawda. Po paru minutach gorączkowego fizycznego i seksualnego wysiłku, z powrotem wkradł się pomiędzy nich ten sam dystans co wcześniej: nie był nieprzebytą barierą, ale boleśnie przypominał, jak kruche stało się ich małżeństwo.

Leżąc w ciemności, wałkowali fantazję, którą znali aż za dobrze, o powrocie do Anglii i wyjeździe na wakacje, do eleganckiego hotelu w Londynie czy innym mieście, aby wydać wyplatę na parę dni w egoistycznym luksusie. Oboje dobrze wiedzieli, że to nie miało się nigdy ziścić, a do tego nie mieli pojęcia, jak katastrofalny może się okazać kolejny dzień.

Nienawdziła go, on nienawdził jej. Ale jak można nienawdzić pielęgniarce? Tarent znalazł parę sposobów, wykształcając sobie mechanizm obronny. Jego własne wykształcenie, dyplom z inżynierii środowiska – coś, po czym bez problemu znajdzie pracę. Podobno. Po studiach stwierdził, że nikt nie potrzebuje specjalisty od procesów spalania bez doświadczenia. Po rocznej wizycie w Stanach wrócił do Wielkiej Brytanii, jeszcze w czasie politycznej i społecznej zawieruchy towarzyszącej formowaniu się IRWB. Wtedy w ogóle nie było żadnej pracy, zdryfował więc jakoś w stronę fotografii, najpierw współpracując z kumplem ze studiów, potem zostając samodzielnym wolnym strzelcem. To właśnie robił, kiedy poznał Melanie.

A ona kiedyś określiła fotografowanie jako coś biernego, odbiorczego, nieinterwencyjnego. Zdjęcia rejestrują zdarzenia, ale nie wpływają na nie. Dla niej nic, co nie było proaktywne i praktyczne, nie miało wartości. Dla niej tak było, dla niego nie. Bronił się argumentami, które wydawały mu się szczerze, a które ona wyśmiała jako nieistotne. Twierdził, bezskutecznie, że fotografia to forma sztuki. A sztuka nie ma praktycznego zastosowania. Ona po prostu istnieje. Informuje, pokazuje, po prostu jest. Ale może zmieniać świat. Melanie wyszydziła go za to, zsuwając z ramienia luźną koszulkę, odsłaniając bark i górę

ramienia – miejsce, gdzie agresywny pacjent zranił ją brudną igłą, chcąc ją czymś zakazić. To było jej trofeum, jej osobista nagroda za proaktywność.

- No to zrób już to zdjęcie, jak musisz! - wrzasnęła kiedyś na niego, podczas drugiego tygodnia jazdy po Turcji, gdzieś na suchych wyżynach ponad wybrzeżem.

Tamtego dnia w konwoju mebsherów skończyła się woda do picia i czekali na zaopatrzenie. Tarent wciąż pamiętał ponurą okolicę, nic tylko kamienie i wyschnięta roślinność, w dole opuszczone miasteczko Hadima, żółta skała gór, odległe morze, gorący jak piec wiatr i bezchmurne niebo.

Uraza zapiekła, ale wciąż ją kochał. Przypominał sobie rzeczy, o których myślał, że nie pamięta – jakieś pierwsze dni, pełne uczuć listy, długie rozmowy telefoniczne, jakie to wszystko było ekscytujące, jakie trudne emocjonalnie. Miłość była silniejsza od urazy.

Teraz jednak musiał wrócić do tej cholernej biernej fotografii.

## 6

Zamknął oczy, zdrzemnął się na trochę. Nagle z interkomu odezwał się głos z akcentem z Glasgow.

- Mówi Ibrahim, drugi kierowca. Pokój niech będzie z wami. Mamy jakiś problem z bateriami, a niestety część stacji ładowania nie jest dostępna. Musimy zatrzymać się na nocleg wcześniej niż planowaliśmy. Zjedziemy z trasy i przenocujemy w Long Sutton. Mogą nas przyjąć na jedną noc. To oznacza kolejne opóźnienie, ale lepiej się spóźnić, niż żeby prąd się skończył na trasie. Wymienią nam baterie i jutro nadrobimy. Prognoza pogody jest dobra.

Nastąpiła przerwa. Mikrofon nadal był włączony. Słyszeli przez szumy komunikatora, jak dwóch kierowców rozmawia ze sobą. Kobieta siedząca przed Tarentem zareagowała na informację, unosząc w zaskoczeniu głowę. Potem zerknęła w bok i coś cicho powiedziała do faceta obok. Pokręcił głową, czekał na coś więcej. Potem w milczeniu zgodził się z nią, kiwnął głową, na moment podnosząc brwi, i odwrócił się.

Tarent przycisnął się do ściany kabiny i znów wyrzał przez wąskie okienko. Gdy to zrobił, wydarzyły się dwie rzeczy. Coś zostało mu stanowczym i zdecydowanym gestem wciśnięte do ręki. Odruchowo zacisnął na tym palce. Jednocześnie z głośników odezwał się głos drugiego sierżanta prowadzącego pojazd.

- Mówi Hamid, pierwszy kierowca. - Tarent rozpoznał po głosie młodego sierżanta, który pomagał mu wsiąść do transportera w zalanym północnym Londynie. - Pokój niech będzie z wami. Chciałem was poinformować, że muszę przesłać do dowództwa bazy wasze dokumenty, żebyście dostali przepustki. Na pewno wiecie, że do bazy w Long Sutton

normalnie nie ma wstępu. Nie ma powodu do obaw, zwykła procedura. Wszyscy pasażerowie mają odpowiedni poziom uprawnień w Obronie. Pomyślałem po prostu, że lepiej powiem, gdyby ktoś miał coś przeciwko, będziecie musieli się wylegitymować chipami i dokumentami, ale nikt ich nie będzie zatrzymywał.

Parent przypomniał sobie niewyraźnie, sprzed wielu lat, liczne demonstracje protestujące przeciwko otwarciu bazy w Long Sutton. Wtedy należała do Sił Powietrznych USA, była tam stacja nasłuchowa wczesnego ostrzegania, choć pewnie teraz, skoro NATO dawno się rozwiązało, rządziło tam Ministerstwo Obrony. Zresztą, wczesnego ostrzegania? Przed kim?

Cały czas nie potrafił myśleć o sobie jako o nieokreślonym urzędniku wyższego stopnia, z jakimiś uprawnieniami bezpieczeństwa. Poprzednie jego kontakty z rządowymi agendami były raczej przelotne, zwykle chodziło tylko o zgodę Ministerstwa Spraw Wewnętrznych albo attaché Emiratów na fotografowanie jakiegoś zdarzenia. Nawet wtedy występował jedynie jako fotograf- wolny strzelec, potrzebujący akredytacji, ze zleceniem od jakiegoś sieciowego pisma czy kanału telewizyjnego.

Powolny transporter dalej sunął drogą, a Tarent przesuwiał w opuszkach palców skrawek papieru, tak brutalnie wetknięty mu w dłoń. Skręcił go w stożek, ostry na końcu, przez chwilę nie myśląc, skąd właściwie się u niego wziął. Wreszcie rozprostował go, wygładzając na udzie.

Nierówne, ewidentnie pośpieszne pismo *.Jadę do ZOR- u w Hull. Pojedziesz ze mną? Spotkanie na Farmie Warned możesz sobie darować.*

To mogła być tylko siedząca przed nim kobieta. Tarent zmiął papiera i znów spojrzął na jej zakrytą chustą głowę. Tak jak wcześniej, trzymała dłoń na karku. Obserwując ją przedtem, pomyślał, że te niespokojnie poruszające się palce to jakiś odruch, nawyk - teraz zaczął się zastanawiać, czy nie wysyłała mu jakiegoś sygnału, którego nie odczytał.

Przypomniało mu się pierwsze wrażenie, poczucie, że jakoś skupia uwagę na jego obecności. Otwarcie niczego takiego nie okazywała, odnosiła się do niego z lodowatym chłodem – i nagle ta karteczka. Wbił w nią wzrok i nie potrafił go oderwać. Poza nerwowo podrygującymi palcami w ogóle się nie poruszała, najwyraźniej nie widząc go.

Gdyby podniósł rękę, mógłby dotknąć tych palców, poczuć dotyk jej karku i włosów.

Nic się nie wydarzyło, nic się nie zmieniło. Niedługo z powrotem zapadł w płytką drzemkę bez marzeń sennych, cały czas na wpół świadomy otoczenia: poruszeń pojazdu, drgań i hałasu silnika, szarpnięć w tył czy w przód przy zmianie biegów. Myślał sennie o tej kobiecie, siedzącej tak blisko, a tak odległej. „Pojedziesz ze mną?”. Niby dokąd? Znak zapytania czynił z tego propozycję, nie polecenie. Propozycja jazdy do Hull? W innej sytuacji uznałby to za propozycję erotyczną, ale to przecież była ta sama kobieta, która obcesowo sprawdzała mu licencję fotografa. A do tego jedyną pewną rzeczą w jego życiu było to, że otrzymał ścisłe polecenie, że ma się stawić na przesłuchanie w biurze BPZ gdzieś w Lincolnshire Wolds, na tak zwanej Farmie Warne’a. Ona napisała, że może to sobie darować. Nie rozumiał, jak.

Wrócił do przytomności, gdy transporter raptownie zwolnił i zatrzymał się, a wycie turbiny zamilkło. Półotwartymi oczyma, ziewając, zobaczył dwóch wojskowych – młodych komandosów stojących na baczność, w maskujących mundurach polowych, kevlarowych kamizelkach i nagolennikach, w anonimowych maskach, z automatycznymi karabinkami w pogotowiu.

Zauważył, że pozostali pasażerowie zaczęli się wiercić na siedzeniach, nie mogąc się doczekać wypuszczenia z mebshera. Gdy pojazd zatrzymał się, Tarent też poczuł się jak w pułapce. Wyłączyła się klimatyzacja, wentylatory przestały się kręcić. Wyglądało na to, że na dworze jest zimno.

Ponownie przytknął nos do okienka i zobaczył na zewnątrz Hamida podpisującego szereg dokumentów. O coś się



sprzecjali, ale nie gwałtownie. O coś dotyczącego transportera, sądząc po gestach.

Po paru kolejnych minutach do ciasnego środka maszyny wgramoliło się przez właz dwoje cywili w kombinezonach i maskach tlenowych. Tarent, siedząc blisko wąskiego włazu, poczuł upragniony powiew świeżego powietrza. Mężczyzna i kobieta. Kobieta nosiła hidżab, który razem z maską i ochronnymi okularami całkowicie zasłaniał jej twarz. Mężczyzna miał na sobie ciemną roboczą kurtkę, z napisem „Ministerstwo Obrony” wypisanym od szablonu na kieszeni na piersi. Oboje trzymali duże puszki z aerozolem – on spryskał drobną mgiełką wszystkie zakamarki kabiny, ona – czwórkę pasażerów. Tarent, gdy tylko dotarło do niego, co się dzieje, wstrzymał oddech, choć odruch nakazał mu chronić aparaty. Po chwili jednak nie miał innego wyjścia – musiał nabrać powietrza. Aerozol był suchy jak pył, miał delikatnie ostry posmak, i piekła od niego skóra. Gdy wszyscy rozkaszleli się, kobieta spryskała ich kolejną porcją środka.

Zostawiono ich samym sobie, by doszli do siebie. Przez interkom było słychać, że Hamid i Ibrahim też kaszlą w swojej kabinie. Ibrahim głośno prosił o wybaczenie, ale chodziło o jego własne gniewne myśli, nie o całą akcję z opryskiwaniem.

Pozwolono im wysiąść. Tarent, choć siedział najbliżej włazu, nie ruszył się, przepuszczając wszystkich innych. Kobieta minęła go bez słowa, nawet na niego nie spojrzała.

Mebsher zatrzymał się pod długim budynkiem z cegły, o płaskim dachu. Wszędzie rosły drzewa, i wokół budynków, i wzdłuż dwóch czy trzech alejek prowadzących w inne części ośrodka. Falowały na łagodnym wietrze. Tarent chłonał świeże powietrze, próbując uspokoić oddech. Płuca wciąż miał podrażnione od chemicznego aerozolu. Czuł jego zapach na ubraniu, we włosach, na twarzy i na wargach. Przypomniał mu, że odkąd wrócił do Wielkiej Brytanii, inni ludzie przejęli kontrolę nad jego życiem i działaniem. Jednocześnie był przekonany, że nikt z tych spotkanych w ciągu ostatnich paru dni ludzi nie ma najmniejszego pojęcia, co robił za granicą, w wir jakich chaotycznych wydarzeń się dostał, jakie okropności musiał oglądać i przeżywać, w jakim opłakanym stanie znajduje się większa część świata. Pół Europy w zasadzie nie nadawało się teraz do zamieszkania. Większość ludzi, którym udało się osiedlić w coraz węższych i meandrujących pasach umiarkowanego klimatu na północnej i południowej półkuli, musiała izolować się przed resztą i trzymać zębami i pazurami resztek znanego świata. Ciekawość dotycząca nieprzyjaznych krain właściwie wygasła, stłumiona przez potrzeby ratowania samych siebie.

Za drzew wyłaniała się biała kopuła Fullera i dwa ogromne talerze anten satelitarnych.

Przed nim szła pozostała trójka pasażerów z mebshera. Wszedł za nimi w drzwi pilnowane przez policjanta, ruszył korytarzem. Kobieta zostawała z tyłu, w pewnym momencie obejrzała się na niego. Minę miała otwarcie pytającą.

Tarent pokręcił głową, potem spróbował zrobić wymijający gest.

Natychmiast odwróciła się od niego, poprawiła torbę na

ramieniu i przyspieszyła kroku. Przepisnęła się przed swego towarzysza i pierwsza weszła do pomieszczenia.

Zaczął się przydługi proces rejestracji. Oprócz pokazywania dokumentów tożsamości musieli podpisywać różne oświadczenia dotyczące wolności poruszania się i wolności dostępu do informacji, zgodnie z najnowszymi ustawami. Amerykanin zaprotestował w urzędowych słowach, przytaczając wyrok amerykańskiego Sądu Najwyższego, potem jednak podporządkował się bez dalszych protestów. Każdy dostał identyfikator do powieszenia na szyi i został poinstruowany, że ma go nosić przez cały czas, nawet w łóżku.

Tarent z ulgą i zdziwieniem przyjął fakt, że nikt nie obejrzał ani nie zabrał mu sprzętu fotograficznego.

Wciąż było popołudnie. Miał przed sobą resztę dnia i nic do roboty - nikogo tu nie znał, a na każdych drzwiach i większości ścian wisały długie regulaminy Long Sutton z listą czynności zabronionych i stref zakazanych. Przydzielono mu pokój w jednym z budynków mieszkalnych, był umeblowany równie skąpo, jak podziemny pokój w Bedford, za to nieco mniejszy.

Rozebrał się, chwilę poleżał nago na łóżku, potem wziął prysznic. Następnie, wciąż nagi, nie licząc obowiązkowego identyfikatora, położył się na łóżku, odchylając głowę do tyłu, aby móc patrzeć przez okno na drzewa. W pokoju zaczynało się robić zbyt ciepło, nie było jednak niczego do regulacji temperatury, a okna się nie otwierały.

Parę minut pooglądał telewizję, pstrykając po kanałach, żeby znaleźć wiadomości albo jakąś publicystykę. Po pięciu minutach, jak zawsze, gdy łapał się za pilota w jakimś hotelu czy wynajętym pokoju, poczuł się ogłupiały i zły. A kiedy wreszcie znalazł jakieś informacje, głównym tematem znowu był szczyt w Toronto. Wyłączył telewizor.

Wyjrzał przez okno i stwierdził, że słońce już zachodzi, więc ubrał się z powrotem i powoli obszedł najbliższą okolicę budynku mieszkalnego. Nie spotkał nikogo innego. Aparat miał jak zwykle przypięty do paska, choć teraz zakrywał go trochę

wielkim swetrem. Tak naprawdę samo miejsce niezbyt go interesowało, chciał po prostu przejść się pomiędzy drzewami, skoro nadarzyła się okazja. Gdy klimat zmieniał się na ekstremalny, drzewa zwykle znikwały pierwsze, w pożarach lasów, wyrwane przez huragany, ścinane w desperacji na opał. Wszędzie dominowała goła ziemia. Sama nieszkodliwa przyjemność wynikająca z patrzenia na nie w Long Sutton była czymś rzadkim. Ustawwszy odpowiednio canona, zrobił parę zdjęć ich koron, nic specjalnie malowniczego, ale niech będzie pamiątka.

Szedł dalej, oddalając się od głównego kompleksu. Świadomie unikał obszaru oznaczonego jako strefa bezpieczeństwa. Zrobił jeszcze parę zdjęć drzew, starając się, by w tle były widoczne budynki. W paru miejscach można było skorzystać z oświetlenia reflektorami, które nie były ani przesadnie jasne, ani liczne. Widoki nie były zbyt malownicze, Tarent rozkoszował się jednak tym, że budzą się w nim na nowo dawne odruchy, kadrowanie, ustawianie pierwszego planu i tła, kreatywne manipulowanie czasem naświetlania. Gdy wysiadł z mebshera, udało mu się nawiązać połączenie ze zdalnym laboratorium, które automatycznie obrabiało mu fotografie zgodnie z jego domyślnymi ustawieniami. Potem ściągnął z powrotem parę z nich i z zadowoleniem przyjrzał się głębokim odcieniom szarości i czerni, soczystej zieleni. W ciemniejszych miejscach nawet po obrobieniu widać było cyfrowe szумы. Słońce już prawie zaszło i w zmiennych warunkach pod drzewami trudno było dobrać właściwe parametry.

Nie mógł się doczekać, kiedy się zabierze za czekające go zadanie – przejrzenia tysięcy zrobionych w Anatolii kadrów. A tutaj sieć bardzo słabo działała. Jak dotąd zdążył tylko pośpiesznie przewertować zdjęcia, szukając ujęć do pokazania rodzicom Melanie, części przyjrzał się też pobieżnie, gdy kopiowały się do laboratorium. Dlatego drobną przyjemność sprawiała mu sama praca z aparatem, fotografowanie, kadrowanie, ocenianie i archiwizowanie. Wprawdzie

fotografowanym obiektem były stare państwowe budynki i najzwyczajniejsze drzewa, ale i tak było to przyjemne. Większość terenu pokrywały dyskretnie zainstalowane kamery monitoringu, zakładał więc, że jest obserwowany.

Wreszcie, zgłodniawszy, przeszedł się do miejsca, gdzie, jak mu powiedziano, są wydawane posiłki. Znalazł dużą stołówkę, pustą, jeśli nie liczyć jednego faceta pracującego w kuchni na przeciwległym końcu. Dostępne były dwa posiłki do wyboru, obok stała kuchenka mikrofalowa. Wybrał sojowego burgera. Wyluskał go z kartonowego ekologicznego opakowania, napromieniował w mikrofali, po czym zasiadł samotnie przy jednym ze stołów i zjadł. Nie spotkał nikogo z pozostałych pasażerów ani kierowców z mebshera. Gdy jeszcze jadł, facet obsługujący kuchnię pogasił wszystkie światła na drugim końcu sali i wyszedł.

Tarent wyszedł z powrotem w chłodny wieczór. Cały ośrodek wyglądał na opustoszały. Niektóre z budynków miały na dachach kominy wentylacyjne z metalowymi hełmami, które kręciły się i pohukiwały w półmroku. Wokół nich skraplała się para, zaraz rozwiewana przez wiatr. Tym razem poszedł inną drogą i w końcu dotarł do ogrodzenia ośrodka, groźnego połączenia pętli z drutu kolczastego, wielkich betonowych płyt i siatki pod napięciem. Wszędzie wisiały surowe ostrzeżenia dla ewentualnych intruzów, w pięciu językach. Ogrodzenie i drogę oświetlały potężne reflektory. Zrobił parę zdjęć.

Ogarnęło go nagle poczucie izolacji i osamotnienia. Drzewa, droga, angielski wieczór, wszystko tak bardzo znajome, choć jest tak daleko od domu. A z domem jeszcze będzie się musiał zmierzyć. Ten prawdziwy dom, duże mieszkanie, w którym żył razem z Melanie, żył dawniej z Melanie, było na przedmieściach Londynu, od strony Kentu. Leżało dokładnie na trasie Edwarda Elgara, podejrzewał więc, że do wszystkich problemów dojdą jeszcze jakieś szkody w budynku. Wciąż nie miał pojęcia, jak

powinien planować przyszłość – mieszkanie będzie zbyt duże dla niego samego, ale jest w nim pełno ich rzeczy. Zwłaszcza, teraz, rzeczy Melanie. Ta wymuszona przejażdżka do rządowego biura w Lincolnshire na swój sposób odwlekała to, co nieuniknione, lecz już zbyt długo nie było go we własnym domu.

Szybko przyjrzał się zgranym do laboratorium zdjęciom, które przed chwilą zrobił, potem delikatnie je skorygował, biorąc poprawkę na temperaturę barwną tych reflektorów. Poczucie izolacji, wykorzenia, było aż paraliżujące – narastało w nim przez cały wieczór. Strata Melanie była jak chroniczny ból, który od czasu do czasu, bez ostrzeżenia przeradzał się w naprawdę ostry. Żałował, że nie może cofnąć wszystkich wydarzeń z ostatnich kilku miesięcy. Przestał robić zdjęcia i wsunął aparat do kieszeni.

Gdy tak stał, pogrążony w nagłym zamyśleniu, kobiecy głos powiedział:

- Robiłeś mi zdjęcia bez mojej zgody.

Podeszła do niego bezszelestnie. Akcent miała niespecyficzny, sugerujący osobę wykształconą. Tarent odwrócił się do niej. To była kobieta z mebshera. Światło z góry igrało na jej twarzy. Wydawała się wysoka i agresywna, stała z jedną nogą przed drugą, oparta na wystającym spod ziemi konarze drzewa. Włosy miała wciąż przykryte chustą, za to na siebie włożyła teraz puchową kurtkę z kapturem, naciągniętym na chustę. Wyciągała do niego prawą dłoń, spodziewając się, że coś jej da.

W IRWB obowiązywały prawa humanitarne, chroniące ludzi przed fotografowaniem bez ich zgody. Tarent, jak każdy zawodowy fotograf, dobrze o tym wiedział.

- To było parę próbnych zdjęć – powiedział, odruchowo wymigując się półprawdą. - Mam nowy aparat i na razie go testuję. One nigdy nie będą opublikowane.

- To nieistotne.

- Mebshera w trakcie misji dyplomatycznej zwykle uznaje się za strefę prawa międzynarodowego.

- To również nieistotne. Nie miałeś mojej zgody. Proszę mi dać

te zdjęcia.

- Ich już tutaj nie ma.

Machnęła niecierpliwie ręką.

- Wiem, że je masz. Jak myślisz, dlaczego ci nie skonfiskowali tych aparatów, kiedy się meldowaliśmy?

- To dzięki tobie?

- Tak, to była moja interwencja. Musisz mi zwrócić te zdjęcia.

- A ta karteczka... była od ciebie?

- Tak.

- Czemu mnie pytałaś, czy pojedę z tobą do Hull?

- Bo nie musisz jechać na Farmę Warne'a.

- Powiedziano mi, że muszę zostać przesłuchany w sprawie śmierci mojej żony.

- Wiem. To jest biuro BPZ- u. Na nich też mogę wpłynąć.

- Ale po co?

Strząsnęła z głowy kaptur. Choć pod spodem miała chustę, nie zawiązała jej. Twarz miała odsłoniętą, a końce chusty luźno opadały na ramiona i pierś. Zobaczyła, że się przygląda, więc zarzuciła jeden koniec w poprzek szyi, na ramię.

Choć aparat i tak był niewidoczny, Tarent ukradkiem nacisnął przycisk składania i aparat bezgłośnie zredukował się do cienkiej jak opłatek płytki z plastiku i metalowych stopów. Ukrył ją w dłoni, jak iluzjonista kartę do gry. Podczas poprzednich ekspedycji zdjęciowych już dwa razy ktoś zabierał mu aparaty i je rozwaliał - raz, gdy fotografował tłum demonstrantów na Białorusi, za drugim razem był to policyjny tajniak w Lyonie we Francji. Najnowsza generacja miniaturowych aparatów powstała specjalnie dla fotoreporterów, którzy potrzebują skutecznie i szybko ukryć sprzęt przed okiem niepożądanych osób.

Kobieta nie ustępowała, znów zbijając go z tropu. Zachowywała się władczo, jak ktoś przyzwyczajony, że go słuchają, choć nieoczekiwanie zdradzało to także jakąś fizyczną słabość. Tak niewiele o niej wiedział po dwóch dniach siedzenia o parę centymetrów od niej. Znał tylko dłoni, włosy, kark.

Cały czas stali naprzeciw siebie w półmroku. Dyszała - ze



zmęczenia, ze złości, ze stresu? Ich oddechy skraplały się pomiędzy nimi w obłoczki pary.

Powiedział:

- Czego właściwie ode mnie chcesz?

Zerknęła na dłoń, w której ukrywał canona. Kołysał nią, starając się, aby wyglądało to jak naturalny gest.

- Tych zdjęć, które mi zrobiłeś. Muszę je mieć. To kwestia bezpieczeństwa.

- Mówiłem już. Nie mam ich tutaj. Wszystkie kadry od razu idą do labu w agencji. Tak działa aparat i koniec.

- Nie wierzę ci. Ma wewnętrzną pamięć.

- Ma, ale z niej nie korzystam. Jest czyszczona, gdy tylko zdjęcia dotrą do labu. Poza tym nie robiłem ci żadnych zdjęć. - Aparat był w trybie dyskretnym cały czas od Anatolii. Nie mogła niczego usłyszeć. Niemożliwe.

- Nie mówisz mi prawdy. - Uniosła chustę po lewej stronie, obróciła głowę i delikatnie poklepała się palcami za uchem. - Wiem, co zrobiłeś i kiedy. Trzy zdjęcia, jedno zaraz po drugim. Mogę ci podać co do sekundy czas każdego z nich, dane EXIF i dokładne współrzędne naszej pozycji.

Odwróciła głowę jeszcze bardziej i uniosła włosy. Światło reflektorów padło na nią, Tarent dostrzegł metaliczny pobłysk implantu, maleńkiego odłamka rowkowanego metalu, z trzema dotykowymi przyciskami. Poczuł natychmiastową ochotę, by do niej przyskoczyć, chwycić ją, delikatnie przechylić jej głowę na bok i przyjrzeć się dokładnie temu urządzeniu. Potrafił sobie wyobrazić, jak poczułby się, napierając na jej ciało, czując zapach skóry na jej karku, muskany delikatnie sięgającymi do ramion włosami, widząc jej usta tak blisko swoich.

Zakręciło mu się w głowie na samą myśl.

Nic nie powiedziała, ale wciąż się w niego wpatrywała. Pozwoliła włosom opaść z powrotem.

Powiedział:

- Nie ma sprawy. - Miał wrażenie, że zaraz zemdleje, że jeśli postąpi krok ku niej, to na nią padnie. Szukał czegoś w myślach,

usiłując jednocześnie skupić się na tym, co mówili: – Te zdjęcia są w laboratorium. Są zarchiwizowane. Żeby się do nich dostać, muszę użyć pilota od aparatu. Mam go w pokoju, razem z resztą sprzętu. Możemy tam pójść i zaraz ci je ściągnę.

Pomyślał o ciasnocie pokoju, przytłaczających bliskością ścianach, duchocie, wąskim łóżku.

– To jest aparat Canon S-Lite Concealable, tak? Profesjonalny sprzęt.

– Skąd ty to wiesz?

– Mówiłam ci, mam dane EXIF. Do tej wersji nie potrzebujesz żadnego pilota.

– Do obejrzenia zdjęć, nie, ale, żeby je pobrać, tak.

– Korzystasz jeszcze z innych aparatów, o których nie wiem?

– Mam nikona i olympusa. Są też w moim pokoju, chyba że twój kumpel tam wszedł i je zabrał.

– Mój kumpel?

– Ten facet, który z tobą jedzie.

– To oficer bezpieczeństwa z mojego departamentu. Nazywa się Hey- dar. Oficjalnie jest moim opiekunem, ale ja tego tak nie nazywam.

– Jest razem z tobą w pokoju?

– Nie. Poszedł wcześniej spać. Myśli, że jestem w swoim pokoju. – Powiedziała to bardzo pewnym tonem, potem dodała: – A do twojego nie będzie zaglądał, jeśli ja go tam nie zawołam.

Oboje, mocą jakiegoś milczącego porozumienia, odwrócili się i ruszyli z powrotem do budynku mieszkalnego. Szła krok przed nim, ale gdy zobaczyli wejście, niespodziewanie zwolniła, dając mu się zrównać ze sobą. Potem szła już obok niego, patrząc w ziemię, końce chusty zwisały jej po obu stronach twarzy. Szli nierówną, żwirową ścieżką, pod milczącymi teraz drzewami, przez nieregularne plamy światła. Dłoń Tarenta, w której cały czas skrywał aparat, kołysała się tuż obok jej dłoni.

– Powiesz mi, jak się nazywasz? – Zdziwił się brakiem tchu we własnym głosie.

– A do czego ci to potrzebne?

- Potrzebne? Do niczego. Chcę wiedzieć i tyle.
  - Może później. W którym jesteś pokoju? Panie Tiborze Tarencie?
  - Czyli ty moje nazwisko znasz?
  - Wiem o tobie masę rzeczy. Więcej niż myślisz.
  - Na przykład?
  - Że spotkałeś się z Thijsem Rietveldem.
- Tarent nie rozumiał. Poprosił o powtórzenie.
- Thijs Rietveld. Fizyk- teoretyk. Z Holandii. Wygląda, że poznałeś go, jakieś dwadzieścia lat temu.
  - Może to i prawda, ale nie pamiętam. Dwadzieścia lat to szmat czasu.

- Który pokój? - zapytała, ściskając go dłonią za ramię. Przeszli przez główne wejście. Sięgnęli po identyfikatory. Tarent pierwszy znalazł czytnik i przeciągnął przez niego kartę. Ruszył pierwszy, a ona przesliznęła się, zanim drzwi zdążyły się zamknąć. I znów szła obok. Korytarz był wąski - czasami się o siebie ocierali.

W środku ledwie mieściły się dwie stojące osoby. Wpuścił ją pierwszą, więc teraz to ona stała na wąskim pasku dywanika, przy samym łóżku, zwrócona do niego plecami. W pokoju było gorąco i duszno. Łóżko było w takim stanie, jak je zostawił, z porozrzucanym ubraniem. Odczekał, aż drzwi zamkną się za nim.

Obejrzała się, odwracając głowę, poczekała, aż maleńka dioda rozbłyśnie czerwono, sygnalizując zamknięcie drzwi.

Rozpięła puchówkę i strząsnęła ją z siebie. Zsunęła z ramion chustę, rozrzuciła włosy. Chusta opadła lekko na podłogę. Tarent zmiotł z łóżka swoje ubrania. Ona wciąż się nie odwróciła, cały czas stała do niego tyłem.

Opuściła głowę i odgarnęła włosy z karku, odsłaniając implant. Twarz miał o długość palca od jej potylicy. Implant zaśnił w świetle sufitowej lampy. Przysunęła się do niego, napierając nań plecami, podsuwając pod usta odsłonięty kark. Tarent rozchylił usta i przywarł nimi do jej skóry. Na moment mignęło mu logo

jakiejś firmy, głęboko wytłoczone w jego obudowie – mała, stylizowana literka „a”, otoczona pięciokątem. Nic więcej. I już miał tę twardą, płaską kopułkę w ustach, wargi przysały się do skóry wokół niego, czuł na języku twardość i ziarnistość metalu. Uległa, trzymał ją teraz, zwróconą bokiem, w objęciach, chciwie wędrując ustami po karku, uchu, smakując ją, zwilżając, czując lekkie muśnięcia włosów na wargach, podbródka, oczach. W łapczywości pożądania głośno zgrzytnął zębami o twardą powierzchnię implantu. Odsunął się od niej.

- Nie uszkodzisz go, żebyś nie wiem co robił. - Głos miała teraz niższy, trochę drżący.

- A ciebie?

- Ja jestem nie do uszkodzenia. Przekonasz się.

Pół godziny później. Tarent, cisnąc się z nią na wąskim łóżku, cały mokry od potu, wyciągnął rękę i wyłączył lampę, w której ostrym blasku się kochali. Jeden z reflektorów na zewnątrz był blisko okna, tak że ponad roletą wpadał do środka snop nieprzyjemnego światła. Sięgnął do sznurka rolety, udało mu się ją przesunąć, by choć trochę zasłonić ostry blask. Od jej ciała, ramion, nóg biło ciepło.

Wyplątała się spod niego i usiadła, przesuwając się na drugi koniec łóżka. Odwróciła się twarzą do niego, rozsuwając nogi. Tarent też się podniósł, otoczył ją swoimi nogami. Światło z zewnątrz, wciąż przeciskające się ponad roletą, kreśliło na niej skośną, bladą świetlistą linię. Też była spocona – mokre włosy kleiły się jej do twarzy.

Poczuł, jak własny pot spływa mu spod włosów i po policzkach. Dotknął palcem jednej kropelki i narysował na jej lewej piersi wilgotną kreseczkę. W tym ciasnym pokoju brakowało mu powietrza.

- Okno się nie otwiera. Już sprawdzałem – powiedział.

- Są zablokowane. Wszystkie, w całym budynku. Przepisy Ministerstwa Obrony. Może drzwi otworzymy?

Z zewnątrz słyszeli wcześniej kroki i głosy.

- Zwariowałaś?

- Myślałam, że chcesz świeżego powietrza.

Odwrócił się do niej, objął ją, przez chwilę pieścił. Powiedział:

- Nie spodziewałem się. Tego.

- A ja się spodziewałam. Myślałam, że wiesz. Dwa dni czekałam, aż się zdecydujesz na jakiś ruch.

Pokręcił głową, wspominając godziny w mebsherze i jej zachowanie, które interpretował jako lodowatą niechęć do

niego. Aż tak źle wszystko rozumiał? Zresztą nie miało to już żadnego znaczenia.

Teraz, gdy mógł się jej dokładnie przyjrzeć, zupełnie nie była fizycznie podobna do Melanie, ani odrobinę. Była szersza w ramionach, wyższa, piersi miała odrobinę pełniejsze, a talię węższą. Domyślał się, że jest młodsza niż Melanie, choć trudno było ocenić, o ile.

- Dalej nie wiem, jak się nazywasz. Ani kim jesteś.

- Nie potrzebujesz tego wiedzieć.

- Dlaczego tak mówisz?

- Bo jestem kim jestem i dlatego właśnie znalazłam się tu z tobą.

- A kim jesteś?

- Kobieta, która ma potrzeby.

- I dlaczego?

- Właśnie przez te potrzeby.

- W tym jest coś więcej.

- Kobieta, której praca nie pozwala na posiadanie prywatnego życia, więc potrzeby z czasem stają się niecierpiące zwłoki.

- I bierzesz, co się nawinie.

- Nie. Ja poza pracą właściwie nie mam życia. Nie masz pojęcia, ile się musiałam nazałatwiać, żeby móc tu z tobą być dziś wieczorem. Ani jakie to dla mnie ryzyko.

- Powiedz mi, jak się nazywasz - odparł.

Wyprostowała palce jednej dłoni, dotknęła ich drugą, jakby coś liczyła. Uśmiechnęła się.

- Flo - powiedziała. - Możesz mi mówić Flo.

- To twoje prawdziwe imię?

- Mogłoby być.

Siedziała z wyprostowanymi plecami, wyciągnawszy ręce przed siebie. Dotknęła czubkami palców jego piersi. Nogi miała skrzyżowane. Patrzyła mu prosto w oczy. Bardzo niepokojący był ten jej spokój, jakby nie wynikał z wewnętrznego uspokojenia, lecz jakiegoś nadludzkiego panowania nad sobą. Tarent uświadomił sobie, że robi się spięty od samego patrzenia,

przez to, że nie jest w stanie przewidzieć, co ona zaraz zrobi.

- Tak do mnie kiedyś mówili - dodała. - Wiele lat temu. Teraz nikt tego imienia nie używa. Możesz ty.

- To od Florence?

- Przez jakiś czas nazywałam się Florence. Ale to nie byłam naprawdę ja. I teraz też nie jestem. Ani wtedy, ani teraz. - Ewidentnie męczyły ją te pytania, zaczęła palcami pstrykać go w ramię w udawanej złości. - Dalej chcę, żebyś mi oddał te zdjęcia.

Próbując się z nią drażnić, powiedział:

- Sporo trudu, jak na parę zdjęć.

- Nie. Chciałam się z tobą różnić. Myślisz, że to było trudne? To nie widziałeś, jak ja potrafię utrudnić życie innym, jeśli mnie zmuszą. Znalezienie partnera do rżnięcia trudne nie jest.

- Jasne. A będziemy się pieprzyć jeszcze raz? Flo?

- Za moment. - Zmieniła pozycję, odchyliła się trochę w tył i wyciągnęła nogi przed siebie. Oparła je o jego bok. - Trochę ochłonę, strasznie mi gorąco.

Potem podniosła się i sięgnęła ręką do klamki okna za głową Tarenta. (Tarała się przy tym pierśią o jego policzek, szarpiąc się z unieruchomioną zasuwą. Okno ani drgnęło. W końcu się poddała.

- W naszych budynkach czasami trafiają się okna, które się otwierają - powiedziała.

- „W naszych”?

- Ministerstwa Obrony.

- A. Czyli tam pracujesz.

- Co się tak mną interesujesz?

- Lubię wiedzieć, z kim leżę. Wiem o tobie tylko, że jeździsz po kraju opancerzonym mebsherem, z opiekunem.

- Ty tak samo.

- Ja nie mam opiekuna.

- Tak się składa, że masz. Tak się składa, że to ja. Jestem do ciebie przydzielona.

- A mnie powiedziano... że spóźniłem się na transport, który miał mnie zabrać. Powiedzieli, że w okolicy jest kolejny mebsher

i może zboczyć trochę z trasy, żeby mnie wziąć. To mi się nie klei z tym, że jesteś „przydzielona”. Po prostu przypadkiem znalazłaś się na pokładzie.

- My wiedzieliśmy, gdzie jesteś. Kiedy burza przeszła, wysłaliśmy do jednego transportera polecenie, żeby cię zabrali. W tym momencie do Hull jedzie ich cztery lub pięć, bo zaraz tam będzie spotkanie szefów departamentów. Jak tylko się dowiedziałam, że to będziesz ty, zdecydowałam, że to ja cię zgramę.

- Zdaje się, mówiłaś, że nie musisz zadawać sobie dużo trudu, żeby znaleźć kogoś do łóżka.

- Bo nie. Wystarczająco dużo trudu zadaję sobie w pracy zawodowej. Chciałam cię poznać, nie dlatego, że miałam na ciebie ochotę, ale ze względu na to, co się z tobą stało w Turcji.

- A skąd w ogóle się o mnie dowiedziałas?

- Są sposoby. Jesteś na poziomie dyplomatycznym, co oznacza, że nasz gabinet ma dostęp do twoich akt. - Potrząsnęła głową, odrzucając włosy w tył. Dotknęła palcami implantu, wskazując go. - Większość faktów znałam już przed naszym spotkaniem, a dzisiaj dowiedziałam się reszty. Twoja żona, Melanie Tarent. Słyszałam, co się z nią stało. Wiem, gdzie byliście do zeszłego tygodnia i co się z nią stało. Zginęła w gwałtownych okolicznościach, jak dotąd niewyjaśnionych. Ale parę szczegółów mogę ci wyjawić. Ustaliliśmy, że zabił ją radykalny odłam rebeliantów z Anatolii, za pomocą nowej broni. Nasi ludzie w Turcji szukają jej teraz. Słyszałaś, że odpowiedzialni za to zostali złapani?

Zdumiał się.

- No, nie. Nie wiedziałem. Kiedy to było?

- Dzień po twoim odjeździe. Próbowaliśmy przerzucić ich z powrotem do IRWB. Zasada domniemania niewinności. Chcieliśmy im najpierw zadać parę pytań. Po drodze inna grupa bojówkarzy urządziła zasadzkę na nasz konwój i ich zabiła. Zginęło też dwóch naszych ludzi, kilku zostało rannych. Podejrzewamy, że to był jakiś lokalny spór, zresztą na tym ob-



szarze działały dwie zbrojne grupy. Atakowały się nawzajem. Ale pomyślałam, że powinieneś wiedzieć.

- Przykro mi. Nie miałem pojęcia, że zginęło więcej ludzi.

- Oni nie byli tam w twojej sprawie. Chcieli się dowiedzieć, skąd rebelianci zdobywają broń.

- Mówiłaś, że to jakieś nowe urządzenie. Ja byłem tam zaraz po wybuchu. Widziałem lej. Ewidentnie jakaś bomba- pułapka, ajdik przy drodze. Tam się ciągle takie trafiały.

- I co w tym leju rzuciło ci się w oczy?

Powiedziała to lekkim tonem. Tarent już prawie odruchowo się dostosował. Odpowiedział jednak:

- A co miało mi się rzucić?

- No, przecież tam byłeś. - Nie zmieniła tonu. - Co widziałeś?

- Był trójkątny. Miał trzy proste boki, tworzące trójkąt równoboczny.

- Masz jakiś pomysł, jak to wyjaśnić? Ktoś jeszcze o tym wspominał?

- Nie kojarzę. Zresztą nie słuchałem, co mówią. Byłem chyba w szoku po śmierci Melanie.

- Właśnie teraz nad tym pracujemy. - Podniosła się, rozejrzała po małym pokoiku. - Masz tu coś do picia? To znaczy, coś mocniejszego?

- Jest tylko woda. To państwowy budynek.

- Mogłabym coś skombinować, gdybyś zechciał pół godziny poczekać. Bo nie wszystkie państwowe budynki są takie same.

- To znaczy, ten, w którym ty pracujesz, jest inny?

- Nie. On akurat jest taki sam. Nie wolno wnosić alkoholu. Ale są różne sposoby. Zajrzyj do mnie któregoś dnia po południu, to zapoznam cię z jakimś *single maltem*. - Odwróciła się na bok i wstała z łóżka.

Tarent patrzył pożądliwie na jej długie nogi, umięśniony tułów, pot nadal lśniący tu i ówdzie na skórze. Napełniła z chłodziarki dwa plastikowe kubki, pochłonęła wodę trzema łapczywymi łykami, drugi kubek podała jemu.

- Na razie taki drink musi wystarczyć.

Nalała sobie drugi kubek. Wetknęła palce do zimnej wody i ochlapała sobie ramiona, piersi, odrobinę wody roztarła na brzuchu. Usiadła znowu na wąskim łóżku, tym razem blisko niego. Figlarnie opryskała go paroma kropelkami. Zmoczył rękę i przesunął nią delikatnie po jej piersiach, paroma kroplami prysnął na kark. Znow dotknął palcami implantu.

- Czyli ustaliliśmy, że pracujesz dla władz - powiedział. - To było proste. Dla Ministerstwa Obrony.

- Coś w tym rodzaju.

- No, daj spokój.

- Oficjalnie nie wolno mi mówić.

- Oficjalnie, to pewnie nie wolno ci się pieprzyć ze świeżo owdowiałymi fotografami. Podobno wiesz o mnie wszystko, więc wiesz, jakie mam uprawnienia. Co to za problem, powiedzieć mi gdzie pracujesz?

- Taki problem, że na początek mogliby mnie wywalić. A jak się jest kobietą, w ogóle trudno osiągnąć takie stanowisko.

- Dobra, zgaduję. Ministerstwo Obrony, tyle ustaliliśmy. Gdzieś wysoko? Szef departamentu?

- Stały sekretarz. Prywatny Gabinet. - Nagle odwróciła twarz, jakby zażenowana, że to powiedziała.

Tarent otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zamknął je z powrotem.

- Nie zmyślam - dodała.

Patrzył na jej nagie ciało, na skotłowaną pościel. Gorące powietrze w pokoju pełne było jej zapachów. Jakie to wszystko kompletnie nieprawdopodobne.

- Pełna jesteś niespodzianek - powiedział. - Powinienem cię kojarzyć?

- Mam nadzieję, że nie. Nie afiszujemy się z naszą działalnością.

- I nie jesteś muzułmanką, prawda?

- To prawda. Nie jestem.

- Myślałem...

- Nie trzeba być mężczyzną i muzułmaninem, chociaż jakbyś

zobaczył, kto jest na moim poziomie w innych ministerstwach, tak właśnie byś pomyślał. Ale ja dawno temu wpadłam na to, że być kobietą i *nie być* muzułmanką to przeciwieństwa, które się równoważą, i stwierdziłam, że spróbuję. Pracowałam ciężko, skończyłam dobre studia, zgodziłam się na roczny staż za darmo. I potem... zaczęłam iść w górę. Jestem ambitna i szłam szybko. Mój minister to człowiek oświecony. Jak to się kiedyś mówiło, „zeuropeizowany”. Lubi piłkę nożną, krykiet, ciężkiego rocka, jak tylko ma czas, chodzi do teatru. Lubi otaczać się kobietami, lubi podwładnych-niemuzułmanów. Większość naszego personelu to kobiety.

- To u którego ministra jesteś?

- U Jego Wysokości Księcia Ammariego.

Tarent, mimo wszystkiego, czego się dowiedział przez ostatnie dwie-trzy minuty, mimo że spodziewał się kolejnego zaskoczenia, i tak stracił dech. Szejk Muhammad Ammari był Sekretarzem Stanu ds. Obrony, chyba najwyższym rangą ministrem po premierze. Ta kobieta o szczupłym i spoconym ciele, o spokojnych dłoniach i rozczochranych włosach, o szczerych oczach, roztaczająca po seksie oszałamiający zapach, praktycznie rządziła Ministerstwem Obrony. Odpowiadała za bieżące sprawy wojska i miała ogromne uprawnienia.

Sięgnął pomiędzy rozrzucone na podłodze ciuchy, wygrzebał spodnie z nogawkami w pośpiechu - jego lub Flo pośpiechu - wyróconymi na lewą stronę. Canon był w kieszeni na pasku. Wyciągnął go.

- No dobra, dostaniesz te zdjęcia - powiedział.

Włączył aparat, rozłożył go, wcisnął przycisk „Połącz”. Natychmiast dostał się do laboratorium, więc znalezienie trzech zdjęć, które jej zrobił, było kwestią sekund. Podsunął jej aparat.

- Wiesz co, to już w sumie nie ma znaczenia - odparła, ale przysunęła się bliżej do niego, aby spojrzeć na ekran.

Podparła się dłonią o jego kolano. Otarła się sutkiem o jego ramię. Zdjęcia nie były za szczególne: jedno rozmazane, chyba przez nagły podskok transportera, dwa pozostałe - ostre jak

brzytwa. Pokazywały ją z półprofilu, do którego przyzwyczał się podczas podróży, pochyloną trochę na siedzeniu, z lewą ręką dotykającą włosów za uchem. Na żadnym nie było wyraźnie widać twarzy. W tle majaczyło wnętrze mebshera, ciemne i ascetyczne.

Dotykała teraz głową jego policzka, kosmyki włosów opadały mu na ramię. Objął ją, położył dłoń na plecach. Zdjęcia w aparacie przywiodły mu na myśl tamten fizyczny paradoks: fizyczny chłód, którym emanowała, będąc tak blisko, a jednocześnie daleko. A teraz, zupełnie co innego: ciepłe, zmysłowe ciało dotyka go, czuje na twarzy łaskotanie jej oddechu. I powiedziała, żeby mówić jej Flo.

- Nikt poza mną by cię nie rozpoznał.

Dłoń pozostała na jego nodze, palce lekko obejmowały udo, zaciskając się w delikatnym rytmie.

- Sama bym się rozpoznała - odparła. - Jego Wysokość by rozpoznał.

- Dobra. - Wysunął sterownik spod cienkiego korpusu aparatu, poczekał aż połączenie z laboratorium się potwierdzi. Zaznaczył trzy zdjęcia i usunął je. - To były oryginały. Nie ma żadnych kopii zapasowych. Przepadły na wieki.

Nie zareagowała.

- Co, nie wierzysz mi? - zapytał.

- Wierzę. - Zabrała dłoń jego nogi, postukała delikatnie w implant za uchem. - Czułam, że się kasują.

- To coś masz zawsze włączone?

- Dwadzieścia cztery na siedem, ale mogę to uśpić, kiedy chcę spać. - Wyciągnęła rękę, żeby wziąć od niego aparat. Niechętnie oddał jej go. Uniosła go do twarzy, jakby robiła zdjęcie. - Nie rozumiem, jak on działa bez soczewki.

- Jest soczewka, ale nie optyczna. Tak zwany kwantowy obiektyw. Chyba już z rok, jak nie używam aparatu z optycznym obiektywem.

Wskazał miejsce, gdzie z przodu kamery schowały się trzy trójkątne, spiczaste elementy. Dotknął włącznika, uniosły się

bezglóśnie, tworząc płytką piramidkę ponad otworem sensora. Mówiąc o czymś, co uwielbia, poczuł gładką przyjemność.

- To działa na poziomie atomowym albo subatomowym. Cyfrowo skupia fotony, kiedy wciśnie się spust. Stuprocentowy automat: ustawia ostrość, przesłonę, czas, wszystko naraz. Mogę to przestawiać, ale kiedy robię na automacie, każde zdjęcie jest ostre i zawsze poprawnie naświetlone. Jeszcze nie wymyślili sposobu, jak sobie poradzić z drganiami mebshera, ale pewnie w kolejnej wersji już to będzie.

Mówił lekkim tonem, ale kiedy na nią spojrział, coś się w jej zachowaniu zmieniło - zniknęło całe to rozluźnienie i wesołość.

- To jest twój własny aparat?

- Ten, tak. Dwa pozostałe dostałem na testy od producentów.

- Ty wiesz, że używanie takiego aparatu jest nielegalne?

- Mówiłem ci, mam zezwolenia...

- Zezwolenia są nieistotne. Jeśli ten aparat korzysta z technologii sąsiedztwa, to robienie nim zdjęć jest od zeszłego roku nielegalne.

- Nic o tym nie wiem.

- Nieznajomość prawa nie zwalnia...

- Nie było mnie tutaj - powiedział Tarent.

- No tak, byłeś w Turcji. Tak się składa, że u nich nie ma takiego zakazu. Ale nie wolno ci ich używać nigdzie w całej Europie.

- Czemu miałyby zostać zabronione? One tylko robią zdjęcia.

- Wszystkie kwantowe technologie zostały uznane za toksyczne. Sporadycznie mogą zagrażać życiu i zdrowiu użytkownika i wszystkich innych ludzi w zasięgu. Zbyt wiele skutków ubocznych.

- Nie wierzę własnym uszom. Jak aparat może mieć jakieś skutki uboczne? I na co niby miałbym zachorować? Ja ich używam od ponad roku.

- Wszystkich tych technicznych argumentów nie kojarzę. Zorganizowano komisję i kiedy potwierdziła wyniki badań, Kalifat w trybie przyspieszonym wydał ustawę. Używanie takich

kamer wiąże się z ryzykiem, sporadycznym, ale podobno poważnym.

- Jak one miałyby komuś zaszkodzić? Mnie się nic wielkiego nie stało.

- A po czym to poznajesz? W każdym razie, powinieneś je oddać.

- To moje narzędzia pracy. Musi być jakaś furтка w tej ustawie dla zawodowych fotografów.

Flo dotknęła implantu na szyi.

- Mam sprawdzić dokładnie? Mogę teraz.

- Nie, bo potem zaczniesz mi rozkazywać, że mam je oddać. Wiesz co, może tak: najpierw załatwię to przesłuchanie, a potem, kiedy wrócę do Londynu, pogadam z moimi zleceniodawcami. Jeśli to okaże się konieczne, wymienię mi sprzęt.

- Powiedz ci dokładnie to, co ja.

- Może i tak. Flo, słuchaj: daj spokój. Nie jesteś teraz w pracy.

Flo znów wyciągnęła rękę, żeby mu zabrać aparat, on jednak odsunął go od niej i włożył z powrotem do futerału. Potem podłączył do ładowarki. Wszystkie trzy aparaty schował do wąziutkiej szafy. Obserwowała go; kiedy zamknął drzwi szafy, spojrzał na nią pytająco, zastanawiając się, czy dalej się będzie z nim spierać. Lecz jej nastrój znów się gwałtownie zmienił. Siedziała po drugiej stronie łóżka, w luźnej pozie, opierając się na łokciach.

- To co, ustaliliśmy, że pieprzymy się jeszcze raz, tak? - zapytała.

Nie mógł uwierzyć, że można mieć aż takie wahania nastrojów.

- Raczej myślałem, że zaraz się ubierzesz i sobie pójdziesz.

- No... nie, masz rację. Nie jestem w pracy. Zapomnij o tym, co wygadywałam o tych, kurna, aparatach. Czasami się zapominam. Nie wiem, kiedy się wyłączyć. Przepraszam cię.

- Pracuję na freelance'ie od tak dawna, że wiem, że prawa się nie ignoruje. Jeśli jest problem, później go jakoś rozwiążę.

- No wiem, wiem, dobra, zapominamy.

- Zapominamy o wszystkim?
- Nie o wszystkim. OK. Nie jestem już w pracy, wyłączyłam się. Zróbmy to, po co tu przyszliśmy.

Przyparła go do łóżka. Z początku był skrępowany, zmrożony huśtawką jej nastrojów i zachowań; mimo to zrobili to jeszcze raz. Tym razem trwało dłużej i o wiele bardziej się spocili. Z ogrzewania wiało na nich niechcianym ciepłem, gdy powoli, przyjemnie odzyskiwali dech. Tarent samym fizycznym aktem oczyścił się z rozdrażnienia, które u niego wywołała, choć zaczął teraz nieufnie na nią patrzeć. Leżał na niej, piersią napierał na jej biust, jedną nogę opuścił nad podłogę w poszukiwaniu chłodniejszego powietrza, był jednak wyczerpany, wyżęty, zgrzany, spełniony i rozradowany. I wszystko to dzięki niej. Flo jakby drzemała – nie poruszała się, twarz miała wtuloną w jego ramię, oddychała powoli i miarowo, ale po paru minutach nagle się sprężyła i spróbowała spod niego wydostać. Przesunął się, żeby ją uwolnić, podparła się na łokciach i podniosła. Wstała z łóżka, wzięła szybki prysznic w kabinie za jego plecami, wytarła się jego ręcznikiem i zaczęła ubierać. Tarent obserwował ją, już czując żal, że jest po wszystkim, żalując, że nie zechciała spędzić z nim reszty nocy. Wąski snop światła wciąż był jedynym jego źródłem w pokoju. Patrzył jak naciąga majtki na zgrabne, wyćwiczone i napięte pośladki, jak unosi sięgającą do kostek spódnicę, jak spina ją w talii klamerką.

– I co, widzimy się jutro? – zapytał.

– To niemożliwe. Chyba że faktycznie odpuścisz sobie Farmę Warne'a i pojedziesz ze mną do Hull.

– Mam wyraźne polecenia. Dobrze wiesz. A po co w ogóle ty musisz jechać do tego Hull?

Od razu po włożeniu na siebie ubrania, z powrotem zrobiła się apodyktyczna.

– Tam jest ZOR, Zdecentralizowany Ośrodek Rządu. Mam



spotkanie z Kolegium Połączonych Sztabów. Będę musiała obskoczyć parę komisji regionalnych, dwa panele doradcze, spotkanie z komendantami policji, wnioski od rady miejskiej i już sama nie wiem co. Kwestie obsady personelu, zaopatrzenia. Głównie rutynowe sprawy, ale niezwykle czasochłonne. Uprzedzałam cię. Ja nie mam prywatnego życia. Ale mogę cię schować w pokoju w hotelu i zobaczyć się z tobą wieczorem, po pracy.

- No, nie wiem...

- Ja walczę z niekończącym się ciągiem problemów.

- Ale nie sama przecież.

- Nie... pewnie, mam do tego cały departament. Ale po tym, co się stało w Londynie, jest stan wyjątkowy. Każda sytuacja jest teraz kryzysowa.

- A co się stało w Londynie?

- Chyba niemożliwe, żebyś nie słyszał.

- Przez parę miesięcy byłem odcięty od wiadomości.

- W Londynie był zamach terrorystyczny. Przed czterema miesiącami z kawałkiem. Skutki jak po małej bombie atomowej. Był skumulowany, w jakiś dziwny sposób, którego jeszcze nie rozpracowaliśmy. Ale część zachodniego Londynu została całkowicie zniszczona.

Wytrzeszczył oczy, próbując wywołać u siebie jakąś reakcję.

- Nie słyszałeś o tym, co? Naprawdę nie słyszałeś? - zapytała.

- Niemożliwe. Musiały być tysiące ofiar. Niemożliwe! - Dotarło do niego, że w szoku powtarza w kółko te same słowa. Nagle przypomniał sobie widok, który mignął mu za oknem auta, którym urzędnicy wieźli go przez Londyn. Ten poczerwiał, płaski krajobraz, którego nie chcieli mu pokazać, zaciemniając okna, żeby nic nie widział. - To się naprawdę stało? - dodał bez sensu. - Bomba atomowa? W Londynie?

- Mówi się na to „dziesiąty maja”, od daty, kiedy to się stało. Bomba atomowa, nie, przynajmniej nie w zwykłym sensie tego słowa. Raczej większa wersja tego, co trafiło twoją żonę. I niestety, to urządzenie jest coraz częściej w użyciu. Ten atak... w

ciągu ostatniego miesiąca było parę podobnych. Ale ten w Londynie był największy i najbardziej katastrofalny. Byliśmy w stanie go dobrze zbadać, te poprzednie było trudno, bo zdarzyły się gdzieś daleko. No ale, wiesz, zachodni Londyn jest o wiele bardziej pod ręką. Łatwiej prowadzić śledztwo.

- Mówisz, że takich wypadków było więcej?

- Przez ostatnie cztery tygodnie co najmniej piętnaście. Większość w takich miejscach jak Anatolia, ale zdarzyły się i dwa podobne, tylko mniejsze, w Wielkiej Brytanii. Trzy w Ameryce, jeden w Szwecji. Tak jak większość ludzi, nie masz pewnie świadomości, że jesteśmy w stanie wojny i to jest wojna, której raczej nie wygramy. Jedną wojnę, ze zmianą klimatu, już przegraliśmy, a teraz jeszcze to. Jak w tym banalnym powiedzeniu: wojna, która zakończy wszystkie wojny. Tym razem naprawdę tak jest. Jeśli to się zdarzy jeszcze w jakimś dużym mieście, nie będzie już więcej żadnej wojny.

- Powiedz mi dokładnie, co się stało.

- Dziesiątego maja, koło południa, trochę na południowy zachód od Maida Vale zaszło niewyjaśnione zdarzenie. Głównie w okolicy Bayswater. Nie był to wybuch, ale skutki są podobne. Na razie traktuje się to jak uderzenie bronią konwencjonalną, bo poziom promieniowania jest na tyle niski, że nie różni się od standardowego. Ale szkody są zbyt duże, żeby mogła je spowodować broń konwencjonalna. Nadal nikt nie wie, co to naprawdę było.

- Ile ofiar? - powiedział, wstrząśnięty tą okropną informacją.

- Minimum sto tysięcy. Ale może się okazać, że dwa razy tyle albo i więcej. Bo to jest trochę jak Efekt Hiroszimy: zginęli ludzie, ale i przepadły wszystkie dokumenty świadczące o ich istnieniu i niemal wszyscy ludzie, którzy ich znali. Całkowita anihilacja. Tak to właśnie prasa nazwała. Anihilacja. Nie ocalały żadne ludzkie szczątki, więc trzeba odnaleźć wszystkich ludzi, którzy mieli rodziny i znajomych w strefie zero. Według ostatnich szacunków zginęło nieco ponad sto dwadzieścia tysięcy osób. Na razie nazywa się ich zaginionymi, nie zostali oficjalnie

uznani za zmarłych. Podejrzewamy jednak, że to dopiero czubek góry lodowej.

- Nie rozumiem, jak to możliwe, że w ogóle się o tym nie dowiedzieliśmy.

Z dzisiejszej perspektywy było to wręcz niewiarygodne, ale przez wiele tygodni spędzonych w szpitalu polowym mieli kontakt ze światem zewnętrznym tylko przez sporadyczne zrzuty zaopatrzeniowe od Lekarzy Bez Granic. Z uwagi na zagrożenie ostrzałem, śmigłowce przylatywały tylko w nocy i nie lądowały. Lekarstwa i materiały, jedzenie i woda były zrzucone lub opuszczane na linie. Maszyny zaraz potem odlatywały.

Myśli kłębiły mu się w głowie - próbował sobie przypomnieć kogokolwiek, kto mieszkał wtedy w zachodnim Londynie.

- Przejeżdżałem dwa dni temu przez Londyn.

Opowiedział jej, co widział z samochodu, a ona potwierdziła, że zapewne jechał przez strefę szkód - była to Bayswater Road, spora część Notting Hill, obszar sięgający aż po West Kilburn na północy i Maida Vale na wschodzie.

- Potem zawieźli mnie do jakiegoś mieszkania, gdzieś pod Islington. Tam nie widziałem żadnych szkód, nie licząc tych po burzy.

- Wybuch był ograniczony. Eksperci od pirotechniki dotąd nie rozumieją, jak musiał być ukształtowany ten ładunek.

- Co znaczy, „ograniczony”?

- Obszar zniszczeń ma ostrą granicę. W kształcie idealnego trójkąta. - Patrzyła wprost na niego, czekając na reakcję. - Regularnego, równobocznego trójkąta, o prostych bokach, nieorientowanego względem północy i południa.

Tarent zamknął oczy i przypomniał sobie tamten dzień w Anatolii.

- Twoją żonę spotkało to samo, prawda?

Zapytał:

- Ale czemu trójkąt?

- Nie wiadomo.

- Idealny trójkąt?

- A ten, który widziałeś, był idealny?
- I co jest w tym trójkącie?
- Nic. Wszystko zniszczone. Zanihilowane.
- Kto by potrafił coś takiego zrobić?
- Tego też nie wiadomo.
- A mówiłaś, że ich złapali.

- Nie dowiedzieliśmy się, dla kogo pracowali, ale są pewne nowe materiały wywiadowcze, pracujemy teraz nad nimi. Obecnie podstawowa kwestia to zachowanie postawy obronnej. Nie możemy dopuścić, żeby to się powtórzyło. Środki bezpieczeństwa obowiązują od około miesiąca, z najwyższym stopniem gotowości; zachodni Londyn jest właściwie odcięty. Teraz musimy podjąć kroki na wypadek, gdyby atak się powtórzył. I to jest właśnie odpowiedź na pytanie, po co muszę jechać do tego Hull.

Flo przestała się ubierać. Usiadła na łóżku obok Tarenta, położyła mu dłoń na kolanie.

- Mam z tobą jeszcze trochę posiedzieć? - zapytała.
- Tak, proszę.

Poszedł do kabinki, skorzystał z toalety, wziął prysznic. Gdy wrócił do pokoju, Flo była już ubrana. Siedziała na brzegu łóżka, na kolanach trzymała grubą puchową kurtkę. Usiadł obok niej. Wciąż był oszołomiony tymi rewelacjami. Dotarło do niego, jaki wstrząs musiał przeżyć cały kraj - cały świat - i że to, co on czuje teraz, to pewnie jest nic w porównaniu z tamtym. Wtedy, gdy to się stało, to był nie tylko szok, jeszcze obawa o wszystkich narażonych na atak, lęk, że to się powtórzy, złość, niepokój, uraza...

A on przynajmniej dowiedział się na tyle późno, że było wiadomo, że jak dotąd nie doszło drugiego ataku. Jak dotąd. Żadnego tak dużego.

Przypomniał sobie ten zagadkowy widok, gdy auto zwolniło, a ludzie, którzy go pilnowali, rozmawiali z niepokojem o nadciągającej burzy. Nie wiedział na co patrzy, więc z tych paru sekund zapamiętał jedynie wrażenia - czerń, brak widocznych

szczątków i ruin, wszystko zrównane z ziemią.

W przypadku każdego większego ataku terrorystycznego większość ludzi, którzy nie byli naocznymi świadkami, przyjmuje go ze spokojem – dowiadują się o nim z niekończących się programów telewizyjnych albo z Internetu, nie rozmawiają z nimi, ale czują wymaginowaną wspólnotę przeżyć – chaos na ulicach, lęk, co będzie następne, pełna poczucia winy ulga, że sami nie ucierpieli, niekończące się rozmyślania, co się tak właściwie stało. Słuchają relacji świadków, ocalałych, potem odzywają się eksperci, politycy, rzecznicy, protestujący przeciwko polityce rządu. Zaraz po ataku wszystko zostaje wyjaśnione i opisane, a mimo to pozostaje na swój sposób niewytłumaczalne. A cztery miesiące później sytuacja wygląda inaczej – samo zdarzenie jest jasne, znane, w pewnym stopniu rozpracowane, natomiast wokół niego pojawia się kolejna, większa zagadka. Nawet po czterech miesiącach coś tak szokującego wraca do wspólnych wspomnień, wyłania się z historii.

W końcu Flo wstała i powiedziała:

– Już czas.

Wiedział, że nie może z nim zostać, lecz jednocześnie nie miał ochoty zostawać sam. Było już grubo po północy. Dodała:

– To jak, postanowiłeś, co jutro robisz? Jedziesz ze mną do Hull? Muszę wiedzieć.

– Pojadę jednak na to przesłuchanie – odparł. Wizja, że będzie dla niej erotyczną zabawką, nudzącą się w pokoju hotelowym w Hull, kiedy ona przestaje z dyrektorami, żołnierzami i księżętami, nie pociągała go zanadto. – Chcę jak najszybciej wrócić do domu. A zresztą na ciebie czeka rządzenie krajem.

Nie zareagowała.

– Z Farmy Warne'a kursuje do ZOR-u w Hull regularny helikopter po zaopatrzenie. Jeśli twoje przesłuchanie będzie standardowe – a BPZ ma jeden format dla dyplomatów wracających z misji zagranicznych – to nie powinno trwać więcej niż dzień- dwa. Ja muszę być w Hull co najmniej cztery dni.

Spróbujesz? Ja bym chciała, żebyś przyjechał.

- Dobra - odpowiedział, choć myślami już był przy czym innym.

Schadzka z Flo niczego w jego życiu nie zmieniła, to było tylko chwilowe, tymczasowe. I właśnie się raptownie skończyło. Nie chciał, żeby wychodziła.

Teraz do swojego żalu po Melanie dołożył coś jeszcze - poczucie winy, że poszedł do łóżka z inną kobietą. Po raz pierwszy zdradził żonę, a w każdym razie dokładnie tak się czuł. Mimo to miał silne pragnienie, żeby jej nie wypuszczać. Nie miał nikogo innego, a ona go chciała. Przynajmniej tak powiedziała. Dalsze jego życie, bez niej, będzie pozbawioną sensu pustką. Poczul wszechogarniającą, choć irracjonalną chęć, by jej nie puścić albo przynajmniej opóźnić chwilę, kiedy wyjdzie. Nie zaznał tego uczucia od lat. Jak nastoletnie zakochanie, zauroczenie ładną dziewczyną z sąsiedztwa, która powiedziała, że cię lubi.

- Czyli widzę cię jutro w mebsherze, tak?

- No, tam mnie zobaczysz.

- Chcę pobyć z Tobą, Flo - powiedział. - Zostań.

- Dobranoc, Tibor. - Pochyliła się ku niemu, nadstawiła do niewinnego całusa.

Coś jeszcze było, coś niedokończonego. Gdy krótki pocałunek dobiegł końca i zaczęła się od niego odwracać, zapytał:

- A co to był za facet, o którego mnie pytałaś? Mówiłaś, że jakiś holenderski naukowiec.

- Nazywał się Thijs Rietveld, ale nie był naukowcem. Nie takim, jak pewnie myślisz. Był fizykiem- teoretykiem. Uniwersyteckim.

- I mówisz, że ja go spotkałem?

- Masz to w aktach.

- To pewnie pomyłka. W ogóle nie kojarzę tego nazwiska.

- W aktach jest inaczej. Ale to było jakiś' czas temu. Jeśli zapomniałeś...

- Po prostu nie wyobrażam sobie, gdzie mógłbym kogoś takiego spotkać.

- No jasne. - Była przy drzwiach, majstrowała przy zamku. Dioda zmieniła kolor na zielony. - Nie mogę cię zmusić, żebyś pojechał ze mną na spotkanie w ZOR-rze, ale kiedy skończysz sprawy na Farmie Warne'a, przyjedź do mnie. Byłeś obecny, kiedy zginęła twoja żona, spotkałeś Rietvelda. Dla mnie to kolejne ogniwo łańcucha, który próbuję połączyć. Rietveld odkrył zjawisko sąsiedztwa. Ta nazwa coś ci mówi?

- Nie.

- Nad tym właśnie pracujemy. I jaskrawe światło na niebie. Widziałeś coś takiego?

- Ktoś w szpitalu mówił, że widział, chwilę przed wybuchem.

- To jest kolejne ogniwo. Wiemy, że coś takiego występuje, wysoko, w punkcie wybuchu, ale nie wiemy, co to jest. Wiadomo, że to nie żadne UFO. Ma coś wspólnego z efektem sąsiedztwa.

- Ale ja tego nie widziałem.

- Ale tam byłeś. To wystarczy. - Otworzyła drzwi. - W każdym razie chciałabym się z tobą jeszcze zobaczyć. Wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Tylko jak się z tobą skontaktuję, jeśli coś pójdzie nie tak? - Drzwi zamknęły się. - Nawet nie podałaś mi swojego nazwiska - rzucił jeszcze, w ciszę.

Po stłamszonej pościeli przemknął jakiś cień, falującej gałęzi, wyginanych przez wiatr liści, oświetlonych wąskim, skośnym snopem światła. Zostawiła po sobie swój zapach, w dusznym powietrzu w pokoju, na pościeli, w jego myślach. Trzeba było się spodziewać, że wyjdzie z jego zasięgu tak samo jak weszła: na swoich warunkach, dla swoich potrzeb. Choć potrzeby mieli wspólne. Przed chwilą była, teraz już jej nie było. Nadal słyszał jej kroki na zewnątrz, oddalające się korytarzem. Był fizycznie wyczerpany - trzęsąca podróż, rozmowa, seks, ale był rozbudzony i czujny, niegotowy na sen. Podszedł do okna, podciągnął żaluzję, żeby wpuścić do środka więcej sztucznego światła. Szarpnął za klamkę i zaklejone farbą okno, ku jego zaskoczeniu, ustąpiło. Przez wąską szparę do środka wdarł się

wspaniały, lodowaty powiew. Wiatr na dworze wirował chłodno pomiędzy niskimi budynkami. Szarpał koronami drzew, szumiał liśćmi - Tarent myślał, że już nigdy w życiu nie usłyszy tego odgłosu.

Niespodziewanie przypomniał sobie chwile z dzieciństwa, zabawy w lesie, gdzie rosły dzwonki, gdzie czekała na niego matka, przypomniał sobie jakiś nastoletni romans, składający się głównie z długich i zapamiętałych spacerów, długie wakacje w lasach północnych Niemiec, a wszystko to przy akompaniamencie szelestu i szmeru zielonych liści na wietrze. Przycisnął twarz do zimnej szyby, wpatrzył się w dal, poza zasięgiem reflektorów i wysokimi koronami drzew, nieoświetlonych od dołu, ale odcinających się ciemno na tle nieba. Poczuł na szyi i ramionach przyjemny ełłodek, pomyślał o zimnych dniach, o ciemnych nocach, o minionych okazjach. Próbował sobie przypomnieć inne rzeczy z przeszłości, wspomnieć, jak to kiedyś było, nie tak dawno temu, jeszcze za jego życia, lecz teraz, gdy Flo zostawiła go samego, był w stanie myśleć tylko o gołących i śmiercionośnych dniach w Anatolii, o niekończącym się upale, bczdrzewnych górach i wyschniętej ziemi, płaczu dzieci, sporadycznych huknięciach min i beczelnym jazgocie broni maszynowej, połamanych i okaleczonych kończynach - o odgłosach i smrodzie ludzkiej śmierci.



# **CZEŚĆ II**

## **La Rue des bêtes**

## Wizjoner

Do Hawru był jeszcze kawałek, mimo to statek zatrzymał maszyny, zwolnił i stanął, rozkołysany na ciemnej wodzie. Po spędzeniu trudnej godziny w hałaśliwej mesie na dole, w otoczeniu ludzi cierpiących na chorobę morską, gdzie próbowałem oddychać dusznym, ciężkim od dymu powietrzem, wyszedłem na pokład szalupowy. Przed chwilą dowiedziałem się, że mój stopień komandora porucznika (p. o.) uprawnia mnie do pewnych przywilejów, w tym do schronienia się na tym wietrznym deku. Była późna, chłodna listopadowa noc, z południowego zachodu wiał porywisty wiatr, ja jednak i tak stałem w ciemności tuż za drzwiami, z zadowoleniem wdychając czyste, chłodne powietrze. Niewielu było na tym statku prawdziwych wilków morskich i wzburzone morze sprawiło im nieprzyjemną niespodziankę. Mnie *mai de mer* zanadto nie męczyła, ale widoki i odgłosy spod pokładu stały się nie do wytrzymania.

Odszedłem od drzwi, poruszając się po omacku w ciemności, trzymając się poręczy. Jedyne światło dawał księżyc w kwadrze, a i on chwilami gasł, przesłaniany pędzącymi z wiatrem gęstymi chmurami. Podejrzywałem, że kiedyś były tu ławki lub leżaki dla pasażerów, teraz jednak ktoś je zabrał – cały pokład był zastawiony wojskowym sprzętem, na który udało mi się zerknąć w Folkestone, za dnia, kiedy się okrętowałem – ciężarówki, wózki, wielkie skrzynie, tajemnicze żelastwo przykryte brezentem. Nawet za dnia trudno było się zorientować, co stanowi większość ładunku. Miałem tylko nadzieję, że nie jest to amunicja.

Inny oficer marynarki ostrzegł mnie, abym stamtąd nie wychodził, należałem jednak do tych nielicznych pasażerów, którzy mieli taki wybór. Byłem cywilem albo cywilnym oficerem, ale świeżo uszyty na miarę mundur ani dobrze na mnie nie leżał, ani mi nie pasował. Czuję się jak przebieraniec, miałem wrażenie, że ludzie wokół, szczególnie załoga statku, natychmiast się na mnie poznali.

Przedostałem się w stronę dziobu statku, licząc, że stamtąd uda mi się dostrzec port albo chociaż ląd. Zejściówka, którą po omacku szedłem, była cała zastawiona skrzyniami i pudłami, tak że kilka razy uderzyłem o coś boleśnie łydką. Kwaternistrz dał mi płaszcz mundurowy, który miałem teraz na sobie, wdzięczny za otuchę, jakiej dodawał jego ciężar.

Francji zupełnie nie było jeszcze widać, wróciłem więc ostrożnie w stronę rufy, licząc na ostatnie, ciemne, pożegnalne spojrzenie na Anglię. Nie wiedziałem, kiedy do niej wrócę, i czy w ogóle. I znów obięłem sobie łydkę. Dotarłem do stromych metalowych schodków, ale pomysł schodzenia nimi po ciemku, nie wiedząc, co jest na dole, wcale mi się nie spodobał. Zatrzymałem się na górze, myśląc, że może uda mi się dostrzec jeszcze Anglię. W tej części statku surowy wiatr omiatał nieosłonięty pokład, pokryty kroplami deszczu lub piany ze wściekle zimnego kanału La Manche. Nigdy dotąd nie opuściłem brzegów mojego ojczystego kraju, więc głowę miałem pełną myśli o czających się przede mną niebezpieczeństwach.

Powoli wróciłem w stronę dziobu, bo zauważyłem miejsce mogące dać choć trochę osłony przed wiatrem.

Statek był całkowicie zaciemniony, na szczęście wzrok zaczynał mi się przyzwyczajać do słabego księżycowego światła. Gdy trafiłem z powrotem, ktoś stał tam, gdzie wcześniej ja i tak samo jak ja otulony w obszerny płaszcz. Wnosząc po przygarbionej sylwetce był równie zmarznięty i zmęczony jak ja. Chyba usłyszał moje kroki, bo gdy podszedłem, podał mi po przyjacielsku rękę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie w ciemności, mrużąc zdawkowe słowa powitania, które i tak porywał wiatr. Raczej poczułem niż

usłyszałem skrzypnięcie ocierających się o siebie skórzanych rękawiczek.

- Pan się może orientuje, co się dzieje? - spytałem podniesionym głosem. - Dlaczego statek się zatrzymał?

Nachylił się ku mnie i też podniósł głos.

- Słyszałem, jak załoga mówiła, że jakiś inny statek zatonął. Przed samym portem w Dieppe. Kapitan powiedział, że to podobno był okręt szpitalny. Mówił, że widzieli na wschodzie błysk i słyszeli wybuch. - Urwał, wyraźnie zbulwersowany, tak samo jak ja, wnioskami z takiego zdarzenia. - Kapitan powiedział, że zamierzał skrócić do Dieppe, ale potem zmienił zdanie.

- I cóż to było? Okręt podwodny? U-Boot?

- A cóżby innego? Mogła być jeszcze mina, ale wejścia do francuskich portów na Kanale nie tak dawno były trałowane. Na kanale są jeszcze inne statki, może to któryś z nich zatopili.

- Okręt szpitalny! Rany boskie. - Wstrząsnęła mną ta wiadomość, brutalne przypomnienie, że bierzemy udział w desperackiej wojnie. - Aż trudno to sobie wyobrazić, jaka by to była katastrofa.

- Doskonale pana rozumiem.

- Pan pierwszy raz poza krajem, odkąd wybuchła wojna? - zapytałem.

- Nie, drugi. Parę tygodni temu byłem we Francji, ale bardzo krótko. A pan?

- Ja pierwszy raz - odparłem.

I zamilkłem na chwilę, bo zgadzając się na tę misję, zostałem uprzedzony, aby absolutnie z nikim o niej nie rozmawiać. Zadanie, którym miałem się zająć, uznano za tajne w najwyższym stopniu, choć przed dotarciem do punktu docelowego we Francji nawet ja nie miałem poznać żadnych szczegółów. Przez ostatnie dwa tygodnie, gdy przygotowywałem się do wyjazdu, zachodząc w głowę, jak to się stało, że ktoś uznał mój udział w wysiłku wojennym za nieodzowny, nauczyłem się uważać na słowa. Miałem dobrze po pięćdziesiątce, byłem o

wiele za stary, by przydać się na coś w wojsku czy marynarce, a przynajmniej tak sądziłem, a jednak kraj się o mnie upomniał. Ja zaś poczułem się zobowiązany do lojalności wobec niego w czasie wojny.

Z zachowania wywnioskowałem, że mój towarzysz jest mniej więcej w tym samym wieku co ja, a zatem mało prawdopodobne, aby był oficerem służby czynnej. Parę minut staliśmy razem w niezręcznej ciszy, gdy nagle usłyszeliśmy telegraf okrętowy, a z komina buchnęły iskry i dym. Wielkie maszyny znów zadudniły, przez kadłub przeszły znajome drgania. Z kabin na dole dobiegły odgłosy ironicznych wiwatów, gdy do żołnierzy dotarło, że statek znów rusza w drogę. Im, tak samo jak mnie, zapewniało to irracjonalne poczucie bezpieczeństwa – jakby sam ruch był w stanie nas ochronić. Gdy statek stał bez ruchu, nie mogłem wyzbyć się lęku, że już pędzi ku nam stado niemieckich U-Bootów i już nacelowuje wyrzutnie torped. Ta skorupka była tak mała, tak przetadowana, kadłub miała tak cienki – wydawała mi się bezbronna wobec wszystkiego, gdy unosiła się na wzburzonym morzu.

Mój towarzysz wyraźnie myślał podobnie, bo gdy maszyny ponownie się odezwały, powiedział:

– O. Tak lepiej. Niedługo będziemy schodzić. Nawet jeśli trzeba będzie nadłożyć drogi do Calais, to nie potrwa długo. Może byśmy schowali się na trochę przed wiatrem? Dokąd w ogóle pan zmierza, jeśli wolno spytać?

– Nie mogę powiedzieć. Takie mam rozkazy.

– Pomyślmy. Jest pan zmobilizowanym cywilem, prawda?

– Tak – odpowiedziałem. – Wolno mi mówić, że jestem „doradcą taktycznym”.

– To świetnie! Mnie powiedziano dokładnie to samo. Nasze zadania we Francji są więc bardzo podobne, choć zapewne nie we wszystkich szczegółach. Mamy trzymać gębę na kłódkę. Dla szczytnego celu, jak to mówią. Wszędzie roi się od niemieckich szpiegów. Ale... chyba przedstawienie się sobie wielkiej szkody nie narobi, prawda?

- Hm...

Teraz, gdy stałem bliżej niego, a wzrok przyzwyczaiał mi się do nocnego mroku, widziałem go nieco wyraźniej. Był niższy ode mnie, mocno zbudowany, a kiedy mówił, podrzucał głowę w niespotykany, choć całkiem sympatyczny sposób. Zapoznawaliśmy się ze sobą w niezwykłych i nieprzyjemnych okolicznościach, lecz mimo to wyczuwałem, że ma poczucie humoru, że nie jest skłonny traktować mnie, czy całej sytuacji, z nadmierną powagą. Choć ostrzeżenia przed gadaniem miałem w pamięci, nie byłem w stanie wyobrazić sobie mniej prawdopodobnego niemieckiego szpiega.

W repertuarze moich występów scenicznych mam między innymi czytanie w myślach, które wymagało ode mnie umiejętności rozpoznawania różnych angielskich akcentów. Ten człowiek mówił jak ktoś wykształcony, lecz gdzieś w jego samogłoskach, w intonacji, krył się ślad londyńskiego cockneya, odmieniony przez świadomość klasową i wpływ wyższego wykształcenia. Wyobraziłem sobie, że mieszka na zamożnym londyńskim przedmieściu albo w bogatym miasteczku targowym gdzieś na południowym wschodzie kraju. Z takich strzępów intuicyjnych spostrzeżeń, wzmocnionych w moim wypadku latami ćwiczeń nad zachowaniem nieznanym ludzi, tworzymy nasze pierwsze wrażenia. W tamtej chwili, widząc wylaniające się z oddali światła portu w Hawrze, byłem zmarznięty, zmęczony podróżą i potwornie głodny. Już wcześniej stwierdziłem, że właśnie w takich warunkach niezwykle wyostrza mi się umysł. Bardzo spodobała mi się perspektywa spędzenia reszty podróży na inteligentnej rozmowie. Zapragnąłem go polubić, bo potrzebowałem towarzystwa.

Po chwili namysłu, poszedłem za jego propozycją i powiedziałem:

- Możesz mi chyba mówić „Tom”.

- Tom! Miło mi cię poznać.

Znów uścisnęliśmy sobie dłonie.

- A pan?

- Zaraz. Jeśli pan chce... jeśli chcesz... możesz mi mówić... Bert.

Uściliśmy sobie dłonie serdeczniej niż przedtem i bardziej przyjacielsko. Tom i Bert, Bert i Tom. Dwóch Anglików w średnim wieku, na statku płynącym na wojnę.

I nadal staliśmy razem w tym choć trochę osłoniętym punkcie na dziobie. Około dziesięciu minut później statek powoli wpłynął pomiędzy dwa ogromne falochrony. Prawie nie odzywaliśmy się do siebie, rozglądając się zawzięcie, chłonąc, co tylko dało się zobaczyć. Dzwonek telegrafu rozlegał się co chwila, maszyny co chwila zmieniały ton. Ktoś na brzegu coś zawołał, statek parę razy ryknął syreną. Poleciały cumy, zawiązano je, maszyna ucichła i nastąpiło parę łagodnych, powolnych wstrząsów, gdy kadłub stykał się z nabrzeżem.

Z dolnych pokładów też słyszeliśmy hałas i poruszenie.

- Muszę zebrać bagaże - powiedział po chwili Bert. - Myślę, że przy wsiadaniu do pociągu będzie niezły rozgardiasz i tłok. Rozumiem, że też jedziesz dalej pociągiem?

- Tak, i mam przepustkę na pierwszą klasę.

- Ja tak samo. Nie podejrzewam, aby bilet pierwszej klasy sprawiał jakąś różnicę w wojskowym pociągu, ale może chociaż uprawnia nas do miejsc siedzących.

Pośpiesznie i nieformalnie zgodziliśmy się spotkać, w miarę możliwości, w wagonie pierwszej klasy pociągu, którym mieliśmy się zabrać. Na wypadek, gdybyśmy się nie spotkali, pożegnaliśmy się, życząc sobie nawzajem przyjemnej podróży, po czym w poszukiwaniu swoich bagaży zanurkowaliśmy w czeluści gorących, cuchnących i wypełnionych dymem dolnych pokładów.

## 2

Nieco później zszedłem ze statku, przeciałem rozległy plac portowy i poprzechycałem się trochę i powciskawszy, zająłem miejsce w pociągu. Powoli traciłem rachubę czasu – miałem wrażenie, że to jedna, niekończąca się noc pełna niezliczonych opóźnień, zmęczenia, hałasu, a moje dłonie, twarz i stopy zaraz zamarzną na kość.

Chyba zbliżała się już północ. Podróżowałem, o ile to jest właściwe słowo, od wczesnoporanego śniadania.

Najłatwiejsze okazało się dotarcie z domu w Bayswater na dworzec Charing Cross – po prostu wzięłem taksówkę, która zawiozła mnie razem z bagażem, szybko i dość wygodnie. Potem było już tylko gorzej, reszta dnia okazała się prawdziwym piekłem. Przepustka na pierwszą klasę dała mi wejście do wagonu pierwszej klasy, ale to był tylko zabieg formalny – i tak musiałem cisnąć się w przedziale z na oko dwudziestoma absurdalnie młodymi żołnierzami, różowymi na twarzach i spoconymi z przejęcia, w większości mówiącymi ciężkimi regionalnymi akcentami, ubranymi w khaki, poowijanymi parcianymi pasami, objuczonymi ogromnymi plecakami z przytroczonym najrozmaitszym sprzętem. Wszyscy mieli za to dobre humory, do mnie nieodmiennie zwracali się „sir” i ogólnie miło mi się z nimi rozmawiało, co nie zmieniało faktu, że tłoczyliśmy się jak śledzie w beczce.

Powolna jazda do portu w Folkestone była istną torturą – pociąg jechał ze spacerową prędkością i od Londynu do Kentu stawał, jak się zdaje, pod każdym semaforem. Gdy w końcu dotarliśmy do portowego dworca, wszyscy zaczęli przepychać się gorączkowo, najpierw do latryn, potem do długiej kolejki w miejscu, gdzie wydawano herbatę oraz trochę chleba i masła.



Zaokrętowaliśmy się, od czego wcale nie zrobiło się luźniej i wygodniej – okazało się bowiem, że na statku już jest tłoczno od żołnierzy, którzy przybyli przed nami. Nasz przyjazd jeszcze zwiększył panujący na pokładach rozgardiasz. Sam tkwiłem w nim przez długi czas, wiedząc, że ci młodzi ludzie tak samo jak ja potrzebują jedzenia i picia, pozostając zatem wśród nich, mam przynajmniej szansę, że coś dostanę.

Statek odbił, ale okazało się, że nie płynie do Boulogne lecz do nieco bardziej odległego Hawru. Wtedy właśnie większe fale wywołały u licznych rekrutów *mai de mer*, uciekłem więc na otwarty pokład i tam spotkałem mego nowego przyjaciela Berta.

Nie mogłem go potem znaleźć, wsiadając do pociągu w Hawrze – może zbyt skupiłem się na zajęciu miejsca siedzącego. Udało mi się jednak zająć miejsce także dla niego, gdyby się pojawił. Wagon zappełniał się jednak bardzo szybko – nie mogłem trzymać tego siedzenia w nieskończoność. Niebawem opadł na nie młody szeregowy z Fyzylarów z Lancashire. Poczęstował mnie papierosem, zaproponował łyka z manierki. Nazywał się Frank Butler, miał dziewiętnaście lat i pochodził z Rochdale. Pierwszy raz w życiu gdzieś wyjeżdżał. Opowiadał z wielkim zapałem o wycieczkach w Penniny i trzy razy w jednym zdaniu tytułował mnie „sir”. Zacząłem przysypiać, mimo nieustającej gadaniny szeregowego Butlera. Czas zaczął płynąć nieco szybciej niż przedtem.

Nagle ktoś szarpnął mnie za ramię.

– Przepraszam, czy pan komandor Trent?

Otworzyłem oczy i zobaczyłem nad sobą postać wysokiego starszego szeregowego, przechylającego się ku mnie przez zbitą ciżbę ciał.

– Pan komandor Trent? Ten uczonec?

– Trent. Tak. Ale...

– Szukałem pana po całym pociągu. Mam rozkaz zaopiekować się panem, a jest pan w niewłaściwym wagonie. Jeśli nie zaprowadzę pana na właściwe miejsce, to będę w niezłych tarapatkach.

Mówił z wielkim szacunkiem, bardzo uprzejmym tonem. Nie chciałem pakować go w tarapaty, więc z trudem, przy serdecznej pomocy żołnierzy, zdjąłem z półek dwie wielkie walizy. Pociąg wciąż jeszcze nie ruszył z portowej stacji. Razem z szeregowym uporaliśmy się z otwarciem drzwi i na wpół wyskoczyliśmy, na wpół wypadliśmy na peron.

- Wstrzymali odjazd, panie komandorze, póki pana nie znajdę  
- krzyknął do mnie przez ramię.

Wziął większy z moich kufrów i poszliśmy szybkim krokiem wzdłuż pociągu. Żołnierze szczerze wypełniali każdy z wagonów, niewiele brakowało, by wypchnęli wszystkie drzwi i okna.

- Jeszcze trochę, sir. Tam będzie pan miał o wiele wygodniej, nie będzie się pan musiał tak tłoczyć. I ten drugi dżentelmen już tam na pana czeka.

Dotarliśmy do wagonu na końcu pociągu, wyglądającego jak towarowy, z paroma tylko małymi okienkami. Starszy szeregowy wprowadził mnie po wąskich drewnianych schodkach, pośpieszając. Wciąż próbowałem wepchnąć do środka moją walizę, gdy poczułem szarpnięcie ruszającego pociągu.

Był to wagon służbowy czy pocztowy, duży, z wielką zamykaną klatką na ładunek oraz ogromną ilością chorągiewek i lamp używanych przez *le chef de train*. Było tu ciepło, paliły się lampy naftowe. Na drewnianym krześle w środku klatki siedział mój znajomy Bert. Siedział prosto, choć wydawał się rozluźniony. Złożył obie dłonie na główce laski, na nich oparł podbródek. Obok niego stało drugie takie samo krzesło.

Starszy szeregowy uprzejmie wprowadził mnie do klatki, postawił moje bagaże i dopilnował, żebym usadowił się wygodnie. Pociąg już nabierał odrobinę szybkości, więc niepokoiłem się trochę o młodego człowieka, wiedząc, że nie ma tu przejścia między wagonami. Ten jednak, nieprzejęty, pokazał mi szafkę, w której stał dzbanek z wodą, dwie szklanki, dwie długie francuskie bagietki zawinięte w biały pergamin, trochę sera i butelka czerwonego wina.

- Sir, bułki już chyba trochę wyschły, ale jeszcze powinny być

smaczne.

Rzeczywiście, wszystko to wyglądało niezmiernie apetycznie.

Chwilę później starszy szeregowy, życząc mi dobrej nocy, powiedział, że zajrzy do nas, kiedy dojedziemy do Béthune. Otworzył drzwi, wyszedł na schodki – widziałem za nim przesuwaną się peron. I wtedy, zupełnie jak na sygnał, pociąg raptownie się zatrzymał, piszcząc potwornie hamulcami.

Tymczasem Bert się ocknął. Siedział prosto i patrzył na mnie, mrugając. Przywitaliśmy się ponownie.

- Jakże się cieszę, że jedziesz ze mną – powiedział Bert. - Już myślałem, że zabrałeś się jakimś innym pociągiem.

Powiedziałem mu, co się wydarzyło, a potem, czując, że burczy mi w brzuchu, dodałem:

- Nie reflektujesz na trochę chleba i wody?

- W sam raz menu dla nas, skoro już siedzimy w klatce. - Błysnął w rozbawieniu niebieskimi oczyma i obaj podeszliśmy do szafki.

- Ale zamiast wody może wolałbyś trochę wina?

- Oczywiście!

Przełamaliśmy się chlebem, wzięliśmy po kawałku sera i napełniliśmy dwie szklanki winem. Zajęliśmy z powrotem miejsca.

- Dobrze słyszałem, że starszy szeregowy tytułuje cię kapitanem?

- Ależ tak. Powiedziałem im, że za nic poniżej nie ruszam się z domu, od rodziny, i nie męczę się we francuskim pociągu. Ty także? Widzę po mundurze, że jesteś z marynarki.

Przyglądał się moim dystynkcjom.

- Ja dostałem komandora porucznika, nie kapitana.

- I jedziesz na swój statek w głąb ładu?

- Wygląda na to, że będę dowodził lądowymi urządzeniami – odparłem i poczułem ciężar ścisłej tajemnicy, uciekłem się więc do ogólników. - Zresztą sam zbyt dokładnie nie wiem. Ty, jak rozumiesz, jesteś w armii?

- Owszem. - Wgryzł się w bagietkę, sypiąc wielkimi brązowymi

okruchami na podłogę. – Uparłem się, że ma być generał, bo pomyślałem, że stargują się do pułkownika, ale oni nie chcieli mi dać nic powyżej kapitana. Nonsens, prawda, ale cała ta wojna to jeden wielki nonsens. Próbowałem im to powiedzieć dwa lata temu, kiedy to wszystko się zarzytało.

– Oj, chyba ci młodzi ludzie, z którymi jedziemy, nie myślą, że to nonsens.

– Racja. Ale to dzieci jeszcze. Odwieczna tragedia wojny i tych, co muszą na niej walczyć. Sam mam dwóch synów, dzięki Bogu, są jeszcze w szkole, więc przy odrobinie szczęścia uda im się uniknąć tych okropności we Francji i w Belgii. Wyobrażasz sobie, co będą musieli przejść ci chłopcy jadący z nami tym pociągiem? I jak wielu z nich wróci do domu?

– A będzie jeszcze gorzej.

– I owszem. Sytuacja zaczyna się rozwijać bardzo niepokojąco i zdaje się, że tu na scenę mamy wkroczyć my. Oni pragną bowiem pomysłów. Świeżych pomysłów.

Dalej tego tematu nie ciągnął. Przez chwilę jedliśmy w milczeniu, delektując się pysznym serem i popijając wino. Ja czułem jednak narastające zmęczenie. Rozejrzałem się po wagonie, lecz nie dostrzegłem niczego, co mogłoby posłużyć za pryczę czy koję. Tylko dwa drewniane krzesła jedno przy drugim.

Bert od razu załapał, co mi chodzi po głowie.

– Coś mi się wydaje – powiedział – że ten pociąg jeszcze długo nie ruszy. – Pociąg bowiem wciąż nie odjeżdżał. – Zanim przyszedłeś, właśnie tak się zastanawiałem, czy nie poszukać czegoś w bagażu, nie rozesać sobie na podłozde, tam pod ścianą... Czuję się już dosłownie wyżęty. Potrzebuję się trochę zdrzemnąć.

– A z daleka jedziesz?

– Nie bardzo, tylko z Essex. Póki nie wsiadłem do pociągu do Folkestone, nie było aż tak źle. A ty?

– Ja z Londynu, z centrum prawie. Z Bayswater Road. Niedaleko Notting Hill.

- Znam trochę tę okolicę. Mieszkałem jakiś czas niedaleko, na Mornington Place, w Camden Town.

- O, doprawdy?

- Cały czas mam niewielkie lokum w Londynie, choć przebywam głównie na wsi.

Propozycja Berta, by spróbować się położyć, była bardzo dobra, osuszyliśmy więc szklanki, zakorkowaliśmy z powrotem wino i zaczęliśmy grzebać w bagażach. Mnie od razu przyszła do głowy peleryna, którą miałem w kufrze z innymi rekwizytami. Była chyba ostatnią rzeczą, jaką spakowałem - choćbym nie wiem jak długo się zastanawiał, nie przyszło mi do głowy żadne praktyczne zastosowanie dla niej, tam, dokąd jadę, a mimo to nie wyobrażałem sobie pozostawienia jej w domu. I proszę, niemal od razu okazała się nieodzowna.

Była uszyta zgodnie z moimi bardzo szczegółowymi instrukcjami i kosztowała mnie kiedyś ogromną sumę pieniędzy. Po zewnętrznej stronie miała fioletowy atlas, po wewnętrznej ciepły czarny welwet oraz grubą podszewkę, z uwagi na wszytą w nią wielką liczbę ukrytych warstw i kieszeni.

Wyciągnąłem ją z kufra, rozłożyłem, złożyłem na czworo, tworząc zaimprovizowane, wielowarstwowe posłanie. Bert przyglądał się z zaciekawieniem, choć nie odezwał się ani słowem. Sam rozesał na podłodze parę płaszczy i wełnianych swetrów. Mnie już kręciło się w głowie ze zmęczenia. W wagonie było ciepło, a odległe głosy żołnierzy działały wręcz uspokajająco. Wpełzłem na atlasową pelerynę, owinąłem się oficerskim płaszczem i w parę sekund usnąłem.

### 3

Gdy się zbudziłem, pociąg jechał, musiał jednak jechać bardzo powoli, bo prawie nie było słychać łoskotu kół, kołysał się też bardzo łagodnie. Przez małe okienko w ścianie naprzeciwko wpadało słońce. Mój towarzysz Bert przysunął do niego swoje krzeselko i wyglądał na zewnątrz.

Dołączył do nas kolejarz – *le chef de train*. Miał ciemny mundur, czapkę i siedział na stołku w kącie wagonu. Nie zwracał na nas uwagi, także gapił się w małe okienko obok siebie. Miał imponująco sumiasty, choć nieco obwisły wąs. Gdy dostrzegł, że wstaję, przywitał mnie, podnosząc rękę.

– *Bonjour!* – powiedziałem.

– *Bonjour, monsieur!*

Ten dialog mniej więcej wyczerpywał moją znajomość francuskiego, więc nie chcąc wydać się nieuprzejmy, kiwnąłem mu życzliwie głową, wstałem, poprawiłem ubranie i podszedłem do siedzącego Berta. Ten przywitał mnie z nieodmienną familiarną życzliwością i powiedział, że wcześniej zaglądał tu starszy szeregowy i obiecał przynieść jakieś jedzenie. Wskazał także kabinę w kącie wagonu i wyjaśnił, że można tam się udać na stronę.

Ulgę, jaką odczułem, tylko nieznacznie zepsuły mi spartańskie warunki – za wygodkę robiła okrągła dziura w podłodze, przez którą widać było powoli sunące, oświetlone niskim słońcem podkłady. Był za to kran z zimną wodą nad prostą umywalnią, więc z przyjemnością obmyłem sobie twarz i ręce, nie przejmując się nawet brakiem ręcznika.

Gdy wróciłem do klatki, strzepując ręce, w wąskich drzwiczkach prowadzących do sąsiedniego wagonu, zapewne ponad nieosłoniętym sprzęgiem, pojawił się starszy szeregowy.

- Dzień dobry, panie komandorze, dzień dobry, panie kapitanie! - przywitał się uprzejmie i zsalutował. - Pomyślałem, że przyda się panom trochę porządnej brytyjskiej wołowiny na dobry początek dnia. Jego Królewska Mość nie oszczędza na niczym. - Niósł parę już otwartych puszek z mieloną wołowiną, zawiniętych w serwetkę. Postawił je przed nami. - Później zrobimy krótki postój, żeby chłopcy mogli odpocząć. Wtedy będzie herbata dla wszystkich, będzie ciepły posiłek. A także odrobi na rumu dla wilków morskich jak pan, panie komandorze.

Ucieszyłem się, mogąc zjeść coś innego niż bagietka, choć i tę dojedliśmy z Bertem, siedząc obok siebie w klatce.

Po wszystkim, Bert otarł usta i powiedział:

- Komandor porucznik Trent, prawda?

Potwierdziłem.

- Tom Trent? Thomas Trent? Brzmi to znajomo. Skąd ja mogę znać to nazwisko?

- Możesz je znać - powiedziałem, wciąż pamiętając o ostrożności. - Najbardziej jestem znany jako Tommy Trent.

- Coś mi to mówi.

- Posłuchaj, chyba nie powinniśmy tu nazbyt swobodnie rozmawiać...

- Obawiasz się naszego przyjaciela kolejarza? - Bert odwrócił się i życzliwie machnął dłonią kierownikowi pociągu. - Próbowałem z nim rozmawiać, zanim się zbudziłeś. Mówi po angielsku tak samo jak ty po francusku. Albo i gorzej.

- Gorzej to chyba niemożliwe.

- Z pewnością możliwe. A teraz pan posłucha, panie komandorze. Nie jestem z tych skrytych. Ani też z nadmiernie wścibskich. Jeśli dobrze cię oceniam, sam uważasz podobnie. Myślę więc, że powinniśmy się trochę o sobie dowiedzieć.

- No dobra.

- Dobra? To dobra. Na początek jedno pytanie. Byłeś wcześniej na brytyjskich liniach frontu? Bo rozumiem, że tam właśnie obaj jedziemy, na front?

- Nie - odparłem. - A ty?

- Tak. Powiedziałem, że byłem we Francji, ale tak naprawdę byłem na froncie pod Ypres, czyli w Belgii. Wiesz zapewne, jakie warunki panują na froncie?

- No... tak. Gazety wszystkiego nie piszą, ale raczej dotarło do mnie, że w okopach panuje prawdziwe piekło.

- „Piekło” tego nie oddaje. Okopy są nie do opisanias parszywe i nie do opisanias niebezpieczne. Stąd moje kolejne pytanie. Jedziesz na Front Zachodni jako oficer marynarki, nie masz złudzeń, jak to wszystko tam wygląda, to po co, u diabła, brałeś ze sobą atlasową pelerynę?

Pytał poważnie, choć w jego bladoniebieskich oczach widziałem isierki wesołości.

- Miałem zamiar ci to wyjaśnić...

- A i jeszcze, skoro już jesteśmy przy tym, czemu ta atlasowa peleryna jest w srebrne i złote gwiazdki?

Rzeczony strój wciąż leżał tam, gdzie go zostawiłem, zwinięty w kłębek pod ścianą wagonu. Rozkładając go, uważałem, żeby atlasowa strona w gwiazdki nie była na wierzchu. Widocznie odśloniłem ją, kręcąc się przez sen.

Pytanie Berta trochę mnie zakłopotało. Teraz, gdy naprawdę się tu znalazłem, na wojnie czy w jej pobliżu, widziałem wszystko w nowym świetle. W kraju myślałem, że wzywają mnie na linię frontu, by zapewnić rozrywkę żołnierzom. Rozrywka to moja specjalność, mój zawód i powołanie. Słyszałem, że dla żołnierzy na froncie występowali artyści musicalowi, piosenkarze, tancerze, komici. A ja, jeśli mam pokazywać swoje sztuki, muszę mieć ze sobą wszystkie typowe rekwizyty i urządzenia, w tym także pelerynę.

Długo szukałem właściwych słów. W końcu odezwałem się:

- Mówiłeś, że moje nazwisko wydało ci się znajome.

- Tak. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć.

- Sprawa ma się tak: Tommy Trent to moje prawdziwe nazwisko, jednak od wielu lat występowałem pod nim także na scenie. Jestem artystą estradowym. Coś ci to mówi?



Pokręcił głową.

- Dzisiaj występuję jako *Władca tajemnic*, ale jeszcze dwa lata temu przedstawiałem się jako *Sztukmistrz Tommy Trent*.

- Jesteś magikiem?

- Wolę się nazywać iluzjonistą. Ale - tak.

- Jeśli mogę coś powiedzieć... to wyjaśnia wszystko... i niczego nie wyjaśnia.

- Zatem się zgadzamy - powiedziałem. - Bo ja zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego się tu znalazłem, w mundurze oficera marynarki, w pociągu jadącym na Front Zachodni.

Pokrótce streściłem moją historię. Około pięciu tygodni temu występowałem w Lyric Theatre na Hammersmith w zachodnim Londynie. Po sobotnim wieczornym występie odpoczywałem w garderobie, gdy ktoś z obsługi teatru przyprowadził mi gościa.

Był to porucznik lotnictwa Simeon Bartlett, służący w Królewskiej Marynarce Wojennej. Pochwalił mój występ, mówiąc, że szczególnie wrażenie zrobiła na nim jedna sztuczka. Ta, którą zwykle wykonywałem na finał występu. Sprawiałem w niej, że ładna młoda kobieta (moja siostrzenica, Clarice, regularnie ze mną współpracująca) zniknęła. Rozpływała się w powietrzu.

Goście, którzy przychodzą do garderoby, zwykle mają pochwały na ustach, choć często stwierdzam, że ich prawdziwym celem jest wydobyć ze mnie moich sekretów. Wszystkich zaś magików wiąże kodeks honorowy, który nie pozwala im niczego zdradzać. W istocie, sztuczka, która tak zadziwiła młodego porucznika, na scenie wydawała się skomplikowana, z uwagi na wykorzystywaną maszynę, jej sekret był jednak prosty. Czasem tak jest, że numery, które robią największe wrażenie, są oparte na tak prostych trikach czy wybiegach, że publiczność nie uwierzyłaby, gdyby wiedziała, co się naprawdę odbyło na scenie.

A tak właśnie się sprawy mają. Więc był to wieczór w Lyric Theatre. Uważałem na słowa i pomimo niezwykle przyjacielskiego zachowania młodego oficera, który z coraz

większą determinacją domagał się, bym wyjaśnił mu swoją metodę, nie ustąpiłem ani na jotę.

Wreszcie porucznik Bartlett powiedział:

- Czy może mnie pan zapewnić, że pańska metoda jest praktyczna i naukowa, że nie ma nic wspólnego z tak zwaną magią? - Oczywiście zapewniłem go bez wahania. - Zatem na pewno niebawem się z panem skontaktujemy.

Co miał na myśli? Jak się okazało, po tygodniu dostałem oficjalne pismo z Admiralicji nominujące mnie tymczasowo na oficera, w celu, jak się wyrazili, „wsparcia wysiłku wojennego”.

Nastąpiła kolejna rozmowa z wysokimi oficerami marynarki, znów wypytywali mnie o tajemnicę mojego numeru, a ja zgodnie z kodeksem honorowym iluzjonisty powtarzałem tylko, że jest w stu procentach, jak to nazywają, naukowa.

Im bardziej mnie indagowali, tym mniej byłem pewny naukowości sztuczki, która polegała na strategicznie umieszczonych reflektorach i dużej szybie.

- Zatem jedziesz do lądowej jednostki marynarki - mruknął z namysłem Bert. - To może oznaczać tylko dwie rzeczy. Balony lub aeroplany. I jedno, i drugie są w Siłach Powietrznych Marynarki Wojennej. Ale i tak nie rozumiem, do czego ci potrzebna ta peleryna.

Powiedziałem:

- Wziąłem ją ze sobą, bo czuję się z nią tak związany podczas występów, że bez niej byłbym jak nagi. Ale rozumiem, co cię w tym dziwi. Za to jeśli chodzi o balony, czy coś podobnego, to zapewne dowiem się na miejscu, czego ode mnie chcą. A ty?

- Ja? Ja nie mam nic wspólnego z żadnymi balonami.

- Nie o to mi chodzi. Chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o tobie.

- O, dość podobnie to wygląda - mruknął, a do mnie dotarło, że teraz jego kolej na zakłopotanie, choć zupełnie nie rozumiałem, dlaczego.

- Też jesteś iluzjonistą?

- Nie. Skąd. Hm... może niektórzy chcieliby widzieć we mnie

iluzjonistę, naprawdę jednak jestem o wiele bardziej skromną osobą. – Podparł się laską, bo pociąg wreszcie nabral trochę szybkości i wagon kołysał się na boki. – Można mnie opisać jako osobę, która wtrąca się w różne sprawy, w nieswoje sprawy, jak to lubią określać moi nieprzyjaciele. To dość adekwatne podsumowanie. Nie potrafię się powstrzymać, by nie wytykać różnym ludziom, że robią coś złe. Kłopot polega na tym, że nikt mnie nie słucha! A jeszcze bardziej irytujące jest to, że robią coś po swojemu, wszystko idzie źle, dokładnie tak, jak ich ostrzegalem, a po wszystkim oni odwracają się i *mnie* oskarżają, że nie dość dobitnie ich ostrzegłem. Więc następnym razem zmieniam melodię, próbuję innych argumentów – i kończy się tak samo. Staram się zachować spokój, przemawiać ludziom do rozsądku. Robię to jednak, bo takie „wtrącanie się w nieswoje sprawy” to dla mnie deklaracja wyznawanych idei. Wierzę w siłę ludzkiego umysłu, idee to mój zawód. I dlatego chyba wylądowałem w tym pociągu z tobą, Czarodziejem i Panem Tajemnicy, czy jak tam się nazwałeś. Należało mi się, za moje wścibstwo, za moje wtrącanie się w różne sprawy.

– Należało się? – zapytałem. – W twoich ustach to brzmi jak kara.

– Mówię oczywiście z ironią. Bo wiesz, Tom, dawno temu, kiedy zaczynała się ta przeklęta wojna, napisałem do gazety parę takich artykułów. Znany jestem z tego, że Wiem Swoje i wiedziałem swoje także na temat wojny. Potem te artykuły ktoś zebrał i wydał książkę. Kiedy się czymś przejmę, w coś się zaangażuję, pisanie to jedyna rzecz, która pozwala mi się wylądować. Bo ja przewidywałem tę wojnę, przewidywałem ją wiele lat temu. Oczywiście, boję się wojny, ale tej wojnie nie jestem całkowicie przeciwny. Nie mam nic przeciw samym Niemcom, ludziom, choć dopuścili do głosu dwie złe moce. Rządzi nimi pruski imperializm, a gospodarkę zdominował Krupp, producent broni. Krupp i Kaiser idą ramię w ramię. Ten ustrój stał się nieludzki. Musimy podnieść przeciw niemu miecz, miecz pokoju. Ja nie chcę zniszczyć Niemiec, chcę tylko

wpłynąć na te tak zwane umysły, które nimi obecnie rządzą. Gdy zwyciężymy, musimy narysować mapę Europy od nowa, stworzyć swego rodzaju ligę wszystkich narodów, w której coś do powiedzenia będą mieli zwykli ludzie.

Wytrzeszczyłem oczy w ekscytacji. Rozpoznawałem te słowa.

- To jest „Wojna, która zakończy wszystkie wojny” - powiedziałem.

Bert mruknął potakująco.

- Czytałem to! - ciągnąłem. - Mam tę książkę w domu. Wydała mi się bardzo sensowna.

- Ja już nie jestem taki pewien, odkąd zobaczyłem, co się naprawdę dzieje na...

- Ale przecież ty tego nie napisałeś, to był H. G. Wells!

Kapitan Wells raz jeszcze kiwnął głową. Zerwałem się w zdumieniu z miejsca i gwałtownie usiadłem z powrotem, bo wagon się trząsł. Chwyciłem się krzesła.

- Czyli że...?

- Bardzo cię proszę, dalej mów mi Bert - powiedział wielki człowiek. - Iak będzie chyba bezpieczniej dla wszystkich. Niedługo powinien być postój, nie wydaje ci się? Dałbym się pokroić za filiżankę herbaty.

Pociąg przez cały dzień powoli jechał przez północną Francję. Widzieliśmy pola uprawne, płaskie równiny, pochylonych nad ziemią chłopów, wieże dalekich kościołów. Jedynymi drzewami były wysokie topole. Mieliśmy z Bertem wiele tematów do rozmowy, mimo to na zmianę wstawaliśmy, żeby sprawdzić widok za oknem. Przeważnie nie był zbyt interesujący.

W ciągu dnia zatrzymaliśmy się dwa razy. My witaliśmy postoje cichym westchnieniem ulgi, żołnierze – głośnymi okrzykami radości. Za każdym razem wydawano ciepłe posiłki, a Bert i ja tłoczyliśmy się razem z żołnierzami, znajdując upodobanie w życzliwych przepychankach po pierwszą filiżankę herbaty, większą miskę zupy, najbardziej treściwe danie. Mimo upiornego tłoku w wagonach wszystkim udawało się zachować dobry humor. Owszem, w drodze do latryn czy po dokładkę potracali się nawzajem i pchali, lecz zawsze po koleżeńsku, co było bardzo budującym widokiem.

Za każdym razem, gdy wysiadaliśmy, już czekał na nas starszy szeregowy, nieodmiennie uprzejmy i gotowy na spełnianie wszelkich zachcianek. Za pierwszym postojem magicznie pojawiła się gorąca woda oraz krem do golenia, mydło i czyste ręczniki. Czuliśmy się z Bertem wręcz rozpieszczani, mając do dyspozycji przestronny wagon i zaspokojone wszystkie podstawowe potrzeby. Wiedziałem, jak tłoczno jest w pozostałych wagonach, więc wstyd mi było prosić o cokolwiek więcej.

Tymczasem byłem pełen zachwytu dla znamienitego towarzysza podróży i z wielką przyjemnością toczyłem z nim rozmowę, która zajęła nam większość czasu.

Za drugim postojem, późno po południu, znaleźliśmy się na

niczym niewyróżniającej się wiejskiej stacyjce. Wysiedliśmy z wagonu, jak zawsze przywitani przez starszego szeregowego, i nagle usłyszeliśmy przetaczający się grzmot, odległy, choć nieustannie słyszalny.

Bert spoważniał.

- Już niedaleko - powiedział.

Ogarnął mnie żal.

- Zatem wieczorem dojedziemy.

- Los i tak trochę się nad nami zmiłował. Nie pada i chyba od jakiegoś czasu nie padało. Błoto nie będzie dużo gorsze niż normalnie. Już niedługo dowiesz się o błocie wszystkiego. I ci chłopcy niestety też.

Już w pośpiechu niesiono drewnianym peronem do namiotu kuchnię połową. Wokół unosiła się para, poczuliśmy w chłodnym powietrzu napawający otuchą zapach smażonego boczku. Podeszliśmy, zajęliśmy miejsce na końcu krótszej z dwóch kolejek i czekaliśmy.

Daleki grzmot armat trwał bez końca, choć teraz, gdy oddaliliśmy się od pociągu, słyszałem także śpiew ptaków. Na polu koło namiotu dwóch rolników spokojnie rozmawiało po francusku.

Dostaliśmy po bagietce z wystającymi po bokach wielkimi tłustymi plastrami boczku, wróciliśmy do pociągu i zajęliśmy nasz osobisty przedział.

Odkąd znałem jego prawdziwą tożsamość, coraz trudniej mi przychodziło myśleć o moim towarzyszku per „Bert”. Powiedziałem mu o tym, zebrawszy się na odwagę. Odparł, że spieszył się bardzo, kiedy zaczęliśmy się sobie przedstawiać. Powiedział, że rodzina i przyjaciele mówią do niego „Bertie”, ale jesteśmy prawie na froncie i wydało mu się to raczej niestosowne. Ja odpowiedziałem, że z przyjemnością będę mu mówił „H. G.”, czyli mianem, pod którym znany jest wszystkim. Stwierdził, że będzie na to reagował i zrobił rozbawioną minę.

Niezależnie jak byśmy się do siebie zwracali, dzień spędzony w wylącznym towarzystwie jednego z największych myśliwców i

wizjonerów naszych czasów wydał mi się nie lada zaszczytem. Sam H. G. był człowiekiem skromnym, wręcz umniejszającym swoje osiągnięcia, choć jednocześnie bardzo pewnym własnego zdania. Od czasu do czasu wdawał się w długą i zabawną perorę krytykującą, jak to określał, siły głupoty, tych, którzy znajdują się u władzy, albo tych, którzy nie doceniają dociekliwego ducha zwykłych ludzi. Jego chabrowe oczy błyszczały zaangażowaniem, rozbawieniem, złością, wymachiwał ekspresyjnie rękoma. Nie dało się na niego nie patrzeć. Aż kipiał pomysłami i opiniami, a na każdy podsunęty przeze mnie problem miał pomysłowe rozwiązanie lub rady.

Czasami nagle przerywał, przeproszał za zdominowanie rozmowy i, żeby mnie udobruchać, zadawał mi parę pytań.

Był jedną z nielicznych osób, z którymi z przyjemnością rozmawiałem o zasadach i technikach sztuki iluzji. Stary nawyk chronienia zawodowych tajemnic wciąż trzymał mnie w ryzach, nie widziałem jednak niczego niestosownego w nauczaniu go paru prostych metod. Pokazałem, jak ukrywać w dłoni, „palmować”, kartę do gry, jak zgadywać kartę wskazaną przez widza, jak sprawić, by papieros rozmnożył się albo zniknął. Wszystko to wywoływało u niego niemal dziecięcy zachwyty. Kilka minut bawiliśmy się paroma moimi rekwizytami, budząc wyraźne zainteresowanie kierownika pociągu, który siedział w milczeniu w swoim kąciku z chorągiewkami, kręcąc węża i patrząc na nas poważnie.

Jednakże dla mnie magia była codziennością i niczym nowym. O wiele bardziej frapowały mnie same rozmowy z H. G.

Zapytał mnie na przykład, czy wiem, co to takiego „teleferaz”<sup>1</sup>. Powiedziałem, że nie i zapytałem o szczegóły. On, zamiast wyjaśnić, zadał kolejne pytanie: czy pracowałem kiedyś w dużym domu towarowym?

I tym razem zaprzeczyłem.

Wtedy wdał się w dość sentymentalne i z pozoru niezwiązane z

---

<sup>1</sup>Téléférique (fr.) - kolejka linowa, téléférage - transport linowy (przyp. tłum.).

tematem wspominki z młodości, gdy matka przymusiła go do pracy w sklepie z firanami w Southsea. Nastąpił ciąg przerażających lub zabawnych anegdot - nieludzko długie godziny pracy, nuda nie do wytrzymania, towarzystwo tępaków. Wszystko to skojarzyło mi się z jego powieścią, którą czytałem parę lat temu, pod tytułem *Kipps*.

- Otóż to! - wykrzyknął, głosem piskliwym z ekscytacji. - To wszystko szczerą prawdą!

Popłynęły kolejne opowieści o nieuczciwych kasjerach, nic nieumiejących stażystach i ekscentrycznych klientach. Większości słuchało się z uśmiechem. Za oknem w ślimaczym tempie przesuwał się francuski wiejski krajobraz. Nie zwracaliśmy nań uwagi. Popołudnie przeszło w wieczór, a my sunęliśmy ku wojnie. *Le chef* zapalił w wagonie parę lamp.

W końcu H. G. wrócił do tematu „teleferażu”.

- Inaczej poczta linkowa. Taki system, którego używają w dużych sklepach - powiedział. - Kiedy płacisz za belę materiału albo kłębek włóczki, subiekt wkłada twoje pieniądze i karteczkę z zamówieniem do małego metalowego pudełeczka, przyczepia je do linki pod sufitem, pociąga za wajchę i pudełeczko jedzie do kasjera. Parę minut później wraca, w środku jest reszta, kwitek, i to by było tyle.

Powiedziałem, że oczywiście sto razy to widziałem.

- Na to pudełeczko mówi się z francuska „telefer”, a na cały mechanizm: „teleferaż”.

Czekałem na ciąg dalszy, on jednak zamyślił się i odwrócił wzrok, pewnie przypominając sobie kolejny wypadek z czasów sklepu z firanami w Southsea. W końcu przypomniałem mu, żeby mówił dalej.

- Bo widzisz, tutaj wszystko sprowadza się do błota. - Znów miał skupioną minę, a ja uświadomiłem sobie, że jego ciągła gadanina o błocie oznacza, że to musi być ulubiony temat. - Póki nie zobaczysz tego na własne oczy, nie masz pojęcia, ile błota jest w tych okopach na pierwszej linii frontu. Jest w zasadzie wszędzie. Najwięcej w okopach, ale pełno go wszędzie!



Ta parszywa brudna maź, śmierdząca, chlupiąca, czasem sięga wyżej kolan. Póki nie znalazłem się na cyplu pod Ypres, nie miałem pojęcia, jakie to błoto jest straszne. A co gorsza, ono też zabija. Żołnierze muszą dźwigać plecaki, amunicję, karabiny i masę innych rzeczy. Mają takie pasy, które pomagają im nosić rzeczy, ale i tak mają tego ładunku za dużo, więc resztę taszczą w rękach. Mnie zaniepokoiła przede wszystkim amunicja. Bo amunicja jest potwornie ciężka. To oznacza, że żołnierze, którzy przychodzą do służby na front, są już od razu zmęczeni, zanim jeszcze na dobre zaczną. Niektórzy muszą przejść ponad milę, objuczeni ogromnymi ciężarami, a przez większość tego czasu brodzą w błocie. Jeśli padniesz na twarz w błoto z takim ładunkiem, spora szansa, że już się nie podniesiesz. Kiedy byłem pod Ypres, powiedziano mi, że tygodniowo przeciętnie ginie w tego typu wypadkach trzech brytyjskich żołnierzy. Utopienie w błocie. Co za ohyda. Tak dalej być nie może.

H. G. zostawił sobie na później kawałek bagietki z boczkim - teraz odłamał koniec i przeżuwał go z namysłem.

- No i potem, kiedy byłem w Londynie, zdarzyło się coś takiego. Jadłem kolację z Winstonem Churchillem i on mnie zapytał...

- Z tym Churchillem? Politykiem? Pierwszym lordem Admiralicji?

- Teraz, kiedy jesteś w Marynarce, on jest twoim głównodowodzącym. Dokładnie, z pierwszym lordem. Szczerze mówiąc, to nie jesteśmy zbyt blisko. Zupełnie nie. Nie chciałem wywołać takiego wrażenia. On jest politykiem, a kiedy się je obiad z politykiem, najlepiej potem przeliczyć drobne w kieszeni. Oni dbają tylko o własne interesy. Ale mogą czasem się na coś przydać. Szczególnie taki ambitny człowiek jak Churchill. Nadal jest Młodoturkiem i nie ma nic przeciwko naginaniu paru reguł od czasu do czasu. Nie ma o mnie zbyt wysokiego mniemania, zresztą to on jako jeden z pierwszych oskarżał mnie o wtrącanie się w nieswoje sprawy. Napisał o mnie w gazecie, kiedy wydałem książkę o...

- Mówiłeś o teleferażu - powiedziałem.

- Istotnie. Tak się składa, że Winston Churchill jest kuzynem młodej rzeźbiarki, mojej bardzo bliskiej przyjaciółki. Raczej nie spodziewasz się, że powiem ci, o kogo chodzi. W każdym razie, któregoś wieczoru byłem z nią na kolacji, aż tu niespodziewanie pojawił się pan Churchill i dosiadł się do nas. Wyplłynął temat żołnierzy, którzy muszą dźwigać amunicję. Churchill sporo o tym wiedział i podzielał część moich obaw. Powiedział też, że sam spędził trochę czasu w okopach i problemy z błotem zna z własnego doświadczenia. Siedziałem z nim i nagle mnie olśniło. Przypomniałem sobie o teleferażu: jakby tak zbudować solidną pocztę na linach, które uniosą skrzynki z amunicją, a może i dwóch czy trzech żołnierzy naraz, napędzać ją silnikiem od ciężarówki, to wszystko szłoby o wiele szybciej, oszczędziło dużo potu, znoju i przedzierania się przez błoto, a nasi chłopcy byłiby o wiele bezpieczniejsi. Całą noc nie spałem, obmyślając, jak to by mogło działać. Parę dni później pokazałem swoje plany Admiralicji. Churchill osobiście się zainteresował, pociągnął za parę sznurków u szefów sztabu, i oto tu jestem. Wreszcie mogę wykorzystać w praktyce doświadczenie subiekta w sklepie z firanami.

Zaczął opisywać w szczegółach, jak to powinno działać, jak zapewnić, by system był przenośny, kto będzie go obsługiwał i tak dalej. Choć słuchałem go uważnie, muszę przyznać, że odbiegałem myślami do najrozmaitszych luźno związanych z rozmową tematów. Przyszło mi do głowy na przykład, że sam fakt, że H. G. jedzie razem ze mną, sugeruje, że nasze misje mają podobny charakter. Ja jednak w przeciwieństwie do niego nie miałem pojęcia, na czym polega moja ani dlaczego zostałem tu wezwany.

W jego towarzystwie czułem się wręcz oszołomiony. Promieniał inteligencją i zapalem, przy nim wszystko wydawało się możliwe. Był w owym czasie zapewne najślawniejszym pisarzem w Wielkiej Brytanii albo i na świecie. Ja natomiast może cieszyłem się pewną sławą w małym kręgu artystów estrady, lecz moja

sztuka polegała bardziej na starannym przestrzeganiu wypracowanych procedur niż na twórczych uniesieniach. Taka właśnie była między nami różnica.

To, co pokazują na scenie, jest tak pomyślane, by wyglądać jak ciąg cudownych zdarzeń, naprawdę jednak przygotowanie magicznej sztuczki to sprawa stuprocentowo prozaiczna. Mało kto ma świadomość, ile prób musi odbyć iluzjonista ani co się musi dziać na drugim planie. Do triku często potrzeba technicznych pomocników, którzy pomogą zaprojektować i skonstruować odpowiednią maszynę. Ruchy wykonywane przez iluzjonistę na scenie, wypracowane cierpliwie podczas długich prób, mają dla oka widza wydawać się spontaniczne i naturalne. Innymi słowy, jest to wyuczona praktyczna umiejętność. Tylko w trakcie występu, w blasku reflektorów, iluzja może wyglądać jak coś natchnionego. Lecz to w najlepszym przypadku tylko złudzenie. W niej nic nie jest takie, jakim się wydaje.

Zawstydziła mnie ogromna, zaraźliwa energia wielkiego człowieka, jego wyobraźnia płonęła w obskurnym wagonie kolejowym jasno jak pochodnia. Zaraz wygramy tę wojnę! Niemcy przegrają, a Wielka Brytania zatriumfuje! Tysiące uratowanych istnień ludzkich! Bogactwo dla każdego. Demokracja dla wszystkich. Nauka utoruje drogę postępowi, a postęp odmieni społeczeństwo.

Pociąg wjechał do miejscowości Béthune w chwili, gdy na zachodzie dogasały ostatnie promienie słońca. Na ulicach paliły się latarnie, nieliczne jednak i przyciemnione. Gdy tarabaniliśmy się powoli przez peryferie miasteczka, i ja, i H. G. przycisnęliśmy twarze do małych okienek, żeby zobaczyć, ile się tylko da. Z początku nie dostrzegaliśmy zbyt wielu zniszczeń, potem jednak, gdy pociąg zwolnił do prędkości piechura i zbliżył się do dworca, stało się oczywiste, że wylądowało tu wiele pocisków.

Powoli uświadamiałem sobie, że życie, jakie wiodłem w Londynie, opierało się na fałszywym rozumieniu tej wojny. Wieści o niej docierały do mnie regularnie, wręcz codziennie, była w nich jednak przedstawiana jako odległa sytuacja w obcym kraju, a nie coś, co może zagrażać codziennemu życiu zwykłego Brytyjczyka. Lecz tym obcym krajem była Francja, oddzielona od nas tylko wąskim paskiem morza, a bitwy przegrane we Francji z całą pewnością mogłyby doprowadzić do najazdu na nasz kraj wrogiej potęgi militarnej.

Wszyscy ciągle komentowali coraz bardziej zauważalny brak w kraju młodych mężczyzn, każdy miał w wojsku syna, brata, ukochanego, albo przynajmniej znał dobrze kogoś, kto ma, a jednak nikt, zdaje się, nie kojarzył tego z bezpośrednim zagrożeniem. Niedobory towarów w sklepach były irytujące, owszem, ale nie wskazywały na kryzys. Krążyły plotki, że zeppelin, te unoszone przez gaz podniebne potwory, zaraz zrzucą na nasze domy tysiące bomb. Nie pojawiły się jednak. Komicy z kabaretów zaczęli sobie z nich dworować, groźba pozostała tylko pustą groźbą.

Teraz miałem za sobą ten mętny niepokój. Otaczała mnie

rzeczywistość. Niebo nad ciemnymi polami wokół miasta rozświetlały niekończące się rozbłyski. Zniszczone budynki, widoczne w każdej części B  thune, oraz liczne niesprz  tne g  ry gruzu bezspornie   wiadczyły, jak blisko dzieła wojennych si   znajdujemy.

Gdy pociąg si   wreszcie zatrzymał, a na peron wylał si   tłum zm  czonych   lnierzy, my z H. G. wahali  my si   przez moment, zanim dołączyli  my do nich. Popakowali  my si  , cho   nie  miało si   spodziewali  my,   e zaraz pojawi si   starszy szeregowy i powie nam, co dalej.

  lnierze na platformie ustawiali si   w oddziały, zakladali hełmy na g  wy, plecaki na plecy, karabiny opierali zawadiacko o rami  . Po zadaszonej stacji niosły si   echem wykrzykiwane rozkazy. Pierwszy oddzia   m  dych ludzi odmaszerowa  , imponuj  co r  wny i zdyscyplinowany.

Domy  lali  my si  , jak zm  czeni musz   by  , sp  dziwszy tyle czasu w zat  czonym pociągu, oni jednak niczym tego nie zdradzali.

Gdy trzeci oddzia   wymaszerowa  , na peronie zrobi  o si   pusto. *Le chef tle train* zostawi   nas zaraz po zatrzymaniu pociągu, byli  my wi  c z H. G. sami. Starszego szeregowego ani   ladu.

- Tutaj, jak mniemam, nasze drogi si   rozchodz   - powiedzia   do mnie. - Podobno kt  s ma tu po mnie wyj  c. Po ciebie te  ?

- My  l  ,   e tak - odpowiedzia  m, cho   niepewnie. Nie mia  m takiej informacji.

- To   wietnie! Na pewno wszystko nale  zycie zorganizuj  . Zatem si     gnamy. Długo jechali  my. Jestem ju   porz  dnie zm  czony.

U  cisn  li  my sobie d  onie, energicznie i po przyjacielsku, po czym U. G. zszed   po schodkach na peron. Moje walizy wci  ż stały za mn   w wagonie. Podnios  m je i ruszy  m za nim. Ze szczytu schodk  w zobaczy  m plecy mego znakomitego przyjaciela, oddalaj  ce si   powoli w stron   odległego wyj  cia. Nagle tkn  ła mnie my  l: przecie   ja mog   go ju   nigdy nie zobaczy  ! Przed nami ogromne niebezpiecze  stwa.

Wiedziony odruchem, zawołałem za nim.

- Panie Wells!

Cudem mnie usłyszał. Obejrzał się, powoli wrócił do mnie. Zgramoliłem się z ciężkimi bagażami na peron.

Powiedziałem:

- Przepraszam, że pana... że cię jeszcze raz zatrzymuję. Chciałem tylko powiedzieć, że była to dla mnie ogromna przyjemność i zaszczyt cię poznać i spędzić cały dzień w twoim towarzystwie.

Zbył komplement wzruszeniem ramion, choć uśmiechnął się serdecznie.

- Zapewniam cię, że i dla mnie to była wielka przyjemność. Zapamiętam wszystko, co mi powiedziałeś o tajnikach swojej sztuki. Nieczęsto spotyka się oficera marynarki, który potrafi połknąć zapalonego papierosa.

## 6

H. G. znowu ruszył przede mną. Męczyłem się z kuframi i na próżno wypatrywałem bagażowego. Parę minut później, gdy wygramoliłem się z dworca, Wellsa już nie było. Stałem na skraju szerokiej drogi. Rytmiczny tupot maszerujących żołnierzy już cichł w oddali. Wyobraziłem sobie, że na Wellsa czekał jakiś sprawny i szybki komitet powitalny, który w sekundzie go stąd uwiózł.

Jasne rozbłyski ognia artyleryjskiego ponad ciemnymi sylwetkami budynków wydały mi się złym omenem. Niektóre z tych budynków były też zniszczone, widziałem zapadnięte dachy, fragmenty ścian, sterczące w niebo drewniane belki. Nad ulicami przetaczał się basowy pomruk, niczym grzmot.

Szykowałem się już w myślach do okopów. Barwne opisy Wellsa przerażyły mnie, lecz nic już nie mogłem na to poradzić. Zgłosiłem się do I ego na ochotnika.

Stojąc sam, zastanawiałem się, co dalej. W kieszeni miałem jedyny pisemny rozkaz, który otrzymałem, wyciągnąłem go więc i rozłożyłem w niewyraźnym świetle od drzwi dworca.

Pod nagłówkiem Admiralicji ktoś napisał: „Dyw. 17, La rue des bêtes, Béthune”.

Ulica bestii? Nie miałem pojęcia, jak w ogóle szukać takiej ulicy. Nie umiałem po francusku, nie miałem planu miasta, zresztą nikogo tu nie było. W nielicznych budynkach w ogóle paliły się światła. Zacząłem się odrobinę denerwować tą sytuacją.

- Pan komandor Trent?

Odwrociłem się gwałtownie. Za moimi plecami pojawił się młody oficer marynarki. Stał na baczność i salutował.

- Przepraszam, że nie zdążyłem na przyjazd pociągu, sir!

- Dziękuję. I, ten... spocznij. - Zasalutowałem w odpowiedzi,

czując się niepewnie i niezręcznie. W półmroku dostrzegłem, że nosi mundur podobny do mojego.

- Porucznik lotnictwa Simeon Bartlett, sir.

- Miło mi poznać.

- Już się poznaliśmy. Mam nadzieję, że pan pamięta? W Londynie, wpuszczono mnie do pana za kulisy. W teatrze na Hammersmith.

- Ach, tak, oczywiście. Miło mi znów pana widzieć.

- Przyjechałem służbowym furgonem, nie będzie problemu, żeby zabrać pana bagaż. Jak panu minęła podróż z Anglii?

Ujęła mnie jego bezpośrednia uprzejmość oraz nieformalny, choć stuprocentowo kulturalny sposób bycia. Wziął większy z moich dwóch kufrów i poprowadził do pomalowanego na brązowo motorowego pojazdu, który zauważyłem wcześniej przed stacją, ale nie pomyślałem, że przyjechał po mnie.

- Czy dostał pan w pociągu coś do jedzenia? - zapytał.

- Na razie nie jestem zanadto głodny.

- To dobrze, bo mam polecenie zabrać pana od razu do bazy, tam w mesie będzie czekać kolacja. Café Royal to może nie jest, ale i tak otrzymujemy o wiele lepsze posiłki niż ci nieszczęśnicy w okopach.

Gdy zainstalowałem się w aucie, on parę razy energicznie zakręcił korbą i już po chwili silnik ożył z klekotem. Wskoczył na siedzenie szofera i ruszyliśmy. Przez całą drogę trajkotał, zasypując mnie informacjami. Wyjeżdżaliśmy z miasteczka, silnik pokastywał i rzeził, a przez okienko, które nie dawało się zamknąć, wiało na mnie chłodem. Przejeżdżając przez miasteczko, pokazywał mi różne miejsca, choć większość opatrywał przygnębiającymi uwagami w rodzaju „Tu kiedyś był targ”. Wiele budynków było zniszczonych przez pociski, albo po prostu słabo widocznych w ciemności. Musieliśmy krzyczeć do siebie, żeby się słyszeć przez warkot silnika. Dodał jeszcze, że większość mieszkańców Béthune uciekła - z początku trzymali się dzielnie i znosili sporadyczne ostrzały przez niemiecką artylerię, lecz parę tygodni temu front przesunął się Niżej



miasteczka i pociski wybuchają częściej. Miejscowość przestała się nadawać do życia, w każdym razie do normalnego życia.

Zapytałem:

- A gdzie jest *La rue des bêtes*? Mam rozkaz się tam zameldować.

- Właśnie tam pana wiozę.

Wydawało się, że miasteczko w zasadzie zostawiliśmy za sobą - jechaliśmy teraz przez pola. Było jednak zbyt ciemno, by mieć pewność. Furgon szarpał i podskakiwał na nierównej drodze, choć za każdym razem, gdy zwalnialiśmy, żeby minąć kolumnę idących żołnierzy, przypominało mi to dobitnie, jaka metoda poruszania się bardziej mi odpowiada.

Na początku trochę dezorientowała mnie potoczna mowa młodego porucznika - miałem wrażenie, że przez większość czasu mówi o statkach. Jednak, jak zauważył Wells, byliśmy w głębi ładu. Nie dopytywałem się jednak. Nie chciałem się zdradzić niezajomością spraw Marynarki Wojennej i zakładałem, że na koniec wszystko i tak się wyjaśni. Poruszyłem za to inny temat, który mnie nurtował.

- Jeśli dobrze rozumiem - zawołałem ponad jazgotem silnika - pan jest porucznikiem?

- Porucznikiem pilotem, sir. Taki sam stopień oficerski jak u moich kolegów na statkach. Jestem oficerem Sił Powietrznych Marynarki Wojennej.

- A jak wielu poruczników z Marynarki ma taką władzę, że może odrywać cywilów w średnim wieku od pokojowego życia i wywozić ich na Front Zachodni?

Roześmiał się.

- Żaden, proszę pana. I ja się tu niczym nie różnię od pozostałych, mam jednak wujka, który jest oficerem sztabu w Kwaterze Głównej Zachodniego Podejścia. Wiceadmirał sir Timothy Bartlett- Reardon, może słyszał pan o nim?

Pokręciłem głową w ciemności. Nie zobaczył mojej reakcji.

- Czasami dyskutujemy sobie z admirałem o strategiach dla marynarki, oczywiście najzupełniej nieoficjalnie. To bardzo

otwarty i śmiały człowiek, doskonale się nadaje, aby dowodzić w tej wojnie. Czasem jednak, tak samo jak mnie, dręczy go brak postępów w walce przeciwko Niemcom i lubi rozmyślać nad nowymi technikami prowadzenia wojny. I tak właśnie rozmawiamy sobie, wymieniamy się różnymi pomysłami, a ja, kiedy zobaczyłem pański występ, poszedłem do niego z kolejną ideą. I to on kazał pana zmobilizować.

Wpatrywałem się w błotnistą drogę przed nami, w roztargnieniu wyobrażając sobie brodzącego w błocie Wellsa.

- Czyli to panu muszę za to podziękować.

- Myślę, że niedługo to panu będzie dziękował cały kraj.

- Wiele rzeczy by mi ułatwiło - odparłem - jakby pan mi powiedział, czego ode mnie oczekujecie. Myślałem, że chodzi po prostu o zapewnienie rozrywki żołnierzom.

- Ależ skąd. O coś o wiele bardziej praktycznego.

Porucznik Bartlett wyjaśnił, że jedziemy na lotnisko Sił Powietrznych, na którym stacjonuje. Znajdowało się w bezpiecznej odległości od linii frontu, poza zasięgiem armat nieprzyjaciela.

- I tak jednak uważamy i nasłuchujemy - dodał, ledwie słyszalny ponad warkotem silnika. - Ciągłe słyszy się plotki o jakimś parszywie wielkim dziale Kruppa, które może ostrzelać nawet Paryż. Jeśli coś takiego tu ściągną, to na pewno na nas to wypróbują w pierwszej kolejności. Bo nie podoba im się, co my tu kombinujemy.

- A co kombinujecie? - krzyknąłem.

Wdepnął hamulec i zjechał furgonem na pobocze. Bryznęło błotem. Zostawił silnik na jałowym biegu.

- Chcę, żeby pan mnie dobrze słyszał, a tutaj nikt nas nie podsłucha - odezwał się normalnym głosem. Wokół panowała ciemna i martwa noc. - Nasz dywizjon zajmuje się obserwacją powietrzną - ciągnął. - Latamy nisko i powoli nad okopami wroga. Cel: zorientować się, co Bosze planują, wrócić, póki pamiętamy, co zobaczyliśmy, i opisać to ludziom, którzy aktualizują mapy okopów. Przeważnie chodzi o obserwację

gołym okiem, chociaż na paru maszynach mamy aparaty fotograficzne. Jak dla mnie, więcej z nimi zachodu niż korzyści. Ciężkie są, duże, zajmują całą tylną kabinę, gdzie normalnie siedzi druga osoba z załogi. Pilot musi lecieć sam, czyli nie tylko musi pilotować jedną ręką, a drugą obsługiwać fotoaparat – to oznacza, że nikt go nie broni, nikt nie siedzi z tyłu z karabinem maszynowym. A wyniki ciągle są niezadowolające. Wywołanie zdjęć zajmuje parę dni, tyle, że na froncie wszystko zdąży się już pozmienić. Wychodzą nieostre, od drgań silnika, albo i samego ruchu. Ciągle kombinujemy, jak by tu latać jeszcze wolniej.

- A nie byłoby bezpieczniej latać szybciej?

- Oczywiście, że tak, ale wtedy nic byśmy nie widzieli.

- Rozumiem, że Niemcy do was strzelają.

- Tak, i to, cholera, całkiem nieźle strzelają. Przeważnie z broni strzeleckiej, choć mają i większy kaliber. Nazywamy to „pelotką”. Broń przeciwlotnicza. Sporo samolotów w ten sposób tracimy, a co gorsza, tracimy pilotów. To piloci są drogocenni i w ogóle wyszkolone załogi. I to właśnie jest sedno problemu. Polecimy za szybko czy za wysoko, to nic nie widzimy, a kiedy lecimy na odpowiedniej wysokości i z szybkością odpowiednią do obserwacji, to zaraz w nas celują.

- I jakie jest rozwiązanie?

- Tu właśnie przychodzi kolej na pana. Widziałem, że potrafi pan sprawić, że ludzie znikają.

- Tak – powiedziałem. – Ale...

- Tak, wiem, etyka zawodowa. Rozumiem, że nie powie mi pan, jak to się dzieje. I wiem też, że oni *naprawdę* nie znikają, tego pan nie potrafi. Ale stają się niewidoczni. To pan potrafi. I to nam wystarczy. Musi nam pan pokazać, jak sprawić, żeby nasze samoloty stały się niewidoczne.

Odparłem:

- Ale to tylko złudzenie. Tak *naprawdę* ja nie...

W tym momencie na drodze pojawił się pędzący na nas z rykiem automobil, oświetlający ostrymi światłami wzbijane spod kół fontanny błota. Porucznik Bartlett natychmiast ruszył

furgonem, wołając do mnie, że kiedy nie jedziemy, nie palą się nam światła. Okazało się to prawdą – minęliśmy się z drugim autem bez zderzenia. Kołysaliśmy się na nierównej drodze tak bardzo, że musiałem chwycić się burty.

Zaraz po minięciu się z tamtym pojazdem trafiliśmy na wielki lej w drodze i porucznik Bartlett musiał go gwałtownie omijać. Rzuciło mną z boku na bok w niewygodnej kabinie.

- To coś nowego – powiedział. - Nie było tego, kiedy jechałem w drugą stronę. Jakiś zabłąkany pocisk. Powinien pan nosić hełm.

- Nie dostałem.

- Proszę sobie wziąć od kwatermistrza. Gdy Niemcy zaczynają strzelać, nigdy nie wiadomo, skąd przyleci następny odłamek.

Ja zaś zauważyłem, choć nie skomentowałem, że sam wciąż ma na głowie tylko marynarską czapkę, zsuniętą do tyłu pod zawadiackim kątem.

Pojechaliśmy dalej, już nie próbując przekrzykiwać silnika. Poczulem ulgę, rozmowa zaczynała zbaczać na trudne dla mnie tematy.

Iluzję, którą widział porucznik Bartlett w moim wykonaniu w Lyric Theatre, często pokazywałem na finał występu. Moja siostrzenica Clarice, której życiu jakoby zagraża wielkie niebezpieczeństwo, nagle i niewytłumaczalnie rozplywa się w powietrzu. Scena jest całkowicie pusta. Publiczność widzi, że gdy to się dzieje, ja jestem w ogóle gdzie indziej. Myśli, że to cud, coś nadprzyrodzonego. Naprawdę jednak jest to tylko iluzja sceniczna i to wcale nie nadzwyczajnie skomplikowana. Potrzebna jest odpowiednio ustawiona maszyna sceniczna, należy też przeciwyczyć z operatorami reflektorów zmianę oświetlenia na umówiony sygnał, nie jest to jednak nic ponad parę standardowych iluzjonistycznych technik, z których korzysta co tydzień legion iluzjonistów w dziesiątkach teatrów. Z tego też powodu nie mogę zdradzić tego sekretu. Nie jest wyłącznie mój.

Czy to odpowiedni moment, żeby mówić temu miłemu i

inteligentnemu człowiekowi, gdy wiezie mnie po ciemku przez Francję do dywizjonu lotnictwa wojskowego, że się nabrał? Że wcale nie widział zniknięcia mojej prześlicznej siostrzenicy, że ona nie stała się niewidzialna, tylko że po prostu na chwilę przestał ją widzieć?

W rzeczywistości nie potrafiłem sprawić, aby zniknęła, a tym bardziej nie miałem pojęcia, jak uczynić niewidzialnym samolot obserwacyjny Marynarki Wojennej.

Zaczynałem popadać w introspekcję, co, jak wiedziałem, jest dość typowe dla sztukmistrzów. Czasem przypisuje się nam jakieś nadludzkie moce. Przeważnie da się to wyjaśnić, albo wręcz potraktować niezbyt poważnie, moja sytuacja robiła się jednak coraz bardziej niezręczna.

Po długiej jeździe po nierównej drodze, jak się zdaje, dokładnie w kierunku, z którego przyjechałem pociągiem, porucznik Bartlett nagle zwolnił, ostro skręcił kierownicę i wjechał podskakującym automobilem na nierówną ziemię. Przed nami stały niskie budynki, wydobywane na moment z ciemności przez reflektory auta. Kolejna seria gwałtownych zakrętów, zatrzymaliśmy się ostro, zgasiliśmy silnik.

- Nareszcie dojechaliśmy - powiedział Bartlett. - Dywizjon 17 Sił Powietrznych Królewskiej Marynarki Wojennej, albo, jak my na to mówimy, *La rue des bêtes*.

- A dlaczego?

- Przejeźliśmy kawałek pola od rolnika, i tam, gdzie zrobiliśmy pasy startowe, kiedyś pały się krowy. Najpierw to był taki żart. Rolnik nie miał w zwyczaju zamykać furtek i krowy często włączyły na naszą część, kiedy startowaliśmy albo lądowaliśmy, aż nazwa przyjęła się prawie oficjalnie. Potem furtki naprawiliśmy.

Poszedłem na tył furgonu, wyciągnąłem swoje dwie walizy. Rozprostowałem ręce, machnąłem nimi tam i z powrotem, wdychając chłodne powietrze. Po jazgocie silnika delektowałem się nocną ciszą. Przejechaliśmy spory odcinek na zachód, z daleka od frontu, wystarczająco, aby rozbłyśki na nocnym niebie stały się odległe i niegroźne. Przypominały teraz raczej ostatnie

błyski burzy, która już odchodzi nad morze. Działa pomrukiwały, ale okropności wojny pozostawały daleko.

- Dzisiaj naszej bazy nie obejrzymy - powiedział porucznik Bartlett. - znajdę panu pokój, pryczę do spania, potem coś zjemy. Przynajmniej wino mają tu dobre. Jutro oprowadzę pana po lotnisku.

Noc była zimna i jasna od gwiazd. Poszedłem za młodym oficerem do mniejszego z baraków, ledwie widocznego w ciemności.

Przydzielono mi pojedynczy pokój. Miał wąską koję, małą szafkę obok łóżka, drewniane krzesło wciśnięte między łóżko i ścianę oraz parę haczyków do powieszenia ubrań. Nad łóżkiem sufit obniżał się stromo, pokój był bowiem na samym końcu baraku. Gdy wciągnąłem do środka dwie walizy, nie było się gdzie ruszyć. Przepakowałem je najlepiej jak umiałem, wszystko, czego nie potrzebowałem, od razu przełożyłem do większego kuфра, mniejszy opróżniłem całkowicie, część ubrań powiesiłem na ścianie, wyciągnąłem szczoteczkę do zębów i tym podobne przybory – i na koniec wcisnąłem większy kufer pod łóżko. Nie było ogrzewania, więc rozebrałem się w pośpiechu i wpełzłem pod kołdrę.

W głowie miałem gonitwę myśli po wszystkim, co zobaczyłem, co przeżyłem, a zwłaszcza po tym, co usłyszałem od H. G. Wellsa. Byłem jednak potwornie zmęczony – mimo zimna i niewygody prawie od razu usnąłem.

Gdy się obudziłem, było jeszcze ciemno. Przez chwilę byłem zdezorientowany, nie wiedziałem gdzie jestem, przestraszyłem się, zdenerwowałem, zaniepokoiłem. Wokół siebie nic nie widziałem i nic nie słyszałem – i choć szybko przypomniałem sobie, gdzie jestem i skąd się tu wziąłem, dalej bałem się nieznanego.

Przez całe życie cierpiałem na takie nocne lęki. Wiem, że nie ja jeden, że znawcy psychologii opisywali noc przed świtem jako okres, gdy umysł i emocje osiągają swój najniższy stan. Łatwo wtedy o lęki i żale, które wydają się bliskie, rzeczywiste i groźne. Z nadejściem świtu jakby się wycofywały, łatwiej je wtedy znieść, chociaż tak naprawdę zmienia się tylko kontekst. Nocne lęki nie są ani wyimaginowane, ani przesadzone – po prostu znajdują się

wtedy na pierwszym planie.

Oto byłem na wsi w północnej Francji, sam w ciasnej klitce, na łóżku pod zbyt cienką kołdrą, w ciemności, o parę mil od toczącej się wojny. Przypomniało mi się, co Simeon Bartlett mówił o olbrzymim dziale Kruppa. Ono naprawdę istnieje? I naprawdę strzelaliby nim do takich baz jak ta, a nie od razu wycelowali je w Paryż? Przypomniałem sobie także, co proroczo pisał H. G. Wells o potędze i wpływach kompanii Kruppa. Byłem całkowicie obudzony i zdany na łaskę i niełaskę własnych lęków. Przewróciłem się kilka razy z boku na bok, próbując się rozluźnić, zapaść z powrotem w błogi sen. Okazało się to niemożliwe.

Usiadłem, roztrzepałem poduszkę, położyłem się raz jeszcze. W głowie kołatało mi parę myśli, w większości nieprzyjemnych. Ta rozmowa z H. G. Wellsem – dotarło do mnie, że na pewno uznał mnie za osobę ograniczoną, naiwną politycznie, i odzywał się do mnie tylko dlatego, że nie miał do kogo ust otworzyć. Przypomniałem sobie, z jakim pośpiechem, jak chętnie pożegnał mnie na stacji w Béthune. Trzeba było z większym zapałem rozmawiać ze sławnym pisarzem o jego książkach. Trzeba było okazać większe zainteresowanie tematami, którymi się pasjonował. A tymczasem ja pokazałem temu wybitnemu człowiekowi, powiernikowi ludzi w rodzaju Winstona Churchilla, jak tasować karty i sprawić, by papieros zniknął. Musiał mnie uznać za kompletnego głupca. A potem jeszcze starszy szeregowy – jego uprzejme zachowanie traktowałem jako oczywiste, ale nie pochwaliłem go ani słowem mu nie podziękowałem. I wziąłem za dobrą monetę żarcik porucznika Bartletta o ulicy bestii!

Najgorsze w tym było jednak to, że on zupełnie nie rozumiał, na czym polegają moje rzekomo magiczne umiejętności.

Moją młodą siostrzenicę ukryłem przed publicznością dzięki iluzjonistycznym trikomi, tymczasem porucznik Bartlett uznał, że potrafię ją naprawdę uczynić niewidzialną. Gdybym tylko miał taką moc! Dziewczyna nie staje się niewidzialna – myśleć inaczej



to obłąd - a jednak na każdym przedstawieniu, z wykorzystaniem starannie zaplanowanego i ustawionego oświetlenia, strategicznie umieszczonej szyby, pistoletu ze ślepym nabojem i ogólnych czarów- marów, potrafię sprawić, by widzowie w to uwierzyli.

Wyprowadzam ich w pole, nabieram. Na tym to polega.

Siedząc niewygodnie na zimnej i wąskiej pryczy, przypomniałem sobie tę nagłą falę patriotyzmu i waleczności, która ogarnęła mnie tamtego wieczoru w teatrze na Hammersmith, kiedy porucznik Bartlett dostał się do mojej garderoby.

Nagle wyobraziłem sobie swój wkład w wojnę z Niemcami - popisując się moimi umiejętnościami, pokrzepiam serca i dodaję odwagi dzielnym młodym ludziom, którzy walczą na froncie.

Na tym polegał pierwszy z moich błędów i to ten mniejszy. Naprostował się natychmiast tutaj, w tym łóżku, gdy kręciłem się i wierciłem, czekając na nowy dzień.

Pozostawało jeszcze poważniejsze nieporozumienie. Trzeba będzie czegoś dokonać w sprawie niewidzialnych samolotów!

Taki porucznik Bartlett musi przecież rozumieć, na czym polegają moje sztuki? Ukryć coś przed wzrokiem widowni - to względnie łatwe w kontrolowanej sytuacji na scenie, gdzie iluzjonista wie, jak ludzi zmylić, zdezorientować, coś przed nimi zasłonić. Ponura rzeczywistość wojny, z prawdziwymi aeroplanami, armatami, latającymi pociskami, młodymi ludźmi, którzy codziennie narażają życie - utrudnia to do niemożliwości.

Starałem się zachować spokój. Klitka była nieprzytulna, zimna, niegościnna. Czuło się, że to pokój w wojskowych koszarach, tymczasowa kwatera, z której przede mną korzystało wiele osób. Co się z nimi stało? Wracając w ciemność, mogłem przynajmniej odsunąć od siebie takie nieprzyjemne myśli. Przez małe okienko zobaczyłem, że nadchodzi świt - niebo zaczynało delikatnie szarzeć. Zmusiłem się do uspokojenia oddechu - techniki relaksacyjnej, którą czasami stosowałem przed wyjściem na scenę. Lecz myśli wciąż kłębiły mi się w głowie.

Przypomniałem sobie opowieści Wellsa, opisane w *Kippsie* jego przygody z młodości. Wiele lat później, gdy już nie był rozczarowanym sprzedawcą na głodowej pensji, był w stanie dostrzec kolosalny potencjał w systemie poczty linkowej wciąż będącej w użyciu w wielu brytyjskich domach towarowych. H. G. Wells zawsze inspirował mnie jako autor - czy teraz spotkanie z nim miało mnie natchnąć do nowych, oszałamiających pomysłów?

Zacząłem się zastanawiać, czy jest coś w domenie znanej mi iluzji, co mogłoby zapewnić porucznikowi Bardettowi kamuflaż, którego pragnął.

Zmusiłem się do praktycznego namysłu nad technikami, które wydawały mi się oczywiste.

W ciągu mojej estradowej kariery wiele razy musiałem obmyślić całkiem nową sztuczkę. Siadałem w domu, często w zaciemnionym pokoju, planowałem, jak ją wykonać, zastanawiałem się, jak chciałbym, aby wypadła na scenie, jakich rekwizytów czy materiałów będę potrzebował. Niekiedy rozmawiałem ogólnikowo z innymi magikami - nigdy nie mówiąc niczego wprost, w naszym bowiem zawodzie tajemnica jest wszystkim, jak i szacunek dla sekretów innych. Jednak samo omówienie ogólnych zasad, bez zdradzania szczegółów tego, co planuję, też bardzo pomagało. Zasady iluzji są o wiele prostsze niż się ludziom wydaje - ukrycie, ukazanie, i tak dalej. Wszystkie sztuki iluzjonistyczne w historii sprowadzają się do tego samego - a to, co widzowie mają za nowy trik, jest wariacją na temat jednej z tych zasad - nowym sposobem pokazania znanej sztuczki karcianej, niespodziewanym ukazaniem gołębia czy królika, spreparowaną szafką, w której moja posłuszna siostrzenica pozornie zniknęła lub się przemieniła.

Tu, we Francji, chcieli, aby niewidzialny stał się cały samolot, co miałoby ochronić młodych lotników, pomóc im uniknąć nieprzyjaciela, przyczynić się do większej skuteczności na wojnie. Czy to w ogóle możliwe?

Walcząc z poczuciem, że to zadanie mnie przerasta,

przeszedłem po kolei wszystkie możliwości. Najbardziej oczywista, a zapewne także najprostsza i najtańsza, była zmiana koloru czy wyglądu samolotu, aby wtapiał się w niebo. Pomalować go na srebrno albo na jasnoniebiesko?

Czy to zadziała? Doświadczenie podpowiadało, że raczej nie. Parę lat wcześniej próbowałem wymyślić nowe, i bardzo sprytne, jak mi się wówczas wydawało, podejście do sztuczki ze zniknięciem. Przekonałem moją (Wczesną asystentkę, by włożyła kostium, który miał ten sam kolor, ba, był nawet wykonany z tego samego materiału co kurtyna w tle. Okazało się, że to jeden z tych pomysłów, które sprawdzają się tylko w teorii, nie w praktyce. Cokolwiek bym próbował, jakkolwiek ustawiał światła czy dekoracje, publiczność widziała ją równie dobrze, jak ubraną na białą, czarno, czy po prostu normalnie.

Ale gdyby to zastosować do samolotu? Spróbowałem sobie wyobrazić, jak wyglądałby taki zakamuflowany samolot na niebie, widziany z dołu. Jak większość ludzi, niewiele samolotów miałem okazję oglądać z bliska, choć byłem kiedyś na pokazowym przelocie sławnego francuskiego awiatora, Louis Blériota. W pewnym momencie pokazu przeleciał powoli i czarno nad głowami widzów. Czarno - to jest kluczowe słowo. W ów słoneczny dzień na South Downs pod Brighton jego kruchy latający aparacik wydawał się z dołu ciemnym drapieżnym ptakiem. Gdyby jednak był pomalowany na ten sam kolor, co niebo? Czy byśmy go wówczas widzieli?

Założmy, że udałoby się znaleźć odpowiedni odcień srebrzystego błękitu, założmy, że niebo jest jasne, a chmury wysokie... co wtedy? Zamknąłem oczy, próbując wyobrazić sobie rezultat.

Prawie od razu nabrałem wątpliwości. Aeroplan nie ma gładkich konturów. Ma skrzydła, silnik, zastrzały, dźwigary, linki, koła, ma siedzących w kokpitach pilota i obserwatora. Ma znaki rozpoznawcze.

W pewnych starannie kontrolowanych warunkach, przy idealnie czystym niebie, można by sobie wyobrazić, że samolot

będzie mniej widoczny. Zadziała to jednak tylko wówczas, gdy będzie pozostawał w tym samym, odpowiednim otoczeniu – może i będzie niewyraźny na tle nieba, ale co, gdy popatrzy się z boku albo z góry? Jak będzie go widać na tle drzew, trawy, betonu, błota?

A samo latanie w powietrzu jest bardzo odległe od takich idealnych warunków. Samolot robi uniki, skręca, kręci mu się śmigło, silnik hałasuje, a z tyłu ciągnie za sobą smugę spalin.

Niebo jest z reguły jasne. Farba tylko odbija światło, a niebo jest źródłem światła. Jeśli mój zakamuflowany samolot przeleci pomiędzy wrogiem a jasnym niebem, będzie widoczny jako czarna sylwetka, zupełnie jak samolot *monsieur* Blériota. Będzie przestaniał światło, a nie odbijał. Co zatem w przeciwnym wypadku, jeśli niebo nie będzie jasne, lecz zakryte niskimi, znamionującymi deszcz chmurami? Co jeśli mój pilot, wylatujący w ciągu dnia w błyszczącej, srebrzystoniebieskiej maszynie, będzie zmuszony do powrotu podczas zapadającego zmierzchu?

W pierwszej chwili mój umysł starał się unikać takich myśli, potem jednak zaczął krążyć wokół nich.

O naukowych podstawach kamuflażu miałem bardzo niewielkie pojęcie i żałowałem, że nie przyszło mi do głowy douczyć się trochę przed wyjazdem z Londynu. Wiedziałem, co prawda, dlaczego brytyjska armia zaczęła ubierać żołnierzy w kolor khaki – był to spadek po indyjskim Powstaniu Sipajów. Po nim mundury połowę ufarbowano na brudnożółto- brązowy kolor, żeby nie wyróżniały się w zapyłonym indyjskim krajobrazie. Dotychczas armie miały w zwyczaju stroić żołnierzy w jaskrawe kolory podstawowe, czerwienie, błękity i biele – po części po to, by imponować i odstraszać wroga, po części, aby łatwo rozpoznawać własne oddziały.

Podczas wojny w Indiach musiało się to zmienić. Sama wojna była chaotyczna, niezorganizowana, a to działało na niekorzyść regularnej armii. Brytyjczycy mierzyli się z wrogiem, który uciekał, ukrywał się, zastawiał pułapki, podczas pościgu rozplątywał się w bocznych uliczkach, który znał teren jak własną

kieszon i bez skrupułów to wykorzystywał. Mundury khaki były próbą wyrównania, choć nieznacznego, tej przewagi.

Słyszałem także, że na statkach zaczęto używać eksperymentalnie nowego rodzaju kamuflażu - malowania, które nie starało się ukryć statku, ani upodabniać go do tła, lecz rozpraszać obserwującego. Dzięki temu wrogowi trudniej było ustalić, w którą stronę porusza się cel. Brytyjskie statki handlowe niemal od pierwszego dnia wojny zaczęły padać ofiarą niemieckich okrętów podwodnych. U-Booty wypatrywały celów i namierzały je przez peryskop, spod powierzchni. Jednakże okręt podwodny, podnosząc dość spory peryskop ponad wodę, narażał się na szybkie wykrycie przez spostrzegawczych obserwatorów z brytyjskich eskortowców, więc zasadniczo wynurzał go tylko na parę sekund. Malowanie rozpraszające, utrudniające zidentyfikowanie sylwetki statku, miało zdeorientować kapitana U-Boota i utrudnić mu wycelowanie torped.

Wydawało się, że taktyka jest skuteczna, bo tonaż zatapianych statków od wprowadzenia nowego malowania znacznie się zmniejszył. To nasunęło mi parę pomysłów na wypróbowanie czegoś podobnego w przypadku brytyjskich samolotów rozpoznawczych.

Wiele klasycznych iluzjonistycznych trików ze znikaniem przedmiotów polega na umieszczeniu pomiędzy przedmiotem a obserwatorem lustra, pod starannie dobranym kątem. Weźmy na przykład lustro umieszczone po przekątnej pomiędzy nogami stołu. Publiczność ma wrażenie, że widzi wszystkie cztery nogi stołu, tymczasem za lustrem powstaje przestrzeń, w której można łatwo kogoś lub coś ukryć.

Jeszcze więcej można dokonać przy użyciu półprzepuszczalnych luster, albo wręcz zwykłego szkła. Zwykłe szkło, z ciemną przestrzenią z tyłu, stanie się absolutnie przekonującym lustrem przy oświetleniu z jednej strony i zmieni się w przezroczyste, jeśli światło nagle, lub nawet stopniowo, zmieni kierunek.

Trudno było sobie jednak wyobrazić, jak przy użyciu luster

ukryć samolot. Problem wydawał się nierozwiązywalny. Szkło jest ciężkie, a potrzebne byłoby lustro o wymiarach samolotu. Nie miałem pojęcia, jaki udźwig mają współczesne wojskowe maszyny, lecz i tak miałem wątpliwości, czy porucznik Bartlett i jego koledzy chcieliby lecieć w bój taszcząc pod spodem ogromne lustro, gdyby nawet udało im się z tym lustrem wznieść w powietrze.

I oczywiście to w żaden sposób nie rozwiązywało zagadnienia kąta, pod którym samolot staje się niewidoczny – jak go wyliczyć, jak w ogóle osiągnąć pożądany efekt. Lustro ustawione poziomo pod samolotem, o ile to w ogóle możliwe, z punktu widzenia obserwatora na ziemi po prostu odbijałoby ziemię.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy są jakieś inne materiały o lustrzanych właściwościach, może jakaś lekka tkanina, coś w rodzaju tej, z której wykonuje się zewnętrzną powłokę sterowców? Gdyby coś takiego pokryć odblaskową srebrną farbą i napiąć na tyle, żeby powstało równe i wiarygodne odbicie...?

Może gdyby dwie maszyny leciały jedna obok drugiej, zachowując niezmienną odległość od siebie, tak aby rozwieszona między nimi odblaskowa tkanina była napięta? Ale jak miałoby to je zakamuflować?

Wierciłem się, kręciłem, lecz myśli prowadziły donikąd.

Zerknąłem w małe brudne okienko, gdzie pojawił się już delikatny blask przedświtu. Rozpaczliwie pragnąłem, aby ta długa, pełna udręki noc wreszcie się skończyła. Leżałem nieruchomo i próbowałem uspokoić oddech. Nasłuchiwałem groźnych, choć osobliwie hipnotycznych odgłosów dalekiej wojny – albo znalazłem się teraz zbyt daleko od nich, albo działa wreszcie zamilkły. Nastąpiła chwila spokoju czy przynajmniej chwilowa przerwa w działaniach wojennych. Mogłem sobie wyobrazić tych wymęczonych ludzi na linii frontu, skulonych w okopach, unurzanych w błocie i brudzie, jak wreszcie mogą trochę się zdrzemnąć.

Wiedziałem też, że ta chwila spokoju oznacza, że i ja powinienem jeszcze parę godzin pospać, zaczęła mnie jednak

dreńczyć kolejna myśl.

Jest jeszcze jeden sposób, którego używają iluzjoniści, by wywołać złudzenie zniknięcia przedmiotu. W istocie jest to podstawowa technika iluzji scenicznej i wykorzystywana jest prawie w każdej sztuczce, jaką widzieliście. Polega na zmyleniu widowni.

Owo zmylenie może przybrać dwie formy. Pierwszą jest zmanipulowanie oczekiwań widowni, by przypomniawszy sobie wiedzę posiadaną z realnego świata, a następnie założyła, że te same reguły obowiązują w świecie iluzji, podczas wykonywania triku.

Załóżmy, że iluzjonista robi coś z kurzym jajem. Większość ludzi uzna, że jajko, które widzą, jest zupełnie zwyczajne, a nie „spreparowane” w specjalny sposób. Dobry magik jeszcze wzmocni to przekonanie, na przykład obchodząc się z jajkiem ostrożnie, aby nie stuknęło się czy nie pękło, lub leż rzucając drobny żart o tym, co by się stało, gdyby był niezdarny i je upuścił. To łagodzi podejrzenia co do spreparowania jajka oraz umacnia widownię w jej odruchowym przekonaniu, że to, co widzi, jest zupełnie normalne. Iluzjonista nie musi otwarcie mówić, co robi, nie powinien leż próbować objaśniać publiczności niczego, co dotyczy tego jajka. Podstępem jest tu sam jego prosty i znany wszystkim wygląd. Dopiero gdy utwierdzi wszystkich w takim przekonaniu, może zrobić z trzymanym w dłoni rekwizytem coś niespodziewanego. Jajko *wygląda* jak jajko, *ma kształt* jajka, wszyscy *myślą*, że to jajko, a wtedy on sprawia, że to rzekome jajko dokonuje czegoś niemożliwego.

Potem, na koniec triku, bez wątpienia zręcznie podmieni je z powrotem i na przykład wybije prawdziwe jajko do miski, żeby jeszcze upewnić widownię, że dobrze myślała. To naprawdę przez cały czas było normalne jajko! Dzięki temu sztuczka wygląda jeszcze bardziej tajemniczo.

Innym sposobem na wyprowadzenie widzów w pole jest zmylenie ich oczekiwań. Innymi słowy, odwrócenie na moment

ich uwagi, rozbrojenie ich niespodziewaną uprzejmością, zmuszenie, by przenieśli wzrok na inny przedmiot, na nieistotny ruch ręki, by spojrzeli w inną stronę – w każdym przypadku istnieje chwila, w której iluzjonista może coś szybko zrobić z innym przedmiotem, zadziałać drugą ręką, albo pokazać coś, co publiczność nie od razu zauważy.

Ludzie, którzy chodzą na pokazy magii, często podświadomie łapią się na rywalizowaniu ze sztukmistrzem, nieustannie starają się wypatrzeć, co on „naprawdę” robi. Tacy widzowie są paradoksalnie najłatwiejsi do zmylenia, albowiem w swojej żądzy „przyłapania” magika skupiają się najuważniej właśnie na takich działaniach.

Odwracać uwagę można na wiele sposobów. Zaskakującą zmianą stroju, nagłym hukiem czy błyskiem światła, zmianą oświetlenia czy dekoracji, dowcipną uwagą, czymś, co niespodziewanie zabrzączy lub zadrga, udawanym błędem iluzjonisty. Wszystko to należy do standardowego repertuaru.

Uświadomiłem sobie, że ten kierunek może kryć w sobie potencjalne rozwiązanie problemu porucznika Bartletta. Kiedy dowiem się trochę, jak funkcjonują wylatujące z tej bazy samoloty, jak wyglądają, jakiej są wielkości, a także co dokładnie robią i jak lecą podczas wykonywania swoich zadań, może będę w stanie wymyślić jakiś podstęp, który sprawdzi się także pośród bitewnej gorączki.

Innym wybiegiem może być zastosowanie sąsiedztwa. Dwóch rekwizytów, które sztukmistrz umieszcza blisko siebie, albo w inny sposób ze sobą kojarzy. Jeden z tych przedmiotów musi być dla widza ciekawszy, bardziej intrygujący czy zabawniejszy. Może mieć osobliwy czy sugestywny kształt, może wyglądać, jakby miał coś w środku, może nagle zacząć zachowywać się dziwnie, czego iluzjonista z pozoru nie zauważa. Szczegóły są nieistotne, liczy się to, że publiczność choć na moment się tym zainteresuje i będzie patrzeć nie tam, gdzie trzeba.

Wprawny magik doskonale wie, jak odwrócić uwagę publiczności przy użyciu sąsiedztwa i jak wykorzystać



niewidzialność, którą stwarza na moment ten efekt. Pewien mój dawny kolega wykonywał numer, w którym kładł na lasce porcelanowy talerz i rozkręcał go, potem stawiał laskę na stole i tak zostawiał. Gdy talerz zwalniał i zaczynał się coraz bardziej kołysać, grożąc, że w każdym momencie może spaść i się potłuc, mało kto na widowni był w stanie oderwać od niego wzrok. Mój kolega był przez kilka sekund praktycznie niewidzialny na scenie i korzystał z tych sekund jak mógł.

I nagle mnie olśniło! Problem Simeona Bartletta i potencjalne jego rozwiązanie złożyły się w jedną całość.

Jeden samolot, dwa samoloty. Jeden sąsiaduje z drugim. A może trzy? Dwa samoloty, pozornie lecące w szyku, i trzeci, sąsiadujący z nimi? Jeśli uda mi się sprawić, by ten trzeci był szczególnie interesujący i niespodziewany, wówczas odwrócę uwagę Niemców – będą strzelać w niewłaściwym kierunku. Jeśli to co, co odwraca uwagę, w ogóle będzie iluzją, będą strzelać do czegoś, co jest nieistotne, albo w ogóle pozorne. To będzie niewłaściwy samolot albo wcale nie będzie to samolot. Nie będą mogli oderwać od niego wzroku, a jednocześnie nie będą go prawidłowo widzieć.

Zaaranżowanie takiego wybiegu nie będzie łatwe, ale jest to w istocie po prostu większy wariant numeru, który wykonuję za każdym razem na scenie. Powinno się udać – choć uświadomiłem sobie, że porucznik Bartlett i jego koledzy piloci będą musieli sztuczkę poćwiczyć. A na to już nie miałem żadnego wpływu. Czy Królewska Marynarka Wojenna będzie skłonna poświęcać czas frontowych pilotów na dodatkowe szkolenia?

Najlepsze, na co mnie było stać, to przedstawić propozycję rozwiązania – a czy zostanie wcielone w życie, to już od nich zależy. Ja zaś zrozumiałem, że muszę dowiedzieć się więcej o samolotach i sprawdzić, czy będę mieć możliwość i materiały, by zbudować niezbędne rekwizyty.

Czułem ekscytację, ale już nie zadreślałem się myślami. Przeciwnie: uspokoiłem się, bo sądziłem, że wpadłem na

pomysł, jak skutecznie oszukać niemieckich żołnierzy, ratując brytyjskie życia i przyczyniając się do zwycięstwa w wojnie.

Odwrociłem się na drugi bok, kilka razy walnąłem pięścią w twardą i nieprzyjemną poduszkę. Chwilę później z powrotem zapadłem w sen.

Obudził mnie odgłos silnika, na przemian przyśpieszającego i zwalniającego – wieczorem dowiedziałem się od Bartletta, że to się nazywa „przegazowywanie”. Słyszałem to parę razy na ulicy w Londynie, w wykonaniu aut. Bywało to często irytujące, dotąd jednak nie wiedziałem, jak się to nazywa. Silnik, który teraz słyszałem, brzmiał jakby trochę niezdrowo – prychał i zacinał się, pracował nierówno. Kiedy odezwał się jeszcze jeden, minutę czy dwie później, jeszcze bliżej mojego okna, podniosłem się z łóżka i poszedłem popatrzeć.

Ranek był pogodny, słoneczny, niebo pod olśniewającą warstwą wysokich, białych chmur. Na początku musiałem zmrużyć oczy, tak mnie raziło. Za oknem miałem rozległe trawiaste pole, ciągnące się aż po szpaler bezlistnych drzew, tak odległych, że wydawały się maleńkie i przesłonięte poranną mgiełką. Bezpośrednio przede mną parkowało pięć samolotów. Zapewne stały tam przez całą noc, kiedy spałem, teraz jednak uwijało się wokół nich wielu ludzi w roboczych drelichach. Pod moje okno zdryfowała chmurka spalin, choć zaraz rozwiała ją podmuch powietrza od śmigła jednej z maszyn.

Wpatrywałem się z fascynacją w te małe, choć groźnie wyglądające maszyny tuż przede mną. Owszem, widziałem na pokazie maleńki, kruchy aeroplanik *monsieur* Blériota, przelatujący tuż nade mną, widziałem inne na zdjęciach w czasopiśmie i gazetach. Raz, w pobliskim kinematografie, widziałem film o samolocie lecącym wzdłuż wybrzeża. Teraz jednak czułem się o wiele bardziej niesamowicie, mając tuż przed sobą pięć takich wojennych maszyn. Czułem się, jakbym mógł wejrzeć w jakąś okropną przyszłość, coś w stylu tej opisywanej przez "Wellsa, gdzie wszyscy latają we wszystkie strony,

nieustannie grozi im upadek, a w powietrzu utrzymują ich właśnie takie konstrukcje z drutów, płótna i drewna. Myśl była przerażająca, choć, szczerze mówiąc, także fascynująca.

W bliższym z dwóch samolotów z uruchomionymi silnikami człowiek, który, jak wiedziałem, musi być pilotem, już siedział w przedniej z dwóch kabin. Ponad jej krawędź wystawały ramiona i głowa, na której miał skórzaną pilotkę z uniesionymi na czoło goglami. W drugiej, tylnej kabynie zamontowane było ogromne, nieznanne mi urządzenie w kształcie skrzynki.

W drugim aeroplanie siedziało dwóch ludzi, po jednym w obu kabinach. Ten tylny właśnie teraz wsiadał. Gdy silnik ryknął mocniej i wreszcie zabrzmiał gładko i potężnie, dwaj ludzie w roboczych mundurach podeszli i zamontowali na burcie jego kokpitu wielki karabin. Cofnęli się, a obserwator na próbę obrócił karabinem, z boku na bok, z dołu do góry. Do celowania miał wielki, druciany, przekreślony okrąg zamontowany pionowo na lufie.

Chciałem popatrzeć, jak te dwie wojskowe maszyny startują do swoich zadań. Ubrałem się w pośpiechu i wybiegłem. Gdy tylko się pojawiłem, paru ludzi oderwało się od pracy i zasalutowało mi. Wciąż nie byłem pewien, jaki właściwie mam status w tej bazie, więc uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową, niezdamnym gestem unosząc rękę do czoła. Dwa samoloty już kołowały na środek pola, ich skrzydła przechylały się niebezpiecznie na nierównej trawie.

Jeden z pilotów machnął drugiemu dłonią w rękawicy. Cała trójka dla ochrony wzroku naciągnęła gogle na oczy i przygarbiła się w kokpitach.

Dwa samoloty, jeden obok drugiego, przyśpieszyły i oddaliły się w stronę wciąż nisko stojącego słońca. Po niespodziewanie krótkim rozbiegu uniosły się w powietrze. Wciąż niepewnie się kołyszac, powoli nabrały wysokości, pozostawiając po sobie w czystym powietrzu dwie blade, szaroniebieskie smugi spalin.

Personel naziemny już odszedł do kolejnego aeroplanu, ja natomiast nie ruszyłem się z miejsca – chciałem obserwować

obie maszyny, póki nie znikną mi z pola widzenia. Usłyszałem, że ktoś podchodzi do mnie od tyłu. Porucznik Bartlett, ze skórzaną pilotką i przyciemnianymi goglami zwisającymi z dłoni.

Zasalutował na powitanie, ja odpowiedziałem tym samym.

- Dzień dobry, panie komandorze. Jeszcze jestem przed śniadaniem. Zjadłby pan ze mną? Śniadanie tutaj nie jest może tej klasy, co kolacja, ale jest całkiem przyzwoite.

Poszliśmy razem do kantyny - tak naprawdę była to oddzielona ścianką część hangaru na samoloty, z odręcznym napisem „Tylko dla oficerów” na drzwiach - gdzie dostępne było upragnione śniadanie. Była jajecznica („no nie, znowu”, jęknął Simeon Bardett, mnie jednak całkiem smakowała), grzanki w dowolnych ilościach, do tego duży kubek herbaty. Zapytał mnie, co sądzę o *la rue des bêtes*, odpadem jednak, że wstałem raptem parę minut temu i jeszcze nie zdążyłem się porządnie rozejrzeć.

- Później pana oprowadzę - powiedział. - Jest tu kilka zdolnych osób, z którymi będzie pan współpracował.

Gdy kończyliśmy herbatę, opowiedział mi trochę o sobie. Zaciągnął się do Marynarki jeszcze przed wybuchem wojny - taka była tradycja u mężczyzn w jego rodzinie, więc miłość do morza i żeglarstwa wysłał z mlekiem matki. Służył jako młodszy oficer na trałowcu, potem na niszczycielu, później jednak oddelegowano go do lądowej bazy w Portsmouth. Latem roku 1914, kiedy zaczęła się wojna, wciąż tam urzędował. Szybko stało się oczywiste, że Niemcy zaczynają zagrażać naszej armii przy użyciu aeroplanów. W pośpiechu zorganizowano pierwsze skrzydło lotnicze. Bartlett, zniechęcony, że przesiaduje na lądzie i nikt nie chce go wziąć na żaden okręt liniowy, zgłosił się na ochotnika do nowej jednostki, nauczył się pilotażu i po paru przygodach, których nie chciał opisać w szczegółach, wylądował właśnie tu, na Froncie Zachodnim, paląc się do zestrzelenia jak największej liczby Hunów. Dodał też, że rok temu się ożenił, a jego żona niedawno urodziła bliźniaczki. Przyznał, że ze względu na rodzinę bardzo się boi, że zginie lub zostanie poważnie ranny,

lecz z drugiej strony, jest teraz jeszcze bardziej oddany walce, bo skutki ewentualnego zwycięstwa Niemiec wydają mu się niewyobrażalne.

Wyszliśmy z kantyny, a Bartlett przedstawił mnie trzem innym pilotom. Wydawali się tak ze sobą zżyli, rozmawiali lotniczym żargonem, nieustannie pokpiwając z siebie nawzajem i lekkomyślnie podchodząc do niebezpieczeństwa własnej pracy, że jeszcze bardziej poczułem się wśród nich intruzem. Czterech młodzieńców rozmawiało parę minut o najnowszej prognozie pogody, w tym o kierunku wiatru. Wszyscy wczytywali się uważnie w te prognozy, ze względu na ryzyko użycia przez Niemców gazów bojowych. Przy sprzyjającym wietrze macki gazu mogły dotrzeć nawet tu, do lotniska. Na szczęście prognoza na popołudnie przewidywała łagodny wiatr z południowego zachodu, więc przynajmniej te obawy trochę zmalły.

Porucznik Bartlett zaprowadził mnie z powrotem na pole, do jednego z wojennych aeroplanów. Większość pozostałych już odleciała - słyszałem przy śniadaniu, jak startują. Gdy do niego podeszliśmy, stojący obok maszyny lotnik, dotąd pochylony i rozmawiający z mechanikiem, który robił coś pod skrzydłem, zauważył nas i natychmiast się wyprostował. Stał na baczność i zasalutował nam obu. Bartlett zareagował odruchowo, ja zasalutowałem sekundę czy dwie później.

- Przedstawiam moją załogę - powiedział porucznik, gdy wszyscy stanęliśmy na spocznij. - Podporucznik obserwator Astrum. Astrum, to jest komandor porucznik Trent, który przyjechał do dywizjonu jako doradca od spraw kamuflażu.

- Dzień dobry, panie komandorze - odezwał się Astrum, zupełnie niezaskoczony moim pojawieniem się. Miał miły dla ucha akcent z Devonu. Ja zaś zauważyłem, że od wszystkich ludzi, których tu spotykałem, byłem co najmniej dwukrotnie starszy, co jeszcze potęgowało poczucie wyobcowania. Podporucznik Astrum uśmiechnął się jednak i wyciągnął po przyjacielsku dłoń. - Witamy na pokładzie.

- Astrum lata ze mną jako obserwator i strzelec pokładowy - powiedział Bartlett. - Dzisiaj rano planujemy zrobić zwykłe, regularne rozpoznanie niemieckich linii na kierunku północno-wschodnim. Okolica nazywa się Bois Bailleu, choć niestety nie ma już tam drzew. Niemcy mają dość ostrą obronę pelot. Dlatego myślimy, że coś przed nami ukrywają, skoro tak mocno tego pilnują. Więc my oczywiście tym bardziej się interesujemy, cały czas wracamy na kolejne rozpoznania i za każdym razem ogień pelotek jest coraz gorszy.

Podporucznik Astrum pokazał palcem część statecznika ogonowego, obok którego stał. Zobaczyłem, że płótno było w paru miejscach połatane, a potem byle jak pomalowane.

- Dwa dni temu, panie komandorze - powiedział. - Dokładnie tam, gdzie kiedyś był lasek Bois Bailleu. Nic poważnego, jeszcze nie spadliśmy, ale było gorąco.

- Wróciliście cało?

- Wróciliśmy - potwierdził Bartlett i zerknął na zegarek. - Za parę minut trzeba startować do lotu próbnego, ale najpierw chciałbym panu pokazać, na czym polega problem, nad którym ma pan popracować. Popatrzmy, jak to skrzydło wygląda od spodu.

Cisnął na bok lotniczą kurtkę i dał do zrozumienia, że i ja powinienem zdjąć swoją. Położył się na plecach w wysokiej trawie i kiwnął ręką, żebym poszedł w jego ślady. Razem wczółgaliśmy się pod dolne skrzydło dwupłatowca. Ja oczywiście w życiu nie byłem bliżej żadnego aeroplanu, nie mówiąc o aeroplanie uzbrojonym i zatankowanym. Mając powłokę skrzydła o parę cali od twarzy, nagle przeraziłem się tej maszyny. Owiał nas ostry zapach lakieru, którym usztywniano płótno skrzydeł, ewidentnie na eterze lub alkoholu. Porucznik Bartlett dostrzegł moją reakcję.

- Za parę dni przyzwyczai się pan do tego zapachu - powiedział. - Proszę się starać go nie wdychać. Bez niego te latawce by nie poleciały.

Nie odpowiedziałem. Podobnie pachnący płyn wykorzysty-

wałem w jednej z moich sztuczek, w której znikąd (przynajmniej dla oka widza) nagle pojawiał się widowiskowy płomień. Ciągle bałem się tego lotnego, niezmiernie łatwopalnego płynu, podchodziłem do niego z wielką ostrożnością, a tymczasem tu całe samoloty były pomalowane czymś takim. Aż za łatwo przychodziło sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby pocisk z pelotki wybuchł blisko samolotu albo gdyby płótno przeszła gorąca kula.

Bartlett pokazywał mi spodnią powłokę skrzydła. Zabębnił w nią palcami, żeby pokazać, jak mocno jest napięta. Pomalowana była na srebrzy- stobłękitno. Widać mieli podobne pomysły na maskowanie jak ja.

- Widzi pan, czego próbujemy?

- Widzę, tak. I czy to pomaga? Trudniej zauważyć samolot?

- Nic nie zauważyliśmy. Nadal do nas strzelają. Problem polega na tym, że nie możemy dalej eksperymentować z innymi kolorami. Każda warstwa farby zwiększa ciężar maszyny i trochę rozmiękcza płótno. Jeszcze jedna może by przeszła, nic ponadto. A pan co sądzi?

- Nie jestem pewien, czy farba coś pomaga - powiedziałem. - To jest pierwszy krok, ale chodzi mi po głowie coś lepszego.

- Powie pan, co to takiego?

- Jeszcze nie. Muszę to dokładniej zbadać.

- Sir, każdy dzień się liczy.

- Wiem. Będę szybko pracować.

Wysunęliśmy się spod skrzydła i wstaliśmy. Uczucie oszołomienia wywołanego przez opary lakieru zaczęło ustępować. Bartlett rozejrzał się po niebie i po chwili wskazał przelatujący w oddali, nisko, samolot lecący z kierunku przeciwnego do linii frontu.

- To pewnie będzie Jenkinson - powiedział. - Porucznik pilot Jenkinson. Był na próbie strzeleckiej i zaraz przeleci nad nami. Sam pan zobaczy, jaki skutek ma ta srebrna farba.

I rzeczywiście, samolot zaraz przechylił się na bok i skręcił w stronę bazy. (słoniliśmy oczy dłońmi. Wzniósł się nieznacznie i



przeleciał nad nami na pewnej wysokości. Jeszcze nie znalazł się nad nami, gdy zobaczyłem na własne oczy, że pomysł ze srebrną farbą nigdy się nie sprawdzi. Mimo pomalowanego spodu, maszyna odcinała się czarną sylwetką na tle nieba.

- Niemcy nawet już nie próbują się maskować - dodał Simeon Bartlett, gdy porucznik Jenkinson zrobił ostry zwrot i wyrównał nad lotniskiem, aby podejść do lądowania. - Malują te swoje graty na jaki kolor im się podoba.

- Może oni nie starają się obserwować naszych pozycji tak aby samemu pozostać niezauważonym?

- Nie, nie, ja mówię o ich myśliwcach. To one stanowią główne zagrożenie. Pewnie, pelotek nikt nie lubi, ale kiedy Hunowie przysłał bandę myśliwców, każdy musi radzić sobie sam. I radzimy sobie. Walka jest wyrównana. Strzelamy równie dobrze jak oni, gorzej, że jeśli nie uważamy, mogą nas wziąć z zaskoczenia. Przeważnie zaczyna się od tego, że ichnia obrona przeciwlotnicza przestaje do nas strzelać. To znak, że trzeba przestać patrzeć w dół i spojrzeć w górę.

- Pan brał udział w takich bitwach?

Młody oficer zrobił zakłopotaną minę i rozejrzał się, jakby sprawdzał, czy ktoś nas słyszy.

- W „bitwach”, to by było za dużo powiedziane. „Bitwy” to nie są. Gdybyśmy byli w piechocie, powiedzielibyśmy, że to potyczki. U nas używa się terminu „walka kołowa”, bo tak to właśnie wygląda, krąży się naokoło siebie, goni się za ogonem przeciwnika, próbując mu wladować porcję kulek zanim on wladuje nam. Wtedy maskowanie nie ma w ogóle żadnego znaczenia, wszyscy jesteśmy w powietrzu i obie strony mają takie same szanse.

- No to co ja mam robić? - zapytałem.

- Naszym głównym zajęciem jest obserwowanie linii wroga. Po to tu jesteśmy, aby wspierać żołnierzy lądowych, bo to oni muszą wygrać dla nas tę wojnę. Ale robi się to coraz bardziej niebezpieczne i coraz bardziej jest nam potrzebny działający kamuflaż.

Jakby na podkreślenie jego słów, nad lotniskiem przeleciał jeszcze jeden samolot. Ten zamachał skrzydłami, dając umówiony sygnał. Nad środkiem lotniska, gdzie staliśmy obok maszyny Bartletta, wzniósł się ostro i wyrównał lot, pokaszując silnikiem. Z rur wydechowych buchały kłęby czarnego dymu. Ten pokaz dobrego humoru pilota jeszcze dobitniej mi uświadomił, jak wyraźna jest widziana z ziemi sylwetka samolotu.

- Widzi pan, chodzi między innymi o cień - powiedziałem.

- Na ziemi?

- Nie chodzi o cień na ziemi, ale o cień po spodniej stronie maszyny. Przyszło mi do głowy, że można by to zmienić, instalując na samolocie lampy. - Myślałem szybko, choć chyba myśli szły nie tak, jak powinny. - Jedna lampa na brzuchu samolotu i parę jeszcze wzdłuż krawędzi dolnych skrzydeł. To by pomogło. Nie ma cienia, jest was trudniej zauważyć.

Bartlett osłupiał.

- Lecieć nad wroga z lampami? - zapytał.

- No cóż... tak.

- Nie sądzę.

- Ale jeśli oni...

Zażenowany, porzuciłem ten temat, nie drażąc go dalej. Przy znajdowaniu rozwiązania poniosło mnie, zapomniałem, że to nie tylko kwestia techniczna - że gra idzie także o życie tych młodych ludzi, którzy ryzykują tu wszystko.

Porucznik Bartlett odwrócił się ode mnie i podszedł do Astruma, który właśnie wkładał na siebie grubą lotniczą kurtkę. Przez chwilę cicho rozmawiali, a Bartlett kilka razy obejrzał się na mnie. Poczulem się w prawdziwym impasie – dotarło do mnie, jak poważne są to problemy i że rzucając tę głupią propozycję, zapewne podałem w wątpliwość własne umiejętności.

I wtedy, bym poczuł się jeszcze gorzej, podszedł do mnie po trawie kolejny oficer, ewidentnie dużo starszy rangą od lotników, których dotąd poznałem. Personel wokół wyprężył się i zasalutował.

Nawet na nich nie spojrział. Szedł wprost do mnie.

- Chcę z panem porozmawiać – rzucił bez wstępów, obcesowo celując we mnie palcem.

- Tak jest, sir – odpowiedziałem.

Odeszliśmy trochę od aeroplanu porucznika Bartletta i stanęliśmy plecami do reszty lotników.

- Ja chyba wiem, kim pan jest, Trent – powiedział autorytatywnym sopranem. – Pan chyba jest cywilem.

- No cóż, w istocie...

- Nie wiem, skąd się pan wziął w mojej bazie, wśród moich podwładnych, ani jakie pan ma rozkazy. Ale w tej bazie nie ma miejsca dla cywili.

- Sir, ja mam tylko tymczasowe powołanie, mam pisemne rozkazy od Admirala Floty.

Miałem je gdzieś w bagażu, po przyjeździe przekładałem je nawet z jednej walizki do drugiej. Wiedziałem, że zaraz po przybyciu muszę się zgłosić do dowódcy i przedłożyć mu moje rozkazy. W Admiralicji podkreślali, że właśnie tak muszę

postąpić, jednak nonszalanckie przyjęcie przez porucznika Bartletta sprawiło, że przeoczyłem tę wojskową subtelność.

- Przepraszam, sir - dodałem niezręcznie. - To moja pierwsza jednostka. Przesłano mnie tutaj jako specjalnego doradcę.

- Ja o to nie prosiłem.

- Czy mogę panu przedłożyć moje rozkazy, sir?

- Później. Dopiero co się dowiedziałem, że pan tu jest. Niech pan zrobi to, co ma zrobić, nie przeszkadzając nikomu, a potem znika. Moi chłopcy codziennie narażają życie i nie potrzebują, żeby im zawracał głowę jakiś cholerny iluzjonista, który myśli, że sam jeden wygra wojnę. Czy wyrażam się jasno? Zrozumiał pan?

- Tak jest, sir.

On jednak już szedł z powrotem po trawie, w roztargnieniu salutując mijanym młodym pilotom wychodzącym właśnie na pas, gotowym do kolejnego wylotu.

W trakcie tej krótkiej i nieprzyjemnej rozmowy porucznik Bartlett wspiął się do kokpitu swojego samolotu, a Astrum zajął miejsce obserwatora. Włożyli pilotki. Mechanik już stał w pogotowiu, żeby zakręcić śmigłem, dwaj inni czekali na sygnał do wyjęcia klinów spod kół. Podeszedłem do samolotu. Bartlett kiwnął mi głową.

- Musimy zrobić lot próbny, parę kółek, sprawdzić, czy stery dobrze działają. Potem, pomyślałem, że poleciałby pan ze mną zamiast Astruma i przyjrzał się z bliska niemieckim liniom. Przekonałby się pan, co my tu musimy znosić.

Coś podeszło mi nieprzyjemnie do gardła.

- Dzisiaj? Z rana?

- Im szybciej, tym lepiej. Sprawa jest pilna.

- A dowódca się na to zgadza, jest pan pewien?

- A co Henry panu powiedział?

- Henry?

- Dowódca bazy, komandor porucznik Montacute.

- Powiedział, żebym stąd zniknął. Że nie jestem tu mile widziany.

- No to chyba nie powinien narzekać, że polecę z panem pod ogień! - Simeon Bartlett zaśmiał się cynicznie. - Pan się nie

przejmuje tym, co on mówi. Wczoraj, przed pana przyjazdem, oberwało się i mnie, bo pomyślał, że poszedłem do Admiralicji za jego plecami. Właściwie i tak było, bo to mój wuj Timothy podjął decyzję, żeby pana tu przysłać. W istocie załatwiłem to za plecami Henry'ego albo ponad nim – i jemu się to nie podoba. Ale Admiralicja już podjęła decyzję i on nie ma nic do gadania. Niech pan mu jak najszybciej przekaże swoje rozkazy, jeśli jeszcze coś powie, ja z nim porozmawiam. Prosty fakt: ja mam rodzinę w dowództwie, a on nie.

Odchylił się ode mnie, zerknął w przód ponad osłoną silnika. Zawołał do mechanika:

– No dobra, Walters!

Stojący przed samolotem młody człowiek z całej siły szarpnął dwułopatowe śmigło i odsunął się na bok. Śmigło zrobiło pół obrotu i cofnęło się, silnik jakby zarzęził. Procedurę powtórzono jeszcze kilka razy, wreszcie silnik zaskoczył. Śmigło zakręciło się, z rur buchnęły ogromne kłęby błękitnych spalin.

Już miałem się cofnąć, ale porucznik Bartlett odwrócił się jeszcze do mnie.

– Niech pan włoży kombinezon lotniczy! – zawołał ponad rykiem silnika. – Tam, w barakach jest jeszcze kilka! Zobaczmy się za dziesięć minut, polecimy popatrzeć z bliska na Niemców!

Mechanik zrobił krok naprzód i wyciągnął pistolet z grubą lufą. Stał przed aeroplanem Bartletta, rozejrzył się na boki i ujął broń oburącz. Wycelował ją w górę i oddał jeden strzał. W niebo, lukiem ku słońcu, wzbiło się jaskrawoczerwone światło. W najwyższym punkcie łuku rozbłysło jeszcze jaśniej, po czym zaczęło powoli opadać ku ziemi.

Młody człowiek błyskawicznie przesunął się w bok.

– Droga wolna, sir! – krzyknął.

Porucznik Bartlett machnął dłonią na znak, że zrozumiał. Silnik zmienił dźwięk z powolnego klekotu na basowy ryk. Trawa wokół samolotu rozplaszczyła się i zafalowała pod strumieniem powietrza. Bartlett zawołał coś do stojących wokół ludzi, zamachał obiema rękami. Dwaj żołnierze odciągnęli drewniane

kliny spod kół.

Maszyna natychmiast ruszyła do przodu, podskakując na trawiastej łące. Ster kierunku przesuwiał się z boku na bok – to Bartlett próbował trzymać się prostej linii. Skierował samolot na wschodni skraj pola, w kierunku słabego wiatru. Gdy znalazł się mniej więcej w połowie odległości, zawrócił i zaczął przyspieszać pod wiatr, podrygując i podskakując na nierównej ziemi. Gdy mijali naszą grupkę, widać było, że obaj skulili się w kokpitach dla ochrony przed wiatrem. Za krawędź wystawał karabin Astruma, z lufą zadartą do góry. Niebawem nabrali odpowiedniej szybkości, wystartowali i wzniesli się stromo ku chmurom, zostawiając za sobą smugę rzadkich, niebieskawych spalin.

Znalazszy się na tle nieba, samolot stał się czarną sylwetką – już wiedziałem, że to normalne. Jakaś część mego umysłu, odpowiedzialna za wymyślanie sztuk, wiedziała, że odpowiednio ustawione światła na spodzie maszyny mogłyby zmienić jego widoczny z ziemi kształt, być może wystarczająco, aby zdezorientować niemieckich strzelców przeciwlotniczych, aby pozwolili im względnie bezpiecznie przelecieć. Nie mogłem jednak lekceważyć faktu, że Bartlett całkowicie odrzucił ten pomysł. Musiało być jakieś inne rozwiązanie. Uczyłem się teraz, jakie są granice tego, co można zrobić na wojnie, ale przynajmniej miałem kilka innych pomysłów na zmylenie przeciwnika przez odwrócenie uwagi lub sąsiedztwo.

Aeroplan porucznika Bartletta wykonywał gwałtowny zwrot nad przeciwnym końcem łąki. Zawrócił nad lotnisko, cały czas pnąc się do góry.

Któryś ze stojących na ziemi mechaników coś nagle wykrzyknął, choć nie rozumiałem ani słowa. Pokazywał w powietrze na samolot. Ktoś inny krzyknął:

– Coś jest nie tak! Jak nie wyrówna, to zaraz przeciągnie!

Samolot wznosił się teraz niemal pionowo, zaczynał już powoli kręcić się w kierunku przeciwnym do śmigła. Był niemal dokładnie nad nami. Wszyscy wokół wpatrywali się w małą

maszynę, pokazywali coś palcami, krzyczeli, wrzeszczeli, chcąc pomóc.

- Zaraz go zadławi!

- Opuśćże nos!

- Zaraz się rozbije!

Wokół silnika pojawiły się kłęby czarnego dymu, natychmiast porywane przez strumień zaśmigłowy. Z aeroplanem wyraźnie działa się coś złego - opadł trochę, z silnika znów buchnął gęsty dym. Przez chwilę wydawało się, że leci normalnie, opuścił nos, jakby wyrównywał, lecz niemal natychmiast wpadł w korkociąg. Spadał, już pozbawiony kontroli, pędził, nieustannie przyspieszając, ku ziemi, ciągnąc za sobą przerażającą spiralę czarnego dymu.

Leciał prosto na nas. Wszyscy rozbiegli się, potykając się w nerwach o nierówną ziemię, chcąc uciec przed nim, oglądając się za siebie i do góry.

Spadający samolot jakimś cudem w nas nie trafił. Z ogromną prędkością uderzył w ziemię, nie więcej niż dwadzieścia pięć metrów od miejsca, gdzie staliśmy. Nastąpił błysk i potężny wybuch. Falę uderzeniową poczułem jak kopniak. Białe, czerwone i pomarańczowe płomienie buchnęły na wszystkie strony. Uniosła się ogromna chmura dymu, przetykanego językami ognia.

Razem z innymi puściłem się biegiem, chcąc dopaść wraku zanim ogarną go płomienie, jednak im bliżej byliśmy, tym bardziej oczywiste było dla nas, że pękł zbiornik z paliwem. Macki płonącej benzyny rozpetzły się po trawie, w jasnym świetle dnia wydawały się jaskrawopomarańczowe, zwieńczone gęstymi fałami dymu. Inni lotnicy podbiegli bliżej, ja natomiast zatrzymałem się. Obezwładnił mnie lęk - nie przed pożarem, nie przed kolejnym wybuchem; lęk przed tym, co zaraz zobaczę.

Rzeczywiście, nastąpiła druga eksplozja, słabsza od pierwszej. Ludzie, którzy mnie wyprzedzili i już dobiegali do wraku, padli, porażeni żarem, lub zaczęli uciekać.

Ja zaś, oniemiały i przerażony, patrzyłem tylko. Między

językami ognia i dymem zobaczyłem coś. Wiedziałem, że do końca życia nie pozbędę się tego wspomnienia. Zobaczyłem sylwetkę człowieka, który szamocze się, aby wstać i wydostać się z wraku samolotu. Machał opętańczo rękoma, krzyczał przy każdym oddechu, widziałem jednak, że całe ubranie ma spalone lub zerwane przez podmuch. Odsłonięte ciało było czarne i pło-nęło na moich oczach. Wydawało się, że topnieje jak wosk, spala się nie na węgiel, lecz na miękką, plastyczną, miękącą masę. Nie miałem pojęcia, czy to Simeon Bartlett, czy jego obserwator Astrum.

Zgiął się wpół, złożył, pochylił, spłynął w dół w płomienie.

Skułiłem się z przerażenia, gdy huknął trzeci wybuch, najstarszy z nich. Usłyszałem warkot kolejnego silnika – to przez trawę pędził, podskakując, wóz strażacki. Usiadłem bezwładnie w słońcu, w lekkim wietrzyku, czując zapach palącego się paliwa i lotnego lakieru, którym pomalowane były skrzydła, słysząc trzask płonącego drewna, teraz także chłupot wody, którą polewano spalone szczątki. Nade mną kłębił się gęsty dym. Mdliło mnie od jego zapachu.

Gdy reszta ludzi się rozeszła, ja nadal stałem na środku pola. Patrzyłem, jak strażacy dogaszają resztki ognia. Potem odwróciłem się, nie chcąc widzieć, jak sanitariusze z karetki wyciągają z wraku ludzkie szczątki.

Odjechali w stronę budynków bazy, pozostawiając na polu małą, tłącą się kupkę nieokreślonych kształtów i belek.

Odszedłem stamtąd dopiero, gdy podszedł do mnie młody oficer, którego dotąd nie poznałem. Łagodnie i delikatnie wyjaśnił mi, że stoję pośrodku pasa startowego. Ze samoloty czekają, a muszą startować do kolejnych zadań. A inne mogą lada moment wrócić i będą chciały gdzieś wylądować.

Wojna toczyła się dalej.



I co ja miałem teraz począć?

Wróciłem głęboko wstrząśnięty do ponurej klitki, w której spędziłem niespokojną noc, usiadłem na brzegu pryczy i spróbowałem się zastanowić. Nie osiągnąłem absolutnie niczego, a do tego miałem tylko nieokreślony, wstępny pomysł na rozwiązanie problemu – szkic idei opartej na odwróceniu uwagi przez sąsiedztwo, sztuczki iluzjonistycznej mającej zmylić niemiecką armię, jedną z najlepiej dowodzonych i wyszkolonych na świecie. A ja tu proponuję, że pokonam ją trikiem prestidigitatorskim. To, co powiedział komandor Montacute o iluzjoniście, który myśli, że sam jeden wygra wojnę, było dość dalekie od prawdy, lecz mimo to zaboląło. Wszystkie moje pomysły zapewne i tak okazałyby się nie do zrealizowania. Nawet najprostsze triki wymagałyby dużej dozy pomocy i chęci współpracy pilotów Sił Powietrznych, a ja byłem w tym całkowicie zależny od mojego młodego przyjaciela Simeona Bartletta, jedyne tutaj, który, jak się zdawało, pokładał we mnie jakąkolwiek nadzieję. Prawie go nie znałem, jednak ta nagła i potworna śmierć była dla mnie niewyobrażalnym, ogromnym ciosem – taki był młody, taki energiczny, tak pałał żądzą lojalnej, mężnej i honorowej walki. I już go nie ma.

Bez niego moja pozycja na lotnisku była co najmniej niepewna. Już wiedziałem, że dowódca bazy nie chce mnie tu w ogóle widzieć. A skoro Simeon Bartlett zginął, nastawienie komandora Montacute'a tylko umacniało mnie w niepewności, czy w ogóle uda mi się cokolwiek sensownego osiągnąć.

Tak więc każdy nerw mego ciała przekonywał mnie, aby po prostu się spakować, zabierać się z tej bazy, wracać do domu. Byłem jednak oficerem Marynarki Wojennej, w czasie wojny.

Obowiązywały mnie rozkazy. Jakże mógłbym tak sobie po prostu wyjechać? Czy nie potraktują mnie jak dezertera? Złapią, postawią przed sądem wojennym, rozstrzelają?

Po paru minutach zamartwiania się własnym losem, ogarnął mnie jeszcze głębszy smutek. Zacząłem myśleć o straconym życiu Simeona Bartletta i jego obserwatora. Nagłość tego wypadku i wstrząs, jaki przeżyłem, oglądając go z tak bliska - z tych uczuć powoli się otrząsałem, zastępowało je jednak inne, o wiele silniejsze: żal, że zginęli ludzie. Zacząłem dygotać i nie byłem w stanie przestać. Nie mogłem się pogodzić z tym, że zobaczyłem, jak ginie dwóch zdrowych, inteligentnych, wykształconych, a przede wszystkim *młodych* ludzi. Nieczęsto płaczę, teraz jednak siedziałem na obskurnej pryczy w ponurej klitce i bez wstydu szlochałem.

Zza okna dobiegał dźwięk silników lotniczych, uruchamianych, przegazowywanych, z klekotem gaszonych. Nie patrzyłem tam. Nie byłem w stanie oglądać kolejnych startujących lub lądujących maszyn.

Gdy wreszcie udało mi się uspokoić, wyszedłem z pokoju i zbierając siły do kolejnej nieprzyjemnej rozmowy, poszedłem poszukać komandora porucznika Montacute'a. W końcu dowiedziałem się, że akurat dowodzi misją.

Wróciłem do siebie. Znalazłem rozkazy, po czym napisałem do komandora uprzejmą wiadomość, w której powiedziałem, że zgodnie z jego rozkazem, opuszczam bazę, bo moje zadanie dobiegło końca, a po przy- jeździe do Londynu natychmiast oddam kartę mobilizacyjną. Dopisałem krótką pochwałę Simeona Bartletta - tyle, na ile go poznałem. Zakończyłem słowami, które, jak liczyłem, uzna za kulturalne uznanie dla wykonywanej tu przez niego, wraz z pilotami, niebezpiecznej i wartościowej pracy. Poszedłem do jego biura i zostawiłem papiery ordynansowi.

Spakowałem bagaże, zdecydowany znaleźć się daleko od bazy, zanim wróci dowódca. Dotarłem do głównej bramy, przy której stał wartownik, przygotowując się na pytania, dokąd się

wybieram i po co, lecz wartownik- marynarz, zobaczywszy mój mundur i dystynkcje, po prostu podniósł szlaban. Zasalutowaliśmy sobie nawzajem.

Znalazszy się na drodze, odwróciłem się i spojrzałem za siebie. Za bramą stała drewniana tablica, skierowana w stronę drogi. Na górze, urzędowymi, równymi, drukowanymi literami, widniał napis: „Siły Powietrzne Królewskiej Marynarki Wojennej, Dywizjon 17, Béthune”. Pod spodem był całkiem udatny wiejski widoczek – krowy pasące się na bujnej łące, otoczonej wysokimi drzewami. Nad nimi krążyły trzy maleńkie samolociki. Poniżej, także równymi, drukowanymi literami, choć mniej oficjalnymi, stało: *La rue de bêtes*. Pod spodem, jeszcze mniejszymi: *Entrée interdite - sil vous platt rapportez á l'officier de service*<sup>2</sup>.

Ruszyłem drogą, zdeterminowany, by, jeśli będzie trzeba, dojść pieszo do samego Béthune, ale już po paru minutach pojawiła się wojskowa ciężarówka, a szofer zatrzymał się i zaproponował, że mnie podwiezie. Wrzuciłem bagaże na pakę i usiadłem obok niego w kabinie. Zadał mi parę niewinnych i tym samym nieszkodliwych pytań o moje wojenne doświadczenia, na które odpowiedziałem jak najbardziej ogólnikowo. Sam dodał, że jest saperem i uczestniczy w trudnym przedsięwzięciu zrobienia głębokiego podkopu pod niemieckie linie, po to, aby podłożyć tam potężne miny. Powiedział, że nigdy nie udało im się niczego wysadzić, bo linia okopów cały czas przesuwana jest tam i z powrotem. Obecnie pracują nad nowym tunelem, o wiele dłuższym i bardziej ambitnym, i...

Patrzyłem przed siebie na nierówną nawierzchnię drogi, myśląc o bezsensie wojny i bezsensownej śmierci młodych ludzi. Zobaczyłem kilka brytyjskich samolotów, lecących z lotniska na wschód, ustawionych w ciasny romb. Lecieli pod wysokimi, jasnymi chmurami, czarni na tle wczesnozimowego nieba.

---

<sup>2</sup> Wstęp wzbroniony, proszę się zgłosić do oficera dyżurnego (fr.) (przyp. tłum.).

W Béthune nieznacznie spóźniłem się na pociąg do Calais i musiałem czekać aż do wieczora na kolejny. Na stacji nie czuło się brytyjskiej wojskowej obecności, cała przybrała przyjemnie cywilny wygląd. Zaczęto nawet odbudowę budynków naprzeciwko, a także wokół samego dworca robotnicy rozstawiali rusztowanie. Udało mi się zamknąć bagaże w skrytce w hali i poszedłem do miasta rozejrzeć się za jakimś posiłkiem.

Popołudnie i wieczór spędziłem jakby w stanie zawieszenia, trochę czekając, trochę jedząc, trochę popijając. Miałem przy sobie tylko brytyjskie pieniądze, sklepikarze jednak już zdążyli się z nimi zaznajomić i chętnie je przyjmowali, choć kurs proponowali złodziejski. Nerwy miałem nieustannie napięte – bałem się, że ktoś z brytyjskiego dowództwa zobaczy mnie i zapyta, co tu robię. Nie mogłem wyzbyć się wrażenia, że wyjeżdżając z bazy lotniczej, stałem się dezserterem. Nie pomagał też niejednoznaczny wydźwięk rozmowy z dowódcą. Za każdym razem, gdy widziałem ludzi w brytyjskich mundurach, sztywniałem z niepokoju. Nikt jednak w najmniejszym stopniu się mną nie zainteresował.

Gdy wróciłem na dworzec, dowiedziałem się, że wszystkie pociągi są odwołane – *c'est la guerre, mon capitaine*, powiedział, zamykając, kasjer w kasie biletowej. Obszedłem miasteczko jeszcze raz, wreszcie znajdując wolny pokój w hotelu.

Z rana – dobra wiadomość. Pociągi kursują normalnie. Kupiłem bilet na pierwszy z nich. Odjechał punktualnie, jechał szybko, znalazłem się w Calais w samą porę, by złapać prom do Dover. Wejście na pokład opóźniło się ze względu na meldunki o grasującym na Kanale niemieckim U-Boocie. W końcu jednak zaczęli wpuszczać. Na promie nie było tłoku. Znalazłem sobie

ustronny zakamarek w poczekalni, owinąłem się szynalem i próbowałem uspokoić myśli. Wejście do portu w Dover trochę się opóźniło, przybiliśmy dopiero późnym popołudniem. Wyszedłszy na ląd, znowu dowiedziałem się, że są kłopoty z pociągami. Pohamowałem zniecierpliwienie, znalazłem hotel w pobliżu portu, przenocowałem w nim, i następnego dnia rano udało mi się złapać pierwszy pociąg do Londynu.

W końcu, około drugiej po południu, po spokojnej podróży przez pola Kentu, pociąg wtoczył się z turkotem na długi żelazny most nad Tamizą i wjechał na dworzec Charing Cross.

Wysiadając na peron, poczułem ogromną ulgę. Chciałem tylko jak najszybciej dostać się do domu, przeczytać listy otrzymane podczas nieobecności, zasiąść w spokoju we własnym fotelu. Na dworcu panował dobrze mi znany rozgardiasz, pełen niekontrolowanego wypuszczania pary i głuchych huknięć. Gwizdki przenikliwie pogwizdywały. Kolejarze porozumiewali się głośnymi okrzykami. Gołębie trzepotały skrzydłami pod belkami wysokiego przeszklonego dachu i chodziły chwiejnie po peronie. Bez dwóch zdań, dobrze było znaleźć się z powrotem w Londynie. Zagadnienie, czy jestem dezserterem z Królewskiej Marynarki Wojennej, zapewne rozstrzygnę w swoim czasie, zresztą i tak cała oficcerska nominacja zaczęła w moich oczach nabierać teoretycznego charakteru. Wcale mnie tam nie chcieli.

Musiałem zaczekać na peronie na bagażowego, jednak już po chwili udało mi się ruszyć w ślad za nim do przestronnej hali dworcowej.

Wtem dostrzegłem przed sobą na peronie sylwetkę niewysokiego oficera, który także zmierzał w stronę postojów dorożek przed dworcem. Szedł wolno obok bagażowego prowadzącego wózek z wielką walizką i kilkoma mniejszymi paczkami. Z tyłu nie różnił się za bardzo od innych umundurowanych oficerów, licznie obecnych na dworcu, nie mogłem jednak nie zauważyć, że spodnie ma ubrudzone błotem.

Wyprzedziłem go, wchodząc z moim bagażowym do hali.

- H. G.? - zapytałem, gdy byłem pewien, że to on.

Patrzył prosto przed siebie. Przekonany byłem, że umyślnie nie reaguje. Spróbowałem raz jeszcze.

- H. G.? Panie Wells?

Tym razem odwrócił się do mnie, choć zmarszczył ponuro czoło. Nie lubił, gdy się go zaczepiało. Nagle jednak mnie rozpoznał.

- Ach, no tak - odezwał się. Znów zmarszczył czoło i zmrużył oczy. Uśmiechnął się, ale zdawkowo, przelotnie, jak ktoś przyzwyczajony, że rozpoznają go na ulicy. - Pan iluzjonista z peleryną czarodzieja.

- Zastanawiałem się, czy jeszcze się kiedyś zobaczymy - powiedziałem.

- W takiej chwili, gdy obaj cieszymy się, że wróciliśmy do punktu startu! - odparł enigmatycznie.

- Nie będę cię zatrzymywał - powiedziałem. - Rozumiem, że śpieszy ci się do domu.

- No, prawda.

Zatrzymaliśmy się na moment i staliśmy teraz twarzami do placu przed dworcem, gdzie o nasze względy konkurowały konne dorożki i motorowe taksówki. Przed głównymi stołecznymi dworcami zawsze panował zgiełk i rozgardiasz, konie dorożkarskie denerwowały się i płoszyły, musząc czekać w bezpośrednim sąsiedztwie hałaśliwych i smrodliwych taksówek motorowych. Patrzyłem na znajome, zatłoczone londyńskie ulice, na ruch wypływający powoli z Trafalgar Square, w stronę Strandu, na pełne przechodniów trotuary. I ten trudny do opisania, acz niepodrabialny zapach londyńskich ulic - charakterystyczna mikstura dymu, końskiego łajna, kurzu, potu, jedzenia, spalin. Nad nami wznosił się wysoko jeden ze słynnych Krzyży Eleonory.

Dwaj bagażowi stali nieco przed nami, czekając, aż zdecydujemy, czym będziemy jechać.

- Jak dobrze być z powrotem w domu - powiedziałem.

- Mogę tylko przytaknąć - odparł H. G., rozglądając się po miłym dla oka chaosie naszej stolicy. - Dotarłeś na Front

Zachodni?

- Tak. A ty?

Po jego twarzy przemknął znajomy już cień rozdrażnienia.

- Po to tam byłem - powiedział. - Ale kiedy skończyłem, a dokładnie powiedziano mi dobitnie, że już skończyłem, rozejrzałem się jeszcze szybko po okolicy i wróciłem do domu. W skrócie, kazano mi się wynosić, i to w niezbyt uprzejmych słowach.

- Mniej więcej coś podobnego i mnie spotkało.

- Nie dziwi mnie to. Nie tego się spodziewałem, nie na to liczyłem. C izyli w okopach jednak nie potrzeba magików?

- Niestety nie.

- Wróciłeś z pustymi rękami - zauważył.

- Po prostu cieszę się, że dla mnie to już koniec. Że jadę do domu. Ty lak samo, jak mniemam?

- No cóż, nauczony doświadczeniem zawsze dbam o to, aby mieć więcej niż jedno zadanie. Tym razem miałem dwa, albo i trzy, jeśli liczyć moje tymczasowe wcielenie do Armii Brytyjskiej.

- Mówiłeś o tym swoim systemie transportu - mruknąłem.

H. G. rozejrzał się jakby ostrzegawczo, skupiając wzrok zwłaszcza na dwóch bagażowych, którzy z łatwością mogliby nas słyszeć, gdyby nie nieustający zgiełk dworca i ulicy.

- Ani ty, ani ja o niczym takim nie wiemy. - Na jego wysokie czoło powrócił mars. - Tajemnica wojskowa.

- Ale jak to?

- Widzisz: nikt nie chciał mi o tym powiedzieć ani słowa. Ani czy to wypróbowali, ani nawet, czy to skonstruowali. Człowiek, którego mi przydzielono, udawał, że w życiu o czymś takim nie słyszał, a przecież to jego z nazwiska wymieniały moje rozkazy. - Nachylał się ku mnie, z ożywieniem na twarzy, mówiąc cicho, ale dobitnie. - Oto przyjeżdżam ja, wynalazca tego cholerstwa, którego wysłuchał ni mniej, ni więcej, tylko sam Churchill, i nikt w okopach nie jest w stanie nic mi o tym powiedzieć. Podejrzenie to wygląda, ci powiem. Poszedłem wyżej, najwyżej, jak byłem w stanie dotrzeć, i ci oficerowie też nie powiedzieli mi

ani słowa. Jedyne, co doradzili, to łapać pierwszy pociąg do domu i nikomu nie mówić ani słowa.

- A zobaczyłeś w ogóle to urządzenie?

- To właśnie wydało mi się najbardziej podejrzane. Na froncie jest kompletny chaos, błoto, kable, leje po eksplozjach, zwąły różnych rzeczy. Niemcy też nie pomagają, co pięć minut przyfruwa od nich pocisk, wszystko wylatuje w powietrze i robi się jeszcze większy chaos. Trzeba tam pobycć choć przez chwilę, żeby mieć pojęcie, jak to wygląda. Ale w samym środku tego wszystkiego zobaczyłem jakąś linkę zawieszoną na mocnych słupach, całkiem podobnie, jak w moim projekcie, który im przekazałem. Wyglądało to na nowe, jakby założone parę dni wcześniej.

Ale kiedy o to zapytałem, wojskowi powiedzieli mi, że to jakiś telefon połowy, sygnalizacja ostrzegawcza, czy coś takiego.

- I nic po tym nie jeździło?

- Nic a nic.

- Ja myślałem, że wezwali cię na front, żebyś te urządzenia skontrolował i może ulepszył.

- Ja też tak właśnie myślałem - powiedział H. G. Wells. - Ale albo ktoś z Góry stwierdził, że mój pomysł jest funta kłaków niewart, albo sprzedali go Niemcom, albo... nieważne. Jestem na nich wściekły. Myślę, że prawda jest taka, że kiedy mnie zobaczyli, uznali, że nie można mi ufać. Mnie! Mojemu pomysłowi, mojemu planowi.

- Przykro mi to słyszeć - dodałem.

- Masz rację. Nie powinienem mówić takich rzeczy. Ani nawet myśleć takich rzeczy. Nie mam prawa podważać racji dowódców tych młodych nieszczęśników w okopach.

Jednak zdesperowana mina jeszcze długo utrzymywała się na jego twarzy. Patrząc nań, miałem wrażenie, że jego przeżycia i doświadczenia były bardzo podobne do moich.

- Ale mówiłeś, że miałeś więcej niż tylko jedno zadanie.

- Ja jestem pisarzem. Już wystarczająco trudno mieć z tego jakiś stały dochód, nawet w przypadku kogoś takiego jak ja, kto



w przeszłości odniósł parę sukcesów. A w czasie wojny klimat jest jeszcze bardziej niesprzyjający dla pisarzy. Więc w dzisiejszych czasach nie mogę sobie pozwolić na wyjazd dokądkolwiek, jeśli wcześniej nie umówię się z jakąś gazetą albo czasami z wydawcą. Tym razem jechałem jako *ex officio* przedstawiciel „Daily Maila” i moje doświadczenia złożą się teraz w Opinię. Mówiłem ci już, sporo ludzi uważa, że wtrącam się w nieswoje sprawy, ale te moje Opinie są bardzo poczytne. W zasadzie jedno niczym się od drugiego nie różni. A więc napiszę nową Opinię, dla setek tysięcy inteligentnych czytelników tego prasowego organu, a potem, mam nadzieję, przedrukuję ową Opinię w mojej nowej książce, gdzie znajdzie ją jeszcze inna grupa czytelników. W Opinii mam nadzieję wysunąć jedną bądź kilka Propozycji. Dotyczyć będą jedynych osób, wobec których jestem zobowiązany – nie interesuje mnie nic poza dobrem zwykłego człowieka. Jeśli mój pomysł, który może uratować życia ludzkie, nie wpłynie na wojskowych albo ich politycznych mocodawców, jeśli zakazą mi o tym wspominać do końca świata, to przynajmniej upamiętnię to w dobitnej Opinii, gdzie opiszę wszystko, co widziałem. Mam środki, aby to wyrazić, mam publiczność, która skorzysta, czytając. A przynajmniej głęboko w to wierzę i zgodnie z tą wiarą postępuję.

Kiwnąłem tępo głową. Zaliczałem się oczywiście do tych czytelników, którzy ucieszą się na każde słowo, które oświeci nas w kwestii wojny. Mimo krótkiej wizyty na *la rue des bétes*, wiedziałem o niej chyba mniej niż przed wyjazdem.

Rozmawialiśmy, stojąc pod ścianą dworca, mijaly nas tłumy pasażerów. Nasi bagażowi wciąż czekali, choć już puścili wózki i stali razem, paląc papierosy.

- A ty, Tommy? - zapytał Wells. - Masz takie samo wrażenie jak ja, że ta wojna jest nie do wygrania? Że sprawiedliwa sprawa, w którą wierzyliśmy na początku wojny, już przepadła?

- Mnie najbardziej zdumiało, jakich wspaniałych ludzi tam spotkałem. Całe pokolenie jest skazane na zagładę i oni dobrze o tym wiedzą, ale i tak się starają. Ich odwaga zapiera dech w

piersiach. Samej walki prawie nie doświadczyłem, nawet potyczki, czy „walki kołowej”, jak oni to nazywają. I tak jednak wspomnienia mam bez wyjątku przygnębiające. Wojna to potworność!

Wiedziałem, że moje słowa zapewne są zbyt egzaltowane, wylały się jednak ze mnie zanim zdążyłem ugryźć się w język.

- Obaj, jak sądzę, pojechaliśmy do Francji z wizją - powiedział on. - I rozczarowało nas, że te wizje są w zasadzie bez wartości. Wojna to nie miejsce na wizje. Wojna to armie, walka, determinacja i odwaga. Tak to mogę podsumować?

- Tak.

- I dlatego jest tam jeszcze straszniej. Bo kiedy umiera wyobraźnia, umiera nadzieja.

Zamilkliśmy na moment, unikając własnego wzroku. H. G. wpatrywał się w kamienne płyty chodnika.

- A okopy widziałeś? - zapytał nagle.

- Nie. Ja w ogóle mało co widziałem. Byłem na lotnisku, z dala od frontu.

- Może i lepiej. Ale i tak wystarczyło?

- Wystarczyło aż nadto - przytaknąłem.

Wells wyciągnął do mnie rękę, pożegnaliśmy się jeszcze raz. Tym razem spojrzeliśmy sobie w oczy. Te niezapomniane niebieskie oczy, tak otwarte!

- Więc wygląda, że obaj wróciliśmy do domu z wyrobioną Opinią. Ja swoją przynajmniej mogę gdzieś wyrazić. Ty zapewne nie.

- Nie - powiedziałem.

- Zatem pisząc, będę myślał o tobie.

Potem rozstaliśmy się, nasi bagażowi popchali wózki w stronę postoju taksówek. H. G. Wells wziął pierwszą z automobilowych taksówek, ja - pierwszą dorożkę. Ruszyliśmy w londyńskie ulice i już nigdy się nie spotkaliśmy.

# **CZEŚĆ III**

## **Farma Warne'a**

## Nauczycielka

Tibor Tarent stał przed mebsherem, potężny opancerzony kształt górował ciemno ponad nim, turbina kręciła się na jałowym biegu, ale wciąż wyla, a spaliny dmuchały w wysoką trawę, rozwiewając ją w nieustannie zmieniające się kształty. Transporter zatrzymał się na stoku porośniętej paprociami górki. Stał pod kątem, prawy bok wyżej niż lewy, przez co zejście na ziemię bez upadku było raczej kwestią szczęścia niż zręczności.

Oslaniając aparaty przed obijaniem się o boki metalowych schodów, rozciął sobie wierzch dłoni o jeden z ostrych, sterczących zawiasów mocujących hydraulicznie zamykane drzwi do kadłuba. Przycisnął skaleczenie do ust i spojrzął, co to było – nie był to sam zawias, ale część metalowej osłony jednego z zacisków, która jakimś sposobem rozpruła się, tak że sterczały z niej ostre krawędzie.

Sieczony porywistym wiatrem niosącym drobinki lodu, musiał odsunąć się i patrzeć jak drugi kierowca Ibrahim szarpie się, wyciągając jego bagaże z komory pod kabiną pasażerską. Musiał się siłować, przez to, że transporter stał mocno przechylony w przeciwną stronę.

Wreszcie odnalazł jego torbę i postawił ją na zewnątrz na nierównym podłożu. Zrobił coś, co Tarent odebrał jako zdawkowy, quasi-wojskowy salut, ale przy tym powiedział uprzejmie i grzecznie:

- Inszallah.

- I z tobą także – odpowiedział odruchowo.

Kierowca pstryknął mechanizmem drzwi i obaj obserwowali, jak wbudowane schodki składają się do góry i chowają, a drzwi opuszczają na miejsce. Tarent zauważył, że ciężar drzwi wcisnął

z powrotem ostrą ułamaną część, choć po chwili wyskoczyła z powrotem. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć o niej załodze, wiedział jednak z doświadczenia, że kierowcy mebsherów zwykle nie mają zamiaru serwisować ani naprawiać swoich pojazdów.

Ibrahim odwrócił się, żeby z powrotem wgramolić się do kabiny kierowców.

Tarent powiedział:

- Ibrahim, moment. Dokąd właściwie ja mam iść?

- Masz w swoim smartfonie GPS- a?

- Mam.

- To powinieneś już tam mieć współrzędne.

- Ale w którą to jest stronę?

- Wzdłuż tego grzbietu. - Kierowca machnął ręką. Widać było ślad oddalającej się dawnej ścieżki. - Miejscami jest za wąsko, żeby mebsher przejechał. Resztę będzie pan musiał przejść pieszo. Przepraszam za to, ale daleko nie jest. Zawieźliśmy pana jak najbliżej się dało, i zboczyliśmy z drogi, więc już jesteśmy spóźnieni.

- Rozumiem.

Ibrahim wrócił do kabiny kierowców. Tarent wiedział, że przejście przez listę kontrolną do startu, sprawdzenie, czy wszystkie systemy działają i rozpędzenie napędu do odpowiedniej prędkości zajmie im około dwóch minut. Stwierdził więc, że ma jeszcze dwie minuty na zmianę zdania.

Rozejrzał się po terenie wokół zatrzymanego mebshera. Nigdzie nie było prawie żadnej osłony - transporter stanął blisko ziemnego wału, pod którym rozciągały się lekko falujące pola uprawne. Parę żywopłotów, prawie żadnych drzew. Tarent, lekko ubrany, bo wewnątrz mebshera było ogrzewane, a nie miał czasu się ubrać, poczuł się zmarznięty i bezbronny. Znalazł kurtkę tam, gdzie ją zostawił, między uchwytami torby, i pośpiesznie wciągnął ją na siebie. Turbina mebshera wyła na jałowym biegu, pokazując, że jeszcze nie przeszli przez listę kontrolną.

Tego popołudnia, gdy jechali razem w mebsherze, Flo

dyskretnie podała mu drugi odręczny liścik. Zaskoczył go prawie tak samo jak pierwszy, dzień wcześniej. Nie widział jej od wieczornego spotkania w Long Sutton, nawet na śniadaniu w maleńkiej stołówce. Gdy wsiadał do transportera, już tam była, wydawała się wpatrzona w laptopa, mówiła coś cicho do zestawu słuchawkowego. Postukała się parę razy za uchem, systematycznymi seriami stuknięć, tworzącymi jakiś kod, dotykając czujników implantu pod różnym kątem. Tarent spróbował parę razy nawiązać z nią kontakt wzrokowy, lecz nie udało mu się. Wrócił do stanu niezręcznej introspekcji, w którym tkwił poprzedniego dnia.

I nagle ten odręczny liścik. *Zmiana planów? Odpuść sobie Farmę Warne'a i chodź ze mną. Powiem ci coś o twojej żonie.*

Skrawek papieru był wydarty z jakiegoś urzędowego dokumentu, bo w górnym rogu został kawałek tłoczony pieczęci. Czytelna była jedynie końcówka jakiegoś internetowego adresu: „fice.gov.eng.irgb”.

Parę chwil zastanawiał się, znów gapiąc się na tył jej głowy. Co ona by miała nowego do powiedzenia o Melanie, czego nie mogła mu powiedzieć wczoraj wieczorem? Czy to ta informacja tłumaczyła dane latające tam i z powrotem przez jej implant? Lecz dla niego liczyłaby się teraz tylko jedna informacja o Melanie – że znaleziono ją całą i zdrową. Strata wciąż dotkliwie bolała. Wiedział ponad wszelką wątpliwość, że ona nie żyje. Jeśli Flo ma nawet jakieś nowe informacje, to są to co najwyżej jakieś dodatkowe niuanse tego, jak zginęła, albo coś o ludziach, którzy ją zabili.

Tarent nie był przekonany, czy w ogóle takie informacje są mu potrzebne i czy ma ochotę je słyszeć.

Może Annie i Gordon Roscoe byliby chętni poznać więcej faktów o tym, co się stało z ich córką; on natomiast jeszcze nie wyszedł ze stanu otępienia i dezorientacji – żal, poczucie winy, tęsknota, pragnienie, wspomnianie jej najlepszych stron, miłość do niej, ubolewanie, że ostatniego wspólnego dnia kłócili się tak

gwałtownie, poczucie, że nie dorósł jej do pięt. A przede wszystkim mieszanka miłości i poczucia winy, miał bowiem pewność, że gdyby nie on, nie wyszłaby sama ze względnie bezpiecznego szpitala. Sama Flo więcej by mu na ten temat nie powiedziała.

Gdy tylko zgodził się na ewakuację z anatolijskiej bazy BPZ, uległ pokusie, by inni podejmowali za niego wszelkie decyzje. Wyglądało na to, że jest jakiś rozkład, jakiś opracowany przez kogoś plan, jakaś struktura organizacyjna – szybki powrót do IRWB, prywatne spotkanie z teściami, potem przesłuchanie na tej jakiejś Farmie Warne'a, i w końcu wraca na wolność, do swojego poprzedniego życia.

I co będzie wtedy robił – tego jeszcze do końca nie wiedział i jak dotąd nie miał prawie okazji o tym pomyśleć – ich mieszkanie w południowo-wschodnim Londynie, dobytek Melanie; coś trzeba będzie zrobić z jej rzeczami. Dobrze, że chociaż testament miała. A potem co? Może wrócić do kariery fotografa – wolnego Strzelca, może pojechać do Ameryki, poszukać tam jakiejś roboty?

Dużo to nie było, ale przynajmniej był to jakiś pocieszający załączek planu, jakiegoś kroku naprzód, nawet jeśli perspektywy na taki ruch były jeszcze nieznane. Lecz nieznana była i alternatywa – że Flo chce go mieć przy sobie. Ten wariant nie miał żadnego planu, żadnej listy kroków.

Po paru minutach napisał na odwrocie karteczki odpowiedź. *Myślę jeszcze. Chciałbym być z tobą. Ale jeśli pojedę na tę farmę, to jak się potem z tobą skontaktować?*

Gdy zauważył jej lewą dłoń przewieszoną przez tył siedzenia, podał jej karteczkę. Nie zareagowała, ba, siedziała w tej samej pozycji przez wiele minut, z karteczką wetkniętą luźno w palce – tak długo, że zaczął już się zastanawiać, czy to w ogóle do niej dotarło. W końcu jednak poruszyła się i przesunęła dłoń na kolana. Skojarzyło mu się to nieodparcie z przekazywaniem liścików w szkole, gdy się myślało, że nauczyciel nie patrzy. Mimo całej tej cyfrowej technologii ludzie czasami wciąż woleli

nabazgrać prywatną wiadomość na kawałku papieru. Powiedziała coś do swojego współpracownika, parsknęła krótkim, lekkim śmiechem po jego odpowiedzi. Chwilę później dłoń trzymająca papierek powędrowała do implantu za uchem. Jeśli cokolwiek wskazywało, że przeczytała liścik, Tarent tego nie zauważył.

Pograżył się z powrotem w swoich marzeniach, w nieprzyjemnym półśnie - usiłował drzemać, choć wciąż był świadom otoczenia. Oprzytomniał dopiero wówczas, gdy mebsher stanął, a kierowca zawołał go przez interkom. Usłyszał dźwięk zwalniającej turbiny. Gdy pośpiesznie zbierał aparaty i wyciągał torbę, Flo pochylała się ku niemu, jakby chciała mu pomóc. Dotknęła jego dłoni, ścisnęła ją na moment, nic nie mówiąc. Nic mu też nie dała. Dwóch pozostałych pasażerów raczej niczego nie zauważyło.

I znalazł się na zewnątrz, na wietrznym wzgórzu, dygocąc, ssąc skałeczenie na dłoni i czekając, aż mebsher uruchomi silniki i odjedzie.

Zniesmaczony był własnym niezdecydowaniem. Może Flo naprawdę miała jakieś nowe informacje o Melanie? Jechał na tę Farmę Warne'a tylko dlatego, że ktoś z BPZ- u tak mu powiedział. Zrobił krok naprzód, wchodząc po nierównym stoku odrobinę wyżej, w miejsce, z którego na pewno dostrzegliby go kierowcy - było jednak za późno.

Turbina zakręciła się szybciej, z wydechów buchnął kłęb czarnego dymu, Tarent musiał się cofnąć, żeby nie znaleźć się za nimi, kiedy i ransporter będzie skręcał. Mebsher najpierw przechylił się pod jeszcze większym kątem, z uwagi na nachylenie wzgórza w miejscu, gdzie stał, potem raptownie zakręcił i wyrównał, błyskawicznie opadając. Aktywne zawieszenie przewidziało i skompensowało znaczną część tego ruchu, Tarent wyobrażał sobie jednak, na podstawie długiego doświadczenia, jak to musiało zadziałać na pasażerów w środku.

Szansa przepadła. Mebsher jechał powoli po bezdrożu wzgórza, kołysząc się z boku na bok i zostawiając za sobą w



miękkiej ziemi dwie głębokie bruzdy. Spalinami zawiewało aż do niego, pachniały benzyną, palonym olejem, gorącym metalem i zwęglonym plastikiem czy innym syntetycznym materiałem. Hałas był potworny, choć po paru sekundach ciężki pojazd zjechał ze skarpy i odgłosy zrobiły się cichsze. Teraz atakował go tylko wiatr z północy, pełen kłujących lodowych igielek.

Przełożył torbę, tak żeby pasek mieć na ukos przez pierś, uwalniając obie ręce. W jednej niósł futerał ze sprzętem, drugą dźwignął walizkę. Idąc ciężko, choć ostrożnie, próbując zachować równowagę, ruszył ścieżką, którą pokazał mu Ibrahim. Jednak po paru krokach stanął i postawił walizkę z powrotem.

Wyciągnął telefon, który od nich dostał, i uruchomił GPS- a. Gdy się wczytywał, pojawił się adres w formie tekstowej - *Padok, Farma Warne'a, k. Tealby, Lincolnshire.*

Prosta angielskość tego adresu sprawiła, że ogarnęła go przelotna i niewyraźna fala nostalgii - nagle wspomnienie po czasach, kiedy tu jeszcze były farmy i miały padoki. Po czasach, gdy było tu jeszcze hrabstwo, urzędowo nazywające się Lincolnshire. I jeszcze po czasach, gdy Anglia była krajem z jego dzieciństwa, choćby i tylko części dzieciństwa. Rozejrzał się tęsknie po niemal całkiem pozbawionym drzew krajobrazie.

Ściągnęła się elektroniczna mapa, strzałka od razu pokazała mu jego położenie względem docelowego adresu - i tak jak sugerował Ibrahim, nie wyglądało, żeby to było zbyt daleko, by iść pieszo, choć cały czas musiał nieść przez nierówny grunt swój bagaż. Pozbierał wszystko z powrotem i ruszył dalej. Przez to, że musiał oddzielnie nieść sprzęt, bagaż był niezrównoważony i zaraz zaczął mu ciążyć. Rączka walizki wrzynała mu się w palce i dłoń. Zresztą, po długiej wymuszonej bezczynności w szpitalu polowym naprawdę nie miał kondycji. Na początku, przez krótki czas, próbował ćwiczyć, w nocy, poza budynkiem - podobno było wtedy chłodniej i nieco bezpieczniej. Przekonał się jednak, że temperatura nadal jest obezwładniająca, a gołe wzgórza w ciemności wydawały się jeszcze bardziej złowrogie niż za dnia.

Ścieżka niespodziewanie pobiegła stromo w dół, między wysokimi trawami i krzakami po obu stronach. Ekran GPS- a przestał cokolwiek pokazywać, on jednak szedł dalej. Sygnał z satelitów był tu słaby, za to wąż stanowiął chociaż częściową osłonę od wiatru. Przeszedł kolejne sto metrów, znów pod górę i dotarł do wysokiego metalowego ogrodzenia, fachowo i solidnie zbudowanego, z zasłaniającymi widok arkuszami blachy wysokości człowieka, wyżej metalową siatką, a jeszcze wyżej, dwoma skręconymi w przeciwnych kierunkach zwojami drutu kolczastego. Za wiele przez ten płot nie widział, ale na metalowej tabliczce zobaczył znajome symbole - trupa czaszkę oraz trójlistną koniczynkę ostrzegającą przed promieniowaniem.

Po lewej stronie ogrodzenie szło zgodnie z profilem wzgórza, w górę, pomiędzy drzewa, po prawej wchodziło w obszar ciernistych krzaków i zarośli. Ruszył na lewo, pod górę, oddalając się od płotu. Zaraz natrafił na kolejną ścieżkę, odrobinę szerszą od poprzedniej. Przeciął ją i szedł dalej pod górę, dość szybko docierając na wierzchołek podłużnego grzbietu. Postawił na moment bagaże, żeby dać rękom odpocząć.

Spojrzał wzdłuż stoku na zachód, w kierunku, w którym pojechał mebsher. Wielki transporter znów wyłonił się w jego polu widzenia - powoli oddalał się od niego, jadąc przez rozległe, mniej więcej prostokątne pole. Przypuszczalnie zmierzał ku drodze, której położenie znaczył długi szpaler wysokich stalowych słupków z zawieszoną na nich siatką, jakie często się teraz widywało w obszarach, gdzie wciąż uprawiano ziemię, a w kwestii osłony przed wiatrem nie można już było liczyć na drzewa. Z tego miejsca i wysokości mebsher wyglądał na niezdarny, prymitywny pojazd, niepasujący do znajomego angielskiego krajobrazu, tratujący miękką ziemię i niszczący rośliny, które być może się w niej kryły. Lodowaty wiatr przesłaniał widok woalami zimnych kropel.

Gdy tak patrzył, transporter zatrzymał się nagle, kołysząc z boku na bok, jakby zahamował z piskiem opon. Tarent wiedział,

że pojazd nie jest zdolny do czegoś takiego. Niemal natychmiast w powietrzu idealnie nad mebsherem pojawił się punkt niebieskobiałego światła, mały, ale niesamowicie jaskrawy i groźny. Trudno było określić, skąd się wziął, lecz lśnił złowrogo, aż boleśnie na tle ciemnych, kłębiących się w górze deszczowych chmur.

Światło wzmogło się jeszcze. Tarent już i tak opuszczał wzrok, odwracał oczy, odwracał głowę, obawiając się jakiegoś oślepiającego promienia lasera, potem jednak uniósł dłoń do oczu, próbując patrzeć pomiędzy palcami. Świetlny punkt nagle eksplodował jak fajerwerk, wystrzeliwując ku ziemi trzy nachylone świetlne igły. Otoczyły mebshera, każdy trafił w ziemię niedaleko jego kół. Wykreśliły nad nim kontur świetlnego ostrosłupa, idealnego czworościanu foremego, który chwilę później wypełnił się czystym światłem.

Nastąpił potężny wstrząs, a po nim fala uderzeniowa niczym po wybuchu. Tarenta gwałtownie rzuciło w tył, bezradnie przekoziółkował pomiędzy kolczastymi krzewami i chwastami tuż poniżej szczytu grzbietu. Wstrząs i huk eksplozji oszołomiły go, nie był w stanie się ruszyć, nie był w stanie nawet myśleć. Wiedział tylko, że nadal żyje, bo czuje wokół siebie ruch spadających na ziemię gałązek, liści i grud gleby. Uporczywie powracało do niego wspomnienie o eksplozji, przerażało go i paraliżowało.

Stopniowo zaczął wracać do normalności. Ostrożnie poruszył kończynami, bojąc się odkryć poważne obrażenia, wyglądało jednak na to, że niczego sobie nie połamał, czuł się po prostu poturbowany i posiniaczony przez pęd powietrza. Nie stwierdził oparzeń, nawet na nieosłoniętej niczym twarzy i dłoniach. Trochę trudniej niż zwykle mu się oddychało, bo bolało go w piersiach. Zaliczył bezpośrednie trafienie falą uderzeniową. Przetoczył się, podparł obiema rękami, podciągnął jedno kolano, potem drugie, spróbował przenieść ciężar ciała. Zmusił się do regularnego oddychania, choć klatka piersiowa bolała potwornie. Za to kończyny prawie wcale, czuł w nich tylko

ogólną sztywność, pozostałość po uderzeniu ciśnieniem jak młotem. Podniósł się trochę bardziej, stanął na czworakach. Tkwił głęboko w kępie ciernistych zarośli.

Na wpeł czołgając się, na wpeł pełznąc, wygramolił się z powrotem na miejsce, gdzie stał, gdy mebsher został zaatakowany. Dotarło do niego, że poleciał o wiele dalej niż myślał. Minął bagaże, poprzewracane przez wybuch, ale na oko nienaruszone. Walizka nie pękła, a przyjrząwszy się z niepokojem futerałom aparatów, stwierdził, że i one są całe. Wszystkie trzy aparaty zadziałały normalnie, gdy włączył je i wyłączył.

W końcu wspiął się na grzbiet z nikonem w dłoni. I wcześniej nie było tu zbyt wielu drzew, teraz nie zostało ani jedno.

Z miejsca, gdzie przed atakiem był mebsher, unosiła się smużka szarego dymu, ale zanim doszedł do siebie, w większości się rozproszyła. Jeśli nawet po wybuchu pojawił się obłok w kształcie grzyba, musiał się zlać z burzowymi chmurami albo błyskawicznie rozwiął go wiatr.

Na ziemi nic się nie paliło.

Po mebsherze nie zostało ani śladu. W jego miejscu znajdował się teraz ogromny, czarny krater, jak od uderzenia.

Boki krateru tworzyły idealny trójkąt równoboczny.

## 2

Zrobił masę zdjęć krateru, ale nie zdecydował się zejść i przyjrzeć mu z bliska. Ręce mu się trzęsły, na chwilę musiał się jeszcze położyć na ziemi, żeby dojść do siebie. Wrócił do aparatów, wziął dla odmiany canona, zrobił kolejne zdjęcia, wykorzystując nieco większy zoom. Wciąż fotografował, gdy usłyszał wycie syren i zobaczył pędzące drogą w oddali jakieś pojazdy.

Usiadł, gapiąc się na niewytłumaczalny kształt gigantycznego krateru, czarnego, zwęglonego, jak trójkąt wycięty w ziemi precyzyjnym narzędziem. Po wybuchu, który zabił Melanie w Anatolii, został identyczny. Przerażało go to, że jest znajomy, a jednocześnie nieodgadniony – i poczucie, że oba pojawiły się tak blisko niego.

Ale co się w ogóle stało z mebsherem? Wybuch go zniszczył – nie poważnie uszkodził, nie rozsadził, nie rozerwał na drobne strzępy, lecz całkowicie zmiotł z powierzchni ziemi. Flo użyła słowa „anihilacja”. Nie zostało po nim ani śladu. A co z ludźmi w środku? Niemal wszyscy, których spotkał od czasu powrotu z Anatolii, znajdowali się w tym pojeździe. Świadomość, że przepadło te pięć ludzkich istnień, była niemal takim wstrząsem jak pierwsze uderzenie fali. I kołatało mu uporczywie w głowie.

Przede wszystkim, Flo. Co z nią? Czego się dowiedział o tej kobiecie, poza faktem, że ma jej mówić Flo? Poznał ją fizycznie i seksualnie, choć tylko przelotnie. Głębsza wiedza wciąż składała się głównie z pytań. Na które już nigdy nie uzyska odpowiedzi.

Do krateru dotarła grupa umundurowanych mężczyzn i kobiet. Z każdą minutą przybywało tam kolejnych pojazdów. Oddział uzbrojonych żołnierzy w pełnym rynsztunku bojowym wysiadł z pięciu ogromnych transporterów opancerzonych i rozchodził się

wachlarzem po polu, badając ziemię, ale i rozglądając się we wszystkich kierunkach. Killku posuwało się w kierunku grzbietu, na którym kucał Tarent. Stwierdził, że nie chce, aby go znaleźli, zgarnęli i zaczęli przesłuchiwać, wypytywać o to, co się stało, albo co się według nich stało. Przecież nie byłby w stanie odpowiedzieć choćby na jedno pytanie, prawda? Widział, jak to się stało, ale miałby ogromną trudność, żeby to opisać lub próbować wyjaśnić.

Cofnął się, żeby nie było go widać z dołu, opakował bezpiecznie aparaty, po czym znów podniósł ciężkie toboły i ruszył w stronę, jak mu się wydawało, miejsca, do którego kazano mu iść.

Wciąż dął mroźny wiatr, ale przynajmniej marznąca mżawka zmieniła się w zwykły deszcz. Prawie nie zauważał tego chłodu, przeciskając się przez zarośla i połamane gałęzie. Dotarł do ścieżki. Wtem tuż nad nim, szybko i na niskiej wysokości przeleciały dwa śmigłowce, kierując się na miejsce eksplozji. Nie widział żadnych znaków - na tle nieba były całkowicie czarne. Gwałtownie obniżyły lot i Tarent zaraz stracił je z oczu.

Puścił się biegiem w reakcji na narastającą panikę. Wszystko wokół wydawało się groźne, niewytłumaczalne, niekontrolowane. Sam poczuł się, jakimś sposobem, odpowiedzialny za zniszczenie mebshera, za koniec życia Flo, koniec życia Melanie - za wszystko. Dręczył go obraz trójkątnego krateru - tego kształtu nie obejmowała żadna logika, a jednak istniał i na własne oczy widział, jak powstaje. Objuczony bagażem, czując, jak ciężka walizka obija mu się w biegu o bok i kolana, czuł, że to koniec, że jego życie jest skończone, że nic mu już nie zostało.

Daleko iść nie musiał. W tym stanie załęknięcia i dezorientacji, bliski paniki, nie zwracał za bardzo uwagi na swoje otoczenie, ale kiedy już stracił nadzieję na znalezienie jakiegokolwiek schronienia, dostrzegł pokryty szarą blachą dach dużego budynku. Za nim był kolejny, potem odstęp i trzeci budynek, wysoki, z wysokim kominem. Budynki otaczało parę strzelistych

drzew. Straciły większość liści, ale wciąż stały. Tarent, nie zastanawiając się, co się tam mieści, zatrzymał się, odstawił walizkę i stał nieruchomo, usiłując uspokoić oddech i siebie samego. Serce mu dudniło. Odczekał parę minut, licząc, że ktoś się pojawi, albo coś innego da mu znać, że dotarł we właściwe miejsce. Sprawdził ekran GPS- a, który znów zaczął działać, i stwierdził, że jego pozycja pokrywa się z Farmą Warne'a.

Napiął mięśnie, podniósł torbę i aparaty, pośpieszył ścieżką w stronę najbliższego budynku. I znów napotkał ogrodzenie, równie złowrogie, choć tym razem wyposażone w furtkę. Obok niej stał słupek z betonu i stali, z wbudowanym w górną część elektronicznym czytnikiem. Nad nim widniało znajome logo BPZ. Tarent musiał po raz kolejny postawić bagaże na ziemi, żeby wyjąć z wewnętrznej kieszeni kartę dostępową. Z ulgą ją znalazł, jeszcze większą ulgę poczuł, gdy furtka od razu się otworzyła. I równie szybko zaczęła się zamykać, więc wszedł w nią pośpiesznie, wlokąc za sobą bagaże.

Poszedł ścieżką w stronę budynku. Był o wiele większy, niż się pierwotnie wydawał, miał parę skrzydeł i parę ciągnących się w tył dobudówek, wyraźnie stawianych w różnym czasie. Wyglądało na to, że pierwotnie był to niczym się niewyróżniający budynek gospodarczy z XX wieku, choć jego charakter całkowicie się zatracił podczas licznych przebudów. Większość dobudówek, o płaskich dachach, z monotonnymi rzędami okien, wykonano z betonowych płyt i blachy, w wielu miejscach popękanych. Przez frontową ścianę naprzeciw niego też biegło zygzakowate pęknięcie, od ziemi po dach, zagnieżdżały się już w nim mchy i inne rośliny. Okna o metalowych ramach wyglądały na niemyte od lat, choć w niektórych paliły się światła. Miało się wrażenie, że budynek jest przykuty do ziemi – szerokie taśmy, niektóre metalowe, inne z grubych lin, przerzucono przez dach i zakotwiczono w betonie niczym wielką sieć do i >bezwładniania.

Idąc do budynku, zauważył, że wcale tu nie ma żadnego padoku, jedynie spory plac o nierównej betonowej nawierzchni,

służący za parking dla paru samochodów. Podchodząc do wejścia, poczuł dym z palonego drewna i zapach gotowanego jedzenia. Zaczął myśleć o Flo, potem z bólem serca przepędził te myśli.



### 3

W recepcji przyjęła go kobieta w burce. W milczeniu przeskanowała elektronicznym sprzętem jego ciało i bagaże, potem sprawnie i na oko fachowo skontrolowała wszystkie trzy aparaty i całą resztę sprzętu fotograficznego. Przez cały ten czas nie odezwała się ani słowem. Gdy Tarent podał nazwisko, nie potwierdziła, że się go spodziewają.

Na blacie biurka pomiędzy nimi były przytwierdzone dwie albo trzy listy zdań oznajmujących i poleceń, przykryte grubą, przezroczystą folią. Pokazała mu w milczeniu pozytywny wynik każdego sprawdzenia, wędrując palcem w rękawiczce do odpowiednich słów. Przez maleńkie otworki wentylacyjne w rękawiczce prześwitywała blada skóra, jedyna możliwa do dostrzeżenia część jej ciała. Tekst ułożono w czterech szpaltach – po arabsku, hiszpańsku, rosyjsku i angielsku. Pokazała mu listę angielskich zwrotów. Dostrzegł, a przynajmniej wyczuł z jej ruchów głowy, szybkie poruszenia gałek ocznych za koronkowym otworem w welonie. Nie nawiązywała zauważalnego kontaktu wzrokowego. Tarent wiedział, na co jest wyczulona, ona i wszyscy inni ludzie od bezpieczeństwa – jak większość często podróżujących nie miał nic przeciwko kontrolom, za to zawsze denerwował się, gdy ktoś majstrował przy jego aparatach. Jednak kobieta trzymała je delikatnie, a potem oddała mu je z powrotem.

Recepcja znajdowała się w brudnym, zagraconym korytarzu, nieoświetlonym, jeśli nie liczyć odrobiny światła dziennego wpadającego przez okienko w jednym z dwojga drzwi. Kobieta pracowała za dużym, niskim i zabałaganionym biurkiem, ale nie znalazło się dla niej krzesło – musiała stać. Korytarz wyglądał na niesprzątany od kilku tygodni – na podłodze wałały się liczne

odpryski tynku i cementu wymieszane ze zwykłymi śmieciami – fragmentami opakowań, kawałkami papieru, drobnymi przedmiotami zgubionymi w przelocie. Tarentowi skojarzyło się to wszystko z pewnym projektem fotograficznym sprzed lat, w podłym komunalnym osiedlu w Hertfordshire, gdzie wszystkie wnętrza i publiczne części budynków ciągle zaśmiecała i dewastowała dysfunkcyjna młodzież.

- Czy to jest Farma Warne'a? - zapytał Tarent. Kobieta niczym nie zdradziła, że w ogóle usłyszała pytanie. - Biuro Pomocy Zagranicznej?

Wskazała dłonią w rękawicze listę zwrotów na zafoliowanej kartce. Tarent przeczytał: „Znajdujecie się w Departamencie Wywiadu i Finansowania Biura Pomocy Zagranicznej, w Kalifacie Wschodnim IRWB”. Potem szedł adres internetowy, jak po prawie każdym fragmencie tekstu. Palec przeskoczył do innej linii. „Państwa sprawą zajmie się pierwszy dostępny urzędnik. Na razie prosimy o cierpliwość”.

- Kazano mi się tutaj zgłosić - powiedział Tarent.

Niczym nie zdradziła, że cokolwiek zrozumiała - dalej przeglądała jego papierowe i plastikowe dokumenty. Po minucie czy dwóch tego obojętnego milczenia, Tarent po tym, co właśnie przeżył, tęskniąc do kontaktu z drugim człowiekiem, próbował nawiązać rozmowę. Kobieta albo go ignorowała, albo pokazywała palcem jeszcze inny napis: „Jestem zajęta procesem podejmowania decyzji. Proszę czekać” lub „W celu złożenia skargi proszę się zgłosić do mojego przełożonego” i tak dalej.

W końcu podała mu plastikową kartę - klucz, wskazała palcem plan przyległego budynku i pokazała przydzielony mu pokój. Podziękował jej, pochwalił Allaha i odwrócił wzrok. Przeszedł, z trudem dźwigając bagaże, przez krótki korytarz, wyszedł na zewnątrz, przeciął mały dziedziniec i wszedł do drugiego, nieogranzonego budynku. Bez trudu znalazł odpowiedni pokój.

Gdy otwierał drzwi, napierając plecami, ciągnąc za sobą bagaże, zaatakowało go ciepłe powietrze i zapach jedzenia. Pokój był ciemny. Zapalił światło. Natychmiast stało się

oczywiste, że pokój jest zajęty – na biurku stał otwarty komputer z wędrującym tam i z powrotem wygaszaczem ekranu, w zlewie w kuchni piętrzyły się chaotycznie brudne patelnie, a na stole stał talerz z żółtawymi smugami resztek curry. Wszędzie były porozrzucane ubrania – wyłącznie damskie. Tarent rozejrzał się, zarejestrował fakt, że w pokoju są dwa łóżka, drugie tylko z gołym materacem, ale natychmiast się wycofał.

Zostawił bagaż na podłodze przed pokojem i wrócił do tamtego budynku. Kobieta w burce stała za biurkiem. Nie zareagowała, kiedy podszedł.

– Pokój niech będzie z wami – zaczął. Niewidoczna głowa powoli kiwnęła. – Mówi pani po angielsku?

Pochyliła się i wyjęła z szuflady białą kartkę. Wsunęła ją pod arkusz folii i wskazała coś palcem. Tarent nachylił się, żeby to przeczytać.

„Złożyłam ślub milczenia w porze dziennej. Uprasza się wszystkich gości, by nie oczekiwali ode mnie ustnej odpowiedzi”. Pod spodem te same słowa powtarzały się w trzech innych językach. Litery były rozłożyste, szerokie, napisane grubym lub miękkim ołówkiem. Pod koniec chyba złamał się grafit, bo trzy ostatnie słowa były dopisane długopisem.

Tarent zerknął za okno – choć niebo było wciąż zaciągnięte, a dzień ciemny, do zmroku pozostały co najmniej ze dwie godziny.

Tę kartkę zabrała, ale zostały inne.

Powiedział:

– Szanuję pani śluby, begum, ale potrzebuję pomocy. Proszę mi powiedzieć tyle, ile pani może. Problem jest banalny, ale potrzebuję go szybko rozwiązać. Pokój, który mi pani przydzieliła, jest już zajęty przez kogoś, w dodatku przez kobietę. Jeśli nie macie tu jakiegoś ekstremalnego niedoboru pokoi, chyba nie powinienem wchodzić do tego pokoju bez jej wiedzy i zgody.

Kobieta w żaden sposób nie zareagowała.

– Potrzebuję także jak najszybciej spotkać się z szefem tej placówki, przywieziono mnie tutaj na odprawę po pobycie za

granicą. I najważniejsze: niedaleko stąd, za tym grzbietem, zdarzył się jakiś atak rebeliantów. Niecałą godzinę temu. Na pewno słyszała pani wybuch. Parę osób chyba zginęło. Jedna z nich to moja bliska przyjaciółka i byłbym wdzięczny za każdą informację, co się stało.

Kobieta ponownie wysunęła szufladę, wyciągnęła kolejną kartkę i podsunęła ją pod folię, żeby przeczytać.

Na kartce, drukowanymi literami, było napisane:

„Pan Tibor Tarent, obywatel IRWB, oddeleg. do BPZ ze statusem dyplomatycznym, wysoki priorytet, do przesłuchania przez pana Bertranda Lepuits”.

- Tak, tak, to ja! - powiedział Tarent, z wielką ulgą stwierdzając, że go tu znają, oczekują, że jest trybikiem w tutejszej machinie. - Czy mógłbym się od razu zobaczyć z panem Lepuits?

Palec w rękawiczce powędrował do „Proszę podać numer reklamowanego pokoju”.

Znalazł w kieszeni kartę-klucz, ale numer był tylko elektronicznie zakodowany, nie był wypisany na karcie. Przypomnił sobie, że razem z kluczem dała mu wtedy małą karteczkę. Znalazł ją w kieszeni.

- G27 - powiedział.

Palec: „Mamy obecnie sytuację awaryjną. Proszę się skonsultować z przełożonym”.

- Moim przełożonym? To będzie właśnie *monsieur* Lepuits? Mogę się z nim widzieć? Nie mogę mieszkać w jednym pokoju z kimś obcym. Czy on będzie mi mógł udzielić więcej informacji?

Palec, teraz z naciskiem: „Mamy obecnie sytuację awaryjną. Proszę się skonsultować z przełożonym”.

- Może jest jakiś inny wolny pokój? - zapytał Tarent. - Jednoosobowy... albo, jeśli nie ma jedynek, to może chociaż z jakimś mężczyzną?

Szybko: „Nie”.

- A nie zwolni się może jakiś inny pokój?

„Nie”. Palec w rękawiczce trzy razy postukał w wydrukowane

słowo.

- To kim jest kobieta, która zajmuje pokój G27?

„Nie jestem uprawniona do odpowiedzi na to pytanie”. Folia nad tymi słowami była starta i zmatowiała, jakby ta odpowiedź była używana najczęściej ze wszystkich.

Tarent zastanawiał się przez chwilę.

- Przez cały dzień nic nie jadłem. Jest tu może jakaś stołówka, kantyna, czy coś takiego, gdzie można dostać coś do jedzenia?

Palec wskazał kolejną często używaną linijkę: „Restauracja znajduje się na pierwszym piętrze w budynku Padok. Personelowi nie wolno bez zezwolenia przyjmować gości. Wybór dań jest zależny od bieżącej dostępności składników. Godziny otwarcia...”.

- Dziękuję.

„Restauracja” okazała się automatem na monety, umieszczonym w pustej sali z oknami na środkowy dziedziniec. Tarent nie miał żadnych monet, zauważył jednak szczelinę na swoją kartę. Gdy ją tam wetknął, automat wyświetlił listę dań do wyboru, z których dostępne było tylko jedno – tortilla ziemniaczana. Dostał ją minutę później; była tak gorąca, że ledwo był w stanie wziąć ją przez kartonową owijkę, za to gdy ostygła na tyle, by dać się zjeść, okazała się twarda i bez smaku. Usiadł za drewnianym stołem przy oknie, skubał ją, jednocześnie czując głód i obrzydzenie.

Patrzył w dół na porzucone auta i ciężarówki zepchnięte na rdzewiejącą kupę. Za nimi znajdował się uprzątnięty obszar, zawczasu oświetlony reflektorami w oczekiwaniu na zmierzch.

I właśnie nad nim zatoczył koło helikopter, zawisł, potem wylądował. Był mały, z przesuwными drzwiami, bez znaków rozpoznawczych, ale spodziewano się go tutaj – gdy tylko przyleciał, z jednego z budynków okalających dziedziniec wybiegło kilku ludzi i zaczęło wypakowywać kartony i paczki. Wirmik przez cały czas się kręcił. Gdy tylko wyjęto ostatni ładunek, śmigłowiec natychmiast wystartował i zaczął ostro się wznosić, jednocześnie skręcając. Ten niemal gorączkowy pośpiech skojarzył się Tarentowi ze śmigłowcami zaopatrzenia przylatującymi nad szpital podczas duszących, gorących nocy we wschodniej Turcji.

Jeszcze jadł, gdy nadleciał drugi. Podszedł w ciemności, opuścił ogon, okręcił się dramatycznie i wylądował w blasku reflektorów. Wyglądał na wojskowy, mniej więcej tego samego typu jak te, które widział pędzące ku trójkątnej bliźnie na polu – ten jednak miał insygnia Armii Brytyjskiej: skrzyżowaną szablę i karabin z *szachadą* pod spodem. Tym razem podbiegli go rozładować inni

ludzie, z mniejszego budynku na przeciwległym końcu placu, żołnierze w standardowych mundurach polowych i pomarańczowych kamizelkach odbłaskowych, świecących jaskrawo w reflektorach lądowiska. Ustawili się sprawnie w oddziały. Mieli ze sobą sześć sztuk połyskujących metalowych wózków. Przy pomocy załogi śmigłowca ostrożnie i powoli wyładowali liczne drobne i nierozpoznawalne przedmioty, które trafiły do ciężarówki. Potem pojawiły się podłużne nosze, na których leżały ludzkie kształty ukryte pod grubymi kocami i siatkami zabezpieczającymi. Przez ciemność i ogólny rozgardiasz Tarent nie był w stanie doliczyć się tych noszy, ale było ich co najmniej czworo lub pięcioro. Położyli je delikatnie na metalowych wózkach, szybko i zręcznie podpięli kroplówki i tlen, a potem niemal biegiem odwieźli do budynku, z którego wyszli żołnierze.

Tarent, myśląc oczywiście o Flo, zerwał się z miejsca, gdy tylko dotarło do niego, co się tam dzieje, i przywarł twarzą do okna. Naparł na szybę, osłaniając oczy dłońmi. Kiedy odtoczono wózki, śmigłowiec uruchomił z powrotem silnik i przygotował się do startu. Załoga śmigłowca, która pomagała przy przeładunku ofiar, stała teraz wokół niego, czekając, aż piloci skończą przygotowania. Była uzbrojona w karabinki automatyczne. Gdy silnik odpalił, a wirnik nabrał pełnej prędkości, żołnierze wskoczyli na pokład maszyny, siadając w otwartych włazach z wiszącymi w powietrzu nogami i z bronią celującą w ziemię. Po paru sekundach helikopter zniknął mu z oczu.

Tarent wyszedł z budynku Padoku i poszedł z powrotem do mieszkalnego. Zaczął szukać przydzielonego pokoju. Gdy podszedł do drzwi, zobaczył, że jego duża walizka stoi wystawiona na korytarz.

Kiedy wsunął kartę do czytnika, uparte światelko pozostało czerwone. Wyciągnął kartę, odwrócił ją, spróbował jeszcze raz. Drzwi nadal były zamknięte. Walnął w nie pięścią.

Nie było żadnej reakcji, więc po paru sekundach załomotał jeszcze raz. Tym razem, już po krótkim oczekiwaniu, usłyszał

przekręcany od środka zamek, po czym drzwi uchyliły się i zatrzymały na łańcuchu. Ukazała się twarz, częściowo w cieniu, bo światło miała za sobą. Kobieta z okalającymi twarz rozczochranymi włosami. Mignęło mu workowate, bezkształtne ubranie. Miała na nosie okulary ze szklami w kształcie fasolek i zadzierała podbródek, żeby patrzeć przez nie.

- Wiem, czego chcesz. Nie możesz tu wejść.

- To jest mój pokój. Dostałem do niego klucz.

- Nie, to mój pokój. Powiedziano mi, że nie będę musiała z nikim mieszkać.

- Powiedzieli, że musimy.

- To masz pecha. Ja chcę mieć święty spokój.

- Ja też - powiedział Tarent, powoli coraz bardziej zdesperowany. - Mówili, że nie ma innego wolnego pokoju, więc muszą mnie zakwaterować z kimś innym. Mnie to nie odpowiada tak samo jak tobie, ale nie mam dokąd pójść. - Wyczuwał, że zaraz zatrześnie mu drzwi przed nosem. - Może jutro zwolni się jakiś inny pokój. Mogę się po prostu przespać na podłodze? Albo na drugim łóżku. Wiem, że jest.

- Oni przeważnie mają trochę wolnych pokoi. Poszukaj sobie.

Napierała na niego drzwiami, Tarent jednak, chcąc skończyć myśl, blokował je swoim ciężarem.

- Mówili, że nie ma nic wolnego. Posłuchaj, jestem wykończony. Cały dzień w podróży, a potem jeszcze ten atak.

- Jaki atak?

- Na pewno słyszałaś wybuch. Zniszczony mebsher, albo poważnie uszkodzony. - Dopiero co widział przywiezionych rannych, więc nie był już pewien prawdziwego rozmiaru szkód, wcześniej zakładał, że ich obrażenia są śmiertelne. - Byłem tam, kiedy to się stało. Miałem szczęście, że uszedłem z życiem, bo kiedy odjeżdżał, już miałem wsiadać do niego z powrotem. Nie wiem, co mam począć. Po prostu potrzebuję się gdzieś dzisiaj przespać.

Nic nie powiedziała, ale cały czas patrzyła na niego przez wąskie okulary. Tarent widział teraz, że jest niewysoka,



jasnowłosa, przyjemna dla oka, ale minę ma nieubłagane wrogą i nieustępliwą.

- Proszę.

- Nie. Daj mi zamknąć drzwi, bo zawołam ochronę.

- Przecież cię nie tknę.

- Nawet nie będziesz miał okazji spróbować.

Pchnęła mocno drzwi, Tarent ustąpił. Zatrzasnęły się z hukiem, usłyszał chrobot przekręcanych zamków i szczęknięcie dwóch zasuw.

Nie mając gdzie się podziąć, Tarent poszedł z powrotem do korytarza, gdzie spotkał kobietę w burce. Wlókł za sobą walizkę, dźwigał aparaty, bolał go grzbiet, ręce, nogi, wciąż trudno mu się oddychało, a mózg powoli przestawał myśleć. Chciał tylko gdzieś odpocząć i się przespać – zadowoliliby się choćby krzesłem.

W korytarzu nie było nikogo. Stało biurko, całkiem uprzątnięte z papierów. Szuflady były zamknięte na klucz. Informacja na ścianie podawała numer, pod który można dzwonić poza godzinami pracy, ale ktoś przekreślił go czerwonym mazakiem. Tarent nie miał pomysłu, co dalej, teraz do tego jeszcze potrzebował toalety. Przeszedł cały korytarz, ale wszystkie drzwi były zamknięte. Drugi koniec był nieoświetlony.

Ostatnią wątłą szansą był powrót do pokoju i kolejna próba przekonania kobiety, żeby go tam wpuściła. Ruszył z powrotem w tamtą stronę. Wtem za nim w korytarzu otworzyły się drzwi, jedno z tych, które parę minut temu uznał za zamknięte. Wyszedł jakiś facet.

- Wydawało mi się, że ktoś tu chodzi – powiedział. – Mogę w czymś pomóc?

- Nie mogę się dostać do pokoju. Pan tu jest menedżerem?

- Jestem akurat oficerem dyżurnym, ale ze względu na atak rebeliantów, który się dziś' zdarzył, we wszystkich budynkach jest poziom czerwony. – Mówił po angielsku znakomicie, choć z delikatnym francuskim akcentem. – Bernard Lepuits. Najpierw muszę pana zapytać: w jaki sposób się pan tu dostał?

- Kazano mi się tutaj zameldować. Wydaje mi się, że to z panem, *monsieur* Lepuits, miałem się skontaktować. Przyjechałem mebsherem, tym, który potem został zaatako-

wany. Furtka mnie wpuściła. Nazywam się Tibor Tarent i rozumiem, że pan jest moim opiekunem.

- Pan Tarent. Tak. Spodziewaliśmy się pana, ale otrzymaliśmy wiadomość, że jedzie pan nie tutaj, ale do ZOR- u w Hull, więc oficerowie, którzy mieli pana przesłuchać, nie są już dostępni.

- Nie. Nigdy nie zamierzałem jechać do Hull. - Tarent puścił rączki walizki, która stała teraz pod kątem na podłodze. - Ta wiadomość... to była pomyłka. Gdybym został w tym mebsherze, byłbym teraz ranny lub zabity. Monsieur Lepuits, błagam pana, w tej chwili potrzeba mi tylko jednego, jakiegoś miejsca do spania. W pokoju, który dostałem, już ktoś jest.

- W tej kwestii nie jestem w stanie pomóc. Musi pan dogadać się z tamtą osobą, żeby pana wpuściła.

- Już próbowałem, nie da rady - odparł Tarent.

- Moja rada: niech pan spróbuje jeszcze raz. Ja nie mam dostępu do części mieszkalnej tego ośrodka. Bardzo mi przykro. Z punktu widzenia BPZ- u pana sprawę przejęło Ministerstwo Obrony i powinien pan być w Hull.

Zaczął się wycofywać do drzwi, z których wyszedł.

Tarent zapytał:

- Coś jeszcze może mi pan powiedzieć? Spodziewacie się tu jakiegoś ataku? Tu jest bezpiecznie?

- Bezpiecznie jak nigdzie. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Mamy poziom czerwony, tyle mogę panu powiedzieć. Maksymalny poziom alarmowy. Proszę być czujnym na zagrożenia, a jeśli będzie alarm, proszę wyjść razem ze wszystkimi do punktu zbiórki na zewnątrz. W każdym pokoju jest odpowiednia instrukcja.

Kiwnął uprzejmie głową, cofnął się za drzwi i zamknął je za sobą.

## 6

Tarent wrócił do drugiego budynku i ponownie odnalazł numer G27. Oparł walizkę o ścianę korytarza, upewnił się, czy aparaty są bezpieczne w futerałach, i podszedł do drzwi. Postanowił, że tym razem nie pozwoli jej zamknąć ich na siłę.

Przy drzwiach była płytką dotykowa w kształcie dłoni, której wcześniej nie zauważył. Przytknął do niej dłoń, poczuł znajome mrowienie podczas odczytywania, i czekał. Minęła minuta, potem kolejna. Cały czas stał przy samych drzwiach, licząc, że się otworzą, gotowy, by zablokować je całym ciężarem, gdy kobieta próbuje zamknąć je z powrotem.

Usłyszał przekręcany zamek, potem zagrzechotał łańcuch. Tym razem drzwi otworzyły się powoli, ukazując jej twarz, podobnie jak przedtem.

- Mówiłam, spadaj - powiedziała.

- Błagam. To nie moja wina, że dali mi zły pokój. Nie mam gdzie spać. Tylko tyle mi potrzeba. Wpuścisz mnie, proszę?

- Spróbuj otworzyć sobie kartą inne pokoje. To czasami działa.

- I mam przez to wszystko przechodzić z kolejną osobą, która nie chce mnie widzieć?

- Kilka pokoi będzie pustych. Od ataku z dziesiątego maja ten budynek jest w połowie pusty. Przenoszą całą działalność do ZOR- u. Po prostu przejdź się i spróbuj w kolejnych drzwiach. Ja nie chcę tu cię widzieć, ty nie powinienes tu w ogóle być, administracji się coś posrało i wstawiła cię do zajętego pokoju. Jak dobrze poszukasz, na pewno znajdziesz. Ja mam robotę.

- Mam status dyplomatyczny.

- Aha, i oboje wiemy, że to gówno prawda. Widziałam, co jest o tobie w banku danych. Uprawnienia bezpieczeństwa masz, fakt, jak trzeba, ale dyplomatą to ty nie jesteś.

Wciąż nie napierała na niego drzwiami. Na wszelki wypadek i tak dłoń trzymał uniesioną, a stopę postawił mocno u podstawy drzwi. Powiedział:

- Skoro czytałaś mój profil, to wiesz kim jestem.

- To niczego nie zmienia.

Wpatrzył się w nią przez wąską szparę. Starła się zachować neutralną minę, ale drzwi już nie próbowała zamknąć. Przez parę długich sekund oboje wytrzymywali to spojrzenie. Nie padły więcej żadne słowa.

Cofnęła się, a Tarentowi wydało się, że przez moment widział na jej twarzy uśmiešek. Co miał oznaczać? Nie wiedział i było mu wszystko jedno. Cofnął się do korytarza, pozbierał bagaż. Wciąż stała w drzwiach, przesunęła się, żeby patrzeć na niego zza łańcucha. Zignorował ją i ruszył długim korytarzem.

Sprawdzając to, co mu powiedziała, wsunął kartę do zamka pierwszych napotkanych drzwi. Od razu zapaliła się czerwona dioda; wyszarpnął natychmiast kartę, nie mając ochoty na konfrontację z kolejną osobą. To samo przy następnych drzwiach i następnych - i przy wszystkich w tym korytarzu. Wszedł po schodach na pierwsze piętro i już pierwsze drzwi, które sprawdził, nagrodziły go zielonym światelkiem diody i szczęknęciem zwalnianego zamka.

Nie dowierzając własnemu szczęściu, pośpiesznie wszedł do środka i zatrzasnął za sobą drzwi. Pokój był nie tylko wolny, ale i wysprzątnany - wszystko równiutko ułożone. W pierwszej chwili wydawał się prawie wcale nieużywany. Miał wszystko, czego potrzeba - kuchenkę i kuchenne sprzęty, działający prysznic i toaletę, szafę na ubrania, dwa duże łóżka ze schludnie zasłaną pościelą. Było biurko z komputerem- tabletem, skanero- drukarka, instrukcja podłączania się do Wi- Fi i łączności satelitarnej. Obok był drugi mały pokój, z kanapą i dwoma wygodnymi fotelami, telewizorem, półkami na książki i tak dalej. Oba pomieszczenia były w miarę ogrzane.

Większość bagażu zostawił tam, gdzie go cisnął, wchodząc do pokoju. Ściągnął z siebie ubranie i z rozkoszą wszedł pod gorący

prysznic.

Położył się spać.

Z rana zbudziło go niepokojące poczucie, że nie jest sam. Wyczuwał czyjaś obecność w pokoju, ruch powietrza, subtelną zmianę w świetle, cichy dźwięk kroków. Na wpół otworzył jedno oko. Oślepiło go światło dzienne z niezastłoniętego okna. Zamknął to oko z powrotem.

Leżał nieruchomo, budził się szybko, ale nie podnosił się, wiedząc, że ktoś jest w pokoju. To ewidentnie nowy problem, z którym będzie musiał sobie poradzić. W głowie wciąż kłębiło mu się mrowie zdarzeń z ostatniego dnia – sen wcale tych wspomnień nie wygładził. Wyobrażał sobie, że weszli tu urzędnicy zarządzający budynkiem, ktoś inny, do kogo należy ten pokój, i zaraz każą mu go opróżnić.

Nagle odezwał się damski głos:

- Chcesz kawy? Mogę ci zrobić.

Odwrócił się i podparł na łokciach do pozycji półsiedzącej. Kobieta z pokoju G27. Stała w pewnej odległości od łóżka, przy wnęcie, w której znajdowały się kuchenne sprzęty. Drzwi szafki były otwarte. Stała w neutralnej, nie wyrażającej groźby postawie. Propozycja zrobienia kawy była niezobowiązująca, brzmiała prawie jak wstęp do negocjacji.

- Jak tu weszłaś?

- Normalnie. Sama też się napiję, jeśli ty będziesz chciał.

- Poproszę czarną. Bez cukru. - Wyjęła z półki maszynkę na filtr. - Jak się dostałaś do mojego pokoju? - zapytał jeszcze raz.

- Tak samo jak ty do mojego. - Uniosła rękę i pokazała mu wnętrze dłoni.

- Ale skąd wiedziałaś, w którym jestem?

- Masz przy sobie nadajnik sygnału.

- W którymś aparacie?

- Wszystko jedno.

- Pozwolisz mi wyjść z łóżka? Muszę iść do toalety.

- Proszę bardzo - powiedziała, nie odwracając się.

Tarent, nie mając wyjścia, wygramolił się nagi z łóżka, chwilę

łapał równowagę i oddech, potem poczłapał do łazienki. Piers wciąż go bolała. Wyszedł parę minut później, owinięty ręcznikiem – kobieta siedziała teraz w fotelu, ale odwróciła głowę, kiedy się ubierał.

– Przeczytaj, jeśli chcesz – powiedziała. Podała mu, delikatnie, w dwóch palcach, kartę identyfikacyjną.

Tarent z parzącą palce filiżanką kawy podszedł do czytnika na ścianie i ściągnął informacje o niej. Siedziała w milczeniu, gdy patrzył w ekran, czytając. Obserwowała go, popijała kawę. Wydrukował te informacje.

Nazywała się Marie-Louise Pejman, rodzice pochodzenia angloirańskiego, oboje nieżyjący. Ojciec był rządowym naukowcem w Teheranie, matka – nauczycielką w angielskiej szkole w tym mieście. Mieli wpisane „śmierć z przyczyn naturalnych”, ale oboje nie dożyli pięćdziesiątki. W czasach zmiany reżimu Teheran był pod ciężkim ostrzałem sił anty-republikańskich – wnosząc po datach, było prawdopodobne, że od tego zginęli. Po ich śmierci została ewakuowana do IRWB, a po ukończeniu szkoły zmieniła nazwisko na Louise Paladin. Koledzy i współpracownicy mówili do niej Lou. Miała teraz 39 lat. Mieszkała w Londynie z partnerem, ale wszystkie nawiązania do partnera były na ekranie wyszarzone, a na wydruku w ogóle się nie pojawiły. Tak się przyjęło traktować informacje uważane za niedokładne lub nieaktualne.

Jako jej zawód podano „nauczyciel pomocniczy, jęz. ang., plastyka, wzornictwo i jęz. farsi”, dla uczniów obu płci w przedziale wiekowym 11–18. Parę miesięcy temu została pełnoetatowym nauczycielem, potem była wzmianka o oddelegowaniu do BPZ- u.

Tarent naczytał się w swoim czasie takich wydruków i jak większość ludzi nauczył się patrzeć na wskroś przez biurokratyczne zapisy i zwroty. W przypadku Lou Paladin nie było ich zbyt wiele, choć oddelegowanie do BPZ- u było opisane jako „na czas określony”. Akta zawierały też, jak zawsze, masę faktograficznych szczegółów, niezbyt interesujących Tarenta –

miejsce urodzenia, wykształcenie, uprawnienia dostępu do informacji, adres i tak dalej.

Zgodnie z protokołem dotyczącym kart i czytników dłoni, użytkownicy mogli wymieniać się informacjami na równorzędnym poziomie, co oznaczało, że poziom tego z nich, który ma niższe uprawnienia, decyduje, co można będzie odczytać lub przesłać. Wynikało z tego, że Lou Paladin dowiedziała się o nim tak samo dużo, co on o niej, albo przynajmniej miała taką możliwość, jeśli była zainteresowana i doczytała do końca.

Zwrócił jej kartę.

- Zawsze dzielisz się takimi rzeczami z nieznanymi?

- Nie. Ale ty przytknąłeś rękę do moich drzwi, więc mogłam przeczytać wszystko, co tam mają o tobie. Więc to chyba fair, żeby tobie dać przeczytać moje?

- Może i tak. To tutaj normalne?

- Raczej nie.

- Czyli jesteś nauczycielką. Więc w tej bazie są jakieś dzieci?

- Teraz nie ma. Czekam, aż mnie stąd wywiozą, ale mój menedżer nie jest pewien, gdzie ma mnie dać. Londyn na razie nie wchodzi w grę, a ZOR-y są rozrzucone po całym kraju i na razie nie poorganizowali w nich szkół.

- Londyn nie? Czemu?

- To zależy, czy chcesz pracować dla Ministerstwa. Jeśli się na to zgodzę, będę musiała tkwić tutaj i czekać, aż jakaś szkoła będzie gotowa. Mogłabym też złożyć wypowiedzenie i pojechać sobie do Londynu kiedy tylko chcę. Ale wiesz przecież, co się tam stało.

- Tak, ale dopiero wczoraj się dowiedziałem. Byłem za granicą, nie miałem kontaktu z krajem. Ty mieszkałaś w Londynie?

- Tak. W mieszkaniu na Notting Hill.

- Czyli w...?

- W strefie ataku z dziesiątego maja. Tak. Musiałabym też jakoś sama dotrzeć do Londynu, a nie bardzo wiem jak.

- Aż tak źle jest? - zapytał Tarent.



- Prywatne jeżdżenie przez te wszystkie ograniczenia zrobiło się prawie niemożliwe. W całym kraju były ataki rebeliantów, więc ryzykownie jest jechać samochodem, nawet gdyby droga była akurat otwarta. Do niedawna można było pociągiem, o ile byłeś w stanie znieść te wszystkie środki bezpieczeństwa, ale po ostatniej burzy nie ma połowy mostów i nasypów. Chyba musisz żałować, że wróciłeś stamtąd, gdzie byłeś.

- Byłem w Turcji.

- A. No tak. Czytałam. W Anatolii. I wiem, że twoja żona zginęła. Przykro mi.

Odwróciła wzrok. Wiatr znów się zerwał, w okno zaczął deszcz. Wiało od niego chłodem.

- A po co przyszedłeś do mnie do pokoju? - zapytał Tarent.

- Bo... pomyślałam, że powinnam przeprosić za wczoraj. Nie było mowy, żebym cię wpuściła, ale chyba mogłam się lepiej zachować.

- Wyszło na dobre - zauważył Tarent, rozglądając się po całkiem przyzwoitym pokoju, w którym wylądował. - Sam pewnie zrobiłbym to samo. Ja już nie mam pojęcia, po co tu jestem. Miałem niby odbyć jakąś odprawę, zdać relację z pobytu w Anatolii, ale ci ludzie tutaj chyba z tego zrezygnowali. Tak jak ty, muszę postanowić, co dalej.

Pochyliła się ku niemu z uwagą.

- Gdy przyjechałeś do Anglii, jechałeś może przez Londyn?

- Jechałem.

- Wracałeś jakoś po dziesiątym maja? Jechałeś przez zachodni Londyn? Przez Notting Hill?

- Przejechaliśmy blisko tej części Londynu, ale nic nie widziałem - odparł. - Nie mogłem patrzeć. Byłem w samochodzie, ale oni zaciemnili szyby. Coś tam mi przez chwilę mignęło. Widziałem tylko czarną ziemię.

- Zanim tu przyjechałam - powiedziała - mieszkałam na Notting Hill. Mniej więcej w epicentrum z dziesiątego maja. Ponad dziesięć lat. Proszę, powiedz mi o wszystkim, co widziałeś. Muszę się dowiedzieć!

- Miałaś tam przyjaciół?

- Całe życie tam miałam!

Plakała. Podniosła ramię, otarła nim oczy, odwróciła się, rozejrzała. Poszła do wnęki kuchennej, znalazła rolkę papierowego ręcznika, oddarła dwa kawałki, zmięta i przyłożyła do twarzy. Wciąż szlochała i coś mówiła, tonem tak pełnym udręki, że Tarent nic już nie rozumiał.

Oboje jesteśmy ofiarami tych zamachów, pomyślał, patrząc na nią, obcą osobę - i właśnie dlatego, że była obca, myślał teraz o sobie, o tym, co ona opisała jako całe życie. Jej całe życie i jego tak samo.

Co mu z tego życia zostało? Rodzice nie żyją, rodzeństwa brak. Żadnych korzeni, w dzieciństwie tylko niekończące się podróże, tymczasowe pobyty w miasteczkach, których nazw nigdy się nawet nie dowiedział, ciąg szkół, w których po pewnym czasie nauczył się czytać i pisać po angielsku. I to było dla niego wyzwolenie - możliwość ucieczki w świat słów. Gdy miał dziesięć lat, rodzice przeszli w bardziej osiadły tryb. Przestały go rozkojarzać ciągłe podróże. Skończył szkołę, potem studia, zaczął pracę, potem został niezależnym fotografem, co było ucieczką jeszcze dalej w świat słów. Tak wyglądało życie zawodowe, ale jak wyglądało życie? Co jest tym „całym życiem”, którego istnienie sobie właśnie uświadomił? Wszystko koncentrowało się na Melanie, na związku z nią, tyle dobrych lat, parę złych okresów, chwile cichej złości i pełnego napięcia milczenia, luki wypełnione dobrymi wspomnieniami. Pierwsze, romantyczne lata, potem kłótnie, łzy, godzenie się w seksie, krótkie wakacje. Dzieci nie mieli, choć przez chwilę się starali. Ciągłe niepokoje o pieniądze - wszyscy wiedzą, jak mało zarabiają pielęgniarki, a jego dochody były nieregularne i wszystko zależało od innych - czy mu coś zlecą i czy potem zapłacą. Potem wyjazdy zagraniczne, najpierw jego, potem jej. Burzyły wszystko, choć dawały poczucie osiągnięcia czegoś, wrażenie, że się do czegoś dochodzi, ale tak naprawdę przez nie stali się obcy sami dla siebie. Wreszcie Anatolia i ta katastrofa.

I powrót do znajomego, rozsądnego świata, który niegdyś rozumiał, tylko po to, by odkryć, że i w nim wszystko się rozpada - pokój, społeczeństwo, pogoda, gospodarka, prawo i porządek, nawet stabilizujące czynniki, jak koalicyjny rząd, cywilna policja, wolna prasa. Nic nie wyglądało jak kiedyś, nic już nie było bezpieczne. Świat upstrzyły nielogiczne, trójkątne znaczniki zniszczenia, jak ataki amnezji, przez którą już się nie przebijesz ani jej nie uleczysz.

Co ma powiedzieć tej kobiecie o jej domu, o jej całym dawnym życiu, które istniało gdzieś na Notting Hill, będącym teraz nielogiczną czarną szramą na obliczu Londynu?

Siedziała między nim i oknem, z pochyloną głową. Zakrywała twarz - może nie chciała, żeby widział, jak płacze. Wyrzuciła papierowe ręczniki, które przemokły na papkę, oddarła dwa kolejne. Za głową miała prostokąt nieba. Prawie nie dawało światła, choć nadal był wczesny ranek. Wszystko przesłaniała ogromna, czarna chmura. Wiatr się wzmagił, a budynek od czasu do czasu dygotał, gdy w zewnętrzne ściany uderzał co silniejszy poryw.

Kobieta przysunęła się do niego, usiadła na podłodze przy jego nogach.

- Płaczesz - powiedziała i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Ty też.

- Ja...

Tarent zgiął się wpół, żeby dosięgnąć do niej, położył jej rękę na ramieniu. Zaciśnął powieki, usiłując powstrzymać łzy. Gdy nabrał powietrza, musiał zaszlochać, nie był w stanie tego zwalczyć, lecz żebra miał ciągle obolałe od wybuchu, a trud nabierania powietrza przez łzy sprawił, że rozkaszał się i głośno jęknął z bólu. Zsunął się z fotela i wylądował na podłodze obok niej.

Trzymała teraz jego głowę w dłoniach i delikatnie gładziła go po włosach. Zachowywali się jak kochankowie, którzy nie znają się nawzajem, nie kochają się, po prostu potrzebują się - gdy spróbował opanować oddech i przypomnieć sobie, o co go

spytała, przyciągnęła jego twarz do swojej piersi.

Nagle poruszył się i strząsnął jej okulary z nosa. Zsunęły się po jego ramieniu i spadły na podłogę. Nie podnosiła ich. Widział ich półksiężycowate kształty obok jej nóg. Całe były we łzach. Przypomniawszy sobie surowy, stanowczy wyraz, jakiego przydawały jej twarzy, gdy zatrząskiwiała mu drzwiami przed nosem – a teraz głaśkała go po głowie i karku, próbując uspokoić go łagodnym dotykiem. Pierś jej falowała.

- Przepraszam cię, Tibor. Zupełnie nie wiem, co mamy począć - powiedziała.

Zamknął więc oczy i czekał, aż oddech mu się uspokoi, znów czując, że przebija się spod stwardniałej skorupy przeszłości i wychodzi, bezbronny, w nieznaną przyszłość. Ta rzeczywistość też była tymczasowa, ulotna i niezrozumiała. Za sobą miał stratę, przed sobą zagrożenia. Nic już nie będzie takie, jakie być powinno, nic już nie będzie pewne.

Poczuł jej dłoń na skroni, palce na policzku, sięgające delikatnie ku jego ustom i powiedział:

- Zapomniałem, jak się nazywasz.
- Louise. Lou Paladin.
- Ach, tak. A ja mówiłem, jak się nazywam?
- No pewnie.

Na dworze jeszcze bardziej pociemniało. Słyszeli, jak dach nad ich głowami trzeszczy i jęczy pod naporem wichru. Mijał czas, a oni przywierali do siebie, już nic nie mówiąc, po prostu trzymając się nawzajem i dotykając, czekając, aż coś się zmieni. O szyby w oknie tłukł grad.

# **CZEŚĆ IV**

## **Wschodnie Sussex**

## Amerykanin

Nazywam się Jane Flockhart i przez większość mojego życia zawodowego pisałam dłuższe reportaże dla internetowej gazety. Byłam jedną z ostatnich osób, które spotkały się z profesorem Thijssem Rietveldem. Robiłam z nim wywiad, a wieczorem tego samego dnia popełnił samobójstwo.

Współpracownicy i koledzy pytali mnie czasem, jak się z tym czuję, rozumiem, że w podtekście sugerując, że to moje pytania, moje agresywne czy konfrontacyjne nastawienie było kroplą, która przelała czarę. Uważało się powszechnie, że przechodził okres wielkiego rozczarowania, skupienia na sobie, depresji – nie odpowiadał na listy ani e- maile, nigdy nie zgadzał się na spotkania z dziennikarzami ani innymi naukowcami, wszyscy wiedzieli też, że zaszył się w małej wsi gdzieś na angielskiej prowincji, pod przybranym nazwiskiem. Podobno agenci MI5 monitorowali jego działalność i trzymali obcych ludzi na dystans.

Prawie wszystko z tego okazało się nieprawdą. Faktycznie mieszkał samotnie na spokojnej wsi, lecz dla ludzi stamtąd jego tożsamość była tajemnicą poliszynela. Zresztą nie była to żadna osada na odludziu, daleko od świata, ale całkiem spora wieś w zaludnionym obszarze, którą upodobał sobie pracownicy londyńskiego City, dojeżdżający z niej do pracy. Miała stację kolejową, z której co pół godziny kursowały pociągi na Charing Cross. Dom Rietvelda stał przy głównej ulicy, chociaż nie na odcinku ze sklepami. Nie widziałam wokół niego żadnych tajnych agentów, zapewne nigdy ich nie było. A co do nie rozmawiania z dziennikarzami – ja skontaktowałam się z nim z biura mojej gazety w Londynie, nie tałam, gdzie pracuję,

poprosiłam o zgodę na rozmowę i zdjęcia. Zgodził się od razu i zaraz w następnym tygodniu go odwiedziłam.

Pojechałam pociągiem, bo chciałam się przekonać, jak wygląda ta wieś z jego punktu widzenia – nie miał prawa jazdy i znany był z niechęci do aut. Planowałam przed wizytą u niego obejść okolicę, zobaczyć, gdzie są najbliższe sklepy, jak daleko jest do stacji i tak dalej. Fotograf miał przyjechać samochodem i miał się ze mną spotkać u niego w domu, pod koniec wywiadu.

Przeprowadzałam już wcześniej wywiad z noblistą – pisarzem, filozofem i pacyfistą Bai Kuang Hanem, który w roku 2023 dostał Nagrodę Pokojową – lecz Thijs Rietveld stanowił o wiele większe wyzwanie dla dziennikarza– laika. Dwadzieścia lat temu pracował w Laboratorium Rutherforda– Appletona w Oxfordshire, gdzie zajmował się fizyką teoretyczną. Właśnie za ówczesne prace z dynamiki cząstek subatomowych dostał tę spóźnioną nagrodę, jednakże przyznanie mu jej zbiegło się z pierwszymi praktycznymi efektami jednej z jego późniejszych teorii – dotąd bowiem jego badania nad tak zwanym perturbacyjnym polem sąsiedztwa prowadzone wspólnie z zespołem teoretyków pola kwantowego były otoczone mgłą tajemnicy i szczelnym kordonem zabezpieczeń.

Gdy ogłaszano laureatów nagrody Nobla, mało kto o nim słyszał – wyłonił się z czeluści zamkniętego ośrodka, w którym robiono eksperymenty z PPS, poleciał do Oslo, wygłosił po niderlandzku krótką, elegancką mowę i wrócił do Strasburga, do tego laboratorium. Dopiero wówczas termin „PPS” dotarł do większości ludzi – popularna prasa, upraszczając i spekulując, natychmiast opisała go jako niezawodną broń biernej obrony. Niebawem została ochrzczone „bronią, która zakończy wojny”. Jednakże w niecały rok wyniki tych badań były szeroko znane w społeczności naukowców, szybko też zrozumiano ich konsekwencje. Rietveld w swojej skromności dzielił się zasługami z resztą członków zespołu, ale ponieważ był noblistą, wszyscy zakładali, że to on stał na jego czele. Faktycznie zaś to jego teoretyczne prace pozwoliły na opracowanie praktycznych

zastosowań.

PPS było przez dłuższy czas znane jako obrona za pomocą zjawiska sąsiedztwa. Odkrywając je, pierwotnie sądzono, że nie daje się zastosować ofensywnie, że jest z samej natury wyłącznie bierną reakcją. Poprzez wykorzystanie czegoś, co kwantowi fizycy określają „operatorem anihilacji”, daje się tworzyć pole sąsiedztwa, które przenosi materię do równoległych, sąsiadujących wszechświatów. Jak w słynnym przykładzie, przytoczonym przez profesora Rietvelda: nadlatującego pocisku raketowego nie trzeba przechwytywać, sprowadzać z kursu ani niszczyć – można go po prostu przenieść do sąsiadującego wszechświata kwantowego, tak że pod każdym praktycznym względem przestanie istnieć. W pierwszych działających prototypach wywołanie zjawiska wymagało ogromnej ilości energii, sama jego natura sprzyjała jednak minimalizacji, maksymalizacji czy ponownemu wykorzystaniu. Dalszy rozwój skupiał się na zmniejszeniu tego zapotrzebowania na energię, aby system obronny dał się sensownie zastosować w praktyce. W którymś piśmie Rietveld optymistycznie wyobraził sobie przyszły świat, w którym każde miasto, każde laboratorium, każdy dom, może nawet każda osoba jest chroniona przed fizycznym atakiem przez zlokalizowane pole sąsiedztwa.

Wyciągnąwszy wnioski z historii, zwłaszcza zaś z doświadczeń swoich poprzedników pracujących przy Projekcie Manhattan – teoretycznym przedsięwzięciu, które wprost doprowadziło do powstania pierwszych bomb atomowych, Rietveld i jego współpracownicy stworzyli szczegółowe i formalne uzasadnienie broniące ich teoretycznej pracy. W tej apologii wyjaśniali, że perturbacyjne pole sąsiedztwa nie da się w żaden sposób wykorzystać jako broń agresywna. Jego zastosowanie jest całkowicie pokojowe. Nie może zdestabilizować świata ani w żaden sposób wpłynąć na równowagę sił pomiędzy Wschodem i Zachodem, Północą i Południem. Ideologie, systemy gospodarcze, wiary, ruchy polityczne pozostaną nienaruszone, bo pole nie wpływa na nie. Sąsiedztwo nie może zabić, nie



może truć, nie może zatruwać środowiska, nie pozostawia radioaktywnych odpadów, i nawet jeśli wpadnie w nieodpowiednie ręce, nie da się go użyć do złego.

To, co się stało potem, skłoniło profesora Rietvelda do udania się na dobrowolne wygnanie. Po dwóch latach na pustyni Gobi odbyła się pierwsza próba broni opartej na zjawisku sąsiedztwa, oczywiście „pod najściślejszym naukowym i moralnym nadzorem”. Słowa „anihilacja” pierwszy użył dziennikarz z periodyku naukowego, a stamtąd trafiło do masowej świadomości. Potem technologia w nieunikniony sposób rozpowszechniła się, dokładnie tak, jak obawiali się Rietveld i jego współpracownicy; starali się zresztą temu zapobiec; i już niebawem każde większe i co bardziej ekspansjonistyczne mocarstwo dysponowało takim czy innym odpowiednikiem tego urządzenia. Nikt nie groził, że go użyje – absolutnie wystarczyło posiadać taką możliwość. Już nikt nie wspominał o biernej, reakcyjnej, obronnej roli.

Słyszałam wcześniej, że profesor Rietveld ma problemy ze zdrowiem, że wykryto u niego jakąś nieokreśloną, ale ciężką chorobę i że ma teraz osiemdziesiąt dwa lata. Zaryzykowałam, nawiązałam kontakt, poprosiłam o wywiad i tak to się zaczęło.

## 2

Po tym, co się wydarzyło, nigdy nie spisałam ani nie opublikowałam tego wywiadu. Miałam swoje powody, by zaproponować w redakcji, że go przeprowadzę – pracowałam nad kolumną towarzyską i czułam, że to dziennikarska ślepa uliczka. Naczelny zgodził się, żebym spróbowała pisania poważniejszych szkiców biograficznych znanych lub cenionych postaci sztuki czy nauki.

Pierwszy taki tekst miał być właśnie o profesorze Rietveldzie – w wieczornym programie telewizyjnym usłyszałam wzmiankę o jego pracach nad obroną opartą na zjawisku sąsiedztwa, namiary dostałam od zaprzyjaźnionego urzędnika z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i dzień później zadzwoniłam do niego. Mało co o nim wiedziałam, fizyki nigdy się nie uczyłam, a już na pewno nie rozumiałam kwantowej teorii pola, do poważnego wywiadu byłam więc nieprzygotowana jak nigdy. Poświęciłam cały weekend na grzebanie w redakcyjnej bazie danych, nie dowiedziałam się jednak prawie niczego konkretnego ani o nim, ani o jego pracy.

Młodość spędził w Holandii, później mieszkał w Niemczech, Stanach i Wielkiej Brytanii – tyle się można było dowiedzieć, choć z jego późniejszymi odkryciami nie miało to szczególnego związku. Wiele artykułów opisywało nagrodę Nobla i jego przemówienie, w części popularnonaukowej pisma pojawił się długi i szczegółowy esej napisany przez zewnętrznego współpracownika, akademika z Cambridge University. Omawiał teoretyczne podstawy symetrii parzystości, oddziaływań słabych i cząstek o dużych masach. Po swoim wybuchu podczas uroczystej kolacji na jego cześć, urządzonej przez prezydenta USA w Białym Domu, i późniejszym zniknięciu z życia

publicznego, profesor Rietveld stał się innego rodzaju sławą – wygnańcem ze wspólnoty myśli, autorem politycznych protestów, uczonym, który próbuje odciąć się od własnych odkryć, kimś, kto unika nie tylko rozgłosu, ale i kontaktu z innymi naukowcami z własnej dziedziny. I jak to się często zdarza z takimi publicznymi postaciami, po początkowym okresie ogromnego zainteresowania mediów późniejsze ich losy i czyny nie obchodzą prawie nikogo.

Nie wiem, czego się spodziewałam, przyjeżdżając do niego – może zmagającego się z nowotworem niepełnosprawnego starego człowieka. Może zgorzkniałego wygnańca ze społeczności nauki. A może zgrzybiałego, skurczonego staruszka, bez końca obracającego w mózgu odłamki przykrych wspomnień pełnych desperacji, złości, i mylnie zapamiętanych szczegółów.

Na żywo wyglądał na sporo młodszego niżby wynikało z daty urodzenia. Chodząc, lekko utykał, tłumaczył to zapaleniem stawów. Po angielsku mówił znakomicie, prawie bez śladu akcentu, choć na półkach miał wiele książek po niemiecku i niderlandzku. Jego głos brzmiał bardzo poważnie, trochę gorzko, nie rzucał żartów ani autoironicznych uwag. Powiedział, że ma gosposię, której nie spotkałam, bo akurat miała wolne. Raz w tygodniu odwiedza go pielęgniarzka, która także wykupuje mu recepty. Pokazał mi ogród, jak powiedział, czuje się w obowiązku dbać o niego i utrzymywać porządek, a potem oprowadził po domu, który z kolei uwielbia, ale nie czuje się w nim zobowiązany do porządku – choć tak naprawdę dom nie był zagracony ani brudny, sprawiał raczej wrażenie przytulnego, dobrze urządzonego miejsca do mieszkania. Stwierdził, że nie wie, jak się nazywają jego sąsiedzi, ale wita się z nimi życzliwie. Dodał też, że jego żona nie żyje, że mieli jedną córkę, ale ona też zmarła parę lat temu.

Nie był ani smutny, ani zgorzkniały, ani specjalnie jowialny. Na pytania odpowiadał na oko szczerze i prawdopodobnie – zadawałam mu zresztą raczej ogólne pytania, więc takie były i

odpowiedzi.

W końcu zapytał mnie, czy rozumiem teorię kwantową lub kwantową teorię pola. Powiedziałam mu, że nie. Odczuł wyraźną ulgę. Dodał, że ma już dość prób tłumaczenia jej niefizykom. Potem zapytał jeszcze, czemu poprosiłam go o wywiad. Nabrałam już wrażeń, że nic nie stracę, mówiąc po prostu prawdę, wyjaśniłam więc, że szukałam sobie lepszego miejsca w gazecie, dla której pracuję. Odparł, że gdybym przyszła do niego uzbrojona w szczegółowe pytania o bozony, grawitony czy superstruny, nie miałby wiele do powiedzenia, bo od wielu lat nie jest na bieżąco i nie chciałby ryzykować, że pisma naukowe będą go w kółko cytować, ujawniając, jak nieaktualna jest jego wiedza o fizyce kwantowej.

Przerwało nam wejście fotografa, który przyjechał z Londynu. Był idealnie o czasie, co mnie zaskoczyło, ponieważ fotografowie z reguły pojawiali się na takich wywiadach albo za późno, albo za wcześnie. Nigdy wcześniej nie miałam okazji z nim współpracować. Był młodym człowiekiem, mówił z amerykańskim akcentem i było to chyba jego pierwsze zlecenie od naszej gazety. Okazał się świetnym i obdarzonym wyobraźnią fachowcem. Za zgodą profesora obszedł sam wszystkie pomieszczenia w domu, potem powoli ogród, wypatrując odpowiednich miejsc do zdjęć.

Gdy był gotowy, poprowadził profesora do ogrodu. Rietveld po drodze wziął tylko z półki pod oknem różowo bursztynową muszlę, która już wcześniej rzuciła mi się w oczy. Kiwnął mi głową z delikatnym uśmiechem i poszedł za fotografem, niczym nie zdradzając, co go rozbawiło. Zostałam sama w dużej kuchni z jadalnią. Profesor powiedział, że zawsze tu właśnie je – w zlewie piętrzyły się brudne naczynia, ale poza tym był to duży, przestronny pokój z widokiem na ogród.

Patrzyłam, jak młody człowiek pracuje ze swoim modelem, jak prosi go, by stanął w cieniu pod dużym drzewem, by przeszedł obok grządki z różami, by usiadł na rustykalnej ławce przy trochę zapuszczonym trawniku. Był środek lata, wszędzie kwitły kwiaty,

a nad dziką różą i budleją wokół małego patio unosiły się roje pszczoł.

Profesor wyglądał na rozluźnionego i chętnego do współpracy, tak że patrząc, jak miło gawędzi z fotografem, zaczęłam myśleć, że może jednak uda mi się nakreślić intrygujący lub ciekawy portret tego człowieka, mimo że nie mam zielonego pojęcia o jego pracy zawodowej. Być może kryła się w tym opowieść o kondycji ludzkiej – oto jeden z najwybitniejszych naukowców na świecie dożywa swoich dni na zielonej wsi w Sussex, pozostawiony w tyle przez rozwój zdarzeń, do których sam doprowadził, wolny od wszelkiej ambicji, żalu czy dumy.

Obaj mężczyźni rozmawiali ze sobą zapamiętale, choć ja za oknem nie słyszałam ani słowa. Profesor pokazał coś na niebie – Amerykanin zerknął w górę. Potem Rietveld poszedł na skraj trawnika, gdzie położył wcześniej swoją muszlę. Wrócił na środek, trzymając ją w dłoni. I właśnie tak pozował, z wyciągniętymi na boki rękoma, lewa dłoń pusta, na prawej balansuje przepiękna muszla o subtelnym barwach i fascynującej spiralnej konstrukcji.

Fotograf zrobił mu bardzo dużo zdjęć – pod różnymi kątami, z bliska, z daleka, tak daleka, na ile był się w stanie oddalić, nie wychodząc z ogrodu. Skończył serią zdjęć ze średniej odległości, zapewne obejmujących całą postać profesora.

Wreszcie chyba uznał, że ma ich wystarczająco dużo. Uścisnęli sobie po przyjacielsku dłonie. Ruszyli z powrotem do domu, profesor niósł w ręku swoją muszlę. Fotograf zatrzymał się nagle i unióś aparat, by sfotografować coś nad sobą. Profesor natychmiast powstrzymał go, błyskawicznie opuszczając mu aparat. Nie pozwolił zrobić tych zdjęć.

Weszli do kuchni razem, wciąż na oko w serdecznych stosunkach. Rietveld odłożył muszlę na półkę.

Zapytałam fotografa:

- Ma pan wszystko, co trzeba?
- Tak.

Pogmeral w wewnętrznej kieszeni i podał mi wizytówkę.

Zerknęłam na nią, bo spodobało mi się jak pracuje i chciałam zapamiętać jego nazwisko, gdyby pojawiły się nowe okazje do współpracy. Nazywał się Tibor Tarent, był niezależnym fotografem, należącym do paru zawodowych stowarzyszeń, pod spodem był adres w Londynie i dane kontaktowe.

- Do zobaczenia jutro w redakcji - powiedział. - Przyniosę kilka odbitek, obejrzymy wspólnie dokładniej.

Na razie była to praktyczna rozmowa, jak zawsze z przydzielonymi mi fotografami. Jutro w redakcji na spotkanie przyjdzie pewnie jeszcze grafik i mój szef.

Potem jednak Tibor Tarent dodał:

- Pomoże mi pani załadować sprzęty do samochodu?

Wyprowadził mnie na zewnątrz, zaparkował po drugiej stronie ulicy.

Gdy tylko wyszliśmy z domu, powiedział:

- To jest najbardziej niesamowity człowiek, jakiego w życiu spotkałem. Nigdy nie zapomnę tego, co się tam wydarzyło. Pani widziała, co zrobił, kiedy go fotografowałem?

- Byłam w kuchni, za dobrze nie widziałam.

- Nie da się tego opisać. Jutro pokażę pani na zdjęciach. Jak magik - w jego rękach ta muszla znikala i pojawiała się z powrotem. Nie mogłem dojść, jak on to robi.

- Patrzyłam z okna, ale pergola mi zasłaniała. Miałam wrażenie, że prawie się nie rusza.

- Otóż to. Nie ruszał ani jednym mięśniem, a działo się coś dziwnego. Wszystko mam na zdjęciach. Jutro pani pokażę.

Gdy rozmawialiśmy, otworzył auto i starannie poukładał w środku sprzęt fotograficzny. Potem podaliśmy sobie ręce, wsiadł do samochodu i odjechał. Wróciłam do domu.

Profesor siedział przy wyszorowanym sosnowym stole w kuchni, opierając głowę na rękach. Uniósł wzrok i wydało mi się, że oczy ma bardziej czerwone niż przedtem, a cerę bardziej ziemistą.

Powiedział:

- Przepraszam, wymęczył mnie ten młody człowiek. To nie są

słowa krytyki, ja rozumiem, że to jego praca, ale czasem zachowanie pozorów normalności kosztuje bardzo wiele wysiłku.

- Panie profesorze, zanim przyjechał fotograf, mówił pan o fizyce.

- Naprawdę? Nie myślałem, że to panią zainteresuje.

- Powiedziałam, że nie rozumiem fizyki kwantowej, ale to nie znaczy, że nie interesuje mnie, czym dla pana była praca.

- Była dla mnie całym życiem.

- Tak właśnie myślałam.

- W pewnym sensie moje życie skończyło się, kiedy dostałem tę nagrodę, bo nie dało się już utrzymać naszego zjawiska w tajemnicy. Media zainteresowały się tym, co robię, nic dziwnego, ale zaciekawili się też koledzy i konkurenci. Musieliśmy o wiele za wcześnie wyłożyć karty na stół. Nie byliśmy jeszcze gotowi. To, co odkryliśmy, było bardziej wstrząsające i teoretycznie bardziej niszczące niż rozbitcie atomu. Przed ogłoszeniem wyników chcieliśmy znaleźć jakiś sposób na zapanowanie nad tym, ograniczenie do biernego wykorzystania, albo, co jeszcze trudniejsze, chcieliśmy zamknąć puszkę Pandory.

- Zawsze mi się wydawało, że sąsiedztwo można wykorzystywać tylko biernie.

- Tak wtedy twierdziliśmy. Oczywiście trzeba było mieć świadomość - i ją mieliśmy - że kiedy nasze prace staną się ogólnie dostępne, to tylko kwestia czasu, by inny zespół odkrył całą prawdę.

- Wydawało mi się też, że równowaga sił nie została zdestabilizowana.

- Wielkie mocarstwa, tak. Jakże my im ufamy! Zaraz. Proszę posłuchać. Chcę pani pokazać to, co próbowałem pokazać temu młodemu człowiekowi z aparatem. Pani pozwoli ze mną do ogrodu.

Pomogłam mu wstać z krzesła. Wziął jakiś kartonik leżący na półce obok książek, potem podsunął mi ramię, żebym mogła go podtrzymać. Razem przeszliśmy do zalanego słońcem ogrodu.

- Teraz zapewne już wszyscy rozumiecie, co się wydarzyło parę

lat temu, kiedy byłem w Strasburgu. Byliśmy naiwni, wszyscy, ale ja szczególnie – wydawało się nam, że dokonujemy przełomu, odkrywamy coś, co będzie w stanie zneutralizować wszelką broń. Coś, co zawsze będzie bezpieczne w użyciu, nieagresywne z samej natury i nieszkodliwe, ponieważ eliminuje rzeczy wyrządzające szkody. Niebawem jednak ziściło się to, czego się wszyscy obawialiśmy. Inne umysły niż nasze wymyśliły, jak przekształcić kwantowe sąsiedztwo w śmiertcionośną broń. Zbyt późno teraz na żal. Historii się nie zmieni. Najbardziej jednak przerażała nas perspektywa, że wcześniej czy później ta technologia trafi pod strzechy, że tak powiem. Do niewielkich grup, terrorystów, rebeliantów, prywatnych bojówek. Że dostaną w ręce mniejszą, bardziej przenośną wersję generatora zjawiska sąsiedztwa. Że w ich przypadku nie będzie można liczyć nawet na tę fałszywą odpowiedzialność, jaką wykazują wielkie mocarstwa.

- Rozumiem – powiedziałam.

- Proszę popatrzeć, co sobie zbudowałem ponad tym ogrodem.

Wskazał w górę. Zobaczyłam niewielkie metalowe urządzenie, niczym nieosłonięte i niewyglądające na fabrycznie wykonany przedmiot, zawieszony bezpośrednio nad trawnikiem. Podtrzymywały je trzy mocne linki, biegnące od cienkich metalowych tyczek, dwóch umieszczonych w narożnikach ogrodu i trzeciej, blisko domu. Zawieszony pośrodku przedmiot składał się z różnych metalowych i plastikowych części, głównym jego elementem była jednak matowa szara kula, przypominająca trochę stary aluminiowy czajnik. Miała około pół metra średnicy.

- Pozwolę sobie zapytać: wie pani, co to takiego czworościan foremny?

- Jakaś figura geometryczna, prawda? – odpowiedziałam.

Uniósł ten kawałek kartonu. Miał kształt trójkąta, z trzema zagięciami w środku. Widać było, że zginano go i rozginano wiele razy.

- To się nazywa „siatka” – powiedział, mając na myśli tę kartę.



Szybko złożył ją w kształt trójkątnej bryły. – Widzi pani, czworościan foremny to trójkątna bryła, która ma cztery ściany i cztery wierzchołki. Jest to bardzo stabilny fizycznie kształt i bardzo mocny – i ma taki sam kształt, obojętnie, która ściana jest podstawą. Przypomina to trochę coś, co fizycy nazywają oddziaływaniami, w tym wypadku oddziaływaniami silnymi. Można je rozbić tylko poprzez teoretyczną anihilację, używając czegoś, to nazywamy operatorem anihilacji dla pola bozonowego. Czyja nie za dużo tłumaczę?

Gościwie zapisywałam jak najwięcej z tego w notesie, z którego teraz przytaczam słowa wypowiedziane przez profesora owego letniego dnia, to była jednak prawda. Tłumaczył zbyt dużo i zbyt szybko.

– Ten model z kartonu to tylko symbol, żeby ułatwić wyjaśnienie – powiedział. – Rozłożył go i wsunął do kieszeni. – Zjawisko kwantowego sąsiedztwa, które wytworzyliśmy, można rozważać jako taki czworościan cząstek. – Wskazał kulę nad naszymi głowami. – To jest wierzchołek, silny i niezmienny punkt. Pod nim jest wirtualny czworościan, więc stoimy pośrodku odcisniętego na ziemi trójkąta.

Mimo woli spojrzałam w dół. Pod nogami miałam wymagającą skoszenia trawę.

Profesor Rietveld powiedział:

– Zależy mi, żeby zrozumiała pani, co mówię, bo chcę, żeby pani napisała o tym w swoim artykule. To, co pani tu widzi, to nie jest broń. To jest model doświadczalny, można go modyfikować i kalibrować do celów naukowych. Ale przenośny generator sąsiedztwa, o wiele bardziej prymitywny niż cokolwiek, nad czym pracuje się w laboratorium, też działa od góry, dokładnie tak samo jak ten doświadczalny model. Musi znaleźć się dokładnie ponad celem. W praktyce, ktoś, kto ma złe intencje, może go zrzucić z samolotu, wystrzelić z moździerza albo działka, albo przenieść pociskiem raketowym. Dałoby się go nawet zrzucić z wysokiego budynku. Raz już został w ten sposób użyty. Katastrofa w Godhrze, dwa lata temu, pamięta

pani może?

Pamiętałam. Indyjskie miasto, częściowo zniszczone przez tajemniczy wybuch. Oskarżono o niego w końcu islamskich separatystów, nie było jednak co do tego pewności, a wiele aspektów samego wypadku wciąż pozostawało niewyjaśnionych.

- Kiedy zjawisko sąsiedztwa wykorzystuje się jako broń, odbywa się kwantowa anihilacja, ograniczona takim czworościanem, trójścienną piramidą złożoną z trójkątów równobocznych, czwarty trójkąt stanowi podstawę. Wszystko w zasięgu tego kształtu jest narażone. - Mówił bez tchu i opierał się dłonią o moje ramię. - To wszystko, pani Flockhart. Ta technologia wpadła w niewłaściwe ręce i jeśli kiedykolwiek ktoś ją wykorzysta, stanie się największym zagrożeniem dla pokoju. I to głównie ja jestem za to odpowiedzialny.

### 3

Wieczorem, kiedy byłam w domu, dzieci już leżały w łóżkach, a mąż pracował w swoim gabinecie na piętrze, telewizyjne wiadomości doniosły o śmierci Thijsa Rietvelda. W pierwszych informacjach nie mówiono o przyczynie zgonu, a ja, zdumiona i wstrząśnięta bólem, jaki poczułam, założyłam po prostu, że życie człowieka, z którym spędziłam większość dnia, dobiegło swego naturalnego końca. Pod koniec wywiadu naprawdę robił wrażenie zmęczonego. Starzec, z którym żegnałam się, wychodząc, prawie nie przypominał dziarskiego i energicznego osiemdziesięciolatka, który przywitał mnie po przyjeździe.

Następnego dnia rano, kiedy przyszedłam do redakcji, policja wschodniego Sussex już wyjawiała prawdę. Profesor Rietveld wstrzyknął sobie potężną dawkę środka przeciwbólowego na receptę, po czym wypił co najmniej jedną szklanek whisky. Znalaziono go w ogrodzie, na środku trawnika.

Dom i ogród zostały odgródzone kordonem, rzekomo przez policję, chociaż informatorzy naszej redakcji donosili, że to agencje od bezpieczeństwa zarządziły odizolowanie domu.

Po południu, zgodnie z planem, przyszedł do redakcji ten młody fotograf ze Stanów, Tibor Tarent. Słyszał oczywiście, co się stało. Przyniósł ze sobą kilka dużych odbitek wczorajszych zdjęć.

Cały plan napisania szkicu biograficznego o profesorze został zawieszony, jak się okazało, na zawsze. Gazeta zamieściła długie wspomnienie pośmiertne napisane przez jego dawnego współpracownika, opublikowała parę prywatnych nekrologów od przyjaciół i innych współpracowników, i po paru dniach śmierć jednego z największych fizyków naszej ery przeszła do historii.

Lecz tego straszego, pełnego bólu dnia, Tibor Tarent dał mi

dużą odbitkę złożoną ze zdjęć, które zrobił w ostatnie popołudnie Thijsa Rietvelda. Były na niej ułożone w prostokąt cztery kadry. Powiedział:

- Jane, ty tam byłaś. Widziałaś, jak robię mu zdjęcia. Z miejsca, gdzie srałaś, widać było, co robimy, prawda?

- Tak.

- Widziałaś, jak bierze tę muszlę, trzyma ją w prawej ręce i stoi nieruchomo na trawniku, a ja go fotografuję?

- Pewnie.

Oboje patrzyliśmy na leżącą na moim biurku fotografię.

- Nigdzie tej muszli nie odłożył. Tak?

- Tak.

- Widziałaś, żeby przekładał ją z ręki do ręki?

- Nie.

- Te zdjęcia robiłem jedno po drugim, co kilka sekund. Co się tu, do cholery, zadziało?

Odpowiedziałam, że nie wiem. Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, potem jednak zesłaliśmy na dół do pobliskiego baru i wypiliśmy butelkę czerwonego wina, ku pamięci intrygującego staruszka, którego tak krótko znaleźliśmy. Długo nie siedzieliśmy - Tibor musiał jechać na kolejne zdjęcia, a ja miałam robotę w redakcji.

Tę odbitkę mam cały czas w domu. Dałam ją do oprawienia, wisi za szkłem na ścianie nad biurkiem. Profesor Rietveld stoi na środku trawnika i trzyma w ręku piękną muszlę. Na wszystkich czterech zdjęciach widać linie niewyraźnie w tle, trochę nieostrą za krzakiem rojącej się od pszczoł luidlci; można jednak poznać, że to ja patrzę na nich z wnętrza domu, z wychodzącego na trawnik okna. Cztery zdjęcia tworzą prostokąt. W lewym górnym rogu profesor trzyma różowobursztynową muszlę w prawej dłoni. Na sąsiednim stoi w niemal identycznej pozycji, muszlę ma jednak w lewej ręce. U dołu po lewej trzyma dwie identyczne muszle, po jednej w każdej wyciągniętej ręce. Na czwartym zdjęciu obie dłonie ma puste.

I dopiero na tym czwartym uśmiecha się do obiektywu.

# **CZEŚĆ V**

## **Tealby Moor**

# 1

Mike'a Torrance'a, młodszego szeregowego sił powietrznych, nazywanego przez resztę ekipy „Fala”, zawsze zachwycał widok lecącego lancastera w biały dzień. I on, i pozostali mechanicy mieli niewiele czasu na rozglądanie się dookoła przy pracy, ale kiedy lądował lancaster, zawsze unosili głowy znad narzędzi. Silniki było słychać na długo przed pojawieniem się samego samolotu. Potem, gdy się ukazał, przelatywał nisko nad polami Lincolnshire. Gdy skręcał, by podejść do lądowania, w przechyle widać było przez chwilę ciemnozielono-brązowy kamuflaż na górnych powierzchniach. A gdy schodził nad pas, z zadartym lekko nosem, wydawał się cały czarny, pomalowany tak, aby stapać się z nocnym niebem. W nocy, nad Niemcami, musiał stawać się niewidzialny, a przynajmniej trudny do wypatrzenia od dołu.

Piękno maszyny tkwiło w jej brutalnym, do bólu praktycznym i utylitarnym kształcie. Każda z części ciężkiego bombowca miała spełniać swoje zadanie, bez oglądania się na opływowość i styl. Wieżyczki strzeleckie, na dziobie, pomiędzy ogonowymi statecznikami i na wierzchu kadłuba były zrobione z wypukłego pleksiglasu, po bokach kokpitu sterczały podobne bąble obserwacyjne, w dnie znajdowały się długie drzwi bombowe, napęd stanowiły cztery ogromne silniki Rolls-Royce Merlin siedzące w gondolach pomalowanych na czarno jak reszta samolotu, skrzydła miały ponad trzydzieści metrów rozpiętości, były grube i zaokrąglone na końcach - mieściły zbiorniki paliwa wystarczające nawet na dwanaście godzin lotu z prędkością przelotową.

Samolot nie zapewniał żadnych wygod ani załodze, ani Mike'owi Torrance'owi i jego kolegom mechanikom podczas

serwisowania. Siedzenia miały cienką i twardą tapicerkę, ogrzewanie działało bardzo słabo, długi kadłub był w środku wąski i zagracony sprzętem. Wszędzie sterczały ostre krawędzie i metalowe kanty. Załoga, wbita w grube lotnicze kombinezony, włożone na wiele warstw wełnianych ubrań, ledwie była w stanie się tam przeciskać. A ze spadochronami na plecach było jeszcze o wiele gorzej. Personel naziemny unikał w ogóle wyobrażenia sobie czegoś takiego, jak desperackie przeciskanie się do wjazdu przez kadłub spadającego w dół zestrzelonego bombowca, pewnie jeszcze do tego ogarniętego pożarem.

Nie było też żadnego wygłuszenia, więc niczym nietłumiony ryk czterech merlinów trwał nieustannie i ogłuszająco. Podczas lotu zimne i rzadkie powietrze dziesiątkami szpar i szczelin wdzierало się do środka. A od zewnątrz płatowiec był usiany czujnikami, antenami, kłapami serwisowymi, włazami. Nie było tam niczego, co nie byłoby niezbędne albo przykryte ze względów estetycznych.

Mimo to bombowiec wydawał się Torrance'owi czymś pięknym, bo uważał, że to najlepszy samolot na świecie, najlepiej nadający się do długich lotów przez Morze Północne, a potem przez Niemcy, by bombardować do gołej ziemi niemieckie miasta. Była wczesna zima roku 1943 i właśnie to trzeba było wtedy robić.

## 2

Dywizjon 148, część V grupy Dowództwa Bombowego, stacjonujący w bazie RAF w Tealby Moor, dopiero zaczął dostawać lancastery. Do samego Bożego Narodzenia latał na dwusilnikowych przestarzałych wellingtonach. Mike Torrance dołączył do dywizjonu mniej więcej w tym samym czasie, po szkoleniu z awioniki lancastera. Jednostka wykonała już parę operacji, potocznie nazywanych „sianiem w ogródku” – polegały na stawianiu min w duńskich cieśninach, żeby utrudnić niemieckim U-Bootom wpływanie i wypływanie na Bałtyk. Było to niebezpieczne zadanie – stracili już dwa lancastery z całymi załogami.

Nowe bombowce przybywały prosto z fabryki, pilotowane przez lotników z ATA, Air Transport Auxiliary – Pomocniczego Transportu Powietrznego. Przylatywały pojedynczo, dwa lub trzy tygodniowo. Przed dostarczeniem pierwszego mało kto z personelu naziemnego w ogóle widział taki samolot z bliska, choć wszyscy przeszli odpowiednie szkolenia ze swojej dziedziny.

Mike Torrance był mechanikiem od awioniki, przez innych mechaników zwanym „przrzędziarzem”. Jego specjalnością była instalacja tlenowa lancastera, celownik bombowy, celowniki strzeleckie, kompas ze zdalnym odczytem, wysokościomierz, sztuczny horyzont i inne przyrządy wykorzystywane w bombowcu, które nie zaliczały się do płatowca, silników i podwozia. Nimi zajmowały się inne ekipy. Spece od płatowca, majstrowie od silników. Zbrojmistrze, ładujący bomby i amunicję. Operatorzy tankowania. Samolot wymagał serwisu od samego początku, i od samego początku ciągle trzeba było coś naprawiać.

Przed oddelegowaniem do Dowództwa Bombowego Torrance



służył w Obronie Wybrzeża, gdzie naprawiał przyrządy pokładowe na wodnosamolotach. Codziennym ryzykiem zawodowym w tej pracy były choroba morska oraz wpadające do wody narzędzia. Po przeszkoleniu z lancasterów z ulgą przyjął przeniesienie do lądowego dywizjonu.

Zespołem Awioniki w dywizjonie dowodził sierżant Jack Winslow, w RAF- ie od roku 1935, który w oczach nowych rekrutów wyglądał na takiego, który wie wszystko o serwisowanych samolotach. Podlegało mu dwóch kaprali, „Steve” Stevenson i AJ Harrison. Ci jeszcze wiedzieli, co robią, natomiast reszta ekipy była istną zbieraniną, radziła sobie jak mogła, choć skrycie powątpiewała we własne umiejętności.

Mike Torrance, uważający się za typowego młodego mechanika lotniczego, wstąpił do RAF- u, bo chciał latać. Był jednak tyczkowaty i miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, stwierdził więc szybko, że jest zbyt wysoki, by mieścić się w większości będących w użyciu samolotów. Dlatego też odrzucono go po pierwszym badaniu medycznym. W cywilu uczył się na architekta, ale już w wieku osiemnastu lat nie mógł sobie znaleźć miejsca. Świetnie rysował, choć bardziej lubił książki i muzykę, próbował też pisać opowiadania i wiersze. Kiedy pracownia architektoniczna, w której miał praktykę, przestawiła się na wysiłek wojenny, stracił pracę i natychmiast poszedł się zaciągnąć. Kilka miesięcy później był już wyszkolonym mechanikiem.

Pierwszy Lank, który trafił do Tealby Moor, został przydzielony najbardziej doświadczonej załodze w dywizjonie, pod wodzą dowódcy eskadry JL Sawyera. Kapitan był już weteranem – miał za sobą całą jedną turę nalotów i trzy naloty z drugiej tury. Maszynę wzięli na lot próbny jeszcze tego samego dnia, a potem Torrance i wielu innych patrzyli z zazdrością, jak przydzielony im personel naziemny zabiera się do sprawdzania jej po lądowaniu.

### 3

Dwa tygodnie od dostarczenia pierwszego lancastera Dywizjon 148 był w pełni wyposażony i po paru dniach poświęconych na przestrzelanie, loty zapoznawcze i ogólne przygotowania mógł włączyć się do działań bojowych. Na koniec wojny się nie zapowiadało. Walki lądowe toczyły się głównie w Rosji, po zakończeniu oblężenia Stalingradu. Stalin domagał się utworzenia przez Wielką Brytanię i USA frontu zachodniego, mającego ulżyć trochę Związkowi Sowieckiemu, mało kto jednak uważał to za możliwe. Aliantów stać było w najlepszym wypadku na nieustające naloty bombowe na terytorium Rzeszy. Amerykańska Ósma Armia Powietrzna stacjonowała już w Wielkiej Brytanii i rozpoczynała naloty dzienne, ale z ciężkimi stratami załóg i maszyn.

Natomiast Dywizjon 148 dołączył do nocnej kampanii. W kronikach RAF- u ten okres znany jest jako Bitwa o Zagłębie Ruhry, czyli szereg intensywnych nalotów na przemysłową aglomerację na północnym zachodzie Niemiec. Od połowy marca tamtego roku lancastery dwa lub trzy razy w tygodniu, podczas coraz krótszych nocy, dołączały do strumienia bombardierów wyprawiających się nad Morze Północne. Co oczywiste, odtąd dywizjon zaczęły nękać uszkodzenia maszyn i straty w ludziach.

Pod koniec marca stracili lancastera dowodzonego przez porucznika Andy'ego Everetta. Miał oznaczenie „E jak Easy”. Torrance codziennie pracował przy tej maszynie. Everett i jego załoga zaginęli nad Duisburgiem, prawdopodobnie zestrzeleni. Dopiero kilka tygodni później personel bazy Tealby Moor dowiedział się, że z siedmioosobowej załogi ocaleli wszyscy poza strzelcem ogonowym, Kenem Accentem z Kanady, który nie

zdołał się wydostać z płonącego samolotu, zanim się rozbił. Reszcie załogi udało się wyskoczyć ze spadochronami. Trafili do obozu jenieckiego. Jednak trzy dni później Torrance i jego koledzy jeszcze o tym nie wiedzieli, odbierając w ponurym nastroju zastępczego lancastera o oznaczeniu „D jak Digger”.

D jak Digger przyleciał późnym popołudniem, więc kazano mu przekołować do punktu rozproszenia, a ekipa naziemna zabrała się za niego dopiero następnego dnia rano. Był szary, dżdżysty dzień, nieliczne drzewa na skraju lotniska gięły się pod silnym wiatrem od Morza Północnego, którego brzeg leżał niedaleko na wschód. Mike Torrance miał pierwszy raz zrobić D.E - Daily Inspection, codzienny przegląd, samodzielnie i bez nadzoru. Paru szeregowych już zaczęło pracę. Ponieważ maszyny dostarczali cywilni piloci, żadna z wieżyczek nie była uzbrojona, pierwsze zadanie przypadło więc rusznikarzom - musieli zainstalować w nich karabiny maszynowe. Była to hałaśliwa robota, a po otwarciu wszystkich pleksiglasowych owiewek w kadłubie było wyjątkowo zimno i wietrznie.

Torrance ruszył do kokpitu, bo pilot przywożący maszynę zameldował, że wysokościomierz nie działa prawidłowo. Wiedział o tym z góry, więc zawczasu wziął sobie z magazynu przyrząd na wymianę. Wykręcenie uszkodzonego instrumentu oraz zamontowanie i podłączenie nowego było stosunkowo proste. Trudność sprawiała tylko, jak zwykle, ciasnota za tablicą przyrządów, przez którą musiał się położyć na wznak i pracować w niewygodnej pozycji z wyciągniętymi w górę rękoma. Nieustannie miał od tego podrapane i poobcierane palce i knykcie.

Skończywszy, jeszcze raz zerknął na protokół od pilota, żeby sprawdzić, czy nie zgłosił czegoś jeszcze. Nie wstał z podłogi, leżał dalej, a pedały orczyka uwierały go w plecy. Wstawanie z tej pozycji było męczące i czasami bolesne, więc nie chciał niepotrzebnie tego powtarzać. Na protokole była jednak tylko jedna linijka: „Uszk. wyściomierz”.

Pismo było proste i zaokrąglone, trochę dziecinne, sama zaś

pomyłka nie była niczym niezwykłym. Piloci często wypełniali te rubryczki w pośpiechu, czasem wręcz jeszcze podczas kołowania.

Torrance już podnosił się z podłogi, żeby kontynuować codzienny przegląd, gdy zauważył coś płaskiego, kolorowego, wciśniętego między podstawę fotela pilota a podłogę. Sięgnął ręką, wyszarpnął ten przedmiot i wstał.

Było to coś w rodzaju portfela, ale ze sztywnej tkaniny, nie skóry. Czuł, że w środku są jakieś poskładane kartki, które zaszeleściły po ściśnięciu. Musiało tam też być parę monet. Portfel miał zamknięcie, z jakim się wcześniej nie spotkał – był parę razy owinięty dwoma rzemykami, związanymi potem na kokardkę. Ewidentnie czyjaś własność osobista, do której w dodatku był bardzo przywiązany – stojąc z tym portfelem w dłoni na środku zimnej kabiny, poczuł się winny, jakby go ukradł.

Znał regulamin – należy natychmiast zameldować o każdej rzeczy osobistej znalezionej w maszynie. Rozejrzał się za sierżantem dowodzącym zmianą, ale nie było go nigdzie widać. Wszyscy inni wyglądali na zajętych własną pracą.

Postanowił, że odda go od razu po skończeniu służby. Wetknął portfel do kieszeni na piersi, zapiał na guzik i zabrał się z powrotem za przegląd.

Szybko zapomniał o znalezisku i nosił je w kieszeni do wieczora. Dopiero wybierając się do kantyny na kolację, przypomniał sobie o nim. Odczekał, aż wszyscy wyjdą z baraku, wyjął portfel z kieszeni i pierwszy raz dokładnie mu się przyjrzał.

Portfel, saszetka, czy jak ją nazwać, jaśniała kolorami – jaskrawożółte i pomarańczowe kręgi, przeplecione przez nie zielone paski, obszywający brzegi jasnoczerwony sznur. Te barwy miały w sobie coś, co wzbudziło w nim silną nostalgię za życiem, które minęło nie tak dawno, choć wydawało się teraz niepomierne odległe – za długimi dniami z dzieciństwa, za zabawkami, za pełnym kwiatów ogrodem domu, w którym mieszkał z rodzicami i młodszą siostrą. Przebywał teraz w świecie, gdzie kolory były poszarzałe albo w ogóle nie

występowały. Wojenna Anglia była krajem nieoświetlonych ulic, zaciemnionych okien, wygaszonych neonów. W bazie nosili wypłowiałe niebieskie drelichy i bluzy, beżowe lub szare koszule, szare swetry, granatowe furażerki. Maszyny były czarne lub ciemnobrązowe. Lotnisko, wprawdzie trawiaste, było pełne kałuż i smug błota. Pasy startowe stanowiły długie, monotonne pręgi betonu. Niebo wydawało się nieustannie zaciągnięte ciężkimi chmurami. Mieszkał i spał w baraku z niemalowanej blachy falistej, hangary były pomalowane w ciemny kamuflaż, główne budynki dywizjonu zbudowano z nieotynkowanej cegły i także pomalowano w zielono-brązowy wzór maskujący.

Ogarnęła go nagła, dojmująca i nieoczekiwana fala melancholii. Siedział na brzegu pryczy i wpatrywał się w kolorowy portfel. Przypomnił mu o nieodwracalnej stracie czegoś abstrakcyjnego, prawie zapomnianego, uświadomił, w jak kiepskiej jest sytuacji, on i wszyscy w tym kraju, uzmysłowił, że będzie musiał jeszcze długo znosić ponurą szarość wojennego krajobrazu.

Dłuższą chwilę siedział bez ruchu, przytłoczony tymi myślami. Miał tylko dwadzieścia jeden lat i życie, które miał nadzieję odnaleźć, wymykało mu się. Obracał miękko wyściełany portfel w palcach, znów czując sztywność papieru i okrągłe wypukłości monet. Pociągnął za rzemyk, odwinął je oba i portfel otworzył się. Sam trochę wstydził się tego, co robi, bezczelnie zaglądając w czyjeś prywatne sprawy, pomyślał jednak, że jeśli dowie się, czyja to własność, odda go bez borykania się z RAF-owską biurokracją.

Sięgnął dwoma palcami do środka, umyślnie starając się tam nie zaglądać. Dotknął dwóch małych sztywnych kartoników, jakby zdjęć – zerknął, dostrzegł zamazane czarnobiałe kształty pod połyskliwą emulsją, odwrócił wzrok. Pod spodem było kilka monet, może z pięć, wiedział jednak, że nie jest to zbyt wiele pieniędzy. W wojsku nikt nigdy nie miał zbyt wiele pieniędzy.

Poza tym portfel zawierał jakieś złożone papierki czy cienkie kartoniki. Miał opory przed zaglądaniem do nich, musiał jednak

dowiedzieć się, do kogo to wszystko należy.

Potem zauważył, że po jednej stronie jest mała, zapinana na zamek kieszonka. W środku była biała karteczka. Domyślał się, że to karta przydziału albo kwitek z żołdem, lecz to było coś innego. Na kartce widniało ciemnoniebieskie godło z dwoma stylizowanym skrzydłami. Przypominały, choć tylko trochę, skrzydła na piersi mundurów noszonych przez wojskowych pilotów z dywizjonu. W owal pomiędzy skrzydłami wpisane były litery ATA, oba A przekreślone poprzeczką litery T.

Od razu rozpoznał ten znak. Skrót oznaczał Air Transport Auxiliary, Pomocniczy Transport Powietrzny, cywilną organizację pilotów transportujących samoloty z zakładów lotniczych do baz wojskowych. Niektórzy mechanicy rozwijali go jako „Antyczni Tetrycy Awiacji”, bo wielu tamtejszych pilotów było weteranami wojny z lat 1914– 1918, a do tego często inwalidami wojennymi. Torrance słyszał opowieści o pilotach bez ręki, nogi czy oka. Plotki głosiły, że latają tam także kobiety oraz ochotnicy spośród uchodźców, którzy trafili do Wielkiej Brytanii po wybuchu wojny i często ledwo mówią po angielsku.

Lotnicy z dywizjonu, z natury rzeczy sceptyczni wobec cywilów dostających w ręce wojskowe maszyny, patrzyli na nich z mieszanymi uczuciami. Bo jednak czterosilnikowe lancastery, normalnie wymagające siedmioosobowej załogi, piloci z ATA prowadzili w pojedynkę, więc siłą rzeczy bez pomocy radia czy map. Tym wzbudzali szacunek innych pilotów i już nie było istotne, cywile, czy nie. Natomiast personel naziemny rzadko miał kontakt z lotnikami z ATA. Po przylocie samolot kołował do wyznaczonego „dyspersalu” po przeciwnej stronie lotniska, a pilot odjeżdżał z lotniska zapewne jakimś innym środkiem transportu. Później maszyny holowano pod hangar ciągnikiem.

Pod godłem było nazwisko. „Mł. pil. K. Roszko, ATA” oraz adres kwatery głównej ATA w Londynie. Jeszcze niżej – numer telefonu, z centrali w Hamble. Charakter pisma był dokładnie taki sam, jak na protokole zdania maszyny – wyraźne, okrągłe, niemal dziecięce litery.

Wyrwał się z zamyślenia, zaczął się zastanawiać, co robić. Zdecydował się działać od razu. Wziął jeden z opartych o ścianę baraku rowerów i w pośpiechu popedałował do baraku NAAFI<sup>3</sup>, w części biurowej lotniska. Przed wejściem do niego stał automat telefoniczny.

Zapał zmrok, mocno padało – zimne krople wpadały mu do oczu, ręce i twarz mokły i marzły.

Pierwszy raz w życiu dzwonił na międzymiastową. Zapytał telefonistkę, jak to się robi. Ona, zapewne przyzwyczajona do trafiających do bazy młodych ludzi, wyjaśniła, ile to będzie kosztowało i kazała przygotować odpowiednie monety. Uprzedziła go, że jeśli nie będzie miał więcej drobnych, nie porozmawia dłużej niż trzy minuty.

Torrance odłożył słuchawkę. Wszedł do środka, zajrzał do baru NAAFI, wziął małe piwo, trochę dla kurażu, a trochę żeby dostać więcej monet. Zapłacił za nie jedynym posiadanym dziesięcioszylingowym banknotem, który oszczędzał na następny urlop, dostał resztę, starannie odliczył potrzebne monety. Będzie go to kosztowało sporą część tygodniówki, którą wypłacał mu RAF.

---

<sup>3</sup> NAAFI (Navy, Army and Air Force Institutes) – organizacja non profit prowadząca kantyny w brytyjskich jednostkach wojskowych (przyp. tłum.).

## 4

- Kiedy wybierany abonent odbierze, proszę nacisnąć „A”, żeby mówić.

Torrance wymamrotał podziękowanie dla telefonistki. Już słyszał dzwoniący po drugiej stronie telefon. Szczęknięty widelki i odezwał się damski głos.

- Halo?

Wcisnął przycisk „A” i usłyszał brzęk spadających do pojemnika monet.

- Halo! - powiedział, chyba trochę za głośno.

- Hamble 423. Z kim chce pan rozmawiać?

- Poproszę z młodszym pilotem Rosko - powiedział, zgadując, jak się wymawia to nazwisko. - K. Rosko. Mam ważną sprawę.

- Kto mówi i w jakiej sprawie? - Mówiła z jakimś akcentem, przeciągając samogłoski.

- Mike To... Znaczący, szeregowy Mike Torrance, Dywizjon 148 RAF, Tealby Moor. Muszę pilnie rozmawiać z panem Rosko.

- Może pan mi przekazać. O co chodzi?

- Eee... Pan Rosko przywoził do nas Lancastera i zostawił w nim portfel. Znalazłem go...

- Ma pan mój portfel?

Zapadła cisza, a on nie wiedział jak ją wypełnić. Potem dodała głosem pełnym ekscytacji:

- Rany boskie! Znalazł pan go?

- Portfel należy do pilota - odparł, onieśmieszony i zdezorientowany jej reakcją. - Pilota z ATA. Jest u mnie, ja go przechowam.

- Muszę go mieć z powrotem! Wszędzie go szukałam. Z kim mówię?

- Już się przedstawiałem.



- Może pan powtórzyć? Pan jest z RAF- u?

Zmieszał się przez jej stanowczy ton i dziwny akcent. Rozmowa nie przebiegała tak, jak się spodziewał. Powtórzył nazwisko, dywizjon i lotnisko. Nie miał pojęcia, ile czasu już minęło, ale trzy minuty wydawały mu się krótką chwilą. Żałował teraz, że nie znalazł dyżurnego sierżanta i nie oddał mu portfela, na to było jednak za późno.

- Mógłbym rozmawiać z panem Rosko? On tam jest? - zapytał, wiedząc, że głupio to brzmi. Był kompletnie zdezorientowany. Palce drugiej dłoni zacisnęły mu się w pięść.

- To ja jestem *Roszko*. - Tak wymówiła to nazwisko. - To mój portfel.

- Pani jest pilotką?

- Tak. Muszę go jak najszybciej odzyskać. Gdzie pana znajdę?

- Tak myślałem, żeby go wysłać pocztą, jakbym miał adres, albo wiedział, na którym lotnisku pani...

- Nie, nie. Jeszcze się zgubi. Albo ktoś go ukradnie. Nie mogę ryzykować. Pan powie jeszcze raz, które to lotnisko?

- Tealby Moor. Lincolnshire.

- Byłam tam. Wczoraj. Zawoziłam lancastera do Tealby.

- No właśnie - powiedział. - Portfel znalazłem w kabinie.

- Dziękuję! Dziękuję! O Boże, nie wiem, jak mam panu dziękować! - Usłyszał, jak bierze głęboki oddech. - Przylecę do Tealby jak najszybciej. Jak mogę pana znaleźć?

- Pracuję w skrzydle A. Specjalista od przyrzędów.

- To pan nie jest pilotem?

- Nie. Mechanikiem.

Zabrzmiały trzy przeraźliwe piski, zagłuszając i jego głos, i jej. Odezwała się telefonistka.

- Czas minął. Czy będzie pan wrzucać kolejne monety?

- Nie! - zawołał głośno. Krzyknął jeszcze do tej kobiety o nazwisku *Roszko*: - Będę na panią czekał! - lecz odpowiedziała mu tylko cisza.

Odłożył słuchawkę. Stał w półmroku budki telefonicznej, a deszcz bezlitośnie padał na betonową ścieżkę na zewnątrz. Pod

budką stał inny szeregowy, chroniąc się pod okapem budynku. Czekał na swoją kolej. Na blaszanej ścianie wokół automatu, z instrukcją wykonywania połączeń alarmowych, pełno było wydrapanych lub wypisanych numerów telefonów. W budce śmierdziało starym dymem tytoniowym, przepoconymi ubraniami i czymś jeszcze – tym nieokreślonym, ale znajomym zapachem bazy lotniczej RAF- u w czasie wojny. Przez dokładnie zaciemnione okno słyszał dobiegające z NAAFI- ka głosy. Stał tak jeszcze przez chwilę, marznąc i ściskając z dłoni niewielki portfelik.

- Ej, kolego, pośpieszyłbyś się! – powiedział człowiek czekający pod budką.

Torrance wyskoczył z budki na deszcz, starając się zrobić przeproszącą minę. Popędził ścieżką wzdłuż budynku. Wszedł do środka, otoczyły go zgiełk głosów i grana na pianinie melodia. Przechodząc przez drzwi, znowu zerknął na wetknięty do kieszeni na piersi przedmiot, raz jeszcze radując oko jego intensywnymi kolorami. Nie posiadał się z ekscytacji.

Cztery noce później Dywizjon 148 stracił w nalocie na Essen kolejne dwa lancastery. Strata była potwierdzona - inni widzieli, jak maszyny spadają. Torrance znał ich załogi z widzenia, z jednym czy dwoma był nawet po imieniu. Cierpiał w milczeniu, tak jak wszyscy, nie przerywając pracy.

Tydzień później niemiecki napastnik, junkers Ju- 88, zestrzelił w nocy maszynę „H jak Henry” pilotowaną przez podporucznika Willa Sewar- da, kiedy wracała do Tealby Moor z „siania w ogródku”, jak nazywano minowanie bałtyckich cieśnin. Lancaster był w ostatniej fazie podejścia do lądowania, nie więcej niż pół minuty od przyziemienia, gdy nocny myśliwiec otworzył ogień. Świadkowie powiedzieli, że choć w maszynie zapaliły się resztki paliwa, pilotowi udało się zachować równowagę nad pasem startowym. Zaraz nastąpił wybuch. Uszkodzony samolot przeleciał nad pasem i rozbił się na połu tuż za skrajem lotniska. Zginęła cała siedmioosobowa załoga.

Następnego dnia rano Torrance zgłosił się na ochotnika do grupy przeszukującej wrak, żeby odzyskać osobiste przedmioty należące do załogi. Kiedy dotarli do niego, ogień był dawno ugaszony, a zwłoki zabrane, natomiast szczątki wraku samolotu leżały z grubsza tam, gdzie się rozbił. Przy uderzeniu o ziemię złamało się jedno skrzydło, które leżało teraz w poprzek zmiażdżonego kadłuba. Odlamało się także usterzenie ogonowe, sterczące pod kątem do reszty maszyny. Gdy patrzyli z góry, zjeżdżając ze skarpy dywizjonową furgonetką, wyglądało to, jakby wrak leżał pośrodku pola, wpisany w niemal idealny trójkąt spalonej ziemi. Sześćosobowa grupa wykonała makabryczne zadanie w niecałą godzinę i wróciła do normalnych obowiązków.

Trzy dni później stracili kolejnego lancastera, tym razem w

nalocie na Krefeld w Zagłębiu Ruhry.

Nic nie było w stanie ukoić nerwów personelu dywizjonu, regularnie narażonego na podobne przeżycia, nawet pracy oznaczał jednak brak czasu na rozmyślanie. Śmierć stała się elementem normalnego życia. I Mike Torrance nie różnił się w tym od reszty, każdą stratę odbierał jako wielką tragedię, choć od czasu rozmowy telefonicznej wbrew sobie zaczął patrzeć inaczej na te katastrofy. Każdy stracony bombowiec to konieczność dostarczenia nowej maszyny, co z kolei oznacza, że może wreszcie uda się spotkać właścicielkę zgubionego portfela.

Rozbite maszyny zostały zastąpione dość szybko, ale nowe bombowce, zapewne przyprowadzone przez pilotów z ATA, od razu, bez kontaktu z nikim kołowały do odległego punktu rozproszenia. Torrance cały czas miał portfel, w baraku ukrywał go jak tylko się da w miejscu, gdzie nie ma prawie żadnej prywatności. A kiedy chodził po bazie lub pracował, nosił go w zapiętej na guzik kieszeni na piersi bluzy.

Niedługo przyszła jego kolej na tygodniowy urlop, pojechał więc do rodziców do Hastings na wybrzeżu wschodniego Sussex. Ta wizyta przypomniała mu, że wojna nie dotyczy tylko biorących w niej udział – miasteczko regularnie padało ofiarą wykonywanych z zaskoczenia nalotów z baz Luftwaffe rozmieszczonych w północnej Francji zaraz po drugiej stronie Kanału La Manche – i że rodzicom też grozi realne niebezpieczeństwo. Bomby trafiły dwa domy na ich ulicy, niecałe sto metrów od nich. Ojciec parę razy w tygodniu nie nocował w domu, bo musiał pracować na zmiany w zakładzie produkującym silniki do patrolowców. Pewnego dnia matka powiedziała mu z rana, że kiedy ojca nie ma, czuje się samotna i boi się. Siostrę Mike'a, Ellie, ewakuowano razem z całą szkołą do Wiltshire, kończyła jednak ostatnią klasę i niedługo miała wracać do domu. Matka była rozdarta – nie wiedziała, czy woli, żeby Ellie była przy niej, czy daleko, w bezpiecznym miejscu.

I tak jednak parę dni spędzonych w domu przyniosło mu spokój. Popracował trochę przy pieleniu ogródka, żeby kwiaty

mogły zakwitnąć.

Jako dziecko spędził w nim wiele szczęśliwych godzin. Przy tej pracy miał czas na zastanawianie się, co zrobić z portfelem. Wiedział, że zachował się nierozsądnie, ale intencje miał dobre. Wiedział też, że kobiecie, która go zgubiła, zależy na jego odzyskaniu. Dylemat był ogromny, lecz pod koniec tygodniowego urlopu zdecydował, że najlepiej będzie oddać go urzędową drogą.

Wyruszył w powolną podróż do bazy w Lincolnshire. Jechał przez Anglię cały dzień, męcząc się z ciężkim bagażem, przesiadając się bez końca na kolejne osobowe pociągi, wlokące się niemiłosiernie i zatrzymujące na każdej stacji. Cisnął się w zatłoczonych przedziałach, nie mając nic do jedzenia ani picia, jeśli nie liczyć tego, co dało się złapać podczas krótkich postojów na stacjach. Jak zawsze po urlopie, wrócił do bazy z obolałymi barkami i rękami, głodny, spragniony, padający z nóg.

Tym razem jednak, gdy wszedł do wypełnionego dymem papierosowym baraku, z prycz podniósł się jeden okrzyk:

- O, jest!

- No, przyrządziarzu!

- Tym razem, Fala, się doigrałeś!

- Co się stało? - zapytał nieufnie, gdy wrzawa przycichła, aż za dobrze wiedząc, jak łatwo jest naruszyć jakiś przepis z regulaminu RAF- u, kiedy jest się poza bazą.

- Szefu cię szukał, dosłownie przed chwilą - powiedział Jake, który spał na pryczy nad nim.

„Szefu” to był sierżant Winslow, dowodzący Sekcją Przyrządów. Kiedy przychodził i pytał o kogoś szeregowego mechanika, zawsze oznaczało to kłopoty.

- Mówił, o co chodzi?

- Masz się zameldować u niego przed ósmą, a jeśli nie zdążysz, to jutro z samego rana.

Było dopiero wpół do ósmej. Torrance cisnął swoje rzeczy na prycę, pożyczył rower i pedałując ile sił, popędził do mesy podoficerskiej. Szef Winslow grał w rzutki i kazał mu czekać, aż

skończy. Wygrał, co przez chwilę wydawało się Torrance'owi dobrym znakiem.

- Szeregowy Torrance - powiedział. - Jutro jesteś zwolniony z obowiązków do osiemnastej zero zero.

- A co takiego zrobiłem, panie sierżancie?

- Jak dla mnie, to nic. Masz się jutro do dziewiętej zero zero zameldować na Dispersalu 11. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak, panie sierżancie. - Naprawdę nie wiedział, ale nie chciał się do tego przyznawać. Zapytał kogoś, albo jakoś tam znajdzie to miejsce. - A może mi pan powiedzieć, o co chodzi?

- A żebym ja wiedział. Rozkaz z Grupy. Przez komendanta bazy. Zrób, co ci każą, a potem wracaj do normalnej pracy. Zrozumiano?

- Tak jest.

- No to tyle. Wykonać.

Przed powrotem do baraku Torrance poszedł do kantyny rozejrzeć się, czy zostało jeszcze coś do zjedzenia.

## 6

Ranek był pogodny. Wczesne słońce rozświetlało pasy startowe. Mike był już w połowie lotniska, idąc za czyimiś niezbyt dokładnymi wskazówkami, gdy dotarło do niego, że Dispersal 11 to ta część bazy, gdzie ATA parkuje świeżo przywiezione maszyny. Nie za wiele tam było do oglądania – parę znajomo wyglądających parterowych, murowanych budynków o płaskich dachach, kwadratowych okienkach i paru drzwiach każdy. Na betonowej płycie przed nimi stał dwusilnikowy avro anson.

Oparł pożyczony rower o pierwszą z brzegu ścianę i wyszedł na płytę. Podszedł do spracowanej maszyny, zmysłami fachowca analizując dźwięki i zapachy. Silniki, stygnąc, wydawały różne odgłosy. Wokół wejścia do kabiny było mnóstwo zarysowań i zadrapań od rzeszy wsiadających i wysiadających ludzi, pleksiglasowa kopułka odbijała słońce milionami rys świadczących o setkach przelatanych godzin. Było słonecznie, ciepło, poranna mgielka rozproszona, niebo bezchmurne. Z drugiej strony lotniska słyszał znajomy dźwięk próbnego uruchamiania silników merlin lancastera. Łatwo mu przychodziło wyobrazić sobie, co robią poszczególne ekipy zabierające się do pracy przy różnych maszynach – pootwierane gondole silników i drzwi bombowe, wszędzie drabinki, wózki, skrzynki ze sprzętem.

Spostrzegł samochód jadący spokojnie po drodze do kołowania, w stronę punktu rozproszenia, na którym czekał. Zmienił się wiatr i odgłos silników lancastera stał się wyraźniejszy, donośniejszy, bardziej niósł się nad płaskim terenem lotniska. Torrance znalazł się w innym miejscu niż zwykle pracował, więc i zmysły miał bardziej wyostrzone – czuł zapach skoszonej trawy i polnych kwiatów. Wał ziemny za budynkami był oddzielony żywopłotem, tonącym w białych i

żółtych kwiatkach. Tej części bazy zupełnie nie znał. Uderzyło go poczucie, że tuż obok, za płotem, ciągną się otwarte pola, niezaangażowane w wojnę – kolejne wspomnienie z minionych czasów, mało dokładne, ale wyraźne.

Auto zatoczyło łuk i zatrzymało się pod budynkiem. Prowadziła WAAF-ka. Z tylnego siedzenia wysiadła młoda kobieta w eleganckim ciemnoniebieskim mundurze. Włożyła na głowę furażerkę i podeszła do niego. WAAF-ka natychmiast ruszyła, zawróciła samochód i odjechała, szybko przyśpieszając, pasem do kołowania.

Miał wrażenie, że młoda kobieta zaraz mu zaszaluje, albo spodziewa się, że to on jej zaszaluje, zgodnie z zakorzenionym w RAF-ie rytuałem, ona jednak stanęła jak wryta tuż przed nim, w postawie całkowicie cywilnej. Wydawała się zahipnotyzowana jego twarzą, w którą wpatrywała się z uśmiechem, jakby dobrze go znała. Potem dramatycznie opuściła ramiona, ugięła kolana, wyciągnęła ramiona ku niemu. Torrance widział, że go skądś zna i chyba spodziewa się, że i on ją rozpozna. Zerwała z głowy czapkę, cisnęła ją na ziemię i szybko ruszyła ku niemu, rozpościerając ramiona.

Jednakże nie objęła go. Powiedziała coś na głos, ciąg słów w obcym języku. Zrozumiał tylko pierwsze, a przynajmniej tak mu się wydawało. Brzmiało jak „Thomas”, czy może „Torrance”!

I już stała tuż przed nim, unosiła dłonie do jego ramion, uśmiechała się promiennie, nadstawiając twarz jakby do pocałunku. Zażenowany Mike zamarł, nie cofnął się wprawdzie, ale osłupiał, widząc jej zachowanie.

Ocknęła się. Zaledwie po sekundzie czy dwóch opuściła ręce, cofnęła się o krok, odwróciła twarz.

Zapytała po angielsku:

- Pan Mike Torrance?

- Tak.

- Krystyna. Krystyna Roszko. Najmocniej przepraszam. Przyleciałam do pana, ale gdy pana zobaczyłam, wydało mi się, że zdarzył się cud. Pomyliłam pana z kimś innym. Bardzo jest



pan podobny...

- Mówiła pani „Thomas”.

- Tomasz. - Długie „o” i „sz” na końcu imienia zabrzmiały po cudzoziemsku. - To jest zresztą chyba to samo imię, tylko po polsku. Strasznie się... zdziwiłam, kiedy pana zobaczyłam. Mam nadzieję, że pan nie pomyślał, że ja... - Cofnęła się o krok, pochyliła i podniosła rzuconą na trawę czapkę. Otarła ją krawędzią dłoni, po czym podjęła wypowiedź. - Bo widzi pan, mój przyjaciel, bardzo dobry przyjaciel, został w Polsce. Nazywa się właśnie Tomasz. Bardzo pan do niego podobny. Niesamowicie. Te same włosy, te same oczy! Nie wierzyłam własnym oczom, kiedy pana tu zobaczyłam. Oj... Przepraszam. Nie powinnam mówić takich rzeczy. Pewnie się pan zastanawia, czy ze mną wszystko w porządku. - Wyciągnęła rękę. - Przyjechałam po portfel, tak jak się umawialiśmy przez telefon. Ma pan go?

- A. Portfel? Oczywiście.

Zaszamotał się z zapięciem kieszeni, znalazł drogocenny, hołubiony przedmiot, wyciągnął go i podał jej. Jaskrawe barwy zaśniły w blasku słońca. Chwilę, w której go oddaje, wyobrażał sobie i marzył o niej od prawie pięciu tygodni, a tu, proszę: już minęła.

Przycisnęła portfel na moment do piersi.

- Jeszcze raz panu dziękuję! Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby naprawdę się zgubił.

Z niecierpliwością rozplątywała rzemyki. Otworzyła portfel, wsunęła rękę do środka i wyciągnęła dwa zdjęcia, których dotykał wcześniej palcami, ale na nie nie spojrział. Zerknęła pośpiesznie na oba i podsunęła mu jedno z nich.

- To właśnie jest Tomasz - powiedziała. - Widzi pan, jaki podobny do pana? Jak dwie krople wody! Jak bliźniaki!

Ostrożnie wziął z jej palców delikatny kwadratowy kartonik i przyjrzał mu się. Widać było, że ktoś wyciął go z większego zdjęcia, bo oprócz głowy i ramion młodego człowieka widać było fragmenty sylwetek innych ludzi, wśród których stał jako członek

jakiejś drużyny sportowej, grupy kolegów, czy może oddziału wojskowego, jak dywizjon Mike'a. W rogu zdjęcie miało ukośne załamanie. Choć nie było zbyt ostre, Torrance widział, że młody człowiek ma szczerą, przystojną twarz, wydatne kości policzkowe, wysokie czoło i kręcone ciemnobrązowe lub czarne włosy. Trudno mu było określić, czy rzeczywiście jest do niego podobny, był jednak w zbliżonym wieku, na oko dość wysoki i włosy też miał podobne, ciemne i zmierzwione.

- Widzi pan?

- No... - Oddał jej zdjęcie. Zerknęła na nie w przelocie i schowała z powrotem do portfela. - Rozumiem, że to...?

- Tomasz, mój narzeczony. Planowaliśmy się pobrać cztery lata temu, ale wynikły kłopoty. Opowiedziałabym panu wszystko, gdybyśmy mieli trochę czasu. Spotykaliśmy się bardzo długo, mieszkaliśmy oboje w Krakowie, chcieliśmy się stamtąd wyprowadzić, wyglądało, że to się uda, ale wtedy Niemcy...

Urwała nagle.

- Pan wcale nie ma ochoty tego słuchać.

- Pewnie, że mam - zaprotestował, bo dotarło do niego, że skoro zwrócił jej portfel, nie ma już żadnego innego pretekstu ani powodu, żeby stać tu i z nią rozmawiać.

Zaraz sobie pojedzie. Szkoda. Chciał z nią jeszcze być, obojętne, co tam mówi o swoim narzeczonym. Próbował dokładniej przyjrzeć się jej sylwetce, najlepiej niepostrzeżenie, stwierdził jednak, że nie jest w stanie oderwać wzroku od jej oczu. Nie przychodziła mu do głowy żadna inna młoda kobieta, jaką w życiu spotkał, która byłaby tak interesująca i tak zniewalająco atrakcyjna. Wyglądała oszałamiająco w tym ciemnoniebieskim mundurze, jego zdaniem o wiele elegantszym i o wiele bardziej emanującym stanowczością niż standardowy, szaroniebieski mundur RAF-u, który znał aż za dobrze. Nad lewą kieszenią na piersi miała naszytą dwuskrzydłową odznakę pilota ATA.

Przez cały czas, gdy rozmawiali, po drugiej stronie lotniska buczały silniki lancastera. Ten akompaniament, który przygrywał

mu codziennie do pracy, teraz niespodziewanie zamilkł. Stali we dwoje obok ansona, opierając się lekko dłońmi o krawędź natarcia skrzydła.

- Pan lubi latać? - zapytała.

- Pewnie! Ale nie wolno mi, chyba że...

- Dostałam tego ansona na cały dzień. Ma pan ochotę się ze mną przelecieć? Chciałabym pokazać, jak bardzo jestem panu wdzięczna. Ten portfel był dla mnie bardzo ważny. Nie potrzebujemy żadnego pozwolenia. Wszystko już załatwione.

Przelecieli się nieduży kawałek, na inne lotnisko połowę. Wyjaśniła mu, że to lotnisko rezerwowe, gdzie kieruje się maszyny w przypadku złej pogody albo konieczności nocnego awaryjnego lądowania. Dowiedziała się o nim, gdy była zmuszona tam lądować, bo nad docelowym lotniskiem była mgła. Znajdowało się na nizinie pomiędzy Shropshire a pagórkowatą częścią Walii.

Kazała Torrance'owi usiąść na miejscu drugiego pilota, po prawej stronie, obok siebie. W lancasterze siedział tam mechanik pokładowy i uważano to za najlepsze miejsce w całej maszynie. Torrance znał dobrze ciasnotę w kokpicie lancastera - w ansonie było, na oko, dwa razy mniej miejsca. Po wciśnięciu się na twarde metalowe siedzenie stykał się z nią barkami. Jej to najwyraźniej nie przeszkadzało. Naciągnęła hełm pilota, potem wręczyła mu brązowe bakelitowe słuchawki, żeby mogli rozmawiać ze sobą w trakcie lotu. Stwierdził że jej głos brzmi teraz bardzo blisko i intymnie, choć zatracił kierunek i nabral blaszanego, niemal mechanicznego tonu. Gdy jej odpowiedział, rzuciła:

- Nie ma co krzyżeć! - Podkreśliła słowa przyjacielskim szturchańcem.

Usiadł wygodniej i spróbował się rozluźnić, chcąc czerpać przyjemność z lotu. Zakładał, że zrobi z nim parę rundek dookoła lotniska, coś jak taki lot próbny, na który lotnicy czasami zabierali mechaników w ramach przysługi. Szybko jednak zorientował się, że ona ma inne plany. Pośpiesznie przeskoczyła przez listę startową, odbyła krótką rozmowę przez radio z kontrolą, pokołowała na koniec rezerwowego pasa i bez ceregieli dała pełny gaz. Maszyna z rykiem potoczyła się po

betonie. Już po paru chwilach znaleźli się w powietrzu. Przechyliła ostro samolot i skręciła na zachód.

- Jest pani pewna, że powinniśmy tam lecieć? - zapytał nagle zdenerwowany, co będzie, jeśli któryś z podoficerów Sekcji Przyrzędów dowie się, gdzie on jest.

- Mówiłam panu, niech pan się nic nie przejmuję. Dostałam ten samolot na cały dzień.

- Przecież nie może pani tak sobie pożyczać RAF-owskich maszyn, kiedy przyjdzie pani ochota.

- Czasami mogę. Później panu wytłumaczę, jak to możliwe.

Wyrównała maszynę na niezbyt dużej wysokości. Doskonale widział domy i pola, drogi i lasy. Z początku był tak zachwycony tym, co robia, że prawie nie docierało do niego, na co patrzy. Czuł się jak zahipnotyzowany samym ruchem, samym wrażeniem wysokości, zapachem smaru w maszynie, hałasem, drganiem. Gdy znaleźli się w powietrzu, w kabinie zrobiło się o wiele zimniej, choć przez owiewkę oślepiało ich słońce. Zapytał ją o wysokość, ona zaś wskazała wysokościomierz na tablicy przyrzędów przed nimi - tyle razy je instalował czy wymieniał, a teraz, w locie, nie przyszło mu do głowy na niego spojrzeć. Pokazywał niecałe dwa tysiące stóp.

Ansony słynęły z powolności, mimo to w powietrzu przebywali przez niecałą godzinę. Pani Roszko nie miała map i nawigowała, cały czas patrząc na ziemię. Powiedziała mu, że wszyscy piloci ATA nauczeni są zapamiętywać charakterystyczne punkty terenu - przede wszystkim kanały, rzeki i linie kolejowe. Dodała, że w głowie ma całą mapę angielskich tras lotniczych. Od czasu do czasu odzywała się przez radio, żeby uzyskać zgodę na przejście z sektora do sektora, wyczytywała wtedy długie ciągi kodów, które miała zanotowane w zeszycie rozłożonym na jednej ze stron i przypiętym gumką do nogi tuż nad kolanem. Zapisane były tym samym okrągłym charakterem pisma, który widział wcześniej. To, jak nonszalancko podwijała spódnicę, albo napierała udem na jego udo, by lepiej widzieć niektóre kody, działało na niego bardzo niepokojąco.

Rozczarował się, gdy po krótkim czasie powiedziała mu przez interkom, że widzi docelowe lotnisko. Wskazała w dół i na prawo, bo z miejsca, na którym siedział, nie było widać ziemi przed maszyną. Przykręciła gaz, przez co maszyna jakby zaczęła hamować w powietrzu, potem zrobiła ostry zwrot. Niebo, upstrzone teraz rzadkimi białymi cumulusami, zawirowało wokół nich. Ziemia mignęła mu pod takim kątem, jakby mieli na nią spaść. Był przerażony i podekscytowany, czuł jednocześnie, że spada i wznosi się w niebo. Przechył rzucił go na nią - chyba nie miała nic przeciwko temu. Zaraz zresztą wyrównała lot i Torrance zobaczył przed sobą długi pas pożółkłej trawy wykoszony na krótko, żeby utworzyć pas lotniska polowego.

Maszyna wylądowała, podskakując i trzęsąc się na trawiastej nawierzchni. Pilotka była spokojna, zdecydowana, kołowała samolotem po nierównym pasie. Kiedy przechylał się z boku na bok, zderzali się ze sobą barkami i ramionami.

Trzeba było dopełnić formalności. Na lotnisku, w przyczepie kempingowej na skraju pola, dyżurował samotny podchorąży RAF-u. Przyjął od niej plan lotu. Coś w jego treści sprawiło, że aż podskoczył ze zdumienia - i odtąd zaczął się do niej zwracać per „proszę pani”. Z planem lotu powrotnego nie było żadnych problemów - tak że szybko go zaakceptował. Zapytał, czy ma jej podstawić samochód albo zorganizować obiad. Uprzejmie odmówiła obu tym propozycjom. Podchorąży zrobił rozczarowaną minę. Zapytała, czy lotnisko jest na dzisiejszą noc w awaryjnej gotowości, on potwierdził.

- Powinna pani zabrać się stąd tym ansonem dobrze przed zmrokiem.

- Oczywiście - powiedziała.

- Czy mam go pani zatankować?

- Dziękuję, nie trzeba.

Torrance'owi dzwoniło w uszach od nieprzerwanego warkotu silników ansona doskonale słyszalnego w kabinie. Poszedł za nią, gdy ruszyła ścieżką za przyczepą oficera dyżurnego, otworzyła drewnianą furtkę i wyszła na wąską wiejską drogę. Niosła zarzuconą na ramię płócienną torbę. Droga biegła wzdłuż granicy małego lotniska, lecz gdy tylko wyszli za furtkę, lotnisko jakby przestało istnieć. Po obu stronach rosły wysokie żywopłoty, a wokół panował całkowity spokój. W powietrzu unosiła się mgiełka pełna delikatnych zapachów. Słońce świeciło wprost na nich. Torrance rozpiął kurtkę.

- Ciekawości to pan nie ma za grosz, co? - powiedziała.

- Jak to?

- Raz mnie pan o coś zapytał, nie? Już myślałam, że pan nie zapyta. Ale innych pytań pan nie zadaje.

- Bo mi się nie chce - powiedział. - Zresztą nie mam żadnych pytań.

- O, na pewno pan ma. Chciałby pan wiedzieć, po co zabrałam pana na ten lot i dokąd lecimy. Chciałby pan wiedzieć, jak to jest, że jestem z Polski, i co robię w Anglii. A jeszcze bardziej chciałby pan wiedzieć, jak to możliwe, że mogę sobie na cały dzień pożyczać z RAF- u samoloty i latać nimi, dokąd zechcę. Może nie?

- Tak się zastanawiałem... też mam mówić „proszę pani”?

Roześmiała się.

- Nie. Niech pan mi mówi Krystyna, proszę cię bardzo. Nie jestem żadnym wysokim rangą oficerem. Nawet w RAF- ie nie jestem. A pan... Mike Torrance, prawda? Mogę przejść na ty? Tak? Mike?

- Mike albo Michael. Chociaż w RAF- ie wszyscy mówią na mnie Fala.

- Fala?

- Fala Torrance. - Zrobiła zdziwioną minę, więc dodał: - Przewisko takie. Torrance brzmi jak *torrents*, potoki czy inne rwące strumienie. I stąd Fala.

- Nic nie rozumiem. Ja ci będę mówić Michael. - Wymówiła to: „Michał”.

- A czemu ten podoficer nagle zaczął do ciebie mówić „proszę pani”?

- Pokazałam mu rozkazy i zobaczył, czyj podpis tam jest. - Wyciągnęła zza pazuchy parę kartek. - Kojarzysz to nazwisko?

Rozkaz był napisany na maszynie. Na dole miał wielką pieczętkę mówiącą, że pochodzi z „Bud. nr 1, Kwatera Główna Dowództwa Bombowego, High Wycombe”. Podpis był nieczytelnym zawijasem, pod spodem jednak ktoś dopisał na maszynie: „gen. bryg. RAF T.L.A. Rearden (Bart)”. Torrance wpatrywał się w to nazwisko, coś mu mówiło, ale w tej chwili, idąc powoli słoneczną ścieżką, z niesamowitą młodą kobietą obok siebie, nie był w stanie sobie tego przypomnieć.

- Generał Rearden - powiedziała. - Coś ci to mówi?



- Rearden! To zastępca naszego głównodowodzącego! - zawołał Torrance. - Jak ci się udało go przekonać, żeby ci to podpisał?

Znowu się śmiała, widział jednak, że to z radości, że go zaskoczyła, a nie z niego samego.

- Ma na imię Timothy, ja mówię mu „Tim”. Mieszkam z jedną koleżanką, Lisbeth. Też jest w ATA. Mieszkamy w tym samym domu w Hamble, cała brygada transportowa tam stacjonuje, bo to blisko zakładów lotniczych. Nie wolno mi nikomu mówić, jakie samoloty tam robią, w każdym razie to dlatego tam jesteś. Lisbeth nazywa się Lisbeth Rearden... jej ojciec to generał brygady RAF. W weekendy parę razy wzięła mnie do domu, zdarzało się, że zastaliśmy tam pana generała. Graliśmy w karty, piliśmy dżin i whisky, on ze mną żartował, kazał mi coś śpiewać, zawsze też opowiadał bez końca o lataniu podczas ostatniej wojny.

- To ty znasz Reardena? - zapytał oszołomiony Torrance.

- No tak, znam Reardena. Więc czasem, aby nie za często, mogę poprosić ojca Lisbeth o wielką, wielką przysługę. I dzisiaj zapytałam, czy mogę pożyczyć na parę godzin któryś samolot szkoleniowy. Nie powiedziałam mu, po co, a on nie pytał. Dlatego tu jestem, o ile tylko do dziewiętnastej zwrócę samolot do bazy, mogę sobie latać, gdzie zechcę, i wozić, kogo zechcę.

- Mogę zdjąć kurtkę? - odezwał się Torrance. - Strasznie mi gorąco.

- Tak, Michaelu. Jeśli ja też mogę zdjąć kurtkę.

Dość szybko dotarli do wsi. Minęli szereg domków i małych sklepików, potem, w miejscu, gdzie uliczka schodziła się z szerszą drogą, ona przeprowadziła go przez zadaszoną bramę na cmentarz. Torrance wypatrzył we wsi pub, chętnie napiłby się piwa, ona jednak powiedziała, że kiedyś lata, nie tyka alkoholu. Cmentarz był zacieniony drzewami, przez które przeświecało słońce, malując na trawie jasne plamy. Stare nagrobki pozarastały krzakami i zielskiem. Śpiewały ptaki, w powietrzu fruwały owady. Nie było widać nikogo więcej.

- Odkryłam to miejsce w zeszłym roku latem - powiedziała. - Przyjeżdżam tu, jak tylko mogę, czyli nie za często. Podoba mi się tutaj, pięknie jest i kojarzy mi się z pewnym miejscem na wzgórzach pod Krakowem, gdzie bywałam jako dziecko. Lubiałam tam sama chodzić na spacer. A potem zdarzało mi się spacerować tam z Tomaszem.

- Mówisz, że Tomasz jest ciągle w Polsce? - zapytał Torrance. Za każdym razem, gdy o nim wspominała, czuł delikatne ukłucie zazdrości.

- Zaraz ci wszystko o nim opowiem, tylko muszę coś zjeść. Nie jadłam śniadania. Wzięłam ze sobą trochę jedzenia. Podzielę się z tobą, chcesz?

Przeszli na drugą stronę cmentarza, gdzie pomiędzy trzema wiekowymi, płaskimi katafalkami, z napisami dawno zatartymi przez czas i niepogodę, było coś w rodzaju małej polany. Stała tam niska ławka, tyłem do szarego muru i kościelnej wieży. Na łące za murem pasły się krowy. Torrance stanął obok, ona siadła na ławce i wyciągnęła z torby dwa czy trzy zawiniątka i butelkę.

- Ser lubisz? A jajka na twardo? Wzięłam parę bardzo angielskich kanapek.

Potem wydobyła jeszcze słoik kiszonych ogórków. Torrance w życiu ich nie widział ani nie próbował.

Siedli obok siebie, jedli w milczeniu, potem z rąk do rąk przeszła butelka, w której był napój cytrynowy. Teraz, gdy lot dobiegł końca i usiadł w spokoju sam na sam z nią, na cichym cmentarzu, nagle zapomniał języka w gębie. Nie miał ochoty słuchać dalej o Tomaszu, swoim świeżo odkrytym rywalu. Jak to możliwe, że uznał go za konkurenta o względy młodej kobiety, którą spotkał ledwie godzinę temu i o której prawie nic nie wiedział? Dochodziła do tego jeszcze bolesna świadomość, że jej wkład w wysiłek wojenny – transportowanie po całym kraju wojskowych samolotów – jest o wiele bardziej interesujący i wymagający odwagi niż jego skromna praca przy regulowaniu kompasów, czyszczeniu rurek Pitota i wymianie zepsutych przyrządów. Co takiego mógłby jej o sobie powiedzieć, żeby się nim zainteresowała?

Ona zaś, jedząc, cały czas zerkiała na niego. Raz to zauważył. Uśmiechnęła się wtedy.

Kiedy zwijała papierowe torebki po jedzeniu i wkładała je z powrotem do torby, powiedziała:

- Nie masz pojęcia, Michael, ile to dla mnie znaczyło. Wiem, że nie jesteś Tomaszem, wiem, że to wielki błąd myśleć tak, jak ja, ale tak mnie poruszyło, kiedy cię zobaczyłam.

- A kiedy ostatni raz się z nim widziałaś?

- Cztery lata temu, w trzydziestym dziewiątym. Ile ty masz lat, ze dwadzieścia dwa?

- Dwadzieścia jeden.

- Tomasz był właśnie w tym wieku, kiedy ostatni raz się z nim widziałam. Wyglądasz dokładnie tak, jak go pamiętam. Aż dziwnie się czuję, patrząc na ciebie. Ale oczywiście nie mam pojęcia, co się z nim działo przez te cztery lata. Na pewno teraz wygląda inaczej.

- A miałaś z nim jakiś kontakt?

- Nie. Odkąd Niemcy napadli na Polskę, w zasadzie nie. A dzisiaj... chciałam tylko się z tobą spotkać, żebyś oddał mi

portfel, myślałam, że może przewiozę cię trochę samolotem, żeby podziękować. Wzięłam jedzenie, bo myślałam, że zgłodnieję, pomyślałam też o tobie. Nic więcej nie planowałam, taką krótką rundę dookoła twojego lotniska, podzielić się kanapkami, może krótki spacer, krótka rozmowa. Bardzo po angielsku, zresztą to mi się u was podoba. Ale póki cię nie zobaczyłam, nie miałam pojęcia, jak na mnie zadziałasz. Muszę ci to wszystko opowiedzieć.

Michael Torrance pisze:

*Jest rok 1953, Krystynę Roszko spotkałem 10 lat temu. II wojna światowa dawno się skończyła, wszystko minęło, zmienił się cały świat, zmieniło się życie moje i wszystkich innych ludzi. Mam nadzieję, że nie jestem już takim nieopierzonym młokosem jak wtedy. Jednak pewnego ciepłego dnia, wczesnym latem 1943 roku, Krystyna opowiedziała mi całą swoją historię: jak znalazła się w Wielkiej Brytanii i została pilotką w ATA. Wszystko to oczywiście na swój własny sposób, swoją przyprawioną prześlicznym akcentem angielszczyzną. Tego naśladować nie potrafię, choć wszystko, co powiedziała, na trwałe wryło się w moją pamięć. Jej opowieści nigdy nie zapomniałem. Nie różni się, naturalnie, od wielu innych wojennych historii – młodzi ludzie w czasie wojny często na chwilę się spotykali, a potem sytuacja zmuszała ich do rozstania, często w bardzo dramatycznych okolicznościach. Gdy tylko mogłem, zanotowałem część tego, co mi powiedziała, choć całą opowieść dotąd mam żywo w pamięci. Zapamiętałem wszystko, a w każdym razie tak mi się wydaje, łzawsze planowałem to spisać. Wreszcie to robię. Staram się pisać najwierniej, jak potrafię. Próbuję oddać to jej słowami, stać mnie jednak tylko na własną, zapamiętaną wersję.*

*Nadal mam nadzieję, nadal wierzę, że któregoś dnia Krystyna to przeczyta i zrozumie, że w jej życiu zdarzyło się nie jedno, lecz dwa tragiczne wojenne rozstania.*

## Pilotka

Urodziłam się w małym gospodarstwie w powiecie krakowskim, mniej więcej dwadzieścia kilometrów na wschód od Krakowa. Wokół nas ze wszystkich stron ciągnęły się pola, tylko z jednej strony sąsiadowaliśmy ze wsią nazywaną się Pobiednik. Miałam trzech braci i siostrę. Ojciec nazywał się Gwidon Roszko, matka miała na imię Joanna. Rodzina była biedna, w dzieciństwie często chodziłam głodna. Mimo to rodzice pilnowali, bym chodziła do szkoły, którą lubiłam.

Kiedy miałam jedenaście lat, ojcu udało się sprzedać spore stado krów człowiekowi, o którym wiedział tylko tyle, że jest ziemianinem z okolicy. Dzięki tym pieniądzom sytuacja całej rodziny na jakiś czas bardzo się zmieniła, choć moja zmieniła się jeszcze bardziej. Otóż okazało się, że ów ziemianin jest wielkim arystokratą i posłem na sejm, a podczas transakcji zapewne zwrócił na mnie uwagę. Po sprzedaży krów dowiedziałam się wstrząśnięta, że i ja zostałam sprzedana i mam się przeprowadzić do jego rodziny, żeby jego własne dziecko miało towarzystwo. Wyobrażasz sobie, jak to okropnie brzmi? Uznałam, że rodzice mnie odtrącili, uznali za niepotrzebną, pozbyli się mnie. Że zawiodłam ich we wszystkim. Matka płakała trzy dni i trzy noce, ojciec nie odzywał się do mnie. Później miałam się przekonać, że to nie było żadne niewolnictwo, ale dobrowolna umowa, którą można w każdym momencie przerwać i że wszyscy dorośli mieli dobre intencje – a ja tyle przez nich przecierpiałam. Wówczas jednak nie miałam o tym pojęcia, dowiedziałam się dużo później.

Niedługo potem nadszedł dzień, w którym mnie wystroili i

zawieźli do samego miasta Krakowa. Wyszadzili mnie pod tylnym wejściem do dużej i pięknej kamienicy na Starym Mieście, nieopodal Bramy Floriańskiej, wychodzącej frontem na Rynek.

To miał być odtąd mój dom. Byłam prostą dziewczyną z biednej chłopskiej rodziny, więc jego bogactwo przytłaczało mnie i onieśmiewało – mieli dziesiątki osób służby, a dom był bogato urządzone i ozdobiony. Już pierwszego dnia zaczęło się moje nowe wychowanie i kształcenie, a jedną z pierwszych rzeczy, którą wbito mi do głowy, był obowiązek zachowania dyskrecji w sprawach rodziny. Dalej czuję ten przymus, choć mogę ci powiedzieć, że Rafał Grudziński, książę łowicki, zaliczał się do najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w Krakowie. Niewiele więcej jestem w stanie o nim powiedzieć, oprócz faktu, że posiadał ogromne obszary ziemi uprawnej i kilka fabryk na północy Polski. Nie mam też pojęcia, co się stało z nim i jego żoną, kiedy nasz kraj najechali hitlerowcy i Sowieci.

Zdobyłam wykształcenie, nauczyłam się kultury i manier klasy, do której wstąpiłam, dorosłam. Mieszkałam u państwa Grudzińskich od roku 1928 do 1939, wypełniając rolę, którą mi przeznaczono, gdy oddawali mnie rodzice. Na początku nie wiedziałam, jaka to właściwie rola – z czasem dowiedziałam się, że hrabina Grudzińska po urodzeniu pierwszego i jedyne go syna, Tomasza, nie mogła mieć więcej dzieci.

Trafiając do domu państwa, miałam jedenaście lat, a jako szesnastolatka stałam się, jak mi się wydawało, pełnoprawnym członkiem rodziny. W głębi duszy wiedziałam, że jestem tylko prostą chłopską córką, choć po wychowaniu przez nich nabrałam powierzchownego poloru, dzięki któremu ta ważna i wpływowa rodzina mnie akceptowała.

Książę był znanym, zapalonym sportowcem: pływał, jeździł konno, strzelał, żeglował, wspinał się po górach. We wszystkie te dyscypliny angażował się całym sercem i brał udział we wszelkich możliwych zawodach. Polska była wówczas biednym krajem, książę jednak był bogaty ponad wszelkie wyobrażenie. W roku 1934, zaraz po moich siedemnastych urodzinach,

zainteresował się awiacją, kupił mały, szybki samolocik, nauczył się go pilotować i już po roku brał udział w międzynarodowych zawodach w różnych krajach - na południu Francji, wzdłuż bałtyckiego wybrzeża Niemiec i Polski, w Austrii, Szwecji, w Estonii. Na początku znikał po prostu z Krakowa na tydzień czy dwa i wracał uradowany lub przygnębiony, niebawem jednak zaczął się domagać, by na tych zawodach towarzyszyła mu rodzina. Księżna nie wykazywała ani odrobiny zainteresowania, a to oznaczało, że zadanie wspierania księcia w rywalizacji przypada mnie, Tomaszowi, oraz licznej świcie służących.

Powinam teraz opisać, co kielkowało pomiędzy mną i Tomaszem. Na początku po prostu go podziwiałam - był moim rówieśnikiem, starszym ledwie o parę tygodni, ale urodzonym do bezproblemowego i bogatego życia. Wydawał mi się nieprzyjemny i arogancki. Mogłabym chyba szczerze powiedzieć, że przez jakiś czas naprawdę nie cierpieliśmy się nawzajem.

Jednakże po paru latach, mniej więcej wtedy, gdy zaczęliśmy towarzyszyć księciu Grudzińskiemu na jego zawodach sportowych, sytuacja dość diametralnie się zmieniła. Stwierdziłam, że tylko w jego towarzystwie jestem szczęśliwa, a podczas rozłąki, na przykład w ciągu tygodnia - chodziliśmy bowiem do różnych szkół - tęsknię za nim, brakuje mi go i bez końca kombinuję, jak by tu uciec, żeby móc być z nim. Wiedziałam bez słów, że on czuje dokładnie to samo. Długie wyjazdy księcia na zawody lotnicze były dla nas okazją, by przez kilka dni przebywać razem.

Podczas dwóch pierwszych wyjazdów na zawody - pierwszy był do Monte Carlo, drugi na włoskie wybrzeże Adriatyku - prawie nie zauważałam, co się dzieje, tak szczęśliwa byłam, że jestem z Tomaszem. Oba te mityngi były niesamowitym chaosem: jachty, tłumy, upał i denerwująco głośne samoloty. Potem jednak pojechaliśmy do Tallina w Estonii, gdzie same zawody lotnicze stanowiły tylko część o wiele większego lotniczo- żeglarskiego festiwalu. Choć mieliśmy sam środek lata, w Tallinie było o wiele chłodniej niż gdzie indziej, towarzystwo też było inne - publicz-



ność była o wiele bardziej zainteresowana lataniem. Dla mnie oznaczało to, że przez półtora dnia, gdy księżca zaprzętała praca z mechanikami, my z Tomaszem mogliśmy spędzić razem masę czasu.

I wtedy stało się to. Jeden z kolegów księżca zapytał Tomasza, czy chciałby się przelecieć samolotem. Tomasz zgodził się, wskoczył na tylne siedzenie, a pilot zrobił z nim rundkę dookoła portu i wybrzeża. Potem przyszła moja kolej.

Wystartowaliśmy i już po paru sekundach wszystko w moim życiu się zmieniło.

Wiedziałam, że chcę, że *muszę* zostać lotnikiem. Błagałam o kolejny lot, to jednak z jakiegoś względu było niemożliwe. Musiałam zadowolić się obserwowaniem, jak księżę oraz jego dwudziestu paru przyjaciół i rywali wśród ryku silników pędzą wokół z ogromną prędkością. Wyglądało na to, że Tomasz także pali się do nauki latania; oglądając wyścig, rozmawialiśmy podekscytowani o tym, jak można by się umówić na parę lekcji.

Parę tygodni później, kiedy wciąż uczyliśmy się na lotnisku aeroklubu pod Krakowem, księżę sprezentował Tomaszowi mały dwumiejscowy górnopłacik, RWD 3.

W ciągu trzech tygodni zdałam egzamin na samodzielnego pilota.

Dwa miesiące później, po kolejnym tygodniu intensywnego szkolenia z instruktorem, Tomasz przyznał mi się, że w ogóle nie ma talentu do pilotażu, że w powietrzu robi mu się niedobrze, że boi się manewrowania maszyną i za każdym razem, gdy bierze w ręce drążek, paraliżuje go strach. Powiedział, że wie, że nigdy nie będzie w stanie samodzielnie latać.

Zgodziliśmy się za to, że ja w powietrzu byłam w swoim żywiole. Odtąd, za zgodą i zachętą Tomasza, erwudziak praktycznie należał do mnie, choć nigdy nie latałam nim bez Tomasza na tylnym siedzeniu.

Latanie stało się naszym wspólnym życiem. Parę kilometrów na północny wschód od miasta wykoszono długi odcinek należącego do księżca pola, tworząc lotnisko połowę. Mogliśmy

latać, kiedy zechcemy. I korzystaliśmy z tej wolności, jak tylko się dało. Na początku czułam się winna, że tak się stało – że błyskawicznie wyprzedziłam Tomasza umiejętnościami. Nie słyszałam o żadnej innej pilotce, czy to z Polski, czy z zagranicy. Latanie było męskim sportem, a pilotaż męskim przywilejem. Któregoś dnia zwierzyłam się z tego Tomaszowi, on jednak od razu powiedział, żebym nie była głupia, że uwielbia ze mną latać, że przy mnie nie czuje strachu ani mdłości, że to wspólne latanie to dla niego sposób na spędzanie czasu tylko we dwoje.

Tomasza kochałam, latanie zaś uwielbiałam, myślałam tylko o lataniu. Ta pasja wzmagała się z każdym kolejnym startem.

Pieniądze nieco izolują zamożnych ludzi od zagrożeń stwarzanych przez historię, więc i my, zakochując się w sobie i śmigając po polskim niebie, w pewnym sensie nie odczuwaliśmy burzliwych i groźnych zmian politycznych w wielu innych krajach Europy. Nie znaczy to oczywiście, że ich nie dostrzegaliśmy. Prawdę mówiąc, nie dało się ich nie dostrzegać – wszyscy poczuli strach, gdy u naszych sąsiadów rosły w siłę faszyzm i komunizm.

Tomasz, wbrew mojej woli, chociaż nie wbrew swojej, dostał od księcia mianowanie na oficera rezerwy w polskiej armii. Wstąpił do 15 Pułku Ułanów Poznańskich. Oznaczało to, że często był nieobecny, choć mnie udało się jakimś sposobem zapomnieć o rzeczywistości i pełna miłości przyjaźń mogła trwać za każdym razem, gdy przyjeżdżał do domu.

Rok później, latem, pierwszy raz wzięłam udział w zawodach lotniczych Challenge Tourist Trophy, na trasie prowadzącej nad groblami okalającymi Zuider Zee w Holandii. Zająłam szesnaste miejsce. Na następnych zawodach, dwa tygodnie później, w pewnej dolinie w Austrii, mały samolocik miał awarię silnika. Musiałam awaryjnie lądować na polu i uszkodziłam podwozie.

Dwa tygodnie później, po naprawie samolotu, wzięłam udział w kolejnych zawodach na Pomorzu, o puchar IG Farben. Byłam piąta. Po tym wyścigu stopniowo stawałam się znana. Nie dość, że byłam jedyną kobietą, która brała udział w zawodach, to

jeszcze wygrywałam z większością mężczyzn. Pewna gazeta zrobiła ze mną wywiad, zamieściła też moje zdjęcie. Tomasz powiedział, że jest ze mnie dumny jak nigdy.

W tym samym tygodniu poprosił mnie o rękę.

I ten prosty miłosny akt jakby uruchomił lawinę wydarzeń, które miały nas rozdzielić. W tym samym czasie, gdy Tomasz mi się oświadczał, niemieccy naziści wysuwali wobec Polski niekończące się żądania i groźby. Pas polskiego wybrzeża oddzielał Niemcy od zdominowanego przez Niemców Wolnego Miasta Gdańska – Hitler domagał się przeprowadzenia tamtędy „korytarza”. Ze wschodu dochodziły nie mniej groźne pomruki – tam Stalin przysięgał sobie skolektywizować przymusowo całą Europę, a zacząć zamierzał od krajów bezpośrednio sąsiadujących ze Związkiem Sowieckim.

Nie mieliśmy więc wątpliwości, co dzieje się wokół nas na świecie. Mieliśmy zresztą i własne problemy na głowie. Powiedzieliśmy o naszych planach rodzinie, spodziewając się radosnego przyjęcia – a tymczasem rodzice zareagowali tak wrogo, że aż się przeraziliśmy. W szczególności *madame*: od razu powiedziała, że do tego nie dopuści. Zwymyślała mnie, nazwała chamką, półanalfabatką i pasożytem, oskarżyła, że chcę się wżenić w rodzinę, żeby dobrać się do ich pieniędzy.

I to był koniec pięknego złudzenia. Po raz drugi w życiu poczułam się odtrącona przez ludzi, którym zaufałam. Pozorne szczęście skończyło się, choć szczęście trwało, wciąż denerwująco niedookreślone. Dalej mieszkaliśmy z Tomaszem w tym samym rodzinnym domu w Krakowie, lecz atmosfera była tam gęsta od niewypowiedzianej niechęci. Kiedy tylko mogliśmy, wrywaliśmy się polatać razem, choć nawet to z uwagi na zagrożenie wojną stawało się coraz trudniejsze.

Tomasz został zmobilizowany. Wtedy naprawdę dotarło do nas, jak groźna jest sytuacja. Wyjechał od razu i nie widziałam go przez prawie dwa tygodnie. Denerwowałam się okropnie – kiedy go nie było, moja pozycja w domu była niejednoznaczna i niezręczna. Potem wrócił i budząc ogromną sensację, wszedł do

domu w pełnym wojskowym rynsztunku. Nigdy nie skrywał swojego podziwu dla szczytnej polskiej tradycji kawaleryjskiej, a jako pierwszorzędnny jeździec i arystokrata był idealnym materiałem na oficera. Wcielono go do ułanów i był teraz dowódcą szwadronu kawalerzystów.

Serce mi rosnęło, gdy patrzyłam na niego w przepięknym mundurze, choć jednocześnie przepełniał mnie strach. Niemcy mieli całe eskadry samolotów i setki czołgów – jaki opór stawia im dzielni jeźdźcy uzbrojeni tylko w szablę i rewolwery?

Wrócił do Poznania i znów zostałam sama. Latałam swoim samolotem, kiedy tylko mogłam, choć puste siedzenie z tyłu coraz bardziej przypominało mi o samotności.

Pewnego dnia pod koniec sierpnia wylądowałam na prywatnym lotnisku księcia, gdzie przywitał mnie człowiek, którego często widywałam u Grudzińskich w charakterze gościa. Dowiedziałam się, że to wysoki oficer sztabu, generał brygady Zaremski, był zresztą w mundurze polskich sił powietrznych. Serce mi zabiło mocniej – od razu przyszło mi do głowy, że czeka ze złymi wiadomościami o Tomaszu, on jednak szybko mnie uspokoił.

Pan generał wyjaśnił, o co mu chodzi. Polskie władze stały w obliczu potężnej siły niemieckiej Luftwaffe i mobilizowały każdy zdalny do walki samolot i każdego wyszkolonego pilota. Najazd niemieckiej armii na Polskę wydawał się nieunikniony. Jednocześnie rząd w pośpiechu przenosił urzędy i kluczowy personel z Warszawy do mniejszych miejscowości. Werbowali cywilnych pilotów do lotów pasażerskich, kurierskich i transportowych. Ja zaś zaliczałam się wówczas do najbardziej znanych lotników w Polsce, więc głównodowodzący sił powietrznych osobiście rozkazał zwrócić się do mnie.

Kiedy generał Zaremski powiedział mi o tym, oczywiście zgodziłam się od razu.

I wtedy zauważyłam stojący pod hangarem na końcu pasa większy samolot. To miała być moja pierwsza misja transportowa – przewieźć generała Zaremskiego z powrotem do

Warszawy, w charakterze pasażera. Idąc do samolotu, powiedział mi, żebym nie pytała, skąd maszyna się tu wzięła, bo nowe przepisy zabraniają wysokim rangą oficerom samodzielnego pilotowania samolotu. Wszystkiego się domyśliłam i o nic już nie pytałam.

Samolot grzał silniki, a ja tymczasem wepchnęłam mojego małego „er- wudziaka” do hangaru, unieruchomiłam go, odczepiając niektóre linki oraz kable od zapłonu, po czym zamknęłam w środku. Zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś go zobaczę, nie mówiąc już o lataniu nim.

Po paru minutach startowałam wojskowym samolotem do Warszawy. Generał pełnił rolę nawigatora. Nie zająknęłam się słowem, że nigdy wcześniej nie pilotowałam dwusilnikowego samolotu.

Nastąpił gorączkowy tydzień. Latałam po Polsce najrozmaitszymi samolotami, nowymi, staroświeckimi, a wszystkie były mi kompletnie nieznane. Pilotowałam maszyny jedno- i dwusilnikowe, a trafił się nawet trójsilnikowy junkers Ju-52. Uczyłam się ich na bieżąco. Codziennością były dla mnie zebrania sztabu i narady dotyczące strategii obronnej. Często woziłam tajne dokumenty w zapieczętowanych torbach. W życiu nie byłam tak podekscytowana! Pierwszego września, sześć dni po tym, jak niespodziewanie zostałam wcielona do lotnictwa, hitlerowcy napadli na Polskę, ogromnymi siłami przekraczając granicę w wielu miejscach. Choć początkowo atak był głównie lądowy, brało w nim udział i Luftwaffe – bombowce nurkujące atakowały Warszawę i inne duże miasta, próbowały też, z przerażającą skutecznością, wyeliminować z gry nasze siły powietrzne.

Latałam codziennie, a czasami i w nocy, często widząc posuwające się przez pola i łąki niemieckie czołgi. Zdarzało się, że ostrzeliwano mnie z ziemi. Raz, wysoko na niebie, na południu, dostrzegłam grupę trzech myśliwców Luftwaffe – wiozłam wtedy sześć wojskowych pielęgniarek do Bydgoszczy, gdzie ich katastrofalnie brakowało. Chcąc uniknąć spotkania z

myśliwcami, zanurkowałam ostro ku ziemi, żeby się ukryć. Na szczęście lotnicy Luftwaffe w ogóle mnie nie zauważyli i godzinę później udało mi się bezpiecznie wylądować. Po południu już byłam z powrotem w Warszawie, skąd zabierałam paru oficerów sztabowych na obserwację pola walki.

Spałam, gdzie popadło i kiedy popadło, jadłam, kiedy była okazja. Praca była wyczerpująca, ale i emocjonująca. Czułam, że robię coś pożytecznego, że pomagam bronić kraju przed inwazją, choć każdy dzień przynosił nowe fakty świadczące o tym, że przegrywamy tę wojnę. Któregoś dnia rano dostałam dwumiejscowego RWD- 14 zwanego Czaplą i rozkaz przewiezienia pewnego generała z Warszawy do Kielc. W trakcie lotu powiedział mi, że niemieckie wojska docierają od zachodu do Krakowa. Wysadziłam go na miejscu i od razu poleciałam dalej na południe, pod Kraków, kierując się na prywatne lotnisko połowę Grudzińskiego. Z powietrza nie dostrzegałam nieprzyjaciela, lecz i tak zrobiłam trzy okrążenia, zanim nabrałam pewności, że mogę bezpiecznie lądować.

Podprowadziłam samolot pod gęsty zagajnik na skraju pola i tam go zaparkowałam, wiedząc, że sporej i nieporęcznej maszyny nie da się w żaden sposób ukryć przed wrogiem na ziemi, miałam jednak nadzieję, że przynajmniej z powietrza nikt go nie wypatrzy.

Auto, którym przyjechałam wcześniej na lotnisko, cały czas stało tam, gdzie je zostawiłam. Dało się bez problemu uruchomić. Popędziłam na złamanie karku do Krakowa. Jadąc przez peryferie, już widziałam, że dzieje się tu coś okropnego. W oddali, nad zachodnią częścią miasta, stały cztery słupy gęstego, tłustego dymu. Parę nieregularnych grup ludzi uciekało w kierunku, z którego przyjechałam. Byli przerażeni i w opanowanym stanie.

Pojechałam na Stare Miasto. Zobaczyłam Bramę Floriańską, nienaruszoną, choć w jej pobliżu paliło się kilka kamienic. W powietrzu było pełno dymu.

Ulica, którą jechałam w stronę rynku, nagle okazała się

zablokowana przez zawaloną potężną kamienicę. Z dwóch budynków po obu jej stronach spadały płonące drewniane belki. Zwolniłam przerażona tym widokiem. Nigdy w życiu nie widziałam takiego obrazu zniszczenia i świadectwa ludzkiej tragedii – odsłoniły się wyklejone tapetą ściany, z zawalonych podłóg zwisały meble, płomienie lizały ogromną stertę gruzu, w którą zamieniła się część budynku, we wszystkie strony sterczały z niej belki i deski, niektóre osmolone i dymiące. Wokół walały się dziecięce zabawki, resztki ubrań, jakichś tkanin, niczym zeschłe liście.

Spróbowałam przejechać obok, ale ulica nie była już przejezdna. Wycofałam, zostawiłam auto, poszłam dalej pieszo.

Jeszcze nawet nie dotarłam na rynek, gdy napotkałam oddział żołnierzy walczący z pożarem w jednym ze sklepów. Znałam ten sklep, zaglądałam do niego wiele razy. Obeszłam ich w sporej odległości, zakrywając rękawem usta i nos. Nagle usłyszałam znajomy głos:

- Krystyna!

To był Tomasz; włosy miał rozczochrane, twarz i ręce czarne od dymu. Miał na sobie wojskowy mundur, choć rozebrał się do koszuli, żeby pracować razem ze swoimi żołnierzami. Oczywiście podbiegłam do niego i uściskaliśmy się, jakbyśmy nie widzieli się od lat. Nie wierzyłam własnemu szczęściu, że znalazłam go tak blisko domu, w którym mieszkaliśmy. Musieliśmy rozmawiać podniesionymi głosami, żeby słyszeć się przez huk bliskich i dalekich wybuchów, bijących dzwonów, ludzkich krzyków, trzask płomieni i rozlegający się coraz częściej okropny łoskot zawalającej się starej drewnianej konstrukcji kolejnej krakowskiej kamienicy. Pożary rozprzestrzeniały się na kolejne budynki wzdłuż ulicy. Wydawały się już nie do powstrzymania.

- Uciekaj stąd! - zawołał. - Tu jest niebezpiecznie! Niemcy wchodzą do miasta.

- Niebezpiecznie? To i dla ciebie jest niebezpiecznie!

- Ale ja muszę tu być! Taki mam rozkaz! Uciekaj jak najszybciej. Masz jeszcze ten samochód?

Machnęłam ręką w stronę auta. Na ulicy było teraz gęsto od dymu.

- To jedź! Niemcy zajęli już Warszawę. Jeszcze dzisiaj będą w Krakowie. Masz benzynę? Wystarczy ci do Tarnowa? Tam Niemcy jeszcze nie dotarli. Rodzice i część służby już wyjechali do Tarnowa.

- Tomek, ja chcę być z tobą, nie z nimi.

- Wiem. Rozumiem. Ale ojca tam dobrze znają. W Tarnowie będziesz mogła kupić benzynę. Słyszałem, jak oficerowie mówią, że polski rząd będzie się ewakuować do Rumunii, będą organizować transport ze Lwowa. Musisz jak najszybciej dotrzeć do Lwowa.

- Bez ciebie nie chcę - powiedziałam.

- Ja dojadę później. Niedługo będziemy się stąd wycofywać.

- Jedź teraz! - zawołałam w desperacji, przekrzykując huk przejeżdżającego auta straży ogniowej.

- Nie widzisz, że nie mogę? - odrzyknął, wskazując swój oddział. - Jestem na służbie. Ale plan jest taki, że wieczorem nasze brygady się przegrupują i odejdą na południe. Mój oddział też. Spotkamy się we Lwowie. Nie od razu, ale za parę dni. Masz znajomych lotników z wojska, pogadaj z nimi.

- Tomek, skarbie! Co tu się w ogóle dzieje? W domu byłeś?

- Dom na razie jest opuszczony. Została trójka służących, żeby go pilnować, ale dzisiaj rano im też kazałem uciekać. Reszta pojechała do Lublina. Wszyscy inni są w Tarnowie. Tam powinni być bezpieczni.

Rozmawiając, cały czas oglądał się na pożar, wyraźnie rozdarty między rozmową ze mną a obowiązkami.

Gdzieś za nami, na sąsiedniej ulicy, przerażająco blisko nas, rozległy się dwa potężne wybuchy. Z wielu okien na ulicę posypały się szyby. Gwałtowność eksplozji przestraszyła mnie i zaparła mi dech.

- Bomby na Floriańskiej! - krzyknął chrapliwie Tomasz. Floriańska prowadziła od bramy na rynek, gdzie stał dom jego rodziców. - Muszę tam pędzić z ludźmi!



Zostawił mnie, przedostał się przez gruz do płonącego sklepu i w pośpiechu wydał rozkazy dwóm podoficerom nadzorującym pracę żołnierzy. Potem chwycił mnie za rękę i pobiegliśmy w kłębach dymu, lawirując pośród gruzu i płonących drewnianych belek na drodze. Zorientowałam się, że dotarliśmy na Rynek Starego Miasta. Przepiękne Sukiennice cudem ocalały, choć spowijał je gęsty dym. Obiegnęliśmy średniowieczną budowlę, żeby spojrzeć na dom księcia. I zatrzymaliśmy się.

Tomasz, obok mnie, stanął jak wryty i wytrzeszczył oczy.

Pośród całego chaosu nastąpił moment pozorowego bezruchu. Po drugiej stronie rynku płonęły trzy domy. Środkowy z nich to był dom księcia, przepiękna wielkowiejska kamienica z wiekowymi oknami, rzeźbionymi gzymsami, drewnianymi ścianami wzniesionymi ponad trzysta lat temu. Ten widok miał w sobie coś odrealnionego, groteskowego – odwróciłam wzrok, spozjrzałam w niebo, tak błękitne i czyste ponad gęstymi kłębami dymu buchającymi z całego miasta. Oczy zaszyły mi łzami, ledwie byłam w stanie oddychać.

- Już po nim - powiedział Tomasz.

- Twój dom... - Tylko tyle byłam w stanie wykrztusić.

- Nie! - Odwrócił się, objął mnie ramionami, przycisnął do piersi. - To już nie był mój dom. Ja tu tylko mieszkałem. I ty. Odkąd jesteśmy razem, pragnąłem tylko jednego: wreszcie się z tego domu wynieść.

Część dachu zawałiła się, sypiąc iskrami i buchając gęstym dymem.

- Już go nie ma.

- Kocham rodziców, bardzo kocham, ale ich styl życia mnie mierził.

- Ale to ten styl życia sprawił, że się poznaliśmy - powiedziałam.

- No tak. Oczywiście. Wtedy mieli dobre intencje, ale potem ich znienawidziłem za to, jak cię potraktowali.

- Pewien jesteś, że nikt nie został w środku? - zapytałam, patrząc, jak płomień buchają coraz wyżej. Kamienica obok

wyglądała, jakby miała się za moment zawalić.

- Z rana wszystko przeszukałem. Nikogo nie było, pokoje pozamykane na klucz. - Już cofał się od pożaru.

W ulicy za domem księcia coś głośno eksplodowało - oboje odruchowo odwróciliśmy twarze i ostoniliśmy je dłońmi. Choć w powietrzu widzieliśmy lecące odłamki i wielką kulę płomieni, fali uderzeniowej jakimś sposobem nie poczuliśmy.

- To koniec - powiedział Tomasz. - Tamtego życia już nie ma. Jak tylko wojna się skończy, będziemy razem.

Nad nami pojawiły się lecące w szyku niemieckie samoloty, odcinające się czarno na tle popołudniowego nieba. Junkersy Ju-88 „Stuka”, budzące powszechną grozę bombowce nurkujące. Krążyły chyba nad miastem. Ryk silników wygrywał nawet z hukami pożarów. Jeden po drugim wychodziły z szyku, wchodziły w ostry lot nurkowy, lecąc z ogromną prędkością ku ziemi. Sadystyczna przemyślność Niemców kazała im na każdej maszynie zamontować wyjąca w czasie nurkowania syrenę, by budzić wśród ludności jeszcze większe przerażenie. Brały na cel budynki nad Wisłą, jakieś pół kilometra od nas. Nikt nie ostrzeliwał ich z ziemi. Przepiękne zabytkowe miasto było zdane na ich łaskę, a one łaski nie okazywały.

Tomasz chwycił mnie za rękę i pobiegliśmy z powrotem. Wszędzie wałały się gruz i odłamki szkła. W minutę dotarliśmy z powrotem do sklepu - kamienica w tym czasie niemal całkowicie spłonęła. Oddział żołnierzy zniknął.

Tomasz rozejrzył się z przerażeniem.

- Muszę ich znaleźć - powiedział.

- Mogą być gdziekolwiek! - rzuciłam, bo poczułam nagłą i irracjonalną chęć namówienia go, by uciekł ze mną.

- Nie. Mieliśmy rozkazy. Mieliśmy pilnować tej ulicy i sąsiedniej.

- Tomek, jedź ze mną. Tu jest piekło.

- Nie mogę zostawić swoich ludzi!

- Możesz. Oczywiście, że możesz. Już przegraliśmy. Nie ma o co walczyć. Hitlerowcy zaraz przyjdą i pierwsze, co zrobią, to

aresztują wszystkich wojskowych.

- My walczymy do końca.

Kolejny wybuch, gdzieś po przeciwległej stronie rynku, sprawił, że Tomasz wziął mnie w ramiona i pocałowaliśmy się namiętnie, po raz pierwszy, odkąd się tego dnia zobaczyliśmy. Na parę sekund znalazłam się z powrotem w zamkniętym świecie miłości - miałam absurdalne wrażenie, że świat zaraz wróci do normalności. Wszystko wydało mi się odległe.

Chwilę później jednak znów usłyszeliśmy warkot silników niemieckich samolotów. Nad nami pojawiła się kolejna fala stukasów, widoczna tylko przez chwilę pomiędzy słupami gęstniejącego dymu. Już krążyły, przygotowując się do kolejnego śmiercionośnego ataku.

- Krystyna, szybko! - zawołał Tomasz, odpychając mnie. - Jedź!

- A ty?

- Spotkamy się we Lwowie! Jedź już! Jak najszybciej!

I tak się rozstaliśmy. Ostatni raz widziałam Tomasza, jak biegł na poszukiwanie swojego oddziału, z opuszczoną głową, lawirując pomiędzy zwalami gruzu. Wycie bombowców nurkujących zbliżało się, więc i ja puściłam się pędem do miejsca, gdzie zostawiłam samochód. Parę odłamków spadło mu na maskę, przednia szyba była rozbita, poza tym jednak wydawał się nieuszkodzony. Zepchnęłam kawałki gruzu na ziemię. Silnik zaskoczył za pierwszym razem. Droga była zasypana tłuczonym szkłem. Nie zważałam na nie, zakręciłam mocno kierownicą i przyśpieszyłam. Dopiero w ostatniej chwili zauważyłam leżącą na środku ulicy ciężką framugę drzwi. Było za późno, żeby cokolwiek zrobić. Auto gwałtownie podskoczyło, pod podwoziem coś potwornie zgrzytnęło i ucichło. Auto szarpnęło się i pojechało dalej. Gdzieś blisko coś wybuchło, nie widziałam gdzie - prawie natychmiast tuż nad moim samochodem przeleciał stukas wychodzący z nurkowania nad samą ziemią. Wyrównał lot i wzniósł się z powrotem. Był przez moment tak blisko, że widziałam, jak na zdjęciu, metalowe uchwyty do bomb,

czarne opony kół, plamy zielonego maskowania i swastykę na ogonie. Zakręcił ostro, przechylając się nad miastem i skierował się na zachód.

Zadarłam głowę nad kierownicą, żeby na niego patrzeć, nie zwracając uwagi, gdzie jadę. Nagle przestałam w nim widzieć samolot wroga – stał się dla mnie po prostu samolotem. Zafascynował mnie jak wszystkie maszyny latające. Zaczęłam się zastanawiać, jak to jest pilotować stukasa, wychodzić z szyku, wybierać sobie jakiś cel na ziemi, nurkować ku niemu na pełnej prędkości, z wyjącą syreną, rozdygotaną od naprężeń maszyną...

Samochód zjechał na bok, z hukiem zderzając się z brukowanym krawężnikiem. Szarpnęłam kierownicą, prostując go. Jechałam na oślep, chcąc po prostu uciec spod bombardowania. Kierowało się ciężko i opornie, auto ściągało na boki – podejrzewałam, że ma przebitą co najmniej jedną oponę. Sprawdziłam wskaźnik paliwa – zostało tylko parę litrów. Nie miałam pojęcia, jak daleko jest do Tarnowa ani czy da się jeszcze bezpiecznie jechać szosą.

Gdy na południe od siebie zobaczyłam sunące w stronę miasta szeroką tyralierą niemieckie czołgi, poruszające się charakterystycznym złowrogim ruchem, zawróciłam najszybciej, jak mogłam.

Dalej objeżdżałam miasto, choć po chwili zmieniłam zdanie. Po co jechać do innego miasta, skoro mam tu samolot i mogę z niego skorzystać. Skierowałam się na połowę lotnisko, licząc, że jeszcze nie będzie tam Niemców. Z silnika auta dobiegało głośne klekotanie – zapewne coś uszkodziłam, przejeżdżając po tamtej framudze drzwi. Trudno było zmusić pojazd, by jechał prosto, ale nie miałam ochoty się zatrzymywać, żeby sprawdzić, co się stało.

Na drodze prawie nie było ruchu. Raz zobaczyłam kolumnę polskich wojskowych ciężarówek, ale żołnierze nie zwrócili na mnie uwagi.

Dotarłam na lotnisko. Gdy tylko zjechałam z drogi i skręciłam

na dobrze znane pole, uderzyło mnie to, jak normalnie wszystko wokół wygląda. Tak, jak zostawiłam to rano. Podjechałam prosto do czapli, którą przyleciałam tego dnia, uruchomiłam silnik i pokołowałam z powrotem do hangaru. Zatankowałam do pełna, a potem pozamykałam wszystko najdokładniej, jak umiałam. Nie traciłam czasu. Gdy tylko zbiornik był pełny, pogrzebałam w maleńkim kantorku w poszukiwaniu wszelkich możliwych map Polski, nalałam sobie w butelkę wody do picia i wystartowałam.

Maszyna miała radio. Włączyłam je od razu, kiedy znalazłam się w powietrzu, i poszukałam jakichś sygnałów. Na standardowych kanałach panowała cisza. Zły znak. Pamiętając, że powinnam przynajmniej poinformować bezpośredniego przełożonego, użyłam przepisowego kanału i zameldowałam o planie lotu. Nikt nie odpowiedział.

Dzień się kończył. Gdy docierałam do Lwowa, już się zmierzchało. Znalazłam lotnisko wojskowe, poprosiłam o zgodę na lądowanie i od razu ją dostałam. Głos kontrolera brzmiał przez radio spokojnie i profesjonalnie. Uprzejmie powtórzył mi numer pasa, na którym miałam lądować, i się wyłączył.

I to był chyba ostatni ślad panującego niegdyś w moim kraju porządku i spokoju. Wylądowałam, zgodnie ze wskazówkami podkołowałam do wojskowego hangaru. Wsiadając z kabiny, ściągnęłam pilotkę, rozpuszczając włosy. Mechanicy wytrzeszczyli w zdumieniu oczy. Tam, gdzie zwykle latałam, wszyscy zdążyli się do mnie przyzwyczaić. Tutaj znalazłam się wśród obcych.

Byłam zmęczona, głodna, od rana nie miałam przerwy. Upewniłam się, że maszyna jest zabezpieczona, silnik poprawnie wyłączony, stery wytrzymałowane, kliny leżą pod kołami, i poszłam do oficera dyżurnego się zameldować.

I tam dowiedziałam się paru okropnych rzeczy, po pierwsze, że po południu kilka niemieckich dywizji wykonało błyskawiczny atak i podeszło do Lwowa od południa, odcinając miasto od tej strony kordonem. Wszyscy spodziewali się, że jutro przed

świttem nastąpi regularny atak – w pobliżu miasta nie było żadnych polskich jednostek, które mogłyby zorganizować obronę. Trzeba było więc zrezygnować z wcześniejszego planu, zakładającego, że we Lwowie ma być punkt zborny dla ewakuowanych przedstawicieli polskich władz.

Kadra wojskowa, urzędnicy cywilni i członkowie korpusu dyplomatycznego musieli więc ewakuować się jeszcze dalej na południe, początkowo do Czerniowiec u podnóża Karpat.

Ale my z Tomaszem planowaliśmy się spotkać właśnie we Lwowie! Poczulałam coraz większą panikę. Tomasz wciąż był gdzieś w Krakowskim, z hitlerowską armią przed sobą.

Jakby tego było jeszcze mało, pojawiały się coraz liczniejsze sygnały, że północną część Polski najechał Związek Sowiecki. Niektóre plotki mówiły, że weszli do nas jako „przyjaciele”, żeby walczyć z Niemcami. Spotykało się to natychmiast z odwieczną cyniczną polską nieufnością do Rosjan i Niemców – jeśli Związek Sowiecki na nas napada, to na pewno nie po to, żeby nam pomagać. I rozwój wydarzeń pokazał, że tak właśnie jest.

Wciąż jeszcze nie przyswoiłam sobie tego morza złych wiadomości, gdy na dokładkę powiadomiono mnie, że sytuacja jest awaryjna, więc przestaję być osobą cywilną i odtąd jestem podporucznikiem pilotem polskich sił powietrznych. To oznaczało, że mam obowiązek wykonywać rozkazy każdego starszego stopniem oficera, że nie są to już, jak dotąd, nieformalne „prośby” otrzymywane od wożonych przeze mnie generałów.

Pierwszy taki rozkaz wyszedł od oficera dyżurnego, który mnie o tym wszystkich poinformował. Powiedział, że mam natychmiast lecieć do Czerniowiec dwusilnikowym samolotem z kilkoma dyplomatami, a przed świtem wrócić do Lwowa po kolejnych.

To było nie do zrobienia. Ledwie stałam na nogach. Błagałam, żeby pozwolił mi przespać się chociaż parę godzin. Wtedy oficer rzucił, że skoro mam problemy z lataniem w nocy, to on to rozumie i przeniesie mnie do pracy urzędniczej na ziemi, skoro

bardziej się do niej nadaję. Ze złością podsunęłam mu pod nos swój dziennik, pokazując dziesiątki lotów z ostatnich paru dni. Powiedziałam, że w stanie wyczerpania nie będę mogła bezpiecznie wieźć pasażerów, obojętne, w dzień czy w nocy, ale wróć na lotnisko przynajmniej godzinę przed świtem.

Nie dodałam, że nigdy w życiu nie startowałam samolotem po ciemku.

Wysłałam, żeby znaleźć coś do jedzenia i kogoś, kto użyczy mi pryczy na parę godzin.

Zbudziłam się o czwartej nad ranem i zameldowałam się z powrotem na lotnisku. Kiedy spałam, wszystko się zmieniło. Znikł wszelki pozór porządku. Radio wieży kontrolnej nie odpowiadało, zgasły światła wzdłuż pasa. Nie mogłam znaleźć żadnych oficerów, a przynajmniej żadnych oficerów, którzy wiedzieliby, co się dzieje i byłiby gotowi wydać mi jakieś rozkazy. Gdzieś daleko strzelała artyleria, na szczęście pociski nie padały w pobliżu lotniska. Pomyślałam zdenerwowana o stukasach, stwierdziłam jednak, że przed świtem nie zaatakują. Kiedy chodziłam dookoła, usiłując dowiedzieć się, co właściwie mam robić, trzy wyraźnie przeładowane maszyny pokołowały jedna po drugiej na nieoświetlony pas startowy, po boleśnie długim rozbiegu wystartowały i poleciały chwiejnym lotem na południe.

Uznałam więc, że sama będę decydować. Pomyślałam, że uda mi się bezpiecznie wykonać jeden lot, a potem wrócić do Lwowa i poszukać Tomasza. Przeszłam przez punkt zbiórki, gdzie odkryłam dużą grupę cywili, wymęczonych i udręczonych, otoczonych masą toreb i walizek z dobytkiem. Stłoczyli się wokół mnie i zasypali pytaniami, kiedy będą ewakuowani. Większość czekała całą noc. Niektórzy trzymali urzędowo wyglądające wizytówki czy listy. Wczytywanie się w nie nie miało sensu, chciałam jednak przejąć kontrolę nad sytuacją, więc wzięłam od nich dwa takie listy i zerknęłam na nie. Obaj mężczyźni należeli do personelu ambasady francuskiej.

Na płycie stał LWS- 6 Żubr - dwusilnikowy, przestarzały samolot, o którym krążyła fama, że nienawidzi go każdy pilot,

który miał okazję nim latać. Była to jednak jedyna dostępna maszyna. Za siedzeniem pilota miała przestrzeń ładunkową. Udało mi się znaleźć jakiegoś mechanika. Potwierdził, że jest zdalna do lotu, ale niezatankowana. Znalazłam działającą pompę i podkołowałam do niej samolotem. Zatankowałam go sama, niepewnie wspinając się na skrzydło.

Niebo na wschodzie szybko jaśniało.

Wyruszyliśmy, gdy tylko pokazało się słońce. Pięciu cywili udałoby mi się upchnąć do przestrzeni ładunkowej, ale tylko pod warunkiem, że nie wezmą absolutnie żadnego bagażu. Z początku się sprzeciwili, jakby nie zamierzali słuchać poleceń kobiety, choćby nawet była w mundurze lotnika wojskowego. Powiedziałam jasno, że samolot odlatuje tak czy owak, ale może zabrać pięciu pasażerów. Wróciłam do maszyny i czekałam. Minutę później pięciu mężczyzn wyszło z zażenowanymi minami z budynku i wcisnęło się do ładowni maszyny. Gdy kołowałam na pas startowy, lotnisko wciąż było w półmroku, zasłane poranną mgłą. Albo kontrolę nade mną przejęły odruchy, albo po prostu mieliśmy szczęście. Wznieśliśmy się w powietrze bez kłopotów, choć żubr prowadził się jak krowa.

Wznosiłam się nim najszybciej, jak się dało, podejrzewałam bowiem, że linie wroga muszą być bardzo blisko. Nie widziałam jednak ani śladu Niemców, ani na ziemi, ani w powietrzu.

Parę godzin snu postawiło mnie na nogi i uporządkowało myśli - osobiste sprawy miały teraz dla mnie priorytet. Utrzymywałam wysokość około tysiąca metrów, poranne powietrze było chłodne i spokojne, pogoda, przy której najlepiej się lata. Żubr był beznadziejnie wolny, za każdym ruchem drążka trzeba się było z nim szarpać. Mając przez cały czas ziemię na oku, myślałam o Tomaszu, o tym, czy uda nam się jeszcze ze sobą spotkać. Myśląc racjonalnie, uświadomiłam sobie, że nasze spotkanie we Lwowie już nie dojdzie do skutku - wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały, że Niemcy jeszcze dzisiaj opanują całe miasto. Praktycznie nie było widać jakichkolwiek polskich wojsk. Jeśli to prawda, że Rosjanie też nas atakują, to



kapitulacja całego kraju jest kwestią paru godzin.

Czerniowce znalazłam na podstawie mapy i nawigacji zliczeniowej, wylądowałam bezpiecznie, choć amortyzatory chrupnęły boleśnie, gdy źle oceniłam wysokość maszyny nad pasem. Stłoczeni w ładowni pasażerowie wygramolili się z niej i rozeszli do swoich, nieznanym mi, obowiązków, ja zaś zabezpieczyłam paskudny samolot i poszłam rozejrzeć się za jakąkolwiek informacją.

Szybko przekonałam się, że nawet to peryferyjne miasteczko, daleko na południowo-wschodnich rubieżach Polski, nie będzie bezpiecznym azylem dla nikogo, ani cywila, ani wojskowego. W Czerniowcach mówiło się tylko o Rosjanach – są o pięćdziesiąt kilometrów, może sto, a może dwadzieścia pięć. Idą na nas trzy dywizje Armii Czerwonej, nie, piętnaście dywizji albo i dwadzieścia. Nie cierpiałam plotek, zawsze mnie przerażały. Mój kraj – podbity i zniszczony. Moje życie w niebezpieczeństwie, tak jak życie Tomasza. Ja mogłam sama decydować o własnym losie, on uwiązał w przestarzałym i kiepsko wyposażonym wojsku stojącym naprzeciw dwóch najbardziej agresywnych potęg militarnych na świecie.

Niespodziewanie, pół godziny po lądowaniu, kolejnym samolotem przyleciał generał Zaremski. Zobaczyłam z budynku lotniska, jak idzie po płycie otoczony młodszymi oficerami, którzy zapewne zdawali mu relację z aktualnej sytuacji na frontach. Wysłałam mu naprzeciw, minął mnie jednak, nie poznając. Później, kiedy poszłam na odprawę dla wszystkich wojskowych pilotów, którym udało się dotrzeć do Czerniowiec, Zaremski wreszcie mnie wśród nich zauważył.

Poinformował nas, że trzeba ewakuować się dalej, tym razem w kierunku Bukaresztu. Mamy nie przewozić żadnych cywili – priorytet mają członkowie sił zbrojnych. W planie jest przegrupowanie i uformowanie w Rumunii niezależnego kontyngentu Polskich Sił Powietrznych. Stamtąd będziemy organizować partyzanckie wypadki na armie okupanta. Podał nazwę bazy lotniczej w północnej Rumunii, gdzie pozwolą nam

wylądować i która ma wszelkie niezbędne wyposażenie. Wydało mi się to nierealne, Zaremski brzmiał jednak spokojnie i pewnie. Słuchałam go razem z innymi pilotami, mając świadomość, że jestem wśród nich jedyną osobą nieszkoloną do walki powietrznej.

Po wszystkim generał odnalazł mnie i wziął na bok.

- Chcę, żebyś znowu została moim osobistym pilotem - powiedział prosto z mostu. - Nie będziesz brała udziału w działaniach wojennych, ale ja będę nimi dowodził, więc i tak będziesz narażona na pewne niebezpieczeństwo. Jesteś gotowa, żeby dalej mi służyć?

- Tak jest - odpowiedziałam, choć powoli dochodziłam do wniosku, że wszystkich wokół ogarnia jakiś obłęd.

Ile operacji zdążymy zrobić z tej Rumunii, zanim Niemcy czy Ruscy zagrożą odwetem? I co wtedy? Rumunia da się, ot tak, wciągnąć do wojny? Ciężko mi było myśleć logicznie - od poprzedniego wieczoru nic nie jadłam, przespałam tylko parę godzin. Przez większość czasu leciałam.

Po godzinie znowu znaleźliśmy się w powietrzu, tym razem w nowoczesnym samolocie, dwusilnikowym łosiu. Jedynym pasażerem był generał Zaremski. Usiadł obok mnie na fotelu drugiego pilota, ani słowem nie skomentował mojego pilotażu, choć podejrzewałam, że zna tę maszynę lepiej ode mnie. Byłam zbyt zmęczona, by się tym przejmować, przez co zapewne prowadziłam lepiej, bardziej polegając na odruchach. Generał zajął się nawigacją.

Przelecieliśmy nad Karpatami, potem nad pagórkowatym, surowym terenem na północny zachód od nich, obniżyliśmy lot nad pustymi równinami pełnymi pól uprawnych i małych wsi. Pod koniec dnia dotarliśmy do wskazanego lotniska. Znów byłam na granicy wyczerpania. Zaremski poprowadził mnie do lądowania. Podeszłam do niego, mając wrażenie, że usypiam, mimo to usiedliśmy bezpiecznie na pasie. Pokołowałam do przydzielonej nam części bazy.

I tu cała przygoda gwałtownie dobiegła końca.

Wszystkie nasze plany legły w gruzach w jednej chwili. Od razu domyśliśmy się, że rumuńskie władze, zapewne naciskane przez Niemców, zwabiły nas podstępem w to miejsce, chcąc wyłączyć z walk jak najwięcej polskich maszyn. Uzbrojeni żołnierze aresztowali nas zaraz po wyjściu z samolotu. Wywieźli nas z lotniska w charakterze więźniów rumuńskich władz – nazywało się to co prawda „internowaniem”, ale chodziło o to samo.

Przez zimę kwaterowałam w domu małżeństwa nauczycieli – mieszkalam z nimi i dwójką ich dzieci. Po rumuńsku nie mówiłam, oni po polsku znali ledwie parę słów. Udawało nam się jakoś dogadać łamanym angielskim i niemieckim. Przynieśli mi ze szkoły podręcznik do angielskiego i zaczęłam zabijać nudę, ucząc się tego języka. To przynajmniej mi się w życiu przydało.

Informacje o sytuacji na froncie były praktycznie niedostępne, a już szczególnie wiadomości z Polski. Wiedziałam, że dzień czy dwa po mojej ucieczce walki ustały i kraj znalazł się pod okupacją niemiecką i sowiecką. O Tomaszu nie dowadywałam się niczego, choć od innych uchodźców z Polski słyszałam niepokojące pogłoski, że Sowieci internowali oficerów, którzy zostali w Polsce. Słuchałam z niepokojem audycji BBC – często były zagłuszane, ale mniej więcej dwa razy w tygodniu udawało się wysłuchać większości wiadomości. Rzadko znalazła się w nich wzmianka o Polsce. Całkiem jakby mój kraj przestał istnieć. Brytyjczycy po ataku na Polskę wypowiedzieli wprawdzie Niemcom wojnę, teraz jednak nie zwracali na nas uwagi. Główną zaletą tych audycji była dla mnie możliwość słuchania mówionego angielskiego. Powtarzałam całe zdania na głos, ucząc się i zapamiętując.

Zima ciągnęła się bez końca. Codziennie wspominałam z tęsknotą Tomasza, choć serce mnie bolało. Wysłałam do niego listy pod każdy adres, jaki przyszedł mi do głowy, lecz nigdy nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Na początku marca 1940 roku do mojego domu przyszedł niespodziewanie starszy mężczyzna, oficer w mundurze Wojska Polskiego, i powiedział, że wszyscy mamy być ewakuowani do

Francji, gdzie generał

Sikorski powołał polski rząd na uchodźstwie. Nie mogliśmy polecieć - Rumuni skonfiskowali nam wszystkie samoloty - potem dowiedzieliśmy się, że wcielili je do swojego lotnictwa. Czekala nas podróż drogą lądową, przez Bałkany, północne Włochy i prawie całą Francję.

Pamiętam jak przez mgłę kilka tygodni niekończącej się jazdy pociągiem, opóźnień, spania byle gdzie i sporadycznych posiłków, jednak pod koniec kwietnia ja i wielu innych uchodźców znaleźliśmy się już w Paryżu. Do Francji udało się dotrzeć większości Polaków internowanych w Rumunii, choć wysiadając z ostatniego pociągu na paryskim Gare de Lyon, byliśmy głodni, brudni, wymęczeni, stęsknieni za domem i przeżyciami.

Moje doświadczenia różniły się trochę od reszty uchodźców. W Paryżu zamieszkaliśmy w przyzwoitych warunkach, zaczęliśmy dochodzić do zdrowia i odzyskiwać pewność siebie, lecz zaledwie w parę dni po przyjeździe dowiedzieliśmy się, że Niemcy weszli do Holandii i już maszerują na Paryż. Nie trzeba było nam tłumaczyć, co to oznacza. Rząd Sikorskiego w pośpiechu ewakuował się do Londynu, a my, jako ostatni ocalali przedstawiciele polskich sił zbrojnych, także musieliśmy się tam przenieść.

Trzy dni później byłam już w Londynie, gdzie znowu zamieszkałam przy rodzinie, na Ealingu, zachodnim przedmieściu Londynu, u Polaków, którzy wyemigrowali do Anglii ponad dziesięć lat temu. Całe lato i następną zimą spędziłam w Londynie, którego mieszkańcy myśleli tylko o groźbie niemieckiej inwazji. Ponieważ byłam obywatelką innego kraju, a do tego kobietą, nie mogłam w żaden sposób pomóc w obronie miasta, nie licząc nocnych dyżurów przeciwpożarowych. Miałam jedną obsesję: niech tylko dadzą mi w ręce uzbrojony samolot, zaraz przepędzę z nieba niemiecką zarazę. A tymczasem kazano mi wchodzić na wieże albo dachy biurowców i wypatrywać pożarów. Mieszkańcy Ealingu tak jak inni

Londyńczycy borykali się z conocnymi alarmami, byliśmy jednak na dalekich, zachodnich peryferiach miasta, więc tak naprawdę liczba spadających tam bomb była niewielka w porównaniu z innymi dzielnicami.

Mnie zaś cały czas irytowała sytuacja, w której się znalazłam. Większość mężczyzn z Polski, z którymi uciekłam do Anglii, wzięto na przeszkolenie do RAF- u i zaraz potem trafili do dywizjonów myśliwskich albo bombowych, a dla mnie pracy nie było. Byłam w pełni wykwalifikowanym pilotem, miałam wylatane więcej godzin niż większość znajomych mężczyzn, do tego o wiele większą praktykę w pilotowaniu różnych typów samolotów, RAF był jednak wyłącznie męską formacją. W najlepszym razie mogli mnie wziąć na oficera łącznikowego do WAAF- ek, żebym współpracowała z polskimi lotnikami z baz bombowych. Już miałam to przyjąć, lepsze to niż nic, kiedy dowiedziałam się o Pomocniczym Transporcie Powietrznym, Air Transport Auxiliary.

Przedtem założyłam, że i ATA przyjmuje wyłącznie mężczyzn, szybko jednak dowiedziałam się, że powstało kobiece skrzydło, z uwagi na krytyczny niedobór cywilnych pilotów. Zgłosiłam się natychmiast, czekałam, wydawało mi się, wieczność całą, w końcu odbyłam rozmowę. Pochwalili moją znajomość angielskiego, a potem odesłali, żebym ją jeszcze poprawiła. Nikomu w historii nie zależało tak jak mnie na nauczeniu się nowego języka.

Zaczęłam latać w ATA na wiosnę roku 1941. Dla mnie to było spełnienie wszystkich marzeń - zapewne będę robić to samo do końca wojny. Tylko jedno mogłoby mnie uczynić jeszcze szczęśliwszą - jakieś pewne wieści o losie Tomasza. Albo gdybym się znów z nim zobaczyła.

### Przyrządziarz (cd.)

Krystyna dokończyła opowieść. Siedzieli z Mikiem Torrance'em obok siebie na drewnianej cementarnej ławce, dotykając plecami twardego oparcia i stykając się po przyjacielsku ramionami. Torrance czuł się upojony ciepłym dotykiem jej ramienia, a gdy gestykulowała rękoma, opowiadając, przy jej ruchach aż go łaskotało z podniecenia. Czasem dotykała palcami jego nogi albo odsuwała się na moment, żeby, mówiąc coś z wyjątkowym naciskiem lub szczerością, patrzeć mu prosto w oczy, lecz potem wracała do poprzedniej pozycji i znów go przyjaźnie dotykała. Raz, gdy opowiadała o tym, jak ostatni raz widziała się z Tomaszem w bombardowanym Krakowie, zadrżała i nagle ścisnęła jego rękę swoją rozpaloną dłonią. Objął ją wtedy, a ona płakała.

Torrance pogrążył się we własnych uczuciach – niesamowitej fali miłości i czułości wobec młodej kobiety, którą spotkał zaledwie parę godzin wcześniej i która była nie dość, że nieznajomą, to pierwszą cudzoziemką, z jaką się w życiu zetknął. Aż dziwił się intensywności tych uczuć, nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje, czego ona może od niego chcieć, co powinni zrobić dalej. A przede wszystkim zastanawiał się, co trzeba zrobić, żeby to nie było ostatnie ich spotkanie.

Czuł, jak uciekają kolejne minuty, jak popołudnie nieubłaganie dobiega końca. Ona mówiła, powoli, z uczuciem, opowiadała o swoim utraconym w Polsce ukochanym, o podniebnym życiu, o pasji do łatania, o samolotach i lotach, o niebezpieczeństwie, o długiej i trudnej ucieczce przed Niemcami.

Wiedział, że niedługo będą musieli się rozstać, że pisane mu

jest wrócić do szarej rzeczywistości bazy Tealby Moor. Wiedział też, że i Krystyna o tym pamięta. Zerknęła na zegarek przypominający o upływającym, czy raczej kończącym się, czasie.

Zebrał się na odwagę i zapytał:

- Kiedy będziemy musieli wracać?

- Mniej więcej za pół godziny.

Czyli już zaraz!

- A spotkamy się jeszcze?

Na to nie doczekał się odpowiedzi. Odwróciła się gwałtownie, wbiła wzrok w trawę.

- Nic już nie mów.

Usłuchał, przetykając słowa, które chciał wypowiedzieć, o których już wiedział, że będą bez sensu: błaganie, by spędziła z nim jeszcze trochę czasu, jeszcze dużo czasu, jakiś pośpieszny, gorączkowy plan, by uciec gdzieś razem. Ona odwróciła się nieco od niego, ramiona miała przygarbione, ciemne włosy przesłaniały twarz, choć lewą ręką wciąż go mocno ścisnęła, a zaraz potem dołączyła do niej i prawa. Mimo to nie chciała na niego spojrzeć.

Po czym usłyszał, jak mówi, cicho, znów się ku niemu odwracając:

- Wiem, że nie jesteś Tomaszem, że nie możesz nim być, że nie powinnam żyć takiej mrzonki, że przypominasz mi o nim po prostu dlatego, że jesteś taki wysoki i masz takie same włosy. Czuję się samotna i zdesperowana, jestem w tym kraju całkiem sama, ty tu jesteś, a Tomasza tu nie ma. Dajesz mi pewną nadzieję, dzięki tobie łatwiej mi go sobie wyobrazić, łatwiej mi go sobie przypominać. Ty oczywiście nie masz o tym pojęcia, ale dzisiaj tylko ciebie mam i odkąd wyjechałam z kraju nikogo poza tobą nie miałam. Michaelu, wiesz... nagle stałeś mi się tak drogi. Wiem, że któregoś dnia spotkamy się jeszcze bez tego Tomasza, który dziś jest tu z nami... jakby nie odstępował mnie na krok, dzisiaj pozwól mi jeszcze pożyć tym złudzeniem. Taka szczęśliwa jestem tutaj z tobą, mimo że to, co mi przypominasz, to, za

czym tęsknię, to tylko wspomnienia wspomnień, pamięć o tym, jak było, zanim wszystko runęło w gruzy. Moje życie zostało przerwane. Ty w ogóle jesteś w stanie to zrozumieć?

- Tak - odpowiedział, myśląc, jak marnie brzmi to jedno słowo.

- Jedno tylko chcę wiedzieć: że szybko się znowu zobaczymy.

- Postaram się.

- Nie. Zwariuję, jeśli mi nie obiecasz.

Znów zamilkła. Potem powiedziała:

- Nie. Nie wariuj. Obiecuję.

- Czyli niedługo?

- Jeśli znowu mnie wyślą do Tealby Moor to może być i jutro - powiedziała. - Albo pojutrze. Kiedy tylko będę mogła.

Jeszcze nie skończyła mówić, a on już uświadomił sobie, że to znaczy, że się nie spotkają. Choćby przywiozła do jego bazy i dziesięć lancasterów, on się o tym nigdy nie dowie, nie będzie też w stanie wziąć wolnego, żeby się z nią zobaczyć.

Gdy siedzieli na ławce, słońce przesunęło się po niebie i teraz znajdowali się w przyjemnym cieniu jednego z wysokich drzew po bokach. Cały czas trzymała go za rękę.

- Michael, chciałabym ci coś dać. Coś, czego nie ma nawet Tomasz. Wtedy uwierzysz, że się jeszcze spotkamy?

- A co to takiego?

- Nie mam pieniędzy, nie mam nic, co mogłabym ci dać na pamiątkę, ale mogę ci zdradzić pewien sekret. Kiedy byłam mała, mama miała dla mnie specjalne imię. Moja prawdziwa matka, ta, której nie widziałam od jedenastego roku życia. Mówiło się na to „domowe imię”. I moja matka nazywała mnie „Malina”. To staropolskie imię, pochodzi od nazwy owocu. Malina. Mama bardzo lubiła maliny. Kiedy byłam mała, zapuścili mi długie włosy. Sadzała mnie na kolanach, czesała, całowała i mówiła do mnie „Malina”. Nawet Tomasz tego nie wie. Nigdy mu nie mówiłam. Nikomu nie mówiłam.

- Chcesz, żebym ja tak do ciebie mówił?

- Pamiętaj, że to moje prywatne, osobiste imię. Nasza wspólna tajemnica. Powiedz to jeszcze raz.



- Malina.

- Świetnie. - Poruszyła zdecydowanie ręką, zerknęła na zegarek. - Trzeba wracać do twojej bazy.

Przeszli pod cmentarną bramą i ruszyli prostą drogą przez wieś. Torrance spróbował wziąć ją za rękę, lecz gdy tylko jej dotknął, od razu się odsunęła. Nieśli pod pachą bluzy, on szedł blisko niej i chwilami dotykali się ramionami. Nie przeszkadzało jej to.

- Niedługo będę mógł wziąć urlop na weekend - powiedział. - Może wtedy się spotkamy?

- U nas nie ma urlopów. Ja jestem cywilem. Czasem trzeba latać, a czasem nie. Urlop jest dla wojskowych lotników.

- Ale jakieś wolne musisz mieć. Może uda nam się jakoś umówić?

- Spróbuję.

- Krystyna, czego ty właściwie chcesz?

- Michaëlu. Obiecałam ci przecież. Chcę tego samego, co ty, ale nie będzie to łatwo zorganizować. Cieszę się tym, co mamy teraz.

- No to jak się spotkamy?

- Coś się wymyśli.

Dotarli do odcinka drogi, który prowadził wzdłuż ogradzającego lotnisko żywopłotu. To także przypominało mu, że ich spędzony wspólnie czas skończy się zaraz, a właściwie już. W ansonie będzie za głośno na cokolwiek ponad rzucane przez interkom półsłówka. A po wylądowaniu wTealby Moor oczywiście zaraz trzeba się będzie pożegnać. Sama wojna, samo wojenne życie tworzyło między nimi nieprzebytą barierę.

- Zapytałeś, czego ja chcę - odezwała się nagle. - Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Chcesz być z Tomaszem - powiedział, żałując, że w ogóle zadał to pytanie.

- Oczywiście, tak. To już wiesz. Ale i z tobą. - Odnalazła jego dłoń, ścisnęła ją delikatnie. - Nagle stałeś się dla mnie taki ważny. Cały czas chodzi za mną lęk, że Tomasz zginął na wojnie, a ja nic nie wiem. Dzisiaj, kiedy cię spotkałam, kiedy spędzałam z tobą czas, po raz pierwszy byłam w stanie zmierzyć się z tą myślą. Zresztą obojętne, jaka jest prawda, i tak nie uda mi się wrócić do życia sprzed wojny. Polska jest zniszczona. Rodzina Tomasza już nigdy nie będzie opływała w luksusy jak przed wojną. Zresztą i tak nie chciałabym mieć z nimi nic wspólnego. Ale mam i inne marzenia.

Roześmiała się niespodziewanie, puściła jego dłoń i zerwała na skraju drogi długie źdźbło trawy. Machnęła nim tam i z powrotem, trawa zafalowała, w powietrze wzbił się rój owadów.

- Inne marzenia? Jakie?

- A ty nie masz żadnych ambicji? Choćby takich drobnych, że chcesz coś zrobić w życiu? I nie chodzi o uczucia?

- Mam.

- I ja mam. Mam takie marzenie. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Powiem ci. Pewnie będziesz się śmiał, ale ja mówię zupełnie serio. Serio jak nie wiem! Chciałabym któregoś dnia dostać zadanie przewiezienia spitfire'a! To najpiękniejszy samolot na świecie.

Uniosła trawkę i cisnęła ją przed siebie jak oszczep, w stronę skarpy przy drodze. Źdźbło przez chwilę jakby łapało ciepłe prądy powietrza, wznosiło się na nich, potem jednak wylądowało korzeniem do przodu wśród zarastających górną część skarpy chwastów. Przez dwie czy trzy sekundy stało prosto, potem zachwiało się i przewróciło na bok. Krystyna obejrzała się na Torrance'a, jakby chciała sprawdzić, czy się z niej śmieje. Nie śmiał się.

- To się marzy wszystkim dziewczynom z mojego oddziału - powiedziała. - Jedna czy dwie miały okazję się nim przelecieć, ale to się bardzo rzadko zdarza. Mówimy, że spitfire jest tak zmysłowy, jak doskonały kochanek, nie mężczyzna, ale przepiękny ogier, którego trzeba okiełznać i ujeździć, albo jak

wielki drapieżny kot w pełnym pędzie. Spitfire'em latają mężczyźni, ale jest stworzony dla kobiet. Dla nas jest jak obcisłe ubranie, jak druga skóra. W bazie powiesiłam sobie zdjęcie spitfire'a na ścianie nad łóżkiem. Jakże chciałabym się kiedyś w nim znaleźć. Większość dziewczyn z ATA uważa tak samo, żartujemy sobie z tego, podśmiewamy się z siebie nawzajem, ale w głębi serca wszystkie obsesyjnie tego pragniemy. Od czasu do czasu, jak idziemy do dyspozytora, na tablicy wypisany jest taki rozkaz. To jak wygrać na loterii. Ta dziewczyna, która jest tego dnia na grafiku, czuje się jak gwiazda filmowa. Wszystkie jej zazdrościmy.

- Ale tobie się jeszcze nie zdarzyło?

- Na razie nie. Mam nadzieję, że kiedyś się uda.

- I to wszystko? Przelecieć się samolotem?

- Ale nie byle jakim samolotem i nie byle jakim spitfire'em. To musiałby być jeden z tych, które teraz produkują, Mk XI. Wiesz, co to znaczy?

Torrance odparł z żalem:

- Ja pracuję przy bombowcach. Myśliwców w ogóle nie widzimy, więc ja...

- Spitfire Mk XI jest najpiękniejszy i najlepszy ze wszystkich spitfire'ów! To w ogóle nie jest myśliwiec, tylko samolot rozpoznawczy, ma na pokładzie tylko potężne kamery. Żeby oszczędzić na ciężarze, nie ma uzbrojenia, a żeby zwiększyć zasięg, ma dodatkowe zbiorniki paliwa. Potrafi latać tak wysoko, że nikt go nie zobaczy, i jest tak szybki, że nie dogoni go żaden inny samolot.

Zatrzymała się pośrodku drogi, wymachując w podnieceniu rękoma.

- Wiesz, Michael, on jest jak dzieło sztuki! Zobaczysz, jak nad tobą przelatuje, i jakbyś zobaczył dzieło sztuki, czujesz się odmieniony, czujesz się lepszy, bo się do niego zbliżyłeś. Czasem myślę, że nawet jeśli w końcu przegramy z Niemcami, to wystarczającym usprawiedliwieniem będzie fakt, że Brytyjczycy zaprojektowali i skonstruowali spitfire'a. Myślisz, że jestem

stuknięta?

Torrance powiedział:

- Nie, bo...

- Ale ja sama myślę, że jestem stuknięta. To takie moje szaleństwo. Wybacz mi, przyjechałam do tego kraju, jedyne, co umiem robić, żeby pomóc w wojnie, to latać, a latanie spitfire'em to najpiękniejsza rzecz na świecie. To jedyne, czego pragnę, jedyne, co mi pozostało do osiągnięcia. Czasami leżę w łóżku i wyobrażam sobie, jak siedzę w fotelu, w kabinie takiego spitfire'a dalekiego zasięgu, jak lecę nim wysoko i szybko, z daleka od tej wojny, jak najdalej, prosto w chmury i ponad chmurami, jak sięgam dachu świata, lecę bez końca, tam, gdzie nie ma Niemców, nie ma wroga, gdzie jest tylko czyste powietrze i czyste niebo.

Urwała nagle, spojrzała mu w oczy. Zaczerwieniła się, dłonie wciąż miała uniesione. Wydała się Torrance'owi kompletnie poza jego zasięgiem, poza jego światem, ponad codziennymi troskami, uwolniona od ponurej rzeczywistości trwającej wojny. W jej oczach dostrzegł łzy. Otarła je palcami i odwróciła twarz.

- Jezus, przepraszam! - powiedziała. - Zupełnie nie wiem, czemu tak się przy tobie zachowuję. Nigdy nikomu o tym nie mówiłam.

Zrobił krok ku niej, objął ją ramionami. Nie oponowała, lecz przycisnęła się do niego. Zauważył, że cała drży.

- Michael, proszę. Niech to się już skończy.

- Nic się nie bój.

Spróbował ją pocałować, lecz odwróciła twarz. Udało mu się tylko musnąć ustami jej policzek. Stali tak przez chwilę, potem stopniowo rozluźnili objęcia. Powoli ruszyli dalej.

- My tu mówimy o spitfire'ach - powiedziała Krystyna, gdy dotarli do wejścia na lotnisko. Z drogi widać było koniec grubego statecznika pionowego ansona. - A ja dziś muszę latać czymś takim.

Utylitarny, kompletnie wyczuty z urody samolot czekał tam, gdzie go wcześniej zostawiła. Do pilnowania go przydzielono

starszego szeregowego RAF- u, młodziaka, który zsalutował, gdy Krystyna pokazała mu dokument, i schował się w przyczepie dyżurnego. Torrance czekał pod maszyną. Krystyna poszła do tej przyczepy, żeby złożyć plan lotu i wziąć najnowszą prognozę pogody i informacje operacyjne. Gdy z niej wyszła, miała już na sobie skórzaną pilotkę i rękawice.

Lot powrotny do Tealby Moor trwał tyle samo, co poprzednio, Mike'owi wydało się jednak, że skończył się w parę minut. Zobaczyli lotnisko, a Krystyna przed lądowaniem zrobiła rundę wokół niego, tak że Mike mógł obejrzeć z lotu ptaka bazę, którą tak dobrze znał – zauważył rząd baraków, w których spał i mieszkał, hangar, w którym pracował, i tak dalej. Widział także morze, zaskakująco blisko bazy, a w każdym razie tak się wydawało z powietrza – zwykle personel naziemny przypominał sobie o nim tylko, kiedy wiał od niego przenikliwie zimny wschodni wiatr. Gdy patrzył przez parę minut z wysoka, zdziwiło go jeszcze parę rzeczy – wzniesienie, od którego baza zaczerpnęła nazwę, Tealby Moor, będące zachodnim skrajem wzgórz Lincolnshire Wolds, było z powietrza prawie niewidoczne. Kiedy wracało się do bazy z pobliskiego miasteczka targowego Market Rasen, czasami naprawdę ciężko było iść pod górę, szczególnie po wieczorze spędzonym w pubie. A z powietrza w ogóle nie było widać żadnego wzniesienia.

Potem popatrzył na spore pole tuż za końcem głównego pasa, gdzie wciąż widać było ślady po rozbitym H jak Henry – wielki, czarny trójkąt wypalony w zbożu zaczynał już zarastać. Niebawem zniknie.

Krystyna wyrównała lot ansona, przykręciła gaz, obniżyła pułap i łagodnie wylądowała na głównym betonowym pasie. Prawe od razu zjechała na drogę do kołowania i skierowała się wprost do Dispersalu 11. Wyłączyła silniki, a z jednego z hangarów wybiegł szeregowiec, którego Torrance nigdy dotąd nie widział, i podłożył kliny pod koła.

Zerwała z głowy hełm i potrząsnęła ciemnymi włosami.

- I tu się żegnamy - powiedziała.

- „Żegnanie” mi się nie podoba. Brzmi bardzo ostatecznie. Zresztą obiecałaś mi.

- Wiem. Ale muszę wracać. A ty też musisz iść.

- Po francusku mówi się *au revoir*. To znaczy „do zobaczenia”.

- *Au revoir*, Michaelu.

- Niedługo się odezwę. Napiszę. Zadzwoń. - Wzjął głęboki wdech. - Krystyna, bo ja...

- Co takiego?

- Nie wiem, co powiedzieć. Co mogę powiedzieć. - W głębi serca buzowały mu miłosne wyznania, wyrwały się z niego, on jednak nie był w stanie ich wykrztusić, nie w tej ciasnej kabinie, nie w popołudniowym słońcu, nie kiedy tuż przy maszynie stoi szeregowy z ekipy naziemnej. - Nie chcę cię stracić - powiedział w końcu.

- To wspominaj mnie moim prawdziwym imieniem.

- Malina.

- Tak. Nie zapomnij, że to nasz wspólny sekret.

Pochyliła się ku niemu, a on przez jedną radosną chwilę myślał, że zamierza go pocałować. Ona jednak sięgała, żeby otworzyć drzwi kabiny po jego stronie. Wiatr odepchnął je gwałtownie, aż huknęły o kadłub. Mike uwolnił się z pasów, odwrócił się, zsiadł na skrzydło i zeskoczył na trawę. Krystyna jednocześnie wyskoczyła z drugiej strony.

Szeregowy, który kładł kliny pod koła, stał tuż przy maszynie i gapił się na nich.

Dzień z Krystyną dobiegł końca. Podążyła mu rękę, uściśnięła ją oficjalnie. Poszła do kontroli lotów. Nie obejrzała się. Torrance odczekał, aż zniknie w środku, i rozejrzał się za miejscem, gdzie zostawił rower. Z głową pełną wspomnień, nierealnych nadziei i marzeń, odtwarzając w myślach urywki wspomnień, przypominając sobie jej twarz, popedałował z powrotem do baraku.

Jeszcze był na drodze obwodowej, gdy anson z nierównomiernym rykiem silników ruszył głównym pasem pod



wiatr. Zatrzymał rower, podparł się jedną nogą i pomachał jej. Jeśli nawet Krystyna jakoś odpowiedziała, nic nie zobaczył.

Dziesięć minut później znalazł się z powrotem w znajomym, szorstkim świecie personelu naziemnego i baraków z blachy falistej, choć czuł teraz bolesny dystans od reszty ludzi. Oni też coś wiedzieli – kiedy go nie było, po sekcji przyrządów rozeszła się jakaś rubaszna plotka. Znosił w milczeniu docinki i sprośne uwagi, póki nie nadeszła cisza nocna, po czym z przyjemnością pograżył się w rozmyślaniach, mając wreszcie po ciemku święty spokój.

Wreszcie miał okazję pomyśleć jak należy o Krystynie – o dotyku jej dłoni, o jej głosie, o ciemnych włosach muskających go w policzek, o dostrzeżonych przez ułamek sekundy łzach. A także o jej otwartej, fascynującej, oczywistej cudzoziemskości. Tej nocy prawie nie zmrużył oka – był w niej całkowicie i beznadziejnie zakochany.

Były dwie metody nawiązania ponownego kontaktu z Krystyną. Prościej i taniej było napisać do niej pod adres w Hamble, który mu podała. Problem polegał na tym, że wszyscy w RAF- ie wiedzieli, że każdy list jest po drodze cenzurowany, i z konieczności nauczyli się pisać lakonicznie – nikomu w aktywnej służbie nie wolno było w żaden sposób, choćby aluzją, zdradzać, gdzie dokładnie stacjonuje, co robi, w jakich godzinach pracuje, ani kiedy będzie mieć najbliższy urlop. A i listy ograniczone do beznamietnego minimum informacji padały ofiarą czarnych cenzorskich skreśleń. Po barakach krążyły opowieści o kompletnie nieszkodliwych listach do rodziców czy do dziewczyn, które docierały do adresatów tak pocięte i pokreślone, że to, co zostało, było całkowicie nieczytelne.

Nie był nawet pewien, czy w ogóle wolno mu próbować się kontaktować z kimś z ATA. Może ich praca jest na przykład tajna lub coś podobnego?

W każdym razie, obojętne jaki był powód, nie doczekał się odpowiedzi na żaden z listów wysłanych do Krystyny, nawet na te, w których nieśmiało nazywał ją „Malina”.

Był jeszcze telefon, który też nastroczał problemów nie do pokonania, pominiawszy nawet zaporowy koszt rozmów. Torrance stwierdził, że dzwoniąc do niej pierwszy raz, w sprawie zgubionego portfela, musiał mieć niewiarygodne szczęście. Rozmowy międzymiastowe były zasadniczo zarezerwowane dla władz i oficerów wojskowych. Pierwsze próby kontaktu po spotkaniu udaremniła mu telefonistka, mówiąc, że wszystkie linie są zajęte, a gdy udało mu się połączyć, tylko raz ktoś po drugiej stronie odebrał. Była to kobieta, która powiedziała mu, że „panny Roszko” nie ma w domu – zapewne ta jej

współlokatorka, Lisbeth. Mike, pamiętając, że to córka generała Reardena, przestraszył się jej. Wyjął prośbę o przekazanie wiadomości, poprosił, by powiedziała Krystynie, że dzwonił i że postara się jeszcze zadzwonić, jak tylko będzie mógł. Miał irracjonalną nadzieję, że Krystynie uda się jakoś oddzwonić, choć jedyny telefon, do jakiego miał dostęp, był w podłe oświetlonej budce pod kantyną NAAFI, która po godzinach była bez przerwy przez kogoś zajęta. Zresztą nie miał pojęcia, jak można do tej budki w ogóle zadzwonić.

Nie mógł się doczekać kolejnego spotkania z Krystyną. Myślał o niej bez przerwy.

Nie on jeden przeżywał taką tęsknotę. Rozłąka z ukochanymi była w bazach RAF- u czymś normalnym. Większość mężczyzn w wolnym czasie pisała lub po wielokroć czytała otrzymane listy. Torrance zdawał sobie sprawę, że jego niepokoje o Krystynę nie są niczym niezwykłym. Wcale mu to nie pomagało.

Dywizjon tymczasem wciąż tracił kolejne załogi – każda strata przynosiła nieprzyjemną świadomość, że oto znów grupa młodych ludzi trafiła do obozu, albo, co gorsza, została ranna, albo, jeszcze gorzej, zginęła w zestrzelonym samolocie, gdy ten rozbił się o ziemię lub spadł do morza.

Torrance wiedział, że jemu akurat nie grozi żadne niebezpieczeństwo, choć wszyscy w bazie słyszeli o sporadycznych atakach niemieckich samolotów na lotniska, każdy miał też w pamięci niedawną koszmarną katastrofę „H jak Henry”. Własnym losem się nie przejmował, zamartwiał się o Krystynę.

Lato skończyło się, przyszła jesień, która powoli zmieniała się w zimę. Mike nadal nie miał żadnego kontaktu z Krystyną. Dowództwo Bombowe rozpoczęło zimową ofensywę – długi ciąg masowych nalotów – na stolicę Niemiec, Berlin. Z punktu widzenia załóg były to najtrudniejsze i najbardziej męczące naloty ze wszystkich dotychczasowych. Berlin leżał na granicy zasięgu lancasterów, lot trwał długie godziny i był niebezpieczny, pogoda była prawie nieodmiennie zła, powodując ciągłe problemy z

oblodzeniem maszyn, niemieckie nocne myśliwce wypracowały sobie parę skutecznych nowych taktyk zwalczania bombowców, a samo miasto było otoczone silną obroną przeciwlotniczą. Każdy kolejny nalot wiązał się z nieuniknionymi ofiarami i Dywizjon 148 także zaczął ponosić ciężkie straty.

Torrance popadł w otępienie, trochę w reakcji na liczne ofiary, choć była to reakcja obronna także na rozczarowanie zachowaniem Krystyny. Tliła się w nim jeszcze drobna nadzieja, że w końcu się do niego odezwie, naprawdę jednak wiedział, że to zapewne nigdy nie nastąpi. To, co między nimi było, dawno się skończyło.

Pierwszego lutego morale dywizjonu ucierpiało wyjątkowo mocno. Poprzedniej nocy odbył się katastrofalny nalot, w którym Brytyjczycy stracili w sumie trzydzieści trzy maszyny, w tym pięć lancasterów z Dywizjonu 148. O czterech było wiadomo, że zostały zestrzelone, piąta rozbiła się podczas długiego lotu powrotnego. Obsługa naziemna zdążyła już się przyzwyczaić do kolejnych tragicznych zdarzeń – choć nigdy nie przestała się nimi przejmować – jednak strata pięciu załóg w ciągu jednej nocy była wielkim i przygnębiającym ciosem. Jednym z zestrzelonych samolotów był „G jak George”, którego Torrance obsługiwał od paru tygodni i świetnie znał załogę.

Po południu przyleciały dwa uzupełniające lancastery, dotarły na daleki punkt rozproszenia dokładnie wtedy, gdy Torrance wracał po obiedzie do sekcji przyrządów. Idąc, zauważył pędzące po pasie auto. Zatrzymało się niedaleko niego i wysadziło pasażera, który poszedł w stronę kwatery głównej dywizjonu.

Torrance od razu rozpoznał kobaltowy mundur ATA. Stał jak wryty i wytrzeszczył oczy. Pilot był mężczyzną, wysokim, szczupłym, prostym jak struna. Powoli oddalał się od niego.

Mike nie mógł się powstrzymać. Pobiegł pędem za pilotem, w biegu salutując mu niezdarnie.

- Sir! Sir!

Pilot stanął i odwrócił się. Zerknął na znoszony kombinezon Torrance'a, dotarło do niego, z kim ma do czynienia.

- Nie musisz mi mówić „sir” - powiedział. - Nie jestem żołnierzem RAF- u.

- Sir, ja wiem, kim pan jest! - wysapał Torrance, zdyszany, choć przebiegł niecałe dwadzieścia metrów. - Muszę pana o coś poprosić. Bardzo mi na tym zależy!

- My się znamy?

- No... nie, chodziło mi o to, że wiem, że pan jest z ATA.

- No tak.

Podeksytowany Mike miał w głowie mętlik. Na moment przypomniały mu się dziwaczne opowieści, które kiedyś krążyły o pilotach ATA, o ich kulach, szklanych oczach i drewnianych nogach. Ten tutaj wyglądał na całego i zdrowego, choć był siwowłosy i dawno przekroczył wiek pilotów w aktywnej służbie, czy nawet oficerów pomocniczych. Zmieszał się na tę myśl.

- Przepraszam pana! - wybąkał. - Nie wiem, co mnie...

- Mówiłeś, że chcesz mnie o coś poprosić.

Torrance wziął głęboki wdech, spróbował się uspokoić, jednak był tak spięty, że nabrawszy mroźnego powietrza, tylko się rozkaszał. Wreszcie wykrztusił:

- Próbuję nawiązać kontakt z pewną... eee... znajomą, pilotką z ATA. Nie wiem, jak mam jej szukać.

- Jest u nas pilotką?

- Tak.

- Nie za bardzo mam kontakt z kobiecymi jednostkami - powiedział. - One stacjonują w zupełnie innych bazach. Znasz jej nazwisko? Podasz mi?

- Nazywa się Krystyna Roszko. Jest młodszym pilotem i jest z Polski.

- Z Polski... no tak, wiem, że lata u nas kilka osób z Polski. A gdzie ona stacjonuje?

- W Hamble - odpowiedział Torrance.

- Ja jestem w White Waltham. Spory kawałek od Hamble. Niestety nie znam pani Roszko. A próbowałaś może zwrócić się do polskiego rządu na uchodźstwie?

- Nie. Nie przyszło mi do głowy.

- Zresztą może i nie udzieliliby ci żadnej informacji. Rozumiem, że masz ważny powód, żeby się z nią skontaktować? - Torrance poczuł, że się rumieni. Pilot uśmiechnął się. - Chcesz, żebym spróbował jej przekazać jakąś wiadomość?

- Ojej. Gdyby pan mógł... - Wylał się z niego potok słów: proszę przekazać żeby zadzwoniła, albo nie, napisała, przyjechała na lotnisko, to ważne, pilne, musi się szybko ze mną skontaktować.

Starszy pilot wysłuchał go spokojnie, potem wyciągnął notatnik. Zapytał Torrance'a o stopień i nazwisko, numer służbowy, nazwisko przełożonego oficera i podoficera dowodzącego grupą. Wszystko to zapisał. Potem sam podał Torrance owi swoje dane: Pilot I klasy Dennis Fielden, adres kontaktowy - lotnisko połowę White Waltham, a nawet adres kwatery głównej ATA w Londynie - i zasugerował, że jeśli nic innego się nie uda, może spróbować tam zapytać o Krystynę. Przypomniał też Torrance'owi, że podczas wojny środki ostrożności są zaostrzone i może być mu trudno dowiedzieć się czegokolwiek.

- Młodszy szeregowy RAF- u Michael Torrance - przeczytał na głos. - Ona zna pana stopień i nazwisko?

- Tak.

- Postaram się to załatwić - powiedział. - Czasem się coś uda znaleźć. Jestem w ATA od samego początku wojny i sporo ludzi znam.

Mike wrócił do pracy. Od wielu tygodniu nie czuł się tak pogodny, choć resztę mechaników wciąż przytłaczał smutek.

Minęły trzy dni, jednak pokrzepiony pewnością siebie Fieldena był przekonany, że wszystko pójdzie dobrze. Czwartego dnia, po południu, wezwano go bez uprzedzenia do gabinetu oficera przybocznego w głównym budynku bazy. Pożyczył rower i popedałował tam w pośpiechu - nigdy dotąd nie był w tym gabinecie, więc po wejściu do głównego budynku musiał zapytać o drogę.

W korytarzu, do którego go skierowano, stało dwóch ludzi, jednym był Dennis Fielden, drugiego oficera RAF- u nie

kojarzył, ale domyślał się, że to chyba przyboczny dowódcy. Gdy zauważyli, że się ku nim zbliża, ten drugi kiwnął Fieldenowi głową i szybko odszedł. Fielden przywitał się z nim w korytarzu, potem zaprowadził go do gabinetu. Torrance zauważył, że nie ma na głowie czapki. Zdjął swoją. Fielden zamknął drzwi. Nie siadał.

Od razu powiedział: - Szeregowy Torrance, udało mi się odnaleźć panią pilot Roszko, ale niestety nie mam dobrych wiadomości. Krystyna Roszko ma status zaginionej, uważa się, że prawdopodobnie zginęła. Wykonywała regularne zadanie transportowe i niespodziewanie zoczyła z kursu. Nie dotarła do punktu przeznaczenia. Nie odnaleziono wraku, zakładamy więc, że musiała awaryjnie wodować. Część jej planowej trasy prowadziła blisko ujścia Tamizy, a zbaczając z kursu prawie na pewno wyleciała nad morze. Wydaje się możliwe, że jakimś sposobem zgubiła kurs, nie potrafiła na niego wrócić i musiała wodować, kiedy skończyło jej się paliwo.

Do Torrance'a dotarło tylko pierwszych parę słów. Zakręciło mu się w głowie od fali złych wieści.

Obaj przez chwilę milczeli, potem Torrance powiedział:

- Kiedy to się stało, sir?

- W zeszłym roku, pod koniec sierpnia. To zadanie transportowe otrzymała dwudziestego siódmego sierpnia.

- To pewne, że ona nie żyje?

Torrance stwierdził, że siedzi, choć nie pamiętał, żeby siadał. Pod sobą miał twarde drewniane krzesło, stojące przy drzwiach gabinetu. Pilot ATA stał obok, pochylał się nad nim ze współczującą miną. Był spokojny, rzeczowy, wysoki. Położył mu dłoń na ramieniu. Powiedział:

- Tak mi przykro, Michaelu.

- Dziękuję, sir.

Gdy Fielden wyszedł, Torrance nie był w stanie od razu wrócić do pracy. Wyszedł z gabinetu adiutanta, przeszedł korytarzem, znalazł pusty pokój na samym końcu. Zaszył się w środku i zamknął za sobą drzwi.

Latem 1944 roku Mike'a Torrance'a przeniesiono do bazy RAF- u na południu Włoch, gdzie serwisował samoloty P- 51 Mustang i P- 38 Lightning dla Amerykańskich Sił Powietrznych. Był tam przydzielony do samego końca wojny, a potem wrócił do Anglii. Zdemobilizowano go na początku roku 1946.

W roku 1948 poznał swoją przyszłą żonę Glenys. Zamieszkali na południowo- wschodnich przedmieściach Londynu, od strony Kentu. Mieli troje dzieci, dwóch synów i córkę. Po wojnie Torrance miał się różnych prac, choć w roku 1954 zaczął pracować dla średniej wielkości agencji reklamowej na Bayswater Road, niedaleko Notting Hill. Wyuczył się na copywritera - miał to zajęcie za stymulujące i twórcze. W reklamie przez parę lat świetnie mu szło, lubił tę pracę, potem stwierdził jednak, że copywriting jest trochę ślepą uliczką. Zresztą coraz bardziej miał ochotę spróbować sił w innym rodzaju pisania. Zatrudnił się w filii amerykańskiego koncernu chemicznego w Bromley, jako szef działu *public relations*. Był odpowiedzialny za tworzenie i wydawanie wszelkich materiałów drukowanych, od prostych opisów produktów po ulotki i wychodzący co miesiąc firmowy magazyn.

Parę lat później, ośmielony przyjemnością, jaką czerpał z tej pracy, oraz przeświadczeniem, że wykonuje ją dobrze, całkiem zrezygnował z pracy na etat i zajął się pisaniem biografii. Zaczynał skromnie, od krótkich biografii żołnierzy, którzy wyróżnili się w czasie II wojny światowej wyjątkowo bohaterskimi lub odważnymi czynami. Pisał je na zamówienie małego wydawnictwa specjalizującego się w historii wojskowości. Później przeszedł do biografii politycznych i społecznych, już dla masowego czytelnika. Z czasem został



autorytetem w tej dziedzinie.

W owych czasach rzadko wspominał Krystynę Roszko – spełniał się w pracy, absorbowały go także dorastające dzieci. W końcu nadszedł czas emerytury.

Z początku uznał to za arbitralną datę w kalendarzu, ponieważ dla literackiego wolnego Strzelca perspektywa raptownego rozstania z pracą wydała się niekonieczna i sztuczna. Cieszył się dobrym zdrowiem, dostawał tantiemy za wydane książki, a nienapisanych miał zaplanowanych więcej niż kiedykolwiek. Zdawał sobie jednak sprawę, że trochę zwalnia tempo i nabiera większej skłonności do introspekcji. Pracował więc jak zawsze, jednak coraz częściej powracał myślami do lata 1943 roku i krótkiego romantycznego epizodu z Krystyną, pilotką z Polski, dziewczyną, młodą kobietą, która płakała i trzymała go za rękę. Dawno nie wspominał sekretu, który mu powierzyła – imienia, którym ją pieszczotliwie nazywała matka. „Malina”. Dziś od razu sobie przypomniał. Powtórzył je w myślach, wymawiając dokładnie tak jak Krystyna, z akcentem na długie „i” pośrodku.

Zaczął myśleć o niej z coraz większym zainteresowaniem, poświęcając jej coraz więcej uwagi, przypominając sobie samego siebie z tamtych czasów – tak młodego, nieśmiałego, niedojrzałego, niedoświadczonego, niegotowego na światową kobietę, jak ona. Zachodził w głowę: jaki musiał się jej wówczas wydać? Poniewczasie uświadomił sobie, jak wiele osiągnęła: dzięki zawziętej niezależności, przebojowości i inicjatywie uczestniczyła w obronie ojczyzny, odbyła wiele godzin niebezpiecznych lotów, gdy bombowce nurkujące Luftwaffe atakowały miasta, a myśliwce wypatrywały każdego możliwego celu, potem uciekła przed najeźdźcami, odbywając koszmarną podróż w poszukiwaniu bezpiecznego azylu przez kolejno ogarniane wojną kraje. A on? Gdy się poznali, był ledwie chłopcem, wyrwanym z domu, wrzuconym w rozgardiasz wojskowego lotniska RAF- u, gdzie ledwo sobie radził. Z perspektywy czasu aż się rumienił, patrząc na ówczesnego siebie, na swoje skromne wykształcenie, brak obycia w świecie,

brak doświadczenia z dziewczynami. Wiedział, że Krystyna z początku dostrzegła w nim cień kogoś innego, swego prawdziwego ukochanego, choć pod koniec owego dnia nie wydawało się to aż tak ważne. Sądził, że wtedy już nawiązywała kontakt z nim, nie ze wspomnieniem innej osoby.

Kiedy II wojna światowa dobiegła końca, Torrance, jak wielu ludzi, którzy przez nią przeszli, zepchnął te wspomnienia gdzieś głęboko. Miał dosyć wojen, dosyć życia w RAF- ie. Prawie nikomu nie mówił o swoich przeżyciach. Nawet gdy poznał Glenys, dopiero po sześciu miesiącach napomknął, że służył w RAF- ie, a i wtedy prawie przemilczał swoją rolę i już nigdy o tym nie wspomniał. Dopiero gdy zaczął pracować nad pierwszymi biografiami i korespondować z weteranami, a czasem i rozmawiać z nimi osobiście, zdał sobie sprawę, że to, co przeżył z Krystyną, wcale nie było niczym niezwykłym. W wojnie brało udział tylu młodych ludzi, nawet wśród tych, którzy zasłużyli się na froncie. Prawie każdy z nich po raz pierwszy przebywał z dala od rodziny, ciśnięty w kontrolowany chaos wojskowego życia. U wielu w obliczu walki i śmierci ujawniała się jeszcze silniej potrzeba przyjaźni, miłości, wraz z późniejszymi rozstaniem, płaczami, żałami, powrotami i nadziejami. Lęk, że zginą sami, lęk, że zginą ludzie, których kochali, lubili lub po prostu pracowali razem z nimi. Tyle rozstań, tyle powodów do rozbijania rodzin, tyle związków, kontaktów, nowych początków, fałszywych nadziei i tragicznych zakończeń.

Spotkanie z Krystyną było jedynym przeżyciem z czasu wojny, które miało na niego wielki wpływ. Wspominał jej relację o życiu w Polsce, którą spisał z pamięci w roku 1953, kiedy jeszcze miał się różnych niesatysfakcjonujących go prac. Wówczas, pisząc o tym, czuł, że porządkuje fakty, składa je w kompletną i zamkniętą całość. W tym sensie mu się udało. Przez wiele lat nie zaglądał do tej relacji, nawet o niej nie myślał. Przeszukał pokój, biurko, komody, kupę starych teczek - aż wreszcie ją znalazł, w pudełku z papierami odłożonymi przez żonę na bok, do oddania na makulaturę. Wydobył tekst stamtąd i przeczytał go.

Zalała go fala wspomnień. Od razu przypomniał sobie, jak i kiedy dowiedział się, że zginęła.

Zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, co wciąż go męczyło. Choć przyjął na wiarę wszystko, co powiedział mu życzliwy oficer ATA, Dennis Fielden, od pierwszej chwili czuł, że to nie jest cała prawda. Starając się świadomie zapomnieć o wszystkich wojennych zdarzeniach, mimo woli pozwolił i tej zagadce zdryfować w niepamięć. Zginęły miliony ludzi, nader często w niewyjaśnionych okolicznościach, taka już natura wojny, z jej gwałtownymi zdarzeniami, niespodziewaną śmiercią, podłymi czynami, tajemnicami.

Wydawało mu się jednak nieprawdopodobne, by Krystyna pozwoliła sobie się zgubić albo zejść z zaplanowanego kursu. Możliwe oczywiście, że się rozbiła, wskutek mechanicznej awarii samolotu, zestrzelona przez wroga lub na skutek złej pogody, lecz wszystko, co o niej wiedział, nie pozwalało mu myśleć, że tak się po prostu przypadkiem zgubiła. Nie znaleziono wraku – jak podejrzewał, oznaczało to, że nie znaleziono niczego wzdłuż planowanej trasy. Widział, jak lata, podziwiał jej umiejętności, jej naturalny talent do pilotażu – a także jej determinację, wewnętrzną siłę, indywidualność, wszystkie jej nadzieje i pragnienia. Skoro zboczyła z kursu, musiała mieć jakiś powód.

Torrance postanowił, że dowie się, co to mogło być. I on bowiem, odkąd został pisarzem, zyskał parę nowych umiejętności. Przede wszystkim umiejętność poszukiwania i zbierania materiałów, przegrzebywania pudeł z zakurzonymi papierami, płańdowania gazetowych archiwów i wyciągania na wpół ukrytych informacji z czeluści państwowych instytucji. Miał liczne kontakty, znajomości, wpływy i sposoby. Wiedział, że przydałoby się jeszcze znać polski – od wielu lat pragnął się go nauczyć, zamówił więc sobie kurs na płytach, a potem poszedł jeszcze na prywatne lekcje.

Dotarcie do faktów okazało się prostsze, niż przypuszczał, gdyż w powojennych latach wiele państwowych dokumentów i akt zostało upublicznionych – a kolejna wielka porcja stała się

dostępna dla wszystkich po upadku Związku Radzieckiego. Także perspektywa wyjazdu do Polski przestała wyglądać aż tak groźnie. Przy zbieraniu materiałów już nie trzeba było zachodzić w głowę, czy dana informacja istnieje, kwestią było raczej namierzenie, gdzie jest przechowywana. Brytyjczy wytwórcy samolotów ujawnili ogromne zasoby informacji, w tym numery seryjne i modele wyprodukowanych maszyn, wraz z nazwami jednostek, do których trafiły. Także ATA, jak wiele innych organizacji, upubliczniło swoje archiwa, dając dostęp do dzienników pilotów i harmonogramów. W niektórych przypadkach, gdy piloci zginęli lub zaginęli na służbie, w aktach wciąż znajdowały się ich rzeczy osobiste, w tym również listy. Także teczka Krystyny zawierała parę rzeczy osobistych. Wśród listów znajdowały się dwa, które sam do niej napisał – te, na które nigdy nie odpowiedziała. Zaczął czytać pierwszy z nich, lecz kiedy zauważył datę, dwa dni po jej zaginięciu, nie był w stanie doczytać go do końca. W tej samej teczce znalazł mały portfelik, właśnie ten, od którego wszystko się zaczęło. Był teraz pusty. Jaskrawe kolory, które tak go urzekły w monochromatycznym wojennym świetle, wyblakły, a czerwony sznurek się pruć. Trzymał go przez chwilę w dłoniach ogarnięty wspomnieniami, po czym z żalem odłożył z powrotem.

Na początku poznał jej pełne nazwisko – Krystyna Agnieszka Roszko. Z akt Ministerstwa Spraw Zagranicznych dowiedział się, że trafiła do Wielkiej Brytanii jako uchodźca, potem przyjęto ją do Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii, podlegających Polskiemu Rządowi na Uchodźstwie. Wszystko zgadzało się z tym, co mu wtedy opowiadała.

O jej rodzinie nie znalazł niczego. Reszta biografii także się z grubsza potwierdzała – niektóre jednostki Polskich Sił Powietrznych ewakuowały się do Rumunii, ich sprzęt został skonfiskowany, a na początku 1940 zmuszono je do opuszczenia tego kraju.

W polskiej ambasadzie w Londynie odkrył parę nieznanych faktów. W Siłach Powietrznych, być może z rąk generała,

którego nazwisko wymieniła, otrzymała tymczasowy stopień porucznika. Dostała też zaległy żołd od polskiego rządu i skromną tygodniówkę, którą wstrzymano, kiedy zaczęła służyć w ATA.

Jeszcze ciekawsze było to, że rząd Sikorskiego, za lotnicze czyny podczas kampanii wrześniowej, odznaczył ją orderem – Krzyżem Zasługi. List pochwalny głosił: „Porucznik (tymcz.) K.A. Roszko – za oddanie i bohaterstwo w obronie granic Ojczyzny oraz życia i mienia jej obywateli w wyjątkowo trudnej sytuacji”.

W tle historii Krystyny czaiły się mroczne cienie. Pierwszy był nieszkodliwy i tragiczny, choć jeszcze dziesiątki lat później wywołał uTorrance a ukłucie zazdrości. Nie powiedziała mu – zresztą nie miała takiego obowiązku – że niedługo przed tym spędzonym razem dniem była związana z młodym pilotem RAF-u, Simonem Barrettem. W aktach ATA znalazł krótkie listy Barretta do niej, niewinne, radosne, żartobliwe, świadczące o przelotnym wojennym romansie. W jednym z nich Simon Barrett błagał, żeby „nie oglądała się w przeszłość”. Później Torrance dowiedział się z dokumentów Ministerstwa Lotnictwa, że podporucznik lotnictwa Simon Barrett, 1. 21, dowodził bombowcem halifax wracającym w marcu 1943 z nalotu na Stuttgart. Bombowiec został zestrzelony nad Morzem Północnym, cała załoga zginęła.

Dla Tomasza, pozostawionego w Polsce ukochanego, historia okazała się jeszcze bardziej okrutna. Po upadku Polski nastąpiły złowrogie wydarzenia. Mike Torrance nie miał pewności, czy Krystyna wiedziała wówczas, co się dzieje, czy dowiedziała się dopiero później. Możliwe jednak, że usłyszała od polskich emigrantów dość plotek, by w głębi ducha się o niego obawiać. Prawda była bowiem taka: w kwietniu i maju 1940 roku, czyli mniej więcej wtedy, gdy Krystyna przenosiła się z Francji do Anglii, sowieckie władze okupowanej Polski aresztowały niemal wszystkich oficerów polskiej armii, lotnictwa i policji, około dwudziestu dwóch tysięcy ludzi, przewiozły ich do obozów w okolicach Smoleńska w Rosji, a następnie rozstrzelały w lesie

pod Katyniem. Masowe groby odkryto w roku 1943, w przybliżeniu wówczas, gdy Torrance spędził ów letni dzień z Krystyną. Większość zwłok miała jedną ranę od kuli w tyle głowy. Wieści o tym ponurym odkryciu dotarły na Zachód dopiero pod koniec wojny.

Krystynie udało się ująć przed masakrą, ale co się stało z Tomaszem? Torrance zaczynał mieć pewność, że w lesie katyńskim, anonimowo w masowym grobie, leży ciało młodego arystokraty, którego miał niegdyś za swego konkurenta.

Nie ruszając się z Wielkiej Brytanii, nie wszystko był w stanie zweryfikować. Skorzystawszy z paru stron sieciowych poświęconych genealogii polskiej arystokracji, dowiedział się, że ostatnią osobą noszącą tytuł księcia Łowicza, z rodu Grudzińskich, był Rafał, syn Bronisława. Rafał Grudziński podobno zmarł w roku 1940, nie pozostawiwszy następcy. Nigdzie nie było wzmianki o synu Tomaszu ani o żadnych innych dzieciach.

Przeanalizowanie wszystkiego, do czego dało się dotrzeć w Anglii, zajęło mu prawie rok. Po zakończeniu wojny po rządzie Sikorskiego pozostało niewiele zapisów i dokumentów. Wiedział, że po szczegóły musi zajrzeć nie tylko do wojskowych archiwów w Polsce, ale także do starych gazet i akt urzędowych. Nie miał pojęcia, ile z tych dokumentów przetrwało w Polsce lata hitlerowskiej okupacji i rządów, aresztowań, obozów pracy, obozów zagłady. Podróż do Polski okazała się konieczna.

Parę miesięcy po śmierci żony, Glenys, Torrance zorganizował wyjazd, który planował od tak dawna. Miała to być wizyta robocza - zbierając materiały, zawsze lubił podróżować, bo wrażenia z różnych miejsc przydawały się potem przy pisaniu. Tym razem jednak chciał ten czas wykorzystać jak najlepiej i odnaleźć na miejscu wszystkie możliwe dokumenty. A po części był także ciekaw kraju, z którego pochodziła Krystyna. Pod koniec roku 1999 pojechał więc do Krakowa. Miał wtedy 76 lat i był prawie pewien, że to ostatnia okazja do podróży za granicę.

Nie dowiedział się podczas tego wyjazdu prawie niczego

nowego, co gorsza jednak zaczął kwestionować nawet to, co już wiedział.

Po pierwsze, rodzina Krystyny, od której zaczął. Pojechał do Pobiednika, wsi, której nazwę wymieniła Krystyna. Okazało się, że są dwie takie, niedaleko od siebie: Pobiednik Wielki i Pobiednik Mały. W żadnej nie znalazł śladu po rodzinie o nazwisku Roszko i nikt z obecnych mieszkańców, z którymi udało mu się porozmawiać, nigdy o takiej rodzinie nie słyszał. Zainteresował go fakt, że w Pobiedniku Wielkim mieściło się małe lotnisko należące do aeroklubu. Nie był w stanie stwierdzić, czy istniało już w latach trzydziestych. Miejscowi sądzili, że raczej nie.

O Tomaszu Grudzińskim, czy być może Łowickim, nie znalazł dokładnie nic. Bez skutku przeszukał biblioteki i archiwa. Dwa dni spędził między aktami w krakowskim ratuszu i choć znalazł transakcje sprzedaży ziemi, których stroną był Rafał Grudziński, informacje o firmach, których był udziałowcem, dokumenty podatkowe, nazwisko kobiety, z którą się ożenił, posiadane tytuły szlacheckie, majątki i dzieła sztuki, skonfiskowane potem przez nazistów, nie doszukał się żadnej wzmianki o dzieciach. Na ile można było ustalić, Rafał Grudziński nie dochował się żadnych potomków. Jeszcze przed wojną uznano, że łowicki ród książęcy nie ma następcy.

Kiedy dotarł do archiwów Pułku Ułanów Poznańskich, który Krystyna dokładnie tak nazwała, poznał nazwiska, dane i stopnie wszystkich oficerów kawalerii służących tam między rokiem 1920 i 1939, kiedy pod okupacją pułk został rozproszony. Na liście było wielu Tomaszów i paru Grudzińskich, ale nikogo o takim imieniu i nazwisku jednocześnie.

Choć polskie władze przez wiele lat pieczołowicie ustalały tożsamość wszystkich ofiar Katynia, Torańca i na tej niekończącej się liście nie był w stanie znaleźć żadnego Tomasza Grudzińskiego, a w każdym razie żadnego oficera o takim lub podobnym nazwisku, który przypominałby stopniem i historią tego, którego szukał.

Wyjeżdżając z Polski i wracając do domu, był przekonany, że Tomasz, mężczyzna, któremu za młodu tak zazdrościł i tak się go obawiał, został albo wymazany z historii, albo, co jeszcze bardziej zdumiewające, nigdy nie istniał.

Odtąd przestał zgłębiać polską historię Krystyny.

Za to przynajmniej ustalił, jak się zakończył jej los – po to nie musiał jeździć do Krakowa. Wystarczyły akta i dzienniki ATA.

27 sierpnia 1943 roku, około pięciu tygodni po ich spotkaniu, Krystyna dostała polecenie przeprowadzenia nowo wyprodukowanego spitfire'a Mk XI z fabryki Supermarine pod Southampton na lotnisko RAF- u we wschodniej Anglii. Mk XI, którym leciała, wyglądał dokładnie tak, jak mu opisała – przystosowany do dalekiego rozpoznania na dużej wysokości, wyposażony w potężne kamery, dodatkowe zbiorniki paliwa i nieuzbrojony.

Plan lotu, który zgłosiła, był nieskomplikowany – z grubsza prosta linia przez południową Anglię, szacowany czas lotu: niecała godzina.

Według dokumentów z kontroli lotów niedługo po starcie zesłała z planowanego kursu i skręciła w stronę Londynu. Samolot był, jak wszystkie, standardowo śledzony przez radar, póki nie wszedł nad centrum Londynu, przez które przeleciał na wysokości ponad dziesięciu tysięcy stóp. Został wykryty znowu po wyjściu z przestrzeni powietrznej Londynu nad ujściem Tamizy, skąd skierował się nad Morze Północne. Gdy zaobserwowano go po raz ostatni, spitfire cały czas nabierał wysokości, skręcił o parę stopni w lewo, na kurs 80 stopni.

Więcej go nie obserwowano i tak, jak mu powiedział wiele lat temu Dennis Fielden, wrak samolotu nigdy nie został odnaleziony.

Torrance uważał, że tylko on jeden jest w stanie wyobrazić sobie, co się stało. Miał przed oczyma szczupłą, młodą kobietę w niebieskim mundurze, kasztanowe włosy wciśnięte pod hełm pilota, przypiętą pasami w wąskim kokpicie samolotu, który uważała za najpiękniejszy samolot w historii, pilotującą go po raz



pierwszy i czującą się w nim jak w drugiej skórze. Pewnie nawet się świadomie nie zastanowiła nad tym, co zamierza zrobić. Poszła za instynktem, umysł zawirował w ekstatycznym uniesieniu. Wzbiła się spitfire'em w letnie niebo, leciała coraz wyżej i wyżej, uwalniając się z okowów wojny, przebiła białe chmury, prosto w błękit, do szczytu świata, bez końca. Poleciała do domu, nie dotykając niczego poza czystym powietrzem i bezkresnym niebem.

# **CZEŚĆ VI**

## **Chłodnia**

## Szósty

Oko BSU Federico Fellini przyszło nad kraj z południowego zachodu i pokrywało teraz większą część Lincolnshire i południowego Yorkshire, a zewnętrzne pasma chmur deszczowych sięgały aż nad ujście Tamizy. Silne wiatry atakowały wybrzeże Morza Północnego, a z Danii po jego drugiej stronie napływały relacje o gigantycznych falach i poważnych uszkodzeniach umocnień wybrzeża. Na Farmie Warne'a, gdzie schronił się Tibor Tarent, wybuchła gwałtowna burza z piorunami, po której nastąpił krótki okres słońca i złudnej ciszy. Pierwsze podmuchy silnego wiatru, powodowane przez przedni brzeg komórki burzowej, uderzyły w ośrodek wcześniej nad ranem. Huk obudził Tarenta, zaraz gdy tylko orkan rozpętał się pomiędzy budynkami, trzęsąc ich ścianami i siekąc w szyby gradem i deszczem. Skulił się pod kołdrą w ciemności, przerażony wyciem huraganu i głuchym łomotem niesionych przezeń przedmiotów uderzających w zbrojone zewnętrzne ściany budynku. Zanim Lou Paladin wyszła z pokoju i przyszła do niego, płakał ze strachu. Została z nim do rana.

Przez cały następny dzień nie odstępowali się na krok, burza niszczyła świat zewnętrzny, a z niego powoli ulatywało wyczerpanie nerwowe.

W główną noc burzy spali razem w jednym łóżku, ale wyłącznie dla otuchy i pokrzepienia. Tarent, odkąd załamał się pod ogromnym nerwowym napięciem, zmienił się w bezradną, udręczoną, pozbawioną kontroli nad sobą ofiarę. Jakiś fragment umysłu zachował, co prawda, na tyle dystansu, by móc dziwić się intensywności tego wszystkiego, co się dzieje – inteligencja w

starciu ze strachem nie miała jednak szans. Przez większość czasu po prostu mu się poddawał – płakał, wił się z bólu, bełkotał bez sensu. Czuł, że odkleił się od rzeczywistości, był jednak zbyt przerażony tym, co się dzieje, by walczyć o odzyskanie kontroli. Leżał, nie śpiąc, całymi godzinami, a gdy już zasypiał, spał bardzo niespokojnie. Nie był w stanie składnie mówić, nie mógł utrzymać jedzenia, nie był w stanie myśleć. Przytłaczały go wspomnienia brutalnych zająć w Anatolii, chore dzieci, okaleczone kobiety, bezsensowne zemsty, obojętność żołnierzy w mundurach, smród umierania i śmierci.

Aparaty zarejestrowały obrazy tego wszystkiego. Sam też je doskonale pamiętał, mimo że resztę umysłu miał w rozsypce.

Kolejnego ranka Fellini na trochę przycichł. Lou podgrzała mu odrobinę mleka. Powoli je wypił. Trzydzieści minut później jeszcze go nie zwrócił. Lou dała mu do poskubania dwa herbatniki – i one też się przyjęły.

Tarent wiedział, że raczej nie zwariuje, ale zdolność racjonalnego myślenia opuściła go na pewien czas. Nie był zdolny skupić się na niczym. Słuchał Lou, gdy do niego mówiła, usiłując wyplątać jej słowa spomiędzy chaosu własnych myśli.

– Pod koniec dnia burza ma przejść – powiedziała w otaczającą go ciszę, jednocześnie przekrzykując nieustanne wycie i huk z zewnątrz. – Więc na pewno na trochę się nasili. Przejdzie nad nami brzeg komórki, chociaż tak strasznie jak przedtem raczej już nie będzie. Już obniżyli poziom tej burzy, ale za nią idzie kolejna, dokładnie tutaj.

Szeroka metalowa taśma, jedna z wielu widocznych z okna, opadała z dachu budynku zakotwiczona gdzieś w ziemi. Szarpała się i gwizdała na wietrze.

– Tu jesteśmy bezpieczni, aby tylko nie wychodzić na zewnątrz. Mówią, że te budynki wytrzymują cyklony do poziomu 5 i więcej. Dachy trzymają się na tych taśmach.

Wydawało mu się, że mówi powoli i pedantycznie, jak spiker radiowy przekazujący ważną publiczną informację. I tak jednak słabo to do niego docierało. Znowu myślał o Melanie,

wspominał, jak cierpiał, uświadamiając sobie, że zginęła. Myślał też o Flo. Co się z nią stało, gdy zniszczono ten transporter? Czy to ten sam wybuch zabił je obie? Nie był już pewien. Lou gładziła go po policzku.

Za każdym razem, gdy podniósł się z łóżka na tyle, by móc wyrzucić na zewnątrz, zdumiewała go ilość śmieci naniesionych na czworokątny plac pomiędzy budynkami. Gałęzie, krzaki, inne rośliny, ale i wielkie kawały blachy, niektóre zmięte lub powyginane, połamane drewniane belki, tysiące szklanych odłamków. Niesione wiatrem, często tłukły w mokre od deszczu okna. Nacisnął dłoń na szybę, żeby sprawdzić, jak jest mocna.

Lou położyła mu uspokajająco dłoń na ramieniu.

- Szyby wytrzymają. Są bardzo grube, dlatego widok jest taki zniekształcony.

Wtedy Tarent przypomniał sobie zniekształcony, jak przez denko butelki, widok ze środka mebshera.

Mebsher - przypomniał sobie jak się to nazywało. Usiłował wymówić to słowo, ale nie chciało się uformować.

Gdy spał, Lou gdzieś poszła, bo obudziwszy się, był sam. Niebawem wróciła. Podążyła mu wodę do picia i choć drażniło go, że jest tak bezradny i wymaga opieki, samo to, że usiadła przy nim na łóżku, dodało mu otuchy. Zjadł zupę z puszki, którą mu podgrzała. Gdzieś skombinowała też świeży chleb.

Coś dużego walnęło w ścianę budynku. Światło w pokoju zamigotało. Oboje poderwali się, Lou uspokoiła go jednak.

- Mają trzy awaryjne obwody - powiedziała. - Tu chyba nigdy nie gaśnie światło. Dopiero co oglądałam telewizję. Jedyne kanały z wiadomościami, jakie znalazłam, był z Helsinek. Powiedzieli, że następną burza, która idzie znad Atlantyku, nazywa się BSU Graham Greene i jest dwa dni za tą. Na razie prognozy mówią, że to będzie poziom trzeci, więc nie powinna narobić jakichś większych szkód, chociaż to jest cyklon. Ale może iść wolniej. Mówili też, że możliwe, że zboczy w jakąś inną część kraju. Zresztą, co to dla nas za różnica.

- Muszę stąd jechać - powiedział Tarent i uświadomił sobie, że

sformułował pełne zdanie.

- A kto nie musi?

- Nie czytałem nic Grahama Greene a - dodał. Miał wrażenie, że pierwszy raz od kilku dni w głowie kształtują mu się spójne myśli: ta myśl jakby przysłała z zewnątrz do umysłu, który owdlańnięty obsesjami i lękami zatracił zdolność logicznego myślenia - Zresztą może i czytałem - dodał, przypomniawszy sobie jakąś starą książkę o Brighton.

- Ja parę powieści czytałam - odparła Lou. - I opowiadania, zresztą robiłam o nich lekcje jakiś czas temu. Za to widziałam wszystkie filmy Felliniego.

- Odzyskałem mowę.

- Nigdy nie straciłeś. Miałeś gorączkę i gadałeś całymi godzinami.

- Co mówiłem? Coś z sensem?

- Nie.

- Czyli jak? Słyszałaś i nie rozumiałaś czy nie chcesz mi powiedzieć?

- Słyszałam. Przeważnie nic nie rozumiałam. To nic takiego, jestem przyzwyczajona do tego, jak ludzie wychodzą z szoku. Dawno temu uczyłam się na pielęgniarkę.

- Moja żona była pielęgniarką.

- Melanie?

- Skąd wiesz o Melanie?

- Ciągłe powtarzałeś to imię. Wiedziałam, że twoja żona zginęła, ale imienia w bazie nie było. Mówiłeś, zdaje się, że ktoś ją zabił. To było niedawno?

- W zeszłym tygodniu - powiedział Tarent. - Albo jeszcze bardziej zeszłym. Straciłem kontakt ze światem. Całe dni, daty mi przepadły.

- Jak mi cię szkoda.

- Mi siebie też.

- Mówiłeś, że byliście w Turcji. Tam się to stało?

- Był jakiś atak terrorystyczny, czy coś, i Melanie przypadkiem została ofiarą.

Zamilkł, bezskutecznie próbując sobie przypomnieć, co mówił wcześniej, nie tylko w malignie, ale i przedtem, gdy poznał tę kobietę. Trudno mu było tak myśleć, sięgać myślami wstecz, bo ostatnie wspomnienia miał kompletnie pomieszane. Melanie wspominał z miłością i smutkiem, lecz wspominał także kobietę, która powiedziała mu jedynie, że ma do niej mówić „Flo”. Naprawdę tak się nazywała? Nie potrafił sobie przypomnieć, czy się tego w końcu dowiedział. Chaos we własnym umyśle zaczynał go wręcz fascynować – czuł, że chwilami celowo się w nim pogrąża, jakby chciał pozostać w tym stanie dezorientacji.

Lou chyba coś wyczuła. Ujęła jego głowę w dłoń, przytrzymała, póki nie otworzył oczu. Uświadomił sobie, co się stało, parę razy odetchnął głęboko.

- Teraz pracujesz jako pielęgniarka? - zapytał. Wysiłek woli, pragnienie, by zabrznieć normalnie.

- Nie. Mówiłam ci już. Jestem nauczycielką. Pielęgniarstwo mi nie pasowało. Byłam jakoś przed dwudzistką, pozdawałam większość egzaminów, potem przez rok pracowałam przez agencję i zmieniłam zawód. Nie dało się znaleźć innej pracy niż za granicą, a ja nie chciałam wyjeżdżać. To dlatego twoja żona wyjechała?

- To też powiedziałem?

- Do Turcji.

- O rany, no tak. Przepraszam. Ciągłe zapominam, co ci powiedziałem, a czego nie. Turcja też ma swój udział w tym, co się ze mną porobiło. Chyba za długo tam siedziałem, bo teraz, w domu, mam wrażenie, że ten kraj zmienił się nie do poznania. Kompletnie. Czuję się, jakbym został w przeszłości, ale i tak zdezorientowany, bo to przeszłość, której naprawdę nie znałem. Przynajmniej tak to dla mnie wygląda. A Melanie, nie. Melanie chciała jakiejś odmiany. Pracowała na sali operacyjnej i po paru latach miała już tego dość. Chciała się zająć pomocą humanitarną. Zabrałem się z nią do Turcji, bo chciałem z nią być, ale też pomyślałem, że może uda się zrobić trochę zdjęć dla agencji, z którą współpracuję. Właściwie byłem ciekaw, co się

tam dzieje, a potem się dowiedzieliśmy i chyba oboje żalowaliśmy, że nie zostaliśmy w kraju.

- Długo was nie było?

- Nie jestem w stanie się doliczyć. Jechaliśmy chyba ze sto lat, a potem parę miesięcy minęło w tym szpitalu polowym.

- A co według ciebie się tutaj pozmieniało?

- Trudno powiedzieć. Kiedy długo jesteś z dala od domu, budujesz sobie takie fałszywe wspomnienie tego, co zostało - myślisz albo o samych najlepszych rzeczach, albo o samych najgorszych. A takich zwykłych, codziennych, nawet dokładnie nie pamiętasz, bo normalnie się o nich nie myśli, robi się je i tyle. A w Turcji było tak źle, non stop niebezpiecznie, przygnębiająco, groźnie - Melanie czasami pracowała po szesnaście godzin. Mało kto tyle wytrzymał. Nie trzeba mi było tam z nią jechać. Powinienem o tym pomyśleć, zanim pojechałem. Po paru pierwszych dniach miałem za dużo czasu. Całymi godzinami, dzień za dniem, siedziałem sam. Nudziłem się, a życie było niebezpieczne i nieprzyjemne. Dlatego przeważnie siedziałem w szpitalu. Ciągle wracałem myślami do dzieciństwa, do tego, co wtedy robiłem, że chodziłem nad morze, łąziłem po lesie, bawiłem się z innymi dziećmi, byłem szczęśliwy i bezpieczny. Wiem, że to brzmi dziecinnie. Zresztą tak naprawdę moje dzieciństwo nie było za szczęśliwe i jak pomyślę, to nie przypominam sobie, żebym naprawdę robił takie rzeczy. Więc to jest fałszywa nostalgia, za czymś, co wymyśliłem albo skądś sobie pożyczyłem. Może z jakiegoś filmu albo w książkach wyczytałem. Ojciec zmarł, kiedy byłem bardzo mały, brytyjskie obywatelstwo mam od dawna, ale jestem pół Amerykaninem, pół Węgrem. Matka pracowała akurat w Londynie, więc w tym kraju się wychowałem. I siedziałem w tym Londynie, nie pamiętam, żebym choć raz pojechał nad morze. No właśnie: choć moje dzieciństwo tak nie wyglądało, jakoś naturalnie było sięgać myślami w przeszłość i myśleć, że kiedyś było o wiele lepiej, albo mogło być lepiej, albo przynajmniej mogło być tak, jak mi się wydawało, że być powinno.



Lou siedziała obok niego, gapiąc się w milczeniu na własne dłonie. Zaciskała je mocno, skóra na wierzchach dłoni marszczyła się, knykcie pod skórą były napięte.

- I jak tutaj wróciłem, to chyba podświadomie czegoś takiego szukałem. W szpitalu polowym było strasznie. Praca była straszna, dla Melanie, dla lekarzy, ale równie strasznie było, kiedy się to po prostu przeżywało razem z nimi. Turcja zamieniła się w pustynię, ludzie z zewnątrz nawet nie podejrzewają, jak się tam zmienił klimat. Cały basen Morza Śródziemnego nie nadaje się teraz do zamieszkania. Ludzie pewnie nie cierpią jakoś bardziej niż w innych miejscach, gdzie zrobiło się naprawdę gorąco, ale żyć się tam w zasadzie nie da. Nie wyobrażam sobie, jak to musi wyglądać w Afryce czy w Azji. Kiedy zabili Melanie, władze od razu przetrzuciły mnie z powrotem do Wielkiej Brytanii. Zupełnie jakbym trafił do innego świata. Te burze, zawsze takie straszne były?

- Od niedawna tak. W zeszłym roku zdarzyły się ze dwie czy trzy, które narobiły ogromnych szkód.

- W Anglii zawsze była parszywa pogoda, ale czegoś takiego to sobie nie przypominam. To przez zmiany klimatyczne czy jest jeszcze coś? Kiedy mnie tu wieźli, musiałem jechać transporterem opancerzonym. Myślałem, że ich się używa tylko w terenie, gdzie działają jacyś partyzanci czy coś, gdzie trzeba faktycznie mieć ochronę. Ekipy od pomocy humanitarnej takimi wszędzie jeżdżą. Nie miałem pojęcia, że i tutaj się ich używa, że jest aż tak źle. A kiedy jechałem tym mebsherem i próbowałem spojrzeć na zewnątrz, miałem wrażenie, że jadę przez jakieś pobojuwisko. Pozawalane budynki, wszędzie powódzie, połamane wszystkie drzewa. No i Londyn - wtedy jeszcze wieźli mnie samochodem, dopiero potem wsadzili do mebshera. Musiałem z jakiegoś powodu przejechać przez Londyn, ale ci ludzie zaciemnili okna, żebym nic nie widział. Jak myślisz, po co? To, co udało mi się zobaczyć, wyglądało inaczej niż kiedyś. I za miastem to samo. Wszędzie wojsko i policja. No i ta decentralizacja władz, że wszystko wyprowadza się na prowincję.

- Bo trwa niewypowiedziana wojna - powiedziała Lou. - Tutaj się mówi, że to jest ostatnia wojna w historii, wojna, która zakończy wszystkie wojny. Mówią, że rebelianci mają jakąś nową broń, jakąś taką, że nie umiemy się przed nią bronić.

## 2

Coś ciężkiego znowu huknęło o dach. Oboje zareagowali tak, jakby to coś wpadło do pokoju. Chwilę później po ścianie przeszorowała wielka gałąź, zahaczyła o najbliższą metalową taśmę i upadła z łomotem na dziedziniec. Tarent wiedział, że za dużo gada, jakby w środku obluzowała mu się jakaś bariera. Skupił się na dokończeniu zupy, która już całkiem wystygła. Lou siedziała obok niego. Niewiele mówiła. Cały czas myślał o Melanie, wczesnej ofierze tej ostatecznej wojny.

Później, gdy wiatr zaczynał się uspokajać, zaczęło mu się wydawać, że odzyskuje panowanie nad sobą. Lou wróciła do swojego pokoju. Zaczął przeglądać kolejne zdjęcia z Anatolii, ale przygnębiały go. Nie był w stanie robić tego zbyt długo. Wszedł do sieci, zaczął szukać serwisów czy kanałów informacyjnych, ale rządowe ograniczenia dostępu były tak ostre, jak te, z którymi spotykał się za granicą. Wszystkie serwisy, kanały i platformy miały przydzielone poziomy bezpieczeństwa – uprawnienia, które Tarent dostał na czas pobytu za granicą nie dotyczyły Internetu, a swój poprzedni status stracił, wyjeżdżając. Prawie nic mu teraz nie działało. Poszedł poszukać Lou, dobrze wiedząc, że się od niej uzależnia, a to źle, ale potrzebował z kimś pogadać, a to konieczne. Czuł się winny, nic jednak nie był w stanie poradzić. Miał tylko ją. Znów czuł, że w umyśle piętrzą mu się masy zbędnych rzeczy.

Gdy wpuściła go do siebie, od razu poczuł nieodpartą senność. Pozwoliła mu położyć się na swoim łóżku.

Obudził się wiele godzin później. Słychać było wiatr, ale o wiele cichszy. W pokoju Lou paliło się światło, pachniało jedzeniem. Drzwi do łazienki były otwarte, ale nie paliło się tam światło. Za wychodzącymi na zewnątrz oknami była ciemna noc. Lou

siedziała w fotelu na drugim końcu pokoju, z podwiniętymi nogami. Na kolanach trzymała książkę, ale głowę miała zwieszoną. Spała. Tarent, zdezorientowany tym dziwnym przebudzeniem, dopiero po paru minutach wygramolił się z pościeli. Delikatnie zbudził Lou, zaprowadził ją do łóżka, położył.

Chwilę z nią został, potem jednak wrócił do swojego pokoju. Żyli w różnych strefach czasowych. On był świeży i rześki. Wziął prysznic, ogolił się, włożył czyste ubranie, potem posprzątał bałagan w pokoju, do którego się przyczynił, kiedy był chory.

Najgorsze lęki przeminęły – czuł, że jest w stanie wspominać je obiektywnie, ale gdy wyizolowywał główny motyw takiego lęku, obracał go w myślach, żeby móc się nad nim zastanowić, stwierdzał, że jest nieczytelny.

Po południu Lou wróciła do niego. Ucieszył się na jej widok. Gdy stanęła w drzwiach, objęli się. Przyniosła jakieś jedzenie i małą buteleczkę czerwonego wina. Powiedziała, że ktoś uzupełnił automat z żywnością i jest w nim więcej rzeczy do wyboru.

– Lou, mówiłaś, że mieszkasz na Notting Hill – powiedział. – Że to całe twoje życie.

– Tak, wiele lat. Szkoła, w której ostatnio pracowałam, tam była. Ale potem był atak z dziesiątego maja. Całe moje życie tam jest skończone.

– Miałaś przyjaciół na Notting Hill?

– Paru tak. Ale tak naprawdę liczył się mój partner. Był wtedy w naszym mieszkaniu.

– Czyli udało ci się dowiedzieć, co się z nim stało?

Rozłożyła szeroko dłonie w desperackim geście.

– Tego nikt nie wie. W tamtym rejonie wszystko jest zrównane z ziemią. Z początku myślałam, że na pewno nigdzie nie uciekł, ale nie znaleziono żadnych trupów. W pewnym sensie to by było nawet lepiej, dowiedziałabym się najgorszego i koniec. Kiedy to się stało, byłam już tutaj, na Farmie Warne'a i na początku strasznie trudno się było czegokolwiek dowiedzieć. W sumie to teraz jest jeszcze gorzej, bo pozamykali tyle kanałów

telewizyjnych, tylko że ciągle przejeżdżają tędy nowi ludzie i trochę się od nich podowiadylałam.

- To ty tu siedzisz od maja?

- Przyjechałam pod koniec kwietnia. Już czekała na mnie praca w rządowej szkole w Lincoln, kiedy nastąpił ten atak. I wszystko od razu sparaliżowało, więc czekałam, zastanawiałam się, co mam robić, co by inni zrobili w mojej sytuacji. Cały czas próbowałam się skontaktować z Dumaką - tak się nazywa mój partner. Trzymałam się nadziei, że może nie było go wtedy w domu, ale teraz już wiem, że prawie na pewno był. Nie miał za wielu kolegów w Anglii, a ci, do których dotarłam, wiedzieli tyle, co i ja. Szybko dotarło do mnie, że musiał go dopaść ten atak.

- Powiesz mi coś o nim? Dumaka?

- Jest uchodźcą z Nigerii, jest nielegalnym, jak to nazywają niektórzy ludzie z Home Office. Nie chcieli mu dać zezwolenia na pobyt, a on się ukrywał. Na początku po dziesiątym maja bałam się o niego pytać, bo wiedziałam, że jeśli on jeszcze żyje i zostanie wysłędzony, to go deportują. Wiesz, jakie teraz są zasady. Jest w Anglii od prawie piętnastu lat, ale to nic nie zmienia. Przyjechał z bratem, tylko że brat ma wizę, więc nic mu nie grozi... Dumakę poznałam, kiedy przyszedł do szkoły, żeby poopowiadać uczniom o swojej pracy. Robi biżuterię. Piękną, misterną, delikatną, wtedy akurat miał wystawę swoich rzeczy w Londynie. Żeby się nie rzucać w oczy, zawsze pracował pod nazwiskiem brata, ale bratu to nie pasowało, zresztą jemu też nie. Teraz prawie się do siebie nie odzywają. Im dłużej tu siedział, tym bezpieczniej się czuł, chociaż ja wiedziałam, że to tak nie działa. W każdym razie niedługo po tym, jak się poznaliśmy, zamieszkaliśmy razem. Przez rok czy dwa byliśmy szczęśliwi, a potem wszystko zaczęło się psuć. Nie znaczy, że między nami. Po załamaniu euro- funta ludzie przestali kupować biżuterię, a ja zaraz potem straciłam pracę w szkole. Kojarzysz, że liczba mieszkańców Londynu spada od lat? Coraz mniej było uczniów, zmniejszyli liczbę klas i akurat mnie musieli zwolnić. Dlatego zaczęłam pracować dla rządu. A to oznaczało, że muszę

zostawić Dumakę, chociaż miało to być tylko na razie, najwyżej na parę tygodni. Miał do mnie przyjechać zaraz, gdy tylko dostanę bezpieczną pracę.

Mówiąc, odwróciła od niego twarz. Znow zaciśnęła dłonie – Tarent widział, jak napięte ma mięśnie rąk. Na podbródku pojawiła się łza. Starła ją ręką. Tarent poczuł smutek i dotarło do niego, jakim był egoistą. Tak zaprzętały go własne problemy, że nawet przez chwilę nie zastanowił się nad życiem tej kobiety, nad tym, jakie było teraz, jakie było kiedyś.

Zdjęła okulary w kształcie fasolek i przetarła je chusteczką.

– Mówiłeś, że jechałeś przez Notting Hill – powiedziała.

– No... mówiłem ci, że nic nie widziałem...

– Powiedz mi jeszcze raz. To najważniejsza rzecz w moim życiu.

– Właściwie nie mam za wiele do opowiadania. Siedziałem w samochodzie z funkcjonariuszami BPZ. Wydaje mi się, że pilnowali, żebym za wiele nie zobaczył i nie zadawał zbyt dużo pytań. Zaciemnili okna, nic nie było widać, ale w którymś momencie przestraszyli się nadciągającej burzy. Rozjaśnili je, żeby zerknąć na chmury, wtedy trochę zobaczyłem. To było parę sekund.

– Gdzie byłeś? Co widziałeś?

– Wiem tylko, że byłem gdzieś w zachodnim Londynie, bo oni tak mówili. Ale dopiero co zginęła moja żona, od paru dni byłem w ciągłej podróży, nie spałem za dużo i byłem zdezorientowany. Nie miałem pojęcia, gdzie tak naprawdę jestem.

– Ale coś widziałeś.

– Nie. Dosłownie. Nic. Na zewnątrz wszystko było czarne.

– Była noc?

– Nie, było jeszcze jasno. Pod wieczór.

– To co było czarne?

– No, wszystko. Nie wiedziałem, na co patrzę, więc nie miałem żadnych punktów odniesienia. Wyobraź sobie: siedzisz w samochodzie z ciemnymi szybami, nagle się rozjaśniają, ale wszystko, co widzisz, jest czarne. Zresztą oni prawie od razu

zaciemnili te szyby z powrotem.

- A widziałeś, że krater jest w kształcie trójkąta, jak mówią?

- Nie wiem. Nie widziałem. Strasznie mi przykro. Gdybym coś więcej wiedział, na pewno bym ci powiedział.

- Słyszałam, że to broń na zjawisku sąsiedztwa. Twoja żona też od tego zginęła, prawda?

- Tak - powiedział Tarent. - Melanie też.

### 3

Poszli razem do automatu z jedzeniem, lecz zanim z niego skorzystali, Lou zauważyła, że otworzyła się stołówka mieszcząca się nieco dalej w tym samym korytarzu. Była w niej zadziwiająca liczba ludzi – zadziwiająca dla Tarenta, który już zaczął zakładać, że są na Farmie Warne’a z grubsza sami. Dotarło do niego, że jest tu jeszcze całkiem spory kontyngent pracowników. Na zewnątrz mocno padało, choć wiatr już niczego nie niszczył. Lou, przechodząc, kiwnęła głową paru osobom, ale nie próbowała go nikomu przedstawiać. On zaś zauważył Francuza, którego spotkał zaraz po przyjeździe – Bertranda Lepuits. Tamten chyba go nie poznał i od razu odwrócił wzrok.

Kuchnia stołówki przygotowała proste gorące dania – do wyboru był mięsny gulasz i wegetariański makaron. Tarent wziął gulasz, Lou makaron. Za jedzenie się nie płaciło, natomiast należało za napoje. Tarent nie miał pieniędzy. Lou zapłaciła za nich oboje.

Potem, gdy wrócili do budynku mieszkalnego, powróciło znajome poczucie izolacji – inni ludzie, których tam widzieli, też pewnie przebywali w swoich samowystarczalnych kwaterach albo pracowali w innych budynkach. W długich, cichych korytarzach budynku mieszkalnego zupełnie nie czuło się, że ktoś tu jeszcze jest. Chwilę porozmawiali w korytarzu, potem jednak Lou wróciła do siebie, a Tarent do siebie. Powiedziała, że później do niego zajrzy.

Przez jakiś czas gapił się na rumowisko na dziedzińcu – akurat wtedy robotnicy na traktorach zaczęli oczyszczać grunt. Największe konary pociągnęli w jedną stronę, wszystko inne zabierali do jakiegoś punktu poza budynkami.

Z pokoju miał widok na wewnętrzny dziedziniec pod innym



kątem niż z okna przy automacie z jedzeniem, skąd zauważył lądujące helikoptery. Kiedy to było? Dwa dni temu? Trzy? Autentycznie stracił poczucie czasu. Gdy patrzył z pokoju, lądowisko dla helikopterów było częściowo schowane za innym budynkiem – widział słup z reflektorami do nocnych lądowań i niewielki fragment betonowego podwyższenia samego lądowiska, większość była jednak niewidoczna. Gdyby nawet na płycie stał teraz śmigłowiec, nie zobaczyłby go.

Miał za to doskonały widok na budynek po przeciwległej stronie dziedzińca, ten, do którego wieziono ludzi na noszach. Został zbudowany później niż reszta, miał surowy, szpitalny, brutalnie betonowy wygląd, jedno piętro – ogromna budowla w kształcie półwalca, wyraźnie skonstruowana tak, aby wytrzymywać dzisiejsze burze. Nie był ogrodzony ani płotem, ani barierkami, jednak przed jedynym widocznym z tej strony wejściem chodzili tam i z powrotem uzbrojeni strażnicy.

O ile wiedział, od ataku burzy nic z Farmy nie wylatywało ani nie przylatywało, więc ci ludzie prawdopodobnie nadal przebywali w tych budynkach. Może to była przychodnia, a może mały szpital dla nagłych przypadków, choć na zewnątrz nic nie zdradzało takiego przeznaczenia. Tarent uświadomił sobie, że spekulowanie na ten temat nie ma sensu. Wiedział tylko, że zobaczył ludzi wwożonych do środka na szpitalnych wózkach. Powracał do normalnego stanu umysłu, choć nie było czym zmierzyć tej poprawy, nie licząc wewnętrznego przekonania, że ona się odbywa. Czuł jasność myśli. Cofnął się od okna, siadł w jedynym fotelu w pokoju i po raz pierwszy od wielu godzin pomyślał o kobiecie, którą znał tylko jako Flo.

Musiała być wśród tych ludzi przewożonych z helikoptera do szpitala po drugiej stronie placu. Ranna, ale jak ciężkie obrażenia? Widział, że pośpiesznie podają tym ludziom tlen, co sugerowało oczywiście, że nadal żyją. Ale widział i atak na mebshera – a to, co zobaczył, sugerowało, że wszyscy na pokładzie zginęli na miejscu. Dokładnie tak samo myślał o losie Melanie.

Tarent usłyszał szmer przy drzwiach; spodziewając się Lou, nie ruszył się, żeby je otworzyć, bo ustawili czytniki dłoni tak, by rozpoznawały ich oboje. Gdy pukanie powtórzyło się, podszedł i z zapraszającym uśmiechem zwolnił zamek.

Za drzwiami stał mężczyzna. Zdziwiony Tarent rozpoznał go dopiero po paru sekundach. Bertrand Lepuits.

- Pan Tarent? - powiedział. - Jest pan zameldowany w innym pokoju, ale tam mieszka kto inny. Ta pani mnie tu skierowała. Mogę?

- Chyba tak.

Otworzył drzwi szerzej. Lepuits zerknął w obie strony korytarza i wszedł. Zanim się znowu odezwał, odczekał, aż Tarent je zamknie. Powiedział:

- Muszę mieć pewność, że to pan.

- Ale przecież przyszedł pan do mnie. Wie pan, kim jestem, i znalazł mnie pan.

- Proszę się wylegitymować. Jestem tu w urzędowej sprawie.

Tarent z wahaniem usłuchał, przykładając kartę identyfikacyjną do czytnika. Pojawiło się zdjęcie z kamery BPZ- u, która nagrała go przed wyjazdem z kraju.

- Świetnie, dziękuję. Zapewniam, że to czysta formalność. Przyszedłem do pana, żeby zapytać, czy może pan coś dla nas zrobić.

- Jeśli wy zrobicie coś dla mnie.

- Ale co?

- Chciałbym wiedzieć, jak mogę stąd wyjechać. Sam mi pan mówił, że nie powinno mnie tu być.

- Istotnie. Spodziewamy się transportu dziś pod koniec dnia albo wcześniej rano jutro. Mógłbym panu umożliwić zabranie się

nim.

- Świetnie! I jeszcze mojej przyjaciółce... tej kobiecie, do której pokoju pan poszedł. Louise Paladin.

- Chce pan, żeby ona też pojechała?

- Tak. Nie może już się doczekać, kiedy pojedzie do domu.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Nie. Jeśli pan czegoś ode mnie chce, to ja właśnie tego chcę w zamian. Żadnych wymijających obietnic. Czy wyrażam się jasno?

- Nie wydaje mi się, by w pana sytuacji można czegokolwiek żądać. Nie powinien pan być na Farmie Warne'a. To strefa ograniczonego dostępu.

- Sam pan powiedział, że mam w czymś panu pomóc. Z przyjemnością stąd wyjadę.

- No to dobrze - powiedział Lepuits. - Pan i ta kobieta wyjeżdżacie przy najbliższej okazji?

- Dziękuję. To będzie helikopter?

- Oj, nie... transporter opancerzony. Pracowników nie transportuje się helikopterami.

- Czyli mebsher? Zawiezie nas do Londynu?

- W tej chwili Londyn nie wchodzi w grę.

- Ale my potrzebujemy jechać do Londynu.

- Stąd możemy was zawieźć tylko do ZOR- u w Hull.

- Ale ja mieszkam w Londynie. I Louise Paladin też.

- Panie Tarent, ja bardzo proszę! Powiedziałem, że może pan stąd wyjechać przy pierwszej okazji, ale najpierw potrzebuję pana pomocy. Rozumiem, że nazwisko „Tebyeb Mallinan” jest panu znajome.

Tarent pokręcił głową. Jego nieznacznym francuski akcent sprawił, że te słowa zwały się w jeden nieartykułowany dźwięk.

- Może pan powtórzyć?

- Przepraszam. Tebyeb, albo doktor Mallinan. - Mówił teraz wolniej. - To ta osoba wysłała wiadomość, że zmienił pan plany i nie należy się tu pana spodziewać.

Tarent zapytał:

- Czy ta doktor Mallinan jest wysoką urzędniczką w Ministerstwie Obrony?

- Sądzę, że tak. Czyli zna pan ją?

- Tak, ale jeśli to ta osoba, o której myślę, to po raz pierwszy słyszę jej nazwisko, już nie mówiąc o tytule doktora.

- Powiem panu, czego od pana oczekujemy. Wydarzył się nieszczęśliwy wypadek, w którym zginęło parę osób. Sądzymy, że jest wśród nich doktor Mallinan, jednak zanim wydamy jej zwłoki, musimy mieć chociaż wstępną identyfikację. Potem ktoś ją zidentyfikuje oficjalnie, zapewne członek rodziny, ale wewnątrz, w Departamencie, musimy mieć wcześniej pewność, że to ona. Potrzebna nam czyjaś opinia. *Un avis*. Dopiero wtedy będziemy mogli wydać zwłoki.

- Czyli ona zmarła?

- Tak. Przykro mi, ale tak.

- W czasie ataku na mebshera?

- Szczegółów nie znam. Przywieźli ją wojskowym helikopterem razem z innymi osobami.

- Widziałem, jak ich przywieźli. Ale widziałem też, że personel traktuje ofiary jakby były ranne. Żywe.

- Nie... zapewniam pana, przywiezieni tutaj ludzie byli martwi w chwili przybycia.

- Rozumiem.

- Świetnie. - Lepuits ruszył do drzwi i otworzył je. - Sprawa jest dosyć pilna. - Wskazał ręką. - *Je vous prie, monsieur*.

Tarent ruszył za nim korytarzem i schodami w dół. Szybko przeszli przed zamkniętymi drzwiami do pokoju Lou. Tarent próbował przyswoić sobie wiedzę, teraz już pewną, że Flo zginęła w ataku na mebshera. Wcześniej, ponieważ nie miał pewności, podświadomie trzymał się cienia nadziei, że ludzie z transportera jakimś cudem przeżyli. No cóż, koniec z tą nadzieją.

Wyszli z budynku mieszkalnego na zewnątrz. Wciąż wiał wiatr, ale w niczym nie przypominał orkanu, który narobił takich szkód. Uprzątnięto już wszystkie co większe śmieci. W jednym

rogu dziedzińca traktory wciąż pracowały, spychając wszystko gdzieś poza budynki.

Gdy doszli do wejścia do budynku o półkolistej betonowej fasadzie, Lepuits pokazał dwóm strażnikom swoją kartę, potem otworzył drzwi kolejną kartą, tym razem z paskiem magnetycznym. Przepuścił Tarenta.

Gdy zewnętrzne drzwi się zamknęły, w środku zapadła całkowita cisza. Nie było słychać wiatru. Wytłumienie było idealne – Tarent miał wrażenie, że nic tu nie wydaje żadnych odgłosów. Lepuits zapalił górne światła.

Znaleźli się w czymś, co przypominało biuro o otwartym planie, z szeregami stacji roboczych w części najbliższej nich. Pod przeciwległą ścianą mieściły się boksy z zasłonkami – teraz odsłoniętymi. W środku były gotowe do użycia szpitalne leżanki, metalowe butle z tlenem i szpitalne szafki obok nich.

Lepuits powiedział:

– Proszę zrozumieć, ten ośrodek jest przeznaczony tylko do sporadycznego użytku w nagłych sytuacjach. Mamy na miejscu pielęgniarkę z oddziału ratunkowego, ale żadnych lekarzy. Od ostatniego kryzysu to miejsce traktujemy jak swego rodzaju poczekalnię. Każdy, kto potrzebuje czegoś poza pierwszą pomocą, jest wysyłany w miarę możliwości do szpitali w Nottingham i Lincoln.

Wyprowadził Tarenta stamtąd, przez drzwi, do części podzielonej ściankami.

– Nie ma tu kostnicy, ale jest chłodnia, więc na razie ciała przechowujemy w niej. W środku panuje bardzo niska temperatura, ale sądzę, że to nie potrwa długo. Żaden z nas nie jest odpowiednio ubrany, więc proszę się nie ościagać.

Lepuits otworzył wielkie, izolowane drzwi i pierwszy wszedł do środka. Rzeczywiście było tam potwornie zimno.

Większość miejsca zajmowały kartony z jedzeniem lub zapieczętowane beczki z nieznanymi substancjami. Tarent prawie na nie nie spojrział. Mroźne powietrze drażniło mu tchawicę. W życiu nie zaznał takiego mrozu. Zwłoki leżały obok

siebie na niskim stole pod boczną ścianą, każde nakryte białym prześcieradłem. Beczki, kartony i inne pojemniki, które dotąd zajmowały to miejsce, stały teraz na podłodze.

Lepuits podszedł do ciała pośrodku. Pochylił się, musiał balansować, bo przez pudła na podłodze nie dało się bliżej podejść. Odsłonił rąbek prześcieradła, odkrywając twarz.

- Mamy podstawy sądzić, że to może być Tebyeb, doktor Mallinan - powiedział.

Cofnął się, a Tarent zajął jego miejsce. Pochylił się i przyjrzał. I tak był w szoku, wstrząsnęła nim sama ta informacja, sama ostateczna pewność, że ona zginęła, wstrząsnął nim siarczysty mróz w pomieszczeniu - ale to była Flo. Leżała - jej ciało leżało - z zamkniętymi oczami, ale nie miało żadnych obrażeń, oparzeń, ran, zadrapań na twarzy, żadnych zasinień, śladów po fali uderzeniowej - kompletnie nic. Nagle przypomniał sobie coś, co powiedziała w zupełnie innym kontekście - że jest nie do uszkodzenia. Teraz być może rozumiał, co miała na myśli. Teraz to widział - i było dokładnie, jak powiedziała. Cokolwiek ją zabiło, nie pozostawiło na niej żadnych śladów. Przynajmniej nie na twarzy. Lepuits nie opuścił prześcieradła na tyle, by móc dojrzeć coś poza głową i ramionami.

Nie odstręczał go widok zamrożonego trupa ani sam fakt jej śmierci, ani poczucie straty, bo od jakiegoś czasu miał świadomość, że to, co między nimi zaszło, było tylko przelotnym zdarzeniem. Mimo to pulsował w nim tragizm tej sytuacji, straty ludzkiego życia, inteligentnej i interesującej kobiety, która zginęła nagle, została bezsensownie zanihilowana.

- Czy może pan ją rozpoznać?

- Tak. To ona.

- Musi pan wypowiedzieć jej nazwisko.

- Ja ją znałem tylko jako „Flo”. Czy to jest jej imię?

- Potrzebna jest dokładniejsza identyfikacja.

- Pan zna imię tej kobiety? - powtórzył Tarent. - Jeśli powiem, że nazywała się Flo, a to się zgadza z tym, co pan wie, to może wystarczy?

- Proszę ją zidentyfikować.

Tarent machnął ręką, trochę z frustracji wywołanej zadawaniem się z tym człowiekiem, a trochę, żeby wyrazić rozpacz, która go nagle ogarnęła.

- Dla mnie to jest Flo. Tak mi się przedstawiła. Powiedziała, że jest wysokim cywilnym urzędnikiem w Ministerstwie Obrony, że jest w Gabinetcie Prywatnym i blisko współpracuje z ministrem, szejkiem Ammarim. Nie znaliśmy się dobrze. Spotkaliśmy się tylko raz, a ona nie chciała mi się przedstawić prawdziwym nazwiskiem. Sugerowała nawet, że to imię, Flo, nie jest prawdziwe. Ale ją rozpoznaję. To jest kobieta, którą znałem.

Lepuits zakrył jej twarz prześcieradłem i wyrównał je po obu stronach.

- To panu wystarczy? - zapytał Tarent.

- Mogę to zapisać jako opinię.

- Ale to wystarczy?

- Opinia pozwoli mi wydać zwłoki.

- No dobrze, to możemy już stąd iść? Zimno tu nie do wytrzymania.

- Byłby pan w stanie rozpoznać inne osoby?

- Nazwisk nie podam, bo nie znam. Ale jeśli to są ludzie, którzy jechali ze mną mebsherem, to ich poznam. Dwaj kierowcy nazywali się Plamid i Ibrahim, byli żołnierzami z Czarnej Straży. Nie byli oficerami, nie wiem, jakie mieli stopnie. Jeden pasażer nazywał się Heydar, ale nie wiem, czy to imię, czy nazwisko. Był kolegą Flo. Drugi był Amerykaninem, o nim nic więcej nie wiem.

- Jeśli pan ich rozpozna, także zapiszę to jako opinię.

Tarent przesunął się niezdarnie wzdłuż rzędu, przeciskając się między kartonami na podłodze. Szybko zerknął na cztery kolejne ciała i potwierdził, że wszystkie rozpoznaje. U nikogo nie widział żadnych fizycznych obrażeń. Mieli ten woskowy pośmiertny wygląd, przeraźliwą pustkę w wyrazie twarzy, brak siły vitalnej, brak życia - dwójka szkockich żołnierzy, Heydar - współpracownik Flo, bezimienny Amerykanin. Było jeszcze

szóste ciało, też przykryte, znajdowało się jednak na drugim końcu półki i nie dałoby się do niego dojść bez przesuwania ciężkich pojemników na podłodze. Tarentowi trzęsły się ręce z zimna.

- W mebsherze było ze mną tylko pięć osób - powiedział, wskazując nadliczbowe zwłoki.

- Co do ostatniej osoby nie potrzebujemy pana opinii. Już została zidentyfikowana. Pana i mnie interesuje tylko te pięć osób tutaj.

- Czyli to wszystko, czego pan chce?

- Dziękuję panu. Bardzo nam pan pomógł.

- To możemy już wyjść?

- Ależ oczywiście.

Ku uldze Tarenta Lepuits szybko wyszedł z chłodni i zatrzasnął za nimi drzwi.

- To wszystko? - zapytał Tarent, dygocąc. Jego ubranie było zimne jak lód. Miał wrażenie, że powieki mu zamarły.

- Dziękuję raz jeszcze, *monsieur*. Mam wszystkie niezbędne opinie, można będzie powkładać zwłoki do trumien i jak najszybciej wydać rodzinom. Proszę wrócić na swoją kwaterę, zawiadomię pana, jak tylko odpowiedni mebsher będzie dostępny.

- Do Londynu?

- Do ZOR- u w Hull - odparł Lepuits. - Stamtąd będzie pan mógł sobie zorganizować transport dalej.



Tarent poszedł prosto do Lou.

- Wygląda na to, że uda nam się stąd wyjechać w ciągu dwudziestu czterech godzin - powiedział. - Rozmawiałem z tym Bertrandem Lepuits. Wiesz, o kogo chodzi?

- Dyrektor operacyjny. Francuz. Kojarzę go, ale nigdy go nie lubiłam.

- Będziesz gotowa, żeby na zwołanie zebrać się i pojechać?

- Naprawdę to załatwiłeś?

- Konkretniej godziny mi nie podał, ale powiedział, że wsiądziemy do następnego mebshera, który będzie stąd odjeżdżał. Ma być niedługo. W sumie jest już późno, więc pewnie to będzie jakoś jutro. Do Londynu pojechać nie możemy. Zabiorą nas tylko do Hull.

- Wszystko lepsze niż tkwienie tutaj.

- Jak już będziemy w Hull, coś dalej wykombinujemy. Ja też muszę dotrzeć do Londynu, więc jeśli chcesz, możemy jechać razem.

- Chcę. - Lou niespodziewanie podeszła do niego i objęła go serdecznie. - Nie masz pojęcia, Tibor, ile to dla mnie znaczy.

- Sporo masz tych rzeczy. - Tarent rozejrzył się po jej pokoju o identycznym układzie jak jego.

- Nieważne, większość może zostać. Ale ja wiem, jak działa ten Lepuits. Nie uprzedzi nas wcześniej, powie w ostatniej chwili, więc na wszelki wypadek teraz się spakuję.

Tarentowi cały czas wydawało się, że jest w drodze. Na Farmie Warne'a prawie się nie rozpakowywał. Poszedł do stołówki po jakieś jedzenie. Nie było tam Lepuits. Wrócił do pokoju i prawie od razu położył się do łóżka.

I wtedy, w ciemności, trafiło go. Flo zginęła. Tak samo nagle i

bez sensu, jak Melanie. Nadal cierpiał po stracie Melanie, którą wciąż kochał, Flo jednak zaintrygowała go i pobudziła. Obie zginęły w przypadkowym ataku, niewymierzonym konkretnie w żadne osoby, będącym wyrazem jakiejś politycznej czy religijnej ambicji lub zemsty. Obie zamordowano w podobny sposób.

Poczucie straty było dojmujące. Nie własnej straty, tę czuł jak tępy ciężar w brzuchu; ich straty – obie były na tyle młode, by mieć plany, mieć przyszłość, obie odnosiły już sukcesy. Wiedział na pewno, że gdyby Melanie nie umarła, nie zadawałby się z Flo, nawet na jedną noc, na tę krótką schadzkę. Zawsze był Melanie wierny. Później, gdy porwały go kolejne wydarzenia, zaczęła go dręczyć bolesna myśl, że mimo woli przyczynił się do śmierci Melanie – kłótnia, po której wyszła z ośrodka, była w dużej mierze jego winą. A teraz także Flo. Czy trzeba ją było przekonać, żeby wysiadła z mebshera razem z nim? Jednakże wtedy przekonanie jej wydawało mu niemożliwe, była związana służbowym celem podróży – i przeciwnie, chciała, by został z nią w transporterze. Wytrąciła go z równowagi – do ostatniej chwili, póki mebsher nie odjechał, był niezdecydowany. Przypominał sobie ostatnie chwile, gdy silnik rozpędzał się do pełnej mocy, jak tam, na skarpie, zastanawiał się, w którą stronę pójść. Czy w ogóle właściwie odczytał jej intencje? Może sprawy potoczyłyby się inaczej. Wiedział, racjonalną częścią umysłu, że to typowe po śmierci partnerki lub partnera obwiniać się o ich śmierć, lecz ta świadomość w niczym nie łagodziła jego uczuć.

Był samotny. Chciał teraz tylko jak najszybciej wrócić do ich starego mieszkania w Londynie, coś z nim zrobić – sprzedać, wyremontować, wywalić wszystkie wspólne rzeczy i zacząć od nowa – generalnie być na miejscu i odzyskać kontrolę nad własnym życiem.

Trudno mu było zasnąć, jednak wreszcie zapadł w jakiś niespokojny półsen – leżał nieruchomo wciąż świadomy otoczenia. Za każdym razem, gdy otwierał oczy, żeby zerknąć na cyfrowy zegarek przy łóżku, stwierdzał, że minęło więcej czasu, niż mu się wydawało. Oznaczało to, że śpi być może płytko, ale

lepiej, niż myśli. Kiedy zaczęło świtać, niepokój przekształcił się w zniecierpliwienie.

Wziął prysznic, ubrał się i spakował rzeczy. Zastanawiał się, czy nie pójść do Lou i nie zapytać, czy jest gotowa, wiedział jednak, że ona prawie na pewno jeszcze śpi. Było parę minut po siódmej i słońce dopiero co wzeszło. Wyjrzał przez okno i zobaczył, że robotnicy skończyli odgruzowywać dziedziniec po burzy. Nie było tam nikogo, choć uzbrojona straż przed szpitalem pozostała na posterunku. Jednak sami strażnicy już nie stali przed drzwiami ani nie chodzili tam i z powrotem. Mieli budkę tuż obok wejścia. W budce paliło się światło.

Tarent wziął canona concealable, sprawdził, czy bateria jest naładowana, potem przeszedł przez budynek i wyszedł na plac.

Idąc, pstryknął parę zdjęć, wiedząc, że dzięki stabilizatorowi nie będą poruszone. Gdy był prawie w połowie dziedzińca, stanął, ustawił aparat, jak należy, i rozejrzał się za kierunkiem, z którego padało światło słoneczne, rzucające nieregularne cienie na nierówną betonową nawierzchnię placu.

Obaj strażnicy wyszli szybko z budki, bez wahania unieśli karabiny i wycelowali je w niego. Przerażony Tarent cofnął się, zamachał w górze aparatem na znak, że rozumiał, o co im chodzi, i nie będzie już robił zdjęć. Wtedy lufy odrobinę opadły. Jeden strażnik wrócił do budki, Tarent widział, jak podnosi słuchawkę telefonu. Po chwili wrócił tam i drugi.

Coś dziwnego było w ich sposobie poruszania się - ruchy sztywne, unoszenie broni zbyt szybkie, cała reakcja zbyt nagle. Przez parę sekund naprawdę się bał, co zrobią potem, i wyrzucał sobie, że nie pokazał im wcześniej, że chce robić zdjęcia - przeważnie była to bezpieczna zawodowa reguła tam, gdzie miejscowe władze mają paranoję na punkcie ludzi z aparatami. Zakładał, że karabiny są naładowane. Żołnierze nie ostrzegli go żadnym okrzykiem, nie podbiegli do niego, nie grozili mu w żaden sposób. Wyglądali, jakby to była musztra, jakby wykonywali jakieś rytualne kroki.

Odczekał chwilę, trzymając aparat w opuszczonej dłoni. Potem

odwrócił się do budynku, który chciał sfotografować, i ponownie uniósł aparat.

Strażnicy zareagowali dokładnie tak samo, jak przedtem – wybiegli z budki strażniczej, na niemal komicznie sztywnych nogach, unieśli broń – ale gdy tylko Tarent znów uniósł aparat nad głowę, by pokazać, że już nie fotografuje, opuścili ją. Jeden wrócił do budki i powiedział coś do telefonu. Chwilę później drugi dołączył do niego.

Tarent cofnął się pod budynek mieszkalny. Uniósł aparat, strażnicy jednak nie ruszyli się ze swojej budki.

Zrobił z tej pozycji kilka szybkich zdjęć jedno po drugim, potem odwrócił się i zrobił jeszcze więcej. Strażnicy nie zareagowali, dopiero kiedy ruszył ku nim, docierając mniej więcej na środek pustej przestrzeni, po raz kolejny wybiegli z budki i bez słowa zagrozili mu karabinami.

Cofnął się raz jeszcze, a potem metodą prób i błędów ustalił, jak blisko może podejść do budynku szpitala, żeby nie wywoływać ich reakcji.

Wyjątkowo zaciekała go jedna budowla w kompleksie. Po południowej stronie placu, blisko bramy wejściowej. Była niezwykle ze względu na swój kształt, wielkość i stan – ewidentnie miała o wiele więcej lat niż pozostałe budynki. Wysoka ceglana wieża, kwadratowa, przysadzista, ale wznosząca się na co najmniej trzydzieści- czterdzieści metrów. Trochę w ruinie – na niektórych ścianach widać było, że spomiędzy cegieł wykruszyła się zaprawa. Miała wysokie, wąskie okna, ale pozbawione szyb. W górnej części zewnętrzne ściany były kiedyś otynkowane, teraz ten tynk prawie całkiem odpadł, ukazując murarkę w jeszcze gorszym stanie niż na dole.

Wieża wyglądała na grożącą zawaleniem w każdej chwili, mimo to wytrzymała co najmniej ostatnią burzę strefy umiarkowanej, a pewnie i kilka poprzednich, o których wspominała Lou. Prędkość wiatru w trakcie tych burz często przekraczała sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. A BSU Federico Fellini, sądząc po uszkodzeniach, które Tarent widział wokół dziedzińca, była

jedną z tych gwałtowniejszych burz. Mimo to wiekowa wieża jakimś cudem przetrwała.

Trzymając się strefy, którą ustalił jako niekontrowersyjną, Tarent zrobił jeszcze parę zdjęć wieży, zafascynowany jej wyglądem i tym, jak ponuro góruje nad nowszymi budynkami wokół. Ustawił aparat na teleobiektywie, żeby zrobić zbliżenia zrujnowanych ścian.

Strażnicy nie interesowali się tym, co robi.

Słońce już wspięło się wyżej i piękne, subtelne światło często towarzyszące świtowi zmieniało się na bardziej pospolite i banalne. Niebo było czyste, bez chmur burzowych.

Tarent schował aparat i wrócił do budynku mieszkalnego.

## 6

Na terminalu w pokoju miał wiadomość od Lepuits: „Transport do ZOR w Hull zgodnie z ustaleniami będzie dostępny o godz. 11.00. Obowiązują ograniczenia na przewóz bagażu, jedna walizka plus bagaż podręczny. Biuro dyr. op. B.L.”.

Gdy to zobaczył, wziął walizkę, aparaty i podszedł do Lou. Wysłano jej tę samą wiadomość. Dokończyła pakowanie, upychając wszystko do jednej dużej walizki na kółkach. W szafie zostawiła trochę ubrań, w kuchni większość sprzętów kuchennych, na długiej półce sporo książek.

- Chcę po prostu wracać do Londynu i tyle - powiedziała. - Większość tych rzeczy jest pożyczona albo w spadku po poprzednich lokatorach. Mogą zostać. Nic dla mnie nie znaczą.

Poszli do stołówki na śniadanie, posiedzieli jeszcze nad kawą i wrócili do jej pokoju. Do podanej godziny wyjazdu mebshera mieli jeszcze co najmniej półtorej godziny. Siedli na pogawędkę dla zabicia czasu.

Tarent wspomniał o starej wieży, ciekaw był, czy ona wie, co to takiego, do czego kiedyś służyła, ona jednak nie miała pojęcia, o czym on mówi. Zerknął przez okno i stwierdził, że z jej pokoju jest niewidoczna.

- Pokażę ci - powiedział. Wyciągnął canona, zalogował się do laboratorium i wysłał polecenie wyświetlenia wszystkich zdjęć zrobionych dziś rano. Chwilę później zamrugało zielone światelko. Włączył ekran LCD i podniósł go tak, by oboje dobrze widzieli. - Wstałem bardzo wcześnie i porobiłem trochę zdjęć.

Szybko przewinął poranne zdjęcia - plac, gdy pierwszy raz przez niego szedł, skośne cienie na ziemi, wczesne słońce, mgła rozpraszająca się nad dachami, potem sekwencja robionych metodą prób i błędów zdjęć szpitala, gdy ustalał, jak blisko

wolno mu podejść. Potem blok mieszkalny, stołówka, dwa pozostałe duże budynki, których zastosowania nie znał, wreszcie wieża.

Tyle że zdjęć wieży nie było. Ciąg fotografii się urywał.

Tarent szybko sprawdził ustawienia aparatu, po czym z powrotem zalogował się do laboratorium. Ponownie pobrał te same zdjęcia, lecz kiedy ściągnęły się do aparatu, zdjęć wieży nadal wśród nich nie było.

- Zrobiłem jej kilkanaście zdjęć - powiedział Lou.

- Komu? Który to budynek?

- Stara wieża po południowej stronie kompleksu. Przy samej bramie.

Pokręciła głową.

- Dalej nie wiem.

Tarent wściekł się na aparat - pierwszy raz go zawiódł. Jak dotąd mały canon był niezawodnym sprzętem, o ile pilnowało się, by miał naładowaną baterię. Nowoczesne aparaty miały tak niewiele ruchomych części, że po kontroli jakości w fabryce prawie nie miało się w nich co psuć. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to że przypadkiem nacisnął przycisk wyłączający zapisywanie zdjęć. Używał jednak tego aparatu od miesięcy i obsługiwał go niemal automatycznie. Nie przychodziła mu do głowy żadna kombinacja przycisków, która mogłaby coś takiego spowodować.

Lou siedziała cierpliwie obok niego, gdy majstrował przy ustawieniach aparatu, usiłując znaleźć zaginione zdjęcia.

- Może ta wieża została po więzieniu? - zapytała.

- Nie wygląda. Więzienie miałoby mieć taką wieżę, trochę jak kościelną? W sumie to nie wiedziałem, że tu było więzienie.

- Przez jakiś czas było. Otwarte więzienie. Trochę badałam historię tego miejsca. Jak gdzieś siedzisz od miesięcy, zaczyna ci się nudzić. Więc sprawdzałam sobie różne rzeczy.

Tarent, cały czas manipulując przy aparacie, zaintrygowany, jak zdjęcia mogły przepaść, powiedział:

- To mów.

- Więc... wiele lat, może i wieki całe, było tu gospodarstwo.

- Stąd nazwa?

- Nie, nazwa pojawiła się później. Pierwsza poważna zmiana przyszła w czasie II wojny światowej, kiedy zbudowali tutaj bazę dla bombowców RAF- u. Nazywało się to Tealby albo Tealby Moor, nie jestem do końca pewna. Przez prawie całą wojnę stacjonowały tu dwa dywizjony. Po wojnie jeszcze przez parę lat było tu lotnisko, cały czas należące do Ministerstwa Lotnictwa, ale nieużywane. Gdzieś po roku tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym z powrotem pozwolono tu uprawiać ziemię - pasy startowe rozebrano i wywieziono, parę lat później nie było po nich śladu. Farmer zachował parę dawnych budynków RAF- u, w tym wieżę kontrolną, jeden hangar i wieżę wodną. Służyły mu za magazyn, trzymał w nich zwierzęta i tak dalej, ale po jakimś czasie zaczęły się sypać. Znalazłam w Internecie ich zdjęcia, zrobione krótko przed rozbiórką. I jakoś wtedy zmieniła się nazwa, na Farmę Warne'a. Może to było nazwisko farmera, w każdym razie tak już zostało. Farma rolno- hodowlana działała przez wiele lat, dopiero w roku dwa tysiące osiemnastym ziemię wykupiło z powrotem państwo i postawiło część obecnych budynków. Zrobili tu obóz ćwiczebny dla rekrutów. Potem, w roku dwa tysiące dwudziestym piątym znów zmienili przeznaczenie. Wtedy właśnie powstało tu więzienie, takie otwarte, dla niegroźnych więźniów z długimi wyrokami. Dobudowali nowe budynki, niektóre stare przebudowali. W roku dwa tysiące trzydziestym szóstym więzienie zamknięto i wprowadziło się Ministerstwo Obrony. I ośrodek cały czas do nich należy. To jest coś jakby ich administracja na północną Anglię, ale z kilometr stąd są też strzeżone budynki, gdzie prowadzą jakieś badania czy eksperymenty. Nigdy tam nie byłam. Ten budynek, w którym jesteśmy, powstał zdaje się przy okazji wojskowego obozu, ale potem całkowicie go w środku przebudowali.

Tarent wetknął canona z powrotem do futerału. Nie doszedł, co się z nim stało.



- Z tego pokoju wieży nie widać - powiedział. - Pokażę ci później, jak wyjdziemy.

- Może to wieża wodna? Z czasów lotniska dla bombowców?

- To ona jeszcze jest? Mówiłaś, że dawno ją zburzyli.

- Tak przeczytałam na jakiejś stronie. Myślałam, że nie istnieją już żadne budynki z czasów RAF- u.

- Później ci pokażę.

Tarent wstał i zaczął chodzić po pokoju. Było po wpół do jedenastej, a biuro Lepuits i on sam nie dawali znaku życia, na placu zaś nie było widać żadnego mebshera. Zastanawiał się, czy powinien się z nim skontaktować, potwierdzić plan. Stał w oknie oparty dłońmi o parapet, gapił się na wielki betonowy plac.

- Ja chyba się trochę przejdę - powiedział. - Idziesz ze mną?

- Nie. Poczekał tutaj. Jesteś tak spięty, że i mnie się udziela.

- Przepraszam. Już nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjadę. Idę, wezmę rzeczy. Zajdę po ciebie, kiedy transporter przyjedzie, albo po prostu zejdź na plac, jak go usłyszysz. Silniki mebshera strasznie hałasują.

Wyszedł z pokoju, szedł na plac i postawił walizkę pod ścianą. Zarzuciwszy na ramię futerały z aparatami, rozejrzał się za ścieżką, którą doszedł do ośrodka Warne'a. Musiał przejść przez budynek mieszkalny na drugą stronę, potem przedostać się korytarzem przez kolejny. Tak doszedł do żwirowej ścieżki oddalającej się w stronę ogrodzenia. Bramka była zamknięta na elektroniczny zamek, otworzyła się jednak po przyłożeniu jego karty. Przeszedł na drugą stronę.

Ostatni raz był tutaj chwilę po oglądaniu na własne oczy ataku na mebshera. Wychodząc z pokoju Lou, planował wejść na górę grzbietu i jeszcze raz spojrzeć na miejsce wybuchu. To, co widział tamtego dnia, dziś wydawało mu się niepewnym wspomnieniem - było nagle, przerażające, niewytłumaczalne i choć wtedy sądził, że zachował zimną krew, teraz wiedział, że przyczyniło się do jego delirium. Kusiło go, by jeszcze raz spojrzeć na miejsce katastrofy, ale teraz, gdy naprawdę mógł to zrobić, ogarnął go silny, choć nieokreślony lęk.

Zatrzymał się tuż za furtką, która zatrzasnęła się za nim samoczynnie. Otaczały go drzewa, w większości powyrywane przez wichę, z odsłoniętymi bryłami korzeniowymi. Pozostałe miały połamane gałęzie, zmiecione wszystkie liście, popękane pnie. Pamiętając gwałtowność ostatniej burzy, zdziwił się właściwie, że aż tyle drzew przetrwało, choćby nawet i poważnie uszkodzonych. Przynajmniej los oszczędzi im kolejnej burzy - z rana usłyszał w radiu wiadomości. Przez noc BSU Graham Greene skrzyła niespodziewanie na południowy wschód, przeszła nad Zatoką Biskajską i prawie się rozproszyła, docierając nad francuski ląd. Uważano, że kolejne burze strefy umiarkowanej na razie nie przyjdą, przynajmniej nie nad Wyspy Brytyjskie, choć pojawiały się już pierwsze ostrzeżenia o silnych opadach śniegu i możliwych zaspach. Nadal był koniec września, lecz zima, ze swymi nieprzewidywalnymi i groźnymi humorami, już nadchodziła.

Usłyszał basowe dudnienie silnika, głośny łoskot, na który nakładało się wysokie wycie turbin. Odwrócił się natychmiast i przyłożył kartę do czytnika. Po długiej chwili, tak długiej, że już zdążył się zdenerwować, że nie będzie w stanie wejść z powrotem, elektryczna bramka otworzyła się, wpuszczając go do ośrodka. Zerknął z powrotem na południe, pomiędzy nieliczne drzewa, które jeszcze stały, za pierwsze budynki Farmy Warne'a, i z ulgą dostrzegł jadącą powoli w stronę głównej bramy potężną, ciemną sylwetkę mebshera. Pobiegł przejściem pomiędzy budynkami i znalazł się na placu.

Mebsher już przejechał przez zapory i właśnie się zatrzymywał. Kierowca, niewidoczny za przyciemnioną pancerną szybą, podjechał transporterem pod sam budynek szpitala. Przestał hałasować, turbiny powoli ucichły, a silniki wysokoprężne zaczęły pracować na biegu jałowym. Wiatr niósł czarny dym spalin prosto na Tarenta. Znajomy zapach, który wdychał przez tyle godzin jazdy na północ z Londynu, przywołał zagrzebane głęboko wspomnienia o zamknięciu w ciasnej kabinie, nudzie, wstrząsach i niewygodach oraz wątlej rozrywce polegającej na rozmyślaniu o siedzącej przed nim kobiecie.

Z posterunku pod wejściem do szpitala wyszło kilku strażników w mundurach i ustawiło się w luźnym szeregu. Jeden z nich, oficer, wystąpił naprzód i podszedł do kabiny, po czym wspiął się po przyspawanych do burty transportera prymitywnych szczebelkach. Otworzyła się metalowa klapka pod przednią szybą, odbyła się rozmowa. Chwilę potem z otworu wysunęły się dokumenty do sprawdzenia.

Podczas kontroli dokumentów Tarent przypomniał sobie o Lou. Odwrócił się, chcąc pójść po nią do pokoju, i wtedy

zobaczył, że już wychodzi z budynku. Ciągnęła za rączkę wielką walizę. Podeszła i stanęła obok niego.

Strażnik oddał kierowcy dokumenty, klapka się zamknęła. Żołnierz zeskoczył z pojazdu i razem z innymi poszedł szybkim krokiem do szpitala.

Silnik mebshera zaczął nabierać obrotów i za chwilę Tarent zobaczył, jak ogromny transporter manewruje tam i z powrotem, żeby podjechać tyłem pod szpital.

- Gotowa jesteś na wyjazd? - zapytał Tarent.

- Już nie mogę się doczekać. A ty?

- Też.

Otworzył się właz kabiny kierowców. Wyłonił się z niego mężczyzna, podciągnął się i wysiadł. Zręcznie wszedł na maskę przed kabiną.

Był wysokim, młodym człowiekiem, szczupłym i atletycznym. Miał na sobie typowy dla brytyjskiej armii podczas operacji wewnętrznych mundur maskujący, ciemnozielony w brązowe, czarne i jasnozielone plamki. Przez ramię przewiesił przydziałowy lekki karabinek automatyczny. Głowa pod czapką była ogolona, za to nosił długą brodę, zmierzwioną i ciemną. Miał też ciemne okulary. Położył ręce na biodrach i obrócił się, żeby mieć widok na wszystkie strony.

Tarent miał w pogotowiu aparat i szybko strzelił mu parę zdjęć, pełen podziwu dla jego spokojnego, emanującego pewnością siebie zachowania.

Z budynku szpitala wyszło teraz czterech strażników z trumną na ramionach. Szli powoli, równając krok, z pochylonymi głowami. Donieśli trumnę pod komorę bagażową mebshera. Kłapa uniosła się na hydraulicznych siłownikach. Powoli i bardzo ostrożnie wsunęli trumnę do ładowni. Kolejna grupa strażników już niosła drugą.

Młody żołnierz stojący z przodu pojazdu obserwował całą procedurę. W pewnym momencie pochylił się i powiedział coś do drugiego członka załogi, cały czas siedzącego w kokpicie i niewidocznego.

Trumny, jedna po drugiej, wylądowały na pokładzie transportera. Szybko załadowali wszystkie, chociaż szóstą musieli wsuwać ostrożnie, bo większość komory już była zajęta – kierowca w pewnym momencie musiał zeskoczyć na ziemię i pomóc strażnikom poprzesuwać pozostałe trumny.

- Pewnie dlatego mówili, że są ograniczenia na wielkość bagażu – powiedziała Lou, obserwując te powolne i mozolne zabiegi. - Prawie nic miejsca nie zostało.

- Jak będzie można, włóż swoją walizkę do ładowni – odparł Tarent. - Ja wezmę swoją do środka. Wiem, jaki jest układ w kabinie, i wcisnę ją gdzieś na tył.

Obserwował ładowanie trumien, odbywające się z należytym szacunkiem, ale bez zbędnych ceregieli, a z każdą kolejną czuł coraz większy ból i udrękę. Wiedział, że w jednej z nich leży Flo.

Poczuł się nieswojo na myśl, że będą jechać z trumnami pod nogami.

Lou podturlała walizkę na kółkach pod klapę ładowni, a młody żołnierz, widząc, że próbuje wcisnąć ją do środka, podszedł, żeby jej pomóc. Prawie nie było już miejsca, co oznaczało, że walizka musi wylądować na jednej z trumien. Żołnierz wziął ją od Lou i włożył na miejsce jednym zamaszystym, energicznym ruchem. Zeskoczył na ziemię i kiwnął na drugiego kierowcę, żeby zamykał klapę.

Tamten wyprostował się, rozejrzał i po raz pierwszy popatrzył na Tarenta. Spojrzeli sobie w oczy.

To był Hamid, młody Szkot, jeden z dwóch kierowców mebshera, którym tu przyjechał.

Tarent odruchowo uniósł dłoń do powitania, jednak żołnierz w tej samej chwili odwrócił się. Poszedł z powrotem na przód pojazdu i wspiął się na maskę.

Tarent opuścił dłoń. Zrobił krok naprzód, nie dowierzając, że znów widzi tego młodego człowieka.

- Hamid?! - zawołał.

Przy transporterze stał strażnik.

- Proszę się odsunąć. To jest wojskowy pojazd.

- Ale ja mam nim jechać! - krzyknął Tarent zdenerwowany, że tamten się wtrąca. Wyciągnął z tylnej kieszeni swój dyplomatyczny paszport i machnął strażnikowi przed nosem charakterystyczną białą okładką.

- Przykro mi, mam rozkaz nie dopuścić nikogo do pojazdu.

- Ten pojazd mnie stąd zabiera. Może pan zapytać pana Lepuits.

- To pan Lepuits wydał mi taki rozkaz.

Tarent machnął niecierpliwie ręką.

- No tak, ale ja mam zgodę na wyjazd tym transporterem. I pani Paladin też.

Lou znów stanęła u jego boku.

- Proszę zaczekać. - Strażnik powiedział coś do słuchawki i czekał na odpowiedź.

- Hamid! - Tarent podniósł głos.

Wtedy młody żołnierz usłyszał go i odwrócił się w jego kierunku. Ich spojrzenia znów się spotkały, jednak nic nie wskazywało, by tamten go rozpoznawał. Tarent natomiast był pewien, że to ten sam człowiek. Podeszedł bliżej do mebshera. Tym razem strażnik nie starał się go zatrzymać.

- Słucham?

- Pokój niech będzie z wami - powiedział Tarent. - To nie pan czasem kierował mebsherem, który mnie tu przywiózł?

- Ja dopiero co przyjechałem. - Ten sam akcent z Glasgow.

- Ale dwa czy trzy dni temu. Pod koniec zeszłego tygodnia byłem w Londynie, jechałem razem z innymi pasażerami. Droga była zalana, pomagał mi pan wsiąść. Nocowaliśmy w bazie w Long Sutton, a następnego dnia wysadziliście mnie tutaj pod ośrodkiem.

- Sir, ja muszę dokładnie trzymać się trasy. Nie jedziemy z Londynu i nie przypominam sobie, żebyśmy byli w tej bazie, o której pan mówi. Long Sutton to zamknięta jednostka.

- Ale nie podczas tego kursu. Parę dni temu. Musi pan pamiętać?

- Przyjechaliśmy po ładunek. I dwóch pasażerów. Inszallah.

Z włazu, pewnie słysząc ich głosy, wyłonił się drugi kierowca. Wpatrzył się w Tarenta.

- Ibrahim! - powiedział Tarent. - Pokój niech będzie z tobą. Nie pamiętasz mnie?

Ibrahim wytrzeszczył oczy na Tarenta, ale nic nie powiedział. Pokręcił lekko głową. Obaj kierowcy zagadali krótko do siebie w bełkotliwym slangu, po czym Hamid szybko zszedł na ziemię. Nie zwracając uwagi na Tarenta, stojącego teraz o niecałe trzy metry od burty pojazdu, włączył mechanizm otwierający główny właz. Kłapa zasyczała i gładko uniosła się na siłownikach. Wbudowane schodki rozłożyły się i opuściły na beton. Tarent mógł zerknąć pod kątem do środka, prawie nic jednak nie zobaczył - właz był zbyt wysoko nad ziemią.

Strażnik podszedł do niego, chowając telefon.

- Pan Lepuits potwierdził, że tych dwoje pasażerów może wsiąść do transportera - powiedział do Hamida. - Mają jechać tylko do ZOR- u w Hull.

- Inszallah.

- Ty pierwsza - powiedział Tarent do Lou.

Kiedy ruszyła naprzód, Tarent także zrobił krok ku włazowi mebshera. Teraz, będąc tak blisko, czuł zapach wydobywającego się ze środka powietrza. Jakże był znajomy - zapach jadących w kabinie ludzi, powietrza z odzysku, gołego metalu, starej tapicerki, od razu przywodzący na myśl ciasnotę, twarde siedzenia i świetlówki. Lou minęła go.

- Ale ty też jedziesz, prawda?

- Zostawiłem tam walizkę - powiedział, wskazując miejsce przed budynkiem mieszkalnym. - Muszę po nią pójść. Zaraz będę.

Lou wspięła się po schodkach, pochyliła głowę i weszła do kabiny pasażerskiej. Tarent widział, jak zatrzymuje się zaraz po wejściu. Chwilę później odwróciła się, wystawiła głowę, rozejrzała się po raz ostatni po Farmie. Uśmiechała się, spojrzała na niego.

- Dziękuję, Tibor - powiedziała.

Lou weszła do środka, lecz chwilę później z wjazdu wyłoniła się inna osoba. Stała na ostatnim schodku. Spojrzała przelotnie na Tarenta, choć zaraz odwróciła wzrok. Na włosach miała chustę, a lewą dłoń dotykała głowy za lewym uchem. To była Flo. Odezwała się do Hamida:

- Czemu tyle stoimy?

- Zaraz ruszymy, proszę pani. Musimy zabrać dwoje pasażerów.

- Mamy opóźnienie. Za niecałe dwie godziny mam spotkanie w ministerstwie.

- Tak, pani Mallinan. Już więcej nie będziemy się zatrzymywać. Zaraz odjedziemy.

Flo spojrzała wprost na Tarenta.

- Ma pan zgodę na jazdę tym transportem? - zapytała.

- Flo? - odparł Tarent z bijącym sercem.

Spojrzała na niego uważnie.

- Kim pan jest? Czemu pan mnie tak nazywa?

Brzmiała, jakby autentycznie go nie rozpoznawała. Tarent wpatrywał się w nią wstrząśnięty, niedowierzający, przerażony, czując, że jego własny kontakt z rzeczywistością zaczyna się urywać. Ledwo co wczoraj wieczorem, w chłodni...

I w ładowni mebshera pod spodem...

- Flo, nie pamiętasz mnie? - zapytał słabym głosem.

- A powinnam?

- Spotkaliśmy się parę dni temu. W podróży.

- Ja nie „podróżuję”, jak to pan nazywa. Co pan tu robi? Proszę mi pokazać dokumenty.

Tarent wiedział, że wokół są inni ludzie - Lou w kabinie pasażerskiej zapewne wszystko słyszała, Ibrahim i Hamid stali tuż za nim, strażnik też był niedaleko. Flo mówiła głośno, agresywnie, dominującym tonem.

- Flo... Przecież ty jesteś Flo, prawda? Nazwiska nie chciałaś podać, ale teraz wiem, że brzmi „Mallinan”. - Cały czas miał w dłoni biały paszport, więc uniósł go i pokazał. - Ja jestem Tibor. Tibor Tarent. My się znamy. Chciałaś, żebym...

- Pan wykonuje jakieś zadania dla ministerstwa?



- Nie.

- To jest rządowy pojazd, wykonuje rządowe zadanie. Opóźnia pan mój przejazd.

- Dotąd jechałem na polecenie władz.

- Skąd pan zna moje imię? My się znamy? Poznaliśmy się?

- Poznaliśmy się w tym poprzednim mebsherze, przed atakiem.

- Jakim atakiem? - Obejrzała się na resztę ludzi. - Proszę nas na chwilę zostawić - rzuciła nieznoszącym sprzeciwu tonem. - To jest poufna rozmowa.

Stała bez ruchu i czekała. Hamid i Ibrahim przeszli na przód pojazdu i szybko wspięli się do kabiny kierowców. Strażnik cofnął się w stronę szpitala. Tarent obejrzał się na budynki, na wprost spodziewając się, że wyjdzie stamtąd jeszcze więcej ludzi, żeby sprawdzić, co się dzieje, plac był jednak ze wszystkich stron całkowicie pusty. Po chwili kłapa kabiny kierowców zamknęła się i uszczelniła.

Flo powiedziała: - Pan pokaże ten paszport.

Wręczył go jej, ich opuszki palców zetknęły się na ułamek sekundy. Otworzyła go, przeczytała informację na pierwszej stronie, potem zerknęła na zdjęcie na końcu i jednocześnie przytknęła dwa palce do niewidocznego implantu za uchem. Uniosła łokieć, żeby zamaskować ten gest.

Oddała mu paszport.

- Nie wiem, kim pan jest. Ani co pan tu robi. Ale z tego paszportu korzystał pan nielegalnie. Nie ma pan uprawnień dyplomatycznych ani, na ile jestem w stanie ustalić, żadnych oficjalnych powiązań ani z Biurem Pomocy Zagranicznej, ani z Ministerstwem Obrony. Unieważniłam ten paszport. Jeśli będzie pan chciał wyjeżdżać, musi pan wyrobić sobie nowy. A teraz powinnam zająć się obowiązkami.

- Flo, daj spokój!

- Czego pan właściwie chce?

- Możemy porozmawiać w cztery oczy?

- To jest rozmowa w cztery oczy. I pierwszy raz pana widzę. W

jakich okolicznościach został panu wydany ten paszport? Poza tym jeszcze mi pan nie wyjaśnił, skąd pan zna moje imię.

- Naprawdę mnie nie pamiętasz? - zapytał. Wiedziony impulsem uniósł canona, wycelował go w jej twarz i zrobił trzy szybkie zdjęcia. Wzdrygnęła się nieznacznie. - Kwantowy obiektyw. Ostrzegając mnie, żeby go nie używać.

- Nie ma pan prawa...

- Dokładnie tak wcześniej mówiłaś. To samo... to samo mówił Rietveld, dawno temu. Teraz sobie przypomniałem. Uprzedzał mnie, że zjawisko kwantowego sąsiedztwa jest niebezpieczne. Mówiłaś, że spotkałem się kiedyś z Thijsem Rietveldem, i miałaś rację.

Za Flo pokazał się jakiś facet, wyższy od niej, ale stał w środku kabiny mebshera, więc nie było go za dobrze widać. Uniósł aparat nad jej ramieniem, blisko implantu na karku, wycelował w Tarenta. Pstryknęła migawka.

Cofnął się z powrotem, Tarent stracił go z oczu.

Flo przytknęła dłoń do ucha. Odczekała chwilę, potem lekko pochylila głowę.

- Jeśli pan dziś nie zda tych aparatów, zostaną skonfiskowane!

- Krzyczała teraz. - Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Odwróciła się, skłoniła głowę i wróciła do kabiny. Tarent, nie myśląc, wbiegł za nią po krótkich schodkach, łapiąc się poręczy po obu stronach. Flo zdążyła przejść na przód kabiny i pochylona mówiła coś do faceta, który, jak pamiętał Tarent, nazywał się Heydar. Lou Paladin siedziała w rzędzie siedzeń z tyłu. Patrzyła na Tarenta rozszerzonymi ze strachu oczyma. Odniosł wrażenie, że się od niego odsuwa.

Przypomniał sobie, że nie zabrał walizki - wciąż stała po przeciwnej stronie placu. Będzie musiał po nią wrócić. Silnik mebshera nabierał obrotów, zawiewając na niego czarnym dymem.

W głowie mu się mąciło, nie był w stanie interpretować tego, co przeżywa, co naprawdę widzi.

A widział...

Widział, że obok Lou siedzi mężczyzna. Ten, który wyrwał przez właz zza pleców Flo. Miał przewieszane przez ramię kilka aparatów fotograficznych, w dłoniach też trzymał aparat, canona concealable. Wycelował go w twarz Tarenta i nacisnął spust.

Lou za jego plecami wydawała się kompletnie zdezorientowana i przerażona. Patrzyła wytrzeszczonymi oczyma to na Tarenta, to na człowieka, który wyglądał identycznie jak on, to z powrotem na Tarenta.

Cofnął się. Poczul, że zaczyna nad nim pracować hydrauliczny mechanizm kłapy. Zeskakiwał nerwowo po stopniach, potknąwszy się na ostatnim, bo już unosił się z betonu i chował w obudowie. Łądując na ziemi, poczul, że zaczepia wierzchem dłoni o coś ostrego. Skrzywił się z bólu.

Omal się nie przewrócił, choć, łapiąc równowagę, zdążył jeszcze chwycić jeden z przewieszonych przez ramię aparatów i drżącymi palcami przytrzymał spust. Robił zdjęcia w trybie ciągłym, po trzy klatki na sekundę - mebshera, zamykającego się widoku na jego ciemne wnętrze, dymu, kłapy zamykającej się na siłownikach. Gdy drzwi się uszczelniały, zagarnęły urwany, sterczący ostro kawałek, który jednak odskoczył z powrotem, gdy zamknęły się do końca. Wciąż odstawał od gładkiego metalu zewnętrznego pancerza mebshera.

Transporter odjechał. Tarent przestał robić zdjęcia. Mebsher skrzywił w stronę bramy, Tarent się cofnął.

Stał i patrzył, jak wielki pojazd przeciska się przez wyjazd, podskakując na nierównej nawierzchni. Górowała nad nim wielka, zrujnowana wieża. Tarent ssał krew płynącą ze skaleczenia na dłoni - zranił się w tym samym miejscu, co przedtem. Mebsher dotarł do drogi dojazdowej, nieco równiejszej, i przyśpieszył.

Tarent gapił się na niego, dopiero teraz uświadamiając sobie, rozumiejąc i pojmując, choć wciąż nie będąc w stanie w to uwierzyć, czyje zwłoki są teraz w ładowni mebshera, w tej szóstej trumnie.

# **CZEŚĆ VII**

**Prachous**

# 1

## Płot

Prachous, jak wszystkie wyspy w archipelagu, jest neutralne, choć ze wszystkich wyspiarskich państw jest także najbardziej zawzięte w swojej niepodległości. Zawsze było zamkniętą wyspą - nawet jego nazwa oznacza w miejscowym dialekcie „płot”. Choć pozwala się odwiedzać cudzoziemcom, na ściśle kontrolowanych krótkoterminowych wizach, stała imigracja na wyspę jest niedozwolona i Prachous od stuleci utrzymuje marynarkę wojenną do obrony swych granic. I tak zresztą dość trudno jest do niego dojechać - jest otoczone zawiłym układem nieoznaczonych na mapach mieliżn i raf. W wodach wokół Prachous jest wiele nieprzewidywalnych prądów, a sam brzeg wyspy, mimo sporych obszarów nadmorskich mokradeł i nizin zalewowych, składa się głównie z wysokich skalistych klifów. Na południowym jej wybrzeżu znajdują się cztery spore porty, a dwa z nich są wykorzystywane wyłącznie przez Prachoicką Senioralną Marynarkę Wojenną.

Na północ od Prachous leży Republika Glaund, wojownicze państwo na północnym kontynencie zaprzątnięte wojną, która toczy się od tak dawna, że już nikt nie pamięta jej początku. Na jej koniec także się nie zapowiada.

Znana jest jako „wojna na koniec wojen” i obie strony uważają, że ich obowiązkiem jest nie ustąpić ani o krok. Nigdy nie było żadnego zawieszenia broni, nigdy nie rozpoczęto żadnych negocjacji pokojowych. Nieprzyjacielem jest odległe państwo Faiandlandu, także nadmorskie państwo na tym samym kontynencie, ale leżące po drugiej stronie globu. I Glaund, i Faiandland mają zawiłą sieć sojuszników, sprzymierzeńców

związanych paktami i współbojownikóW, podzielonych z grubsza, choć nie w stu procentach dokładnie, pomiędzy wschód i zachód. Działania zbrojne nie mają bezpośredniego wpływu na życie na Prachous, które jest pokojowym krajem, choć sąsiedztwo z Glaund wpływa czasami pośrednio na politykę zagraniczną państwa. Jak wszystkie wyspiarskie państwa, Prachous jest zdeterminowane nie angażować się w wojnę i dość dobrze mu się to udaje.

Sporą część interioru Prachous stanowi pustynia. Przypomina pod tym względem nadbrzeżną pustynną część sąsiadującego Glaund na kontynencie. Z uwagi na mocno południową długość geograficzną, na Prachous dość częste są ekstremalne upały, zwłaszcza w porze suchej. Wyspa ma dwa duże nadbrzeżne pasma górskie, wysoki masyw centralny na północ od pustyń, a wzdłuż północno-zachodniego wybrzeża i na południu ciągną się duże obszary żyznej ziemi. Pod względem żywnościowym wyspa jest w zasadzie samowystarczalna, choć jako zamożne państwo sprowadza wiele delikatesów z sąsiednich wysp, a także z Glaund.

Na Prachous nie ma jednego seniora, prawa do ziemi, złóż i dziesięcin są podzielone pomiędzy kilka prachoickich rodów, których tajemnice strzeżone są równie ściśle jak brzegi wyspy. Gospodarka jest jednak senioralna tylko z nazwy. Główne prachoicke rodziny, choć budują zamknięte, feudalne społeczeństwo, na archipelagu słyną ze swoich talentów handlowych i przedsięwzięć biznesowych. Większość dużych korporacji wśród wysp należy do Prachoitów, prachoicke rody są największym pracodawcą na wyspach, zajmują się przemysłem wydobywczym, stoczniowym, logistyką (wliczając większość linii promowych między wyspami), budownictwem, informatyką, Internetem i mediami drukowanymi oraz uprawą wielu tysięcy hektarów ziemi.

Prachous jest świecką wyspą. Praktyki religijne są tolerowane, ale nie popierane.

Uważa się, że Prachous jest drugą co do wielkości wyspą w

archipelagu, choć nigdy nie została należycie zbadana ani zmierzona. Każdy kartograficzny dron, który zapuści się w przestrzeń powietrzną Prachous, jest nieodmiennie zestrzeliwany.

## Krzewiąca Słowo

Wyszedł z obozu na pustyni wczesnie rano, przed najgorszym upałem, i poszedł na południe. Towarzyszyła mu misjonarka, która miała go prowadzić – pokonała tę trasę już kilka razy. Oboje mieli na sobie luźne, lekkie szaty chroniące przed blaskiem słońca. Zakrywały większość twarzy, więc Tomak Tallant dopiero drugiego dnia zobaczył jej twarz. Pierwszego dnia nieśli zapas jedzenia i wody wystarczający na początkowy, długi odcinek drogi – potem mieli podobno uzupełniać zapasy po drodze. Przez pierwszy dzień nie widzieli ani śladu żadnych osad, nie trafili też na żadne strumienie, wodopoje ani studnie.

Kobieta szła przed nim, patrząc pod nogi. Jedyne wypowiedane przez nią przez cały pierwszy dzień słowa stanowiły ciche ostrzeżenia o luźnych lub wrytych w ziemię kamieniach na drodze.

W lewej dłoni trzymała święte pismo. Nie odpowiadała na pytania, nie zadawała pytań i po pierwszej godzinie Tallant zrezygnował z prób nawiązania rozmowy. Zresztą i tak ciężko się oddychało w tym duszącym skwarze. Słońce prażyło i blaknął od niego skalisty krajobraz, Tallant jednak starał się za każdym razem, gdy zatrzymywali się na odpoczynek, zrobić parę zdjęć. Aparaty i akcesoria miał, jak zawsze, w ochronnych futerałach na plecach i choć były wykonane z lekkich materiałów, szybko zaczęły mu ciążyć. Butlę z wodą musiał nieść w ręce, w drugiej – torbę z innymi rzeczami osobistymi. Przekładał je często z ręki do ręki – a misjonarka niosła tylko manierkę z wodą i trochę jedzenia.

Po południu odpoczęli – znaleźli półkę pod przewieszoną skałą,



która, sądząc po ilości walających się papierów oraz pustych opakowań po jedzeniu i napojach, była regularnym miejscem postoju dla podróżników. Tallant ułożył się w cieniu, z przyjemnością wyciągnął obolałe nogi, kobieta natomiast usiadła po turecku, kładąc przed sobą pismo. Przykrytą białą bawełnianą tkaniną głowę miała pochyloną, lecz nawet jeśli coś czytała, zupełnie nie było tego widać. Nie przewracała stron.

Tallant wyłączył dźwięk migawki i zrobił jej kilka zdjęć. Ale i tak to wyczuła. Albo zauważyła jego ruchy. Gniewnie machnęła na niego drugą ręką.

Przeprosił i włożył aparat z powrotem do futerału. Nie potwierdziła, że to usłyszała.

Niebawem ruszyli w dalszą drogę przez skwarne, pachnące powietrze, a ścieżka okazała się teraz gładza i łatwiej było po niej iść. Trzeba się było wspinać na niewielkie góry - Tallant na szczycie każdej żywił nadzieję, że może dostrzeże przed sobą jakiś cel podróży, jednak bezbarwny krajobraz ciągnął się bez końca i bez przerw. Choć to irracjonalne, nieustannie wypatrywał przed sobą dalekiego morza. Tęsknił za chłodną bryzą, morskim powietrzem, wiatrem z innego kierunku.

Gdy słońce zaczynało już opadać ku horyzontowi, kobieta przyśpieszyła kroku. Założył, że ona musi wiedzieć o jakimś schronieniu. Mimo wyczerpania poczuł ulgę i dotrzymał jej kroku. Obawiał się już, że będą musieli spędzić noc na dworze.

Droga, bez ostrzeżenia, bez żadnych znaków, skręciła ostro w prawo, w wąwóz pomiędzy dwoma skalnymi zboczami. Znalazłszy się na dłużej w cieniu, Tallant poczuł, że wraca mu odrobina sił. Potykał się i obcierał sobie stopy o kamienie i łupki, którymi usiane było dno wąwozu, kilka razy uderzył się o wystające po bokach głazy. Kobieta teraz wyprzedzała go jeszcze bardziej.

Wąwóz rozszerzył się w małą, głęboką dolinkę, w której rośło parę drzew i krzewów. Kwitła ostra trawa. Pod białą skalną ścianą znajdowało się ciemne jeziorko. W pewnej odległości od niego, w półkolu stało parę solidnie wyglądających drewnianych

budek. Misjonarka już leżała na wznak na ziemi, z twarzą przy wodzie, nabierając jej złożonymi dłońmi i polewając sobie kark i głowę. Tablica ostrzegała podróżnych, by pili tylko wodę ze studni, lecz Tallant i tak poszedł jej śladem, z rozkoszą zanurzając głowę w chłodnej, czystej wodzie. Potem podniósł się i poczuł, jak przyjemnie spływa mu strużkami po piersi i plecach pod szatą.

Po krótkim zmierzchu szybko zapadła ciemność. W koronach otaczających drzew rozjazgotały się owady. Tallant i misjonarka wybrali sobie po budce. W swojej Tallant zastał prostą pryczę, półkę z pakowanym jedzeniem i parę butelek z wodą mineralną. Nie było oświetlenia, zdjął więc szatę i położył się nago na pryczy. W nocy obudził się tylko raz, gdy poczuł na skórze pustynny chłód. Cienka szata prawie nie dawała ciepła, był jednak wyczerpany długą drogą.

Gdy wstał rano, misjonarka już wyszła ze swego domku. Słońce świeciło w wąwóz, powietrze zdążyło się nagrzać. Kobieta usiadła na gładkiej skale nad sadzawką, ze skrzyżowanymi nogami, prostymi plecami, głowę też trzymała prosto. Pismo trzymała przed twarzą, już nieosłoniętą kapturem. Tallant przyglądał się jej z zainteresowaniem. Miała poważną, regularną twarz o wysokich kościach policzkowych, ostrym nosie i wydatnym podbródku. Oczy miała ciemnobrązowe czy prawie czarne. Czytała w skupieniu.

Czekał cierpliwie, ona jednak nie dała po sobie poznać, że go widzi.

- Mogę ci zrobić parę zdjęć? - zapytał.

Niczym nie zdradziła, że go usłyszała, powtórzył więc pytanie. Tym razem odpowiedziała, unosząc wolną rękę i kładąc ją powoli na uchu. Z początku zrozumiał, że odcina się w ten sposób od jego głosu, jednak właściwie nie zasłaniała dłonią ucha. Uznał gest za symboliczny, za prośbę, by nie mówił. Powoli opuściła rękę i wróciła do poprzedniej pozycji.

Wybrał najmniejszy i najbardziej dyskretny ze swoich aparatów. Zrobił jej kilkanaście zdjęć, z różnych stron i różnej odległości. W

żaden sposób nie dała do zrozumienia, że jest zadowolona lub niezadowolona. Wydawało się, że w ogóle nie dostrzega tego, co on robi.

- Ja jestem zawodowym fotografem - powiedział, odkładając aparat. - Jeśli chcesz, będę ci mógł pokazać odbitki tych zdjęć. Ale musisz mi dać jakiś adres kontaktowy.

Zareagowała jedynie ponownym uniesieniem ręki. Przytknęła ją delikatnie do ucha i czytała dalej.

### 3

Po mniej więcej godzinie dotarli do miejsca, gdzie czekał na nich transport na wybrzeże. Był to stary, zdezelowany autobus z szybami w oknach albo powybijanymi, albo na stałe otwartymi. Siedzenia miał z deseczek w części połamanych lub brakujących. Pomiędzy oknami zwisały strzępy niegdysiejszych zasłon. Podłoga była lepka od brudu i porozlewanych płynów. Karoserię, kiedyś srebrną, co było jeszcze miejscami widać, pokrywały religijne przysłowia i porzekadła. Kierowca siedział na drewnianej skrzynce, a podczas jazdy często wstawał. Czasami jeszcze wymachiwał rękoma do rytmu puszczanej przez siebie głośnej muzyki.

Tallant i misjonarka byli jedynymi pasażerami. Jechali przez rozległy niezamieszkaną teren. Ona starała się siedzieć jak najdalej od niego, przesuując się na tył, kiedy siadał z przodu, i przesiadając się, gdy on zmieniał miejsce podczas postoju. Tallant rozkoszował się pędem powietrza płynącego z pustych okien, dającym względną ulgę od bezlitosnego upału. Pił wodę butelka za butelką, bez skrępowania sięgając do rozstawionych w autobusie skrzynek.

Co jakiś czas wychylał się przez najbliższe okno i robił liczne zdjęcia krajobrazu, który co prawda nie zmieniał się za bardzo, czasami, wyżej, bywał jedynie bardziej surowy i skalisty, a niżej piaszczysty lub żwirowy.

W miarę jazdy na południe temperatura rosła, mimo to oddychało się przyjemniej, coraz więcej było drzew i niskich krzewów, a słońce od czasu do czasu przesłaniały wysokie białe chmury. Na ostrych zakrętach obsypywał go czasami żwir spod kół autobusu, kulił się wtedy w środku, bardziej chroniąc aparaty niż własną twarz i ramiona. Gdy tylko się dało, przesiadał się z

miejsca na miejsce, cały czas sądząc, że po drugiej stronie widok jest ciekawszy. I nieustannie pamiętał o misjonarce trzymającej się na dystans, siedzącej sobie spokojnie, prosto, kołyszącej się wraz z ruchami autobusu, patrzącej przed siebie z dłońmi delikatnie złożonymi na świętym piśmie.

Nadszedł trzeci dzień. Zatrzymali się na noc w czymś, co na pierwszy rzut oka przypominało wielką przydrożną drewnianą szopę, a okazało się religijnym azylem dla podróżnych. W środku była klimatyzacja i panowała przyjemna temperatura. Była też obsługa, która podała im ciepłe jedzenie i zimne napoje. Byli w tej chwili jedynymi podróżnymi na tej drodze i jedynymi osobami korzystającymi z różnych schronisk. Tallant przespał się, sam jeden, na ławie w głównym pomieszczeniu, kobieta – w jednej z klitek z tyłu budynku. Kierowca zapewne spał w autobusie.

Rano zerwał się wiatr, przynosząc ulgę. Kierowca był jednak podenerwowany, mówił, że śpieszy mu się, żeby ruszać dalej.

Mając chwilę spokoju przed odjazdem, Tallant postanowił oddalić się trochę od drogi. Stał samotnie, słuchając wiatru, rozmyślając, wspominając. Gdzieś w oddali beczwały kozy. Owady zamilkły. Gdy wyszli ze schroniska, słońce stało jeszcze nisko, ale już robiło się coraz goręcej.

Zaraz potem ruszyli w dalszą podróż i droga prawie natychmiast zaczęła powoli i łagodnie wspinać się na wzgórza. Powietrze stało się wyczuwalnie chłodniejsze niż poprzedniego dnia. Wzgórza nie wydawały się bardzo wysokie, a mimo to droga miarowo pięła się w górę przez ponad godzinę. Za każdym razem, gdy wyszli z ostrego zakrętu albo objechali skalny występ, odsłaniała się przed nimi nowa panorama, na jeszcze wyższe wzniesienia, odległe góry, z widoczną na nich wijącą się ku górze wąską wstążką drogi. Tallant patrzył w przód, myślami poganiając autobus – był przekonany, że za kolejną górską barierą wreszcie pokaże się morze.

Tymczasem ostatnie ze wzgórz odsłoniło widok na leżącą daleko w dole równinę i schodzącą ku niej zakosami drogę. Od

tej strony zbocza wzgórz były gęsto zalesione. Tallant zaczął robić teraz o wiele więcej zdjęć, ciesząc się zmianą krajobrazu, z ulgą zostawiwszy w tyle niekończącą się pustynię.

Autobus jechał w dół i w dół, po tej stronie wzgórz zjazdy były o wiele bardziej strome. Wziął parę gwałtownych zakrętów, niepokojąco zjeżdżając na nieutwardzone pobocze nad samą przepaścią. Tallant wychylał się przez okno, na każdym zakręcie chwycił za aparat, odkrywając daleko w dole wartkie górskie rzeki, drzewa, skalne osypiska.

Wreszcie po raz kolejny wyjechali na równy teren, prosto w las, w którym widać było ślady intensywnej wycinki – całe połacie zarośniętych poszyciem pniaków, porzucane połamane gałęzie, parę młodych, cienkich drzewek sterczących samotnie wśród leśnego pobojuwiska. Przy drodze leżały stosy okorowanych pni. W powietrzu snuł się dym.

Pierwsze budy pojawiły się jeszcze w lesie. Tallant z początku założył, że to schronienia dla drwali, choć niebawem mignęli mu ich mieszkańcy. Wokół ruder dostrzegł mężczyzn, kobiety, a także dzieci. Wyjechali z lasu i znaleźli się wśród stepowych zarośli. Minęli je i wjechali w większy obszar slumsów.

W jednej chwili jechali przez otwarty teren, czy raczej resztki wolnej przestrzeni, w kolejnej znaleźli się na wąskiej, pełnej kolein, lekko podniesionej drodze wijącej się pomiędzy tysiącami prowizorycznych bud. Te żałosne rudery napierały na siebie po obu stronach drogi, sklecone w desperacji ze wszystkiego, co się nawinęło: brezentowych czy szmacianych daszków, rdzewiejącej blachy falistej, starych desek, bloków betonu, opon, połamanych gałęzi – wszystkiego, co można było w okolicy znaleźć i przywlec, żeby zmajstrować sobie prowizoryczne schronienie. Widzieli teraz setki, tysiące ludzi, autobus wypełnił się smrodem ścieków, niemytych ciał, brudnych szmat, błotnistej ziemi, dymu, zwierzęcych odchodów. Hałas z zewnątrz – coś jakby łoskot rozpędzonych, ale niewidocznych maszyn, głośna muzyka, zgrzyt przedmiotów uderzanych, ciągniętych, szlifowanych, choć przede wszystkim podniesione głosy przekrzykujące ten zgiełk –

wpadł do autobusu przez puste okna, zagłuszając warkot silnika.

I Tallant, i misjonarka gapili się teraz przez okna na wpół z fascynacją, na wpół z obrzydzeniem, na wpół z trwogą, slumsowe miasteczko wyglądało bowiem, jakby w każdej chwili mogło w nim dojść do wybuchu przemocy. Tallant uświadomił sobie, że odruchowo przycisnął do nosa rękaw koszuli, jak filtr. Opuścił rękę.

Przejazd autobusu, który z uwagi na stan drogi musiał zwolnić niemal do prędkości pieszego, wzbudził wśród mieszkańców slumsu ogromne zainteresowanie. Dziesiątki dzieciaków biegły niebezpiecznie blisko jego burt, wyciągając ręce, krzycząc, żebrząc nachalnie o jedzenie, pieniądze, papierosy. Nagle Tallant zobaczył, że na drodze przed nimi tworzą się dwie grupki mężczyzn wyglądających, jakby chcieli ich zatrzymać. Jednak gdy nadjechali, odstąpili na boki, niczym nie grożąc. Mimo to aż zeszywniał z niepokoju. Od pierwszej chwili w slumowym mieście zaczął robić zdjęcia, jednak szybko dotarło do niego, że w ten sposób tylko zwraca na siebie uwagę. Ukrył aparat na kolanach poniżej poziomu okien. Zrobił już tylko parę zdjęć w dużych odstępach czasu.

Misjonarka także położyła swoje pismo na kolanach i, choć raz, przyglądała się światu z zainteresowaniem. Widać było, że i ją przeraził gigantyczny slums. Ciągnął się w nieskończoność, krańce kryły się w mgle, tak że nie było ich widać ani po jednej, ani po drugiej stronie.

Autobus parł dalej – chwilami musiał się na moment zatrzymać, wycofać albo zjechać z głównej drogi. Raz sytuacja zmusiła ich do niedogodnego objazdu prowadzącego błotnistą, nierówną ścieżką pomiędzy budami. Omal tam nie utknęli. Wysiłki kierowcy, próbującego wydostać się stamtąd autobusem, ściągnęły tłum gapiów – z wyciem silnika, wyrzucając spod kół fontanny brązowego, śmierdzącego błota, pojazd wydostawał się z jednej kałuży i wpadał w następną.

Tallant nie miał do tej pory pojęcia, że na wyspie istnieje takie miejsce. Dotąd Prachous znał jako komfortowe, zamożne

miasta, pobudowane na wybrzeżu albo u podnóża gór – nic nie sugerowało, że gdzie indziej może znajdować się tak ogromny slums w tak opłakanym stanie. Zresztą i na innych wyspach, które odwiedzał, nigdy czegoś takiego nie widział. Było ich ledwie kilka, jednak prowizoryczne slumsy zupełnie nie pasowały do tych wysp, stanowiących krainę niemal nieograniczonej nadającej się do zamieszkania przestrzeni oraz bezproblemowego życia codziennego. Zaczął się zastanawiać, skąd się wzięli ci wysiedleńcy, jak trafili na tę wyspę, gdzie tak rygorystycznie przestrzegano prawa o środkach utrzymania i na tej podstawie nie wpuszczano prawie nikogo. Sam się przekonał, że uzyskanie zgody na wjazd na wyspę jest prawie niemożliwe, nie mówiąc już o pozwoleniu na pracę – i to na swój dość krótki czas pobytu. Warunki też były ostre, kazały mu na przykład meldować się senioralnemu policjerkowi w każdej odwiedzanej miejscowości.

Tak w każdym razie podpowiadała mu pamięć.

Czy mieszkańcy tego slumsu są rodowitymi Prachoitami, czy przybyli tu jako imigranci? Jak przedostali się przez kontrolę graniczną?

Po wymuszonym objeździe kierowca trochę przyśpieszył, ale i tak jechali niewiele szybciej niż przedtem.

Raz Tallantowi w końcu mignęło morze, a przynajmniej srebrny odbłask nieba, daleko na wschód od kierunku, w którym jechali. Wiedząc, że wiozą go na wybrzeże, zaczął się zastanawiać, czy nie oznacza to czasem bliskiego końca męczącej podróży. W myślach nakłaniał kierowcę, by skrzył w tamtą stronę, autobus jednak wciąż przeciskał się przez niekończący się ciąg slumsów. Niebawem i ten skrawek morza zastąpiły wzniesienia i rudery.

Po jakichś trzech godzinach droga poszerzyła się odrobinę, a napór tłumu i ruder jakby trochę zelżał. Zaraz potem zostawili slums za sobą i ruszyli z normalną prędkością przez pola uprawne. Tallant bardzo długo liczył na to, że podróż może niedługo się skończy. Mieli jednak przed sobą jeszcze trzeci nocleg.



Był to hotel, a przynajmniej tak głosił malowany szyld na ścianie, ale z przodu przed budynkiem urządzono otwarty bar. Autobus przyjechał już po zmroku, kiedy cały placyk przed wejściem był pełen pijących. Oświetlały go stojące na ziemi lampy, migocące i niezbyt jasne. Wokół nich roило się od dużych owadów. Były stoliki i krzesła, większość gości jednak stała. Kierowca zjechał autobusem z drogi na pobocze, by zaparkować, przeciskając się pomiędzy grupkami ludzi.

Znalazszy się w hotelu, Tallant, kierowca i misjonarka dostali oddzielne pokoje, a potem zaproponowano im posiłek. Stół stał na otwartej werandzie z boku budynku. Nad nim kręcił się sufitowy wiatrak. Tallant jadł powoli, bo nie czuł się głodny, wypił za to dwie szklanki piwa z baru. Było tak zimne, że palce omal mu nie przymarzły do szkła. Rosa spłynęła na stół, tworząc kałużę, która jednak w ciepłe szybko wyparowała. Misjonarka piła wodę - nie odezwała się słowem, choć czuł, że potępia go pod każdym względem. Później kierowca wstał i sam siadł przy barze. Tallant i kobieta zostali przy stole, przy którym jedli, lecz nie odzywali się do siebie. Kobieta, jak to miała w zwyczaju, po prostu patrzyła w bok z beznamiętną miną.

Chwilę wytrzymał, czując się surowo oceniany, czując, że nie spełnia jakichś moralnych czy religijnych norm, których ona się sztywno trzyma, był jednak zdeterminowany dokończyć to piwo i być może wypić kolejne.

Noc była duszna i wilgotna, choć wszędzie wokół terkotały owady. Nie było wiatru, gęsty odór alkoholu i dym tytoniowy wisiały nad nimi jak w zamkniętym pomieszczeniu - wiatrak na suficie kręcił się, ale w ogóle nie oczyszczał powietrza. W oddali, daleko w stronę horyzontu, niebo rozjaśniała luna miasta-

slumsu. Nie było więc aż tak daleko, jak mu się wydało. Parę razy spróbował nawiązać rozmowę, ale kobieta ani razu nie zareagowała.

Dopił piwo. W ostatniej próbie powiedział do niej:

- Dlaczego ty się nigdy do mnie nie odzywasz?

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. Po długiej chwili powiedziała:

- Bo na razie nie zrobiłeś ani nie powiedziałeś niczego, co by mnie choć trochę zainteresowało.

- Bo nigdy nie reagujesz! Nie obchodzi cię nic, co mówię!

- Czyli się zgadzamy.

- A co by cię mogło zainteresować?

- Mogłabym na przykład dowiedzieć się, jak masz na imię. To by trochę zmieniło sytuację. Mnie też o imię nie pytałeś.

- Nazywam się Tomak. Tomak Tallant.

- Czyli nie jesteś z Prachous.

- Nie. A ty?

- Ja jestem uwolniona od narodowości. Żyję tylko dla Słowa, które głoszę.

- To mi nic nie mówi o twoim imieniu.

- Jestem Głoszącą Słowo. Tyle powinno ci wystarczyć.

Tallant wstał, stwierdziwszy, że nie chce kolejnej szklanki piwa. Stanął obok stołu, górując nad nią. Czuł, że jest lepki od potu z trzech dni podróży, że swędzą go ślady po ukąszeniach owadów i otarcia od brudnej szaty, a do tego jest znudzony i zirytowany przez tę kobietę. W rogu hotelowego pokoju miał starą kabinę prysznicową i cały czas myślał, jak przyjemnie byłoby pobyc przez dłuższy czas samemu pod strumieniem zimnej wody.

- Idę do pokoju - powiedział, ale nie odpowiedziała, nie zmieniła nawet wyrazu twarzy. - Aha, widzę, że to kolejna rzecz, która cię nie interesuje - dodał, próbując opanować złość, choć nie udawało mu się to. - Sama mi swojego imienia nie powiedziałaś. Pewnie masz jakiś cudaczny powód, tak, ale dla mnie jesteś nudna i niekulturalna. Dobranoc.

Nie zareagowała. Poszedł.

Potem usłyszał, przez pijacki zgiełk, jak coś mówi. Zatrzymał się, odwrócił.

- Co mówiłaś?

- Powiedziała ci swoje imię - odparła kobieta.

- Widocznie nie usłyszałem. Strasznie tu głośno. Powiedz mi jeszcze raz. Proszę.

- Tomaku, nie chciałam być niekulturalna, przepraszam, ale przysięgłam skromność. Moje prywatne imię mogę wypowiedzieć publicznie tylko raz, czyli nie mogę go teraz powtórzyć. Jestem tylko Głoszącą Słowo i to jest jedyna tożsamość, którą pozwalam sobie przybrać.

Tałant machnął z niechęcią ręką i zostawił ją. Przepchnął się przez tłum na podwórzu przed barem, potem znalazł drzwi prowadzące do hotelu.

Pokój był niezbyt czysty i ciemny, oświetlony tylko marną żarówką zwisającą pośrodku sufitu. Łóżko miało żelazną ramę i goły, mocno poplamiony materac, na który zarzucono luźno jedno prześcieradło, równie poplamione. Na ramie łóżka wisiał jeden mały ręcznik. Podłoga była z gołych, usianych drzazgami desek. Ściany, ewidentnie niemalowane i niemyte od wielu lat, były szare od brudu, pleśni czy po prostu ze starości i zaniedbania. Dobrze, że chociaż kabina prysznicowa wyglądała, jakby była niedawno myta, choć kran i rury były obluzowane, a sitko skrzywione i wgięte. Zdarł z siebie szatę i rzucił ją na podłogę przy łóżku.

Woda w prysznicu była, jak można się było spodziewać, letnia, a nie zimna, miała jednak przyzwoite ciśnienie i wydawała się czysta. Stał pod jej strumieniem przez parę minut, z zadartą twarzą, pozwalając, by zalewała mu zamknięte oczy, by spływała na ramiona, na pierś, na nogi, by napływała do uszu i przelewała się przez otwarte usta. Oślepiła go i ogłuszała szumem w uszach. W końcu niechętnie zakręcił kran. Przetarł oczy palcami.

Dopiero wtedy zauważył, że nie jest już sam. Misjonarka weszła niepostrzeżenie do pokoju, stała pod zamkniętymi drzwiami i patrzyła na niego. Tallant złapał skąpy kawałek ręcznika znaleziony w nogach łóżka i zakrył się nim.

- U mnie nie ma prysznic - powiedziała. - Pomyślałam, że może skorzystam z twojego.

Cały czas się na niego gapiała, bez skrępowania lustrując jego ciało z góry na dół. Zażenowało go to otwarte spojrzenie - próbował pochylić się i wycierać, starając się za bardzo nie zsuwać z siebie ręcznika.

- Za moment skończę. Pójdę sobie i będziesz mogła spokojnie wziąć prysznic.

- Ja na ciebie patrzyłam, możesz równie dobrze ty na mnie popatrzeć.

- No nie, wołałbym...

- Chciałabym, żebyś został.

Zrezygnował z bezowocnych prób zachowania przyzwoitości, cisnął ręcznik na łóżko i chwycił szatę, której nie zdejmował przez ostatnie dni. Misjonarka już rozwiązywała sznur swojej szaty, po czym pozwoliła opaść luźnej tkaninie.

- Nie chcę cię krępować- powiedział Tallant. - Jesteś pobożną kobietą...

- Nie jestem kapłanką ani mniszka. Moje śluby mają charakter osobisty, jestem świecką misjonarką. Podróżuję samotnie i jedyną księgą, jaką mam w życiu czytać, jest święte pismo, które mam zawsze przy sobie. Jestem prawdziwą Krzewiącą Słowo, nigdy temu nie zaprzeczę, nigdy się tego nie wyprę. Ale jestem także zdrową kobietą i mam fizyczne potrzeby. A te potrzeby czasami domagają się zaspokojenia.

Miał teraz na sobie szatę, choć wisiła na nim krzywo, klejąc się do mokrej skóry na rękach i nogach, na plecach i piersi. Przepchnęła się obok niego, wskoczyła prosto do kabiny prysznicowej i odkręciła kran. Weszła pod strumień wody jeszcze w ubraniu, odwróciła się i pochyliła, unosząc szatę, żeby ją obmyć. Gdy przesiąkła wodą, ściągnęła ją, położyła na podłodze kabiny i zdeptała mokrymi stopami, unosząc twarz i ramiona, przeczesując włosy palcami, namydlając się między nogami, na piersiach, pod pachami. Oczy miała zamknięte, jakby zupełnie nie przejmowała się jego obecnością.

Tallant patrzył na nią. Przysunął się bliżej, tak że stał prawie w samych drzwiach kabiny. Nie miała ze sobą ręcznika, więc pożyczył jej swojego, nadal wilgotnego. Otarła nim twarz i włosy, rzuciła na bok, podeszła do Tallanta, stanowczym ruchem ściągnęła z niego szatę. Zaczęli się kochać na łóżku.

Potem chyba zasnęła, a w każdym razie leżała nieruchomo,

spokojnie, z zamkniętymi oczyma, miarowo oddychając. Skóra lśniła jej od potu.

- Dalej nie wiem, jak się nazywasz - odezwał się, leżąc obok niej z dłonią na jej piersi.

Sam był w pełni przebudzony. Miękkie ciało kobiety wydawało się rozpalone pod jego dotykiem. Bawił się jej sutkiem, który, wcześniej stwardniały, teraz ustępował, uciekał przed jego palcami. Obserwował kropelkę potu tworzącą się na skraju jej czoła, spływającą na ramię, a stamtąd skapującą na brudny materac. Z rozkoszą wdychał słodki zapach jej ciała. Okno na ścianie ponad nimi było okrągłe i pozbawione szyby - wpadały przez nie hałaśliwe pokrzykiwania bawiących się na zewnątrz ludzi. Ponad zapachami ciał ich obojga czuł mocne alkohole, dym, pot z niemytych ciał innych ludzi.

- Już raz ci mówiłam. - Nie otworzyła oczu, choć głos był w pełni przytomny.

- Nic wtedy nie usłyszałem, za głośno tam było. A teraz nie jesteśmy w publicznym miejscu.

- Nazywam się Firentsa. W każdym razie tak możesz mnie nazywać. Ale nie wolno ci tak do mnie mówić przy innych ludziach. Powiedziałam ci, że ślubowałam skromność, choć to była tylko prosta obietnica wobec ludzi, którzy posyłają mnie na misje. A Słowo każe dotrzymywać każdej obietnicy.

- Nie przeszkadzało ci, że robię ci zdjęcia.

- Wtedy było to dla mnie bez znaczenia.

- Zdjęcia nie zagrażają twojej skromności?

- Jestem skromna w mowie, nie w uczynku.

- A gdybym chciał sfotografować cię nago?

- Jestem skromna w mowie, nie w uczynku. Możesz zrobić ze mną, co chcesz, cokolwiek sobie w swoim zepsutym umyśle zamarysz. Fizycznej skromności nie znam zupełnie, moje ciało jest dla mnie czymś otrzymanym. Niektórzy powiedzieliby, że jestem bezwstydną. Ale mylili by się, bo nie potrafię na przykład wymówić wulgarnych słów, jakimi nazywa się to, co przed chwilą robiliśmy. Jednakże uczynek to jedno, a milczenie to

sprawa świadomego wyboru. I ja tak wybrałam. Nie mogę tego głośno nazwać, ale mogę to robić. I lubię.

- Tak - powiedział Tallant, cofając się myślą.
- Wielu ludzi, którzy poszli za tym powołaniem, ma podobnie.
- Głosisz słowo.
- Tak.

Otworzyła oczy, przekręciła się trochę na bok, tak że jego dłoń przesunęła się z jednej piersi na drugą. Wziął sutek delikatnie między palce.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - zapytał.  
- Emocjonalnie czy fizycznie?  
- Gdzie konkretnie jesteśmy? Gdzie na Prachous? Jesteśmy już blisko morza?

- Nad morzem będziemy jutro. A gdzie dokładnie jesteśmy teraz, to nie wiem.

- Ten slums, przez który wczoraj przejeżdżaliśmy... to osiedle. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

- To największa osada na wyspie.  
- Byłaś tam wcześniej?  
- W zeszłym roku zaniósłam Słowo do Sąsiedztwa. Pierwszy i ostatni raz.

- Grozili ci?  
- Raczej ignorowali.  
- Długo tam byłaś?  
- Wytrzymałam rok. Nie zamierzam tam wracać.  
- Myślałam, że największe na wyspie jest miasto Prachous.  
- To jest stolica, ale w Sąsiedztwie mieszka więcej ludzi.  
- Co to za nazwa w ogóle? - zdziwił się Tallant.  
- Tak się mówi na ten slums. Sąsiedztwo.  
- Sąsiedztwo czego?

- Nie mam pojęcia. - Firentsa znów zmieniła pozycję, rozprostowując plecy na nierównym materacu. - Chcesz to zrobić jeszcze raz? To, co przedtem?

- To, na co nie ma słów?
- Są słowa, ale nie chcę, żebyś je wypowiadał. To jak, chcesz?

- Tak, ale za chwilę.
  - Myślałam, że będziesz chciał.
  - Jeszcze chwilę. Powiedz mi o tym Sąsiedztwie.
  - Niewiele mogę powiedzieć. To społeczny problem, dla którego nie znaleziono jeszcze rozwiązania.
  - Duże jest to miasto?
  - Sam widziałeś, ile czasu się przez nie jedzie. Slums zajmuje sporą część południowo- wschodniego krańca wyspy. I ciągle przybywają nowi ludzie - właściwie nie da się oszacować, ilu ich tam jest. W zeszłym roku, kiedy tam byłam, mówiło się o milionie mieszkańców. Teraz na pewno jest więcej.
  - A kim oni są? - zapytał Tallant. - Skąd się biorą? Podobno nie da się uciec przed tutejszą strażą graniczną.
  - Ludzie z Sąsiedztwa znaleźli na to sposób. Teoretycznie wszystkim grozi deportacja.
  - To jak oni to robią?
  - Nie mam pojęcia.
  - Mówiłaś, że tam byłaś. Nie pytałaś?
  - Pytałam, usłyszałam różne odpowiedzi, nie rozumiałam z nich nic a nic, a poza tym nie wydaje mi się, żeby te opowieści były prawdziwe. Sam siebie zapytaj, Tomak: skąd się wzięłaś na Prachous? Gdzie byłaś, zanim się spotkaliśmy?
- Poczuł znajomy, zimny wewnętrzny lęk, coś, od czego zwykle uciekał. Cofnął rękę z jej ciała, usiadł. Na dworze ktoś coś krzyczał, a inni mu odkrzykiwali. Muzyka nagle zrobiła się głośniejsza. Słyszał śmiechy. Głosy pijaków wydawały mu się odleglejsze, jakby dochodziły zza przezroczystej przegrody. Po raz pierwszy od wielu tygodni nie czuł gorąca. Ta kobieta, Firentsa, nie usiadła obok niego, obróciła twarz, tak by patrzeć w sufit. Widział jej wydatną szczękę, wysokie czoło. Leżała i czekała na jego odpowiedź.
- Czemu mnie o to pytasz?
  - Bo nie znasz odpowiedzi. Ja tak samo nie znam. Jestem tutaj. Ty jesteś. Mamy podobnie.
  - Jestem tu od zawsze - powiedział.



- Ja tak samo. Jak daleko sięgasz pamięcią?
- Do samego początku.
- Do dzieciństwa?
- No... nie. Do dzieciństwa nie.
- Czyli to musiało być później. To ile miałeś lat, kiedy przyjechałeś na Prachous?

Spuścił nogi na podłogę i usiadł na skraju gruzłowego materaca. Czuł, że pamięć zaczyna się kłócić z rozumem. Wiedział, że nie jest Prachoitą, ale od zawsze jest na wyspie Prachous. Kiedyś, w przeszłości, tu nie był, lecz wspomnienia były bezpostaciowe, płynne, jak gładka ciągłość. Poczuł, że uwiera go niepewność, że racjonalna myśl podważa te wspomnienia.

Wstał.

- Nie wiesz, gdzie jesteśmy - powiedziała. - Nigdy wcześniej nie byłeś w Sąsiedztwie. Nie znasz Miasta Prachous, bobyś go tak nie nazwał.

Nawet nie wiesz, z której strony jest morze. Miejscowi wszystko to by wiedzieli. Wygląda, że niedawno przyjechałeś'. Myślę, że ja też.

- Przecież byłaś tu w zeszłym roku, pracowałaś w tym slumsie.

- Tak, głosiłam Słowo w Sąsiedztwie. To prawda. Tego jestem pewna, tak jak ty swoich wspomnień. Szukasz wewnętrznego spokoju. Wiem, jak ci go dać. Mam słowa, które bardzo chciałabym wypowiedzieć.

- Nie chcę ich.

- To zapytaj mnie o to samo.

- Skąd się wzięłaś na wyspie? - zapytał. Stał teraz obok łóżka, nagi, obok niej i patrzył na nią z góry. Widział na jej piersiach własny cień od samotnej żarówki na suficie. - Nie jesteś z Prachous.

- Jestem Głoszącą...

- Daj spokój. To wykręt. Firentsa, kim ty jesteś naprawdę?

- Ty też się wykręcasz. Oboje nie chcemy pogodzić się z faktem, że nasze życie przebiegło inaczej, niż nam się wydaje.

Chodź tu, połóż się koło mnie. Musimy to zrobić razem, a moje potrzeby dalej są silne.

- Wypowiedz te słowa.

- Nie.

- To powiedz jeszcze raz to o tych wspomnieniach. To do mnie trafiło.

- Pamiętasz, jak się spotkaliśmy? - zapytała Firentsa.

- Szliśmy razem przez pustynię. Na południe.

- Ale przedtem? Przed pustynią? Gdzie byłeś i co robiłeś?

W słabym świetle żarówki, do tego w cieniu, nie widział jej za dobrze - teraz osłoniła się jeszcze bardziej, unosząc kolano. Widoczna była twarz, a ściana za jej plecami odbijała trochę światła z lamp na zewnątrz. Interesowało go jej ciało, choć miała w sobie coś, czego nie rozumiał.

- Przedtem, Tomak? - powtórzyła.

- Żona. Byłem w tym miejscu z żoną. Tam, na pustyni, skąd wyszliśmy razem. Musiałas też tam być, skoro razem wyszliśmy.

- Nie. Mnie tam nie było. To była jakaś jednostka wojskowa. Wszędzie pełno żołnierzy.

- Widzisz, jesteś tak samo niepewna, jak ja. Mnie się wydaje, że to był szpital. Szpital połowy. Moja żona była tam pielęgniarką. Jest pielęgniarką. Tylko coś się z nią stało. Pamiętasz moją żonę?

- Kiedy odchodziliśmy stamtąd, nie było żadnych pielęgniarek. Ani lekarzy. Nikogo chorego. Tylko żołnierze.

- Żołnierzy nie pamiętam - powiedział Tallant.

- Właściwie to byli bojówkarze czy coś takiego. Zbieranina taka.

- Ale skąd się wzięli? Prachous to bogata wyspa, z silną władzą. Po co tu komu prywatne wojsko.

- A robiłeś zdjęcia, kiedy tam byłeś?

- Tak. Są w aparacie.

Jednakże wszystkie trzy aparaty miał w futerałach, futerały w torbie, a torba stała pod przeciwległą ścianą pokoju. Żeby po nie pójść, musiałby odwrócić się od kobiety, która go pragnie,

zacząć grzebać w bagażu, majstrować przy zamkach i zapięciach, potem zająrzeć do każdego z trzech aparatów, żeby sprawdzić, którego wtedy używał.

- Jutro - powiedział. - Jutro ci pokażę.

- Czyli dalej się wymigujesz. Chodź, Tomak, połóż się koło mnie.

W wyrazie jej twarzy przez moment dostrzegł niepewność, taką samą, jak u siebie. W pamięci miał lukę, coś jakby okres amnezji - a właściwie coś zupełnie odwrotnego, nie lukę, ale *nadmiar*, coś, co tę pamięć wypełniało. Miał za dużo wspomnień, choć żadne z nich nie było zbyt ostre ani jego własne. Nie były prawdziwe - po prostu tworzyły w miarę spójną narrację. Jedyne, czego był pewien, to przeżycia z ostatnich trzech dni spędzonych z tą intrygującą kobietą, a jeszcze bardziej był pewien ostatnich kilku minut.

- Zostaniesz ze mną na noc? - zapytał ją.

- Mogę.

- Ale zostaniesz? Chcesz?

- Już nie chcę być sama.

Gdy kładł się obok niej, wyciągnęła do niego ręce, pogładziła po brzuchu, przesunęła dłonią po nogach. Nie musiała go zachęcać, lecz gdy objął ją, gdy wyciągnęli się na starym sienniku, poczuł, że też bierze go w objęcia. Teraz rzeczywistość składała się dla niego z uścisku jej silnych ramion, wbijających się w plecy paznokci. Pozwolił, by odgłosy z zewnątrz zeszyły na dalszy plan, zapomniał o paskudnym pokoju, w którym byli. Jedną dłonią delikatnie podtrzymywał z tyłu jej głowę i przyciskał usta do jej ust, drugą pieścił jej pierś. Zatracił się całkowicie. W perspektywie był przyjazd nad morze, może jutro, gdzieś na wybrzeże, z wiatrami, smakiem soli na ustach, szumem fal, widokiem na słynne rafy i laguny otaczające tę trudną wyspę. Marzył, że znajdzie port, statek, który go stąd zabierze, plażę, na której będzie się leniwie wylegiwał, mieszkanie do wynajęcia w wiosce obok portu, albo odnajdzie swoją żonę, która też gdzieś tu jest. Żałował, że nie pamięta jej imienia.

## Mściciel

Pięć głównych rodów na Prachous to rody Drennen, Galhand, Assentir, Mercier i Wentevor. Te nazwiska zna każdy mieszkaniec wyspy, choć mało który zwykły człowiek ma w życiu okazję poznać kogokolwiek z tych rodzin.

Rody, jak mówi tradycja, od zawsze były zwaśnione i zawzięcie wojowały ze sobą nawzajem, jednak w dzisiejszych czasach osiągnęły porozumienie i poukładają sprawy na wyspie tak, by wszystkim to odpowiadało. Niektórzy ich członkowie na stałe mieszkają na innych wyspach, często podróżują, by doglądać swych rozlicznych interesów, większość jednak nie rusza się z rodzinnych Twierdz, czyli gigantycznych posiadłości położonych w co bardziej niedostępnych okolicach wyspy. Wielkie rody prawie nie utrzymują ze sobą kontaktów – a przynajmniej tak się powszechnie uważa.

Historia tych rodzin w dużej mierze wyjaśnia powstanie swoistego kodeksu kar, z którego Prachous słynie na całym archipelagu.

Prachous ma ustrój feudalny, zatem prywatna własność tu nie istnieje. Cała ziemia, infrastruktura, usługi, firmy, domy, nawet drobne ruchomości są zasadniczo własnością tego czy innego panującego rodu. Za korzystanie z nich płaci się dziesięciną. Te są zbierane co roku, pod ścisłym nadzorem. Cywilni policjerzy mają szerokie uprawnienia, mogą stosować areszty, więzienie, kary, jednakże nieliczni mieszkańcy Prachous są na tyle lekko-myślni, by łamać miejscowe prawo, chyba że niechcący lub w drobnych kwestiach. Prachous jest pozbawionym refleksji, posłusznym, materialistycznym społeczeństwem, gdzie

posłuszeństwo popłaca i rzadko kwestionuje się decyzje władz.

Zdarzają się oczywiście drobne wykroczenia, bardzo często, przeważnie na skutek sporów między ludźmi, po pijanemu. Głównie chodzi o drobne zniszczenie mienia i naruszenia przepisów drogowych. Nigdzie nie da się ich uniknąć. Na Prachous nie stosuje się do nich kodeksu karnego. Tradycyjnym sposobem postępowania z takimi przestępcami jest zemsta poszkodowanego.

W niektórych przypadkach poszkodowanym jest oczywiście osoba prywatna, częściej jednak mówi się, że poszkodowanym jest miejscowa społeczność – i pozwala się wtedy na zemstę obywatelską. Na przykład nie ma prawa zakazującego komukolwiek jazdy samochodem pod wpływem alkoholu czy narkotyków. Jeśli policja kogoś na tym przyłapie, uznaje, że to sprawa społeczna. Kierowcę wydaje się w ręce jego sąsiadów.

Wszyscy Prachoici znają zasady proporcjonalnej zemsty, rozumieją je i ich przestrzegają. Odwet musi być proporcjonalny do winy – jeśli nie zachowa tej proporcji, prawo do zemsty przechodzi na drugą stronę.

W szkołach na Prachous ciągle kładzie się dzieciom do głowy, że w jednym z miejscowych dialektów nazwa wyspy oznacza „mściciela”.

Prachous jest zatem społeczeństwem posłusznym, którym rządzi strach. Mieszkańcom ich życie odpowiada, rzadko emigrują na inne wyspy czy choćby się o to starają. Przepisy dotyczące dziesięciny zniechęcają do imigracji, wśród ludzi nie ma jednak woli. Na Prachous żyje się spokojnie. Większość wyspy ma przepiękne krajobrazy, zwłaszcza w górzystych regionach. Choć interior jest gorący, wszystkie główne zamieszkałe obszary są nad morzem, gdzie klimat łagodzą chłodne morskie prądy i wiatry. Miasta są czyste, bezpieczne i zamożne, pełne obiektów sportowych i rozrywkowych. Prachoici mogą podróżować swobodnie po wyspie, z wyłączeniem oczywiście części zastrzeżonych dla panujących rodów. Cieszą się nieograniczoną wolnością słowa, wypowiedzi,

zgromadzeń. Internet natomiast jest kontrolowany i monitorowany przez przedstawicieli rodów, dlatego nie jest powszechnie używany. Codziennosc feudalnego ustroju to łatwy dostęp do niemal wszystkich dóbr materialnych. Prachoici żyją komfortowo i są zadowoleni.

Prachous jest świecą wyspą. Praktyki religijne są tolerowane, ale nie są popierane.

W dziedzinie kultury Prachous jest raczej głęboką prowincją. Choć istnieją fundusze zapewniające mecenat artystom, finansowane przez anonimowe osoby z klanów Galhand i Assentir, wydaje się, że korzysta z nich niewielu twórców. Większość funduszy trafia do amatorskich grup teatralnych, szkół wieczorowych, wydawnictw działających na zlecenie autorów. Prachoiccy pisarze, muzycy, malarze, kompozytorzy i tak dalej nie są co prawda zachęceni do emigracji, lecz i tak wielu z nich wyjeżdża. Większość poświęconych Prachous filmów czy książek, wydanych na innych wyspach, przedstawia Prachous w niekorzystnym świetle. Dlatego powrót na wyspę, przy obowiązującym prawie zemsty, byłby dla ich twórców problemem. Mocno wspiera się sztukę sceniczną i estradową, choć w najbardziej konwencjonalnej formie. Na sztukę eksperymentalną nie patrzy się tu przychylnym okiem.

## Thom Cudotwórca

Thom Cudotwórca urodził się w prachoickim miasteczku Waalanser, nieciekawej, pospolitej mieścinie na północnym wybrzeżu. W jego czasach miejscowość specjalizowała się w rybołówstwie i przetwórstwie ryb – wędzeniu, puszkowaniu, mrożeniu – oraz w eksploatacji złóż cennych minerałów ukrytych pod pobliskimi wzgórzami. Dla Thoma zawsze było to miejsce, z którego trzeba uciec – co zrobił w wieku siedemnastu lat. Do miasteczka przyjechała wędrowna trupa, z pokazem tańca, pantomimy i magii. Thom poczuł nagłą chęć zostania takim artystą. Władze po jednym występie nie zezwoliły na kolejne, trupa wyjechała z Waalanser, zdążyła jednak odmienić życie Thoma.

Gdy tylko mógł, wyruszył w ślad za wędrownymi artystami, sądząc, jak się okazało mylnie, że objeżdżają nadbrzeżne miasta Prachous. Pojechał na zachód wzdłuż niezbyt malowniczego północnego brzegu wyspy, skręcił na południe zgodnie z linią wybrzeża po minięciu przylądka Rynek, wypytując o trupę w każdej mijanej miejscowości.

Szybko dotarło do niego, że albo wyprawił się w złym kierunku, albo trupa po wrogim przyjęciu w Prachous rozwiązała się. Nigdy ich nie znalazł, nigdy więcej o nich nie usłyszał. Wielkiego rozczarowania mimo to nie przeżył. Spodobała mu się wolność na drodze, swoboda poruszania się, dokądkolwiek zechce, i utrzymywania się z dorywczych prac. Sporadycznie zatrudniał się, sezonowo lub tymczasowo, w którymś z teatrów, musicali czy kin, jeśli trafiła się okazja, choć przeważnie trafiał na budowy lub do restauracyjnych kuchni. Po drodze nauczył się podstaw co

najmniej kilkunastu fachów, przede wszystkim jednak przekonał się że prachoickie społeczeństwo jest w znikomym stopniu, jeśli w ogóle, zainteresowane sztuką rozrywkową.

On zaś z zadowoleniem uczył się w praktyce umiejętności teatralnych. Opanował taniec, deklamację, pracę z marionetkami, nauczył się w miarę przyzwoicie grać na kilku instrumentach. Wyszkolił się w pantomimie, połykaniu ognia i prostszych numerach akrobatycznych - potrafił jeździć na unicyklu i żonglować drewnianymi maczugami, przez jakiś czas nawet jednocześnie. Na parę wspaniałych tygodni zatrudnił się w objazdowym cyrku, który jednak pochodził z innej wyspy w archipelagu. Wizy uzyskane przez jego dyrekcję pozwalały im tylko na krótki pobyt na Prachous. Rozstał się z resztą grupy, gdy powiedzieli mu, że mają bilety na parowiec płynący na odległą wyspę Salay.

Mając dwadzieścia parę lat, Thom był już wytrawnym iluzjonistą, niekoniecznie dlatego, że to lubił - powoli doszedł po prostu do wniosku, że konserwatywni mieszkańcy z tych burżuazyjnych prachoickich miast nadal lubią oglądać pokazy magii na żywo.

Z biegiem czasu nabrał w tym znacznej zręczności i nauczył się dopasowywać do oczekiwań widowni. To, co zachwycało znudzonych uczestników biznesowego seminarium, niekoniecznie nadawało się dla emerytów w nadmorskiej miejscowości.

Stopniowo stracił upodobanie do tułaczki i po dwudziestych piątym urodzinach znalazł sobie mieszkanie w Beathurn na wschodnim wybrzeżu, oddał najmniej przydatne rekwizyty iluzjonisty w depozyt na poczet dziesięciny i po raz pierwszy od wyprowadzenia się od rodziców zamieszkał pod stałym adresem.

Okazało się, że życie w Beathurn mu odpowiada. Było bliskie temu, co uważał za cywilizację, w tym nie bez znaczenia była obecność działającego teatru, *Il- Palazz Dukat Aviator*, czyli „Wielkiego Pałacu Lotniczego”. Ten osobliwie się nazywający przybytek był przyzwoicie wyposażonym teatrem, który dyrekcja



uparcie zapełniała niekończącym się potokiem zespołów grających cudze przeboje pop, estradowych kanzodziejów i mistrzów kuchni.

Raz czy dwa razy w roku zdarzał się występ typu *variétés*, pełen jednak mało pomysłowych, przewidywalnych numerów. Miasto miało też kino, dobrze zaopatrzoną bibliotekę, sklep muzyczny i księgarnię.

Przez jakiś czas występował jako koncesjonowany uliczny sztukmistrz - śpiewał, grał, czasem żonglował, ale zawsze pokazywał też sztuki magiczne. Stał się w mieście znaną personą, choć ciągle frustrowała go niemożność wystąpienia na scenie teatru. Od czasu do czasu dostawał zlecenia na występy w sąsiednich miastach - na imprezach i festynach, niekiedy w prywatnych klubach czy domach gry, raz czy dwa razy miał okazję wystąpić na scenie, jednak *Il-Palazz* uparcie pozostawał poza jego zasięgiem.

Jednakże pewnego dnia, gdy Thom Cudotwórca zastanawiał się już, czy nie zrezygnować z występowania, zobaczył zamieszczony w miejscowej gazecie list. Ten list nasunął mu pewien pomysł.

Autorem listu był człowiek, który przez jakiś czas podróżował po Archipelagu Snów i podczas swych podróży widział coś, co opisał jako autentyczną i nierozwiązaną zagadkę.

Na wyspie Paneron razem z rodziną widzieli coś, co uznali za cud – na własne oczy zobaczyli, jak szaman, fakir czy inny fanatyk prymitywnej religii doprowadza, w niesamowitych okolicznościach, do zniknięcia małego chłopca. Nadawca listu nie opisał tego szczegółowo, powiedział jednak, że stało się to na otwartej przestrzeni, wśród świeżo skoszonej trawy i z tłumami widzów ze wszystkich stron.

List kończył się prośbą, by ktokolwiek, kto jest w stanie wyjaśnić tę zagadkę, skontaktował się z nim za pośrednictwem redakcji.

Thom, wyczuwając, że ów szaman był zręcznym iluzjonistą, wiedział, że jednym z podstawowych i niezmiennych warunków iluzji jest to, że publiczność widzi tylko to, co ma widzieć, a reszty się z zadowoleniem domyśla. Tymczasem naprawdę dzieje się coś zupełnie innego. List zawierał wystarczającą liczbę szczegółów, by przekonać Thoma, że to była iluzja, rozczarowywał natomiast ogólnikowym opisem sztuczki.

W kolejnych numerach pojawiły się listy od innych czytelników. Niektórzy byli równie zaintrygowani jak Thom, inni mieli do opowiedzenia własne anegdoty. Wreszcie ktoś napisał, że również widział tę sztuczkę na Paneronie, też jest nią zafrapowany – ale w przeciwieństwie do pierwszego listu opisał w nim całość pokazu.

Dysponując nim, Thom był w stanie się domyślić, co to za iluzja. Sztuki sceniczne ewoluują, w miarę zmian społecznych czy pojawiania się nowych technologii przystosowują się do nich,

każda iluzja opiera się jednak na kilku niezmiennych od stuleci zasadach, a to, co wydaje się świeżym pomysłem czy innowacją, polega tylko na talencie showmana albo jest nowym ujęciem starej idei.

Od razu zabrał się do projektowania rekwizytu, który byłby mu potrzebny do takiego numeru, i napisał do sklepu wysyłkowego w Glaund, na kontynencie, w sprawie jednego kluczowego elementu, którego nie mógł wykonać sam. Była to specjalnie wykonana lina okrętowa, wykorzystywana głównie przy badaniach dna morskiego, ale idealnie nadająca się do tego celu.

Dwa czy trzy tygodnie później rozpoczął przygotowania. Wynajął sobie piętro nad restauracją, na salę prób i pracownię. Codziennie, przy opuszczonych roletach i zamkniętych na klucz drzwiach, pracował nad opracowaniem i wyćwiczeniem swego nowego numeru.

Mniej więcej wtedy zaczął mieć wrażenie, że ktoś go obserwuje czy śledzi. Prachous, mimo swego bezbarwnego charakteru, potrafiło być siedzibą podejrzeń, wątpliwości, wścibstwa. Większość ludzi udawała zaprzątniętych własnymi sprawami, a tak naprawdę prawie wszyscy Prachoici interesowali się zawzięcie tym, co robią albo czego nie robią ich sąsiedzi. Zawsze należało być ostrożnym, gdy coś się tu chciało zachować tylko dla siebie, choćby nie wiadomo jak to było nieszkodliwe. Thom zaś był magikiem – w jego branży przygotowania najzupełniej rutynowo otaczało się aurą tajemnicy.

Co rano, idąc z centrum miasta do swojej sali prób, miał w zwyczaju zatrzymywać się w konkretnym ogródku kawiarnianym na głównym placu Beathurn. Kupował sobie ciastko lub mały kawałek ciasta, wypijał dwie filiżanki kawy i siedząc samotnie przy stoliku, czytał gazetę. Wokół wielu ludzi robiło mniej więcej to samo. Przyjemnie było siedzieć w cieniu wielkiego drzewa, słuchać szmeru rozmów innych ludzi, szumu przejeżdżających aut i niewinnie obserwować przechodniów zmierzających do domu, do pracy albo na uczelnię mieszczącą się po drugiej stronie placu.

Rzadko interesował się innymi gośćmi kawiarni, któregoś ranka jednak uświadomił sobie, że pewna młoda kobieta znów siedzi przy stoliku blisko niego. Zauważył ją już wcześniej – choć była młoda, wyglądała interesująco i zawsze była dobrze ubrana, w jej zachowaniu i minie czuło się jakieś napięcie. Wyglądała, jakby nigdy nie była w stanie się rozluźnić, ciągle siedziała lekko przygarbiona i obserwowała ulicę. Często marszczyła czoło. W mieście pełnym zadowolonych ludzi wyglądała jak przybysz z zewnątrz. Pojawiała się w kawiarni zawsze po tym, jak Thom

złożył zamówienie, i zostawała, kiedy wychodził. Jeśli wolny był odpowiedni stolik, zawsze siadała w tej samej odległości od niego – nie za daleko, nie za blisko. I zawsze pod kątem – ani na wprost, ani zwrócona plecami do niego.

Nigdy nie patrzyła wprost na niego, choć tego ranka, gdy Thom zaczął uważniej się jej przyglądać, podniósł nagle wzrok znad gazety i przypadkiem na nią spojrzął. Gapiała się na niego. Gdy tylko zauważyła, że patrzy, odwróciła wzrok. Dotąd Thom nie poświęcał jej więcej uwagi niż innym osobom widywanym w kawiarni, teraz jednak zaczął zauważać jej obecność.

Potraktował to jak niezobowiązującą grę pozbawioną zasad. Zaczął wybierać każdego dnia inny stolik – i każdego dnia młoda kobieta tak kombinowała, żeby usiąść mniej więcej w tej samej odległości od niego. Raz specjalnie wybrał jedyny wolny stolik w zatłoczonej części kawiarni – wtedy młoda kobieta musiała usiąść po drugiej stronie ogródka. Innym razem siadł w środku kawiarni, ona wtedy zajęła miejsce na zewnątrz, ale przy oknie, z którego go widziała. Co prawda, wyglądało to tak, jakby wcale mu się nie przyglądała.

Parę dni później zauważył, że śledzi go, gdy idzie do swojej sali prób. Była w tym zrečna – szła za nim w bardzo dużej odległości. Sporo czasu minęło, zanim nabrał pewności, że to właśnie za nim chodzi.

Nie wiedział, kim ona jest – był przekonany, że jej zachowanie nie jest osobliwym sposobem okazywania mu zainteresowania, a sam nie był wówczas zainteresowany nowymi związkami, zaczął więc się zastanawiać, co się za tym wszystkim kryje. Jedyny motyw, jaki przychodził mu do głowy, to że kobieta próbuje się dowiedzieć, jakie on ma plany, co przygotowuje w swojej sali prób.

Praktyka w występach ulicznych sprzed roku czy dwóch dała mu cenną lekcję z metod, jakimi miasto radzi sobie z niekonwencjonalną działalnością. Parę pierwszych występów, gdy stanął na rogu ulicy z gitarą, skończyło się tak, że przyszedł policjer i uprzejmie, choć stanowczo przegonił go stamtąd.

Niebawem pogodził się z nieuniknionym i złożył wniosek o koncesję na występy uliczne. Szybko ją dostał i dali mu spokój.

Pewnego popołudnia, gdy zachowanie kobiety z jakiegoś powodu bardziej go zdenerwowało, poszedł na miejscowy posterunek policjów, poprosił o inną koncesję i zaraz ją otrzymał. Tym razem chodziło o „Występy na żywo i próby”. W części formularza przeznaczonej na *Opis widowiska* wpisał „iluzjonista”. Potem, pomyślawszy, że powinien zabezpieczyć sobie wszystkie fronty, dopisał „magik, cudotwórca, czarodziej, prestidigitator, sztukmistrz, kuglarz” i parę innych synonimów. I już się cieszył, że ten, kto kazał kobiecie go śledzić, zaraz da mu spokój.

Tydzień później ona wciąż go śledziła. Wtedy jednak Thom miał już kolejny problem do rozwiązania.

Nowego numeru nie dało się wykonać bez pomocnika. Pomocnik był wręcz jego kwintesencją. Potrzebował chłopca, dziewczynki, ewentualnie bardzo młodego mężczyzny lub kobiety, którzy nie dość, że zgodzą się na dość niezwykłą pracę pod kierunkiem estradowego iluzjonisty, to jeszcze będą silni, wysportowani i gibcy. Magiczny efekt sztuki w znacznej mierze polegał na akrobatycznych umiejętnościach asystenta.

Dał ogłoszenie. Spróbował rozpytać wśród ludzi, których znał w Beathurn. Zwrócił się do agencji modelek i aktorów.

Zgłosiło się niewiele osób i żadna z nich się nie nadawała. Odczekał, dał ogłoszenie jeszcze raz, jeszcze raz się rozpytał. Własną część przećwiczył już na ile się dało – bez pomocy asystenta nie mógł ruszyć dalej. Po raz enty zaczął wątpić, czy mądrze było stawiać w takim mieście na karierę iluzjonisty.

Któregoś dnia, gdy spał do późna, zbudziło go pukanie do drzwi. Z włosami w nieładzie, nieubrany, przywitał człowieka, który przedstawił się jako Gerres Huun. Huunowie należeli w Beathurn do bardziej znanych rodzin – zarządzali w mieście paroma agencjami poboru senioralnej dziesięciny.

Huun przyszedł z córką, osiemnastolatką, która właśnie dostała stypendium na Uniwersytecie Multitechnicznym w Beathurn, gdzie miała robić dyplom z Zastosowań Napięcia Mięśniowego. Nazywała się Rullebet. Stała bez słowa, podczas gdy obaj mężczyźni rozmawiali o tym, co będzie musiała robić, jeśli otrzyma tę pracę. Ojciec powiedział, a Rullebet pośpiesznie potwierdziła, że uwielbia sporty i wszelką aktywność fizyczną. Widziała ogłoszenie Thoma już za pierwszym razem, ale dopiero teraz udało jej się przekonać ojca, by pozwolił jej się zgłosić.

Thom oczywiście z zapalem wyjaśnił, że zadanie, które dla niej

przeznaczył, jest wprawdzie nietypowe, ale stuprocentowo bezpieczne, że godziny pracy nie są zbyt długie, że spełni wszystkie dodatkowe wymagania jej rodziców i naturalnie zapłaci jej regularnie i godziwie.

Zadowolony pod każdym względem z wyglądu i charakteru Rullebet zaproponował, że natychmiast pokaże im salę prób. Ubrał się pośpiesznie i całą trójką przeszli przez słoneczne ulice do kamienicy z nieczynną restauracją. Po drodze przeszli przez główny plac przy uniwersytecie, gdzie zwykle zatrzymywał się na poranną kawę. Thom zastanawiał się, czy zobaczy kobietę, która go śledzi, lecz tym razem nigdzie jej nie było.

W wysokiej sali prób z oknami zasłoniętymi drewnianymi okiennicami było chłodno.

- Czy mogłabyś wspiąć się na tę rurę? - poprosił Thom, gdy znaleźli się w środku, za zamkniętymi drzwiami.

Rura była solidnie przymocowana do podłogi i jednej z belek stropowych. Ojciec, zanim pozwolił Rullebet zacząć, sprawdził dokładnie, czy mocno się trzyma.

Rullebet zaś objęła rurę nogami i wspięła się na nią w parę sekund, poruszając się płynnie i elegancko. Gdy dotarła na szczyt, wpadła na pomysł zrobienia obrotu z pięknie rozłożonymi rękoma.

- I to wszystko, co będzie musiała zrobić? - powiedział Gerres Huun.

- Potrzebna mi będzie na próbach - odparł Thom. - Próby zajmą kilka intensywnych dni, potem przed każdym występem będzie jeszcze próba- rozgrzewka.

- Za czas prób dostanie pełne wynagrodzenie? - zapytał Huun.

- Oczywiście. Kredyt przekażę albo samej Rullebet, albo panu, albo nawet, gdyby to jej bardziej odpowiadało, Wydziałowi Napięcia Mięśniowego na Multitechnice. Dostanie też premię za każdy występ przed publicznością. Jestem przekonany, że teraz, współpracując z Rullebet, bez

problemu znajdę się w repertuarze któregoś z teatrów tutaj, w Beathurn. A potem... kto wie?



- Potem oczekiwałbym, że Rullebet skupi się na swoich studiach.

- Rozumiem. Podkreślam, że dopasuję się do wszystkich jej oczekiwań, tak by mogła realizować w życiu, co tylko sobie zamarzy. Może nawet pomoże jej to w studiach na Multitechnice. A jeszcze dostanie godziwą zapłatę.

Gdy rozmawiali, Rullebet wdzięcznym, okrężnym ruchem zsunęła się z rury i wylądowała lekko na podłodze. Pozdrowiła wyimaginowaną publiczność ruchem ręki, promiennym uśmiechem i delikatnym dygnięciem.

Kierownictwo lokalnego społecznie prowadzonego teatru niechętnie widziało nowy pokaz Thoma w swoim repertuarze, jak dowiedział się podczas zniechęcającej rozmowy z dyrektorką do spraw repertuarowych. Unikala go przez wiele dni, a gdy w końcu ją dopadł, powiedziała mu z wyraźną niechęcią, że ich publiczność ma dosyć sztuk magicznych. Powiedziała, że z ostatnim sztukmistrzem, który występował w *Il Palazz*, rozwiązali kontrakt w połowie pierwszego tygodnia występów.

Thom wiedział, o kogo chodzi – znał tego iluzjonistę starej daty, którego repertuar składał się wyłącznie ze sztuczek z kartami, chustkami i zapalonymi papierosami. Jednak entuzjastyczne słowa, którymi zachwalał wynalezioną przez siebie zupełnie nową iluzję, zupełnie nie znajdowały zrozumienia.

Później porozmawiał z redaktorem gazety i zaprosił go do sali prób, żeby zobaczył numer na własne oczy. Redaktor niezbyt już pamiętał o dawnych listach do redakcji – Thom musiał parę razy przypomnieć mu, jakie zainteresowanie wzbudziły wśród wielu czytelników.

Dziennikarz, starszy pan, stuprocentowy Prachoita, który zrobił karierę na umizgiwaniu się do pełnych nieufności poglądów swoich czytelników, za pierwszym razem nie przyszedł, za drugim przysłał młodego stażystę, w końcu jednak pojawił się, gdy Thom zdwoił wysiłki, by go przekonać.

Rullebet, ubrana teraz w egzotyczny, błyszczący kostium, który wybrali razem z Thomem na występy, wspięła się po specjalnej linie ściągniętej przez niego z Glaund i po magicznych zaklęciach Thoma rozplynęła się w powietrzu.

- Pan to pokaże jeszcze raz - powiedział starzejący się dziennikarz, gdy dym, w którym zniknęła Rullebet, rozwiął się w

dużej sali.

- Dobry sztukmistrz nigdy nie powtarza swoich numerów - odparł Thom.

- I gdzie ona, do cholery, zniknęła? Gdzie jest teraz?

- Sam pan widział. Zniknęła. Dlatego właśnie nie jestem w stanie powtórzyć tej sztuki.

Tamten niechętnie przyznał:

- Ma pan rację. Niezwykła sztuka.

- Dziękuję.

Klasnęła głośno w dłonie. Rullebet zwinnie wybiegła z garderoby na drugim końcu, z szeroko rozpostartymi ramionami i promiennym uśmiechem na twarzy. Skłoniła się nisko dziennikarzowi i bez słowa pobiegła z powrotem.

Thom musiał go powstrzymać, żeby za nią nie pobiegł. Chciał z nią zrobić wywiad, dowiedzieć się, co czuła, przenosząc się w niewidzialny sposób z jednego miejsca w drugie, Thom jednak stanowczo poprowadził go do wyjścia.

- Panie redaktorze, chyba zgodzi się pan, że to było coś niesamowitego?

- No, chyba.

- Jeśli zamieści pan relację z tego, co widział, a może także apel do kierownictwa naszego *Il- Palazz*, być może inni mieszkańcy naszego miasta będą mieli okazję podziwiać to samo? To jest tylko jedna z wielu sztuk, których potrafię dokonać.

- Zobaczę, co się da zrobić - - odparł niechętnie dziennikarz.

Relacja ukazała się dopiero po dwóch tygodniach, akurat wtedy, gdy Thom zaczynał już czuć desperację. Jednakże gdy ją przeczytał w gazecie, stwierdził, że sam by tego lepiej nie napisał. Artykuł rozpływał się nad aurą tajemniczości, talentem, niemożliwymi wyczynami, prześliczną młodą damą i demonicznym mistrzem iluzji dokonującym raz za razem niesamowitych sztuk.

Thom j už miał lecieć z wycinkami do *Il- Palazz* i błagać dyrektorkę, żeby zmieniła zdanie, gdy ona, we własnej osobie, zapukała do jego drzwi.

Niebawem w całym mieście pojawiły się jaskrawe afisze: „Wieczór z Thomem Cudotwórcą!”. Miesiąc później Thom miał swój triumfalny debiut.

Miał dwa wejścia w najlepszych punktach *variétés*: na koniec pierwszej części, przed przerwą, z serią dość prostych sztuczek i na finał, gdzie punktem kulminacyjnym był numer ze znikaniem Rullebet. Cały tydzień występów minął gładko, bez żadnych problemów.

Kiedy znalazł się w teatrze i zaczął w nim regularnie pracować, nie był zachwycony jego stanem technicznym. Także widowni przydałby się remont i odświeżenie, bardziej jednak przejmował się stanem mechaniki sceny. Odkrył na przykład, że okablowanie elektryczne jest bardzo stare. Większość świateł na oko działała, choć migotała denerwująco, gdy zapalały się główne reflektory punktowe. Kiedy podczas próby technicznej dotknął statywu mikrofonu, poraził go prąd. Później jeden z technicznych okleił statyw taśmą izolacyjną i uznał go za bezpieczny, choć Thom ciągle czuł elektryczne mrowienie, gdy go dotykał. Starał się odtąd robić to jak najrzadziej.

Jeden z numerów w pierwszym akcie wymagał użycia zapadni, która podczas prób technicznych parę razy się zacięła. I tym razem konserwatorzy przybiegli na ratunek i szybko obwieścili, że problem został rozwiązany. Przypatrując się ich pracy, doszedł do wniosku, że źródłem wielu drobnych problemów są sami technicy. Większość była wolontariuszami i pracowała społecznie – mieli zapał do pracy i tylko tyle dobrego można było o nich powiedzieć. Kierowało nimi dwóch ludzi, którzy twierdzili, że całe życie pracowali w teatrach, byli jednak w podeszłym wieku, a ten odrobinę młodszy codziennie już po południu był pijany. Zapadnia, podobno naprawiona, wciąż nie chciała działać, jak należy, Thom więc skreślił ten numer z repertuaru.

Jak najdyskretniej przyjrzał się rampom i wyciągom, sprawdził liny i boczki. Prawdziwy iluzjonista nigdy nie zostawia niczego przypadkowi. Po pierwszej technicznej próbie był załamany, tyle rzeczy zawiodło, na drugiej już szło dużo lepiej.

Potem przyszedł tydzień występów i wszystko szło dobrze. W pierwszy wieczór sala była pełna, potem przyszło trochę mniej ludzi, lecz w kolejne dni ciągle ich przybywało.

Po paru pierwszych punktach programu – komiku z telewizji będącym u szczytu sławy dobre parę lat temu, szansonistce, grupie tanecznej, kilku duetach fortepianowych – jego proste, choć intrygujące sztuczki spotkały się z dobrym przyjęciem. Zaczął od trików karcianych, potem wykonał sztukę znaną jako iluzja Pejmana. Na scenę wtaczano zasłoniętą kotarami lektkę, Thom odsłaniał kotary i pokazywał, że jej wnętrze jest puste. Potem zasłaniał je znowu, one zaś rozchylały się od środka i ku zdumieniu publiczności na scenę wychodziła Rullebet. Później wykonał parę akrobatyczno-żonglerskich sztuczek na unicyklu i skończył nieco trudniejszym numerem, polegającym na wydostaniu się z metalowej klatki, nad którą wisały groźne, śmiercionośne noże mogące w każdej chwili na niego spaść.

Gwoździem programu był oczywiście numer, który pokazywał w finale.

Wciskał się do niego w postać czarodzieja, pojawiał się na scenie w obszernej pelerynie, z grubo wymalowaną twarzą, groźną i nieodgadnioną.

Poruszał się po scenie posuwistymi, krętymi ruchami, ze splecionymi rękami i odchyloną w tył głową. Najpierw z przesadą opisywał cuda pradawnej magii, których za chwilę dokona, potem ujawniał główny rekwizyt – wielki kosz pośrodku sceny. Z niego wyciągał zwój grubej liny. Zapraszał na scenę dwóch widzów, by się jej przyjrzeni; nieodmiennie stwierdzali, że jest pod każdym względem normalna. Oczywiście nie była – tę zaawansowaną technicznie linę okrętową musiał zamówić u producenta specjalizującego się w morsko- przemysłowym olinowaniu. Lina była wzmocniona, niezauważalnie dla oka laika, stała i włóknem węglowym i potrafiła się samoczynnie usztywniać – użyta w określony sposób stawała się sztywna i mocna niczym stalowy pręt.

Gdy ochotnicy schodzili ze sceny, Thom przechodził do najtrudniejszej dla niego i najbardziej fizycznie wymagającej fazy numeru. Rzucił linę w górę, ku rampie, tak by zeszywniała. Ćwiczył to od tygodni i mógł liczyć na udany rzut w co najmniej dwóch próbach na trzy. Mimo to dla większego dramatyzmu wymyślił, że kilka razy rzuci źle. To podkreśli „normalne” właściwości liny, a do tego ciężka lina będzie na niego widowiskowo i niebezpiecznie spadała. W końcu jednak mu się uda i lina magicznie stanie na baczność. Publiczność nie widziała jednego: lina była na dole mocno przytwierdzona do solidnego kosza, więc raz zeszywniawszy, nie powinna się złożyć, póki jej nie kazał.

Rullebet oczywiście przez cały czas kryła się w koszu. Magicznie ją przywoływał, a ona wylaniała się z niego jak barwny ptak o pięknym upierzeniu. Thom wprawiał ją z pozoru w głęboki trans, ona zaś wspinała się po linie na górę. Nie na sam szczyt, ale na tyle wysoko, żeby widziała ją cała publiczność.

A gdy się tam znalazła, Thom powodował jej zniknięcie, wśród huku, błysków i eksplozji, lina zaś, dyskretnie sterowana przez

Thoma z dołu, opadała z powrotem na scenę, zwijając się w koszu lub wokół niego.

Dawał publiczności czas na zachwycenie się niezwykłą sztuką, po czym Rullebet pojawiała się tajemniczo w innej części sali, wchodziła na scenę i razem z Thomem kłaniali się widzom.

Wykonali ten numer w ciągu tygodnia sześć razy. Szło świetnie. Aż nadeszło ostatnie przedstawienie.

W ostatni wieczór sala nie była pełna, choć zajęty był cały parter i przychodzący w ostatniej chwili widzowie musieli siadać na balkonach. Po mieście rozniosło się, że występ jest dobry, i wszyscy byli ciekawi sztuk Thoma.

Po południu razem z Rullebet przećwiczyli wszystko po raz kolejny, dodając do programu drobne ozdobniki wzmacniające efekt dramatyczny.

Tuż przed podniesieniem kurtyny Rullebet powiedziała mu, że na widowni będzie jej ojciec. I wystarał się o miejsce jak najbliżej sceny. Thom poczuł ukłucie niepokoju – przekonanie, że publiczność jest anonimowa, pomaga zawodowemu artyście estradowemu podtrzymać złudzenie znakomitego kontaktu z nią. A znajome twarz potrafią dekoncentrować.

Gdy zaczął się show, Thom patrzył na pierwsze numery zza kulis, próbując wyczuć widownię. Reagowała żywiołowo, co budziło u niego mieszane uczucia. Prachoici nie byli wymagającą publicznością, zde gustowało go, jak zaśmiewają się z mało zabawnych żartów komika. Thom pracował ciężko nad swoimi numerami i chciał mieć świadomość, że owacja jest w pełni zasłużona.

Nadeszła jego kolej. Ciąg sztuczek na finał pierwszego aktu udał się bez najmniejszych zgrzytów. Gdy Rullebet wyłoniła się niespodziewanie z szafki Pejmana, wybuchła burza oklasków – widział, że ojciec Rullebet wstał z miejsca. Potem Thom wydostał się w dramatyczny sposób z klatki pod śmiercionośnymi nożami i pierwszy akt dobiegł końca. Publiczność klaskała długo po opadnięciu kurtyny na przerwę.

Podczas przerwy Thom zauważył, że dwóch techników pracuje nad skrzynką rozdzielczą z przełącznikami do opuszczania



głównej kurtyny. Coś tam w pośpiechu naprawiali. Jeden gdzieś pobiegł i wrócił parę minut później z rolką taśmy izolacyjnej.

Thom podszedł do nich.

- Coś nie tak? - zapytał.

- Pan się nic nie przejmuj. - Technik niewprawnie owijał taśmą odcinek gołego kabla. - To nasza sprawa. Na koniec aktu musieliśmy ręcznie dać kurtynę, ale teraz już wszystko naprawione. To nie problem dla pana? Wiemy, że jest pan tu ekspertem.

Stosunki z ekipą techniczną Thom już i tak miał napięte, po wcześniejszych uwagach, zatem się wycofał. Poszedł do garderoby, usiadł samotnie, chwilę porozmyślał, a potem zaczął nakładać gruby sceniczny makijaż do finałowego numeru. Wiedział, że Rullebet też się przygotowuje we własnej garderobie w głębi korytarza.

Nadszedł czas. Kwartet wokalny śpiewał przed opuszczoną kurtyną. Thom dopilnował właściwego ustawienia kosza na scenie, sprawdził, czy jest właściwie przymocowany i czy działa mechanizm usztywniania liny. Obszedł scenę i porozstawiał na niej petardy, które potem dla efektu miał zdalnie zdetonować. Potem pomógł Rullebet wgramolić się do ciasnego kosza i upewnił się, czy zajęła bezpieczną pozycję.

Zagrzmiała muzyka, kurtyna uniosła się, na Thoma padło punktowe światło. Z większą swadą niż zwykle rozpoczął swą magiczną przemowę, pamiętając, by od czasu do czasu zwrócić się do słabo widocznych twarzy na balkonach.

Wyciągnął linę, zaczął ją ekspresywnie wyginać, by pokazać, że jest elastyczna jak każda lina. Znaleźli się ochotnicy z widowni, weszli na scenę, przekonali się naocznie o zwykłości liny, wrócili na miejsca. Thom zrobił pierwszą, celowo nieudaną, próbę postawienia jej do pionu. Lina opadła na scenę wokół niego.

Gdy ją podnosił, zaniepokojony poczuł delikatne elektrostatyczne mrowienie. Kazał sobie natychmiast o tym zapomnieć. Poszybował po scenie z końca w koniec, rozprawiając o pradawnych czarodziejach i nekromantach,

którzy próbowali dokonać tej sztuki i nie udało im się, o tym, jak jest trudna oraz niebezpieczna. Za każdym razem, gdy dotykał pewnych odcinków liny, czuł łagodne mrowienie.

Rzucił linę w górę po raz drugi – i znów opadła z powrotem na scenę. Spróbował jeszcze raz, tym razem miało zadziałać, nie poszczęściło mu się jednak. Lina niepokojąco opadła wokół niego.

Pozbierał ją. Znowu poczuł elektryczne ukłucie. Uznał, że to nic takiego – jedynym elektrycznym elementem, którego używał w iluzji, był właśnie stabilizator liny, który podłączał osobiście, dwa razy sprawdzając, czy jest dobrze zaizolowany. Zebrał siły, skupił się na silnym zamachu, niezbędnym, by lina rozprostowała się na pełną długość, idealnie prosto nad koszem, tak żeby dziesiątki ukrytych w niej miniaturowych przekaźników zareagowały i usztywniły włókna.

Była to czwarta próba i tym razem się udało. Muzycy w fosie podkreślili to triumfalnym akordem.

Lina stanęła pionowo, kołysząc się lekko z boku na bok. Publiczność spontanicznie zaklaskała. Thom, z godną czarodzieja arogancją, zignorował owację – przeszedł się z pogardliwą miną po scenie, zamaszystymi gestami wskazując porozstawiane wcześniej pirotechniczne kapsuły, które na dany sygnał po kolei eksplodowały, jak należy, z głośnym hukami, buchając gęstymi kłęбами dymu, sypiąc jaskrawopomarańczowymi, białymi i żółtymi iskrami.

Wśród tego dymu i rozproszonego światła podszedł do kosza, z którego magicznie ukazała się Rullebet. Kolejny radosny akord orkiestry. Reflektory wycelowały w nią, połyskliwy kostium zaiskrzył w światłach. Obiegła go zwinnie i powitała publiczność.

Robiąc maksymalnie groźną i złowrogą minę, Thom wprawił Rullebet w trans. Niebawem młoda kobieta stała przed nim z pochyloną głową i luźno opuszczonymi wzdłuż boków rękoma. Thom gestem nakazał jej wspiąć się na linę. Rullebet odwróciła się, wgramoliła na brzeg kosza, a stamtąd, z dobrze znaną łatwością i gracją, powoli wspięła się na samą górę.

Po drodze zatrzymała się dwa razy. Ściskając linę zgiętą nogą i trzymając się jej ręką, okręciła się wokół niej powoli, drugą dłonią machając do publiczności. Nieznacznie zsunęła się przy tym do dołu. Powtórzyła manewr w dwóch trzecich drogi na szczyt - a publiczność za każdym razem głośno oklaskiwała jej zręczność i grację.

Wreszcie dotarła na samą górę i po raz kolejny zahuściła się na linie przy burzliwej owacji widowni.

Thom szykował się do magicznego gestu mającego spowodować jej zniknięcie, czy przynajmniej pozorne zniknięcie. Uniósł ręce, odchylił głowę. Znajdował się dokładnie pod nią.

Muzyka stała się głośniejsza i pełna napięcia. Rullebet znów uniosła rękę - i wtedy wydarzyła się katastrofa. Nastąpił potworny, biało-niebieski błysk, coś z sykiem eksplodowało. Ciało Rullebet przeszył konwulsyjny skurcz, plecy wyprostowały się, palce wypuściły linę. W mimowolnym spazmie wyciągnęła znów rękę i poraziło ją kolejne elektryczne wyładowanie.

Spadła.

Thom odskoczył w panice, gdy upadła na deski sceny obok niego. Uświadomił sobie, że musiała dotknąć czegoś pod stropem, najpewniej odsłoniętego kabla. Spadła bokiem, na głowę i bark, poza uderzeniem w deski nie wydała żadnego dźwięku. Widoczne części rąk, ramion, jedna noga, kark, płonęły intensywnym rumieńcem. Unosił się nad nią gęsty dym. Paniczny odruch zmusił go do zadarcia głowy.

Ślad jej okropnego upadku znaczyła czarna spirala dymu.

Orkiestra zamilkła. Wielu widzów zerwało się w przerażeniu na równe nogi. Thom obejrzał się na nich w desperacji, po czym ukląkł przy wygiętym ciele Rullebet. Zdarł z głowy absurdalną czapę czarodzieja, podwinął obszerne rękawy szaty. Zapaliły się, migocąc, sceniczne światła. Rozdzwonił się alarm. Na scenę wbiegło trzech ludzi, jeden z chemiczną gaśnicą. Każdy z nich coś krzyczał.

Thom pochylił się nad Rullebet, położył jej dłoń na twarzy, spróbował odwrócić głowę tak, by spojrzeć jej w oczy. Upadła w

taki sposób, że głowę miała jakby zbyt daleko od ciała, przygiętą pod okropnym kątem ku piersi.

Nie czuł na palcach oddechu. Skórę miała twardą, gorącą w dotyku, jakby zwęgloną. Ludzie, którzy wbiegli na scenę, odepchnęli go od niej, krzycząc, żeby nie przeszkadzał, żeby dał jej oddychać. Próbowali ją reanimować. Jeden odwrócił ją energicznie na plecy, zaczął uciskać klatkę piersiową. Jej głowa opadła w tył, jakby zupełnie nie trzymała się szyi. Oczy miała mętne, rozogniskowane.

Ten, który robił masaż serca, w pewnym momencie wyrzucił nogę w tył, zahaczając nią o kosz z liną. Lina, która aż do tej chwili stała pionowo, zakotłosała się. Przeskoczyły niewidoczne przekaźniki. Ciężki sznur zwałił się, spadł na nich wszystkich ogromnym ciężarem, jak martwy czarny wąż.

Lina uderzyła Thoma mocno w tył głowy. Zatoczył się, odszedł chwiejnie o krok, po czym padł na twarz tuż obok ciała Rullebet.

- To był wypadek - mówił z desperacją Thom. - To teatr jest odpowiedzialny. Nad sceną zapewne był odsłonięty przewód pod napięciem. Nikt mnie o tym nie uprzedził. Cały budynek nie jest konserwowany, jak należy. Zapytajcie dyrekcję, niech wam pokaże certyfikaty BHP i od straży pożarnej.

- Milczeć. Jest pan aresztowany.

Thom stał pośrodku sceny, twarzą do widowni. Za jego plecami po scenie walały się niedobitki jego rekwizytów - rozrzucona na deskach lina częściowo przykrywająca kosz. Thom zdjął wierzchnią część scenicznego kostiumu, pelerynę maga z obfitymi rękawami, workowate spodnie. Leżały w kupce na scenie. Został w spodnim kostiumie - brudnobiałej podkoszulce, spodniach na szelkach. Na twarzy wciąż miał jaskrawoniebieskie i jasnozielone smugi makijażu.

Większość publiczności wybiegła z teatru, gdy tylko zabrano Rullebet, została jednak dobrze ponad setka ludzi - tłoczyli się pod sceną, przy fosie dla orkiestry. Stał wśród nich ojciec Rullebet, tuż przy niskim, odgrodzonym kotarą murku fosy. Twarz miał wykrzywioną wściekłością i bólem. Thom rozpoznawał też parę innych osób, choć w zdenerwowaniu, ogarnięty potężną falą smutku i rozpacz, nie był w stanie dokładnie określić, kim są. Znajomi z miasta, sąsiedzi, ludzie, których widywał od czasu do czasu, z niektórymi być może rozmawiał w ciągu spędzonych w Beathurn lat, albo jeszcze dawniej, gdy podróżował po wyspie. Teraz postrzegał ich jak rozmazaną smugę na pograniczu zrozumienia tego, co się dzieje.

Razem z karetką, którą wezwano, by zabrała ciało Rullebet, przyjechało dwóch policjów. Jeden z nich stał teraz obok Thoma skuty z nim kajdankami - ich przeguby prawie się stykały

w istnej parodii przyjaźni. Drugi policjer stał na skraju sceny, plecami do ludzi w dole, twarzą do Thoma. Oskarżał go.

- Prawo nakazuje podczas każdego widowiska estradowego zachowywać pewne środki ostrożności. Czy pan je zna i świadomie ich pan nie przestrzegał?

- Znam - powiedział słabym głosem Thom. - Ale personel teatru chyba nie zna. Wszystko tutaj jest w kiepskim stanie technicznym.

- Twierdzi pan, że nie wiedział o przewodach pod napięciem nad sceną?

- Nie powinno ich tam być. Nikt mnie o nich nie uprzedził.

- Ale widziano pana na rampie oświetleniowej.

- Sprawdzalem tylko mocowanie lin. Za elektrykę odpowiada personel techniczny.

- Mówią, że powiedzieli panu, że jest awaria.

- Mówili tylko, że jest problem z napędem kurtyny.

- Czyli ostrzegali pana, że jest awaria?

- Nie. - Thom z trudem przypominał sobie, jakie słowa dokładnie padły w krótkiej rozmowie podczas przerwy. - Pytałem, z czym dokładnie jest problem, ale nie chcieli ze mną rozmawiać.

- Mówią, że narzekał pan na ich pracę.

- Tak. Są niekompetentni.

- A mimo to wykonał pan swój pokaz. Naraził pan życie swojej asystentki.

- Nie. To obowiązek teatru zapewnić bezpieczne miejsce do pracy.

- Czyli przyznaje się pan, że sam pan tego bezpieczeństwa nie sprawdzał. Dlaczego? Nie wiedział pan jak? Może się panu nie chciało?

- Podpisałem kontrakt. Standardową umowę. W tej umowie są klauzule o bezpieczeństwie i odpowiedzialności za bezpieczeństwo osób prywatnych.

- Ale pan nie jest osobą prywatną, kiedy występuje pan na scenie.

- No nie.

Przesłuchanie toczyło się dalej, wiele razy wracając do już zadanych pytań.

Policjer, serżant Policji Senioralnej, był miejscowy, uważało się go za sensownego, współpracującego ze społecznością człowieka. Był lubiany przez Prachoitów. Thom także był Prachoitą - wiedział, co się dzieje i jak to się najprawdopodobniej skończy. Przerażony tą sytuacją, niemożnością jakiegokolwiek wpłynięcia na nią, pograżył się w otchłani rozpaczy. Przede wszystkim jednak czuł ogromny ból i udrękę na myśl o gwałtownej, nagłej śmierci Rullebet. Taka była młoda, ładna, inteligentna, pełna życia i radości, zdecydowana, co chce w życiu robić. Thom autentycznie ją podziwiał. Jego ingerencja w jej życie miała być tylko tymczasowa. W ogóle nie była jej potrzebna, miała stanowić tylko krótkie interludium w realizacji innych planów, a tymczasem przyniosła jej śmierć. Jak to możliwe, żeby życie młodej kobiety tak nagle, brutalnie, nieodwołalnie się skończyło? Nie było w tym żadnej jej winy, to nie miało nic wspólnego z jej prawdziwym życiem.

- Ma pan jeszcze coś do dodania?

Thom podniósł głowę. Spróbował zerknąć na grupę ludzi w tle zasłoniętą potężną sylwetką serżanta.

- Przykro mi - dodał Thom. - Strasznie mi przykro. To był wypadek. Nie mogłem tego przewidzieć. Podjąłem wszelkie środki ostrożności. Rullebet była wspaniałą dziewczyną, w życiu nie chciałbym zrobić jej nic złego. Zrobiłem, co mogłem.

Stojący obok policjer wyciągnął rękę i zdjął mu kajdanki z przegubu. Odsunął się od niego, przeszedł przez scenę i zszedł po drewnianych bocznych schodkach na poziom widowni.

Serżant powiedział:

- Sprawa już nie należy do policji. To teraz sprawa obywatelska. - Odwrócił się do ludzi zebranych z boku sceny. Dodał nieco ciszej: - Prawo nie pozwala, by obywatelski odwet odbywał się w obecności policjera.

Poszedł za drugim policjerem, pośpiesznie schodząc po

schodkach. Razem ruszyli głównym przejściem przez widownię. Thom został sam na scenie, w ponurym, migotliwym świetle, otoczony smętnymi szczątkami swojego magicznego pokazu.

Zobaczył, jak dwaj policjerzy znikają w przesłoniętych kotarą drzwiach na końcu sali. Chwilę później drzwi zamknęły się z głośnym hukiem.

Tłum zareagował natychmiast.

Parę osób wykrzyknęło:

- Musi za to zapłacić! Dawać go!

Tłum rzucił się naprzód. Niektórzy, w tym ojciec Rullebet, wspięli się na niską ściankę nad fosą i wgramolili się od razu na scenę. Większość pobiegła ku krótkim drewnianym schodkom po jej bokach. Przerażony tym, co go czeka, Thom cofnął się, zerkając niespokojnie za kulisy. Z obu stron stała obsługa sceny, celowo blokując mu drogę ucieczki.

Pierwsze osoby z tłumu dotarły na scenę i ruszyły agresywnie ku niemu. Uniósł dłonie w obronnym geście; wiedział już, że nie ma nadziei, że niczym nie powstrzyma ich od zastosowania uświęconej tradycją recepty, że w żaden sposób ich nie przekona, nie ubłaga, nie skłoni do wybaczenia.

Pierwsza dobiegła do niego młoda kobieta, przeciskając się szybko i z determinacją obok pozostałych. Thom od razu ją rozpoznał - to była kobieta, którą codziennie rano widywał w kawiarni na skwerze, ta, która z jakiegoś powodu go śledziła.

- Proszę! - zawołała. - Nie teraz! Nie róbcie tego!

- Z drogi!

- Nie! Posłuchajcie! Widzieliście, co się stało! To był wypadek!

Prawie nie było jej słychać przez wrzawę. Usłyszał ją Thom, choć wiedział, że mało kto poza nim rozumie jej słowa. Stłoczyli się wokół, pchnęli tę kobietę wprost na niego. Od tyłu ktoś uderzył go barkiem. Część ludzi miała uniesione pięści. Krzyczeli wszyscy naraz, nakręcając się, wprawiając w zbiorowy szal.

- Wysłuchajcie, co ma do powiedzenia! - wrzasnęła młoda kobieta. - Zasługuje na to!

- Słyszeliśmy już te wykręty!



- Zabić go!

Ktoś inny przecisnął się ku niemu, brutalnie, z ogromną siłą odpychając ludzi. Druga kobieta. Była mocno zbudowana, z twarzą o wyrazistych rysach - wydatne kości policzkowe, szerokie czoło. Thom pierwszy raz widział ją na oczy. Zmieniła trochę sytuację, gdyż udało jej się odepchnąć od Thoma całą masę ludzi. Tłum za jego plecami kopał go po kostkach, komuś udało się też uderzyć go boleśnie w tył głowy.

- Spokój! - wołała. - Zostawcie go!

Uniosła wysoko prawą rękę, Thom przez moment widział trzymany w niej oprawiony w skórę święty tekst.

- Słowo domaga się pokoju i łaski! - obwieściła.

Teraz napór tłuszczy rzucił Thoma i pierwszą kobietę na siebie. Napała twarzą na jego pierś. Jakby nie była w stanie się odwrócić. Co bliżsi mężczyźni uderzali go ponad jej głową pięściami. Kobiecie z pismem jakimś sposobem udało się ich odpędzić, trochę blokując ich rękoma, a trochę odciągając Thoma od nich. Chaotyczna kotłowanina powoli przesuwała się w głąb sceny.

Thom zawołał do napierającej nań młodszej kobiety:

- Czemu mi pani pomaga? Kim pani jest?

- Jestem Kirstenya. Ja cię kocham...

Oszło mu kolejne silne uderzenie w głowę. Drugiej kobiecie nadludzkim wysiłkiem udało się przepchnąć przez ciżbę i teraz swoim szerokim ciałem osłaniała go z jednej strony przed ciosami. Niektórych odepchnęła tak mocno, że poprzewracali się, choć szybko zebrali się z powrotem. Stała teraz wprost przed nim, twarzą do niego. Okręciła się, podcięła jednego z ludzi, on jednak trzymał w dłoniach coś twardego i metalowego, czym uderzył ją z całej siły w skroń. Zatoczyła się w bok, z głowy i nosa pociekła jej krew.

Napastników było po prostu zbyt wielu, ich przewaga liczebna zbyt ogromna. Był otoczony. Dwie kobiety, które z niewiadomego powodu stanęły po jego stronie, zostały przyparte do niego - kopały teraz, odpychały i uderzały

pięściami równie mocno, równie zawzięcie jak on.

Wszyscy darli się, napierali na siebie, wymachiwali pięściami. Thom zaliczył kilka bolesnych ciosów w twarz i głowę, o wiele więcej w tułów. Próbował skulić się, osłonić głowę rękoma, lecz dwóch mężczyzn pchnęło go mocno, tak że poleciał w tył na podłogę. Pod jego krzyżem znalazł się fragment grubej liny, przysparzając mu dodatkowego bólu. Ludzie otoczyli go i zaczęli kopać.

Dwie kobiety także zostały przewrócone. Leżały na deskach obok niego. Już nie były w stanie go bronić – tak jak on kulili się, na próżno usiłując osłaniać rękoma twarze i szyję. Kobieta z pismem leżała twarzą do niego i zaczęła coś śpiewać czy recytować – wśród wrzawy nie było słychać co: czy to była modlitwa, czy rozpaczliwe błaganie skierowane do ludzi, którzy nie chcą słuchać. Młodsza upadła tyłem do niego – Thom, tracąc przytomność, widział, że ludzie tratują ją, by czym prędzej dorwać się do niego. Stopa w ciężkim bucie trafiła go prosto w twarz, mocno, z całym ciężarem ciała za sobą.

Thom zginął tego wieczoru na scenie zgodnie z prachoicką tradycją społecznego odwetu. Miał względne szczęście, bo zaraz po pierwszych kopniakach w głowę stracił przytomność i nie był świadom tego, co się działo – pełnych złości i samolubstwa kłótni o priorytety, krzyków, sporów, kto powinien ostatecznie pozbawić go życia.

Kopniaki wymierzane w bezwładne ciało stały się symboliczne, zdawkowe, rytualne. Kobiety, gdy przychodziła ich kolej, wykrzykiwały imię Rullebet. Już prawie na pewno nie żył, lub był na skraju śmierci, gdy nadszedł *coup de grace* – niezręczna, wykonana nożem dekapitacja, którą wykonał Gerres Huun, ojciec Rullebet.

Umarł, nie poznawszy kobiet, które próbowały mu pomóc – ani tej, która próbowała odpędzić napastników mówionym Słowem, ani tej, która przedstawiła się jako Kirstenya, a wcześniej go obserwowała i śledziła. Same też nie znały się nawzajem.

Obie kobiety zostały poważnie ranne podczas bójki – miały złamane ręce, żebra, skaleczenia, krwiaki, uszkodzone organy wewnętrzne. Były nieprzytomne, gdy przyjechały karetki, mimo to przeżyły. Po długim pobycie w szpitalu wydobrzały na tyle, by wrócić do domu. Potrzebowały długiej rehabilitacji, a gdy poczuły się dobrze, zawnioskowały o odszkodowania na mocy prawa regulującego przekroczenie granic zemsty. Otrzymały je.

Po tamtym wieczorze w teatrze już nigdy nie miały ze sobą kontaktu – każda założyła, że ta druga zginęła podczas bijatyki. Obie też znalazły sposób na opuszczenie na zawsze wyspy Prachous i obie to uczyniły.

## Zamknięcie

Prachous posiada tylko jedno lotnisko mogące obsłużyć loty między- wyspowe czy międzykontynentalne. Mieści się na peryferiach miasta Prachous i jest zarządzane przez rody senioralne, które dokładnie je kontrolują. Wyspa jest mocno broniona przez baterie pocisków przeciwlotniczych i nieproszone obiekty latające witane są ogniem. Większe samoloty, którym wolno lądować i startować, przeważnie przewożą towary. Za korzystanie z lotniska naliczany jest wysoki podatek, przez co ceny importowanej żywności, elektroniki i innych towarów konsumpcyjnych są także wysokie. Loty pasażerskie są rzadkie i każdy cywilny plan lotu musi być wcześniej ustalony z władzami. Pewne kategorie pasażerów cieszą się prawem mniej lub bardziej swobodnego korzystania z lotniska - są to członkowie korpusu dyplomatycznego, szefowie sztabu, analitycy od oznaczania składu wydobywanych na Prachous metali ziem rzadkich oraz oczywiście wszyscy członkowie rodów senioralnych, ich zastępcy, personel przyboczny i przedstawiciele.

Wszyscy inni podróżni mają korzystać z portów morskich, z których regularnie kursują promy na inne wyspy. Ograniczenia w podróżowaniu są podobne, jednak nadzorujący porty urzędnicy straży granicznej mają dużo swobody w decydowaniu, kogo wpuszczają na Prachous czy z niego wypuszczają. Ta pragmatyczna luka w kontroli granicznej pozwala na pewną wymianę ludzi pomiędzy Prachous i pobliskimi wyspami.

Ten prachoicki przymus kontroli nad ruchami ludności jest ugruntowany w wielusetletniej tradycji. Przed wynalezieniem

transportu powietrznego porty były o wiele ściślej kontrolowane, a za próbę nielegalnego wjazdu lub ucieczki groziły ekstremalne kary. Dlatego właśnie nazwa „Prachous” w niektórych kontekstach oznacza „zamknięcie”. Dla dzisiejszego Prachoioty zamknięcie stało się definiującym elementem ich wyspiarskiej społeczności, tłumaczącym nastawienie do obcych, odrzucanie wpływów kulturalnych innych wysp i stałą potrzebę społecznego wspierania się we własnej słuszności, obecną tutaj na każdym poziomie.

Dla ludności Prachous dostępnych jest wiele rozrywek, a z uwagi na ogólną zamożność wyspy cieszą się one dość powszechną popularnością. Zwłaszcza w terenach górzystych znajduje się wiele czynnych przez cały rok kurortów i spa. Lubiane jest żeglarstwo, wzdłuż wszystkich wybrzeży z wyjątkiem wschodniego. Mimo że prachoiotkie dzieci uczone są żeglarstwa od wczesnych lat, zatoki i tereny zalewowe na wschodzie uważane są za zbyt niebezpieczne do pływania. Żeglowanie musi odbywać się w ujściach rzek, na zamkniętych lagunach lub w odległości pięciu kilometrów od brzegu. Mówi się, że dalsze wody są zaminowane w celach obronnych.

Z wielkim zapalem uprawia się także sporty zespołowe.

Chyba jednak najbardziej popularną rozrywką jest latanie lekkimi samolotami w aeroklubach. Wyspa jest pełna małych prywatnych trawiastych lotnisk i są one w większości niekontrolowane. W weekendy i święta na niebie roi się od dziesiątków jedno- i dwusilnikowych samolotów. Kontrola lotów staje się powoli problemem dla władz, choć co bardziej doświadczeni piloci twierdzą, że samoregulująca się przestrzeń powietrzna jest najbardziej sensowna i sprawdzała się na Prachous od dziesięcioleci.

Rzadko zdarzają się próby ucieczki samolotem z Prachous. Zapasy paliwa na większości małych lotnisk są ograniczone, a poza tym każdy dopuszczony do użytkowania na nich samolot ma zbiorniki paliwa o niewielkiej pojemności. Są oczywiście wyjątki, na przykład dla samolotów rolniczych czy

wykorzystywanych do rozpraszania zamieszek.

Prachous jest świecką wyspą. Praktyki religijne są tolerowane, ale nie są popierane. W nowym mieście Sāsiedztwo ani w jego okolicy nie zbudowano żadnych kościołów, świątyń ani innych miejsc kultu. Samolotom nie wolno latać nad Sāsiedztwem ani w jego pobliżu.

## **Pielęgniarka, misjonarka i trzciny**

Przez pierwsze kilka miesięcy na Prachous próbowałam odnaleźć bliskiego przyjaciela o imieniu Tomak. Straciliśmy kontakt, kiedy wybuchła wojna - jako rezerwista dostał powołanie i poszedł na front. Zanim się rozstaliśmy, powiedział mi wszystko, co wiedział, a co mogło umożliwić nawiązanie z nim kontaktu. Wyjawiał mi nazwę swojej jednostki, stopień, jaki otrzymał, a także region, do którego prawdopodobnie ich przerzuca. Oboje wiedzieliśmy, że jako porucznik kawalerii w armii stojącej naprzeciw mocno zmechanizowanego wroga najprawdopodobniej będzie trzymany w odwodzie i nie trafi na samą linię frontu, oboje też ucieszyliśmy się na wieść, że oddelegowano go do służby wartowniczej w ściśle tajnej bazie będącej według Tomaka jakimś ośrodkiem naukowo-badawczym. Wtedy na jakiś czas przestałam się o niego bać.

Potęga wroga była jednak przytłaczająca, kraj został zwyciężony i zajęty, a wszystkich ocalałych oficerów sił zbrojnych internowano. Ja byłam wtedy w cywilnej służbie pomocniczej lotnictwa, więc moje położenie nie było jednoznaczne, udało mi się jednak uciec, zanim ktokolwiek mnie schwytał.

Dowiedziałam się później, że Tomak został ranny podczas walk i ewakuowano go do szpitala gdzieś na Prachous. Podobno jego życie nie było zagrożone, wymagał jednak operacji i długiej pooperacyjnej rehabilitacji. Jeśli to była prawda, to spotkał go los lepszy niż wielu kolegów oficerów. Zostali internowani, przewiezieni masowym transportem na małą bezludną wysepkę Katinn i tam, głosiła plotka, rozstrzelani. Nikt nie wiedział tego na pewno, plotka krążyła jednak uporczywie, a wiarygodności

przydawało jej zniknięcie tak wielu młodych mężczyzn.

Ponieważ nie byłam Prachoitką, napotykanii ludzie niemal zawsze traktowali mnie z uprzejmą podejrzliwością. Później dowiedziałam się, że na wyspie to normalne, że nie jest skierowane przeciwko mnie, w pierwszej chwili jednak wydała mi się bardzo niegościnnym miejscem. Z uwagi na sposób, w jaki dotarłam na Prachous - przyleciałam samolotem i wylądowałam na małym, prywatnym lotnisku w pobliżu południowo-wschodniego wybrzeża, dopiero dużo później uświadamiając sobie, że tym samym złamałam sporo tutejszych praw - ciągle było mi trudno wyjaśnić, kim jestem i co tu robię.

Przez pierwsze kilka dni byłam zagubiona, nie tylko w sensie braku orientacji na wyspie; miałam też trudność ze zrozumieniem tutejszych niepisanych reguł, zwyczajów i oczekiwań. Rzadko w życiu czułam się aż tak obca, aż tak wyalienowana. Z początku, wyczerpana długim lotem, próbowałam znaleźć hotel, schronisko, dowolny nocleg, jednak żadna napotkana osoba nie rozumiała, o czym mówię. Okazało się, że hotele są na wyspie prawie nieznanne, z uwagi na znikomą liczbę gości z zagranicy. Prachoici wymyślili natomiast, na potrzeby swoich podróży po wyspie, nieoficjalny system wymieniania się noclegami - wówczas jednak nie miałam o tym pojęcia. Później potrzebowałam wypożyczyć samochód i kupić jakieś mapy. Ich uprzejma podejrzliwość i kompletne niezrozumienie sprawiały, że te rzeczy wydały mi się całkiem niemożliwe do osiągnięcia.

Pierwszej nocy wróciłam do samolotu i przespałam się, czy raczej próbowałam spać, w ciasnej kabinie. Następnego dnia, gdy tylko otworzono aeroklub, urzędnik powiedział mi, że mój samolot będzie skonfiskowany. Odholowano go do specjalnego zamkniętego hangaru, a mnie wręczono tonę papierów do wypełnienia. Miały rozpocząć procedurę, na mocy której być może dostanę zgodę na odzyskanie samolotu. Powiedziano mi, że muszę od ręki wypełnić dwie pierwsze strony.

Na samej górze pierwszej strony musiałam napisać swoje



nazwisko. Przewidywałam taki problem, wiedząc, że moje nazwisko będzie się tubylcom wydawało obce. Napisałam jednak „Kirstenya Rossky”, nie widząc innego wyjścia. Jeśli każą mi się wylegitymować, wszystkie dokumenty, w tym licencję pilota, mam właśnie na to nazwisko. Podałam wszystkie wymagane informacje, spodziewając się uwag, urzędnik jednak przyjął papiery bez słowa.

Na drugą noc udało mi się znaleźć pensjonat – tak naprawdę było to schronisko czy hostel dla wędrowców – i wreszcie zaczęłam się trochę uczyć wyspiarskich zwyczajów. Zrozumiałam, że pieniądze, jako takie, nie istnieją. Mieszkańcy wyspy muszą płacić dziesięcinę, a cudzoziemcy, jak ja, mogą ją płacić jak wszyscy albo zawnioskować o długoterminową pożyczkę i rozliczyć się z niej przy opuszczaniu wyspy. Od razu postanowiłam, że biorę pożyczkę, bo alternatywą byłoby oddanie samolotu.

Pojawiły się więc kolejne papiery do wypełnienia, tym razem jednak prostsze – przypominały dokumenty, jakie trzeba złożyć przy aplikowaniu o pracę albo otwieraniu rachunku w banku. Pożyczki udzielił mi od ręki funkcjonariusz mieszkający przypadkiem w pobliżu hostelu i odtąd mogłam wszystkie swoje wydatki rozliczać, podając specjalny numer rachunku.

Teraz te pierwsze dni wydają mi się bardzo odległe. Gdy spędziłam na Prachous parę tygodni i nauczyłam się wtapiać w tło, odkryłam, że żyje się tu bardzo łatwo. Można wybierać z dziesiątek mieszkań czy domów, jest obfitość niedrogiego jedzenia, większość ludzi, przyzwyczajwszy się do mnie, jest uprzejma, choć nie przejawia ani odrobiny ciekawości. Ludzie ci są zamknięci, nie mówią o sobie otwarcie, nigdy nie zapraszają do swoich domów – ci zamożni obywatele i wielce rozrzutni konsumenci.

Gdy tylko znalazłam sobie małe mieszkanie i zorganizowałam samochód, zaczęłam oficjalną procedurę zmiany nazwiska. Miały to być barwy ochronne - chciałam uniknąć zwracania uwagi na siebie i swoje poczynania. Wiedziałam już, jak surowo prachoickie władze postępują z osobami uznanymi za nielegalnych imigrantów. Przybranie pospolitego tutejszego nazwiska było pierwszym krokiem do nieszkodliwego, prostego kamuflażu. Wybrałam nazwisko i imię, które słyszałam i widziałam wiele razy; liczyłam, że dzięki niemu przestanę się wyróżniać, a poza tym całkiem mi się podobało - Mellanya. Mellanya Ross.

Zapoznałam się z paroma osobami, głównie mieszkańcami tego samego bloku. Zachowywali się jak typowi Prachoici, starałam się więc ich naśladować. To oznaczało, że zawsze byliśmy dla siebie uprzejmi, lecz niewiele ponad to.

Dzięki temu wszystkiemu miałam coraz bezpieczniejszą bazę, by zacząć realizować moje plany.

W dalszym ciągu jedynym powodem mojego przylotu na wyspę było poszukiwanie Tomaka. I od razu pojawiało się kilka problemów. Po pierwsze, jeśli przebywał w szpitalu, nie miałam pojęcia, który to mógł być szpital. Szpital był w każdym większym mieście. Jeśli go wypisano, gdzie był teraz i w jakim stanie? Po drugie, sama wielkość wyspy. Poruszanie się po niej, nawet autem, stanowiło problem. Była kolej, ale jej linie skupiały się w zabudowanych częściach wybrzeża, przez co w głąb ogromnej wyspy nie dało się dostać inaczej niż drogą lądową lub powietrzną. Dowiedziałam się, że niektóre aerokluby organizują krótkie loty wewnętrzne. To mogło być jakieś rozwiązanie. Przypomniało mi to, jak bardzo ubolewałam, że nie dysponuję

już własnym samolotem – tyle drobnych problemów rozwiązałyby się, gdybym mogła latać, dokąd zechcę, tak jak byłam przyzwyczajona u siebie.

Największą trudnością zaczęło mi się jednak wydawać przebrnięcie przez tutejszą tępą biurokrację przenikającą wszelkie aspekty życia. Uświadomiłam sobie, że jeśli Tomak, wojskowy oficer ranny na wojnie, jest leczony w szpitalu na tej zawzięcie neutralnej wyspie, do odpowiednich dokumentów nie będzie łatwo dotrzeć. Gdy zadawałam jakieś pytanie lub prosiłam o radę prachoickich znajomych czy sąsiadów, odpowiadali zawsze tym samym prachoickim powiedzeniem, że zawsze najlepiej nie zadawać pytań, a jeszcze lepiej nigdzie się nie ruszać. Urzędnicy byli, co do jednego, niezwykle szarmanccy, szczególnie gdy opowiadałam im, że ranny Tomak to mój ukochany i chcę go odnaleźć, żeby się nim zaopiekować. I niezawodnie odpowiadali, że nie mogą w żaden sposób mi pomóc.

Gdy tylko trochę się urządziłam w nowym mieszkaniu, zaczęłam szukać Tomaka. Najpierw poszłam do szpitala w miejscowości, w której postanowiłam zamieszkać, nadbrzeżnym Beathurn, potem objechałam podobne szpitale w pobliskich miasteczkach. Szybko przekonałam się, że mam małe szanse znaleźć Tomaka w tego typu przybytkach, zajmowały się bowiem głównie obsługą nagłych wypadków, położnictwem, drobnymi zabiegami chirurgicznymi i tak dalej. Pacjentów z poważnymi chorobami, obrażeniami i urazami przenoszono do paru specjalistycznych ośrodków umieszczonych w różnych punktach wyspy.

Znalazłam specjalistyczny ośrodek leczenia oparzeń w miejscu nazywanym się Kampus Nekkel. Były to trzy dni drogi, droga zaś biegła przez najbardziej dziki i jałowy teren, jaki w życiu widziałam. Tomaka w Nekkel nie zastałam, nigdy go tam nie było i nikt z personelu nie chciał dać mi żadnej informacji, która mogłaby pomóc go odnaleźć. Oczywiście nie byłam najbliższą rodziną ani żoną. System był dla mnie zamknięty.

Kiedy doszłam do siebie po tej podróży, pojechałam w kolejną, tym razem do miejsca nazywającego się SATU – jak się dowiedziałam, leczy się tam rany postrzałowe i inne urazy. Także tym razem potrzebna była długa i ciężka kilkudniowa podróż drogą wiodącą obrzeżami dziewiczej puszczy. I znów moje poszukiwania nie przyniosły niczego poza wiedzą, że prachoickie reguły dotyczące prywatności i poufności są niemal nieprzeniknione. Według prachoickich norm Tomak był dla mnie co najwyżej przyjacielem rodziny, a to było za mało.

Długie podróże po wyspie otworzyły mi oczy na jej malownicze i urozmaicone krajobrazy. Choć znaczną jej część pokrywa pustynia, a pozostałą część na ogół porasta podzwrotnikowy las, wiele tu naturalnie pięknych miejsc – żyznych równin, pięknych pasm górskich, tysiący panoram na wzburzone morza i dramatycznie spienione fale. Choć misję miałam jedną – odnaleźć ukochanego – wiele razy zatrzymywałam się, by je podziwiać.

Wzdłuż prawie wszystkich szos znajdowały się wyznaczone parkingi przy najlepszych punktach widokowych. Najbardziej lubiłam zatrzymywać się wysoko w nadbrzeżnych górach, gdzie liściaste lasy dawały trochę cienia i wytchnienia od letnich upałów. Już jadąc szosą, cieszyłam się na kolejny taki przystanek, gdy droga pięła się przez gęsto zalesione wzgórza, czasem wiodła skrajem plaż i zatok, a czasem wspinała się oszalanymi wiaduktami i krętymi serpentynami na szczyty. Z takiej wysokości widziało się będący w wiecznym ruchu ocean koloru bajecznej ultramaryny, cały upstrzony kropeczkami białej piany od fal załamujących się na skałach. Ten widok nigdy mi się nie nudził. Żałowałam tylko, że nie mogę podziwiać go z własnego samolotu podczas powietrznej wycieczki wzdłuż wybrzeża.

Na punktach widokowych zatrzymywało się bardzo wielu innych ludzi. Były one przestronne i dobrze rozplanowane, więc nigdy nie było na nich specjalnie tłoczno. Zawsze można było też odejść z głównego terenu i pójść wąskimi ścieżkami lub

schodami na inne punkty widokowe. Odkryłam, że w większości z tych miejsc znajdują się dobre restauracje, a czasem i noclegi. Wyjeżdżając z miasta, jechałam szybko, szerokimi szosami, skupiona na pragnieniu odnalezienia Tomaka, natomiast wracając z bezowocnych poszukiwań, nie mając pojęcia, gdzie dalej szukać, celowo zwlekałam i polowałam na piękne widoki.

Powoli zaczynałam się przyzwyczajać do prachoickiego stylu życia. Był to podstępny, niedostrzegalny proces – przez łatwość i wygodę codziennego życia tutaj zaczęłam czuć się zwolniona z wszelkiej odpowiedzialności. Tak właśnie żyli Prachoici, uległam temu i rozumiałam, że mi to odpowiada. Osiedłam w Beathurn i niebawem po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że jestem bezpieczna i zadowolona.

Wewnętrzny przymus poszukiwania Tomaka coraz bardziej słabł. Nie spodziewałam się, że tak się stanie, ale przytłaczające problemy praktyczne, ciągła niepewność, czego się dowiem, połączone z mdłym komfortem codziennego życia sprawiły, że poczułam lekkie otępienie. Między kolejnymi wyprawami robiłam przerwy, które w miarę mijających miesięcy stawały się coraz dłuższe, a moje zdecydowanie – coraz słabsze.

Moja determinacja zaczęła słabnąć po przypadkowej uwadze rzuconej przez kobietę, która była moją sąsiadką. Nazywała się Luce. Jak większość Prachoitów, była powierzchownie miła, gdy się przypadkiem spotkałyśmy, nigdy jednak nie starała mi się przedstawić. Dopiero dużo później dowiedziałam się, jak się nazywa. Mijając się na schodach, uśmiechałyśmy się do siebie przelotnie i nic poza tym.

Któregoś wieczoru jednak szłam do domu po całym dniu w aucie. Rozpytywałam o Tomaka w szpitalu leżącym daleko na południowym wybrzeżu, tak samo bezskutecznie, jak przedtem. Byłam wyczerpana po wielu godzinach za kierownicą i jazdą pod bezlitosnym słońcem. Luce przypadkiem akurat wchodziła na schody.

Wyglądałam na zmęczoną, co wywołało pełne współczucia słowa. Powiedziałam jej, że cały dzień jechałam, wspomniałam o

szpitalu, o tym, że miałam nadzieję znaleźć tam przyjaciela. Opowiedziałam o poprzednich próbach. Wydała mi się zainteresowana, a nawet przejęta. Przedstawiła mi się z imienia, ja też. Gdy już zaczęłam mówić jej o Tomaku, nie byłam w stanie przestać. Byłam taka samotna na tej wyspie, nie miałam do kogo otworzyć ust. Nagle zapytała:

- A była pani w Sąsiedztwie? Może on jest tam?

Nazwa nic mi nie mówiła, wyjaśniła więc. Mówiła cicho, szybko, rozglądając się często na boki, jakby sprawdzała, czy nikt inny tego nie usłyszy.

- Ludzie ciągle próbują się nielegalnie dostać na Prachous. Władze zbudowały duży obóz, do którego się ich wysyła. Możliwe, że tam jest ten pani przyjaciel.

- I jak ja mam go znaleźć?

- To jest gdzieś na wybrzeżu, na północ od Beathurn. Dość daleko. Nad ujściem rzeki, kiedyś to były ogromne bagna. Mówiło się na to „trzciniisko”, ale teraz już tego nie ma. Wszystko osuszili, pobudowali baraki. Nigdy tam nie byłam, bo to teren zamknięty. Osobom postronnym nie wolno tam wchodzić, zresztą ja nie mam tam czego szukać.

- To skąd się dowiem, czy on tam jest?

- Nie wiem.

- Mówi pani, że to się nazywa „Sąsiedztwo”?

- Nie jestem pewna dlaczego.

Piętro wyżej otworzyły się drzwi, na podeście rozległy się kroki. Chwilę później jakiś mężczyzna zszedł szybko po schodach, minął nas, nie witając się, i wyszedł z budynku.

- Chyba za dużo powiedziałam - dodała Lucy, gdy poszedł. Mówiła teraz dużo ciszej. - My nie powinniśmy w ogóle wiedzieć o Sąsiedztwie.

- Przecież czegoś takiego nie da się utrzymać w tajemnicy.

- Ale oni chyba się starają. W ogóle nie powinnam mówić pani tej nazwy. Oficjalnie to się nazywa jakoś inaczej, ale to też jest tajemnica seniorów. Proszę w ogóle zapomnieć, że cokolwiek mówiłam.

- Tylko że Tomak nie jest nielegalnym imigrantem - powiedziałam. - Walczył na wojnie, został ranny. Przywieziono go tutaj właśnie ze względu na szpitala.

- No to go tam nie będzie... Tam, gdzie mówiłam.

- W Sąsiedztwie?

- Przepraszam. Śpieszę się.

Odsunęła się ode mnie, wyraźnie żałując, że powiedziała aż tyle. Potem rzadko ją widywałam; zaczęło do mnie docierać, że prawdopodobnie mnie unika.

I to był praktycznie jedyny raz, kiedy ktoś otwarcie wspomniał przy mnie o tym obozie. Ponieważ nie mogłam wykluczyć możliwości, że Tomak tam trafił, próbowałam oczywiście czegoś się dowiedzieć, jednak wszystkie moje pytania zbywano ogólnikami, zaprzeczeniami, wymijającymi stwierdzeniami. Już wiedziałam, że to typowe dla Prachous.

Raz nawet spróbowałam sama znaleźć ten obóz, jadąc wzdłuż wybrzeża na północ od Beathurn. Na żadnej mapie nie było niczego nazywającego się Sąsiedztwo lub podobnie. Dysponowałam tylko ogólnikowym opisem Luce. Wokół ujścia rzeki, mniej więcej tam, gdzie opisała, rzeczywiście były rozległe bagna, na mapie niezaznaczone albo opisane jako nieużytki. Jak odkryłam wówczas, nie sposób się tam dostać autem. Drogę blokują bariery z ostrzeżeniami o podtopieniach, zapadnięciach, zerwanych mostach i tak dalej. Spróbowałam jednej czy dwóch dróg, które wyglądały, jakby mogły tam prowadzić, i zrezygnowałam.

Przez cały mój pobyt na Prachous widziałam, że miejsce zwane Sąsiedztwem jest na wyspie czymś w rodzaju białej plamy. Miasto- niemiasto, o którym każdy słyszał, ale nikt tam nigdy nie był, a już na pewno nie zamierza ze mną o tym rozmawiać.

Był to jeden z pierwszych kroków na mojej drodze do przystosowania się do życia na Prachous, choć moje zapatrywania nigdy tak do końca nie pozwoliły mi się z tym pogodzić. Pochodzę z chłopskiej rodziny - moi rodzice mieli skromne gospodarstwo w ubogiej i surowej wsi, oboje byli do



tego ortodoksyjnymi idealistami gardzącymi mieszczańskimi wartościami. Trochę mi tego po nich zostało, choć nawet ja przyznam, że komfortowe życie na Prachous zaczęło przychodzić mi łatwo. Po paru miesiącach wiedziałam, że moje poszukiwania Tomaka są tylko wymówką mającą uzasadnić jak najdłuższy pobyt na wyspie.

Któregoś dnia, gdy szłam sobie wzdłuż wysokiego betonowego falochronu w porcie w Beathurn, ciesząc się blaskiem słońca i orzeźwiającą morską bryzą, rozkoszując się jaskrawymi kolorami żaglówek i motorówek, skrzącym się morzem, nieustającym odległym rykiem fal, przeżyłam nagłą chwilę autoanalizy, z tych, co potrafią odmienić ci poglądy w sekundę.

Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz widziałam się z Tomakiem, jeszcze więcej, odkąd mieliśmy okazję rozmawiać w cztery oczy, i jeszcze dużo więcej, odkąd ostatni raz byliśmy razem tylko we dwoje. Byliśmy blisko już jako kilkunastolatki, wojna rozłączyła nas jako młodych ludzi. Gdy wokół nas rozszalał się ogień inwazji i zaczęły walić się domy, zdążyliśmy zamienić tylko parę słów. Tomak poszedł stawić czoło tej wojnie, ja przed nią uciekłam.

Minęło wiele miesięcy, odkąd wylądowałam na tym trawiastym lotnisku swoim samolotem, z silnikiem dławiącym się i pokaszującym, gdy do gaźników trafiały ostatnie krople paliwa. Tu dorosłam, dojrzałam, zmieniłam się, wiele przeżyłam. Nie chodziło nawet o to, że moja miłość do Tomaka była niedojrzała, po prostu osoba, którą wtedy byłam, zaczęła wydawać mi się obca i odległa. Świat, który znałam, w którym z nim żyłam, przestał już istnieć. Może Tomak też już nie będzie dla mnie istniał.

Przeprowadziłam się, nawiązałam nowe znajomości. Zwolnił się dom na wzgórzu, wynegocjowałam cenę i wynajęłam go. Zaczęłam go zapelniać meblami, które mi się podobały, powiesiłam obrazy na ścianach, zastawiłam półki książkami i płytami oraz rozpoczęłam długie prace nad uporządkowaniem zachwaszczonego ogrodu. Saldo mojej pożyczki miarowo rośnie.

Rozejrzałam się trochę i szybko znalazłam pracę. Nigdy wcześniej regularnie nie pracowałam, a dla większości bogatszych Prachoitów praca była kwestią wyboru, nie koniecznością. Był to sposób na szybszą spłatę zaległej dziesięciny, poza tym jednak korzyści materialnych nie było żadnych. Dowiedziałam się, że spłatę pożyczki, którą wzięłam, można odraczać w nieskończoność. Jeśli zdecyduję się nigdy jej nie spłacać, będę się musiała rozliczyć dopiero, jeśli postanowię wyjechać z Prachous, albo zostanie rozliczona po mojej śmierci przez Seniorat, który przejmie cały mój majątek.

Okazało się, że nietrudno jest znaleźć pracę, którą jestem w stanie wykonywać. Trochę pracowałam jako biurowa asystentka, proste prace, trzy dni w tygodniu, nie dlatego, żeby mnie to interesowało – pomyślałam po prostu, że ułatwi mi to zapoznanie się ze zwykłym życiem na Prachous.

Taka praca prawie nie zabierała mi czasu wolnego, wciąż więc jeździłam samochodem na wycieczki krajoznawcze. Odkryłam jedyną w swoim rodzaju sieć kolejek linowych zbudowaną w wysokich górach na północ od miasta. Wszyscy w Beathurn lubili te podniebne, czasami mrożące krew w żyłach przejażdżki, z gondol rozciągał się bowiem niesamowity, zapierający dech w piersiach widok na miasto, jego okolice i na morze. I ja jeździłam nimi prawie w każdy weekend, cieszyło mnie zwłaszcza

chłodne powietrze na szczytach gór. Zapisalam się na siłownię i trzy razy w tygodniu ćwiczyłam. Znajomy pożyczył mi rower, który dał się składać i włożyć do bagażnika auta, mogłam więc zapuszczać się w bardziej niedostępne rejony wyspy i jeździć nim po trudnym terenie. Zapisalam się do klubu czytelnika, zaczęłam chodzić na tańce i pomagać w miejscowym teatrze. Nazywał się *Il- Palazz Dukat Aviator*, czyli Wielki Pałac Lotniczy – spodobał mi się ze względu na swoje logo, stylizowanego lotnika w skórzanej pilotce i goglach, z kolorowym śmigłowym samolocikiem w tle.

Jako wspierająca teatr wolontariuszka należałam do grupy kilku osób, które na zmianę pomagały przy rutynowych pracach za kulisami. Do mnie należała współpraca z kostiumernią – zabierałam po spektaklach kostiumy do czyszczenia lub prania. W mieście była usługowa pralnia – musiałam tylko zawieźć do niej kostiumy i albo poczekać, aż zostaną wyczyszczone, albo odebrać je później.

Któregoś popołudnia podczas najcieplejszej pory roku poszłam jak zwykle do *Il- Palazz*, by zabrać pranie z ostatniego tygodnia. Zaparkowałam auto za teatrem i szłam do bocznego wejścia. W wąski zaułek nagle wyszedł przez drzwi wysoki młody człowiek z rozczochraną czupryną. Budynek teatru jest obszerny, sięga bardzo daleko w głąb od ulicy. Ponieważ dopiero weszłam w ten zaułek, byliśmy dość daleko od siebie. W ogóle nie spojrzał w moją stronę, choć wszystko w jego wyglądzie wydało mi się niesamowicie znajome. Odwrócił się i poszedł w stronę frontu, gdzie znajdowało się główne wejście.

Ja zaś stałam zszokowana, wytrzeszczając oczy, kompletnie obezwładniona tym widokiem. To był Tomak!

Zawołałam go po imieniu, potem pobiegłam za nim. Był zbyt daleko, żeby mnie usłyszeć, zawołałam więc jeszcze raz, dużo głośniejszym głosem. Głos łamał mi się z podniecenia. Skręcił za róg, ruszył dalej ulicą, przy której stał teatr. Wydało mi się, że musiał mnie usłyszeć, gdyż na moment odwrócił głowę w moją stronę, jednak niemal natychmiast wszedł za wysoki żywopłot.

Zobaczyłam jego twarz! Ruszyłam pędem zaulkiem, spodziewając się, że się zatrzyma albo chociaż obejrzy. Nic z tego.

Resztę drogi przebiegłam, ale gdy wyszłam na główną ulicę, zobaczyłam, jak otwiera drzwi auta od strony pasażera, by wsiąść. Mówił coś do kierowcy. Zawołałam go jeszcze raz po imieniu, tym razem już pełna lęku, że z jakiegoś powodu umyślnie mnie ignoruje. Znów obejrzał się na mnie, po czym wsiadł do samochodu i trzasnął drzwiami. Auto od razu odjechało.

Byłam tak zdezorientowana i podekscytowana, że nie wiedziałam, co mam począć. Desperacko starałam się zapamiętać jak najwięcej szczegółów auta, ale był to popularny model, jakich tysiące jeździły po ulicach Beathurn, do tego w neutralnie szarym kolorze. Miał oczywiście tablicę rejestracyjną, ale nie przyszło mi do głowy przyjrzeć się jej dokładnie. Auto było już bardzo daleko, widziałam, że zatrzymało się na skrzyżowaniu, od którego prowadzi droga w dół do portu, potem jednak pojechało dalej, nie do portu, lecz w drugą stronę. Straciłam je z oczu.

Pobiegałam do teatru, licząc, że ktoś tam będzie wiedział, kim był ten człowiek i jak się z nim skontaktować. Tego dnia nie było porannego przedstawienia, więc w środku paliło się mało świateł. Personel techniczny miał przyjść dopiero przed wieczornym spektaklem. Znalazłam szefa widowni. Nie widział, żeby ktokolwiek wchodził lub wychodził. Za kulisami spotkałam dwóch dekoratorów. Właśnie wrócili z obiadu i nie zauważyli nikogo obcego. Tak samo Ellse, kierowniczka pracowni kostiumów, z którą regularnie pracowałam. Powiedziała, że madame Wollsten od PR- u miała z kimś rozmowę, nie znała jednak żadnych szczegółów. Natychmiast do niej poszłam, lecz dowiedziałam się tylko, że był u niej jakiś miejscowy magik i rozmawiał o występach. Czy to był człowiek, którego widziałam wychodzącego z teatru? Wzruszyła ramionami, straciwszy zainteresowanie.

Załatwiłam sprawę z praniem, podrzuciłam czyste kostiumy do teatru i wróciłam do domu. Myśli i emocje wciąż kotłowały mi się w głowie. To musiał być Tomak! To nie mógł być Tomak. Wyglądał dokładnie jak on, jednak przed przylotem na wyspę mówiono mi, że doznał poważnych oparzeń głowy i ramion. Właśnie dlatego tak pilnie go poszukiwałam. A człowiek, który mignął mi przed teatrem, nie miał żadnych śladów po oparzeniach.

Jeśli to był rzeczywiście magik, o którym mówiła madame Wollsten, to oczywiście nie mógł być to Tomak. Chyba że Tomak z jakiegoś niewytłumaczonego powodu zaczął występować jako estradowy iluzjonista, prestidigitator – taka ewentualność wydała mi się jednak za bardzo fantastyczna.

Tomak, choć od dłuższego czasu znajdował się na drugim planie, teraz znów stał się moją obsesją. Myśl, że mógłby mieszkać w tym samym mieście, co ja, nie tylko żywy, ale najwyraźniej cały i zdrowy, nie dawała się zignorować. Tamtej nocy nie mogłam usnąć, rozmyślając, co powinnam robić, a jednocześnie całkiem odrębna część mojego umysłu dowodziła, że to był zbieg okoliczności, że ten człowiek tylko przypominał Tomaka, że nie może nim być.

Dzień później poszłam do miasta, obeszłam najbardziej ludne okolice, przyglądając się twarzy każdego napotkanego mężczyzny. Całymi godzinami chodziłam po skwarnych ulicach, spocona od upału, z desperacją wypatrując Tomaka.

Wiedziałam tylko, choć nie na pewno, że człowiek, który wyszedł z teatru, prawdopodobnie był iluzjonistą. I musiał mieszkać gdzieś w tym mieście.

Zaczęłam się rozpytywać, usiłując dowiedzieć się, czy ktokolwiek z moich znajomych słyszał o jakichś iluzjonistach w Beathurn. Nikt nie słyszał. Później skontaktowałam się ze stowarzyszeniem iluzjonistów w mieście Prachous, miało jednak w Beathurn tylko jednego członka, już wiekowego i prawie niewystępującego.

Nabrałam zwyczaju obchodzenia prawie codziennie centrum

miasta, czasem nawet zapuszczałam się na przedmieścia, a wszystko to w nadziei znalezienia go. Przez parę tygodni nie udawało mi się, po czym wreszcie zobaczyłam go jeszcze raz.

Prawie w samym centrum Beathurn jest przyjemny, zadrzewiony plac, dostępny tylko dla pieszych i ludzi, którzy chcą się zrelaksować i zjeść spokojny posiłek na świeżym powietrzu – jest tam kilka ogródków restauracyjnych i parę kawiarni. Plac jest prawie całkiem zamknięty dla ruchu, z wyjątkiem wąskiej, biegnącej bokiem uliczki. To ciche i przyjemne miejsce mieści się przed głównym budynkiem Uniwersytetu Multitechnicznego i jest naturalnym punktem spotkań, nie tylko dla studentów, którzy zbierają się tu całymi setkami, ale i dla wielu innych osób.

W czasie, gdy regularnie jeździłam po wyspie w poszukiwaniu Tomaka, niemal zawsze przechodziłam przez ten plac, myśląc, że to jedno z najbardziej prawdopodobnych miejsc, gdzie mogłabym go zastać.

I tak się stało. Pewnego ranka, gdy szłam do pracy, przecięłam plac, właściwie zupełnie nie myśląc o Tomaku ani go nie wypatrując. I nagle go zobaczyłam – siedział sam przy dwuosobowym stoliku, przed sobą miał rozłożoną gazetę, w dłoni długopis, którym rozwiązywał jakąś łamigłówkę, w drugiej dłoni trzymał filiżankę z kawą. Obok stał talerzyk z okruszkami po czymś, co wcześniej zjadł.

Oczywiście stanęłam jak wryta i wpatrzyłam się w niego. On zaś mnie nie widział, co chwila wyciągając długopis i zaznaczając któryś kwadracik z literami w gazecie. W pierwszym odruchu chciałam do niego podejść, lecz od czasu, gdy widziałam go poprzednio, przy teatrze, minęło parę tygodni. "Wolałam być ostrożna.

Przeszłam obok kawiarni, zawróciłam, przeszłam z powrotem. Zamawiał coś u kelnerki, zaczekałam więc, aż skończy, myśląc,

że może podniesie głowę, rozejrzy się, zauważy mnie. Nie zauważył. Odczekałam, aż kelnerka przyniosła mu zamówienie, drugą filiżankę kawy, po czym siadłam przy wolnym stoliku. Gdy podeszła do mnie, także zamówiłam kawę.

Jeśli nawet człowiek, którego miałam za Tomaka, zauważył mnie, nic nie dał po sobie poznać. Gdyby to był on, na pewno by mnie rozpoznał, prawda? Siedziałam nieruchomo przy stoliku, starając się nie gapić na niego, ale nieustannie o nim myśląc. Kim on może być? Jeśli to nie Tomak, to wygląda identycznie jak ten młody człowiek, z którym straciłam kontakt po wybuchu wojny. Do tego iluzjonista? Brzmiało to niewiarygodnie, ja jednak wiedziałam, że przypomina mi go pod każdym względem - nie licząc rysów twarzy, niesamowicie podobnych, miał identyczne włosy, taką samą cerę i garbił się nad tą gazetą w sposób aż nadto mi znajomy.

Zapłacił rachunek, złożył gazetę, cisnął ją do kosza na śmieci przy drzwiach kawiarni i wyszedł na plac. Nie minął bezpośrednio mojego stolika, ale był blisko, tak blisko.

To zdarzenie tak wytrąciło mnie z równowagi, że gdy wyszedł na ruchliwy plac, w ogóle nie przyszło mi do głowy, by za nim pójść. Zanim wpadłam na ten pomysł, rozplynął się w tłumie.

Następnego ranka pojawiłam się w tym samym miejscu, o tej samej porze i ku mojej uldze zastałam go w kawiarni. Usiadłam po przeciwnej stronie kawiarnianego ogródka, skąd mogłam go obserwować, nie rzucając się w oczy. Zamówiłam rogalika, czarną kawę i siedząc nad nimi, zaczęłam rozmyślać nad dylematem, który stanowił dla mnie ten człowiek. Rozumiałam teraz, że to konflikt między sercem i rozumem.

Jeśli to naprawdę Tomak, mężczyzna, którego znałam i kochałam, dlaczego mnie nie rozpoznaje? Dlaczego nie ma śladów po obrażeniach, o których dostałam tak wstrząsającą, dobitną i autorytatywną informację? Możliwe oczywiście, że udaje, że mnie nie poznaje, lecz nie przychodził mi do głowy ani jeden powód, dlaczego miałby to robić. Była jeszcze inna możliwość - rany, które odniósł, mogły być inne, niż słyszałam.



Może cierpi na pourazową amnezję i nie pamięta swojego poprzedniego życia?

Z drugiej strony chłodna głowa podpowiadała mi, że to nie Tomak, że to nie może być on, że to tylko niezwykle zbieg okoliczności. Przypadkowe podobieństwo ciemnych włosów w nieładzie, dużych oczu, wysokich kości policzkowych, szerokich ramion, nonszalanckiego sposobu siedzenia. Gdy się uśmiechnął, zobaczyłam uśmiech Tomaka i cała w środku zeszywniałam, czując jednocześnie radość ze szczęśliwych wspomnień i smutek osamotnienia.

Wiedziałam, że jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać – po prostu z nim porozmawiać. Zapłaciłam rachunek, wstałam i ruszyłam przez ogródek kawiarniany z sercem roztrzepotanym w nagłym zdenerwowaniu. A wtedy pojawiła się młoda kobieta – szła ku niemu szybkim krokiem przez plac, machając ręką. Przeszła, lawirując, między stolikami, podeszła wprost do niego, pochyliła się i ucałowała go w oba policzki. Śmiejąc się, usiadła naprzeciwko. On z uśmiechem uściśnął jej dłoń na stole.

Zatrzymałam się. Zawróciłam.

Stałam na skraju ogródka i gapiłam się na nich z odległości. Kim ona jest? Była młoda, podejrzewałam, że jeszcze przed dwudziestką. Jeszcze niedawno była dzieckiem, dopiero teraz wkraczała w kobiecość. Studentka? Przyszła od strony uczelni. Aż promieniowała młodością, miała szczupłe, zwinne ciało, smukłe, delikatne dłonie, włosy ściągnięte w kucyk. Była ubrana w obcisłe białe džinsy i luźną bluzę. Na czole miała ciemne okulary. Siedząc naprzeciwko Tomaka, to zakładała nogę na nogę, to ją zdejmowała, mówiła coś energicznie, rozśmieszała go. Prawie nie odrywała od niego wzroku. Był jej pierwszą miłością, miłością, którą będzie pamiętała, tak jak ja ją pamiętam, do końca jej życia, do końca mojego.

Kelnerka przyniosła jej napój z lodem, który popijała, patrząc ponad szklanką na Tomaka. Ten coś jej opowiadał, gestykulując ekspresywnie. Znałam te gesty, znałam wszystkie jego manierizmy.

Na jego córkę była zbyt dorosła - czy raczej on był za młody, by mieć córkę w tym wieku. A czy mogli być kochankami? Na oko była co najmniej siedem, osiem lat od niego młodsza. Zachowywali się, jakby znali się bardzo dobrze albo wręcz intymnie, chociaż kiedy usiadła naprzeciwko, już jej nie dotykał, zadowalał się po prostu swobodną rozmową. Oboje dużo się uśmiechali, dziewczyna nachylała się ku niemu oparta łokciami o stolik, trzymając oburącz szklankę.

Nie byłam w stanie stamtąd odejść. Stałam na skraju placu, w miejscu, gdzie krzyżowały się przecinające parkową część ścieżki i zaczynały się stoliki restauracji i kawiarni. Wiedziałam, że zapewne rzucam się w oczy, stojąc jak słup soli i gapiąc się na ogródek, jednak odkrycie tej jego młodej przyjaciółki sparaliżowało mnie całkowicie.

Tomak od czasu do czasu rozglądał się, mówiąc do niej, i raz czy dwa razy spojrział w moją stronę. Musiał mnie zauważyć, lecz jakimś sposobem nadal mnie nie rozpoznawał.

Wstali od stolika, odsuwając ze zgrzytem krzesła, dosunęli je i poszli. Puścił ją przodem. Przeszli koło mnie, równie blisko jak wczoraj sam Tomak. Gdy wyszli z ogródka, ruszył obok niej, swobodnie kołysząc ramionami. Nie dotykali się.

Odczekałam długą chwilę i poszłam za nimi. Staralam się trzymać dystans, choć szli powoli, z ociąganiem, zaprzątnięci własnym towarzystwem, więc zaraz zaczęłam ich doganiać. Zwolniłam kroku jeszcze bardziej. Człapałam tak za nimi bardzo długo przekonana, że wiedzą, że ktoś ich śledzi, oni jednak nie odrywali wzroku od siebie. Byłam podenerwowana, zagubiona, choć przepełniało mnie też niepewne uczucie szczęścia.

Wiedziałam, że powinnam się odwrócić, pójść do domu, zostawić tych beztroskich zakochanych samym sobie, jednak nie byłam w stanie. Tomak był jedynym powodem mojego pobytu na tej wyspie - i właśnie w jakimś nieodgadnionym, niezadowolającym, acz niezaprzeczalnym sensie odnalazłam go. Nie potrafiłam podjąć takiej decyzji.

Przeszli powoli przez pełną sklepów dzielnicę miasteczka, a

potem skręcili w wąską uliczkę, mocno zacienioną przez wysokie domy po obu stronach. Zaprowadził ją pod drzwi starego budynku, który kiedyś miał na parterze restaurację, a nad nią kilka pięter. Wszystkie okna były zamurowane. Otworzył drzwi kluczem, ona pierwsza weszła do środka, on za nią. Trzasnął drzwiami, usłyszałam szczęknięcie zamka.

Pobiegłam do domu, wzięłam samochód i kiedy wyszli z tej tajemniczo wyglądającej kamienicy, dwie godziny później, już parkowałam w dyskretnym miejscu na przeciwnym końcu uliczki.

Trzymając się w sporej odległości, kombinując, obserwując, patrząc, w końcu dowiedziałam się, gdzie mieszka Tomak.

Ze zdarzeń, które nastąpiły potem, bynajmniej nie jestem dumna, i nie byłam wtedy, ale uczucia, które żywiłam wobec Tomaka, były tak silne, że nie potrafiłam postąpić inaczej. Każdą wolną chwilę poświęcałam teraz na rozwiązanie tak osobiście mnie angażującej zagadki tego człowieka. Musiałam jakoś rozwikłać sprzeczne uczucia, które miotają mną na jego widok, oraz otaczającą go aurę tajemniczości.

Szybko nauczyłam się jego zwyczajów w poruszaniu się po mieście – były pewne bary i restauracje, które lubił, domy i mieszkania, które czasami odwiedzał. Wszędzie chodził pieszo, nie miał samochodu ani innego pojazdu. Raz jeszcze widziałam, jak podwozi go znajomy, którego szare auto widziałam wtedy przed teatrem.

Śledziłam go za każdym razem, gdy wychodził na spotkanie ze swoją młodą towarzyszką. Widywał się z nią raz lub dwa razy w tygodniu, zawsze w kawiarni na placu koło uniwersytetu. Po krótkiej, swobodnej rozmowie szli do wielkiej, starej kamienicy i zamykali się w środku. Musiałam czekać, aż stamtąd wyjdą, walcząc z poczuciem smutku i zazdrości. Zazdrościłam im tego, na oko, beztroskiego wspólnego życia.

Wieczorami chyba nigdy się z nią nie spotykał – regularnie obserwowałam z ciemnej ulicy wejście do jego mieszkania.

Któregoś wieczoru, gdy wilgoć była nie do zniesienia, a miasto zalał prąd gorącego powietrza prosto z rozżarzonego interioru wyspy, zajęłam, jak mi się wydawało, bezpieczną pozycję blisko jego mieszkania. Nad morzem przetaczały się grzmoty. Stałam w zacienionym miejscu, z którego widziałam jedno okno rzadko zasłaniane na noc. Widziałam także główne wejście do kamienicy – mogłam obserwować, jak wychodzi i przychodzi.

Oświetlone okno nie było w pokoju – był to korytarz czy coś w rodzaju przejścia. Rzadko go w nim widywałam, chyba że chodził tam i z powrotem między pokojami, choć i taki widok pozwolił mi nabrać niemal stuprocentowej pewności, że nigdy nie wprowadzał do mieszkania swojej młodej towarzyszkii. Moje obsesyjne zainteresowanie skupiało się jednak na mężczyźnie, który był kiedyś Tomakiem, a nie na dziewczynie.

W mieście panowała potworna duchota. Mordercza pogoda napierała na domy, więząc ludzi w środku. Burza jakby utknęła z dala od wybrzeża, czasami daleko na wschodzie widziałam błyskawice. Z oddali dobiegał szum aut, wokół mnie jednak nie było żadnego ruchu. Odgłosy miasta wydawały się przytłumione, ściszone. Zamilkły ptaki. Liście wokół mnie szeleściły na gorącym, powolnym wietrze. Słyszałam terkocące w zaroślach owady. Za każdym razem, gdy dotykałam nagimi rękoma moich boków, czułam falę nieznośnego żaru. Miasto zamarło w oczekiwaniu na burzę, wstrzymało dech z nadzieją na oczyszczającą ulewę.

– Kim pani, do cholery, jest i czemu pani za mną łązi?

Znalazł się przy mnie niespodziewanie. Chyba wyszedł z kamienicy innym wyjściem i obszedł ją przez ogród czy podwórze z tyłu. Wyszedł z bramy blisko miejsca, w którym zawsze stałam.

Zaniemówiłam ze wstydu. Przyłapał mnie. Bałam się, co może zrobić. Nade wszystko jednak czułam jego elektryzującą bliskość.

– Siedzi mnie pani. Po co?

Głos miał podniesiony, pełen złości.

Chciałam się cofnąć od niego o krok, za sobą miałam rozłożysty, wystający nad ulicę ponad murkiem dekoracyjny krzew. Zwykle jego liście pomagały mi się ukryć, gdy czekałam, teraz jednak blokował mi drogę ucieczki.

Zapaliło się światło, oślepiając mnie. Miał w dłoni latarkę, którą świecił mi prosto w twarz.

– Niech się pani przyjrze!

W końcu wykrztusiłam, słabym głosem:

- Tomak? To ty, prawda?

- Kto cię nastął? To szantaż? Tak?

Wreszcie usłyszałam, jak mówi. Choć był zły, głos miał dokładnie taki, jak pamiętałam, teraz mówił jednak prachoicką ludową gwarą, językiem ludzi, którzy się tu urodzili. Rozumiałam ją, ale z trudem się nią posługiwałam, chyba że miałam czas zastanowić się nad słowami.

Powiedziałam więc po prostu:

- Tomak! Daj spokój! Nie pamiętasz mnie?

- Wygląda pani całkiem niegroźnie. Czemu mnie pani siedzi? To ojciec Ruddebet panią nastął? Płaci pani? Czego chce się pani dowiedzieć?

- Nic nie widzę, jak mi tak świecisz! - wykrzyknęłam. Oślepiła mnie promień latarki, widziałam przed sobą tylko ciemną sylwetkę. - Tomak, ja cię szukałam. Słyszałam, że byłeś ranny, potwornie poparzony. Przyjechałam, żeby cię znaleźć. Na pewno pamiętasz, co sobie obiecywaliśmy.

- To, co pani robi, jest przestępstwem. Myślała pani, że ja nic nie wiem? Łazi pani za mną po całym mieście. I za Ruddebet. Co pani kombinuje? Ruddebet to niewinna dziewczyna. To jest przestępstwo, pani o tym wie? Za nękanie u nas grozi zemsta ludu. Mam zawołać sąsiadów?

- Posłuchaj mnie. Proszę. Kiedy byliśmy razem, nazywałam się Kirstenya. Kiedy tu zamieszkałam, musiałam zmienić imię i nazwisko, ale wcześniej nazywałam się Kirstenya. Nie pamiętasz? Kirstenya Rossky. Wychowywaliśmy się jak brat i siostra, ale kiedy dorośliśmy, zakochaliśmy się w sobie. Wybuchła wojna, poleciałam do rodzinnego miasta, żeby cię znaleźć. I cię znalazłam, blisko domu. Dowodziłeś oddziałem żołnierzy, ratowaliście ludzi uwięzionych pod gruzami i gasiliście pożary. Wszędzie spadały bomby. Potworne wybuchy, na niebie pełno samolotów. Bombowce nurkujące! Tomak, nie pamiętasz tych strasznych bombowców? Jakby paliło się całe miasto. Chciałam, żebyś uciekł ze mną, ale ty kazałeś mi uciekać, póki mogę, póki mam jeszcze samolot. Powiedziałeś, że armia i

lotnictwo mają plan, zrobią przegrupowanie. Kazałeś mi lecieć do innego miasta, daleko na południe od wojny.

- Nazwisko?! Złożę na panią skargę.

- Poleciałam do tego innego miasta, czekałam długo, ale się nie pojawiłeś. Musiałam lecieć dalej, zmieniać miejsce pobytu. Wszędzie, gdzie lądowałam, zostawiałam dla ciebie wiadomości - ciągle mi mówiono, że muszę uciekać. Wiesz dobrze, że jestem wykwalifikowanym pilotem. Generałowie mnie potrzebowali. Nieważne jak, ale uciekłam. Potem, wiele tygodni później, gdy znalazłam się w bezpiecznym miejscu, dowiedziałam się, że wróg internował większość oficerów naszego wojska i wywiózł ich w odludne miejsce, do jakiegoś lasu czy na bezludną wyspę, i tam rozstrzelał. Przeraziłam się, że i ciebie spotkał ten los.

- Ostatnia szansa. Jeśli przestanie pani za mną chodzić, nie złożę na panią skargi.

- Chciałam cię po prostu jeszcze kiedyś zobaczyć. Nie pamiętasz mnie?! - Ostatnie słowa wykrzyczałam, tracąc panowanie nad sobą. - Z dzieciństwa, potem, gdy dorastaliśmy? I latanie! To musisz pamiętać? Twój ojciec był asem przestworzy. Razem jeździliśmy na pokazy i zawody.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! Rozumiesz? A jak zobaczysz się z ojcem Ruddebet, to jemu też powiedz, żeby pilnował swojego nosa!

- Tomak, nic nie... proszę! Przepraszam. Nie miałam nic złego na myśli.

Nadal mnie nie dotknął i trzymał się ode mnie na dystans. W końcu zgasił latarkę.

- Skąd znasz moje imię? - Nagle odezwał się cichszym, mniej napastliwym głosem.

Wreszcie widziałam jego twarz, na wpół oświetloną latarnią uliczną za moimi plecami. To był Tomak, to nie był on. Fizyczne podobieństwo było niesamowite.

- Przepraszam. Nie powinnam była tego robić. To się więcej nie powtórzy.

Zaczęłam się od niego odsuwać, przeciskać się między

gałęziami krzewu, bałam się jednak odwrócić do niego plecami. Nagle huknął grzmot, o wiele głośniejszy i bardziej przerażający niż wcześniej. Był jak uderzenie pięścią. Tomak stał się obcym człowiekiem. To nie jego szukałam. Dylemat jednak wciąż pozostawał – serce kontra rozum, rozum kontra serce. To musi być on! Wszystko w nim było obce, groźne, ale ta groźba wynikała z moich własnych głupich poczynań, nie z jego charakteru. Tomak zawsze był dla mnie łagodny.

Ogarnęły mnie smutek i poczucie winy, dotarło do mnie, co narobiłam, spojrzałam na siebie jego oczyma.

Coś nas oddzielało. Niematerialnego, niewytłumaczalnego – jakbyśmy krzyczeli do siebie nad wielką przepaścią. Całkiem jakbyśmy widzieli się doskonale, stali blisko siebie, ale przedzieleni barierą nieporozumień, różnych kolei życia, różnych wspomnień. Jak mógł o mnie zapomnieć? To niemożliwe. Kim jest ten człowiek, jeśli nie moim ukochanym?

Nie próbował mnie zatrzymać, a ja, ogarnięta coraz większym wstydem, odwróciłam się i puściłam biegiem, oddalając się od niego wąską, słabo oświetloną uliczką. Raz się obejrzałam – stał tam gdzie wcześniej, wysoka sylwetka w ciemności. Jakże przykro mi było, jak winna się czułam.

Pobiegłam ulicą, skręciłam w inną, potem w kolejną. Potworna niebieskobiąta poświata od błyskawic rozświetliła niebo cztery czy pięć razy, oświetlając drogę i domy wokół mnie. Byłam sama pośród nocy, biegłam, potykałam się przerażona ciemnością, przerażona gwałtownością zrywającej się burzy. Grzmot huknął ogłuszająco nade mną. Wreszcie wypadłam na główną ulicę, a z niej udało mi się trafić wymarłymi zaułkami do miejsca, gdzie zostawiłam auto. Gdy do niego docierałam, rozpadało się potężnie. Szarpnęłam drzwi, wgramoliłam się do środka. Sukienkę i tak miałam już przemoczoną, ręce i nogi lśniły mi od wody. Zanim byłam w stanie odjechać, musiałam parę minut przesiedzieć w aucie. Cała się trzęsałam, dygotałam, sama pośród gwałtownej burzy. Ulewa zalewała szybę i bębniła w dach niczym olbrzymie dłonie. Ulicą płynęły potoki wody.



Przełękłam się, że porwie mój samochód. Uruchomiłam silnik, przesunęłam się na środek drogi, gdzie struga wody nie była aż tak głęboka. Deszcz stanowił ulgę po tygodniach piekielnego skwaru, choć moje życie wewnętrzne dusiło się jak nigdy wcześniej w oparach niezdecydowania. Wiedziałam, że wszystko przepadło, że to koniec mojej wyprawy. Uczyniłam poszukiwanie Tomaka sednem mojego życia, a teraz należało to zostawić za sobą.

W końcu wrzuciłam bieg i powoli pojechałam do domu. Na ulicach było pełno liści i gałęzi, cały czas padał deszcz, jezdnie były zalane. Gdy znalazłam się pod domem i wjeżdżałam pod górkę, burza przeszła. Grzmoty rozbrzmiewały teraz gdzieś dalej. Zaparkowałam samochód, weszłam przez ogród do domu. Służone deszczem powietrze przynosiło błogosławioną ulgę, podobnie jak chwilowo ochłodzone, ociekające wodą drzewa i pełna kałuż ziemia.

Następnego dnia zmieniłam samochód, żeby Tomak go nie rozpoznał. Zaczęłam wkładać inne ubrania, nieco zmieniłam swój wygląd – inaczej ułożyłam włosy, założyłam ciemne okulary, owinęłam szyję apaszką. Czułam się idiotycznie, nieustannie pamiętałam o jego groźbie, że na mnie doniesie, ale mimo tego, co stało się w noc burzy, nie potrafiłam jeszcze się poddać. Wiedziałam, że wchodzę w coś znacznie groźniejszego psychologicznie niż prosta obsesja, byłam jednak więźniem własnego dylematu.

I nagle wydarzyło się coś, co pomogło mi zamknąć tę sprawę. Palec boży, który interweniował w samą porę, nie pozwalając mi zrobić sobie krzywdy.

Siedziałam w nowym samochodzie, obserwując starą kamienicę z restauracją, do której Tomak i jego młoda dziewczyna chodzili za każdym spotkaniem. Parę minut wcześniej widziałam, jak spotykają się w kawiarni na placu, domyśliłam się więc, dokąd zaraz pójdą – i niedługo potem zobaczyłam, jak wchodzą do wysokiego budynku. Gdy znaleźli się w środku, zostawiłam auto i poszłam do małej kawiarni dwie przecznice stamtąd. Wzięłam coś zimnego do picia. Wiedziałam, że będą tam siedzieć przez co najmniej dwie godziny, miałam więc trochę czasu. Usiadłam przy stoliku pod markizą, przejrzałam gazetę. Po godzinie poszłam spacerkiem pod starą kamienicę, zamierzając zainstalować się przy pobliskim skrzyżowaniu, z którego miałam doskonały widok na drzwi budynku. Usiadłam pod drzewem i wyciągnęłam książkę.

Zorientowałam się, że ktoś idzie prosto ku mnie, lawirując między autami, czekając, aż przejadą, by przejść. Nie podnosiłam wzroku znad książki. Serce mi biło, bo myślałam, że

to będzie Tomak, jednak gdy podniosłam głowę, zobaczyłam, że to starszy mężczyzna ubrany w koszulę i szorty, choć jego zachowanie w żadnym razie nie wyglądało na swobodne. Uniósł dłoń, wskazał mnie palcem.

- Czeka pani na moją córkę? - zapytał. Mówił prosto z mostu, ale nie wydawał się groźny.

Pokręciłam głową, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Nie... na kolegę.

- Tego magika, iluzjonistę. Widziałem już wcześniej, że się pani przy nim kręci. Siedzi go pani.

Pomyślałam, że to nie jego sprawa, więc po prostu pokręciłam głową. Stał blisko przy mnie. Wziął mnie delikatnie pod rękę.

- Nie wiem, jak się pani nazywa - powiedział - ale mamy pewien wspólny interes. Musimy pogadać. Pójdziemy gdzieś, gdzie nie trzeba będzie przekrzykiwać samochodów?

Koło skrzyżowania był park. Pozwoliłam się poprowadzić nieznanemu, całkiem szarmancko, przez kutą żelazną bramę na wystrzyżony trawnik, za którym były rabaty z kwiatami. Weszliśmy w cień drzew rosnących na łagodnym wzgórku. Płynął między nimi mały strumyk wypływający potem z parku. Dopilnowałam, by z miejsca, gdzie się zatrzymujemy, cały czas mieć widok na drzwi kamienicy. Odeszliśmy spory kawałek, ale wciąż je widziałam.

- Powinna pani wiedzieć, kim jestem - powiedział. - Nazywam się Gerred Huun. Ta młoda kobieta, która jest teraz w tej kamienicy, to moja córka, jedynaczka. Nazywa się Ruddebet.

Zgodnie z prachoickim zwyczajem wyciągnął z kieszeni plastikowy dowód tożsamości i pokazał mi go. Zrewanżowałam się swoim.

- Mellanya Ross - powiedziałam.

- Niepokoi mnie wpływ, jaki pani przyjaciel może mieć na moją córkę. Musi mi pani pomóc.

- Ja o pana córce zupełnie nic nie wiem - odparłam, wyrzucając z pamięci godziny spędzone na obsesyjnym zastanawianiu się, co też ją łączy z Tomakiem.

- Widziała ją pani ze swoim przyjacielem. Wie pani, że to jeszcze dziecko. Ma osiemnaście lat i za parę miesięcy pójdzie na studia. Jest inteligentna, zdolna, przyjęli ją na dość wymagający kierunek, ale będzie też mogła rozwijać swoje sportowe zainteresowania. Sam kiedyś byłem sportowcem, podobnie moja żona, która niestety trzy lata temu zmarła. Teraz moja rodzina to tylko Ruddebet i nikomu nie pozwolę sprowadzić jej na manowce. A ten próżniak- magik jest sporo od niej starszy i zupełnie nie wiem, co on kombinuje.

- Chyba nie mogę panu pomóc - powiedziałam, choć budziło się we mnie współczucie i zrozumienie. Rzeczywiście. Wspólny interes.

- Mogłaby mi pani na przykład powiedzieć wszystko, co pani o nim wie. Sprowadził się do miasta dopiero niedawno i trzymał się raczej z daleka od ludzi.

- Sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Ja myślałam, że to mój przyjaciel, ale myliłam się. Wzięłam go za kogoś innego, kogoś, kogo znałam w przeszłości. To okropna pomyłka. On nie jest tym człowiekiem. Nawet nie wiem, jak się nazywa.

- To akurat mogę pani powiedzieć. Nazywa się „cudotwórcą”, a na imię ma Tom albo Thom. - Wymówił to jakby przez „f”, potem się poprawił.

- To nie jest czasem zdrobnienie od „Tomak”?

- W życiu nie słyszałem o takim imieniu. Tom albo Thom. A nazwiska nigdzie nie podaje. I prawie nikt nic o nim nie wie. Kim on w ogóle jest? Skąd się u nas wziął?

- Na te pytania nie umiem odpowiedzieć.

- To wszystko przeze mnie - powiedział Gerred Huun. - To ja zasugerowałem Ruddebet, że mogłaby ubiegać się o tę pracę.

- Pracę? Jaką pracę? - zdziwiłam się.

- Jako jego asystentka sceniczna, kiedy pokazuje te sztuczki. Studia zaczyna dopiero za parę tygodni, więc pomyślałem, że to może być ciekawe, a trochę też zarobi. Nie miałem pojęcia, że zacznie się z nim zbliżać emocjonalnie.

- A tak jest? - zapytałam sama zdziwiona, jak szybko mi to

przyszło do głowy. Przypomniałam sobie jednak, jak się zachowywali, gdy obserwowałam ich razem. Byli dla siebie mili, ale to była przyjaźń, nie miłość. I to właśnie mnie dziwiło, bo potem szli w miejsce, gdzie ewidentnie byli sami, co sugerowało, że odbywa się tam coś bardziej cielesnego. Natomiast to, jak się odnosili do siebie na ulicy, zupełnie na to nie wskazywało. – Pan wie, na czym ta praca polega?

– Raz mi pokazał swoje rekwizyty. Ma je w tej kamienicy naprzeciwko.

– Czyli oni tam mają salę prób?

– Tak właśnie to nazywa Ruddebet.

– Robią tam próby? Ćwiczą? To dlaczego pan myśli, że zostali kochankami? Bo tego się pan boi, prawda?

– Ona się teraz inaczej zachowuje. Zrobiła się skryta, złości się, gdy zadaję jej zbyt wiele pytań. Czuję, że ją tracę. Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć. Zawsze byliśmy tak blisko, a teraz o tę bliskość jest coraz trudniej.

– Ona ma osiemnaście lat, tak? No to jest dorosła i może robić, co chce.

– Tak, ale nadal jest moją córką i nadal ze mną mieszka.

Siedziałam w milczeniu przez dłuższą chwilę, myśląc o tym, jak i ja opacznie to wszystko zrozumiałam. Mając jeden cel – odnalezienie Tomaka – poczyniłam aż za dużo założeń. Nie przyszło mi do głowy, że oni mogą razem pracować. Gerreda Huuna polubiłam, wydał mi się porządnym człowiekiem, trochę może zbyt opiekuńczym wobec córki, a może po prostu przejmował się nią bardziej niż potrzeba. Krótka rozmowa z nim wystarczyła, bym inaczej spojrzała na tę młodą kobietę – ba, zaczęłam sobie wyobrażać, jak się czuje Ruddebet. Długo rozmawialiśmy, siedząc na trawie. Stopniowo, w miarę szczerzej rozmowy, czuliśmy się coraz swobodniej we własnym towarzystwie. Próbowałam wyjaśnić mu, z kobiecego punktu widzenia, co jego córka może widzieć w tym nieco starszym od siebie mężczyźnie. Mówiąc to, zdałam sobie sprawę, że już nie myślę o nim per „Tomak”, że mimo woli pogodziłam się z

faktem, że jest kimś innym, tym Tomem czy Thomem Cudotwórcą. Rozum wreszcie zaczął rozwiązywać dylemat serca. Zauważyłam, że gdy Ruddebet zacznie studiować, ich związek, jakkolwiek by on jest, na pewno dobiegnie naturalnego końca, a na razie nie dzieje się przecież nic złego.

- Niech pani zrozumie: teraz trudno jest nam z córką otwarcie porozmawiać.

- Bo ona dorasta - odparła. - Trudno jest się pogodzić z tym, że córka staje się dorosłą kobietą. Każdy ojciec tak ma. To się po prostu zmienia i tyle.

- Mówił, że spowoduje, że ona zniknie.

- I o to się pan boi? Przecież chyba z nią nie ucieknie.

- Raczej nie. Ale... nie wiem dlaczego, jakoś boję się, że ją stracę.

- Ale przecież on jest iluzjonistą, prawda? Nic z tego, co robi, nie jest naprawdę. Na tym to polega.

- W sumie tak.

Cały czas nie spuszczałam z oka drzwi, które były daleko poza skrajem parku, ale pozostawały zamknięte. Patrzyłam na nie ukradkiem, choć siedząc tu z Gerredem Huunem, zaczynałam nabierać przekonania, że to bardziej z przyzwyczajenia niż z konieczności. Broniałam Ruddebet, wyjaśniałam jej relację z magikiem, sama prawie godząc się z tym, czego wcześniej zupełnie nie rozumiałam. Aż do teraz. Zbyt długo byłam sama, moje poszukiwania Tomaka były zbyt jednostronne. Nigdy wcześniej nikomu się nie zwierzałam, a teraz, gdy nadarzyła się okazja, stwierdzałam, że role się nieoczekiwanie odwróciły i to ojciec Ruddebet zwierza mi się z własnych obaw. Wzmacniało mnie to i pozwalało nabrać dystansu wobec własnych emocji.

- Może rzeczywiście tylko ćwiczą występ, tak jak panu powiedzieli. Mówił pan, że nawet pokazywał panu rekwizyty.

- No tak. Ale widziała pani, jak oni się razem zachowują. Ewidentnie jest w niej zakochany.

- A ona w nim. To nie zmienia faktu, że razem pracują. A płaci jej tyle, co obiecał na początku?

- Podobno płaci.

- To chyba normalne, że iluzjoniści ćwiczą w tajemnicy?

Później rozstaliśmy się, nagle czując się niezręcznie w swoim towarzystwie, jakbyśmy zupełnie nie po prachoicku się przed sobą otworzyli. Oboje wyjawiliśmy parę wewnętrznych lęków, Gerred Huun trochę więcej niż ja, jednak spotkanie otworzyło oczy nam obojgu. Ja inaczej patrzyłam teraz na Tomaka, czy Thoma, bardziej rozumiałam Ruddebet, uświadomiłam sobie nawet, że moje poczynania były rażące i niczym nieuzasadnione. Zawstydziałam się. Gerredowi nic takiego nie powiedziałam, może jednak zauważył zmianę w moim zachowaniu, przez ten krótki czas, gdy siedzieliśmy na zacienionym wzgórku naprzeciwko zamkniętych przed nami drzwi.

Dla mnie to było zamknięcie rozdziału, uwolnienie od przymusu, od kompulsywnych zachowań. Wróciłam do auta, pojechałam prosto do domu.

Wieczorem zadzwoniłam do aeroklubu, na którego lotnisku trzymano mój samolot. Spróbowałam się dowiedzieć, co będę musiała zrobić, żeby go odzyskać, i ile czasu upłynie, zanim znów poleci.

Parę dni później Gerred Huun przysłał mi bilet na występ w *Il-Palazz*. Thom Cudotwórca dogadał się z teatrem.

Obwieszczono, że następny weekend zapoczątkuje ciąg pokazów iluzjonistycznych.

Moje uczucia tak się odmieniły, że gdy otworzyłam kopertę i zobaczyłam, co jest w środku, zastanawiałam się przez chwilę, czy powinnam w ogóle iść na ten występ. Gerred dołączył ulotkę reklamową opisującą w dość ogólnikowych, choć pełnych zachwytów słowach cuda, które odbędą się na scenie teatru.

Napisał do mnie także liścik: „Ja będę na każdym przedstawieniu, przez cały tydzień, pomyślałem jednak, że Pani wolałaby pójść na sam finał”.

Większość tygodnia, w którym odbywały się występy Thoma, miałam poświęcić na ustalenie stanu technicznego mojego opieczętowanego samolotu – chciałam się w szczególności dowiedzieć, czy jest zdatny do lotu. Podczas lotu tutaj sprawował się nienagannie, ale stał nieużywany przez prawie rok. Będzie wymagał dość dokładnego przeglądu. I wciąż miał na sobie urzędowe pieczęcie, co oznaczało, że nie wolno mi nawet wchodzić do hangaru, w którym go trzymają.

W czasie, gdy absorbowała mnie obsesja na punkcie mężczyzny, którego wzięłam za Tomaka, pojawił się jeszcze nowy problem, o którym nie wiedziałam. Jakiś biurokrata z Senioratu, w związku z moim rzekomym brakiem zainteresowania samolotem, zdecydował, że ponieważ maszyna wygląda na wojskową, tym samym jej posiadanie stanowi naruszenie neutralności wyspy i należy ją skonfiskować. Oznaczało to w praktyce, że maszyna dalej stoi w tym samym hangarze, ale przykrywa ją jeszcze jedna warstwa urzędowych



papierów. Musiałam udowodnić, że należy do mnie. A potem udać się na oficjalne przesłuchanie w sprawie neutralności, gdzie wyjaśnię, dlaczego wleciałam wojskowym samolotem w prachoicką przestrzeń powietrzną.

Ja zaś dysponowałam jedynie oryginalnym, pisemnym rozkazem wykonania lotu – po dłuższej dyskusji urzędnicy uznali, że to wystarcza, by ustalić, że samolot faktycznie należy do mnie. Wciąż jednak czekało mnie przesłuchanie w kwestii neutralności.

Powoli sprawy zaczęły zmieniać się na lepsze. Obsługa lotniska niespodziewanie przesłała mi list z innego departamentu Senioratu, potwierdzający, że samolot przeszedł przegląd i jest uznany za zdalny do lotu. Z początku uznałam to za dobrą wiadomość, potem wczytałam się uważniej i zauważyłam, że list został wysłany niedługo po moim przylocie na wyspę. Wiedziałam, że aby dostać zgodę na start, będzie trzeba pokazać bardziej aktualny certyfikat. W liście były za to dane kontaktowe do osoby mogącej zorganizować kolejne badanie techniczne, od razu więc wsiadłam do pociągu. Samolot był prawie nowy i jeśli nie liczyć krótkich przelotów próbnych w fabryce, odbył tylko jeden lot – mój długi lot na Prachous. Po lądowaniu dopilnowałam, by z maszyny spuszczone wszystkie oleje i płyny, należało je więc uzupełnić oraz sprawdzić silnik i powierzchnie sterowe.

Z góry zarządziłam sprawdzenie i serwisowanie silnika oraz zatankowanie głównego zbiornika i zbiorników dodatkowych stuoktanową benzyną lotniczą.

Niepokoilo mnie, że uznali samolot za wojskowy. Konstrukcję miał, owszem, myśliwca, faktycznie jednak był samolotem rozpoznawczym dalekiego zasięgu i nie był uzbrojony. W kadłubie miał za to bardzo kosztowny aparat fotograficzny – dla mnie kompletnie nieprzydatny, ale nie chciałam odpowiadać za niego, jeśli komuś tutaj przyjdzie do głowy go wymontować. Założyłam, że to właśnie ten aparat, z braku uzbrojenia, nasunął urzędnikom myśl, że to samolot wojskowy.

Wcześniej przez parę miesięcy pozwoliłam sobie nie interesować się maszyną i jej problemami, teraz wszystko się zmieniło. Nagle zapragnęłam jak najszybciej opuścić Prachous. Przekonałam sama siebie, że mężczyzna, którego widziałam z Ruddebet, nie jest Tomakiem. Nie miałam już czego szukać na wyspie. Pora wyjeżdżać. Zbyt długo pędziłam denerwująco spokojne i wygodne prachoickie życie. Nie miałam pojęcia, czy wojna, która rozdzieliła mnie z Tomakiem, jeszcze trwa, ale i tak chciałam wracać do domu.

Przygotowując się do ponownego przejęcia samolotu, zaczęłam szukać kogoś, kto mógłby wprowadzić się do mojego domu, a może także wziąłby samochód i zajął się ogrodem. Musiałam się pozbyć wszystkich rzeczy osobistych, których nie mogłam zabrać. Stopniowo przestałam się angażować w prachoickie życie.

Pozostawał jeszcze ten wieczór w teatrze, pokaz magii w wykonaniu człowieka niesamowicie podobnego do Tomaka. Z każdym dniem czułam coraz większe zaciekawienie. Słyszałam, że występ jest znakomity, że iluzjonista z niezwykłą zręcznością dokonuje niewiarygodnych rzeczy. Gdyby Gerred Huun nie wysłał mi tego biletu, zapewne odleciałabym z Prachous bez wizyty w teatrze, wyszło jednak inaczej. Pomyślałam, że to będzie ostatnia okazja, by spojrzeć na człowieka, który przez tyle czasu drwił ze mnie samym swoim istnieniem, przez którego znalazłam się na pograniczu obłądu. Zdecydowałam, że jednak polecę dopiero po występie.

Widownia teatru była pełna - w Beathurn rzadko zdarzało się oglądać na żywo iluzjonistę. Pomagałam w tym teatrze, polubiłam go z czasem, zachwycił mnie więc widok tłumów widzów we foyer, w barze, na schodach, na korytarzach. Wiedziałam, że dzięki wpływom z biletów zarząd mógł zdecydować o wymianie niektórych przestarzałych urządzeń scenicznych, że dyrektor wspominał coś o wakacyjnym remoncie widowni. Gdy zajmowałam miejsce, publiczność aż kipiała ekscytacją i nie mogła się doczekać podniesienia kurtyny. Orkiestra już się stroiła.

Podbiegł do mnie Gerred Huun i zajął miejsce obok. Przywitaliśmy się serdecznie.

- Cieszę się, Mellanya, że mogłaś tu przyjść - powiedział.

- Dziękuję za bilet.

- Myślę, że ci się spodoba. Ja widziałem to wszystko zdecydowanie za dużo razy, ale i tak miło mi się patrzy na to, co robią Ruddebet i ten magik. Nie mam pojęcia, jak on to robi. Co wieczór pokazuje coś trochę innego, ale za każdym razem jestem pod wrażeniem.

Orkiestra zagrała uwerturę, zaraz potem podniesiono kurtynę i scena wypełniła się tancerzami i śpiewakami. Siadłam sobie spokojnie i patrzyłam. Po numerze tanecznym na deski wszedł komik, który zapowiadał kolejne punkty programu. Żarty miał nieśmieszne, prymitywne i stanowczo za długie. W którymś momencie fałszywie odśpiewał piosenkę. Siedzący obok Gerred natomiast bawił się świetnie i zaśmiewał głośno z każdego żartu. Gdy na scenę weszła grupa piosenkarzy, nucił wraz z nimi melodie, a gdy akrobata żonglował talerzami i nożami, entuzjastycznie klaskał.

Publiczność wokół wydawała się zachwycona wszystkim podobnie jak on, sądząc po śmiechach i owacjach. Ja osunęłam się nisko w fotelu i czekałam na iluzjonistę.

Według programu wchodził na scenę dwa razy – raz z krótkim numerem w pierwszej części występu i potem na finał. Pozostałe numery pierwszej części ciągnęły się bez końca – choć hałaśliwe, pełne muzyki, śpiewów i fizycznych popisów, w zamierzeniu widowiskowe, zupełnie mnie nie wciągnęły i zaczęłam odpływać myślami, rozmyślać na tym, jak bardzo już chcę odlecieć z tej wyspy i wrócić do własnego życia.

Niepokoiliam się lotem, który chciałam odbyć jak najszybciej – czy samolot będzie nadal sprawny? Jak będę nawigować? Skąd wezmę dokładną prognozę pogody przed odlotem? I co z tymi zeznaniami przed sądem w sprawie o naruszenie neutralności? Nie podobało mi się to, wiedziałam, jak prachoickie władze potrafią się przejmować faktycznymi czy wymaginowanymi naruszeniami neutralności. A zakładając, że uda mi się jakoś wystartować, że nikt mi nie przeszkodzi, to jaką sytuację zastanę po powrocie? Będzie jeszcze trwała wojna? Napawało mnie to lękiem, byłam jednak przekonana, że nie mogę już dłużej pozostawać na Prachous. Gorzko żałowałam, że tyle czasu zmarnotrawiłam na poszukiwania Tomaka. Że misja, której się podjęłam, zmieniła mnie, odmieniła moje zachowanie. Czułam, że zdradziłam sama siebie, że zdradziłam pełną zaufania i miłości więź łączącą mnie z Tomakiem. Rozumiałam teraz, że do wyprawy pchnęło mnie wyparcie – usłyszawszy informację o rzezi oficerów, nie dopuściłam do siebie myśli, że Tomak najprawdopodobniej był wśród nich.

Czas z tym wszystkim skończyć.

Pogrążona w rozmyślaniach przegapiłam komika zapowiadającego Thoma Cudotwórcę. Dopiero chwilę po jego wejściu na scenę dotarło do mnie, że to jest on. Był grubo umalowany i miał na sobie obszerny kostium z jaskrawego, błyszczącego materiału. Głowę miał owiniętą bandaną częściowo zakrywającą mu bok twarzy.

Patrzyłam zafascynowana, jak zręcznie pokazuje parę sztuczek karcianych, a potem wciąga na scenę skrzynię na kółkach, z kotarami po bokach. Pod spodem skrzyni był prześwit – gdy Thom ją obchodził, było widać go za cienkimi nogami urządzenia. Odsunął kotarę z tyłu skrzyni, okręcił całość, żebyśmy mogli zajrzeć do środka, odsunął drugą kotarę, która była teraz z tyłu, ukazując całe wnętrze. Wskoczył do skrzyni, przeczołgał się na drugą stronę, wyszedł, stanął obok. Raz jeszcze zręcznym ruchem okręcił całe urządzenie, po drodze zasłaniając kotary. Skrzynia wciąż się kręciła, gdy kotary rozsunęły się od środka i ukazała się Rud-debet.

Wyskoczyła na scenę. Miała na sobie kostium obsyty cekinami, błyszczącymi i skrzącymi się w świetle reflektorów. Skłoniła się nisko i wybiegła za kulisy, zanim ucichły oklaski. Gerred obok mnie zerwał się na równe nogi i klaskał w dłonie wysoko nad głową.

Potem Thom pokazał parę akrobatycznych sztuczek z jazdą na unicyklu. Wróciła Ruddebet. Tym razem nosiła inny kostium – obszerną suknię z falbanami i szerokimi rękawami. Thom przyciągnął na środek sceny wielki wiklinowy kosz i pomógł dziewczynie wcisnąć się do niego. Suknia utrudniała to, wydymając się wokół niej, wypełniając niemal całą przestrzeń, w końcu jednak udało się ją upchnąć do środka i Thom nakrył kosz pokrywą. Po czym przebił go kilkoma długimi i na oko ostrymi jak brzytwa szablami, wsuwając je w małe szczeliny z przodu i z tyłu, na bokach, wreszcie na koniec wziął wielki miecz dwuręczny i wbił go od góry przez pokrywę. Obrócił kosz dookoła, by wszyscy widzieli, że ostrza przeszywają go we wszystkich kierunkach. Zręcznie powyciągał szable, odrzucając je na bok z głośnym brzękiem. Nie mieliśmy wątpliwości, że są z solidnej stali. Gdy wyciągnął ostatnią, Ruddebet uniosła pokrywę od środka i zwinnie wyskoczyła na deski. Nie dość, że była cała i zdrowa, to jeszcze ubrana w całkiem inną suknię.

Gerred za każdym razem, gdy się kłaniała, oklaskiwał ją na stojąco. Tym razem wraz z nim wstała spora część widowni.

Opadła kurtyna, obwieszczając przerwę.

Opuściłam salę, gdy tylko się dało. Przystarzała klimatyzacja nie radziła sobie z obecnością takiego tłumu w ciepły wieczór, więc z ulgą wyszłam na mały balkonik z tyłu teatru. Wychodził na parking, ale widać było z niego także skrawek morza. Na ciemnej wodzie migotały światełka. Na schodzących do portu ulicach widać było tłumy spacerowiczów, którzy wyszli na wieczorną „promenadę”, nieśpieszną przechadzkę po szerokich, jasno oświetlonych bulwarach, pełnych restauracji i nocnych klubów. Był kolejny upalny wieczór, ale dzięki morskiej bryzie na dworze było przyjemniej niż w środku.

W trakcie przerwy starałam się unikać Gerreda, on jednak poszedł za mną. Przecisnął się wśród ludzi na balkonie i przyniósł mi szklankę zimnego piwa. Mimo wszystko byłam mu za to wdzięczna – osuszyła ją dwoma potężnymi haustami. Staaliśmy obok siebie, patrząc na ciasno poparkowane samochody w dole. Gerred próbował mi opowiadać o różnych wariacjach, które Thom i Ruddebet wprowadzali przez ostatni tydzień do numeru z koszem – inne suknie, płonące pochodnie zamiast mieczy i tak dalej, a także o tym, jak był na początku przerażony, widząc grożące córce niebezpieczeństwo, a potem dumny, widząc profesjonalizm iluzjonisty.

Starałam się go nie słuchać, bo rozmyślałam, tęsknie niemal, nad tym, że to miejsce niedługo będzie dla mnie należało do przeszłości, będzie zamkniętym, skończonym okresem – przejściem między jednym życiem a kolejnym.

Chciałam już to zakończyć – nie mogłam się doczekać wylotu. Rozglądałam się po nocnym mieście, tak dobrze mi teraz znanym, wdychałam powietrze ciężkie od zapachu nocnych kwiatów. Pomyślałam, że któregoś dnia jeszcze za nim zatęsknię. Słuchałam nieustającego szumu aut, muzyki dobiegającej z otwartych gdzieś niedaleko drzwi, a ponad tym wszystkim ciągłego terkotu owadów.

W teatrze rozległ się gong zapraszający publiczność do zajęcia miejsc. Gerred postawił swoją szklankę na balustradzie balkonu.

Wypił niecałą połowę.

- Pięknie wygląda na scenie, prawda? - powiedział, gdy odwróciliśmy się, by wracać, i ruszyliśmy powoli w tłumie innych ludzi.

- Piękna dziewczyna - odparłam.

- Dziwnie się czuję z myślą, że ona gdzieś w tym budynku jest. Nie widzę jej, nie mogę z nią porozmawiać - jest gwiazdą. A z rana siedzieliśmy obok siebie przy śniadaniu w kuchni.

- Mówiła coś o przedstawieniu?

- Nie za wiele. Ale lepiej to znoszę, odkąd z tobą porozmawiałem. Przestałem ją wypytywać, ona dalej niewiele mówi, ale nasze stosunki są o wiele lepsze niż przedtem. Prawie jak dawniej. Jestem ci bardzo wdzięczny.

- Ja tobie też - odrzekłam. - Za coś zupełnie innego.

Nigdy nie dowie się, za co. Zeszliśmy w ciżbie ludzi do ciepłego wnętrza teatru, zajęliśmy z powrotem miejsca. Siedzieliśmy w jednym z pierwszych rzędów. Wachlowałam się programem. Gerred siedział blisko mnie, opierał się o mnie ramieniem, miękkim i ciepłym. Próbowaliśmy się dyskretnie odsunąć, fotele były jednak wąskie i sama też napierałam łokciem na widza po mojej drugiej stronie.

Drugi akt zaczął się od głośnych werbli i blaszanych fanfar. Wrócili tancerze, potem komik. Mnie jednak interesował tylko iluzjonista i zaczęłam się niecierpliwić. Widzowie wachlowali się, w teatrze było duszno. Zapowiedziano monolog, potem duet fortepianowy. Wyszedł duet wokalny śpiewający w harmonii. Występował przed opuszczoną kurtyną. Widać było, że coś się za nią porusza - przygotowywany był już kolejny numer.

Wrócił komik i na szczęście bez kolejnych żartów zapowiedział drugie wejście artysty, dla którego wszyscy tu przybyliśmy: przed państwem Thom Cudotwórca!

Gdy unosiła się kurtyna, coś głośno huknęło, błysnęło i nad sceną uniosła się chmura pomarańczowego dymu. Z tego dymu wyłonił się Thom, tajemniczo machając rękami - i z miejsca zaczął pokazywać jedna po drugiej sztuczki, wyczarowując

znikąd ogień, chustki, świece, kule bilardowe czy bukiety sztucznych kwiatów. Po jednym numerze publiczność ryknęła śmiechem – wyciągnął z ust zapalonego papierosa, nad głowę buchnął mu dym. Pracował szybko i zręcznie, cały swój stolik wypełnił kolorowymi wyczarowanymi rekwizytami. Występował w milczeniu, od czasu do czasu niezobowiązująco zerkając na widownię. Na zakończenie każdej sztuczki zawsze uśmiechał się, jakby chciał pokazać widzom, że cieszy się z tego, co robi. A my entuzjastycznie klaskaliśmy.

Był ubrany tak jak wcześniej – w olśniewająco jaskrawy, wielobarwny strój obszyty skrzącymi się cekinami. Twarz, choć grubo wymalowaną kolorową farbą, widziałam doskonale. Tak był podobny do Tomaka! Staralam się o tym nie myśleć.

Nie kazano nam długo czekać na kulminację pokazu. Przyszło dwóch pomocników, wynieśli za kulisy stolik z rekwizytami, a potem na znak Thoma uniesiono półkurtynę w głębi sceny, która odsłoniła znany nam z pierwszej części wiklinowy kosz.

Obsługa wciągnęła ciężki kosz na sam środek sceny, dokładnie we wskazane przez Thoma miejsce. Opuścili scenę.

Thom, teraz sam, przechadzał się tam i z powrotem – oświetlony od dołu kolorowymi reflektorami, dzięki magicznej grze świateł i cieni wydawał się tajemniczy, a nawet momentami groźny. Przemówił do publiczności, opowiadając, co teraz robi – nie zdradził żadnych szczegółów, za to podkreślił całe lata, które musiał poświęcić medytacji i koncentracji, by przygotować się do tego, co za chwilę zobaczymy, związane z tą sztuką niebezpieczeństwa oraz jej niepowtarzalność. Poprosił też widownię o zachowanie absolutnej ciszy, niezbędnej ze względu na wymaganą precyzję ruchów i zachowanie równowagi.

W fosie orkiestry perkusista zabębnił w werbel. Czulo się rosnące wśród publiczności napięcie, oczekiwanie, ciekawość, co się stanie.

Thom sięgnął do kosza przez otwór na górze i wyciągnął linę, wyglądającą na bardzo mocną. Ewidentnie była ciężka, jednak owijając ją wokół przedramienia, pokazał, że jest to po prostu



zwykła lina. Wyciągnął spory odcinek liny z kosza i trzymał ją w obu dłoniach, po czym zamaszystym gestem rąk cisnął energicznie do góry.

Szybko odskoczył, chroniąc głowę i kark przed opadającą z góry ciężką liną.

Zbierając ją, rzucił samokrytyczną uwagę, jak to sztuki czasami nie udają się za pierwszym razem. Widownia parsknęła nerwowym śmiechem, niemal z ulgą, Thom zaś uniósł ostrzegawczo dłonie, przypominając nam o konieczności zachowania ciszy i skupienia.

Drugi raz spróbował rzucić linę do góry i tym razem też spadła.

Przy trzeciej próbie na moment jakby zeszywniała w pozycji pionowej, chwilę się kołysała, ale i tak opadła na deski.

Na znak Thoma werbel zagrał głośniej i szybciej, potem znów przycichł. Wykonał czwartą próbę i tym razem lina, magicznym sposobem, pozostała w pozycji pionowej. Kołysała się lekko, ale stabilnie, oświetlona z góry scenicznymi światłami.

Thom obiegił zręcznie scenę, pokazując tajemniczo zeszywniałą linę, kłaniając się widowni i rozptywając w uśmiechach, gdy oklaskiwaliśmy ten niesamowity widok.

Kiedy owacja ucichła, Thom wrócił do koszyka i raz jeszcze sięgnął do niego przez otwór. Ze środka wyłoniła się Ruddebet, powoli rozprostowując smukłe ciało. Pomógł jej wyjść na deski. Trzymając się za ręce, wstąpili w krąg światła i jeszcze raz się ukłonili.

Werbel znów nabrał dramatycznego tempa.

Po raz pierwszy mogłam tak dokładnie i z bliska przyrzeć się Ruddebet i zdumiałam się nagłą falą silnych emocji, która zalała mnie na jej widok. Wbrew sobie zobaczyłam w niej młodą rywalkę, która odbiła mi ukochanego. Kłóciło się to ze wszystkim, co sobie przez ostatnie dni przemyślałam, ale nie byłam w stanie nic na to poradzić. Wydała mi się ucieleśnieniem wszystkiego, czym nie byłam ja. Była zgrabna, zwinna, piękna, pełna młodości, życia, uśmiechnięta i zachwycona blaskiem reflektorów i orkiestrowym crescendo. Werblowi towarzyszyła

teraz głęboka nuta kontrabas, jak bicie serca. Ruddebet obiegała zwinnie scenę, z jedną ręką cały czas wyciągniętą w kierunku Thoma i radosnym uśmiechem na twarzy. Przepelniała mnie zazdrość, ale i podziw – pragnęłam ją poznać, może z czasem polubić, przekonać się, czy coś nas łączy. Nie mogłam oderwać od niej wzroku.

Numer wszedł w kolejną fazę. Thom pochylił się i obiema rękami chwycił stojącą sztywno linę, jedną ręką nisko, przy samym koszu, drugą trochę wyżej. Wygiął ją, sprawdzając, jak mocno się trzyma. Czubek liny zakreślał mały krąg.

Ruddebet posypała sobie dłonie jakimś białym proszkiem, klasnęła w nie, zdmuchnęła nadmiar, który wpłynął białą chmurką w snop światła z reflektora.

Pewnymi, silnymi ruchami przeszła przez deski, pochyliła się, by wejść Thomowi pomiędzy trzymające linę dłonie, chwyciła ją sama, dużo wyżej. Zręcznie podciągnęła się na rękach, uniosła.

Po paru sekundach była już w połowie liny, nad głową Thoma. Trzymała się jej oburącz, jedną nogą oplótła linę, drugą robiła zamach, by wspiąć się wyżej.

Thom puścił linę i odsunął się od niej. Teraz Ruddebet nic nie podtrzymywało. Wiedziałam, że Gerred obok siedzi jak na szpilkach, zacisnąwszy zbielełe palce. Położyłam dłoń na jego dłoniach, poczułam, że obie są śliskie od potu, że i moja, i jego skóra jest nieprzyjemnie gorąca.

Ruddebet, pozostając w takiej pozycji, powoli wspinała się jeszcze wyżej, obracając się wokół liny, choć twarz miała cały czas odwróconą do widowni, by olśniewać ją swym białym uśmiechem.

Thom stał niemal dokładnie pod nią, przy samym koszu, z uniesionymi rękoma i rozpostartymi palcami, jakby wywierał na nią jakiś magiczny wpływ. Oczywiście było jednak, że młoda kobieta jest wysportowana, gibka, silna i nie potrzebuje żadnych czarów, by się wspinać po linie.

Muzyka robiła się coraz głośniejsza – teraz rozległ się także ostry, przeciągły dźwięk z syntezatora. Światła sceny nagle

zmieniły kolor – choć Ruddebet wciąż oświetlał jaskrawy, biały reflektor, reszta pogrążyła się w głębokiej zieleni.

Thom odstąpił o krok, odwrócił się twarzą do publiczności. Przez moment stał tyłem do Ruddebet. I właśnie wtedy wydarzyła się katastrofa – coś stało się z linią. Zatraciła swoją stabilność, zmiękła, opadła, zwijając się w kłęb. Ruddebet spadła na deski sceny, uderzając w nie głową lub barkiem. Wydała potworny, odruchowy krzyk, głośniejszy od muzyki, i znieruchomiła.

Muzyka zamilkła. Ucichł werbel.

Czuło się rozchodzącą się po widowni falę szoku – najpierw wszyscy gwałtownie sapnęli, potem jęknęli i zaczęli wykrzykiwać coś niezrozumiałego. Wstałam, podobnie jak większość ludzi, i pośpiesznie przecisnęłam się obok paru widzów dzielących mnie od przejścia.

Widziałam, jak Thom podbiega do nieruchomego ciała Ruddebet, nachyla się nad nią, wyciąga ręce.

Wrzasnęłam:

- Nie ruszaj jej! Zostaw!

Thom chyba mnie nie słyszał, krzyknęłam więc jeszcze raz:

- Ja wiem, co robić! Nie dotykaj jej!

Ku scenie biegli już inni widzowie, ja jednak poczułam w sobie niemal stalową determinację. Odepchnęłam ich łokciami, wbiegłam z boku do fosy orkiestry, skąd na scenę prowadziły krótkie schodki. Dwaj mężczyźni wbiegli na środek zza kulis. Krzyknęłam, aby oni też jej nie ruszali. Wygramoliłam się na scenę, potknąwszy się na ostatnim stopniu, i chwiejnym krokiem dotarłam do leżącej nieruchomo Ruddebet.

Thom trzymał ją za rękę.

- Cofnąć się! – krzyknęłam. – Ja ją zbadam! Jestem pielęgniarką.

Wepchnęłam się przed niego, próbując go od niej oddzielić. Pochyliłam się nad ciałem Ruddebet. Nadal oddychała. Zawołałam ją po imieniu, zamrugła i z powrotem mocno zacisnęła powieki. Ludzie już tłoczyli się wokół. Znow

krzyknęłam, żeby zrobili miejsce. Głowa Ruddebet była odrobinę przechylona, nie wyglądało to jednak na skręcenie karku. Nie widać było krwi ani widocznych obrażeń.

- Niech ktoś dzwoni po pogotowie! - powiedziałam do zebranych wokół gapiów.

- Dzwoniłem - odpowiedział ktoś. - Już jadą.

Nagle odezwał się ktoś inny:

- Jestem lekarzem! Proszę mnie przepuścić!

Uniosłam głowę - wysoka, mocno zbudowana kobieta z wydatną szczęką i wysokim czołem. Ubrana była w jednolicie białą suknię.

- Proszę się odsunąć! - powiedziała do mnie.

- Jestem pielęgniarzką - odparłam.

- Świetnie. Zbadam ją.

Uklękała kolo mnie i delikatnie przesunęła dłońmi po głowie, karku i ramionach Ruddebet. Potem ostrożnie sprawdziła ręce i nogi. Ruddebet jęknęła z bólu, z otwartych ust pociekła ślina.

- Wszyscy, proszę zejść ze sceny! - poleciła lekarka. Dalej badała ją zręcznymi, ostrożnymi ruchami. - Wydaje mi się, że ma złamane biodro, na szczęście nie widzę objawów wstrząsu mózgu - odezwała się cicho do mnie. - Ma wywichnięty bark, możliwe złamanie ręki. Możliwe uszkodzenie żeber. Krwotoku wewnętrznego chyba nie ma. Pani się ze mną zgadza?

- Tak. - Kiwnęłam głową, choć moje badanie było o wiele bardziej pobieżne.

- Przynieście koc - powiedziała do jednego z maszynistów. - Niech nikt jej nie rusza. Macie gdzieś w teatrze morfinę? - zapytała mnie.

- Jest, w apteczce. Mam do niej klucz.

Wstałam, zwróciłam się w stronę kulisy. Gerred przycisnął się przez tłum ludzi i szedł ku Ruddebet.

- Proszę nie podchodzić! - krzyknęła lekarka. - Stać!

- To moja córka - powiedział Gerred.

- To prawda - dodałam. - Znam ich.

- To proszę - powiedziała do niego. - Pańska córka jest

poważnie ranna, ale jej życiu chyba nic nie grozi.

Ja już pędziłam szukać apteczki. Klucz do niej miałam na kółku z innymi kluczami, automatycznie chwyciłam go w dłoń, pobiegłam za ciemną kulisę, znalazłam szafeczkę i wyjęłam zapieczętowane opakowanie z morfiną.

Kiedy przybiegłam z powrotem, Thom stał z boku sceny. Zrzucił z siebie większość scenicznego kostiumu, jednak na twarzy wciąż miał jaskrawy makijaż. Spojrzał na mnie desperacko, ja zaś minęłam go bez słowa.

Zrobiłam Ruddebet zastrzyk morfiny. Krzyknęła z bólu. Poczułam się okropnie, choć po chwili zaczęła spokojnie oddychać. Zaraz pojawili się sanitariusze. Cofnęłam się, żeby im nie przeszkadzać. Pod uważnym wzrokiem lekarki umieścili Ruddebet na noszach i wywieźli. Gerred pobiegł z nimi, dłonią cały czas dotykając noszy. Nie obejrzał się na mnie. Ruddebet spała.

Lekarka poprosiła, żebym zaczekała na scenie, sama zaś poszła zadzwonić na pogotowie, żeby poinformować ich o swojej diagnozie. Thom zniknął. Personel teatru wyprowadził wszystkich, sala była pusta. Zgaszono wszystkie reflektory i włączono oświetlenie widowni pod wysokim sufitem. Gdzieś nade mną, czy z tyłu, wyły wentylatory. Stałam sama na słabo oświetlonej scenie, patrzyłam na wiklinowy kosz Thoma i linę. Wbrew sobie czułam się odpowiedzialna za to, co się stało, jakby to moja obsesja na punkcie Tomaka i Ruddebet jakimś sposobem doprowadziła do wypadku. Wiedziałam oczywiście, że Ruddebet zatrudniła się u Tomaka, zanim w ogóle dowiedziałam się o jej istnieniu, że ten występ, ta sztuka, ten wypadek, wydarzyłyby się niezależnie ode mnie. I tak jednak czułam się współsprawczynią.

Lekarka wróciła, widziałam, że jej twarz lśni od potu. Prostą, białą suknię miała przepoconą, lepiała się jej do ciała pod pachami i na piersi. Podchodząc, rzuciła mi pytające spojrzenie, wyraźnie chciała się dowiedzieć, jak się czuję.

- Nic pani nie jest?

- Nic. To dobrze, że nic groźnego się jej nie stało. Kiedy to ktoś znajomy, zawsze się o wiele bardziej przeżywa.

- Bardzo szybko pani zareagowała.

- Kiedy trzeba, szkolenie się przypomina. Ale całe szczęście, że i pani tu była.

- Siedziałam z tyłu, więc trochę mi zajęło.

- Myśli pani, że wyjdzie z tego?

- Bardzo ją boli. Biodro będzie się długo zrastało, ale wygląda na to, że jakichś trwałych skutków nie będzie. Po prostu źle wylądowała i tyle.

- Mówił ktoś pani, że ona studiuje wychowanie fizyczne?

Zrobiła zbolaną minę.

- Nie. To faktycznie może mieć problem. Ale... młoda jest, bardzo silna. Jeśli ją dobrze wyleczą, potem zrehabilitują, to powinna odzyskać pełną sprawność.

Wzięła mnie za rękę, próbując pocieszyć. Stałyśmy razem, świadkowie nagłego wypadku. Wciąż byłam podenerwowana, nie przez sam wypadek, lecz dlatego, że wciąż czułam się za niego irracjonalnie odpowiedzialna. Obecność pani doktor uspokajała mnie, ale i onieśmiała - była potężną kobietą i mimo łagodnego tonu głosu rzadko się uśmiechała. Wypuściłam gwałtownie powietrze i wbrew sobie nie powstrzymałam się od szlochu.

Ona zaś dodała:

- Na wszelki wypadek wymieńmy się adresami i telefonami. Ktoś może zacząć dochodzić sprawiedliwości, za to, co dziewczynie się stało. Może się okazać, że jesteśmy zamieszane.

- Ale to był oczywisty wypadek. Ktoś będzie chciał się mścić?

- Mówiła pani, że ten człowiek, który precyzyjnie się do niej, to był jej ojciec. Może on będzie chciał.

- Nie, Gerred, nie! On nie jest taki.

- Nikt nie jest taki, póki się nie dowie, jak działa prawo. A przepisy o wypadkach przy pracy są bardzo skomplikowane. Ojciec może nawet nie chcieć zemsty, może nawet jej nie szukać, ale są firmy, które może do tego upoważnić. I one rozpoczną procedurę, a inne osoby mogą przyłączyć się później.

- Nie chcę mieć z tym nic wspólnego - powiedziałam.

- Ja też. Ale jeśli ktoś rozpocznie postępowanie, to nie będzie wyjścia. Jak się pani nazywa i gdzie pani mieszka?

- Mellanya Ross. Mieszkam tutaj, w mieście, ale za parę dni planuję wyjechać.

- Mallin. Firentsa Mallin. Mieszkam na wsi pod Beathurn.

- Pani doktor Mallin?

- Nie przedstawiam się jako doktor. Po przeprowadzce na Prachous przestałam praktykować medycynę i stałam się

wyznawczynią. Zresztą nie jestem stąd i musiałabym zdać tutejsze egzaminy, żeby móc wykonywać zawód. Pracuję teraz jako misjonarka. - Zerknęła na pozostałości po iluzji Thoma. - Gdyby się dowiedzieli, pewnie i za to, co tu zrobiłam, mogłabym mieć problemy. A pani? Mam wrażenie, że też nie jest pani stąd.

- Prawda.

Patrzyła na mnie głęboko osadzonymi oczyma, cały czas ściskając moją rękę.

Powiedziała:

- Jeśli się jeszcze kiedyś spotkamy, proszę do mnie mówić tylko po imieniu. Jestem Firentsa. Mam nadzieję, że z tego wypadku nic więcej nie wyniknie, ale na tej wyspie nigdy nic nie wiadomo.

Chciałam wyjaśnić, że planuję jak najszybciej wyjechać z Prachous na zawsze, ale się zawahałam. Nie wiedziałam, jak może wyglądać taki akt zemsty. Zaatakują Thoma Cudotwórcę? Może jednak stwierdzą, że jestem w to zamieszana? Co mogą nam zarzucić, mnie albo tej kobiecie? Że byliśmy świadkami wypadku czy że jesteśmy współodpowiedzialne, bo udzieliłyśmy Ruddebet pierwszej pomocy?

Zastanawiałam się, co powiedzieć, tymczasem Firentsa Mallin niespodziewanie odwróciła się do mnie i objęłyśmy się. Czułam, jak jej silne ramiona otaczają mnie opiekuńczo. Na chwilę dotknęłyśmy się policzkami. Poczułam, że szczeka drga jej z nerwów. Odstąpiłyśmy od siebie, przez moment widziałam łzy w jej oczach. Odwróciła się, nie mówiąc nic więcej, zeszła schodkami ze sceny i wyszła z widowni przez zasłonięte kotarą drzwi. Zostałam sama.

Lina - rekwizyt, który spowodował wypadek, wciąż leżała poskręcana i pozwijana na deskach sceny. Przechodziła mi między nogami. Ukryty koniec cały czas tkwił w wiklinowym koszu. Thoma nie było ani śladu. Cichy szum nieskutecznych wiatraków obracających się nad moją głową nagle ustał.



Po raz ostatni zamknęłam dom i pojechałam na lotnisko aeroklubu. Jazda trwała prawie cztery godziny, co oznaczało, że nawet jeśli nie napotkam absolutnie żadnych problemów natury urzędowej, i tak będzie już za późno na start. Do lotu potrzebowałam jak najdłuższego dnia.

Lotnisko, na którym wylądowałam po przybyciu, znajdowało się w pagórkowatym, łąkowym terenie, niezalesionym, ale pełnym starych drzew, w południowo-wschodniej części wyspy. Wypatrzyłam je przypadkiem, lecąc nad Prachous w zapadającym zmierzchu, na resztkach paliwa, desperacko rozglądając się za jakimkolwiek miejscem do wylądowania.

Po przylocie całkowicie pochłonęło mnie uczenie się prachoickiego życia codziennego, a zwłaszcza poszukiwania Tomaka. Niebawem wspomnienie przygody, jaką był długi lot, całkiem zbladło. Lot był, to prawda, jedyny w swoim rodzaju, lecz odbyłam w życiu tak wiele innych lotów. Gdy nabrałam pewności, że chcę opuścić wyspę, kilka razy pojechałam na lotnisko, próbując wydostać się z labiryntu problemów, których sama sobie narobiłam. Obsługa już mnie знаła. Doskonale wiedzieli, że gdy zdejmą z samolotu pieczęcie, będę się chciała nim przelecieć.

Dzięki wysokim wzgórzom okolica miała przyjemnie umiarkowany klimat. Lubiłam te wizyty, przynosiły ulgę od wilgoci miasta. Z przyjemnością patrzyłam na Prachoitów startujących i lądujących na lotnisku swoimi awionetkami, trochę im nawet zazdrościłam, choć jednocześnie wiedziałam, że w hangarze stoi opieczętowany jeden z najpiękniejszych i najmocniejszych samolotów w historii. Nie mogłam się doczekać, kiedy nim znowu polecę.

Podczas tych wizyt kładłam się w wysokiej trawie na skraju lotniska, by chłonać znajome odgłosy i zapachy rozpędzanych do startu silników samolotowych. Pragnęłam poczuć drgania tych silników i gwałtowny powiew strumienia zaśmigłowego. Przepisy bezpieczeństwa mówiły jednak, że nie mogę podchodzić zbyt blisko. Na jednej wizycie wpuścili mnie do chwiejnej wieży kontrolnej, nadbudowanej dokładnie nad hangarem, gdzie stał mój samolot. Słuchałam jakże boleśnie znajomych, zwięzłych, uprzejmych rozmów z pilotami, pytań o kierunek wiatru, wysokość i ścieżkę podejścia.

Gdy przybyłam do aeroklubu, czekały na mnie dobre wieści - agencja od dziesięcin zapoznała się z moją sytuacją finansową. Moja pożyczka dostała rating kredytowy w wysokości dwunastu procent szacowanej wartości samolotu. Nie miałam pojęcia, jak to w ogóle zostało ustalone, ale komendant aeroklubu siadł ze mną i objaśnił mi wszystkie wyliczenia. Nic nie rozumiałam, poza tym, że oznaczało to, że z punktu widzenia jego i władz jestem w stanie wypłacić się z dziesięciny, więc niepotrzebne jest zabezpieczenie w postaci zastawu na samolocie - a okazało się, że głównie dlatego został zajęty. Zapytałam o naruszenie neutralności, komendant jednak nic o tym nie wiedział. Powiedział mi, że o ile nie będę próbowała opuścić przestrzeni powietrznej wyspy, a po powrocie oddam samolot z powrotem do ich dyspozycji, nie wpłynie to w żaden sposób na wynik przesłuchania.

To wszystko oznaczało, że o północy zastaw zostanie zdjęty i z samego rana będę mogła zrobić maszyną krótki lot próbny.

Wpuścili mnie do hangaru, gdzie dwóch mechaników robiło przegląd przyrządów, okablowania i sterowania. Powiedzieli, że silnik jest w dobrym stanie, a przynajmniej tak im się wydaje. Nie znali go i zadali mi kilka technicznych pytań, na które nie potrafiłam odpowiedzieć. Chciałam tylko dotknąć samolotu, nawet objąć jego smukły kadłub, jednak mechanikom wyraźnie przykazano mnie do niego nie dopuszczać.

Nastąpiły kolejne pytania - o ilość zamówionego paliwa.

Specjalnie dla mnie ściągnięto stuoktanową benzynę, była już na miejscu, ale mechanicy oczywiście odkryli dodatkowy zbiornik paliwa w ogonie samolotu.

Zaniepokoiła ich ogromna ilość paliwa, o którą poprosiłam. Do głównego lotu potrzebowałam obu zbiorników zatankowanych do pełna, nie chciałam jednak budzić podejrzeń co do celu lotu. Powiedziałam, że na początku potrzeba mi tylko trochę paliwa, na krótki lot próbny, ale jeśli on pójdzie dobrze, wybiorę się w dłuższy, wokół wybrzeża wyspy. I dlatego potrzebne mi dodatkowe paliwo.

Poszłam do domu, w którym zatrzymywałam się przy poprzednich okazjach, mimo wielkiego podniecenia spałam dobrze i gdy tylko wstałam, wróciłam do aeroklubu. Parę osób z obsługi naziemnej już było w pracy, ja jednak byłam na razie jedynym pilotem. Poszłam do meteorologa po prognozę pogody - przewidywała kolejny pogodny dzień ze stabilnym układem wysokiego ciśnienia nad wschodnią częścią wyspy oraz siedemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo burz nad północną i zachodnią. Widoczność była doskonała. Na wszystkich wysokościach umiarkowany wiatr. Ostrzeżeniami przed burzą się nie przejęłam - planowałam być już daleko stąd, kiedy nadejdzie.

Zabrałam lotniczą kurtkę i pilotkę i poszłam do hangaru z zatrzymaną maszyną. Od razu dostrzegłam, że główne wrota są otwarte. Ktoś zdjął pieczęcie ze śmigła, podwozia i statecznika. Jeden z mechaników zamachał do mnie życzliwie, z czego wywnioskowałam, że wszystko w porządku. Po krótkim oczekiwaniu ciągnik wyholował maszynę przed hangar i obrócił. Pod koła trafiły kliny.

Wspięłam się do kabiny, starając się zachowywać, jakbym robiła to ze sto razy, choć tak naprawdę tylko dwukrotnie siedziałam w tym spisfire'rze - raz podczas lotu tutaj i drugi raz po przylocie, gdy nie miałam gdzie spać i musiałam spędzić noc w kokpicie. Przerzuciłam nogę przez brzeg kabiny, pod rozsuniętą szeroko osłoną, opadłam na twarde siedzenie,

wzięłam drążek między nogi, znalazłam pedały orczyka, zaczęłam się wiercić i kręcić, żeby usadzić się jak trzeba.

To będzie lot próbny dla mnie czy dla samolotu? Wiedziałam, że to, co robię, zwraca uwagę. Cały personel naziemny wyszedł za spitfire'em z hangaru i patrzył teraz, jak go uruchamiam. Gdy odwróciłam głowę i zerknęłam w stronę wieży kontrolnej, zobaczyłam, że i tam przy oknach stoi grupka ludzi i patrzy na mnie z góry. Starając się zachować pozory spokoju, rozpoczęłam kontrolę przedstartową.

Sekwencja była mi dobrze znana, wszystkie listy przedstartowe są podobne, a rzeczy specyficznych dla spitfire'a nauczyłam się na pamięć rok temu. Podwozie – zablokowane, pali się zielona kontrolka. Klapy – podniesione.

Światła – zapalone. Zawory paliwowe – oba otwarte (musiałam szybko rozejrzeć się za drugim z nich). Przepustnica – otwarta na jeden palec. Obok przełącznik mieszanki – bogata. Zaczynałam już się czuć naturalnie, wchodzić w rutynę. Dźwignia skoku śmigła – do siebie. Żaluzja chłodnicy – otwarta. Wszystko w porządku. Teraz pompka do zalania gaźnika, po prawej stronie. Wysunęłam głowę z kokpitu na obie strony, żeby sprawdzić, czy nikt nie stoi przy śmigle, włączyłam zapłon, pociągnęłam gałkę pompki, wcisnęłam rozrusznik.

Śmigło zakręciło się, silnik zaskoczył. Trzymałam przycisk rozrusznika, póki silnik nie zaczął pracować gładko, potem skręciłam uchwyt pompy rozruchowej.

Dłonie aż trzęsły mi się z ulgi. Po rozgrzaniu silnika przypatrzyłam się wszystkim przyrządom, sprawdzając, czy działają i są wyzerowane. Nikt nie przestawiał fotela, nogi więc naturalnie sięgnęły do orczyka.

Teraz, gdy silnik zadziałał, odeszło całe zdenerwowanie. Przeszłam przez standardową procedurę rozruchu. Ciśnienie w układzie hamulcowym poprawne. Osłona zablokowana w pozycji otwartej. Przepustnica ustawiona na ubogą mieszankę, regulacja skoku śmigła działa poprawnie. Przepustnica do siebie, bogata mieszanka, maksymalny gaz. Iskrowniki sprawdzone.

Wszystko działa. Wszystko gotowe.

Zagałałam z wieżą kontrolną, dostałam zezwolenie na start. Machnęłam ręką spod otwartej osłony, dwaj mechanicy podbiegli i zabrali kliny spod kół.

Spitfire ruszył naprzód. Odpuściłam gaz i maszyna zaczęła kołować z normalną prędkością.

Spitfire miał podwozie z kółkiem ogonowym, więc stojąc na ziemi, zawsze miał zadarty nos, co oznaczało, że prawie nic nie widać w przodzie, a widoczność na boki ograniczały z kolei skrzydła. Dlatego, odwiedzając aeroklub, celowo nauczyłam się pasa startowego na pamięć, wiele razy przechodząc go tam i z powrotem. Lotnisko było co prawda trawiaste, ale wykoszone, prawie nie miało też wybojów czy ostrych pochyłości, na których maszyna mogłaby wyskoczyć w powietrze przed nabraniem prędkości startowej.

Raz jeszcze sprawdziłam kierunek wiatru, wykołowałam na pas. Od razu po zajęciu pozycji ostatnia kontrola - ster wysokości jeden ząbek w dół od zera, ster kierunku mocno w prawo dla wyrównania, mieszanka bogata, skok śmigła mały, kłapy wysunięte, żaluzja chłodnicy otwarta.

Dodałam gazu i merlin gładko wszedł na pełne obroty. Samolot przyspieszył.

Chwilę później już leciałam. Ziemia uciekła w dół, drzewa i pola znalazły się pod kątem, nad sobą miałam białe chmury, słyszałam wspaniały ryk merlina, w otwartej kabinie czułam pęd powietrza. Zamknęłam osłonę.

Zrobiłam spitfire'em ostrożną, sporą rundę wokół lotniska. Byłam wystarczająco wysoko, by daleko na południu widzieć ocean, mignęła mi nawet część wielkiej centralnej pustyni, nie tak odległej, ale przesłoniętej pasmem wzgórz na zachodzie. Nie znalazłam się tu, by podziwiać widoki - zrobiłam maszynie szereg różnych prób: wznoszenie, zwrot, lot nurkowy, wprowadziłam ją też na skraj przeciągnięcia. Schowałam i opuściłam podwozie. Zmieniając kierunek lotu, prędkość i wysokość, uważnie przyglądałam się wskazaniom wszystkich przyrządów. Patrzyłam na nie jak na starych znajomych: sztuczny horyzont, wysokościomierz, prędkościomierz, wskaźniki paliwa.

Wszystko w tym wspaniałym samolocie działało jak trzeba. Gdy dotarło do mnie, co mnie tego dnia może czekać, aż zakręciło mi się w głowie z podekscytowania. Skontaktowałam się z wieżą, dostałam zgodę na lądowanie i potwierdzenie kursu podejścia, zaczęłam obniżać się w stronę pasa. Zbliżając się do punktu zwrotu, nad polami, nie oparłam się pokusie sprawdzenia mocy silnika. Dałam pełny gaz, poczułam napór przyspieszenia. Prachoickie pola przesunęły się szybko w dole jak rozmazany pas zieleni i brązu - a ja tylko chciałam czym prędzej pożegnać się z tą wyspą, znaleźć się w powietrzu, polecieć do domu.

Wylądowałam, odczekałam, aż obsługa zanotuje niezbędne dane o moim locie - kiedy szłam do kontrolera lotów, już podtoczyli dystrybutor i zaczęli napełniać zbiorniki.

Zgłosiłam plan lotu, który miał maskować moje prawdziwe zamiary - narysowałam obszerną trasę wzdłuż wybrzeża, aż po Beathurn, potem krótko nad neutralnym morzem, co było

świadomym ustępstwem wobec prawa, gdybym bowiem poleciała dalej nad wybrzeżem, dostałabym się w strefę nad oficjalnie nieistniejącym miejscem zwanym Sąsiedztwem. Potem trasa wracała nad wybrzeże, przecinała część pustyni, zahaczała o południowe plaże, po czym następował sprint na dużej wysokości nad morzem oraz powrót na lotnisko.

Choć składanie fałszywego planu lotu jest niebezpieczne i nielegalne, musiałam jakoś uzasadnić ilość tankowanego paliwa. Na to, co naprawdę planowałam, nigdy nie dostałabym zgody. Plan został zaakceptowany i odnotowany. Dostałam zgodę na start.

Wróciłam do samochodu, zabrałam rzeczy osobiste i upchnęłam je w wolnych miejscach wąskiej kabiny oraz za fotelem. Słońce wchodziło coraz wyżej, żar palił mnie w plecy, gdy stałam na skrzydle spitfire'a i nachylałam się do środka. Uścisnęłam ręce obsłudze naziemnej, kiwnęłam dłonią wieży i wreszcie wgramoliłam się do ciasnej kabiny, opierając się łokciami o boki kadłuba. Ponownie zastosowałam listę kontrolną i pokołowałam na koniec pasa. Osłonę kabiny zostawiłam częściowo odsuniętą. Chciałam poczuć pęd powietrza, usłyszeć wspaniały ryk potężnego merlina. Ile razy jeszcze będę miała okazję przeżyć lot taką maszyną?

Minutę później byłam już w powietrzu, maszyna pędziła, strumień zaśmigłowy siekł mnie po głowie przez uchyloną owiewkę, nad sobą miałam kopułę nieba, w dole sunące w tył zielone pola. Szybko nabierałam wysokości. Skręciłam maszyną na północny wschód, robiąc pierwsze odstępstwo od zgłoszonego planu lotu. Lotnisko aeroklubu było daleko w tyle.

Leciałam dokładnie równo z podstawą chmur. Prądy wznoszące idące od szybko nagrzewającej się ziemi skłębiały wielkie białe cumulusy. Zasunęłam osłonę kabiny, wyregulowałam skok śmigła, ustawiłam mieszankę na ubogą i utrzymywałam wskazywaną przez przyrządy prędkość dwustu węzłów. Pilotowałam najpiękniejszy samolot w historii. Zrosłam się z nim, połączyłam, lecieliśmy razem. Poczułam energię ciągu

silnika, którego ryk zmienił się teraz w miarowe buczenie, lecieliśmy bowiem z prędkością przelotową. W idealnie wytrymowanej maszynie prawie nie czuło się żadnych drgań. Przeleciałam skrajem białej chmury, w kolejną celowo się zanurzyłam, poczułam uderzenie wewnętrznych turbulencji, wydostałam się z powrotem w błękit, cały czas miarowo nabierając wysokości. Minęłam inne chmury, chcąc zostawić za sobą wszelkie ślady lądu. Kabina była szczelnie zasunięta, włączyłam więc instalację tlenową. Wpatrywałam się oczarowana w otwarte niebo wokół, ziemię daleko w dole, odległy błysk ultramarynowego morza, na którym migotały obrzeżone bielą wysepki.



Weszłam na pułap sześciu tysięcy stóp, jeszcze pozwalający dobrze widzieć ziemię, ale już powyżej gęstniejących chmur. Wyregulowałam maszynę tak, by miała maksymalny zasięg – silnik na 1750 obrotów, słaba mieszanka, duży skok śmigła, co dało mi, według przyrządów, prędkość około 160 węzłów. Lot miał być długi, musiałam jednak oszczędzać paliwo – ważniejszy był dla mnie zasięg maszyny niż czas trwania lotu. Leciłam kursem 35, nawigując zliczeniowo, co było mało dokładne i kłopotliwe, ale nie miałam wyjścia – jedyne mapy, jakie udało mi się znaleźć w Beathurn, były mocno niedoskonałe. Na Prachous brak map stanowił problemem. Gdybym chciała odwiedzać tereny piknikowe, bezpieczne plaże albo zabytki, w których można podziwiać historyczne eksponaty, uznałabym, że tutejsze mapy są pierwszorzędne. Natomiast prawdziwe mapy do dokładniejszej nawigacji, czy autem, jak się wiele razy przekonałam, czy samolotem, jak stwierdzałam teraz, po prostu nie istniały, albo przynajmniej były niedostępne na normalnym rynku.

Obserwowałam ziemię jak najuważniej, wypatrując punktów orientacyjnych, które sobie upatrzyłam. Notowałam je podczas licznych podróży samochodowych po wyspie, w przygotowaniach do tego lotu bez map – pewne jeziora, rzeki, ujścia, góry, skupiska wysokich budynków. Kompas spitfire'a pomagał mi w utrzymaniu stałego kursu; samolot szybko pożarł znaną mi odległość dzielącą mnie od odcinka wybrzeża, nad którym chciałam się znaleźć.

Obserwując ziemię przed sobą, wreszcie dostrzegłam brzeg i ten wspaniały lazur upstrzony białymi kropkami groźnych prachoickich fal. Słońce było teraz o wiele wyżej i rozświetlało

morskie głębiny złotą poświatą. Kiedy mieszkałam w Beathurn, rozejrzałam się po peryferiach miasta za punktami orientacyjnymi i wybrałam dwa charakterystyczne cyple na południe od niego. Nieopodal były grupki przybrzeżnych wysepek, a pomiędzy nimi zatoka o kształcie niemal idealnego półksiężyca. Na ich podstawie mogłam oczywiście namierzyć i samo miasto, którego kształt i układ, obmierzony samodzielnie, miałam jak mapę w głowie.

Zaraz potem dotarłam nad wybrzeże i leciałam równolegle do plaży, nad wodą. Zobaczyłam jeden z tych cypli i od razu wiedziałam, gdzie jestem. Skorygowałam minimalnie kurs i śmignęłam wzdłuż brzegu. Zaraz dotarłam do rozległego Beathurn. Pod porannym słońcem powietrze było tak przejrzyste, że gdy tylko zauważyłam miasto, byłam w stanie wypatrzeć jego punkty charakterystyczne – centralny park, ujście rzeki, w którym zbudowano port, okolicę mojego domu, nawet teatr *Il-Palazz*.

Teraz, gdy byłam już pewna, dokąd lecę, skierowałam się prosto na pasmo górskie na północy. Kiedy mieszkałam w Beathurn, góry te, widziane z poziomu ulicy, wydawały się nieprzebytą barierą, granicą miasta – teraz, z wysokości, wydały mi się nic nieznaczące: maszynę od ich szczytów dzieliło co najmniej tysiąc stóp. Widziałam całość tego pasma – pierwsze wzniesienia znajdowały się daleko w głębi lądu, na skraju pustyni. Natomiast góry bliższe morza były wyższe i ostrzejsze w rzeźbie.

Przeleciałam nad nimi, zerkając na wielkie domy i posiadłości u ich podnóża oraz gęstą sieć wjeżdżających na szczyty kolejek linowych. Nad nawietrznymi zboczami spitfire'a podrywały do góry silne prądy wznoszące. Potem maszyna ustabilizowała lot, całkiem jakby miała wewnętrzną inteligencję umiejącą sobie radzić ze zmianami na niebie i w pogodzie.

Minąwszy góry, patrzyłam jak najdalej przed siebie, nie mogąc się doczekać, kiedy ujrzę zamkniętą strefę, w której mieści się slumsowe miasteczko zwane Sąsiedztwem. Wypatrywałam

kolejnego ujścia rzeki, dużo szerszego i bardziej skomplikowanego niż to pod Beathurn, z kilkoma odnogami tworzącymi małą, choć zawiłą deltę. Wzdłuż niej, na północnym brzegu, powinna być połąć trzcin, którą widziałam na starych mapach.

Obniżyłam trochę lot. Przelatywałam nad ziemią uprawnymi podzielonymi na małe poletka poodgradzane żywopłotami lub kamiennymi ścianami. Przed sobą miałam nadrzeczną nizinę. Zbliżywszy się, dostrzegłam kształt delty, rozległy układ piaskowych łach, wysepek i uchodzących do morza odnog rzeki. Zwolniłam spitfire'em do nieco ponad stu węzłów, co przy tak pełnych zbiornikach było tuż ponad progiem przeciągnięcia, i to bez specjalnego marginesu. Nie podobało mi się, jak reaguje maszyna przy tak małej prędkości, chciałam jednak dobrze przyjrzeć się wszystkiemu na ziemi.

Przebiegłam deltę i wleciałam ponad ogromną połąć mokradeł i terenów zalewowych. Był to istny trzciniowy las bladobeżowego koloru, z ciemnymi torebkami nasiennymi na końcu każdego źdźbła. Nieustannie falował, wiatr rzeźbił w nim wzory, we wszystkich kierunkach, gdy łodygi falowały tam i z powrotem. Trzymałam się pułapu mniej więcej tysiąca stóp. Niżej byłoby już niebezpiecznie. Na tak małej wysokości nie można było liczyć na wskazania wysokościomierza, a przez rozfalowane trzciny bardzo trudno było oceniać wysokość na oko.

Nie widziałam żadnych ludzkich śladów. Wyglądało na to, że okolica kompletnie nie nadaje się do zamieszkania, jeśli nie przeprowadzi się tu wielkich operacji osuszania i budowy wałów przeciwpowodziowych. Leciałam tak przez pięć minut, cały czas pamiętając o paliwie, zużywanym nawet przy tak małej prędkości, oraz o tym, że jedną ze spraw, której nigdy do końca na Prachous nie rozumiałam, było właśnie istnienie strefy sąsiedztwa.

Minęłam poczerńiałą ziemię, prawie nie uświadamiając sobie, co to takiego. Patrzyłam przed siebie, a po prawej przemknęło coś, co pojawiło się zniemacka. Gdy się obejrzałam, wydawało

się, że migocze i znika, tworząc wrażenie czegoś brakującego, czarnej luki.

Zatoczyłam krąg, nabrałam trochę wysokości. Za drugim razem dokładnie przyjrzałam się temu, co wcześniej niepojętym sposobem przeoczyłam. Na ziemi był obszar smolistej czerni – tak czarnej, jakby wszystko, co tam było, zostało spalone na węgiel. Nie widać było spalonej roślinności, ruin, pogorzeliska, niczego, co by tam wcześniej było. To był brak, nieobecność, skrawek ziemi w negatywie.

Przeleciałam nad nim mocno poruszona tym, co widzę. Gdy znów wleciałam nad połąc trzcin, wzniosłam się trochę wyżej i zawróciłam, żeby spojrzeć jeszcze raz. Teraz, nadlatując nad czarny obszar, widziałam go w całości. Był ogromny, sięgał daleko za moją prawą burtę, nieco mniej za lewą. Widziałam nawet granicę pomiędzy czarną nicością a trzciniowymi szuwarami. Wydawała się ostrą linią, prostą, jakby wyciętą gigantycznym nożem.

Przyśpieszyłam – lecąc tak wolno, czułam się bezbronna. Wzniosłam się o kolejne pięćset stóp i zatoczyłam kolejny krąg. Tym razem byłam na tyle wysoko, by zobaczyć z góry cały czarny obszar. Zorientowałam się, że ma kształt idealnego równobocznego trójkąta wyciętego z połąci trzcin. Rozciągał się na wiele mil.

Skierowałam się wprost nad niego, choć coś budziło mój lęk i odruchowo chciałam go wyminąć. Coś straszego czaiło się w tym naziemnym negatywie, miałam wrażenie, że gdy zapuszcze się zbyt blisko, coś mnie tam nieodwracalnie wciągnie. Przechyliłam maszynę, skręcając w bok, potem jednak zmieniłam zdanie i utrzymałam zwrot, zataczając krąg, żeby spojrzeć jeszcze raz.

Trójkąt zniknął.

Od razu pomyślałam, że pomyliłam kurs, leciałam jednak według kompasu i doskonale wiedziałam, że lecę dokładnie w jego kierunku.

Przed sobą miałam gęsto zabudowany teren.

W miejscu trójkąta znajdowało się coś, co wyglądało jak miasto. Widziałam domy, ulice, skrawek zielonego parku, iglicę kościoła. Nie widziałam żadnego ruchu, żadnych przechodniów, nikt nie jechał ulicami – były tylko budynki, ulice, twarde szkielet zewnętrzny współczesnego miasta. Widziałam cienie, które padały w mocnym świetle.

Ten fragment miasta także miał kształt wyciętego wśród trzciny równobocznego trójkąta. I był tej samej wielkości – każdy z jego boków mierzył co najmniej dwie mile.

Przeleciałam nad nim, przechyliłam samolot, zrobiłam zwrot o 180 stopni, naleciałam jeszcze raz. Jak mogłam tego wcześniej nie dostrzec? Tym razem zobaczyłam wysokie budynki z betonu i szkła wznoszące się ponad zwyczajnymi domami i ulicami. Widziałam długie ciągi szeregówek, parkujące przed nimi samochody. Wzdłuż wielu ulic rosły stare drzewa. Park, sięgający jednej z krawędzi trójkąta, także był pełen wysokich drzew, miał małe jezioro, ścieżki na trawie.

Odleciałam, zawróciłam, naleciałam jeszcze raz. Trójkąt czarnej nicości wrócił na swoje miejsce.

Coraz bardziej przerażał mnie ten widok w dole, jakby był czymś nierzeczywistym, wabikiem, pułapką, na którą niebezpiecznie jest nawet patrzeć czy wiedzieć o jej istnieniu. Z drugiej strony maszyna, którą leciałam, dawała mi poczucie nietykalności. Opanowałam się, spróbowałam się zastanowić, co robić. Raz jeszcze przecięłam strefę, lecąc kursem ku morzu. Podjęłam decyzję.

Zrobiłam spitfire'em ostry zwrot i skierowałam się z powrotem nad trójkąt. Tym razem nie starałam się przelecieć nad nim, w poprzek, lecz zatoczyłam krąg obejmujący trzy wierzchołki trójkąta, na tyle blisko, by coś widzieć, ale nie aż tak, by czuć potworny lęk, jaki we mnie wzbudzał.

Leciałam w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara, mając ciemny trójkąt po prawej stronie. Trzymałam stałą prędkość, bezpieczny dystans, silnik pracował spokojnie. Przez cały krąg nie spuszczałam wzroku z trójkąta.

A trójkąt się zmieniał.

Widziany pod pewnymi kątami zawierał miejskie zabudowania – pod innymi natomiast stawał się z powrotem tą przerażającą połącią wyzuta z koloru, plamą czarnego nieistnienia. Gdy zbliżałam się do któregoś z wierzchołków, tego sześćdziesięciostopniowego kąta, obraz zaczynał coraz szybciej migotać. Gdy okrążałam wierzchołek, zmiany były już tak szybkie, że przez chwilę miałam wrażenie, że widzę tylko połącz trzciny, ale kiedy wchodziłam nad kolejny bok trójkąta, migotanie spowalniało, a w połowie tej krawędzi widok ustalał się – znad jednego boku widziałam czarną nicość, znad innego – znów obraz miasta.

Okrążyłam strefę cztery razy, próbując wyłapać w tym zagadkowym widoku jakąś logikę. Za piątym rzeczywistość przypomniała mi gwałtownie o sobie. Mój lot ma ważniejszy cel, a ja tu marnuję drogocenne paliwo.

Po raz ostatni przeleciałam nad strefą. Już wiedziałam, że przez większość długiego lotu będę musiała lecieć na wysokości przelotowej – wysokości, do której przystosowany był spitfire i na której najoszczędniej zużywał paliwo, a leciał najszybciej. Wykonałam ostatni zwrot, dodałam gazu, by nabrać szybkości do wznoszenia i przeleciałam przez sam środek strefy. A robiąc to, pochylałam się, wcisnęłam przycisk, którego nigdy dotąd nie dotykałam, przycisk uruchamiający potężną kamerę do zdjęć lotniczych umieszczoną w brzuchu maszyny. Ustawiłam ją na automatyczne robienie zdjęć co dwie sekundy.

Usłyszałam, jak rozkręca się serwomotor, poczułam jego drgania, dokładnie w chwili, gdy wlatywałam nad najbliższą krawędź ciemnego trójkąta. Chwilę później kontrolka na sterowniku kamery zaczęła migotać, sygnalizując naświetlanie kolejnych klatek.

Aparat cały czas chodził, gdy potężny merlin osiągał swoją pełną moc, a spitfire szybko wznosił się w dobrze mi znany przestwór nieba.

Godzinę później leciałam już kursem 260 stopni i dawno opuściłam, bez żadnych problemów, przestrzeń powietrzną Prachous. Leciałam wśród wysokich, skłębionych chmur. Pod sobą miałam morze z licznymi wysepkami. Coraz częściej widziałam sięgające ku nim połacie lądu – wiedziałam, że ten kurs zaprowadzi mnie nad kontynent, nad którym odbędzie większą część lotu. Znajdowałam się na jakichś dwudziestu pięciu tysiącach stóp, o wiele niżej, niż zwykle lata się na lotach rozpoznawczych. Na tej wysokości maszyna mogła jednak osiągnąć dużą prędkość przelotową na ubogiej mieszance. Poza tym leciałam bez map, musiałam więc od czasu do czasu spojrzeć na ziemię. Nagrzewnica w kokpicie dmuchała na mnie delikatnie ciepłym powietrzem.

Przed sobą miałam gigantyczny słup ciężkich chmur, z oślepiającym białym szczytem w kształcie kowadła, pod spodem zaś burzowo czarny. Wiedziałam, co to jest, wiedziałam, że powinnam go ominąć, zaprzętnęły mnie jednak próby orientacji według ziemi. Długi czub kowadła już znalazł się nade mną, rozpadał się ciężki grad. Zabębnił przerażająco o skrzydła i kadłub spitfirea, załomotał o osłonę kabiny. Cumulonimbus rozciągnął się przede mną. Jedyным wyjściem, na które jeszcze miałam czas, było spróbować wspiąć się ponad niego. Znów zadarłam nos samolotu i wciąż się wznosiłam, gdy wleciałam w ścianę chmur i pograżyłam się w burzliwym mroku.

Przebijalam się przez gęstą chmurę przez prawie pół godziny. Wokół strzelały błyskawice, maszyną targały gwałtowne prądy wznoszące i opadające. Uderzający w metal grad brzmiał jak trafienia pociskami. Ciagle rzucało mną na szyby owiewki lub ściany kadłuba - raz spitfire zachował się, jakby zderzył się czołowo z twardą przeszkodą. Cisnęło mną, naparłam na drążek, mimo woli wprowadzając maszynę w lot nurkowy. Po wejściu w chmurę przepadła wszelka nadzieja na utrzymanie kursu - prądy były tu tak gwałtowne i nieprzewidywalne, że mogłam tylko się modlić, żeby samolot się nie rozpadł, a silnik nie zatarł lub nie przegrzał. Chwilami nie miałam nawet pewności, czy w ogóle lecę w normalnej pozycji. Po raz pierwszy w mojej solowej karierze czułam, że nad niczym nie panuję, i bałam się katastrofy. Kilka razy byłam już przekonana, że zaraz zginę. Jedyne, co mogłam zrobić, to mocno ścisnąć drążek, a drugą ręką przepustnicę, starając się utrzymać samolot w powietrzu.

Chmura skończyła się równie raptownie, jak się zaczęła. Wyleciałam z niej, mniej więcej prosto i równo, w ciągu paru sekund przeniosłam się z przerażających turbulencji w spokojne, czyste powietrze, dookoła nic tylko błękit, błękit i błękit. Oślepił mnie blask słońca.

Natychmiast spojrzalam na przyrządy, wypatrując czegokolwiek, co zdradzi, że maszyna została poważnie uszkodzona- silnik, płyty, hydraulika, przewody paliwowe. Wszystko wyglądało dobrze, ale pewności mieć nie mogłam. Wyregulowałam mieszankę, silnik z powrotem zahuczał uspokajająco. Samolot cały czas leciał, reagował na ruchy drążka i orczyka. Wysokościomierz powiedział mi, że we wnętrzu



komórki burzowej wzniosłam się o prawie pięć tysięcy stóp. Pozwoliłam maszynie opaść na poprzednią wysokość. Sprawdziłam kurs, skorygowałam kierunek, starałam się lecieć jak najspokojniej, choć byłam potwornie wstrząśnięta po tych przejściach. Odtąd postanowiłam uważać na kolejne podobne chmury.

Długi dzień wciąż trwał. Leciłam na ślepo, polegając wyłącznie na kompasie. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem. Poda mną nieprzerwanie ciągnęły się pola - z tej wysokości nie dało się dostrzec żadnych cech charakterystycznych. Jak okiem sięgnąć, żadnych znaków szczególnych, ani gór, ani miejskich skupisk, ani wybrzeży, ani nawet rzeki, której kształt lub układ mógłby mi coś powiedzieć. Jedyne, czego mogłam się trzymać, to kurs 260 stopni, jedyna droga, jedyny ślad wiodący do kraju, który miałam za swój dom.

Po prawej na niebie coś błysnęło. Tak szybko, że zniknęło, zanim się odwróciłam, żeby się przyjrzeć. Błysnęło jeszcze raz - tym razem zobaczyłam, że to jednosilnikowy samolot, ciemny na tle jasnego nieba, choć słońce co raz odbłyскиwało mu od skrzydeł - kołysał się z boku na bok, jak to robią piloci myśliwców, żeby patrzeć pod siebie. Znowu ogarnął mnie strach. Do pierwszego myśliwca dołączył drugi, śmignąwszy z dołu. Swój to czy wróg? Byli zbyt daleko, by ich zidentyfikować, nie miałam jednak wątpliwości, że to Niemcy. Leciłam najbardziej charakterystyczną z brytyjskich wojskowych maszyn, ale byłam nieuzbrojona - zresztą i tak nie miałam pojęcia o walce lotniczej, więc coś takiego nie wchodziło w grę. Trzymali się z tyłu, zajmowali pozycję za moimi plecami, zapewne nabierając wysokości, żeby zaatakować.

Chwilę później nad moją kabiną przeleciała ognista seria pocisków i rozplynęła się gdzieś w oddali przede mną. W spitfire'a tuż za kokpitem coś uderzyło. Maszyna podskoczyła, lecz choć uszkodzona i gorzej reagująca na stery, leciała dalej. Wtem jeden z napastników przeleciał nade mną i przez parę sekund widziałam go doskonale - uczyłam się rozpoznawania

wszystkich będących w użyciu samolotów, naszych i wroga, po sylwetkach. To był Focke-Wulf 190, jedyny niemiecki myśliwiec mogący dotrzymać kroku spitfire'owi. Mignęły mi zielone plamki maskowania na górnych powierzchniach, doskonale widoczny czarny krzyż Luftwaffe, złowroga swastyka na stateczniku pionowym. Przeleciał z rykiem nisko nade mną, szarpnęłam dźwęg na bok, robiąc unik. On odpadł w drugą stronę. Druga maszyna Luftwaffe zrobiła to samo, chyba nawet nie próbowała do mnie strzelać.

Nie mogąc walczyć, mogłam tylko robić uniki. Jedyłą moją przewagą była szybkość i zwrotność mojego Spitfire'a Mk XI, zwiększona jeszcze przez brak obciążenia dużą ilością paliwa i ciężkimi karabinami maszynowymi w skrzydłach. Opuściłam nos, otworzyłam przepustnicę i zanurkowałam ku ziemi. Wyprowadziłam maszynę, wyrównałam, zanurkowałam jeszcze raz. Według przyrządów miałam ponad 400 węzłów prędkości.

Straciłam z oczu niemieckie maszyny, choć wiedziałam, że muszą się gdzieś czaić. Cały czas przepatrywałam niebo, słońce jednak już zachodziło i zachodni kwadrant był zbyt oslepiający, bym mogła cokolwiek zaobserwować. Zobaczyłam dwa kolejne samoloty - może te same, co przedtem, zresztą, co to za różnica. Leciły na mnie od przodu, lekko z boku. Przez chwilę widziałam rozbłyski w lufach w ich skrzydłach, choć nasze zsumowane prędkości powodowały, że mogły mieć mnie na celowniku co najwyżej przez parę sekund. Śmignęły nade mną i trochę z boku, jeden przeleciał tak blisko spitfire'a, że byłam pewna, że zderzę się z nim czołowo. Przeleciał mi jednak nad kabiną, jego strumień zaśmigłowy zakolysał spitfire'em.

Więcej trafień nie otrzymałam.

Ziemia zbliżyła się, wyrównałam więc maszynę, starając się utrzymać niesamowitą szybkość. W życiu nie latałam tak szybkim myśliwcem. Frajda przebijała nawet lęk przed ostrzelaniem przez kolejne niemieckie samoloty. Duża prędkość zapewniała mi bezpieczeństwo - przynajmniej czułam się bezpieczniej. Leciłam dalej i dalej, tak zmęczona po wielu godzinach w

kabinie, że pilotowałam właściwie samymi odruchami. Uwielbiałam ten samolot bardziej, niż mogłam to wyrazić, choćby w głębi duszy. Wydawało się, że przewiduje moje zamiary, zanim wykonałam jakikolwiek ruch, czasem i zanim pomyślałam – stawał się dla mnie przedłużeniem ciała, fragmentem mojej jaźni wyposażonym w skrzydła. Cały czas leciałam tym samym kursem, gdzieś nad Europą, może nad samymi Niemcami, a może nad terenami okupowanymi.

Byłam sama na wrogim niebie, słońce opadało przede mną ku horyzontowi. Chciałam być już w domu, z dala od tego wszystkiego, z dala od przeszłości. Miałam życie przed sobą. Brzeg pojawił się nagle, śmignęłam nad spienionymi falami, leciałam teraz nisko, na dwóch tysiącach stóp. Przeleciałam w pobliżu okrętu kotwiczącego tuż przy brzegu. Ostrzelał mnie z działek przeciwlotniczych. Widziałam pociski smugowe, świetliste na tle wieczornego nieba – śmignęły, zakrzywiając lot, daleko ode mnie. Po paru sekundach znalazłam się poza ich zasięgiem. Zaczynało się ściemniać – domyślałam się, że skoro to letni wieczór, mam jeszcze z godzinę widoczności, co pozwoli mi bezpiecznie dolecieć na miejsce. Muszę tylko zobaczyć jakieś w miarę równe i gładkie lotnisko. Zniżyłam lot jeszcze bardziej, aż znalazłam się ledwie dwieście stóp nad wodą. Taka wysokość była nie do utrzymania na przyrządach, więc patrzyłam na morze przed sobą – wydawało się, że pędzi ku mnie, hipnotyczne w swoim niestrudzonym, nieustającym, miarowym rytmie. Cały czas ziewałam. W ustach mi zaschło, mięśnie miałam wyczerpane, oczy obolałe od ciągłego wpatrywania się w jaskrawe niebo. Leciałam dalej, nie mając pojęcia, gdzie jestem i dokąd lecę. Może jestem nie nad tym morzem, co myślę, albo zboczyłam z kursu – może będę tak lecieć bez końca, aż zużyję ostatnią kroplę paliwa. Potem jednak, tuż nad horyzontem, wyłonił się łód. Weszłam maszyną na tysiąc stóp, wpatrzyłam się weń, zobaczyłam pędzące ku mnie płaskie wybrzeże, ciemne, nieoświetlone, niemal niebronione. Wyglądało tak niewinnie – brzeg wysepki, która jest w stanie wojny, całkiem bezbronny w

zapadającym zmierzchu. Przykręciłam trochę gaz, spitfire zwolnił. Byłam już prawie nad lądem, widziałam biel wpadających na plażę fal – spokojny brzeg Wielkiej Brytanii. To był teraz mój dom, kraj, który mnie przygarnął, gdy nie miałam dokąd pójść, wyspa, którą z czasem pokochałam i pragnęłam jej bronić. Przeleciałam nad linią wybrzeża, zobaczyłam pod sobą wydmy, gdzieś w pobliżu małe miasteczko, wokół spokojne pola, stare drzewa. Kazałam mojej wspaniałej, rannej maszynie zwolnić jeszcze bardziej i ostrożnie sunęłam nad polami o zmierzchu, wypatrując lotniska, na którym mogłabym bezpiecznie wylądować.

# **CZEŚĆ VIII**

## **Lotnisko**

## Powrót

Tibor Tarent odczekał, aż mebsher zniknie mu z oczu, a potem, aż przestanie słyszeć charakterystyczne wycie turbin. Transporter opancerzony jechał na wschód, w kierunku pod wiatr, przynajmniej na razie. Dlatego hałas silnika docierał do niego jeszcze długo, niesiony przez zimny wiatr nad wzgórzami Lincolnshire Wolds. Im dalej jechał, tym bardziej przyniesiony wiatrem odgłos zniekształcał się i nabierał w uszach Tarenta odrealnionego, niezemskiego charakteru. Było prawie południe, pełnia dnia, słońce przebijało się nieregularnie przez pędzące chmury, jednak to odległe wycie przywodziło mu na myśl noc. Zwłaszcza noc w Turcji, gdy pod szpital przychodzili ludzie, za późno, by wejść do środka. Musieli czekać do rana przed zamkniętymi drzwiami, wyli z bólu i umierali w pylistym, duszącym skwarze anatolijskiej nocy. Z rana salowi regularnie musieli zbierać trupy tych, którzy nie przeżyli paru godzin ciemności.

Także ten mebsher, wyjący w oddali turbinami, stanowił transport dla ludzkich szczątków, dla ludzi, których postacie zdublowały się przez śmierć. Pomyślał o Lou Paladin uwięzionej w szarym stalowym pudle w towarzystwie ludzi, o których wiedziała, że nie żyją. I kto to siedział obok niej?

Człowiek z takimi aparatami, taką samą twarzą i bez wątpienia nazywający się tak samo? Jak w ogóle wyjaśnić jej, co się dzieje?

Nie był w stanie o tym myśleć, nie był w stanie nawet sobie tego wyobrazić, bo nie dawało się tego opisać ani werbalnymi, ani obrazowymi środkami.

Wreszcie odgłos mebshera ucichł. Nastąpiła cisza, cisza jak to na dworze – wiatr, ruch, liście, gałęzie. Nie śpiewał tu żaden ptak. W powiewach wiatru czaił się ostry chłód, złowrogi zwiastun nadchodzącej wcześniej zimy. Zmroziło go, nie tylko od tego wiatru.

Stał sam na placu pośrodku Farmy Warne'a – poszli nawet ludzie, którzy pilnowali zamkniętego budynku. Skoro nikt go nie pilnował, zrobił kilka zdjęć betonowego budynku, w którym identyfikował zwłoki. Zmienił aparat, schował canona i wyjął nikon. Od razu zrobił serię ciemnej wieży przy głównej bramie, sprawdził przez sieć, czy zgrała się do laboratorium, potem podszedł do budowli i strzelił jeszcze parę kadrów z bliska. W środku załęgły się gołębie, obsiadające teraz parapety. W licznych pęknięciach na tynku i w murach rósł mech. Zauważył, że na wejściu do budowli ktoś powiesił tablicę ostrzegającą, żeby nie wchodzić, bo budynek grozi zawaleniem. Cały otaczający go teren stanowił strefę zagrożenia.

Raz jeszcze sprawdził przez sieć, czy zdjęcia z nikonu są zgrane i zarchiwizowane.

Wrócił przez plac do miejsca, gdzie zostawił walizkę, i przestawił ją w bardziej osłonięte miejsce pod drzwiami. Na plakietce, zgodnie z przepisami BPZ- u, widać było wyraźnie jego nazwisko.

Zdecydował, że nie będzie próbował wychodzić z Farmy Warne'a, póki nie skończy tego, co zamierzał zrobić przed przyjazdem mebshera. Wyjął wszystkie trzy aparaty, przeszedł korytarzem na parterze budynku mieszkalnego, potem żwirową ścieżką do ogrodzenia. Przy każdej mijanej bramce i szlabanie sprawdzał, czy jego karta nadal działa – po tym, jak Flo Mallinan z takim lekceważeniem zablokowała mu paszport, bał się, że nie będzie mógł wrócić. Działała jednak.

Przeszedł przez główną bramę, dwa razy sprawdzając, czy otworzy ją z powrotem. Wyszedł na zewnątrz. Odwrócił się, zrobił parę zdjęć bramy, ogrodzenia, wiszących na nim tablic ostrzegawczych, potem ogólny widok z lekkiego wzniesienia

terenu na Farmę Warne'a widoczną teraz spomiędzy drzew.

Gdy wchodził ścieżką na górę, pomyślał w pierwszej chwili, że ktoś musiał tu pracować traktorami czy innym ciężkim sprzętem, gdyż zupełnie zniknęły powyrywane przez burzę drzewa - było ich tu mnóstwo, pamiętał szczególnie jedno, którego potężne korzenie przegradzały ścieżkę. Samo tylko pocięcie piłami i wywiezienie tego jednego wiatrołomu wymagałoby paru godzin pracy sporej ekipy.

Tarent spróbował sobie przypomnieć, kiedy był tu poprzedni raz. Przed przyjazdem mebshera, kiedy czekał na niego z Lou. Godzinę temu mniej więcej? Jak to możliwe, żeby w tak krótkim czasie wywieźć taką liczbę wiatrołomów?

Aby wspiąć się na szczyt grzbietu, musiał zejść ze ścieżki, bo skręcała w dół i w przeciwnym kierunku, zaczął więc wchodzić po stoku między krzakami. Zbocze było porośnięte zbitymi kępami jeżyn, rododendronów, a wyżej także sporą ilością kolcolistu. Wcześniej musiał przejść w jakimś innym miejscu, bo nie przypominał sobie tutaj aż tak gęstych zarośli.

Mimo to, przedostawszy się na szczyt, uświadomił sobie, że jest w tym samym miejscu, co przedtem, i dokładnie z tego samego powodu - wspinał się bowiem na grzbiet z tego samego punktu ścieżki.

Spojrzał w dół na rozległe pole, na którym obserwował atak zjawiskiem sąsiedztwa na mebshera, tam gdzie powstał trójkąt wypalanej, zanihilowanej ziemi. Dwa dni temu, przed burzą? Trzy? Cztery? Stracił rachubę tych dni. Ale obojętne, ile ich upłynęło, po trójkacie nie pozostał żaden ślad. Dokładnie pamiętał, w którym miejscu wydarzył się atak - mniej więcej pośrodku pola, a czarny trójkąt był nie do przeoczenia. Teraz jednak zboże rośnie sobie nieuszkodzone.

Znow osłupiały patrzył przez długą chwilę, zastanawiając się, co widział i czy pamięć znowu go nie zawodzi. Tyle sprzeczności musiał sobie ostatnio przyswoić, tyle niezrozumiałych rzeczy ogarnąć umysłem.

Przyszedł mu do głowy pomysł. Włączył nikona i przestawił na



widok w podczerwieni, z którego rzadko korzystał, bo zżerał baterię. Ustawił kwantowy obiektyw na duży zoom i powoli obejrzał przez wizjer część pola, na której, jak pamiętał, znajdował się mebsher tuż przed atakiem. Większość obrazu wyszła neutralna, choć widać było jedno jaśniejsze miejsce, trochę w bok od tego, gdzie spodziewał się trójkąta.

Był to skrawek ziemi porośniętej pszenicą, mniej więcej trójkątnego kształtu, mający co najwyżej dwadzieścia metrów szerokości. Podkreślił wzmocnienie - obraz zrobił się wyraźniejszy. Coś tam było, nawet jeśli nie to, czego szukał. Widział już wcześniej takie ślady, przeważnie na zdjęciach lotniczych zrobionych przez samoloty lub drony - często ujawniały istnienie dawnych prac ziemnych, fundamentów historycznych dróg czy budowli, albo, chyba najczęściej, śladów po gwałtownych wstrząsach, na przykład wybuchach czy miejscach upadku samolotu.

Zaraz potem skończyła się bateria w nikonie, wyciągnął więc olympusa stealth, zostawiając canona w odwodzie. Zrobił kilka zdjęć pola, w tym parę zdjęć samego śladu na dużym zoomie, tajemnica śladu po zjawisku sąsiedztwa pozostała jednak nierozwiązana.

Zawrócił, chcąc wracać na Farmę Warne'a. W kurtce, którą włożył, wychodząc, żeby wypatrywać mebshera, robiło mu się zbyt ciepło. Takie chaotyczne i drastyczne wahania temperatury nie były niczym niezwykłym w dzisiejszym klimacie, przeważnie jednak charakteryzowały się niespodziewanymi atakami zimna. Powietrze wokół niego zrobiło się dużo cieplejsze, kojarzyło mu się z pogodą pamiętaną z dzieciństwa, z chłodnym wieczorem po upalnym dniu, kiedy ciepło jest jeszcze długo po zejściu słońca.

Światło także się zmieniło. Gdy mebsher przyjechał na Farmę, było koło południa, dzień był chłodny, choć pogodny, z rzadkimi chmurami i silnym wiatrem. Na górę szedł pod drzewami, w ich cieniu. Teraz było bezwietrznie i był wieczór. Niebo jaśniało po zachodniej stronie - wysokie cirrusy podświetlone zachodzącym

słońcem.

Ile minęło czasu? I w jaki sposób on minął?

Tarent zdjął kurtkę, założył na koszulę futerał z aparatami i z powrotem przecisnął się między kolcolistem i rododendronami na ścieżkę w dole. Gdy znalazł się pod drzewami, wśród unoszących się rojów muszek, zaczął się zastanawiać, czy nie zbłądził czasem w jakieś zupełnie inne miejsce. Płaskie wzgórze porastał gęsty las pełen drzew różnej wielkości i w różnym wieku. Rosły w tłustej, ilastej glebie grubo pokrytej liśćmi, gałązkami i różną roślinnością. Dokładnie pamiętał widziane wcześniej szkody wyrządzone przez burzę, ogrom poprzewracanych drzew, połamanych gałęzi, odsłoniętą na pastwę żywiołów wapienną glebę.

Szedł w dół zbocza wśród zapadającego zmierzchu, aż znalazł ścieżkę – dobrze, że chociaż ona wyglądała znajomo i była tam, gdzie się jej spodziewał. Ruszył nią z powrotem ku Farmie Warne'a, wypatrując ogrodzenia i furtki. Spomiędzy drzew powiał ku niemu słodki, mdlący, niemal oszałamiający zapach. Benzyna.

## 2

W wieczornym półmroku minął miejsce, gdzie znajdowała się wcześniej bramka, zanim sobie to uświadomił. Szedł pomiędzy drzewami, wypatrując przed sobą zabudowań Farmy Warne'a i łamiąc sobie głowę nad mnogością tych drzew – skąd się wzięły, przecież wszystkie były powyrywane? Uświadomił sobie, że dotarł do najniższego punktu ścieżki, w którym przechodził przez plac, a potem przez korytarz budynku mieszkalnego, lecz niczego takiego tu teraz nie było.

Obejrzał się: ani śladu płotu i bramki. Zmrok zapadał szybko, ale jeszcze widział na tyle dobrze, by mieć pewność, że nigdzie ich nie ma.

Wyszedł spomiędzy drzew – nie było tu ani jednego ze znajomych od niedawna budynków. Kompleks Farmy Warne'a zniknął. Tarent, już i tak wytracony z mentalnej równowagi, nie panikował, nie starał się znaleźć wytłumaczenia, nie próbował zrozumieć. Wciąż był spocony po wspinaczce na skarpe i zdezorientowany zmianami, które tu zastał, jednak od lat uczył się ograniczać swoje działanie do patrzenia i obserwowania. W fotografii nie aparat jest najważniejszy – prawdziwa fotografia zaczyna się od oka fotografa.

Dokładnie tak, jak mówiła Melanie. Fotografia jest bierną sztuką – nie polega na kreatywnej interwencji i tworzeniu, lecz na kreatywnym odbieraniu. Jako fotoreporter nauczył się nie mieszać – był obecny podczas ulicznych zamieszek, bójek pod klubami i barami, otaczały go skłębione tłumy na wiecach politycznych, biegał razem ze zdesperowanymi ludźmi podczas wojen i katastrof naturalnych. Esencją pracy fotografa nie było to, co *robił*, lecz to, co *widział*.

Świat, przez który szedł teraz, odmienił się w niepojęty dlań

sposób, on jednak mimo zapadającego zmierzchu musiał patrzeć i nie przestawać widzieć. Nic innego nie miało już sensu – aparaty fotograficzne były jedynym, co zapewniało mu kontakt z rzeczywistością, a przynajmniej same stanowiły zrozumiały dla niego jej fragment.

Przełączył olympusa na tryb nocny. Rozglądając się wokół, sięgnął do futerału po canona i po omacku, sprawnie, przełączył go także na taki tryb.

Przed sobą miał skrawek trawnika odgradzony malowanymi na biało kamieniami. Za nim asfaltową drogę, trochę betonu, parę niedawno posadzonych młodych drzewek i dwa czy trzy bezpłciowe, piętrowe budynki biurowe o płaskich dachach. Inny podobny stał po lewej. Wszystkie razem kojarzyły mu się z wiekowymi wojskowymi zabudowaniami, które widział, kiedy nocował w Long Sutton. Zrobił im kilka zdjęć cyfrowo rozjaśnionych przez aparat. Pomędzy dwoma budynkami biegła droga, widać było kolejną przecinającą ją w oddali, a przy niej jeszcze parę budynków o takiej samej ascetycznej, funkcjonalnej architekturze. Wzdłuż drogi stały trzy samochody; ani jednego z nich nie rozpoznawał – kanciaste, staroświeckie, zapewne gdzieś z połowy zeszłego wieku. Były puste, z wyjątkiem najbliższego. W nim za kierownicą siedziała młoda kobieta w wojskowej czapce. Patrzyła przed siebie. Zrobił więcej nocnych zdjęć, z długą ogniskową. Kobieta w aucie nie zareagowała – nie chciała reagować albo po prostu go nie zauważyła.

Z budynku obok niego wyszło dwóch młodych ludzi w ubraniach roboczych, niosąc w obu dłoniach kubki z gorącymi napojami. Minęli go bardzo blisko – Tarent zrobił jeszcze kilka zdjęć. Poczuł zapach herbaty z mlekiem, wydał mu się on nieoczekiwanie apetyczny. Poszli dalej, weszli do sąsiedniego baraku. Gdy otworzyli drzwi, Tarenta dobiegły ze środka podniesione głosy, odgłos stukania młotkiem, wiercenia. Kiedy drzwi się zamknęły, sfotografował i ten budynek.

Spojrzał w prawo. Stał tam jedyny znajomy mu element Farmy Warne'a – wysoka, ciemna wieża nieco przypominająca

kościelną. Odcinała się na tle wieczornego nieba, przez co wydawała się jeszcze ciemniejsza,

Tarent widział jednak, że choć wcześniej była w kiepskim stanie i groziła zawaleniem, teraz wyglądała na solidną, stojącą mocno na ziemi, niedawno zbudowaną. W ramach wysokich okien – po trzy na obu widocznych ścianach bokach – były szyby.

Ruszył w stronę wieży, chcąc zrobić więcej zdjęć, nagle jednak uświadomił sobie potężny basowy ryk, coraz głośniejszy lub coraz bliższy. Chwilę potem nisko nad nim śmignął samolot, czarny na tle nieba. Był śmigłowy, czterosilnikowy, ciężki, z grubym kadłubem i szerokimi skrzydłami. Z przodu i z tyłu miał wieżyczki strzeleckie. Podwozie było wypuszczone. Od ryku silników trzęsło się wszystko, czuł go na twarzy i w piersi. Po czym samolot znikł mu z oczu – zniżywszy jeszcze lot, schował się za budynkami i drzewami.

Tarent poznał, że samolot to bombowiec z II wojny światowej, jakiś halifax, a może lancaster. Przeleciał zbyt nisko i zbyt nagle, by mógł mieć pewność, choć jako chłopak przeżył okres obsesyjnego uczenia się rozpoznawania wszystkich brytyjskich samolotów z II wojny światowej.

Na LED-owym ekraniku olympusa szybko przejrzał wszystkie ostatnio zrobione zdjęcia, po czym wcisnął przycisk zgrzywania. W aparacie prawie natychmiast zapaliła się ostrzegawcza czerwona dioda. Na ekranie pojawiły się znajome, zawsze niemile widziane słowa: *Brak dostępu do sieci*. Póki zdjęcia nie zgrały się do archiwum w laboratorium, nie czuł, że są bezpieczne, zatem spróbował jeszcze raz, z tym samym skutkiem. Przypomniały mu się najgorsze dni w szpitalu polowym w Anatolii – w izolacji od wszystkiego, w tym także od archiwum.

Spróbował po raz trzeci, bezowocnie, i postanowił zmienić aparat. Wszystkie trzy łączyły się do tego samego archiwum, ale czasem któryś działał nieco lepiej od pozostałych. A przynajmniej tak mu się wydawało, choć to bywały różne aparaty, więc pewnie to było tylko złudzenie.

Sprawdził canona i zaraz otrzymał canonową wersję tego samego komunikatu.

Słońce już zaszło, zapadł zmrok. Choć budynki, drogi i ścieżki nie były oświetlone, niebo wciąż dawało trochę światła, może za sprawą księżyca, chwilowo stojącego zbyt nisko i niewidocznego albo po prostu zasłoniętego chmurami.

Tarent skierował się do baraku, do którego weszli tamci. Zatrzymał się po drodze, spojrzął na niego przez tryb nocny aparatu, mogący wyświetlić wzmocniony i barwny obraz. Z niego wywnioskował, że to hangar na samoloty. Był pokryty maskowaniem, wzorem, który znał z filmów i seriali o II wojnie światowej – w wielkie, obłe, ciemnozielone i brązowe fale. Z przodu miał ogromne stalowe wrota.

Ostrożnie pchnął drzwi i dostał się do środka. Pod stropem płonęły jasne światła oświetlające masę celowej krzątaniny. Pracowało tu co najmniej dwudziestu mechaników. Środek hangaru zajmowały przede wszystkim dwa czterosilnikowe bombowce, które tym razem Tarent zdołał zidentyfikować jako lancastery. Oba były częściowo zdemontowane i toczyły się przy nich intensywne prace. Jeden miał pootwierane wszystkie cztery gondole silników, gdzie coś sprawdzano albo wymieniano jakies części. Inny był wyraźnie uszkodzony przez pociski z działek albo bliską eksplozję pocisku z armaty przeciwlotniczej – pokrycie skrzydeł, stateczników i części kadłuba było w strzępach. Zdemontowano także tylną wieżyczkę, a na podłodze stała nowa, pewnie na wymianę.

Stał tak, obserwował, próbował zrozumieć, próbował zachowywać się jak obserwator, nie jak uczestnik, lecz nagle jeden z nich odwrócił się gwałtownie ku niemu i podszedł ze złością do drzwi.

- Kto, do cholery, zostawia otwarte drzwi?! - krzyknął i trzasnął nimi. - Loftus, ty?

- Nie, ja nie, panie sierżancie - odpowiedział jeden z mechaników z mocnym akcentem z Birmingham. - Na sto procent zamknąłem.

- Zaciemnienie jest, pamiętajcie.
- Dwaj inni wymamrotali chórem:
- Przepraszamy, panie sierżancie.
- Z powrotem podjęto pracę.

Tarent, korzystając ze światła w hangarze, zrobił serię szybkich zdjęć dwóch lancasterów, w każdej chwili spodziewając się, że ktoś na niego krzyknie, uderzy go albo obsztorcuje za jakieś łamanie regulaminu. Jednakże wszyscy zachowywali się tak, jakby go tu nie było. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Podchodził do pracujących ludzi, robił z bliska zdjęcia. Ignorowali go nadal. Samolot, stojący wysoko na przednim podwoziu i kółku ogonowym, był ustawiony pod kątem do ziemi. Pomalowany był w większości na matową czerń, choć widoczny z dołu wąski pasek na górze kadłuba miał ciemnozielony kamuflaż. Na boku kadłuba, za skrzydłem, wymalowane były litery P, D i S, z medalionem RAF- u pomiędzy nimi. Za osłoną kabiny pilotów na czarnej farbie widniały namalowane od szablonu symbole bomb, wskazujące ile nalotów odbyła maszyna.

Robił szczegółowe zdjęcia wszystkiego, co widział.

Na koniec wycofał się i z powrotem stanął pod drzwiami. Sieć wciąż nie działała, wyłączył więc canona i wsunął go do futerału.

Było to wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wbrew wszelkiej logice, wbrew wszystkiemu, co racjonalne; Tarent stwierdzał jednak, że jakimś sposobem zawędrował do działającej bazy RAF- u, w czasie wojny, podczas dawnej i prawie zapomnianej wojny sprzed stu lat. Jak to możliwe?

To wykraczało poza jego zdolność pojmowania. Był w stanie zareagować na to tylko w jeden sposób: patrzeć, przyglądać się, robić zdjęcia. Ta cholerna bierność, za którą krytykowała go Melanie, niesprawiedliwie, ale trafnie, stała się ostatnią deską ratunku, gdy otaczał go bezsens. Próby myślenia, próby zrobienia czegokolwiek innego stanowiły ryzyko, którego nie był gotów podjąć.

Spodziewał się, że to wszystko się nagle skończy - ta wizja, przeżycie, wgląd w odległą przeszłość, halucynacja - sam nie

wiedział, jak to nazwać, nawet na własny użytek. A zanim się skończy, zanim ten bezsens nabierze z powrotem sensu, musiał się trzymać tego, co znajome.

Z powrotem wyciągnął canona, talizman znanej rzeczywistości, włączył go, odruchowo zerknął na wskaźnik baterii, sprawdził domyślne ustawienia dla trybu zdjęć w bardzo słabym oświetleniu, patrzył, jak szybko wykonuje się automatyczne oczyszczanie matrycy z pyłu. Cała procedura trwała niespełna dwie sekundy i zakończyła się znajomym elektronicznym piknięciem, potwierdzającym, że start się udał.

Przejrzał zdjęcia, które zrobił, odkąd tu trafił. Wszystkie były w pamięci aparatu. Sieć i tym samym laboratorium nadal były niedostępne. Spróbował jeszcze dwa razy.

Wyszedł na zewnątrz, bo w hangarze było gorąco, tym razem pamiętając, by starannie zamknąć drzwi za sobą. Łagodne wieczorne powietrze, ze swoimi nutami benzyny, gumy i farby, choć także świeżo skoszonej trawy, wciąż było ciepłe po upalnym dniu. Spróbował po raz kolejny połączyć się z laboratorium, myśląc, że na świeżym powietrzu, nie za potężnymi metalowymi drzwiami hangaru, będzie lepiej. Nie udało się jednak.

Odczekał parę minut, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności po jasnym wnętrzu hangaru, potem ruszył w stronę innych zabudowań, które wcześniej zauważył. Choć były ewidentnie zaciemnione, tak że nie było widać jasnych świateł, miały wiele drzwi, okien i innych otworów, przez które przeblyskiwało słabe światło.

Po krótkim spacerze dotarł do jednego z piętrowych budynków, które zauważył od razu, kiedy przyszedł. Słyszał dźwięk wielu głosów. W środku był krótki korytarz, który potem rozwidłał się na lewo i prawo. Na wprost zobaczył podwójne drzwi z napisem „Mesa”. Przeszedł przez nie, zamykając je cicho za sobą.

Pomieszczenie było długie i pełne lotników, z powietrzem gęstym od dymu tytoniowego. Po pierwszym oddechu aż



zatoczył się, tracąc dech. Odwrócił się i otworzył drzwi ogarnięty niepohamowanym atakiem kaszlu. W życiu nigdzie nie napotkał tylu palaczy naraz. Oczy zaszyły mu łzami. Wyszedł na zewnątrz, oddychał wieczornym powietrzem, póki nie poczuł się lepiej. Potem, nieco ostrożniej, wrócił do sali.

Lotnicy, ubrani w grube kombinezony, rozsiadali się w dziesiątkach foteli albo stali małymi grupkami. Wszystkie stoły wypełniały filiżanki, spodki oraz wielkie popielniczki wypełnione niedopałkami. Radio grało muzykę taneczną, lecz chyba nikt jej nie słuchał. Klimat w sali nie był radosny, ale hałaśliwy i przyjacielski, zgiełk powstawał z głośnych rozmów. Wielu lotników stało, trzymając różne elementy ekwipunku – pilotki, mapy, kamizelki ratunkowe, termosy, skórzane rękawice. Na ścianie naprzeciwko wisiała ogromna mapa północnej Europy; w lewym górnym rogu widać było kawałek Wielkiej Brytanii, lecz większość mapy przedstawiała kontynent, od Francji na zachodzie, po Czechosłowację na wschodzie i Włochy na południu. Do mapy pinezkami przypięto dwie długie wstążki, czerwoną i niebieską, pokazujące dwie trasy z Lincolnshire, przez Morze Północne, do Niemiec. Czerwona szła nieco bardziej na południe od niebieskiej, obie zbiegały się jednak w tym samym miejscu – miejscowości w północno-zachodnich Niemczech.

Tarent zaczął robić zdjęcia i tym razem także nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Robił się coraz bezczelniejszy – zrobił parę zbliżeń na twarze tych ludzi. Szokowało go, jacy są młodzi – większość musiała ledwo co skończyć dwadzieścia lat. Pracował szybko, chwytając wyrazy ich twarzy, gestykulację przy mówieniu, grube kombinezony, charakterystyczne gesty z papierosami i przekrzywianiem czapek, jakby żywcem przeniesione z filmów.

Gdy szedł na koniec sali, pod wiszącą tam mapę, z bocznych drzwi wyszło dwóch oficerów. Zajęli miejsca na podeście pod mapą. Zapadła cisza, wszyscy lotnicy wstali. Ktoś wyłączył radio. Na gest jednego z oficerów usiedli z powrotem.

Starszy oficer odezwał się do ludzi w sali.

- Jesteście po odprawie - powiedział - więc nie będę powtarzał tego, co już wiecie. Nawigatorzy znają szczegółowo trasę, a kody identyfikacyjne na dziś są już w maszynach. Dzisiejszy cel jest taktyczny. To fabryka benzyny syntetycznej, której coraz bardziej potrzebują Luftwaffe i niemiecka armia. Czy są pytania?

Nikt się nie odezwał. Tarent postąpił naprzód, podszedł do oficerów, zaczął im robić zdjęcia. Obaj mieli na piersiach baretki licznych odznaczeń.

- A więc dobrze. Wiecie, czego od was chcemy. Bomby trzeba rzucić precyzyjnie, więc parę minut przed wami polecą pathfindery. Nad celem przewidywane jest zachmurzenie, ale nie aż takie, żeby nie dało się wycelować bomb. Nie muszę wam mówić, co robić tam na miejscu, życzę wam jednak dużo szczęścia, jest wam potrzebne, i pomyślnego powrotu.

Zasalutował, potem szybko się odwrócił. Wyszedł z sali, a lotnicy ponownie wstali. Drugi oficer wskazał zegar i kazał obecnym zsynchronizować z nim swoje zegarki. Kiedy to zrobili, on też pośpiesznie wyszedł. Lotnicy zaczęli się krzątać, zbierać swój sprzęt i wychodzić.

Tarent przyjrzał się dokładnie mapie. Jako cel wskazana była miejscowość Sterkrade w północnej części Zagłębia Ruhry. Nigdy wcześniej o niej nie słyszał. Skoro nikt nie zauważał jego obecności, zrobił kilka zdjęć mapy i salę w planie ogólnym, z podestu.

Na krzesłach i na stołach wałała się masa pozostawionych gazet, podszedł więc i podniósł jedną z nich. „Daily Express” z piątku, 16 czerwca 1944. Zrobił zdjęcie pierwszej i ostatniej strony. Nie usiadł i nie zaczął czytać, zauważył jednak, że główny tytuł na pierwszej stronie mówił o nowej broni, którą Niemcy atakują Londyn - bezzałogowych samolotach wypełnionych burzącym materiałem wybuchowym, mających spadać w przypadkowych punktach i powodować wielkie szkody.

Gdy salę opuściła ostatnia osoba, Tarent również wyszedł na

zewnątrz. Kilka ciężarówek czekało już, żeby ich porozwozić. Jedna za drugą rozjechały się po lotnisku, z pasażerami stojącymi lub kucającymi na pace. Niektórzy siedzieli z tyłu, machając nogami.

Kiedy był w budynku, wyszedł księżyc i łatwiej było teraz dostrzec kształty budynków i wielkość samej płyty lotniska. Ciężarówki z lotnikami rozjeżdżały się pędem w różne strony – przy słabym świetle księżycy Tarent ledwo był w stanie dostrzec dalekie sylwetki dwóch czy trzech lancasterów zaparkowanych na samym obrzeżu lotniska.

Niespodziewanie, gdzieś blisko rozległ się głośny huk. Tarent podskoczył i obrócił się, żeby zobaczyć, co to. Dostrzegł pnącą się w niebo jakby ognistą rakietę. U szczytu lotu rozbłysła jaskrawym czerwonym światłem rzucającym na ziemię wyraźną czerwoną poświatę.

Znajdowała się dokładnie nad jego głową – ten zbieg okoliczności od razu go przeraził. Flo mówiła, że w kontekście ataków zjawiskiem sąsiedztwa zawsze pojawia się jaskrawe światło w górze.

To jednak, sycząc i sypiąc iskrami, leciało dalej, oddalało się od niego niesione wiatrem, pewnie miało wypalić się, zanim spadnie na ziemię gdzieś pośrodku lotniska.

Z innego baraku wyszło dwóch szeregowych mechaników i minęło Tarenta w niewielkiej odległości. Usłyszał, jak jeden z nich mówi:

– A ta rakietka to co?

– A nie wiem. Ale dopiero co dzwoniли ze Scampton, radar im złapał jakieś dwie rzeczy, może nadlatujących Hunów.

Przeszli tuż obok niego, tak blisko, że w czerwonym blasku dogasającej flary widział rysy ich twarzy. Obaj byli bardzo młodzi, w życiu nie widział tak młodo wyglądających lotników. I tym razem nie byli świadomi jego obecności. Postanowił pójść za nimi i posłuchać, co mówią.

– Przeważnie nie strzelają od razu flarami, jak tylko w Scampton coś zobaczą.

- Może któryś leci do nas?
- Raz wieczorem, zanim cię do nas przystali, przyleciał junkers.

Trafił jednego Lanka.

- Widziałeś?
- Nie widziałem, ale musiałem go potem łątać.
- Godzinę temu słyszałem, jak przyleciał jakiś singielek.
- Spitfire. Też słyszałem. Poszedłem popatrzeć, jak ląduje.

Chyba musiał się zgubić, że tu wylądował.

- To to nie był Niemiec?
- Nie.

W oddali, na krańcach lotniska, uruchamiały się silniki lancasterów. Dwaj młodzi mechanicy zatrzymali się. Tarent stanął obok nich w ciemności.

- Idę do NAAFI- ka coś zjeść. Idziesz ze mną?

- Nie, myślałem, że przejdę się na koniec pasa i popatrzę, jak chłopaki startują.

- No dobra. To do zobaczenia jutro rano.

- Chyba nie - odparł ten drugi. - Z samego rana wyjeżdżam.

Parę dni temu przyszedł rozkaz.

- Oj, to szkoda, Fala. Przenoszą cię do innego dywizjonu?

- Idę na szkolenie, potem do Wioch. Podobno na amerykańskie moloty.

- Na pewno do dupy są zrobione.

- Bo amerykańskie?

- Pewnie. Nie dorastają naszym do pięt.

- Dobra, no to do zobaczenia po wojnie!

- Jasne. Powodzenia, Fala.

- Powodzenia, Bill.

### 3

Ten, na którego mówili Fala, patrzył, jak kolega oddala się w stronę głównego ośrodka, potem odwrócił się i poszedł z powrotem do hangaru. Tarent nie ruszył się z miejsca. Fala za chwilę pojawił się z powrotem, przerzucił nogę przez ramę roweru i ruszył. Tarent widział go niewyraźnie w słabym świetle księżycy. Jechał chwiejnie po ścieżce. Nie wyglądało to zbyt bezpiecznie w tym półmroku, choć zapewne znał doskonale drogę.

Silniki Lancasterów zaczynały już grzmieć, parę wielkich bombowców powoli kołowało po obwodzie lotniska. Tarent nigdy czegoś takiego nie widział, tego nierównego pochodu ciężko objuczonych bombowców w ciemności, jadących na jakiś odległy punkt startu. Właśnie w tamtą stronę pojechał Fala, więc Tarent ruszył za nim. Spod hangaru ruszyły w drogę kolejne bombowce. Huk jeszcze się wzmógł.

Poleciała kolejna rakietka sygnałowa odpalona gdzieś pośrodku ogromnego terenu. Tarentowi i tym razem wydało się, że wystrzelono ją w jego kierunku, że rozpałała się pełnym blaskiem dokładnie nad nim. Ta rakietka, wystrzelona pod wiatr, nie opisała łuku. Zawisła nad nim i zaczęła powoli opadać ku ziemi, prychając i syjąc jaskrawoczerwonymi iskrami.

Tarent nie przestraszył się tego – wszystko, co działo się w tej bazie, coraz bardziej przybierało dla niego senny, odrealniony charakter. Za moment zgasła, a to, co z niej pozostało opadło, niewidoczne i nieszkodliwe, na ziemię. Tarent czuł, że nie będzie miała na niego wpływu, tak jak on sam nie wpływał na nic innego. Nikt go nie widział, obojętne, gdzie wchodził i co robił. Mimo to przecież sobie tego nie wyobrażał – mógł rozkoszować się ciepłem letniego wieczoru, czuć delikatny wietrzyk, cieszyć

się zapachami i aromatami w powietrzu. Mógł dotykać, słyszeć, widzieć. Mógł otworzyć i zamknąć drzwi, mógł rozkaszleć się od wypełniającego pokój dymu papierosowego, mógł słyszeć dźwięk potężnych silników lancasterów, mógł pochylić się i zerwać parę źdźbeł ostrej trawy, po której chodził. Mógł robić zdjęcia, a obrazy zapisywały się na chipie aparatu. To, co przeżywał, było realne, w każdym aspekcie poza jednym.

Poza tym, że wszystko to absolutnie nie miało prawa się dziać.

Trzymał aparat w dłoni, całkiem jakby bronił go przed nierealnością tej sytuacji. Nie bał się tego, co się dzieje, w ogóle tego wszystkiego nie rozumiał. Miał wrażenie, że jego obecność tutaj, półobecność, nie ma żadnego wpływu na rozwój zdarzeń, które widzi, że one nie dzieją się dla niego. Był, doświadczał, obserwował wypadki. Gdyby go tu nie było, wszystko działałoby się dokładnie tak samo.

Fala odjechał na rowerze z jego pola widzenia i rozplynął się w mroku wieczoru. Po drugiej stronie pola Tarent widział zabudowania bazy, lecz z tej odległości, w półmroku, były tylko ciemnymi kształtami, wiadomo było po prostu, gdzie są. Szedł dalej, w kierunku, w którym pojechał Fala.

Parę minut później niespodziewanie zapaliły się światła. Na ziemi, paręset metrów od ścieżki, którą szedł, w dwóch równoległych rzędach. Nie były jasne i stały w sporych odstępach. Ciągnęły się przez prawie całą długość pasa. Gdy zastanawiał się, do czego służą, prawie od razu wyjaśnił mu to lancaster, który gdzieś daleko nagle dodał gazu i z potężnym rykiem ruszył, przyspieszając, po pasie startowym wyznaczonym właśnie ścieżką tych światel. Tarent obserwował, jak ogromny bombowiec pędzi z hukiem ku niemu. Gdy go minął, wciąż jechał po ziemi, ale ogon miał już uniesiony. Chwilę później ciężko objuczony samolot uniósł się, napędzany wyjącmi z wysiłku silnikami. Ich huk uderzył w niego teraz, budzący respekt i podziw znak ich mechanicznej mocy.

Jeszcze na dobre nie znalazł się w powietrzu, gdy na pełne gardło ryknęły silniki kolejnego bombowca na przeciwnym

końcu pasa i on także zaczął się toczyć do startu. Tarent nie mógł ruszyć się z miejsca onieśmielony fizyczną potęgą tych ociężałych i śmiercionośnych samolotów, które przy tym były na swój sposób eleganckie.

Drugi lancaster także poderwał się z trudem w powietrze zaraz po tym, jak go minął, ale pozostał nisko nad pasem. Stopniowo nabierając wysokości, odleciał w tym samym kierunku, co pierwszy. Niebawem Tarent stracił go z oczu.

Światła ścieżki startowej natychmiast wyłączono.

Kolejne lancastery już kołowały drogą okrężną wokół lotniska na pozycję startową. Dźwięk ich silników docierał do niego z przerwami, zależnie od kaprysów wiatru. Poszedł dalej, licząc, że będzie w stanie dotrzeć do nich, zanim odleci ostatni samolot. Chciał zobaczyć z bliska, jak ruszają.

Po minucie czy dwóch światła drogi startowej ponownie się zapaliły i kolejne dwa lancastery jeden za drugim z rykiem potoczyły się po pasie i wystartowały. Tarent znów stał nieruchomo i je obserwował.

Światła zgasły, następne maszyny pokołowały do punktu startu.

Potem zapaliły się znów do następnego startu, lecz niemal natychmiast wysoko w powietrze poleciała jeszcze jedna rakietka. Światła drogi startowej błyskawicznie zgasły.

I znów Tarentowi wydało się, że czerwony rozbłysk nastąpił dokładnie nad nim. Raz czy dwa to mógł być przypadek, ale trzy...? Obserwował nerwowo, jak iskrząca flara dryfuje ku ziemi. Tym razem poczuł resztki jej dymu – wywołały z głębi pamięci wspomnienie fajerwerków z dzieciństwa.

Lancastery pozostały w dwóch szeregach zbiegających się z dwóch sektorów drogi kołowania na początek pasa startowego.

Rozległ się dźwięk innego silnika. Był wyższy, ostrzejszy, wyraźnie inny niż odgłos silników bombowców. Dobiegał z samolotu lecącego nisko i szybko.

Znienacka odezwało się działko przeciwlotnicze stojące na ziemi na przeciwnym końcu lotniska. Pociski smugowe przeszły

łukiem niebo. Huk silnika atakującej maszyny wzmógł się jeszcze – Tarentowi mignął na moment dwusilnikowy samolot o grubym kadłubie, przechylający się w bok i skręcający nisko nad ziemią, w stronę przeciwną od pasa startowego. Gdy śmignął nad drogą kołowania w kierunku wschodnim, z ziemi zaczęło strzelać inne działko przeciwlotnicze. Smugi jego pocisków przecięły się ze smugami tamtego, zbyt wysoko, zbyt daleko od maszyny, by odnieść jakiś skutek.

Światła drogi startowej pozostały wyłączone – daleko, na drugim końcu wciąż czekały lancastery z włączonymi silnikami.

W powietrze wystrzelono kolejną rakietę – i tym razem zapłonęła w powietrzu dokładnie nad głową Tarenta. Cofnął się pośpiesznie na bok, zaczynając mieć przeczucie, że jakimś sposobem są wycelowane w niego, nie mając też ochoty dostać w głowę gorącymi odłamkami spalonej flary. Ta flara miała jednak poważny cel – gdy dopalała się, opadając powoli ku ziemi, dwusilnikowy napastnik pojawił się po raz drugi. Z rykiem przeleciał ponownie nad lotniskiem, tym razem sunąc szybko i nisko nad pasem startowym. Leciał dokładnie do punktu, gdzie w kolejce do startu stały bombowce. Tarent zobaczył śmiertcionośne iskry, gdy działka zamontowane w jego skrzydłach zaczęły strzelać do czekających samolotów.

Baterie przeciwlotnicze po bokach pasa znowu strzelały, łuki pocisków smugowych śmignęły nisko nad głową Tarenta, prosto w kierunku niemieckiego napastnika. Gdy przeleciał nad nim, niecałe sto metrów od miejsca, gdzie kuczał w trawie, Tarent zobaczył, jak pocisk smugowy z działka uderza gwałtownie w bok maszyny.

Reakcja była natychmiastowa. Silnik po tej stronie samolotu zazgrzytał i zajęczał, maszyna przechyliła się ostro na bok i natychmiast przerwała atak. Uszkodzony silnik wciąż chwilami jęczał; napastnik wyrównał lot i odleciał na wschód. Poleciały jeszcze za nim pociski smugowe, był jednak za daleko, by go trafiły. Zresztą wiadomo było, że już nie stanowi zagrożenia dla lancasterów na ziemi.



Tarent wstał, gdy się upewnił, że już nikt nie będzie strzelał. Poszedł dalej w stronę końca głównego pasa. Chwilę później światła drogi startowej zapaliły się ponownie i dwa ciężko obciążone lancastery ociężały, ale skutecznie wzbiły się w ciemną noc.

Zobaczył przed sobą ciemny zarys dwóch budynków. Były z boku pasa startowego, przy drodze do kołowania. Planował dojść do nich przez wysoką trawę, potem pójść dalej samą drogą do kołowania. Choć księżyc wciąż świecił, nawet trochę jaśniej niż przedtem, bo wzeszedł wyżej, Tarent potknął się kilka razy o drobne, niewidoczne przeszkody na ziemi. W dłoniach trzymał canona i aż za dobrze wiedział, że w razie przewrócenia się może go uszkodzić. Bezpieczniej byłoby schować aparat do futerału, jednak traktował ten aparat jak namacalny kontakt z rzeczywistością – miał wrażenie, że póki trzyma go w pogotowiu, panuje przynajmniej nad tym jednym aspektem swojego życia.

Podszedł bliżej do budynków – tymczasem dwa kolejne lancastery z rykiem wystartowały do nocnego nalotu na dalekie Sterkrade. Tarent zastanowił się, czy którykolwiek z lotników słyszał wcześniej nazwę tego miasta. Droga startowa znowu zgasła, dwa kolejne bombowce powoli zajęły pozycję na końcu pasa. Był teraz na tyle blisko, że doskonale słyszał ich silniki.

Wszedł na betonową płytę przed dwoma mniejszymi budynkami. Stał tam, częściowo zagradzając mu drogę, mały samolot. Jednosilnikowy, opływowy, dolnopłat. Przy ciężkich, przysadzistych bombowcach wydawał się niemal miniaturką. Tarent zatrzymał się, uniósł aparat, użył nocnego trybu, żeby dokładniej mu się przyjrzeć.

Pstryknął trzy szybkie zdjęcia, ufając, że mimo niedoświetlenia zostaną cyfrowo skorygowane.

Samolot miał na skrzydłach trójkolorowe medaliony RAF- u, reszta pomalowana była w brudnozielono- brązowy kamuflaż. Ktoś przy nim stał, z drugiej strony, oparty o skrzydło. Przez

wizjer w trybie nocnym Tarent widział tylko skórzaną lotniczą kurtkę, grubą, pomarszczoną, brązową.

Opuścił aparat. To była kobieta.

Gdy obchodził samolot, odwróciła się do niego. Miała na głowie skórzaną pilotkę, którą ściągnęła i cisnęła na bok.

- To ty, Tibor? - zapytała. - Co ty tu robisz?

Głos był znajomy, i to bardzo, ale to przecież niemożliwe...

- Melanie?

Stanęli naprzeciw siebie, niedowierzający, niemal wystraszeni. Żadne z nich się nie poruszyło - szok wciąż trwał.

- Myślałam, że zginąłeś - powiedziała.

- Ja myślałem, że ty zginęłaś.

- Nie. Nie zginęłam. Ale mówili, że wysadzili mebshera i ty w nim byłeś.

- Kto mówił?

- Co takiego?

Musieli mówić głośniej. Gdy obchodził samolot, na start sunął kolejny lancaster, tak blisko, że huk był ogłuszający.

- Nic nie słyszę!

- Chodź tutaj.

Podeszli ku sobie, wyciągając ramiona. Ostrożnie, delikatnie przygarnął ją do siebie. Spodziewał się dotknąć grubej skórzanej lotniczej kurtki, poczuł jednak gołe ramię, potem cienką sukienkę. Czuł przez materiał jej plecy, kręgosłup.

- Skąd się tu wzięłaś?

- A ty?

- Nie wiem.

- Ja też nie wiem. Jezus, jak mi ciebie brakowało!

- Melanie!

Przyciągnął ją do siebie, czując, jak obejmuje go ramionami i mocno ściska. Przycisnęła policzek do jego policzka, dokładnie tak, jak pamiętał.

Coś powiedziała, ciche słowo czy dwa, prosto do jego ucha, jednak pasem startowym przejechał drugi lancaster, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Gdy się oddalił, unosząc ogon znad pasa,

dodała:

- Tibor, gdzie my jesteśmy?

- Nie jestem pewien. Nie mam pojęcia. Naprawdę.

Za ich plecami coś głośno huknęło, w niebo poleciała kolejna rakietka. Zdażył już przyzwyczaić się do tego dźwięku, więc prawie nie podniósł wzroku, za to Melanie zadarła głowę, żeby spojrzeć. Zrobił to samo. Czerwona flara była w szczycie swojego luku i płonęła jaskrawo.

Znów była dokładnie nad nim. I spadała ku nim, sypiąc jasnymi iskrami.

Potem zbieła. Zrobiła się jeszcze jaśniejsza. Stała się tak jasna, że nie dało się na nią patrzeć.

Oświetlała snopem światła duży obszar ziemi. Tibor i Melanie znajdowali się pośrodku niego.

Tarent odwrócił się, czując jakiś ruch, gdzieś przy drodze kołowania, za nimi. Wysoki młody człowiek jechał na rowerze, z opuszczoną głową, zawzięcie pedałując, patrząc prosto przed siebie. Nie dostrzegał ich, nie reagował na padające na nich oślepiające światło. Przestał pedałować i terkocząc wolnobiegiem potoczył się w ciemność.

Światło jeszcze się wzmogło. Opadało ku nim. Plama blasku na ziemi zmniejszyła się i zaczęła wyostrzać w kształt trójkąta.

To niewiarygodne, ale blask wzmocnił się jeszcze, oślepiając ich, paląc, anihilując.

Potem zgasł, zostawiając tylko ciemność.

Tarent trzymał żonę w objęciach. Dziwnie było to robić, choć jednocześnie było to niekwestionowanie słuszne i dobre. Wtuliła się w niego jak kiedyś, jak zawsze, jak wtedy, gdy byli młodzi, nawet jak później, gdy tylko znaleźli chwilę czasu, by pobyć sam na sam, a jeszcze się kochali.

Wokół nich zajaśniał dzień. Zrobił się rześki i chłodny ranek. Stali między kępami wysokiej, wilgotnej od rosy trawy, kostki im przemakały. Słońce stało nisko nad wschodnim horyzontem, już zbyt jasne, by w nie patrzeć. W pobliżu stał szpaler drzew, choć ich pnie przesłaniała rzadka mgiełka, przez co korony wyglądały,

jakby unosiły się w powietrzu. Na polu pały się krowy – niektóre leżały na trawie, powoli przeżuwając, inne chodziły i skubały trawę. Jedna stała blisko nich – obserwowała ich wielkimi oczyma, cały czas żując.

- A gdzie samoloty? – zdziwił się Tarent. – Była noc. Byłem w jakiejś bazie lotniczej... W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku... widziałem na gazecie. – Chwycił wiszący na szyi aparat. – Zrobiłem zdjęcie pierwszej strony, pokażę ci.

Zmagał się z wyłącznikiem, chcąc włączyć canona, cos', co robił tysiące razy, ale dziś odkrył, że palce ma niezdarne i niezborne. Melanie wyciągnęła rękę i chwyciła go za nadgarstek.

- Nie teraz, Tibor. Później mi pokażesz.

Obróciła się, cały czas obejmując go ramieniem, i powoli poszli przez pole. Czuli pod stopami wilgotną trawę, mrużyli oczy od porannego słońca. Łąka znamionowała niewinną przeszłość, przywoływała wspólne pragnienia, wspólne proste przeżycia. Tarent jednak wciąż miał w głowie ryk startujących lancasterów, obrazy i zapachy wojskowego lotniska z II wojny światowej. Wojny prawdziwej, wojny mrocznej, wojny na śmierć i życie. Wiedział, że tam był, ale jakim sposobem, jak i po co?

- Wiesz może, gdzie my jesteśmy? – zapytał. – Bo ja byłem gdzie indziej. Wróciłem z Turcji, zabrali mnie do takiego rządowego ośrodka...

- Przyjechałam tutaj, bo mi powiedziano, że tu cię znajde.

- Ale jak przyjechałaś? Myślałem, że nie wolno poruszać się...

- Przyjechałam samochodem. Pożyczyłam od kogoś. Stoi na farmie.

- Na farmie?

- O? Myślałam, że wiesz. Gospodarstwo takie, w Lincolnshire, blisko wzgórz Wolds, niedaleko Hull. Nie miałam pojęcia, czemu miałbyś akurat tutaj być, ale okazało się, że dobrze mówili.

- Oni? Kto?

- Ludzie ze szpitala. Z biura. Powiedzieli, że wróciłeś do Anglii, więc przyjechałam cię odnaleźć.

- Na tej farmie w Lincolnshire?

- Tak.
- Farmie Warne'a?
- Dokładnie.

Dotarli do furtki, którą Tarent otworzył, a potem zamknął za nimi, żeby zwierzęta nie wyszły z pastwiska. Przed sobą mieli wąską wiejską drogę. Jej brzegi porastała wysoka trawa, a żywopłoty już gęstniały, wypuszczając wiosenne liście. Czuł zapach ziemi, wilgoci, trawy, błota. Było całkowicie bezwietrznie.

- Który mamy dziś dzień?
- Chyba marzec mniej więcej - odparła Melanie.
- Tak myślisz?
- Za bardzo pewna to już nie jestem.
- A wiesz przypadkiem, który mamy rok?
- Nie.
- A dlaczego?
- Bo nie, Tibor. Już niczego nie jestem pewna. Jest to, co widać. Nie wystarczy? Czemu musisz pytać o jakieś daty, dni?
- Bo ciągle się w nich gubię.

Przed nimi ukazały się zabudowania farmy wtulone w zbocze wzgórza. Wśród nich stała wysoka murowana wieża przypominająca kościelną. Tibor znów wyciągnął canona, ustawił kwantowy obiektyw na maksymalną ogniskową i wycelował w wieżę. Wyglądała na zrujnowaną, niestabilną, niebezpieczny relikw z innej epoki. Pstryknął spustem. Melanie poszła naprzód, tak że stała pomiędzy nim a zabudowaniami. Była rozmazaną plamą w wizjerze, więc pozwolił aparatowi automatycznie wyostrzyć obraz. Nigdy nie przestał jej kochać, ale już zapomniał, jaka była piękna, zapomniał, jak uwielbia na nią patrzeć i robić jej zdjęcia. Nacisnął więc migawkę, bo Melanie się uśmiechała. I jeszcze dwa razy.

## UCZTA WYOBRAŹNI

TIBOR TARENT, FOTOGRAF-FREELANCER, WRACA DO ANGLII Z ANATOLII, GDZIE JEGO ŻONĘ ZABIŁY REBELIANCKIE BOJÓWKI. ISLAMSKA REPUBLIKA WIELKIEJ BRYTANII DOCHODZI JESZCZE DO SIEBIE PO DZIWNYM I PRZERAŻAJĄCYM ATAKU TERRORYSTYCZNYM, PODCZAS KTÓREGO W JEDNEJ CHWILI ULEGI ANIHILACJI WIELKI, TRÓJKĄTNY OBSZAR ZACHODNIEGO LONDYNU, WRAZ Z SĘTKAMI TYSIĘCY ISTNIEŃ LUDZKICH. WŁADZE UWAŻAJĄ, ŻE TEN ATAK I ŚMIERĆ ŻONY TARENTA SĄ W JAKIŚ SPOSOB POWIĄZANE.

STO LAT WCZEŚNIEJ, PODCZAS I WOJNY ŚWIATOWEJ, ESTRADOWY ILUZJONISTA RUSZA NA FRONT ZACHODNI Z TAJNĄ MISJĄ UCZYNIEŃIA BRYTYJSKICH SAMOLOTÓW ROZPOZNAWCZYCH NIEWIDZIALNYMI DLA WROGA. PODCZAS PODRÓŻY DO OKOPÓW POZNAJE WIZJONERA, SĄDZĄCEGO, ŻE TO BĘDZIE WOJNA, KTÓRA ZAKOŃCZY WSZELKIE WOJNY.

W ROKU 1943 POLSKA PILOTKA OPOWIADA MECHANIKOWI Z RAF-U O SWOJEJ UCIECZCE PRZED HITLEROWCAMI I DESPERACKIM PRAGNIENIU POWROTU DO DOMU.

W CZASACH WSPÓŁCZESNYCH ANGIELSKI FIZYK TEORETYK W OGRÓDZIE SWOJEGO DOMU PO RAZ PIERWSZY WYWOŁUJE ZJAWISKO SĄSIEDZTWA.

CZŁOWIEK Z SĄSIEDZTWA TO POWIEŚĆ, W KTÓREJ POZORY MYLĄ, A WSZYSTKO SKRYWA DRUGIE DNO, W KTÓREJ FIKCJA PRZECINA SIĘ Z HISTORIĄ, A KAŻDA WERSJA RZECZYWISTOŚCI JEST PODEJRZANA, W KTÓREJ PRAWDA I FAŁSZ MIESZKAJĄ ZE SOBĄ W SĄSIEDZTWIE.



ISBN 978-83-7480-738-8



9 788374 807388

cena:  
39 zł

WYŁĄCZNY  
DYSTRYBUTOR



Wydawnictwo  
**MAG**

Więcej informacji o publikacjach Wydawnictwa MAG w Internecie na stronie: [www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)